

A close-up portrait of a man with a short haircut, wearing dark sunglasses and a dark button-down shirt. He is holding a silver handgun in his right hand, which is visible in the lower right portion of the frame. The background is dark and out of focus.

Nie sztuka kochać.
Dużo trudniej
zachować lojalność.

KRISTEN ASHLEY

Niebezpieczny
Rock Chick
facet

KRISTEN ASHLEY
*Niebezpieczny
facet*

PRZEŁOŻYŁA
Ewa Skórska



**Książkę tę dedykuję Rickowi Chew
i Jimowi Gonzalezowi.**

Kocham was. Tęsknię.

Chciałabym, żebyście wciąż mieszkali tuż obok.

Yahtzee!



Rozdział 1

Nikt nie będzie stawał między mną a moją kapelą

Stella

Dźwięk telefonu.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na zegarek.

Trzecia trzydzieści siedem. Nad ranem.

Odebrałam.

– Halo?

Czułam się zaalarmowana i w pełni rozbudzona – często byłam na nogach o tej nieludzkiej porze. Po pierwsze, miałam całe lata praktyki odbierania wariackich telefonów tuż przed świtem, po drugie, byłam wokalistką i gitarzystką kapeli rockowej; zwykle o tej nieludzkiej porze wracaliśmy z koncertu.

– Stella? – Dzwonił Buzz, mój gitarzysta. Słysząc było, że jest rozjebany. Zwykle tak brzmiał, gdy dzwonił o tak nieludzkiej porze.

– Siemka, Buzz, co tam?

Spodziewałam się w sumie wszystkiego. Mógł dzwonić, żeby wyciągnąć go z aresztu, mógł potrzebować podwózki do domu, bo zachlał gdzieś pałę. Szczęśliwie był na tyle odpowiedzialny i przytomny, żeby do kogoś zadzwonić, pechowo tym kimś zawsze byłam ja. Przy ósmej ulicy utknął na billboardzie promującym zbliżający się koncert Earth Wind & Fire i nie mógł zejść (nie pytajcie).

Ale tym razem chodziło chyba o Lindsey.

– Chodzi o Linnie.

Nie mówiłam?

– Buzz, słuchaj...

– Leży w łóżku i się nie rusza. Coś jest nie tak. Coś nie gra. Boję się jej dotknąć. Stella Bella, kurwa, boję się – szepnął. – Boję się, że przedawkowała.

Usiadłam gwałtownie na moim olbrzymim łóżku, a Juno, bernardynka, która leżała tam wyciągnięta (rozumiecie zatem potrzebę wielkiego łóżka), również usiadła i szczeknęła.

– Dzwoniłeś po karetkę?

– Nie, zadzwoniłem do ciebie.

Jasne.

Przecież zawsze tak było. Byłam Stellą Michelle Gunn, liderką i gitarzystką The Blue Moon Gypsies. Wpłacałam kauce (głównie za Ponga, pałkera, choć czasami za innych), uspokojałam wściekłych i pijanych facetów (i znów: głównie Ponga, chociaż wszyscy lubili pić i się wściekać), prowadziłam doradztwo dla par w przededniu rozpadu (pełne fiasko, zainteresowani zawsze się rozpadali). Wysłuchiwałam, gdy świat cię nie rozumiał (a jak twierdził Leo, gitarzysta rytmiczny, który regularnie palił trawkę i filozofował, świat zwykle cię nie rozumiał), wyciągałam saksofonistę Hugona z orgietki z napalonymi fankami, gdy zrobiło się trochę za ostro.

I najwyraźniej pracowałam też w pogotowiu.

– Dzwon po karetkę – zarządziłam.

– Ale...

– JUŻ!

Rozłączyłam się i wyskoczyłam z łóżka. Juno szczeknęła znowu i też zeszła na podłogę.

W pierwszej chwili pomyślałam o Masie.

W takich sytuacjach (a było ich pełno, choć nie zawsze chodziło o zaćpane dziewczyny, które kiedyś były słodkie, a teraz uzależnione od heroiny) zawsze odruchowo myślałam o Kaiu Masie Masonie: najwyższym, najzajebistszym i najseksowniejszym facecie, jakiego kiedykolwiek poznałam. O Masie z oczami w kolorze jadeitu. Gęstymi, ciemnymi włosami. Fantastycznym ciałem. Męskimi, mocnymi dłońmi o długich palcach, które muskały moją skórę tak delikatnie.

Mace wiedziałyby, co robić. Mace zająłby się Buzzem i Lindsey, jednocześnie chroniąc Juno i mnie.

„Śpij”, powiedziałyby tym swoim niskim, głębokim głosem, gdy odłożyłyby już telefon, który zawsze odbierał, i pocałował mnie w ramię albo szyję, albo w to miejsce obok ucha, a ja bym zadrżała. „Śpij, ja się tym zajmę”.

A potem poszedłby i się tym zajął, a ja poszłabym spać.

Ale Mace’a nie było. Odszedł rok temu.

I teraz byłam sama.

Jak zawsze.

W drugiej chwili uznałam, że muszę przestać myśleć o Masie.

A w trzeciej szukałam dzinsów.

Zerwałam z siebie koszulkę nocną, założyłam moje stare levisy i stanik. Złapałam białą bluzkę z krótkimi rękawami, czerwonym wzorem na górze i frędzlami, jaką mogłaby nosić dziewczyna o imieniu Heidi, jodłująca w górach Bawarii.

Lubiłam tę bluzkę.

Za to nie miałam pojęcia, jak się jodłuje, i nie planowałam się dowiadywać.

Usiadłam na łóżku i wciągnęłam brązowe kowbojki, przykurzone nie tyle od jeżdżenia na paddocku, co od stania na brudnych scenach w ciemnych barach.

A potem złapałam kluczyki, wsunęłam komórkę do tylnej kieszeni spodni i wzięłam smycz.

– Chodźmy, Juno – zawołałam i klepnęłam się dłonią w udo.

Owszem, przyczłapała, ale żadnego merdania ogonem czy entuzjazmu. Z rezygnacją przyjęła to, co nieuchronne, czyli przerwę w słodkiej drzemce.

– Buzz myśli, że Linnie przedawkowała. Może nawet nie żyje – powiedziałam, gdy wyszliśmy z pokoju na korytarz. – Niedługo wrócimy do domu.

Dotarłam starym poobijanym fordem (kiedyś czerwonym, a teraz mocno wyblakłym) pod dom Buzza, ale nikogo tam nie zastałam. Czyli dzwonił od Lindsey. Pojechałam tam.

Na miejscu był już ambulans i policja. Fioletowo-czerwone błyski oświetlały podwórkę przed domem Lindsey, kępki starej trawy, chwasty i ziemię oraz policjantów w mundurach i sąsiadów w piżamach.

Co gorsza, na ulicy stał zaparkowany lśniący czarny ford explorer.

Wiedziałam, co to znaczy.

Jeden z chłopaków Nightingale’a już tutaj był.

– Co do... – wyszeptalam, a po mojej skórze przebiegły dreszcze.

Zatrzymałam się przed wozem policji, który parkował przed explorem.

Chłopaki Nightingale’a byli bardzo znani w pewnych kręgach Denver – tych zamieszkałych przez gliny, kryminalistów oraz ludzi, którzy potrzebowali usług specyficznej agencji detektywistycznej. Należeli do ekipy Nightingale Private Investigations, byli wykwalifikowani, wyszkoleni, podejrzani moralnie i zabójczo przystojni.

Mace był jednym z nich.

Przypięłam Juno smycz i wysiadłam. Juno podążyła za mną z głębokim psim westchnieniem.

„Proszę, niech to nie będzie Mace, proszę, proszę, proszę” – powtarzałam w myślach.

A potem zmieniałam obiekt.

„Proszę, niech z Linnie wszystko będzie w porządku...”

Obeszłam mojego vana od strony bagażnika, a drzwi domu Linnie otworzyły się i wyszedł z nich Luke Stark, przystojniak z ekipy Nightingale’a. Czarne, bardzo krótkie włosy, zabójcze wąsy, spadające w dół po obu stronach ust, niemożliwie przystojny, z ciałem stworzonym przez bogów.

Znałam go z czasów, gdy jeszcze byliśmy z Mace’em. Widywałam go czasem teraz, bo mieszkał z moją przyjaciółką, Avą Barlow.

Przesunął wzrokiem po podwórku i zatrzymał się na mnie.

No dobra, spoko. Na luzie. Dam radę pogadać z Lukiem. Luke był w porządku. Luke był super. Uśmiechnęłam się do niego.

A potem drzwi otworzyły się jeszcze raz i z domu wyszedł Mace.

„O kurwa!”, wrzasnął mózg. Mój uśmiech znikł.

Przesunęłam szybko wzrokiem po Masie.

Naprawdę, naprawdę chciałam znaleźć w nim jakąś wadę. Chciałabym, żeby urósł mu brzuch albo żeby łysiał. Żeby wyglądał, jakby usychał z tęsknoty, a nie tak jak teraz. Metr dziewięćdziesiąt pięć, płaski, umięśniony brzuch, kwadratowy podbródek, te zielone oczy i wspaniała karnacja, zdradzająca hawajskich przodków ze strony mamy.

Mace nie patrzył na trawnik. Spojrzał prosto na mnie, jakby mnie wyczuł.

Nasze oczy się spotkały i z całych sił starałam się zachować niewzruszony wyraz twarzy. Za to on nie musiał się w ogóle starać – jego twarz zupełnie nie zmieniła wyrazu. Nawet odrobinę.

Poczułam się tak, jak zawsze, gdy go sobie przypominałam albo przy tych rzadkich okazjach, gdy go widywałam. Kopniak w brzuch i gwałtowna chęć ucieczki.

Opanowałam się. Chociaż szlag mnie trafiał, że tyle mnie to kosztowało, nawet teraz, po roku.

Luke się zawahał.

Mace ruszył do mnie.

Cholera. Wolałabym, żeby było na odwrót.

Oczywiście. Ja i moje parszywe szczęście.

A Juno wpadła w amok. Wreszcie poczuła, że warto było przyjechać, i szarpnęła się na smyczy. Najbardziej na świecie, bardziej, niż zatopić zęby w suchym jedzeniu ze skrawkami bekonu, pragnęła pobiec do Mace'a.

Juno go uwielbiała i jego odejście przyjęła jeszcze gorzej niż ja. Szukała go po domu i czekała na niego pod drzwiami całe miesiące po zerwaniu. Nie widziała go od wieków.

Ścisnęłam mocno smycz, ale ciężko było utrzymać wielkiego psa.

– Juno, siad – polecił Mace, idąc do nas.

Usiadła, jak zawsze wykonując polecenie Mace'a od razu, ale ciężko jej było usiedzieć w miejscu. Ogon z furją zamiatał ziemię, język wystawiony, pies szczęśliwy nie do opisanego.

Mace podszedł i Juno trąciła jego rękę mokrym nosem, szyja wyciągnięta na maksa, ale zadek dalej przyklejony do ziemi.

Patrzyłam, jak długie palce Mace'a gładzą sierść na jej głowie, i wrażenie kopniaka w brzuch powróciło.

Zazdrosna o własnego psa.

Załatwiona na amen.

Wyprostowałam się i odchyliłam głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Jedź do domu, Stella – powiedział Mace, patrząc mi w oczy.

Żadnego „cześć” czy „jak się masz” albo „ładnie wyglądasz”, nie mówiąc już o „zerwanie z tobą było największym błędem mojego życia; błagam, wybac mi, wyjdź za mnie i zostań aż do chwili, w której oboje umrzemy jednocześnie, trzymając się za ręce, w wieku stu siedmiu lat”.

Żeby ukryć rozczarowanie, przeniosłam wzrok na drzwi, a potem przesunęłam wzrokiem po okolicy. Luke poszedł pogadać z Williem Mosesem, który był moim znajomym i sierżantem policji w Denver. Ambulans nadal tu stał, ale nie widziałam ratowników.

Niedobrze.

Spojrzałam znowu na Mace'a.

– Co z Linnie? – zapytałam.

– Jedź do domu.

Czyli miałam rację.

– Co z Linnie? – powtórzyłam.

– Stella, nic, w czym mogłabyś pomóc. Jedź do domu.

Niech to licho.

Musiało być naprawdę niedobrze.

– Dzwonił do mnie Buzz. Mówił, że Linnie przedawkowała. To prawda? Buzz tutaj jest?
– Ja z nim pogadam. Zadzwoń do ciebie rano – odparł, nie odpowiadając na żadne moje pytanie.
Poczułam, jak strach zaczyna szarpać mi wnętrzności, pociągnęłam Juno i ruszyłam, żeby ominąć

Mace'a.

– Muszę się z nim zobaczyć – oznajmiłam.

Złapał mnie za przedramię tak mocno, że nie mogłam się wyrwać. Stałam jak wryta, Juno ze mną. Patrzyłam przez dwie sekundy na jego rękę, potem znów na niego.

– Zabierz rękę, Mace – zażądałam, cicho i groźnie. Przekaz był jasny.

Rok temu zrezygnował z prawa dotykania mnie. Mówienia, żebym pojechała do domu. Z głaskania mojego cholernego psa. Może z tym ostatnim przesadziłam, ale tak się w tej chwili czułam.

Nie zabrał ręki, zacisnął mocniej palce. Nie bolało, ale jego przekaz był równie jasny.

– Albo pójdziesz do samochodu, albo cię do niego zaniosę, Stella. Wybieraj.

Wiedziałam, że mówi serio.

I wkurzyło mnie to.

Rzadko się wkurzałam, zwykle nie miałam czasu. Moje życie składało się z muzyki i kapeli. Gdy nie graliśmy, ładowaliśmy albo rozładowywaliśmy sprzęt. Robiliśmy próby. Szukałam miejsca, w którym damy następny koncert. Ćwiczyłam na gitarze. Wyciągałam kumpli z kłopotów. Jeśli zostawało mi trochę czasu, łączyłam z Juno i gotowałam wyszukane jednoosobowe posiłki. Juno była wielkim psem z niewielkimi zasobami energii i nie udzielała się za bardzo, musiałam znaleźć sobie jakieś inne formy rozrywki, a Juno lubiła resztki. A jeśli nie łączyłam z Juno i nie gotowałam, gadałam z kumpelami przez telefon albo gdzieś się spotykałyśmy.

Resztę czasu przeznaczalam na sen.

Jak widzicie, nie za wiele przestrzeni na ostry wkurw.

Ale w tej chwili... Co on sobie wyobrażał? Nie będzie tak, że jednego dnia ze mną zerwie, a drugiego stanie między mną i członkiem mojej kapeli.

No nie.

Żadnych takich.

Nikt nie stanie między mną a moją kapelą.

Nachyliłam się do niego.

– Powiedz, co się dzieje – wysyczałam wkurzona.

– Buzz zadzwoni do ciebie rano. – Wciąż próbował mnie spławić.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! – Teraz już krzyczałam.

Raczej poczułam, niż zobaczyłam, że ludzie na nas patrzą.

– Stella, mów ciszej – zażądał, co wkurzyło mnie jeszcze bardziej.

– Wchodzę – poinformowałam go.

– Nigdzie nie idziesz – odparł, wciąż nie rozluźniając uchwytu.

Ja pitolę.

Zmieniłam taktykę.

– Czemu to robisz?

To go zaskoczyło. Zwykle opanowanie zniknęło, oczy zapłonęły.

– Żeby cię chronić – odparł cicho, jakby nie chciał tego powiedzieć.

Znów poczułam kopniaka w brzuch i znów strach szarpnął żołądek.

– To już nie jest twoje zadanie, Mace – przypomniałam.

Znów ogień w oczach.

Ej, no chwila. Co tu się w ogóle działo?

– Masz rację. Nie jest – odparł i puścił moją rękę.

Żal prawie zgiął mnie wpół.

Szybko się poddał...

Dobra, wszystko jedno. Ruszyłam w stronę domu.

– Lindsey nie żyje. Została zamordowana – odezwał się w moje plecy.

Zatrzymałam się, odwróciłam i gapiłam na niego, nie rozumiejąc.

– Co? – wyszeptałam.
– Została zamordowana – powtórzył, teraz już spokojnie. – Nie tutaj. Musieli podrzucić ciało.
– Ale... – Urwałam. – Ale Buzz mówił, że przedawkowała. Jak...
– Strzał w czoło. Ani śladu krwi, zrobili to gdzieś indziej. Potem przenieśli ją do łóżka i przykryli kołdrą, chuj wie po co. Jej twarz, z wyjątkiem dziury w czole, wyglądała normalnie, ale tył głowy ma odstrzelony.

Oderwałam od niego wzrok. Czułam, jak coś narasta mi w gardle, przełknęłam ślinę.

Luke stał na podwórku i nadal rozmawiał z Williem, ale ja myślami byłam gdzie indziej.

Myślami byłam przy Lindsey, słodkiej dziewczynie, która przyszła kiedyś na nasz koncert i zakochała się w Buzzie od pierwszego wejrzenia. Była pulchna, śliczna i kochała rocka. A ponieważ była również słodka jak diabli, wszyscyśmy ją pokochali.

Dlaczego zaczęła brać heroinę, jak weszła w ten półświatek, nie wiedział nikt z nas, nawet Buzz. Wszyscy próbowaliśmy ją z tego wyciągnąć, cała kapela, głównie Buzz i ja, jakiś czas Mace. Ale ona wchodziła w to coraz głębiej, a my nie mogliśmy nic zrobić. Buzz się nie poddał, ja też nie, ale zaczynałam tracić cierpliwość. Spotykała się z podejrzanymi typami, robiła nieciekawe rzeczy, a wszystko, żeby dostać kolejną działkę. Gdy zaczęła ściągać podejrzanych typów na koncerty, powiedziałam „dość”.

A teraz już nie żyła.

– Linnie – wyszeptałam.

Juno wyczuła nastrój, trąciła mi nosem dłoń. Nieuważnie pogładziłam ją po głowie, słuchałam, jak dzwoni telefon Luke’a, i patrzyłam, nieprzytomna, rozbita (nie wiem nawet, co czułam, smutek, złość?), gdy Luke wyjął telefon z czarnych bojówek.

– Kociątko – usłyszałam czyjś głos z bardzo, bardzo daleka.

To Mace. Nazywał mnie tak, kiedy byliśmy razem, bo stwierdził, że mruczę z zadowolenia. Zwykle mruczałam po orgazmie, ale nie tylko. Przy Masie miałam wiele powodów do mruczenia.

Nie słyszałam tego określenia od roku. To była jedna z siedmiuset tysięcy rzeczy, których mi brakowało po rozstaniu.

Dotyk, delikatny jak szept, przesunął się w dół moich pleców. Zadrzałam.

– Linnie – szepnęłam znowu.

A potem ujrzałam, z jakąś dziwną, nieobecną fascynacją, jak to, co ktoś mówi Luke’owi przez telefon, zmienia całe jego ciało. Z fascynacją, bo mogłabym przysiąc: gość się przeraził.

A faceci tacy jak Luke się nie bali.

Pokręciłam głową i oderwałam od niego wzrok.

– Muszę pogadać z Buzzem – oznajmiłam.

– Stella.

Ruszyłam z miejsca i poszłam szybko przez trawnik.

Wtedy Luke krzyknął:

– Mace! – Wściekle, ostro, gwałtownie.

Ale ja się tym nie przejęłam. Myślałam tylko o Buzzie.

A potem zabrzmiały strzały.

Tak, właśnie tak.

Strzały.

Rozległy się zaskoczone krzyki, dziwny dźwięk, i zobaczyłam, jak ziemia tryska przy moich kowbojkach, gdy wchodziły w nią kule, jedna za drugą.

Przez chwilę stałam jak wryta, nie rozumiejąc nic z tego wszystkiego, potem poczułam pieczenie w biodrze i wrzasnęłam, nie wiadomo dlaczego złapałam się za głowę, a potem, ponieważ, zaczęłam biec.

Zrobiłam może dwa kroki, gdy Mace złapał mnie w talii, podniósł i przerzucił sobie przez ramię, a potem biegł pochylony, a kule gwizdały wokół nas.

Otworzył tylne drzwi explorera i wrzucił mnie do środka; gwizdnął krótko i Juno wskoczyła również, obok mnie. Ból rozlewał się po całym biodrze, krzyknęłam znowu.

Mace trzasnął drzwiami, gdy tylko tyłek Juno znalazł się w środku, wskoczył na miejsce pasażera, Luke już siedział za kierownicą. Ledwie udało nam się z Juno usiąść, a już wyrwaliśmy z miejsca.

Nie wiem, kiedy Luke odpalił silnik, zdawało się, że połączony z wozem, uruchomił go myślą. Kompletnie przeciwieństwo tego chłodnego gościa, który spokojnie przekręcał kluczyk w stacyjce i jechał coś załatwić.

Mace wduślił przycisk na desce rozdzielczej, usłyszałam sygnały wybierania numeru.

Juno szczerknęła, żeby zaznaczyć swoją obecność. Nie zamierzała nic więcej robić, ale nie chciała, żeby o niej zapomniano. Cała ona.

Przycisnęłam rękę do biodra, poczułam coś mokrego, cofnęłam dłoń.

Miałam na palcach ciemną, lepka ciecz. Krew.

Postrzelili mnie.

Ja pitolę, postrzelili mnie!

Oberwałam.

Jezu.

– Yy, Mace... – zaczęłam, powstrzymując panikę.

– Mówi Jack – usłyszeliśmy.

– Chwila – rzucił mi Mace po cichu.

– Właśnie dzwoniła do mnie Ava. Ktoś otworzył ogień do niej, Daisy, Ally, Indy, Toda i Steviego. Byli przed gejowskim klubem na Broadway. Straciłem z nią kontakt w środku rozmowy – przekazał Luke Jackowi, którego również pamiętałam z czasów chodzenia z Mace'em. Kolejny człowiek z ekipy Nightingale'a, mocny, twardy, solidny i przerażający.

Aż mnie zatkało od tej nowiny.

Ktoś strzelał do Avy i reszty? Co tu się działo?

– Przyjąłem. Działam – odparł głos Jacka.

– Ktoś strzelał właśnie do Stelli na miejscu zbrodni – dodał Mace.

„Ej, przecież nie strzelali konkretnie do mnie, prawda?“, spytał mój mózg.

A ponieważ nie powiedziałam tego na głos, nikt mi nie odpowiedział.

– Kurwa – warknął Jack.

– Dzwon do Lee i sprawdź Jet, Roxie i Jules – polecił Luke.

– Przyjąłem.

– Rozłączam się – rzucił Luke i nacisnął przycisk na konsoli. – Nie podoba mi się to, kurwa – warknął.

Jego strach, czysty, nieukrywany, wypełnił kabinę. Ktoś strzelał do jego kobiety, co go rozwścieczyło, ale i wystraszyło. I chociaż sama byłam w panice, chociaż krwawiłam z rany postrzałowej, byłam w stanie docenić fakt, że Super Twardzielowi, jakim był Luke, tak bardzo zależało na Avie, że się odsłonił.

Mace nie odezwał się, pochylił się tylko i wyjął komórkę z tylnej kieszeni.

– Yy, Mace... – zaczęłam znowu, uznając, że to dobry moment, by podzielić się informacją o postrzale.

– Chwila.

Czyli jednak nie taki dobry.

Rozejrzałam się, czy nie leży tu coś, co mogłabym przycisnąć do rany. Pewnie zakrwawiłam już całe siedzenie. Na podłodze leżał koc, przechyliłam się, wzięłam go i wsunęłam sobie pod tyłek, przyciskając brzeg biodrem. Nie wiem, czemu aż tak się przejmowałam plamami na siedzeniu forda; może po prostu to było łatwiejsze niż rozmyślanie, że właśnie strzelano do mnie i do moich przyjaciół o czwartej nad ranem w środku tygodnia.

Mace wybierał numer, ale zanim uzyskał połączenie, zadzwonił telefon w kabinie.

Luke wcisnął coś na konsoli.

– Stark – rzucił.

– Luke, znajdź Jules, teraz. Dzwoniła. Przejeżdżający samochód ostrzelał ją i Nicka, z AK-47

– oznajmił Jack.

– Kurwa mać – warknął Luke.

– Sid – rzucił Mace, jak mi się wydawało, bez związku.

– Powiadom Vance’a i dzwoni do Lee. Trzeba zarządzić spotkanie – rzucił Luke Jackowi.

– I zadzwoni do Louiego i dowiedz się, co, do kurwy nędzy, z Avą.

– Dobra. Już. – Jack rozłączył się.

Luke skręcił, nie zwalniając; mój wielki pies i ja poleciliśmy na podłogę, tworząc kłęb futrzanych i niefutrzanych kończyn. Samochód wyrównał, wgramoliłam się z powrotem na koc i uznałam, że lepiej będzie się przypiąć.

Mace odwrócił się do mnie, patrzył, jak zapinam pas, i bez słowa wrócił do przedniej szyby.

– Trzymaj się, Juno – wyszeptalam i czystą ręką pogładziłam ją po głowie.

Szczeknęła spokojnie.

Dobrze wiedzieć, że mój pies zachowuje spokój w sytuacji kryzysowej. Choć wolałabym nie potrzebować tej wiedzy.

– Ike – rzucił Mace do telefonu. – Tak. Dzwoni do Matta i Bobby’ego. Sid zrobił ruch. Potrzebujemy informacji o Avie i dziewczynach. Ava dzwoniła do Luke’a, że do nich strzelano, potem stracili kontakt. Był z nimi Louie, przed gejowskim klubem na Broadway. – Chwila ciszy. – Tak, wszystko.

Wyłączył się, Luke znów wszedł w zakręt, nie zwalniając i wszystkich nas przechyliło.

– Mace... – zaczęłam znowu.

– Jest! – Ignorując mnie, Mace wskazał czerwone camaro z lat 80. Jechało z naprzeciwnika.

Luke wcisnął hamulec, zrobił błyskawiczną nawrotkę na środku jezdni (ja pitolę, omal nie dostałam zawału!) i ruszył ostro za camaro, mrugając długimi światłami.

Wychylona, widziałam między siedzeniami, jak kierowca camaro macha ręką i zwalnia. Wyprzedziliśmy, obejrzałam się, camaro jechało za nami. Usłyszałam pikający dźwięk wybieranego numeru na konsoli i odwróciłam się, po jednym sygnale ktoś odebrał.

– Ze mną wszystko w porządku – usłyszałam kobiecy głos.

– A z Nickiem? – spytał Mace.

– Też.

– Dzwoniłaś do Vance’a?

– Tak, wraca z Albuquerque. – Poznałam ten głos, to była Jules, też moja niedawna znajoma. Poznałam ją kilka miesięcy temu, kiedy przyszła z przyjaciółmi na koncert. Wyszła za męża za jednego z ludzi Nightingale’a, Vance’a Crowe’a. Niedawno wrócili z miesiąca miodowego.

Oto i moje parszywe szczęście: wkrótce po tym, jak jeden z facetów Nightingale’a ze mną zerwał, jedna z moich najbliższych przyjaciółek zaczęła być z „tym” Nightingale’em, z Lee. Nazywała się Indy Savage, znałam ją od lat i razem z Ally Nightingale, siostrą Lee, były bez reszty wmiksovane w ekipę.

Oznaczało to, że przez ostatni rok rzadko widywałam się z przyjaciółkami. Musiały wiedzieć o mnie i o Masie, ale niewiele, bo nie opowiadałam szczegółów, ani w czasie naszego pięciomiesięcznego związku, ani po jego zakończeniu. Uczucia były zbyt drogie i nie chciałam się nimi dzielić nawet z Ally, której brat był szefem mojego byłego faceta. Po rozstaniu znajdowałam sobie różne zajęcia; one też nie traciły czasu, przyjmowały do paczki rockowych lasek następane dziewczyny, które z kolei wiązały się z facetami z ekipy Nightingale’a.

Takie już miałam parszywe szczęście. Zajębiście parszywe.

Można nawet powiedzieć, że byłam królową zajębiście wręcz parszywego szczęścia, a dzisiejszy postrzał był tego najlepszym dowodem.

– Jedź za nami – polecił Luke.

– Dobra – rzuciła Jules i rozłączyła się.

W tym samym momencie telefon znów zaczął dzwonić i Luke wcisnął przycisk.

– Z Avą wszystko w porządku – oznajmił Jack bez wstępów.

Wypuściłam powietrze, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że wstrzymywałam oddech. Strach Luke’a zniknął.

– Louie odpowiedział ogniem, wpakował dziewczyny i facetów do limuzyny Daisy. Wszyscy bezpieczni, nikt nie oberwał. Jadą do Zamku. Lee wyznaczył tam punkt zborny.

– Przyjąłem. Jak inni?

– Też przyjadą, ale nie jest dobrze. Eddie i Hank dostali wezwanie; gdy wyszli, domy ostrzelano, znów z samochodu i znowu z AK-47. Roxie i Jet spały, nic im nie jest. Lee po nie pojechał, są w drodze do Zamku.

Eddie był najlepszym kumplem Lee, a Jet jego narzeczoną. Hank, brat Lee, mieszkał z Roxie.

Sami widzicie, jak to wszystko się przeplatało. Jak miałam przerąbane po stracie Mace'a. Dziewczyny były szczęśliwe, wychodziły za męża, spodziewały się dzieci (Jules była w ciąży) i żyły sobie życiem kobiet zabójczych twardzieli. Życia, którego spróbowałam, które pokochałam i które utraciłam na zawsze.

– Jebany Sid – warknął Luke, wbijając się w moje myśli.

– Skurwiel – zgodził się Jack.

– Niech Ike zmobilizuje Matta i Bobby'ego – włączył się Mace. – Szukał Avy, potrzebuje nowego zadania.

– Dobra, dzwonię do niego – odparł Jack.

– Wyłączam się. – Luke wcisnął przycisk.

Zapanowała cisza.

– Czyli wojna – zauważył Mace.

– Jak skurwysyn – odparł Luke.

Nie wiem, co to miało znaczyć, ale nie brzmiało dobrze.

Ja pitolę.

Rozdział 2

Na tip-top

Stella

Okazało się, że Zamek, o którym mówili, rzeczywiście był zamkiem. Nie miałam nawet pojęcia, że w Denver jest jakiś zamek, a właśnie do niego podjeżdżaliśmy.

Jechaliśmy do szykownej części Englewood. Rozjarzona światłami alejka (po kit takie rześiste oświetlenie?) wiała się między drzewami, docierając do kamiennego zamku z wieżyczkami i fosą.

W czasie drogi uznałam, że jednak nie umrę od rany postrzałowej.

Uznałam też, że nie chcę, by Mace wiedział, że jestem ranna. Dowie się i będę musiała spędzić w jego obecności więcej czasu, a ostatni raz, gdy widzieliśmy się dłużej niż kilka minut, to było na koncercie mojej kapeli, dokąd przyszedł z kumplami. Skończyło się tym, że zaśpiewałam „I’m So Lonesome I Could Cry” Hanka Williamsa. Nie panowałam nad tym, to się po prostu stało. Nawet moja kapela była w szoku. I nie zamierzałam pozwolić, żeby ta chwila słabości znowu się powtórzyła.

Nie, nie i nie.

I już.

Miałam plan. Wśliznę się do łazienki, umyję, może skonfiskuję jakiś szlafrok, a potem zadzwonię do Floyda, żeby mnie zabrał.

Plan był głupi, nie myślałam zbyt jasno.

Floyd był moim klawiszowcem, starszym ode mnie i całej reszty zespołu piętnaście lat. Miał żonę, Emily, stałą pracę, dwie córki na studiach i potrafił zagrać i zaśpiewać „And So It Goes” Billy’ego Joela tak pięknie, że jeśli nie uroniłeś łzy, musiałeś być z kamienia.

Jego wykonanie „Scenes from an Italian Restaurant” też było naprawdę spoko.

Floyd i Emily się mną zajmą. Na pewno. Zwłaszcza że chodziło o krwawiącą ranę postrzałową.

Byli jedynymi ludźmi, którzy się o mnie troszczyli, w każdym razie jedynymi, którzy robili to od lat. Nie wydzwaniałam do nich bez przerwy, żeby nie skończyło się tak, jak z Mace’em – gdy tamtego wieczoru oparł się o framugę i powiedział, że za bardzo go potrzebuję.

Więcej się to nie zdarzy. Nie dopuszczę do tego.

Dwóch typów w ciemnych garniturach i białych koszulach, z wąskimi krawatami i wielkimi gnatami zmaterializowało się na podjeździe i podeszło do forda. Wstrzymałam oddech, myśląc, że to chyba niedobrze, ale oni tylko spojrzeli na Luke’a i Mace’a i rozplynęli się w cieniu.

Nie miałam czasu zastanawiać się nad zamkami z fosami i facetami z gnatami, bo światła forda oświetliły limuzynę zaparkowaną przed domem i zobaczyliśmy na boku dziury po kulach. W naszym wozie zaiskrzyło napięcie, które wydzielał Luke.

– Powinien był się zachować jak facet – rzucił spokojnie Mace.

– A teraz za to zapłaci – odparł Luke.

– A teraz za to zapłaci.

– Kto? – zapytałam.

Mace odwrócił się do mnie, gdy Luke parkował, jakby zapomniał, że z nimi jestem.

– Wszystko okay? – spytał poniewczasie, oczywiście nie odpowiadając na moje pytanie.

„Nie, bo jestem ranna, co chyba kłóci się z definicją okay?”, odparł sarkastycznie mój umysł.

– Na tip-top – odparłam na głos.

Luke zatrzymał się i też odwrócił, żeby spojrzeć na mnie. Usłyszał moją odpowiedź i uśmiechnął się krzywo, jak zwykle. Odpowiedziałam mu miłym uśmiechem.

– Wychodzimy – warknął Mace, nagle zniecierpliwiony, i otworzył drzwi.

Ja też otworzyłam swoje. Juno przelazła przeze mnie i wyskoczyła, ja zacisnęłam zęby z bólu i też wysiadłam. Sporo mnie to kosztowało, ale szłam normalnie; brudną od krwi rękę przyciskałam do brzucha, niczym kobieta w ciąży.

Luke wyrwał ostro do przodu, pewnie chciał szybko zobaczyć Avę. Mace szedł po mojej prawej stronie (dostałam w lewe udo), obok, ale na dystans.

Nigdy i nigdzie nie zachował dystansu w czasach, kiedy byliśmy razem. Nie należał do gości ukrywających publicznie swoje uczucia. Gdy szliśmy razem, wsuwał kciuk w szlufkę moich dżinsów, a ja byłam przyklejona do niego. W kabinkach w restauracji siadał obok mnie, nie naprzeciwko. Gdy oglądaliśmy telewizję na kanapie, trzymałam na jego kolanach głowę lub stopy albo przytulałam się do jego boku. Gdy spaliśmy, przywierał do mnie całym ciałem w pozycji na łyżeczkę, przytulał się do moich pleców. Gdy się całowaliśmy, nieważne, na stojąco, na siedząco czy w łóżku, zawsze chodziło o maksymalny kontakt fizyczny. Nie szukał go – wymagał. To była kolejna z tych siedmuset tysięcy rzeczy, których mi tak cholernie brakowało.

Juno szła za nami, obwąchując ziemię.

Pokonaliśmy niewielki kamienny most nad fosą, Mace przytrzymał drzwi, które otworzył nam Luke, a ja powiedziałam:

– Zadzwoń do Floyda, żeby po mnie przyjechał.

Luke znów szedł z przodu, Mace za mną, a ja zachwycałam się wnętrzami. Długi, kamienny hol, czerwony dywan, przymocowany do podłogi miedzianymi poprzeczkami, na ścianach skrzyżowane miecze, kute pochodnie ze światłem elektrycznym i pełne zbroje. To było niewiarygodne. Nie do opisanego. Zupełnie jakbym znalazła się w innym świecie.

– Musisz poczekać, aż skończymy naradę. Wtedy powiem ci, co możesz zrobić – odparł Mace.

Zachwyty zniknęły. Zapomniałam o bólu w biodrze i wściekła odwróciłam głowę do Mace'a.

– Co powiedziałaś?

– Słyszałaś – odparł, nie patrząc na mnie.

I może dlatego, że nie chciał się kłócić, a może po prostu spieszył się na tę jakąś naradę, w każdym razie wyminął mnie i zaczął iść szybko. Ciężko było dotrzymać mu kroku.

Najpierw on, potem ja weszliśmy do wielkiej sali z katedralnym sklepieniem, wielkim kominkiem i masywnymi skórzanymi meblami. Wisiały tu długie rzędy proporców z herbowymi lwami i liliami królewskimi. Znowu zauroczona, przestałam wkurzać się na Mace'a.

Było tak niesamowicie, że po prostu stałam i patrzyłam.

– Jasny szlag, Stella! Co ty tu robisz? – zawołała Indy.

Spojrzałam na nią. W sali było już sporo ludzi. Luke i Mace, Indy, jej sąsiedzi Tod i Stevie (para gejów, których znałam z licznych imprez u Indy z czasów przed Mace'em), Ava i Daisy (nowa w klubie, którą również zdążyłam poznać, młodsza wersja Dolly Parton z równie potężnym biustem), no i Ally. Wszyscy tam stali i teraz odwrócili się do mnie.

– Co ci się stało w nogę? – spytała Ally, gapiąc się na mnie.

Ja pitole, jak mogłam zapomnieć o mojej nodze?

– Czy to... krew? – Tod patrzył na mnie ogromnymi oczami, przycisnął rękę do piersi.

– Postrzelili ją! – krzyknęła przenikliwie Daisy.

Spojrzałam szybko na Mace'a. Stał kilka kroków ode mnie, tyłem; po krzyku Daisy odwrócił gwałtownie głowę.

– To nic takiego – poinformowałam ich, cofając się.

Mace odwrócił się i zaczął iść w moją stronę. Ja cofałam się krok za krokiem i w końcu wpadłam na kogoś – mężczyznę w okularach. Wysoki, ciemne włosy z siwizną, położył mi ręce na ramionach. Koniec ucieczki. Spojrzałam w jego niebieskie oczy – patrzyły życzliwie i dawały jasno do zrozumienia: nigdzie nie pójde.

– Wszystko w porządku – zapewniłam go.

Czyjeś ręce dotknęły mojego biodra. Spojrzałam w dół i ujrzałam mocne dłonie z długimi palcami, które znałam tak dobrze. Podniosłam głowę i zobaczyłam Mace'a.

– Puść mnie. Nic mi nie jest – powiedziałam, gdy przechylił się na bok, delikatnie dotykając mojego biodra i oglądając ranę.

Też na nią spojrzałam. Krwi było dużo więcej, niż się spodziewałam. Była wszędzie.

Podniosłam wzrok: wszyscy stali już wokół mnie.

– Naprawdę wszystko w porządku – zapewniłam ich.

Mace wyprostował się, spojrzał mi prosto w oczy.

– Na tip-top? – spytał niskim, zirytowanym głosem.

– Na tip-top – potwierdziłam twardo.

W tej samej chwili wziął mnie na ręce i zaczął iść w stronę wielkiej sali.

– Ej, co ty... – krzyknęłam.

– Pokój? – rzucił Mace do Daisy, przerywając mi.

– Tędy. Przyniosę apteczkę. – Daisy biegła obok nas.

– Apteczkę? Dziewczyno, ona potrzebuje lekarza! – Tod również szedł z nami.

– Nie lekarza, tylko szpitala. – Stevie deptał Todowi po piętach.

– Kurwa, nie wierzę! Postrzelili Stellę – warknęła Ally, która też szła za nami.

Juno szczeęknęła, wyraźnie zgadzając się z Ally.

– Musimy zagotować wodę. Potrzebujemy czystych ręczników – oznajmiła Ava, idąc ze wszystkimi.

– Przecież nie rodzi dziecka! Oberwała! – krzyknęła Indy.

– Przecież wiem! Ale potrzebuje sterylnej otoczenia!

Boże, strzeż mnie przed rockowymi laskami o najlepszych chęciach.

Daisy zaprowadziła nas do mniejszego pokoju, też w stylu średniowiecznym; Mace wszedł do środka i odwrócił się.

Luke zatrzymał wszystkich, oznajmił „zajmiemy się tym” i zamknął im drzwi przed nosem.

W pokoju zostaliśmy tylko ja, Daisy, Mace i Luke.

– Nic się nie dzieje – oznajmiłam.

Mace postawił mnie na ziemi, ale dłońmi trzymał mnie mocno za biodra, tuż pod talią i wiadomo było, że się nie ruszę.

– Ciąg dżinsy? – zapytał Mace.

– Nie! To moje szczęśliwe levisy! – warknęłam, usiłując wyrwać się z jego uścisku (nie zadziałało).

No dobra, może nie były aż tak szczęśliwe, skoro mnie w nich postrzelono. Ale i tak nie chciałam ich niszczyć.

– Byłoby najlepiej, ale możemy zsunąć, sprawdzimy, jak to wygląda. – Luke zignorował mój wybuch.

– Przyniosę apteczkę. Znam lekarza, który tutaj przyjedzie – odezwała się Daisy.

– Przynies i dzwoń – polecił Mace.

– Zrobione – odparła Daisy i spojrzała na mnie. – Zajmiemy się tobą, cukiereczku, nic się nie martw. – I wyszła.

Mace sięgnął do mojego rozporoka.

– Ej, co ty wyprawiasz? – warknęłam i uderzyłam go po ręce. Złapał mnie za nadgarstki i pociągnął lekko, żebym przestała walczyć.

– Stella, musimy zdjąć dżinsy i obejrzyć ranę – wyjaśnił spokojnie.

Nic z tego.

– Nie musimy. Chcę zadzwonić do Floyda. Razem z Emily...

– Nie zadzwonisz do Floyda – oznajmił Mace.

– Zadzwonię – warknęłam i potrząsnęłam głową ze złością.

– Nie.

– Tak!

Znów zaczęłam się szarpać, wyrwałam mu się i uderzyłam go po dłoniach.

A on złapał mnie za nadgarstki i założył mi ręce za plecy. Uderzyłam mocno w jego tors i zamarłam zszokowana.

– Skuj ją – polecił Luke'owi.

– Co? – wrzasnęłam, znów próbując się wyrwać.

Z tyłu rozległ się szczeęk – miałam ręce w kajdankach. Luke trzymał mnie za talię, Mace zaczął

rozpinać guzik džinsów.

„Błagam, powiedzcie mi, że to się nie dzieje naprawdę”, prosił mój mózg.

Mace rozsunął suwak.

Działo się. Naprawdę.

– Nie mam na sobie majtek – skłamałam.

– Zamknę oczy – skłamał Mace.

– A ja nie – odezwał się Luke.

No kurwa mać!

Przestałam się odzywać i walczyć. Doszłam do wniosku, że tak właściwie to bardzo dobrze. Świetnie. Wyśmienicie. Im dłużej to trwało, tym bardziej nienawidziłam Mace’a, a ponieważ miałam za sobą cały rok usychania z tęsknoty i miłości, nienawiść byłaby naprawdę mile widziana.

Mace przykucnął i bardzo powoli i ostrożnie zaczął zsuwać mi džinsy. Jeszcze trochę, jeszcze trochę, aż zjechał z rany na biodrze, tuż nad miejsce, gdzie zaczynała się noga. Gdy odsłonił ranę, wciągnęłam powietrze przez zaciśnięte zęby. Nie ściągał mi spodni dalej, przyłożył ręce obok rany, jedną na biodrze, drugą na udzie.

Przysięgam, że się zaczerwieniłam. Chociaż, niby dlaczego? Przecież jego dłonie i usta były i tu, i wszędzie indziej, i widział znacznie więcej niż zsunięte džinsy i kawałek zwykłych białych majtek z różową kokardką.

A jednak.

– Draśnięcie – wymruczał.

– Mówiłam – wysyczałam.

Wstał, wciągnął bardzo blisko.

– Oczyszczimy ją, a lekarz Daisy zaszyje – oznajmił.

– I potem mogę wreszcie dzwonić po Floyda?

– Powiedziałem ci już: po narodzie.

– A ja wcale się nie zgodziłam.

– Tam nie było miejsca na zgodę.

Wytrzeszczyłam oczy. Nie byłam zła. Byłam wściekła.

Nim wybuchłam, Luke spytał z tyłu:

– Rozkuć ją?

– Nie – odparł Mace.

– Tak – rzuciłam w tej samej chwili.

Rzecz jasna tego nie zrobił.

– Siadaj. Zdejmę ci buty, żebyśmy mogli zdjąć do końca te džinsy – zażądał Mace.

– Przestań mną dyrygować, umiem zdjąć sobie buty, wiesz?

– Będzie ci trudno ze skutymi rękami.

– Może mnie rozkuj?

– Stella – powiedział ostrzegawczo.

– Mace – odparłam tym samym tonem.

Westchnął i spojrzał ponad moim ramieniem. Wiedziałałam, że szukał wzrokiem Luke’a oraz, sądząc z jego miny, cierpliwości.

Luke zaśmiał się cicho.

I wtedy do mnie dotarło: stoję w obcym domu, z raną po kuli, rękami skutymi za plecami i džinsami na udach.

A Linnie ma odstrzeloną głowę, Buzz jest gdzieś tam i nie ma nikogo, kto pottrzymałby go za rękę.

– To poniżające – wyszeptałam, mrugając oczami, żeby się nie popłakać.

Od razu po moich słowach Luke odsunął się, a Mace podszedł bliżej. Położył mi dłonie na szyi, a ja wciągnęłam szybko powietrze, czując tę jego ciepłą siłę.

O Boże, jak strasznie brakowało mi jego dotyku.

– Kociątko – wymruczał, a ja popatrzyłam mu w oczy.

Było w nich ciepło. Nie widziałam tego wzroku od bardzo dawna.

Tego również mi brakowało.

– Nie nazywaj mnie tak – szepnęłam.

W jego oczach zabłysło coś, czego nie umiałam odczytać, i powiedział głębokim, niskim, słodkim głosem:

– Stella.

– Zabierz ręce – mówiłam dalej, ignorując ten błysk i to ciepło. Dostyc tego. Było mi dobrze i nauczyłam się żyć ze świadomością, że Mace’a przy mnie nie ma i już nigdy nie wróci. – Rozkuj mnie i odejdz. Przyślij dziewczyny. Pomogą mi zdjąć dzinsy i buty, umyją mnie.

– Nie zostawię cię.

– Odejdz.

– Nie.

Zacisnęłam mocno powieki, wciągnęłam powietrze. A potem wyprostowałam się i otworzyłam oczy.

I mocnym, spokojnym, rzeczowym głosem powiedziałam:

– Proszę. Idź.

Mace patrzył na mnie przez chwilę. Jedną, dwie, trzy. A potem spojrzał ponad moją głowę.

– Rozkuj ją.

Luke rozpiął kajdanki; drzwi się otworzyły, weszła Daisy.

– Dzwoniłam do lekarza, mieszka niedaleko i już tu jedzie. Mam apteczkę, waciki, alkohol, wodę utlenioną, czyste ręczniki i masę innych rzeczy; nie wiedziałam, czego będziecie potrzebować – oznajmiła, wpadając do pokoju obładowana tak, że ledwie było widać jej głowę. Wyjrzała z boku tej sterty i uśmiechnęła się do mnie. – I dresy, żebyś miała co włożyć. – Rzuciła wszystko na sofę.

Mace i Luke podeszli do drzwi.

– Chce, żebyście weszli – poinformował Luke zgromadzenie za drzwiami i wszyscy wpadli do środka. Rockowe laski, do których dołączyły Jules, Jet i Roxie, para gejów i mój pies. Mace i Luke musieli się przeciskać do wyjścia.

Mace nie odwrócił się, widziałam tylko jego plecy.

Luke spojrzał na mnie od drzwi. Spotkaliśmy się wzrokiem, zobaczyłam, jak unosi podbródek. I wyczułam w tym geście szacunek. Że nie spanikowałam, gdy mnie postrzelili, że nie spanikowałam w ogóle. Że dałam im zrobić to, co musieli zrobić. I trochę za to, że się postawiłam, nawet jeśli nie wygrałam z Mace’em. Poczułam się... dobrze. Tak, jak nigdy w życiu, z wyjątkiem chwil na scenie.

Luke wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Dziewczyno, to całkiem nieźle wygląda! Nic takiego, rana postrzałowa! – oznajmił Tod, który stał z przechyloną głową i wpatrywał się w moje biodro.

– Wyszedł – szepnęłam, gapiąc się na drzwi.

– Co mówisz, kotku? – Daisy pociągnęła mnie na ręczniki rozłożone na sofie.

– Nic – odparłam i pozwoliłam się posadzić.

– Dobrze się czujesz? – spytała Indy.

Razem z Ally ścieliły rozkładane łóżko w tym samym pokoju, w którym Mace mnie rozbierał. Ja zakładałam poszewki na poduszki.

Lee postawił sprawę jasno: wszyscy zostają na noc w Zamku. Najwyraźniej znaleźli się w stanie wojny z gościem o imieniu Sid, a zamek był dobrze chroniony. Miał system alarmowy, nadzór kamery na zewnątrz i całą armię ludzi, których zatrudniał Marcus, mąż Daisy (oboje tutaj mieszkali). No i nikt ostatnio nie ostrzelał go z samochodu.

Daisy była w siódmym niebie. Zachowywała się tak, jakby właśnie urządziła piżama party, a nie organizowała schron. Kazała ludziom w ciemnych garniturach kupić szczoteczki do zębów, akcesoria do szkieł kontaktowych i jedzenie, żeby mogła zaserwować rano „południowe śniadanie tak obfite, że aż ci w pięty pójdzie” (jej słowa). Rozdawała piżamy, ręczniki i kosmetyki, przydzielała sypialnie. Pokojów

było dużo, a jednak Ally musiała spać na kanapie. Ja przez wzgląd na ranę dostałam rozkładane łóżko. Nie wiedziałam, gdzie będzie spał Mace i czy tu w ogóle zostaje na noc, i guzik mnie to obchodziło. W każdym razie, nie chciałam, żeby mnie obchodziło.

– Tak, spoko – skłamałam.

– A nie wygląda – mruknęła Ally.

– Naprawdę spoko. Prawie nie boli.

I tak było. Lekarz przyjechał, oczyścił ranę i spryskał ją czymś, co znieczuliło skórę, założył szwy. Przyłożył opatrunek, dał mi środki przeciwbólowe i poszedł. Może spieszył się do założenia szwów w innej kryjówce, w porannych mrokach Denver. Cała operacja trwała mniej niż godzinę.

– Nie mówię o twojej nodze – zauważyła Indy.

Rzuciłam poduszkę na wezłowie łóżka i wzięłam się za kolejną.

– To o czym?

– Mówi o Masie – oświeciła mnie Ally.

– A co z nim? – udałam głupią.

– Słuchaj, nikogo tu nie oszukasz.

– Nie próbuję – skłamałam znowu.

– Owszem, próbujesz. Najbardziej siebie – odezwała się łagodnie Indy.

Ja pitole.

– To się skończyło dawno temu – wyjaśniłam.

– Gdyby się skończyło, to w sytuacji, gdy kobiety twardejli zostały ostrzelane przez króla kryminalistów, nie wyciągnęliby cię z domu i nie postrzelili – zauważyła logicznie Ally.

Zgadza się. I można by się nad tym pozastanawiać w jakimś zacisznym miejscu, przy risotto i kieliszku przyjemnie schłodzonego białego wina.

– Możemy porozmawiać o tym później? – Nagle poczułam się wyczerpana. Rzuciłam na łóżko drugą obleczoną poduszkę.

Ally otworzyła usta i zamknęła je pod wpływem wzroku Indy. Wyglądziły kołdrę i ruszyły do drzwi.

– Pod warunkiem, że faktycznie o tym porozmawiamy – rzuciła jeszcze Ally, wychodząc. Wiadomo było, że Indy na długo jej nie uciszy.

– Dobranoc! – zawołałam, niczego nie obiecując.

– Na razie – odparła Indy i zamknęła drzwi.

Zdjęłam ostrożnie welurowe spodnie Juicy Couture, które dostałam od Daisy, zostając w białym podkoszulku.

„Jest nowy, jeszcze go nie nosiłam, więc nie jest rozciągnięty w biuście” – wyjaśniła wcześniej Daisy, wskazując swoje wielkie balony spiczastym, diabelnie długim paznokciem, pomalowanym na perłową biel. Ava wzięła moją bluzkę w stylu bawarskiej Heidi i zniknęła, mamrocząc coś odplamiaczu.

Połknęłam środki przeciwbólowe, popiłam szklanką wody, którą przyniosła Daisy, weszłam pod kołdrę i zagapiłam się w sufit.

I od razu zaczęłam myśleć o Linnie i Buzzie. Ale myśli o Linnie były nie do zniesienia, a ja nie miałam komórki, żeby zadzwonić do Buzza i spytać, jak się czuje (Mace skonfiskował mi telefon), więc moje myśli przesunęły się do ostatniego rozdziału tego szalonego, dzikiego dnia.

Gdy już się przebrałam, razem ze wszystkimi znalazłam się na naradzie plemiennej zwołanej przez Lee.

Siedzieliśmy w salonie Daisy. Dołączyli kolejni ludzie: narzeczony Jet, Eddie Chavez i chłopak Roxie, Hank Nightingale. Pojawił się przystojny facet; dowiedziałam się, że to Marcus Sloan, mąż Daisy. Przyjechali Bobby, Matt, Ike, czyli wszyscy faceci z ekipy Nightingale’a. Bobby miał jasne włosy i był ogromny, Matt był szczupłym, słodkim blondynem, Ike był czarnoskóry, miał głowę ogoloną na łyso i zarąbisty tatuaż, który wypełzał na szyję i wił się na przedramieniu poniżej rękawa. Niebieskooki mężczyzna, który udaremnił moją ucieczkę, nazywał się Nick i był wujkiem Jules.

Zjawił się również gość, którego nie znałam. Bardzo podobny do Eddiego, ale stanowczo mniej

oswojony i udomowiony; być może w ogóle nieoswajalny. Spojrzał na mnie, gdy weszłam. Myślałam, że to dlatego, że byłam jedyną osobą, która została ranna tej nocy, ale on nie odrywał ode mnie wzroku. Czułam na sobie żar tego spojrzenia, tak mocny, że zrobiło mi się gorąco i przyjemnie. Od dawna nie czułam się tak pod wzrokiem żadnego mężczyzny. W końcu musiałam odwrócić oczy.

Lee wprowadził nas w sytuację. Gościem o imieniu Sid zajmowała się od jakiegoś czasu policja (i nie trzeba było geniusza, żeby wiedzieć, że oznaczało to Hanka i Eddiego), a policja współpracowała z ekipą Nightingale'a, żeby przyspieszyć całą sprawę. Mace nadzorował projekt „umoczyć Sida” od strony biura, zwerbowano również „inne podmioty”, co z kolei oznaczało zapewne Marcusa Sloana i jego armię gości z gnatami, w garniturach.

Byli bliscy przyskrzynienia go, Sidowi się to nie spodobało i wypowiedział wojnę, otwierając ogień do dziewczyn. To nie były tylko domysły: Lee dostał telefon pięć minut po precyzyjnie skoordynowanej strzelaninie. Dzwoniący poinformował go, że ma to potraktować jak ostrzeżenie. Albo się wycofa, albo ludzie Sida wystrzelają rockowe laski jak kaczki.

Nie chcieli mnie postrzelić, tylko nastraszyć, ale, jak już wspomniałam, byłam przecież królową zajebicie wręcz parszywego szczęścia.

Informację o ewentualnym „wystrzelaniu” powitano pomrukami, chociaż ja byłam kompletnie spanikowana. No kurde, jak ktoś grozi zamordowaniem mnie i moich przyjaciółek, zresztą, kogokolwiek, to normalnie ludzie tak właśnie reagują.

Ale pozostali zachowywali się, jakby chodziło o drobną niedogodność, drzazgę, której trzeba się pozbyć.

Ja pitole.

Lee powiedział też, że Daisy i Marcus są naszymi gospodarzami tego wieczoru i że następnego dnia dostaniemy nowe rozkazy.

I wtedy zadzwonił telefon, który trzymałam w ręku.

– Przepraszam – wymruczałam, gdy wszyscy na mnie spojrzeli.

Rzuciłam okiem na ekran – dzwonił Buzz. Odebrałam szybko, ale zanim zdążyłam się odezwać, ktoś wyjął mi komórkę z ręki.

Poderwałam głowę: Mace przysunął telefon do ucha i odszedł.

– Ej, co to ma być? – zawołałam, wstając z oparcia kanapy i idąc za nim.

– Buzz, zadzwoni do ciebie jutro – mówił tymczasem Mace do telefonu. – Tak, wszystko w porządku. – A potem się rozłączył.

„Zrób coś!”, zażądał mózg.

Zrobiłam. Pchnęłam Mace'a w plecy. Wszyscy się rozplnęli (nie naprawdę, w końcu to nie „Poszukiwacze zaginionej Arki”, po prostu rozplnęli się dla mnie), wrócił podkręcony wkurw.

– Co to ma być? – powtórzyłam w plecy Mace'a.

Odwrócił się. Wyciągnęłam rękę po telefon.

A Mace wsunął komórkę do tylnej kieszeni spodni. Śledziłam tę operację zmrużonymi oczami i znów spojrzałam mu w twarz.

– Daj telefon – zażądałam.

– Nie.

– Oddaj mi go.

– Nie.

– Mace, daj mi ten cholerny telefon! – podniosłam głos.

Nachylił się do mnie i odpowiedział spokojnie:

– Nie.

– Muszę pogadać z Buzzem. – Moja cierpliwość topniała w oczach. – On mnie potrzebuje. Do licha, jego dziewczynie odstrzelili głowę!

– Jego dziewczynie odstrzelili głowę ludzie Sida. Dzięki niej mogli się zbliżyć do ciebie, obserwować, ogarnąć i znaleźć sposób, żeby do ciebie dotrzeć. To dzięki niej wiedzieli, że Buzz do ciebie zadzwoni, że przylecisz mu pomóc. Lindsey zginęła, żeby ciebie mogli ostrzelać – jako ostrzeżenie dla mnie.

Zamknęłam usta i cofnęłam się o krok. Wcześniej tego nie połączyłam, ale to miało sens... Świadomość, że mogłam się przyczynić do śmierci Linnie, była jak kopniak w brzuch, tylko znacznie mocniejszy.

Mace zrobił krok w moją stronę.

– Stella. Nie pozwolę, żeby któryś z tych pojebów z kapeli cię narażał. Żadnych telefonów. Żadnych kontaktów. Nic, dopóki nie będziemy wiedzieli, na czym stoimy. Jeśli chcą z tobą gadać, robią to przeze mnie.

No nie. Nie mógł przecież powiedzieć tego, co usłyszałam.

– Nie są pojebami – warknęłam.

Nie skomentował.

– Nie zabierzesz mi telefonu!

Nic nie mówił.

– I nie będziesz mi rozkazywał, i stawał między mną a moją kapelą! – mówiłam dalej.

– Założymy się?

Popatrzyłam na niego. On spojrział na mnie.

Nie wyglądał ponuro czy obojętnie, ale tamten błysk emocji się nie pojawił. Mace był zły i zdeterminowany i miałam dziwne wrażenie, że nie chodzi jedynie o śmierć Linnie, moją ranę i uwięzienie w Zamku.

Zmieniłam taktykę.

– Jezu! Nie byłeś taki despotyczny, kiedy byliśmy razem!

– A powinienem – odpalił bez wahania.

Podniosłam głowę i zacisnęłam pięści. Nie wierzyłam, że to powiedział. I nie wiedziałam, co chciał przez to powiedzieć.

Co to niby miało znaczyć?!

– Misie, nie chciałbym wam przerywać z uwagi na spore walory rozrywkowe, ale pamiętajcie, że macie widzów – odezwał się Tod za moimi plecami.

Wciągnęłam powietrze przez nos. Byłam zbyt wściekła, żeby poczuć się zakłopotana.

– Całe szczęście, że nie jesteśmy już razem – rzuciłam Mace'owi.

I znów zobaczyłam ten błysk w jego oczach. Zniknął, nim zdążyłam go odczytać.

– Zatrzymuję telefon – poinformował mnie Mace.

– Udław się nim – oznajmiłam, odwracając się tyłem.

I to był koniec narady. Rozeszliśmy się do przydzielonych nam sypialni.

Juno oparła przednie łapy na łóżku, wyciągając mnie z moich myśli.

– Nie możesz tu wejść. Mamusia ma chorą nogę, a tu jest za mało miejsca.

Szczeknięcie.

– Wiem, słonko. Wiem, że podłoga jest zimna i twarda, ale dzisiaj musi wystarczyć. Niedługo wrócimy do domu.

Znowu szczeknięcie.

– Cicho, mała. Jest szósta rano i są tu ludzie, którzy chcieliby pospać.

Szczeknięcie, tym razem cichsze, Juno zsunęła łapy na ziemię. Słyszałam, jak mruczy, rozciągając się na podłodze. Potem znowu pomruk, połączony z westchnieniem, gdy kładła się na boku.

– Dobry piesek – szepnęłam.

Jeszcze cichsze westchnienie. Uśmiechnęłam się.

Poprawiłam poduszki, przekreśliłam się na zdrowy bok i położyłam płasko na środku łóżka.

Lekarz powiedział, że po tych środkach przeciwbólowych mogę być senna. Nie mylił się.

Zasnęłam błyskawicznie.

To było jedno z tych wrażeń z pogranicza snu i jawy. Znałam je dobrze i czułam co rano, w mojej ulubionej części dnia – gdy jeszcze byłam z Mace'em.

Nie miałabym nic przeciwko regularnym snom z udziałem Mace'a, ale przeważnie śniły mi się

olbrzymie węże terroryzujące Denver albo Charo, jak grzejemy razem samochodem, a ona śpiewa na cały głos do przejeżdżających tirowców „Coochie Coochie”. Nie miałam pojęcia, co te sny mówią o mnie czy mojej podświadomości, i nie miałam zamiaru się dowiadywać.

Tuż po tym, jak się ocknęłam (ale jeszcze nie obudziłam), zawsze czułam to samo, co dziś: ciepło Mace’a za sobą, jego twarde ciało, ciężką rękę na moim brzuchu i ciepły oddech na szyi.

I jak zawsze rozkoszowałam się tym wspomnieniem, kolejną z siedmiuset tysięcy rzeczy, których mi brakowało: budzeniem się w jego ramionach. Bezpieczna, kochana, pożądana. Uczucia, których nigdy tak naprawdę nie doświadczyłam.

Przysunęłam się do tego wyobrazonego ciepła i natrafiłam na coś bardzo twardego i prawdziwego.

Zastygłam.

– Nie śpisz – powiedział Mace.

Boże jedyny.

Co tu się działo?

– Mace? – zapytałam, żeby się upewnić.

– Musimy porozmawiać.

Tak, to naprawdę był on.

Ja pitole.

Spróbowałam się odsunąć. Ciasne objęcie zrobiło się jeszcze ciasniejsze.

– Puść mnie.

– Nie.

Słucham?

– Puść mnie – powtórzyłam.

– Musimy porozmawiać.

– Dobra, świetnie, cudownie. Ale nie musimy rozmawiać w łóżku. – Wtedy do mnie dotarło.

– Co ty w ogóle robisz w tym łóżku?

– Powiedziałem przecież, że cię nie zostawię.

Ej, co?

– Tak, tuż przed tym, jak mnie zostawiłeś – przypomniałam.

– Nie zostawiłem.

– Mace, wyszedłeś z pokoju!

– Ale nie zostawiłem.

– Nie zostałeś.

– Byłaś zakłopotana. Był tam Luke. Chciałaś, żeby przyszły dziewczyny. Sama to powiedziałaś.

– A ty wyszedłeś.

– Nie zostawiłem cię, Stella.

– Zostawiłeś.

– Do ciężkiej cholery – warknął. – Koniec tematu. Musimy pogadać o czymś innym.

– Nic z tego. O niczym nie będziemy rozmawiać.

Znów chciałam się odsunąć, nie puścił mnie.

– Zabierz rękę.

– Czemu nie powiedziałaś, że oberwałaś?

– Zabierz tę cholerną rękę.

Ścisnął mnie mocniej, potrząsnął lekko.

– Odpowiedz na pytanie.

– Może nie pamiętasz, ale byłeś trochę zajęty. A ze mną nic się nie działo. Nic wielkiego.

– Nie podoba mi się świadomość, że spokojnie wykrwawiałaś się na tylnym siedzeniu SUV-a, w którym też siedziałem, kociątko. W ogóle nie podoba mi się myśl, że się wykrwawiasz.

To mną wstrząsnęło.

Co się tutaj, u licha, działo?

Dobra, nie. Mam to gdzieś. Serio, mam dosyć. Skończyłam z nim. Skończyłam z nim dawno

temu.

– Nie mów do mnie „kociątko”.

Zignorował to.

– Nie wiadomo, jak się to wszystko potoczy, więc musisz zmienić nastawienie i porozmawiać ze mną.

Ej, serio?

– Ja mam zmienić nastawienie? – upewniłam się.

– Tak.

– Wyjaśnijmy to sobie – zaczęłam bardzo cierpliwie. Nie odpychałam już jego ręki, przekręciłam się twarzą do niego. Zmienił pozycję, znalazłam się na plecach, a on nade mną, wsparty na łokciu. Spojrzałam na niego gniewnie, próbując zignorować to, jak cholernie przystojnie wyglądał o poranku. Sam widok jego oczu sprawiał, że budziłam się szczęśliwa i z radością wchodziłam w dzień.

– Rok temu – a konkretnie rok, trzy tygodnie i trzy dni temu (wcale nie liczyłam!) – zerwałeś ze mną i zniknąłeś z mojego życia. Teraz nagle ktoś do mnie strzela, używa mojej kapeli, żeby się do ciebie dostać, zabija ludzi z powodu jakiegoś gówna, w którym siedzisz, i to *ja* mam zmienić nastawienie?

– Tak – odparł niewzruszony.

Podniosłam się na łokciach, co tylko zbliżyło mnie do niego.

Ani drgnął.

Wtedy krzyknęłam.

– Odjebało ci?!

– Uspokój się.

– Uspokój się? Wczoraj mnie postrzelili!

Zacisnął zęby.

– Pamiętam o tym, kociątko. I o tym chciałem pogadać.

Wtedy dotarło do mnie coś jeszcze. Tak ważnego, że odpowiedź chciałam dostać już, teraz.

– Czemu w ogóle do mnie strzelali? Czemu mnie w to wciągnęli? Nie jesteśmy razem. Nie jestem twoją kobietą. Nie jestem jak Indy dla Lee, Jet dla Eddiego czy Roxie dla...

– Owszem, jesteś.

Opadłam na łóżko. I poczułam na piersi wielki ciężar, ważył chyba tonę i wybijał powietrze z płuc.

„Rusz się!”, zażądał mózg.

Przekręciłam się i spróbowałam wstać. Nie miałam pojęcia, dokąd idę, ale chciałam znaleźć się tam jak najszybciej.

Mace złapał mnie w talii, przyciągnął z powrotem na łóżko, kładąc na plecy. A potem oparł ręce na materacu, uniósł się i wylądował na mnie, jego ciężar na mojej zdrowej stronie.

Dobra. Może jednak nigdzie nie pójde.

– Złaż ze mnie! – wrzasnęłam, pchając go w ramiona.

– Stella, posłuchaj.

– Nie! Złaż!

– Posłuchaj mnie, do cholery! – krzyknął.

Musicie wiedzieć, że Mace szybko traci cierpliwość. Jak jeszcze byliśmy razem, kłóciliśmy się, i to często. Jest namiętnym facetem, ale szybko się odpala, więc nie zawsze było słodko i różowo. Za to seks na zgodę był niezmierny.

– Pieprz się! – wrzasnęłam.

– Ludzie Sida byli w klubie tego wieczoru, gdy śpiewałaś dla mnie Hanka Williamsa.

O nie.

Wiedziałam, że to się zemści. Wiedziałam.

Przypomniałam sobie, że Linnie też przyszła z tamtymi oprychami. Teraz wiedziałam, że były to oprychy Sida.

Kurwa jego mać.

– Nie śpiewałam tego dla ciebie – skłamałam.

– Śpiewałaś.
– Nieprawda.
– Prawda. Wszyscy widzieli. Wszyscy *wiedzieli*. Nawet jego ludzie.
– W barze było ciemno, a ja po prostu skupiałam się na cieniu, w którym siedziałeś. Zatraciłam się w tej piosence.
– Akurat.
– Mace, pogódź się z tym. Zerwałeś ze mną i to już przeszłość.
– Serio?
– Serio.
– Jesteś z kimś?
Jezu.
Dobra. Proszę bardzo.
– Tak – powiedziałam i to wcale nie było kłamstwo. Prawie chodziłam z Erikiem. Był przystojny, angażował się i dawał do zrozumienia, że chciałby zaangażować się jeszcze bardziej, jeśli łapiecie, o czym mówię. Ja się wahałam. Po pierwsze dlatego, że to nie był Mace, a po drugie, nie byłam pewna. Było w nim coś takiego nie do końca w porządku.
Zobaczyłam błysk w oczach Mace’a. Tym razem mroczny.
– Nie okłamuj mnie, Stella.
– Nie okłamuję. Ma na imię Eric. Spotykamy się od miesiąca i zastanawiamy nad tym, żeby przejść na kolejny etap.
Taka prawda: Eric się zastanawiał. Ja miałam wątpliwości, ale Mace nie musiał o nich wiedzieć. Patrzył na mnie, jakby oceniał prawdziwość tego oświadczenia.
– Proces przejścia na kolejny etap został właśnie wstrzymany.
Rozszerzyłam oczy.
– Słucham?
– Gość znika.
Popatrzyłam ze złością.
– Nie znika.
– Owszem, ulatnia się.
– Co ty sobie w ogóle myślisz, że kim ty jesteś?
– W obecnym scenariuszu jestem gościem, który zapewnia ci bezpieczeństwo i ma utrzymać przy życiu. I zrobię wszystko, co będę musiał, i nie mam zamiaru patyczkować się z twoimi psychofanami.
Moimi psychofanami?
No dobra, miałam takich. Grałam w kapeli. Odnoszącej sukcesy, w każdym razie lokalne. Wtedy miejscowi fani się do ciebie przyklejają.
Ale nie gromadziłam ich. Wystarczyło mi problemów z Pongiem i Hugonem, którzy poświęcili życie doskonaleniu sztuki kolekcjonowania fanek.
Kiedy z Mace’a zrobił się taki palant?
– Nie jest moim fanem! – wrzasnęłam.
– Koniec dyskusji i tematu Erica. – Wymówił jego imię tak, jakby chciał splunąć. Gdybym była bystra, dałoby mi to do myślenia, ale ja byłam zbyt zajęta wściekaniem się na jego arogancję. – W tej chwili musimy sobie coś wyjaśnić...
– Nie musimy.
Zignorował mnie.
– Przeprowadzasz się z Juno do mnie.
Co?
– Nie ma mowy!
– Dobra – zgodził się szybko. – Ja wprowadzam się do was.
– No chyba nie! – wrzasnęłam.
Ale on nadal ignorował moje wybuchy.
– Wychodzisz tylko wtedy, gdy jestem z tobą albo kiedy wiem, dokąd idziesz i wysyłam z tobą

człowieka. Rozumiesz?

Postanowiłam wymiksować się z tej rozmowy i zacząć własną.

– Jesteś palantem.

– Powiedziałem Pongowi, Leo, Buzzowi i Hugonowi, że przestajesz pełnić funkcję ich całodobowej opiekunki siedem dni w tygodniu.

Wkurzył mnie jeszcze bardziej, ale postanowiłam trzymać się mojej strategii.

– Nie, nie palantem, jesteś po prostu gnojem.

– Zadzwońię do Floyda, powiem mu, co się dzieje, i na pewno poprze mnie w sprawie kapeli.

Ja pitolę, wytaczał najcięższe działa.

Zmrużyłam oczy i warknęłam:

– Nie waż się.

– Floyd zrozumie, że próbuję cię chronić, i nie pozwoli, żeby tamci przeszkadzali.

– Nie waż się!

– A jak już będzie po wszystkim, porozmawiamy.

Nie spodobało mi się to.

– Nie jesteśmy ze sobą. Nie jestem twoją kobietą. Powiedz po prostu tym ludziom Sida, że masz mnie w dupie, i wrócę do swojego życia.

– Oboje wiemy, że to nieprawda, równie dobrze, jak Sid.

– To prawda.

– Nie jesteśmy razem, ale to nie znaczy, że nie byłaś kiedyś moją kobietą.

– I już nie jestem.

– Prawda, co nie zmienia faktu, że się martwię... i to, kurwa, cholernie bardzo... że mogą cię naszpikować kulami.

Nie powiedziałam nic. Zupełnie nic. Staralam się nawet o tym nie myśleć.

– Jeśli będziesz ze mną walczyć, kociątko, będę walczył z nimi i z tobą jednocześnie. Co mi nie zrobi różnicy, bo i tak zawsze wygrywam. Zawsze.

To prawda. Zawsze wygrywał. Kiedyś był zawodowym surferem, najlepszym, potem został zawodowym snowboardzistą i też najlepszym. Teraz był prywatnym detektywem i sądząc z szacunku, jakim darzyli go jego kumple-twardziele, w tym też był piekielnie dobry.

Uznałam, że najwyższa pora się poddać i wznowić walkę dopiero wtedy, gdy nie będę przyciśnięta do łóżka jego ciężarem.

– Proszę, zejdź ze mnie – powiedziałam cicho, spokojnie i miękko, patrząc w bok.

– Kociątko – powiedział, a ja znów na niego spojrzałam. – Musisz o czymś wiedzieć.

– O czym?

– Sytuacja jest poważna. Twoja słodycz i uległość nie podziałają jak kiedyś.

Czyli świetny moment, żeby wznowić walkę.

– Dzięki za info. A teraz zjeżdżaj!

Wyprężyłam się, Mace zsunął się ze mnie.

Zerwałam się z łóżka i obeszłam je dookoła. Juno już była przy mnie, gotowa na poranny spacer. Wzięłam dresy od Daisy, włożyłam je i zerknęłam na Mace'a. Leżał na boku, z łokciem na poduszkach, głową opartą na rękę i patrzył na mnie.

Znów kopniak w brzuch.

Robił to często, jak jeszcze byliśmy razem. Leżał na łóżku, w takiej właśnie pozycji, i patrzył, jak się ubieram, jak karmię Juno, jak gram na gitarze, a ja czułam się pod wpływem tego wzroku ogrzana, piękna, interesująca.

Byłam w kapeli, co oznaczało, że ludzie na mnie patrzyli. Stałam na scenie przed tłumem, grałam i śpiewałam. Uwielbiałam to, łądowało mnie to, zwłaszcza gdy tłum zgrywał się z nami.

Ale nawet w najlepszym zgraniu nie czułam się tak dobrze jak z Mace'em, kiedy tak na mnie patrzył, leniwie i łagodnie, gdy wiedziałam, że myśli wyłącznie o mnie.

I w jakiś sposób, choć nie byliśmy razem, choć nie byłam jego kobietą (co przed chwilą sam przyznał), wiedziałam, że patrzy na mnie dokładnie w ten sam sposób.

Co się tu działo?

– Nie podoba mi się – oznajmiłam.

Zerwał się, szybki, zręczny i zwinny, i stanął tuż przede mną w białych bokserkach. Cholera, musiałam przyznać, że jego ciało było jeszcze bardziej rozkoszne, niż je zapamiętałam. A przecież dotykałam i smakowałam prawie każdy centymetr i myślałam, że już nigdy nie zapomnę tego, jak wygląda... i jak smakuje.

A jednak.

Ja pitolę.

Przysunął rękę do mojego zdrowego biodra, ścisnął palcami.

– Przede wszystkim, dzwonisz do tego Erica.

Zacisnęłam zęby.

Musiał to widzieć i z jakiegoś powodu wywołało to jego uśmiech.

Rozdział 3

Gadaj

Stella

– Gadaj – zażądała Ally.

– Może Stella wcale nie chce „gadać” – wtrącił się Stevie. – Przyszło ci to do głowy? Że ludzie zatrzymują coś dla siebie, bo to ich prywatna sprawa?

– Posłuchaj, kumplujemy się od lat. Chodziła z gościem z ekipy mojego brata kilka miesięcy i nie odezwała się ani słowem. A teraz do niej strzelali, tak jak do nas. Jak cię postrzelą z powodu jednego z tych przystojniaków, to już nie jest twoja prywatna sprawa. Oficjalnie wchodzisz do klubu. Czyli czas gadać.

– Ta logika wydaje się szalona, ale do mnie przemawia – mruknęła Indy.

– A ja myślę, że Stella powie coś, jak będzie chciała – odezwała się Jules. Siedziała naprzeciw mnie, z ręką na ciężowym brzuszku. Jej czarne włosy lśniły, fiołkowe oczy patrzyły na mnie ciepło, spokojnie. To wszystko było takie słodkie i piękne i wzbudzało cholerną zazdrość.

– Chuja tam. Nie jesteśmy jakimś zakonem dochowywania tajemnic. Wszystko sobie mówimy – oznajmiła Ally.

– Poza tym, że Jules trzymała w tajemnicy swoją ciążę. – Daisy spojrzała z wyrzutem na Jules.

– To dość zrozumiałe – zauważyła Jet.

– A ty trzymałaś w sekrecie zaręczyny – wytknęła jej Roxie.

– Raptem kilka dni! – wykrzyknęła Jet.

– No ale jednak. I musieliśmy to z ciebie wyciągać, misiu. – Tod wyduł wargi.

Patrzyłam na nich wszystkich, siedzących przy okrągłym stole w fantastycznej kuchni Daisy. Ale bym gotowała w takiej kuchni... Ekskluzywne sprzęty, długie blaty, drogie noże i lśniące garnki. Przedsiónek nieba kucharza amatora.

Patrzyłam, jak dziewczyny gadają o tajemnicach, chociaż wczoraj ktoś strzelał do nich z kałasznikowa, i rozumiałam, czemu faceci od Nightingale'a je wybrali.

Kilka godzin temu padły ofiarą przemocy, ale nie siały paniki, nie histeryzowały, po prostu sprzeczały się nad kawą.

I przysięgam na Boga, to było dziwne.

Patrzyłam na nie. Rudowłosą Indy z niebieskimi oczami, niezłym tyłkiem i biustem. Szczupłą Ally z czarnymi włosami i z brązowymi oczami. Miodową blondynkę Jet o zielonych oczach. Stylową Roxie o włosach ciemnoblonde i niebieskich oczach. Seksowna uroda Avy, włosy blond, oczy jasnobrązowe, zwałała z nóg. Jules miała wygląd gwiazdy filmowej. To nie były przeciętne laski.

Podejrzewałam jednak, że to, co pociągało tych przystojniaków, miało niewiele (w każdym razie: nie bardzo wiele) wspólnego z ich wyglądem: klasycznym pięknem (Jules), zmysłowością (Indy), urodą dziewczyny z sąsiedztwa (Jet), ponętnością pyskatej dziewczyny z sąsiedztwa (Ally), wyrafinowaną elegancją (Roxie), cholerną seksownością (Ava) czy porażającą urodą (Daisy). Bardziej chodziło o to, że to szalone, przerażające życie ich zupełnie nie przerażało. Ani trochę.

A jeśli nawet, to nie dawały tego po sobie poznać.

Sprzeczka trwała w najlepsze; wyrzalam przez okno, myślam błędząc daleko stąd. Zabolala mnie rana i moje myśli powędrowaly do Linnie. Czy ktos powiadomil jej rodziców? Czy powinniśmy zagrać koncert charytatywny i przeznaczyć środki na pogrzeb?

Prawie się rozpłakałam, więc żeby nie psuć nastroju, wróciłam myślami do tego, co było teraz.

Wczesne popołudnie po szalonej nocy i położeniu się nad ranem. Właśnie skończyliśmy wielką południową wyzerkę śniadaniową, złożoną z jajek, domowych ciastek, kielbasek w sosie, pasztecików i kaszy.

Nigdy w życiu nie miałam na jednym talerzu tyle przetworzonego żarcia i już chyba nigdy więcej

nie chciałam.

A teraz, czekając na „rozkazy” Lee (nie wiadomo, jak długo), kończyliśmy drugi dzbanek kawy.

Gdy wcześniej wypuściłam Juno na dwór, umyłam zęby i ochlapałam twarz, przyszedł do mnie Mace i dał telefon.

– Eric – rzucił krótko.

– Później – odparłam równie lakonicznie.

– Teraz – spuentował.

Pomyślałam, że może jak zadzwonię, to da mi spokój, więc wybrałam numer Erica i powiedziałam, że przez jakiś czas mnie nie będzie. Spytał dlaczego. Wyjaśniłam, że nie mogę powiedzieć. Spytał, czy wszystko dobrze. Powiedziałam, że tak. Odparł, że ma wrażenie, że jednak nie. Poprosiłam, żeby się nie martwił, bo jest w porządku. Odparł, że i tak się martwi. Ja na to, żeby naprawdę przestał, że wszystko będzie okay i że zadzwonię do niego za kilka dni. On, że mu się to nie podoba i czy może się ze mną spotkać. Już miałam odpowiedzieć, gdy Mace wyjął mi telefon z ręki.

– Temat skończony. Powiedziała ci, że zadzwoni. Do widzenia.

Rozłączył się.

Patrzyłam na moją komórkę w jego ręku, bo gdybym spojrzała mu w oczy, pewnie bym wrzasnęła.

Wsunął telefon do tylnej kieszeni, odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Próbowałam sztyletować go wzrokiem, ponieważ jednak mordercza energia zawiodła, zabrałam Juno do kuchni na śniadanie.

Chłopaków nie było. W kuchni stał ochroniarz w garniturze, z kaburą na pasku z jednej strony i walkie-talkie z drugiej.

Roxie od razu przejęła Juno, obsypując ją pocałunkami, drapiąc za uchem i podsuwając po kryjomu kawałki pasztecika.

Ja spokojnie jadłam śniadanie, dopóki Ally nie przypuściła szturmu.

– Halo? Stella? Jesteś tu? – spytała mnie teraz.

– Przepraszam, myślałam o czymś innym – odparłam.

– Na pewno – uśmiechnął się ciepło Stevie. – Po ostatniej nocy jest o czym myśleć.

Uśmiechnęłam się do niego. To ciche porozumienie było takie miłe.

– Gadasz czy nie? – wcięła się niecierpliwie Ally, daleka od cichych porozumień.

– Ally... – zaczęła łagodnie Jules.

– Gadam – oznajmiłam znienacka.

Wszyscy spojrzeli na mnie, a ja postanowiłam opowiedzieć im to szybko, żeby wreszcie dali mi spokój.

– W sumie nie ma w tym nic ciekawego. Poznaliśmy się i zaprosił mnie na randkę, ja poszłam i zaczęliśmy być razem. Wszystko działo się szybko i intensywnie. Było fajnie. Naprawdę super. A potem mnie zostawił. Koniec opowieści.

Popatrzyli na siebie.

W końcu odezwała się Ally.

– No błagam cię.

– Nie no, serio, tak było. W dużym skrócie. – Taka prawda.

– To czemu cię zostawił, skoro było tak super? – spytała Roxie.

– Bo się na nim wieszalałam – wyjaśniłam.

– Co takiego?

– Wieszalałam się. Za bardzo potrzebowałam. Brałam bardzo dużo i dawałam za mało.

– Ci faceci mają bardzo dużo do dania. – Daisy nie mogła tego zrozumieć.

– Wiem. I bardzo dużo mi dawał, a ja brałam wszystko. Chłopaki z kapeli wiecznie do mnie dzwoniły... – Urwałam, spojrzałam w okno, zaczęłam znowu: – Mace miał swoją pracę, zawsze robił coś dla Lee, a gdy wracał do mnie, dzwonił telefon i Mace znowu wychodził, wyciągając z kłopotów Ponga, Buzza, Linnie czy kogoś tam. Ja zostawałam w domu, on rozwiązywał problem. Byłam zmęczona.

Spojrzałam na ludzi przy stole.

– Nie zrozumcie mnie źle. Kocham moją kapelę, ale czasem potrzebuję oddechu. Mace mi to dawał. Byliśmy ze sobą przez pięć miesięcy i to zawsze on odbierał telefony i rozwiązywał kryzysy. A ja spałam. Nigdy nie powiedziałam: śpij, ja to załatwię.

– Może trzeba było powiedzieć ludziom z kapeli, żeby sami się ogarniali? – wtrąciła się Daisy.

– Nie potrafią.

– I nie nauczą się, jeśli ktoś zawsze będzie to za nich robił – wyjaśniła mi Indy.

Gdyby to było takie proste... Nie odezwałam się i znów wyjrzałam przez okno.

Nie rozumiała. Byłam liderką lokalnej kapeli, i to dość popularnej, a lider robi wszystko, żeby utrzymać zespół razem, takie jest niepisane prawo rockowych bandów. Czasem to działa, czasem nie, ale jeśli zespół jest dobry, zwłaszcza tak dobry jak nasz, robisz wszystko, co możesz, żeby utrzymać go w kupie, odejście to ostateczność.

– Brzmi jak coś, co można przegadać, znaleźć rozwiązanie – podsunęła Ava.

– Nie chodziło wyłącznie o to. Było coś jeszcze.

– Jeszcze? – powtórzyła Roxie.

– Ja – odparłam z westchnieniem. – Byłam jeszcze ja. Cholerny problem.

– A co jest z tobą nie tak?

Zobaczyłam, jak Jet się prostuje. Spostrzegła coś, ale nie zwracałam na to uwagi. Teraz, gdy już zaczęłam, nie chciałam przerwać, bo czułam, jakie to dobre, tak wyrzucać to z siebie, jakie uwalniające. Należało zrobić to wieki temu.

Dlatego mówiłam dalej.

– Moja mama długo nie mogła zająć w ciąży. Gdy jej się w końcu udało, tata szalał ze szczęścia, totalnie mu odbiło. I strasznie liczył na chłopca. Wiem, bo słyszałam to od niego prawie codziennie. Mama nie zaszła już potem w ciążę, a tata nigdy nie przestał pragnąć syna. Mogłam stawać na głowie, żeby zasłużyć na jego aprobatę, szacunek, cokolwiek, wzięłabym wszystko, ale nie, bo nie byłam chłopcem. Rozczarował się mną w chwili, w której przyszłam na świat.

– Stella... – zaczęła Jet, ale znów ją zignorowałam. Byłam jak w transie.

– Nie bił mnie, nigdy mnie nie uderzył. Po prostu dawał odczuć, że jestem niechciana. Był niemiły. Czułam się jak śmieć. Nie potrafię tego oddać, ale to był taki stan permanentnej przykrości.

Przesunęłam rękami przez włosy, przytrzymałam je z tyłu głowy, odwróciłam się do okna.

– Mama się nie wtrącała, nigdy, dzięki temu była poza tematem. Gdyby się odezwała, wsiadłby na nią, nie dał jej żyć. Zostawiła mnie z tym samą.

– To okropne – szepnęła Ava.

Opuściłam ręce, ale nadal patrzyłam w okno.

– No może. Ale nigdy jej nie winiłam, teraz też nie mam pretensji. Wszystko mogło skupić się na niej. Po co?

– Matka powinna bronić swojego dziecka! – wybuchła Daisy.

Odwróciłam się od okna i uśmiechnęłam do niej.

– No widzisz. Moja tego nie robiła. Ale nie skarżę się. Kiedyś mnie to wkurzało, ale teraz nie ma to sensu. Co się stało, to się nie odstanie, niczego już nie zmienimy. Oni zawsze będą sobą, ja sobą. Tyle.

– Jak sobie poradziłaś? – spytała łagodnie Jules.

– Wyjechałam od razu po liceum. Zdjęłam togę, rzuciłam ją na łóżko, wzięłam moją gitarę i wyjechałam. Do Denver. Znaie Floyd, no nie? – Spojrzałam na nich, pokiwali głowami. – Był pianistą. Powiedział, że jestem dobra, lepsza od większości znanych mu wokalistów. Po raz pierwszy usłyszałam coś tak miłego, nikt nigdy nie mówił mi takich rzeczy, nikt przez całe jebane życie. No przecież nie mój ojciec, no i nie mama. Gdyby coś takiego zrobiła, ojciec by się na niej wyżywał. To nie mówiła.

– Och, złotko – szepnęła Daisy ze łzami w oczach.

– Nie płacz nade mną, Daisy – poprosiłam łagodnie. – Nie jestem złamana, tylko wystraszona.

– No dobra, ale skoro Mace wiedział o tym wszystkim, to nie mógł cię zostawić. Nie zrobiłby tego. Jak to możliwe, że odszedł? – warknęła Ally.

– Nie wiedział. Nigdy mu nie mówiłam. – Machnęłam ręką i przelotnie zauważyłam, że Jet odwróciła do mnie gwałtownie głowę.

– Nie mówiłaś? – Popatrzyła na mnie ogromnymi oczami, a potem zbladła i uciekła wzrokiem.

– Nie i cieszę się z tego. Zostawił mnie, bo myślał, że wiecznie się na nim wieszam. No kurde, gdyby wiedział o tym wszystkim, zostawiłby mnie jeszcze szybciej.

– Stella... – zaczęła znowu Jet, bardziej spanikowana.

– W każdym razie – mówiłam dalej, nie słuchając jej – parę lat później Floyd i ja założyliśmy zespół. Rozpadł się i założyliśmy nowy, The Gypsies. Potem poznałam Mace'a. Dzięki niemu czułam się dobrze ze sobą nie tylko na scenie, nie tylko z gitarą i mikrofonem w rękę, ale przez cały czas. Dzięki niemu czułam się dobrze jako ja. Nawet jak go przy mnie nie było, wiedziałam, że wróci, i było dobrze. Taki facet jak on, dobry, troskliwy... Ciągnęłam z niego to wszystko. Czerpałam. Potrzebowałam tego. Nikt nigdy nie sprawił, że tak się czułam, nawet Floyd. Brałam, ile się dało.

– Stella, słuchaj... – Teraz Indy zbladła i patrzyła w to samo miejsce, co Jet.

– Nie winię go. – Ją również zignorowałam.

– Stella, cukiereczku... – odezwała się teraz Daisy, zerkając przez ramię.

Mówiłam dalej.

– Nie winię go, że mnie zostawił. Nawet rozumiem. Ale zachował się jak moja mama. Jak mój ojciec. Ich też nie winię – ale nigdy im nie wybaczę. Nigdy.

– Słodki Jezu – wykrztusiła Jet i dopiero to wyrwało mnie z transu. Wszyscy wpatrywali się w ten sam punkt.

Odwróciłam się – patrzyli na Mace'a. Stał w drzwiach, oparty ramieniem o futrynę, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i patrzył na mnie.

Musiał chwilę tam stać.

Ja pitole.

Patrzyłam na niego, czując, że brak mi tchu.

„Myślisz, że słyszał?“, spłoszył się mózg.

– Chodź do mnie – powiedział Mace.

Słyszał.

Królowa zajebiecie wręcz parszywego szczęścia znowu w akcji.

Pokręciłam głowę.

– Kociątko, chodź do mnie. – Głos miał bardzo niski, głęboki i łagodny i patrzył na mnie tak, jakby... jakby...

Zacisnęłam mocno powieki i znów pokręciłam głowę.

Gdy otworzyłam oczy, rozłożył ręce i odsunął się od framugi. Stężałam.

– Albo ty przyjdiesz do mnie, albo ja do ciebie – oznajmił.

– Ja... – zaczęłam, nadal się nie ruszając. Chyba uznał to za odpowiedź, pokonał dzielący nas kawałek kuchni w jednej chwili, nachylił się i wziął mnie za rękę. Ścisnął mocno, podniósł z krzesła i wyciągnął z kuchni.

– Boże drogi – odezwał się z tyłu Stevie.

– Złotko, jeszcze nic nie widziałeś! – dorzuciła Daisy z podnieceniem.

Kurwa jego mać!

Mace prowadził mnie do pokoju, w którym spaliśmy. Nie protestowałam, nie opierałam się. No dobra, słyszał, to słyszał. Może trochę, a może dużo. No i co? Nic. Niczego to nie zmienia, tak?

Już w pokoju Mace zamknął drzwi i odwrócił się do mnie. Przyciągnął mnie do siebie, blisko, jeszcze bliżej, puścił moją dłoń, położył mi ręce na talii, objął i przyciągnął mocno do siebie.

Dobra, czyli jednak coś to zmieniało.

– Co ty robisz? – zapytałam bez tchu, a mój mózg uznał, że może jednak trzeba było opierać się i protestować. Odchyliłam głowę i spojrzałam Mace'owi w oczy.

Nie było w nich mroku ani obojętności. Patrzyły intensywnie i mocno.

Oparłam ręce na jego piersi; przestał mnie przyciągać, pewnie dlatego, że nie dałby rady przysunąć mnie jeszcze bliżej. O głowę wyższy ode mnie, patrzył na mnie z góry. Za tym, że jest taki

wysoki, też cholernie tęskniłam. Też miałam trochę wzrostu, a przy nim czułam się mała i zaopiekowana.

– Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że jak to wszystko się skończy, to pogadamy? – zapytał.

Skinęłam głowę. Z jakiegoś powodu (dobra, chodziło o to spojrzenie, nigdy tak na mnie nie patrzył, nawet jak jeszcze byliśmy razem) bałam się mówić.

– Nie będziemy czekać, aż się skończy. Pogadamy teraz.

No dobrze, znaczy, niedobrze. Nagle nie chciałam, żeby to się kończyło.

– Nie wiem, czy chcę rozmawiać.

– Żaden problem, ja będę mówił.

Ja pitole.

– Nie wiem, czy chcę cię słuchać – dodałam.

Pochylił głowę i znalazł się jeszcze bliżej mojej twarzy.

– Przykro mi, kociątko. Zmarnowaliśmy za dużo czasu.

O rany.

To mi się nie spodobało.

Wiedziałam, że go nie powstrzymam. Jeśli Mace czegoś chciał, brał to, nauczyłam się tego już na samym początku, gdy nocował u mnie po pierwszej randce – pierwszy i ostatni facet, z którym przespałam się od razu na pierwszej randce.

No dobra, skupmy się na pozytywach, może zdołam grać na zwłokę, aż mój mózg się ogarnie.

– Zanim zaczniesz, powiedz mi, ile słyszałeś – zażądałam.

Nawet nie próbował kręcić, odpowiedział po prostu:

– Wszystko.

Kurde!

– Od którego momentu? – W sumie nie wiem, po co spytałam. Może w ramach kary za to, że byłam na tyle głupia, żeby wywalić to wszystko Ally?

– Od „halo, Stella, jesteś tu?”.

No dobra, czyli faktycznie wszystko.

Nie zapominajmy: moje parszywe szczęście było parszywe wręcz zajebiście.

– To niczego nie zmienia – oznajmiłam.

– To zmienia wszystko, choć tak naprawdę zmieniło już wtedy, gdy zaśpiewałaś dla mnie Hanka Williamsa.

No nie, znów to wyciągał?!

– Mace, wyjaśniam ci to po raz ostatni: nie śpiewałam dla ciebie.

– Kociątko, w barze był tabun ludzi, a i tak byliśmy tam tylko ty i ja.

Jezu.

– Puść mnie, proszę. – Spróbowałam innej taktyki.

– Nie zostawiłem cię dlatego, że mnie potrzebowałaś. – Mace przejrzał moją taktykę.

Przymknęłam powieki. Bardzo, bardzo powoli. W żółwym tempie. A gdy je znowu uniosłam, popatrzyłam na niego ogromnymi oczami.

– Słucham?

– Nie chodziło o ciebie.

Aha, czyli w tym kierunku.

Wypuściłam powietrze z głośnym „pfyyy”.

– Wszyscy tak mówili – odparłam.

– To nieprawda.

– Skoro nie chodziło o mnie, to o co? O ciebie?

– Nie. O facetów, którzy ślinili się do ciebie, gdy śpiewałaś, na każdym jednym koncercie. Pili piwo, poprawiali spodnie w kroczu i pewnie po powrocie do domu trzepali się pod twoją interpretację „Black Velvet”.

– Jasne – rzuciłam sarkastycznie.

Przysunął się jeszcze bliżej.

– Dokładnie tak. Posłuchaj, Stella. Nie chodziło o ciebie. To ja nie jestem gościem, który chce,

żeby jacyś faceci walili pamięciówkę pod jego kobietę. Ani gościem, który chciałby się dzielić tą kobietą z czterema innymi kolesiami.

Zesztywniałam i przycisnęłam ręce do jego piersi.

– Nigdy cię nie zdradziłam!

– Za każdym razem, kiedy odbierałem telefon od Buzza, Hugona, Ponga czy Leo.

Dobra, niech to szlag. Spoko.

Nie odpowiedziałam. W jakiś pokręcony sposób mógł mieć rację.

Poczuł, że się odprężam. Wiedział, że zapunktował, i wykorzystał to, przycisnął mnie mocniej i pochylił się niżej, teraz centymetry od mojej twarzy.

– Kiedy zaczynaliśmy nasz związek, wiedziałem, że nie będę centrum twojego wszechświata. To nie był problem. Nie wiedziałem tylko, że stanę się satelitą.

Wzdrygnęłam się odruchowo.

Nie chciałam, żeby tak myślał. Powinno mi to wisieć, skoro już z nim nie byłam, ale nie wisiało.

– Nie byłeś satelitą – wyszeptalam.

– Teraz to wiem, po tym wszystkim, co powiedziałaś w kuchni. Wtedy nie wiedziałem.

– Podniósł ręce, położył mi je na szyi, przycisnął kciuki do moich policzków, zmuszając, żebym na niego spojrzała. – Kociątko – powiedział łagodnie. – Powinnaś była mi powiedzieć.

Ej, ej, zaraz.

Co tu się właśnie działo?

A raczej, jakim cudem się działo?

Czemu się działo?

Przecież mnie rzucił!

– Powiedziałaś, że się na tobie wieszam – zarzuciłam mu.

– Powiedziałem, że twoja kapela się na mnie wiesz – sparował.

– Nieprawda – odpaliłam.

– Prawda. A ty usłyszałaś to, co chciałaś słyszeć. Dowiedz się wreszcie, że Stella Gunn i The Blue Moon Gypsies to nie to samo. Ty to jedno, twój zespół to co innego. Skarbie, musisz wreszcie zrozumieć, gdzie zaczynasz się ty, a gdzie kończy się twoja kapela.

Miał rację. Wiedziałam, że ma rację. I gnębiło mnie to od jakiegoś czasu.

Ale nie miałam zamiaru się do tego przyznawać.

– Nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób – wypaliłam.

– Mam.

– Tak? Z jakiej racji?

– Bo w chwili, gdy parę miesięcy temu zaśpiewałaś Williamsa, patrząc mi prosto w oczy, znów stałaś się moją kobietą.

Wyrwałam się i cofnęłam.

Co to miało być?

– Nie stałam!

– Ja też tego nie rozumiałem. Może nie chciałem rozumieć. Walczyłem z tym. Ale teraz wiem, że tak właśnie było.

– Wcale że nie! – wrzasnęłam.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Kociątko, to już się stało.

Nie wierzyłam. Nie wierzyłam w to, co się działo. Jeszcze się beczelnie uśmiechał!

Mówił dalej:

– Dotarło to do mnie wczoraj, gdy powiedziałem ci, że Lindsey zamordowano. Twoja twarz... Kurwa. – Jego oczy zrobiły się ciepłe; znałam ten wzrok bardzo dobrze, ale w tej chwili był milionkrotnie spotęgowany i znów poczułam kopniaka w brzuch, tylko inaczej. – Zrozumiałem, że nic się nie skończyło. A gdy wokół ciebie zaczęły gwizdać kule, wiedziałem to już na pewno.

– Zamknij się! – wrzasnęłam. To było niemiłe i bardzo dobrze. Chciałam jeszcze zatkać uszy rękami, ale to by już było dziecinne.

Nie zamknął się.

– Pomyślałem, że zaczekam, aż ta sprawa z Sidem się skończy, ale po tym, co usłyszałem w kuchni, nie będę czekał.

– Mam chłopaka! – wrzasnęłam.

Kłamałam, spanikowana, zdesperowana. Nigdy nie nazwałabym Erica swoim chłopakiem; nie wiedziałam, kim dla mnie był, ale z całą pewnością nie byliśmy razem. Nie przespałam się z nim. W ogóle z nikim nie spałam od czasów Mace'a.

Który właśnie się do mnie uśmiechał.

– Znajdziesz sposób, żeby go spławić.

Czy on mówił serio?

– Chyba się przesłyszałam.

– Nie. – Wyciągnął ręce, wziął mnie za biodra i znów przyciągnął do siebie. Chciałam się odsunąć, ale zignorował to i mówił dalej: – Przemysłałem wszystko: zamieszkamy u ciebie. Juno jest przyzwyczajona, a ja tęsknię za twoim łóżkiem.

Chwileczkę bardzo, co to miało być?!

– Czy ty sobie... – Z jakiegoś powodu nagle zachryłam, musiałam chrząknąć. – Czy ty sobie wyobrażasz, że zaczynamy być razem?

– Zaczynamy? Nie. Jesteśmy razem.

Nie, to się nie działo naprawdę.

To było jak sen, pytanie tylko jaki, może koszmar? Nawet by pasowało, wiedziałam przecież, jak może się skończyć.

– Ty arogancki palancie! – wrzasnęłam.

Znowu uśmiech.

– Przestań się szczerzyć! Nie jesteśmy razem!

Tak, nadal wrzeszczałam.

– Podaj mi jeden powód, dla którego nie mielibyśmy być razem – zażądał.

Spojrzałam w sufit i odparłam, wrednie i złośliwie:

– Och, doprawdy, sama nie wiem. – Spojrzałam mu w oczy. – Może dlatego, że mnie rzuciłeś, złamałeś mi serce i zostawiłeś samą, żebym ogarnęła sobie życie bez ciebie? Ogarnęłam. Było całkiem fajne, dopóki mnie przez ciebie nie postrzelili. Nie wracam do tego, Mace. Nie i koniec.

Na wspomnienie postrzału przestał się uśmiechać.

– Dobrze. Skoro twoje życie jest takie fajne, to czemu śpiewałaś do mnie o tym, jak bardzo jesteś samotna?

– To była tylko piosenka, Mace.

– Akurat – warknął, zniecierpliwiony moim kłamstwem. – Stella, sama mówiłaś, że nie śpiewasz „tylko piosenek”.

Dobra, miał mnie. Byłam na straconej pozycji.

– W porządku. A co, jeśli znów nie będziesz mógł znieść moich napalonych fanów? Będziesz miał dość mojej kapeli? Co wtedy, Mace? Znów mnie zostawisz? Czy każesz mi zostawić kapelę? Która opcja bardziej do ciebie przemawia? Bo do mnie żadna. Tak czy inaczej, stracę coś, co jest dla mnie ważne.

– Czyli jestem dla ciebie ważny?

Ja pitolę. Znowu wpadłam w pułapkę. Którą sama na siebie zastawiłam.

Szarpnęłam się mocniej i wyrwałam.

– Byłeś. I to minęło. Chcę powiedzieć...

Urwałam, bo złapał mnie za szyję, znów przyciągnął do siebie i pochylił się nade mną tak blisko, że czułam jego oddech na ustach i widziałam już tylko jego oczy.

– Koniec rozmowy – oznajmił znów z tą beczelną arogancją. – Spieprzyłem sprawę i zraniłem cię. Więcej się to nie zdarzy. – Zaciśnął palce, jego niski głos był teraz jeszcze cichszy. – Przysięgam ci, kociątko, to się więcej nie zdarzy. Teraz mi nie ufasz, ale sprawię, że znowu zaczniesz. Mówisz, że nigdy mi nie wybaczysz, ale znajdę sposób, żebyś zmieniła zdanie.

Teraz zaczynałam się bać. Właściwie można śmiało powiedzieć, że byłam przerażona.

– Mace...

Nie dopuścił mnie do głosu.

– Nie otworzyłaś się wtedy przede mną i nie wiedziałem, jak się czułaś, co miałem i co zostawiłem. To też się więcej nie zdarzy.

– Powiem tyle: po prostu mnie zostawiłeś – warknęłam, próbując odsunąć głowę.

– To się więcej nie zdarzy – powiedział z głębokim przekonaniem.

Ja nie czułam się przekonana.

– Zgadzam się – bo nie wracamy do siebie.

– Jesteśmy razem.

– Mace, nie jesteśmy.

– Kociątko, to już postanowione.

Skąd ta pewność?!

– Nie! – krzyknęłam.

Jego oczy patrzyły teraz inaczej, mocniej, bardziej; wyglądał jak...

– O ja pitole, wyglądał jak wtedy, gdy chciał mnie pocałować, a potem zanieść do łóżka – nakręcony, naelektryzowany i cholernie, cholernie seksowny.

Wstrzymałam oddech.

– Rzucasz mi wyzwanie? – wymruczał.

Zapędziłam się w kozi róg.

„Dobra, jebać ten róg, Stello Gunn, po prostu wyjdź z pokoju!”, poradził mózg.

– Nie. Nie rzucam. Mówię tylko...

– Przyjmuję.

Noż kurwa jego mać!

– Mace...

Przysunął moją twarz jeszcze bliżej, tak blisko, że jego usta znalazły się prawie na moich.

Wstrzymałam oddech.

– Pamiętaj, kociątko... – zaczął.

Ja pitole, teraz czułam jego wargi na swoich.

I podobało mi się to...

– Co? – warknęłam.

– Ja zawsze wygrywam.

I znów zobaczyłam uśmiech w jego oczach.

Rozdział 4

Postanowione

Mace

– Czyli postanowione – powiedział Lee.

Było późno.

Siedzieli w dolnym pokoju w biurze Nightingale Investigations, wszyscy ludzie z ekipy plus Eddie, Hank, Marcus Sloan, sierżant Willie Moses, porucznik Malcolm Nightingale (ojciec Lee) i porucznik Tom Savage (ojciec Indy).

– Postanowione – poparł go Eddie.

Kai „Mace” Mason siedział na fotelu, przyniesionym z pokoju monitoringu. Pochylił się, oparł łokcie na kolanach, złączył palce i spojrzał na swoje buty.

Hector był wściekły. Mace nie musiał na niego patrzeć, żeby to wiedzieć.

Ale Hector nie miał kobiety, do której wczoraj strzelano. Tylko Mace miał kobietę, którą trafiono.

Zamknął oczy i znów zobaczył przed sobą udo Stelli, gładką, miękką skórę rozerwaną i mokrą od krwi.

Otworzył oczy.

– Mace – usłyszał głos Lee.

Podniósł głowę i zobaczył, że to nie Lee, tylko jego ojciec.

– Ciężko nad tym pracowałeś, synu; ty, Hank i Eddie byliście już bardzo blisko. Ale teraz dziewczyny są na linii ognia – to żaden wstyd, jeśli odpuszczamy – mówił Malcolm.

Mace skinął głową. Wiedział o tym i nie czuł wstydu.

Czuł ulgę.

Nie mógł spać tej nocy. Gdy zamknął oczy, mózg dawał mu trzy opcje: widok rany Stelli, tę chwilę, gdy zasłaniała głowę rękami, a kule gwizdały wokół niej i świadomość, że wykrwawiała się na tylnym siedzeniu i próbowała o tym powiedzieć, a on nie słuchał.

Wyglądało na to, że nie zwracał na nią uwagi, a przecież gdy byli razem, zwracał, i to bardzo.

W nocy po prostu leżał za nią, słuchając jej oddechu i myślał, że ten dźwięk jest słodszy niż jakakolwiek piosenka, jaką śpiewała. A jego Stella miała piękny głos. Nigdy nie słyszał lepszego.

– Myślisz o czymś – zauważył Lee.

– Tak – odparł Mace.

– Teraz jest czas, żeby to przegadać.

Nie odezwał się. Nigdy nie lubił mówić o uczuciach.

– Ona jest twarda – wtrącił się Luke, przechodząc do sedna.

Mace spojrzał na niego.

– Została postrzelona, a jej przyjaciele odstrzelili tył głowy.

Zapadła cisza. Wszyscy w tym pokoju zdawali sobie sprawę, że Mace wiedział najlepiej, jak to jest, gdy ktoś z twoich bliskich zostanie zamordowany. Gdy jego mózg rozwała kula.

Różnica pomiędzy Stellą i Mace’em była taka, że on widział na własne oczy, jak głowa jego siostry eksploduje.

– Musisz być teraz blisko niej – poradził Tom.

Mace skinął głową.

– Jesteście razem? – zapytał Vance.

– Pracuję nad tym.

Vance uśmiechnął się.

– Z moich obliczeń wynika, że trzeba jakichś dwóch tygodni, żeby się udało.

Mace pokręcił głową, rozbawiony. Vance odnosił się do tego, jak Lee, Eddie, Hank, Luke i on sam podrywali Indy, Jet, Roxie, Avę i Jules. Dziko, niebezpiecznie i intensywnie.

– Zauważyłem.
– Podjęliśmy właśnie wspólną decyzję, Mace. – Hank przerwał tę luźną wymianę zdań. Znał Mace'a i było mu nie do śmiechu.

Mace spojrział na niego.

– Zdaję sobie sprawę.

– Jeśli zaczniesz działać na własną rękę, będziesz chciał, żeby zapłacili za to, co zrobili Stelli i Lindsey...

– Jeśli zacznę to robić, narażę ją – przerwał mu Mace.

– Zgadza się.

– To się nie stanie – dokończył Mace i wszyscy zrozumieli, że tak właśnie będzie.

Znowu przemówił Lee:

– Mamy trzy niezabezpieczone domy, Vance i Monty nie skończyli jeszcze montować kamer i alarmu. Bierzecie swoje kobiety i jedziecie do Zamku.

Luke podniósł brodę, Hank skinął głową, Eddie westchnął. Vance uśmiechnął się w podłogę, Mace spojrział na swoje buty.

– Odpocznijcie porządnie. To się skończy dopiero, jak siądziemy do rozmowy z Sidem – dodał Tom.

Hector, Ike, Bobby, Darius, Monty i Matt wyszli. Bobby i Matt mieli dziewczyny, Monty żonę i pięcioro dzieci. Z jakiegoś powodu nikt do nich nie strzelał poprzedniej nocy, a teraz spały spokojnie, Brody obserwował je na ekranach w pokoju monitoringu.

Lee podszedł do Mace'a.

– Jest coś jeszcze, o czym chciałbyś pogadać? – spytał.

– Nie.

– Sprawa ze Stellą musiała przypomnieć ci siostrę – odezwał się Eddie, podchodząc.

– Czegoś takiego nie da się zapomnieć. Nie musiało mi przypominać – odparł Mace.

– Jest jeszcze trudniej, gdy na kimś ci zależy – dołączył do nich Hank. – A chyba tak jest, nie?

– I to od dawna – odparł Mace.

– Masz przerabane. – Vance podszedł z drugiej strony.

– Tak, i też od dawna. Gdy spojrziała na mnie tymi brązowymi oczami.

– A ja myślałem, że bardziej przemówił do ciebie... – odezwał się z tyłu Luke.

– Luke – rzucił ostrzegawczo Lee.

Ten uśmiechnął się krzywo.

– Miałem na myśli głos. Seksowny, gardłowy głos.

– Tak, też go lubię – przyznał się Eddie.

– Zjebałem sprawę – oznajmił Mace i jak na niego była to niezwykła chwila wyznań.

Luke położył mu rękę na karku, spojrzeli sobie w oczy.

– Wyprostujesz to – powiedział.

Racja. Tak właśnie robi.

Jechali do Zamku, Hank i Eddie razem z Lee. Wszystkie fordy NI miały urządzenia śledzące, system komunikacji i kuloodporne szyby.

Lee się nie opierdalał.

Gdy przyjechali, Marcus był już na miejscu.

Mace wziął torbę sportową, w której miał trochę swoich rzeczy i trochę ciuchów z mieszkania Stelli (gdzie wpuścił Vance'a, żeby instalował kamery). Nadal miał klucz, nigdy go nie oddał, a ona nigdy nie prosiła o zwrot.

Poszedł prosto do niej.

Spała na boku, tak samo jak zeszłej nocy. Leżała na środku łóżka, długie brązowe włosy rozsypały się na poduszkach, zasłaniały twarz. Głowę miała pochyloną do przodu, dłoń pod policzkiem. Druga ręka leżała przed nią, wnętrzem dłoni do góry.

Spała tak mocno, że nawet nie słyszała, jak przyszedł. Pewnie po środkach przeciwbólowych. Nigdy nie spała lekko, ale w czasach wspólnego mieszkania zawsze się budziła, gdy wracał do domu.

Podbiegła do niego Juno. Mace postawił torbę, usiadł na łóżku i podrapał wielkiego psa między uszami, po karku, po grzbiecie.

– Leżeć – wymruczał.

Juno polizała mu rękę, podreptała na drugą stronę łóżka i położyła się tam z westchnieniem.

Mace ściągnął buty, rozebrał się i wszedł pod kołdrę. Dopasował się do jej ciała, objął ręką w talii i przyciągnął ją do siebie.

Nim zasnął, słuchał jej spokojnego oddechu.

Stella

Gdy obudziłam się rano, Mace spał za mną, przytulony na całej długości pleców. Leżałam na boku i na brzuchu z ugiętą nogą, jego noga przywierała do mojej.

Cały Mace. Maksymalny kontakt fizyczny.

Ja pitolę.

Nie ruszałam się. Musiałam stworzyć plan wydostania się z łóżka, który nie będzie polegał na odwróceniu się i kopnięciu go w sposób, który utrudni mu posiadanie w przyszłości dzieci. Byłam na niego zła, ale pamiętałam, że świat byłby gorszym miejscem bez małych Mace'ów, w przyszłości.

A na razie wróciłam myślami do wczorajszego dnia. Panowało szaleństwo, choć nikt nie wychodził z domu.

Za to zjawiali się nowi ludzie.

Wparowała kobieta o imieniu Shirleen. Miała skórę w pięknym odcieniu ciemnej mokki i najdziksze afro, jakie widziałam, i krzyczała na rockowe laski, zła jak diabli, że nikt jej nie wciągnął w akcję.

Zjawił się również olbrzym o imieniu Tex. Miał jasne włosy, lekko tknięte siwizną i wielką rudą brodę. Był jeszcze głośniejszy niż Shirleen i jeszcze bardziej zły, że nikt go nie wezwał, gdy gwizdały kule. Powtarzał „Jezu Chryste” i nazywał Jet „Loopy Loo”.

Zjawił się również Duke. Znałam go. Pracował dla Indy w jej księgarnio-kawiarni Fortnum, której nie odwiedzałam całe wieki. Tex też tam teraz pracował i wszystko wskazywało na to, że był najlepszym baristą w Górach Skalistych.

Duke był harleyowcem. Długie siwe włosy nosił splecione w warkocz, do tego siwa broda, nieodłączna czarna skórzana kamizelka na koszuli i zrolowana czerwona bandanka na czole. Mruk i z aksamitnym głosem Sama Elliota, bardzo w porządku. Wszedł, policzył ludzi, wymruczał: „przejebana sprawa”, wyszedł, i już nie wrócił.

A potem zjawił się wielki czarnoskóry gość, przesunął wzrokiem po pokoju i zatrzymał się na mnie.

Spojrzał na Shirleen i oznajmił:

– Wisisz mi pięć dych. Mówiłem ci, że następny będzie Hawajczyk.

Spojrzałam na Avę.

– Robią zakłady, który z paczki przystojniaków znajdzie sobie następną rockową laskę – wyjaśniła.

Robią zakłady?

Ludzie się o to zakładają?

Ja pitolę.

– Ma na imię Mace, ty dupku – odpaliła Shirleen.

– Staram się nie pamiętać. Jakbym pamiętał imiona, to by znaczyło, że ich znam, a gdybym ich znał, to musiałbym pójść na pogrzeb, gdyby któregoś w końcu odstrzelili – odciął się.

Wstrzymałam oddech.

– To Smithie – szepnęła mi Jet. – Zgrywa twardziela, ale naprawdę jest bardzo opiekuńczy.

Jasne.

– Smithie! Odrobinę empatii, tak? – warknęła Roxie, zerkając na mnie.

Smithie znów na mnie spojrział.

– Ta, słyszałem, że oberwałaś. Zwykle draśnięcie, wielkie mi halo. Te suki widziały już gorsze rzeczy.

Ja pitole!

Czy oni powariowali?

– Przestań nas tak nazywać! – krzyknęła Ally.

– Stuknięte białe suki, wszystkie co do jednej. Poza tobą – skinął Shirleen. – Ty jesteś stukniętą czarną suką. Ja pierdziele! – dokończył i wyszedł, zanim Shirleen wpadła w szal, co, zdaje się, chciała zrobić.

– Zajrzał tu, żeby sprawdzić, czy wszystko z nami w porządku – zapewniła mnie Indy.

Dobra, jednak nie, nie zwariowali. Byli skończonymi patentowanymi świrami i mieli na to papiery.

Przyjechała Annette, bliska przyjaciółka Roxie, która przeniosła się do Denver z Chicago i miała otworzyć nowy head shop, „Head West”. W Chicago miała już jeden, teraz przemianowany na „Head East”.

– Yo, suki! – zawołała od progu.

Świry. Patentowane.

– Dobra, podsumujmy. – Popatrzyła na nas od drzwi. – Indy została kilkakrotnie porwana, strzelano do niej i auta wylatywały w powietrze. Potem strzelano do Jet, porwano ją i prawie zgwałcono. Potem przyjechała Roxie, została ranna w nawiedzonym domu, wzięta na zakładnika na imprezie i porwana. Przy tym byłam. Potem wyjechałam i Jules zaczęła wojnę z dilerami dragów i skończyła na OIOM-ie z dwiema kulkami w środku. A potem pojawiła się Ava, przeżyła ostrzelanie z samochodu, została porwana, brała udział w pościgu i wydostała się z rozbitego wozu na chwilę przed eksplozją. A teraz do was wszystkich strzelali – w tym samym czasie. Tak?

– Tak, dobre podsumowanie – potwierdziła Ally.

– Denver to szaleństwo – oznajmiła. – Kurde, kocham to miasto!

Otaczali mnie szaleńcy.

– Ja pierdziele! – wrzasnęła, a ja podskoczyłam przerażona. Annette patrzyła na coś pod drugiej stronie pokoju. – Macie PlayStation 3? Idę po „Guitar Hero”!

Poszła, wróciła i po chwili wszyscy staliśmy tam i graliśmy, czasem po dwie osoby.

Cholera, potrafiłam grać „Black Betty” Ram Jam, stojąc na scenie przed tłumem ludzi – a nie umiałam przejść przez „More Than a Feeling”, stojąc w salonie Daisy z zabawkową gitarą w rękę. I to na poziomie podstawowym: wystarczyło wcisnąć trzy guziki, żeby cię nie wygwizdali ze sceny.

To nie fair.

Daisy wysłała jednego z armii ochroniarzy do sklepu z listą, którą zrobiłam; przyjechał Nick, wujek Jules, i pomógł mi w kuchni. Zrobiliśmy łososia z masłem ziołowym w cieście francuskim, zapiekankę ziemniaczaną z serem i szparagi na parze. Żadna z dziewczyn nie zaproponowała pomocy, co było super, bo mogłam sobie pogadać z Nickiem, który też uważał, że wszyscy tutaj mają nieźle na bani.

– Może to szaleńcy – zauważył – ale przemili.

Ja cię sunę.

Prawie wszystkim smakowało. Annette powiedziała, że może jestem do dupy w „Guitar Hero”, ale moje żarcie to zajebioza, za to Tex określił je jako „dyrdymały” i poszedł wziąć na wynos burito z kurczakiem (sałatą i serem) z El Tejado.

Gdy wrócił, znów graliśmy w „Guitar Hero”.

W międzyczasie noga rozbolała mnie jak cholera.

Indy zobaczyła, jak się krzywię, i nachyliła się do mnie.

– Dzwonił Lee. Powiedział, że na razie zostajemy tu na noc.

To nie była dobra wiadomość. Strasznie chciałam wrócić do domu. Ale o wiele bardziej chciałam, żeby serce mi biło, płuca oddychały, krew krążyła, a mózg funkcjonował. Dlatego postanowiłam nie

robić scen, nie lecieć teraz do domu i nie dać się zamordować po drodze.

Wzięłam ostatnie dwa proszki przeciwbólowe i razem z Juno padłyśmy spać.

Żadna z rockowych lasek nie pytała o „sam na sam” z Mace’em, może dlatego, że moją wersję słyszały (krzyczałam głośno, a wszyscy podsłuchiwali).

A teraz byłam tu.

W łóżku. I znowu z Mace’em.

Poruszyłam się ostrożnie w nadziei, że nie zauważy.

Objął mnie mocniej.

Zauważył.

– Mace, puść mnie.

Nie puścił.

Wtulił twarz w moje włosy i wymruczał ochryplym, zmęczonym, niskim głosem:

– Chryste, czuję się, jakbym spał pięć minut.

To było trudne. Kiedyś (dawno temu) po usłyszeniu czegoś takiego zabarykadowałabym drzwi i powaliła każdego, kto ośmieliłby się zakłócić jego odpoczynek – każdego, poza moją kapelą oczywiście.

Ale to było dawno.

– Puść mnie – powtórzyłam.

Przesunął brodą moje włosy.

– Nadal używasz tego szamponu. – Poczulałam jego wargi na karku.

– Mace...

– Pachnie miętą.

O dobry Boże.

– Mace, muszę wstać i wypuścić Juno.

– Chcę zobaczyć twoją ranę.

Co go napadło?

– Wszystko w porządku – zapewniłam. – Daisy dała mi maść, po której będzie się prędzej goić i nie będzie blizny. Przemyła, nałożyła maść i przykryła. Jest dobrze.

– Chcę zobaczyć.

– Jest w porządku.

Objął mnie jeszcze mocniej.

– Kociątko, oberwałaś przeze mnie i chcę ją zobaczyć.

Co mogłam na to powiedzieć?

Nic.

Dlatego się nie odezwałam.

Leżałam tak jakiś czas. Miałam nowy plan: skoro Mace był wykończony, to ja przestanę gadać, on znowu zaśnie, a wtedy się stąd wyniosę.

Plan był strasznie słaby, nic dziwnego, że nie wypalił.

Gdy uznałam, że śpi, znów próbowałam się ruszyć, a on znów objął mnie mocniej.

– Mace...

– Stella...

Kurde, kurde, kurde mać.

– Muszę pogadać z Buzzem – powiedziałam, nie wiem dlaczego. Dobra, może dlatego, że faktycznie chciałam z nim pogadać.

Zastygł, potem się odsunął.

Wykorzystałam to: usiadłam i już miałam wstać, a wtedy objął mnie w pasie, uniemożliwiając dalsze działania. Drugą rękę wysunął przede mnie – trzymał w niej telefon.

Wciągnęłam powietrze i wzięłam komórkę.

– Dzięki – wymruczałam.

Szukałam numeru Buzza i nie mogłam wstać, bo Mace nadal obejmował mnie ręką, a teraz jeszcze usiadł za mną okrakiem tak, że znalazłam się między jego nogami – jedną trzymał na łóżku,

drugą oparł na podłodze.

Juno podniosła się i trącała nosem to mnie, to Mace'a, w tym podekscytowaniu nie bardzo wiedząc, komu dawać się głaskać. Zadzwoiłam do Buzza, przyłożyłam telefon do ucha i drapałam Juno po głowie. Mace odsunął mi włosy z ramienia, oparł na nim brodę.

Zamknęłam oczy, usiłując nie myśleć, jakie to miłe.

– Stella Bella – usłyszałam w uchu.

– Cześć, Buzz – powiedziałam łagodnie. – Jak się masz?

– Słabo, Stell – odparł wyjątkowo spokojnie; zwykle mocno dramatyzował.

– Wyobrażam sobie – mówiłam, nadal łagodnie. Mace przywarł do moich pleców, a ja próbowałam zignorować jego obecność i to, jak dobrze się czułam z jego mocnym ciałem za sobą (kolejna z siedmiuset tysięcy rzeczy, których mi brakowało). – Gdybym mogła coś zrobić...

– Nie, Stella. Ty masz swoje problemy. Mace powiedział nam wczoraj na spotkaniu zespołu.

Słucham?

Wyprostowałam się, pozytywne uczucia zniknęły.

– Na spotkaniu zespołu? – powtórzyłam, raczej mało łagodnie.

Mace zeszywniał.

– Floyd zwołał nagle spotkanie. Mace przyjechał z nim i powiedział wszystkim, co się dzieje – odparł Buzz.

Odwrociłam się i spojrzałam na Mace'a zmrużonymi oczami. Oderwał głowę od mojego ramienia, spojrzał na mnie i uniósł brwi.

Buzz mówił dalej.

– Tyle dobrego, że znowu jesteście razem.

Opadła mi szczeka, oczy prawie wyskoczyły z orbit.

Mace westchnął ciężko, ja odwróciłam wzrok.

– Kto ci powiedział, że znowu jesteśmy razem? – zapytałam.

– Mace, wczoraj.

Dobra. Czyli zabiję Mace'a. Z nadzieją, że w ławie przysięgłych będą zasiadać głównie porzucone kobiety. Tak czy inaczej, z przyjemnością przyjmę odsiadkę.

No co za bydlak!

– My nie... – zaczęłam, ale Buzz mi przerwał.

– Linnie nie posiadałaby się ze szczęścia. Kochała was oboje. Chyba przeżywała wasze rozstanie jeszcze bardziej niż ty.

Bardzo wątpliwe.

Ale teraz nie wiedziałam już, co powiedzieć. I wołałam myśleć o Linnie, która się nie posiada ze szczęścia, niż o Linnie leżącej w łóżku z odstrzeloną głową.

– No dobra, dbaj tam o siebie. I nie martw się o nas, damy radę.

Jeszcze bardziej wątpliwe.

– Buzz, ja... – Co mogłam powiedzieć? Co w ogóle można powiedzieć w takiej sytuacji? – Potrzebujesz czegoś? – dokończyłam słabo.

– Rodzice Linnie dziś przyjeżdżają. Wszystko załatwią. Dam znać Mace'owi, co się dzieje.

– Dasz znać... Mace'owi? – spytałam, znów mrużąc oczy. Tym razem trochę inaczej. Tym razem znacznie groźniej.

Juno zobaczyła mój wzrok, znała go, odczytała właściwie, siadła na tyłku i szczeknęła: „co znowu?”.

– Tak, powiedział nam, że jesteś poza zasięgiem i że mamy dzwonić do niego. Spoko.

Przepraszam bardzo – co?

– Buzz...

– Trzymaj się, Stella Bella.

Rozłączył się.

Wzięłam głęboki oddech. A potem zastanowiłam się, co się stało z tą spokojną wyluzowaną, „nie mam czasu na wkurw” Stellą Gunn.

A potem rzuciłam telefon, zerwałam się z łóżka i odwróciłam do Mace'a.

– Zwołałeś spotkanie zespołu – oznajmiłam oskarżycielsko.

Zsunął się na brzeg łóżka, stopy postawił na podłodze. Łokcie miał na kolanach, ręce spuszczone. Odchylił głowę i spojrzał na mnie.

Często tak siedział, to był jego styl. Z jakiegoś dziwnego powodu zawsze uważałam to za seksowne. Teraz mnie wkurzało.

– Stella...

– Mojego zespołu.

– Stella...

– Beze mnie.

Mace chyba postanowił się nie odzywać.

Tak zwykle robił, gdy wpadałam we wściekłość.

Juno postanowiła zaszczekać, niepewna, jak ten rozwój wypadków wpłynie na wyjście na dwór.

– A tak się składa, że jestem liderką tego zespołu – przypomniałam.

Nie odzywał się.

– Powiedziałaś im, że mają się kontaktować ze mną przez ciebie – dorzuciłam.

Milczał.

Czekałam.

On również.

Miałam na sobie tylko białą koszulkę Daisy i białe majtki, Mace jedynie błękitne bokserki. Zignorowałam nasz negliż (i jego fantastyczne ciało) i oparłam ręce na biodrach.

Mace ani drgnął.

A ja straciłam cierpliwość.

– Jak śmiałeś stanąć pomiędzy mną i zespołem?! – wrzasnęłam.

Wstał z łóżka, a ja – nie wiem, co we mnie wstąpiło, może dopadła mnie tymczasowa niepoczytalność po całym dniu spędzonym z rockowymi laskami – rzuciłam się na niego.

Całym ciałem.

Uderzyłam go w pierś; zaskoczony przyjął mój ciężar z jękiem, walnęłam go głową w podbródek, co zabolalo, on objął mnie rękami i padliśmy na łóżko, ja na gorze.

Nigdy nie zrozumieć, dlaczego postanowiłam się z nim tarosić, i to w samej bieliźnie, na rozkładanym łóżku.

Ale tak właśnie zrobiłam.

Turlaliśmy się, siłowaliśmy, łóżko trzeszczało, głośno i niebezpiecznie, a Juno szczeła, stropiona tym, co się działo.

Próbowałam zdobyć przewagę, co było niemożliwe. Mace złapał mnie dłońmi za nadgarstki i siłowaliśmy się; przegrywałam.

Znalazł się na gorze, zbliżył twarz do mojej.

Był zły.

– Do diabła, Stella, przestań. Pozrywasz szwy.

– Wal się! – odpaliłam, niekoniecznie przejęta szwami w stanie chwilowej niepoczytalności.

Odepchnęłam się stopą i przekręciłam go na plecy.

Przekręcił się znowu i znów się szamotaliśmy.

Właściwie nie chodziło o zespół, w każdym razie nie tylko. Byłam na niego wściekła za to, że mnie zostawił. Za to, w jaki sposób wrócił do mojego życia. Odbijałam sobie na nim morderstwo Linnie i to, że mnie postrzelono (choć nie była to jego wina). Nie mówiąc już o tym, że chciał do mnie wrócić, a ja nie chciałam do tego dopuścić – bo wiedziałam, że nie przeżyję kolejnego rozstania.

W końcu znalazł się na mnie, z biodrami między moimi nogami i trzymał mi ręce mocno nad moją głową.

Pokonał mnie i oboje to wiedzieliśmy.

Patrzyliśmy na siebie, dysząc ciężko – Mace dlatego, co zrozumiałam później, bo powstrzymywał się, żeby nie użyć całej swojej siły; wiedział, że wtedy zrobiłby mi krzywdę. Ja, co

rozumiałam już wtedy, bo dałam z siebie wszystko.

Nie odrywaliśmy od siebie wzroku.

Na jego twarzy wciąż była złość, powoli ustępująca miejsca innemu uczuciu.

– Chryste, zapomniałem już, jakie to kurewsko dobre czuć cię pod sobą – wychrypiał.

A mnie przeszył prąd, elektryzując każde zakończenie nerwowe.

I wtedy, nie pytając dlaczego, nadal w głębinach niepoczytalności, podniosłam głowę, przywarłam wargami do jego ust i pocałowałam go.

Bez wahania nachylił się i oddał pocałunek, mokry i głęboki.

O rany.

Zapomniałam już, jak dobrze całował.

Puścił mi ręce i znów rzuciliśmy się na siebie, ale inaczej. Zaczęłam dotykać jego umięśnionych pleców, boków, piersi, położyłam mu palce na karku, wsunęłam je we włosy. Jego dłonie znalazły się pod moją bluzką, przejechał palcami po moim brzuchu, dotarł do piersi, kciukiem trącił sutek.

O Boże.

Jęknęłam w jego usta.

Nie panowaliśmy już nad tym, głównie dlatego, że przestaliśmy nad tym panować już wtedy, gdy się na niego rzuciłam, zaczynając tę dziką, obłąkaną grę wstępną. Byłam już mocno nakręcona i zupełnie gotowa. Czekałam na to od roku. Na jego usta na moich, na gładką skórę i twarde mięśnie pod palcami, na jego smak, zapach, dotyk i ciężar.

Zaczęłam ściągać majtki. Mace przekręcił się na bok, podniosłam kolana i zdjął ze mnie majtki, rzucił je na podłogę. Przekręcił się na plecy, uniósł biodra, zdjął bokserki i rzucił je tam, gdzie majtki. A potem znów przekręcił się na mnie, znalazł między moimi rozchylonymi nogami, ujął mnie pod kolana, podniósł je wysoko i jednym długim, mocnym pchnięciem znalazł się we mnie.

Co to było za fantastyczne uczucie...

– Mocniej – zażądałam cicho, trzymając dłonie na jego plecach.

– Nie, kociątko, zaboli cię – odpowiedział ochryple. Opierał się na łokciach, trzymał dłonie w moich włosach. Pchnięcia były mocne i cudowne, ale kontrolowane.

Pocałowałam go, przejął pocałunek i dostałam to, czego chciałam. Przestał się kontrolować i teraz pchał mocniej.

– Tak... – wyszeptałam.

Wsunął dłoń między nas, dokładnie tam, gdzie tego potrzebowałam, i zaczął mnie pieścić. Przyciskał, zataczał koła, przyciskał mocniej.

Orgazm nadciągał.

Z ustami na jego ustach, wciągnęłam powietrze i wyszeptałam:

– Mace, ja...

– Kociątko, puść.

Puściłam.

Orgazm był potężny, obezwładniający. Zaciskałam dłonie na plecach Mace'a, ściszałam go udami, a jego usta wchłaniały moje jęki, gdy trzymała mnie rozkosz.

To było piękne. Po prostu. Zawsze było piękne.

Zawsze.

Mace pchał znowu, moje ciało wibrowało orgazmem. Przekręciłam głowę na bok, Mace wtulał twarz w moją szyję, oddychał urywanie. Odwróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć, oderwał się ode mnie i popatrzył mi w oczy. Jego wzrok był tak intensywny, seksowny, nakręcony, że czułam się epicentrum całego cholernego wszechświata.

Boże, jakie on miał oczy.

Wsunęłam palce w jego włosy, podniosłam głowę i przycisnęłam rozchylone wargi do jego ust, drugą ręką dotykając jego policzka. W chwili, gdy dotknęłam jego twarzy, stracił kontrolę i skończył z głośnym jękiem.

To było jeszcze piękniejsze.

Dyszeliśmy ciężko. Przekręcił się na plecy i pociągnął mnie na siebie, kładąc mnie na zdrowym

boku, z nogą zawiniętą na jego talii.

Przywarłam twarzą do jego szyi i wtuliłam się w niego bardzo mocno. Gładził mnie delikatnie po plecach, a ja mruzczałam, jak zawsze po orgazmach z nim. Nie mruzczałam przy żadnym innym facecie, ale też żaden inny nie dawał mi takich wstrząsających orgazmów.

Gdy udało mi się uspokoić oddech, próbowałam też uspokoić myśli, ale nie mogłam. Chciałam tylko jednego: żeby czas się zatrzymał, żebyśmy zostali na tym rozkładanym łóżku, objęci, już na zawsze.

Nim zdążyłam ochłonąć, przypomnieć sobie, że to było niesłuszne, i przypomnieć sobie dlaczego, przesunął dłonią po mojej talii, po biodrze i delikatnie odsunął moją nogę. Oderwał się ode mnie, zszedł z łóżka i oparł się na ręce.

Leżałam tak, z głową na poduszkach, rękami przed sobą, patrzyłam, niewiele widząc i poczułam, jak delikatnie odkleja plastry i uchyla opatrunek. Nie podniosłam głowy, ale opuściłam brodę, żeby zobaczyć, co robi.

Spojrzał na szwy i zacisnął zęby.

A potem...

Nie żartuję.

Potem delikatnie przyłożył opatrunek z powrotem i docisnął plastry na brzegach.

Nachylił się.

I pocałował mnie tam, leciutko i delikatnie.

Wstrzymałam oddech.

Kurde, kurde, kurde mać.

Wrócił do mnie, jedną rękę położył na moim tyłku, drugą objął mnie w talii.

Spojrzał mi w oczy i powiedział łagodnie:

– Rozumiem, że to nie oznacza mojej wygranej?

W jednej chwili odzyskałam sprawność umysłu i spojrzałam ze złością.

No dobra, na swoją obronę mogę powiedzieć, że halo, już raz złamał mi serce! I nawet jeśli zrobiłam coś szalonego, to przyjęcie go z powrotem na dobre byłoby już kompletnym wariactwem.

– To nic nie znaczy – warknęłam wrednie. – Nie wygrasz.

Z jakiegoś wariackiego powodu uśmiechnął się szeroko, jakby uznał to za szczęśliwy obrót wydarzeń. Przysunął się do mnie, uśmiechnął seksownie i spojrzał mi prosto w oczy.

Wstrzymałam oddech, a on wymruczał:

– Tak też myślałem. – Musnął moje wargi, odchylił odrobinę głowę i wciąż z uśmiechem dokończył: – Dobrze wiedzieć, skarbie, że nie pozbawiasz mnie frajdy.

I co to niby miało znaczyć?

Dobra. Nie chciałam wiedzieć.

Rozdział 5

Rozumiem

Indy

– Wracaj do łóżka – powiedział Lee.

Oderwałam wzrok od okna i zobaczyłam, że Lee leży na boku, z głową opartą na rękę i kołdrą podciągniętą do pasa. Wiedziałam, że pod kołdrą jest nagi, i wiedziałam, jak ta nagość wygląda.

I na samą myśl robiło mi się gorąco.

Hmm.

Podeszłam do łóżka i usiadłam z boku.

– Nie podoba mi się to – powiedziałam.

– Nie musi. To już postanowione.

Rany, co za despotą. Byliśmy ze sobą już prawie rok i wciąż nie udało mi się tego wykorzenić. I chyba nigdy mi się nie uda. I chyba nigdy nie przestanę próbować.

– Może powinniśmy poga... – zaczęłam.

Zerwał się szybko, objął mnie w talii, przerzucił nad sobą i oboje znaleźliśmy się na drugiej stronie łóżka, ja na plecach, on prawie na mnie.

– To już postanowione – powtórzył.

– Nie spytałeś... – zaczęłam.

– Posłuchaj, kotku. – W jego łagodnym głosie brzmiała determinacja. – Miałem do wyboru: czy za dwa tygodnie zakładam cholerny frak i czekam na ciebie przed ołtarzem, czy zakładam go i stoję przy twojej trumnie. Wybrałem pierwsze.

No dobra, tu miał rację. Ja też wybierałam tę pierwszą opcję.

– A jak chłopaki czują się z tą decyzją?

– Wniebowzięci. Już za pierwszym razem nie szaleliśmy z radości, że ktoś was porywa, bije czy do was strzela. Nieszczęśliwie pragniemy powtórki repertuaru.

W porządku, tu też miał rację.

– No dobrze – poddałam się.

Uśmiechnął się na tę wyjątkowo szybką kapitulację. A ja zapatrzyłam się na niego.

Miał taki wspaniały uśmiech. I chociaż oglądałam go przez całe dotychczasowe życie (nasi rodzice się przyjaźnili i znałam Lee od urodzenia), gotowa byłam oglądać go bez końca.

Lee pocałował mnie w szyję, poczułam dreszcz.

– A jednak wciąż nie wierzę, że się poddajecie – wyszeptałam. No musiałam, to było nie do wiary. Lee Nightingale nigdy się nie poddawał.

– Nie poddajemy – wymruczał w moją szyję, teraz sunąc ustami do policzka. – Rozważyliśmy priorytety i nie chcemy tak ryzykować.

Miło wiedzieć, że byłam priorytetem.

I mimo to...

– Ale...

Przysunął usta do moich ust.

– Cicho bądź.

Zmrużyłam oczy.

– Nie mów mi, żebym była cicho.

Jego czekoladowe oczy zrobiły się ciepłe, w kącikach pojawiły się zmarszczki.

– W porządku – zgodził się.

A potem uciszył mnie pocałunkiem.

Razem z Lee weszliśmy do salonu Daisy. Na stole stały otwarte zachęcająco pudełka z pączkami, w fotelu siedział Smithie, jadł pączka z galaretką i rozmawiał z Jules, która była blada i piła kawę.

– Poranne mdłości? – spytałam ją.

– Nie mogę się od nich uwolnić, chociaż to czwarty miesiąc – skrzywiła się. – Do południa nie dam rady nic zjeść. Nawet tamto późne śniadanie Daisy... Nie chcę tego znowu przeżywać.

– Kurwa, nie mów o rzyganiu, kiedy jem pączka – warknął Smithie.

– Sorki, Smithie. – Jules uśmiechnęła się słabo.

– Gdzie są wszyscy? Przecież wiedzą, że mamy mieć spotkanie. – Lee wybrał pączka z czekoladą, ja nalałam sobie kawy.

Spojrzałam na Lee. Był skoncentrowany, skupiony, czekały go dziś mało przyjemne rzeczy, jak poddanie się groźbom wyjątkowo wrednego kryminalisty.

– Jak tu szłam, słyszałam kłótnię Roxie i Hanka, a potem Eddiego i Jet. Nie wiem, co z Lukiem i Avą, ale Vance bierze prysznic, a Daisy obraziła się na Smithiego o pączki – odparła Jules. – Zrobiła kawę, wyjęła kubki, cukier, śmietankę i wyszła.

– Kłótnię? – Lee uniósł brwi, ignorując informację o Daisy, chociaż, znając ją, właśnie tym przejęłabym się najbardziej.

Postanowiłam nie dzielić się tymi spostrzeżeniami, Lee i tak miał się czym martwić.

– Dziewczynom się nie podoba, żeście się poddali – podsumował Smithie. – Lubią, jak się coś dzieje. Walnięte suki.

Lee pokręcił głową, jakby się z nim zgadzał.

Spojrzałam na niego groźnie, odpowiedział spokojnym wzrokiem. Dałam spokój i wzięłam sobie klasycznego pączka.

– Nie chcę o tym rozmawiać. W ogóle nie chcę z tobą rozmawiać – warknęła Jet, wchodząc do pokoju. Była zła, co nie powstrzymało Eddiego od trzymania jej w swoim chwycie: obejmował ją ręką za szyję i przyciskał do siebie.

Eddie wydawał się niewzruszony jej tyradą, ale on zawsze pozostawał niewzruszony na jej tyrady, które nie zdarzały się często, ale jednak.

– Kto przyniósł paczki? – spytał.

Jet spojrzała na mnie i przewróciła oczami. Uśmiechnęłam się do niej ze zrozumieniem, ugryzłam swojego pączka, popiłam kawę.

Eddie puścił Jet i wziął lukrowaną bułeczkę cynamonową.

– Co tam? – spytałam Jet, gdy podeszła. – Wściekasz się, że chłopaki odpuszczają?

– To też – warknęła. – Eddie pracował nad tą sprawą przez rok, jeszcze zanim mnie poznał. I nigdy się nie poddawał. Ale potem mieliśmy rozmowę w łóżku, a wiesz, co to znaczy.

Wiedziałam. Eddie ją zagadał, a potem obezwładnił orgazmem. Albo na odwrót.

Chłopaki generalnie lubili poranny seks i często używali go jako argumentu w dyskusji, w ramach oszczędności czasu.

– Ale rozumiem, że nie chce znowu przez to przechodzić. Nikt nie chce – mówiła dalej. – Z tym już się pogodziłam, w tej chwili kłócimy się o ślub. Ja chcę małą uroczystość w parku, coś w tym rodzaju, a Blanca obstaje przy całym nabożeństwie. Nabożeństwie! A ja nawet nie jestem katoliczką! A Eddie nie chce porozmawiać ze swoją matką.

– Mężczyźni nie ogarniają ślubów – poinformowałam ją. I wiedziałam, co mówię. Mój ślub miał się odbyć za dwa tygodnie, a Lee nie zrobił nic, kazał tylko Shirleen, która pełniła funkcję jego recepcjonistki, zadzwonić do biura i zamówić podróż poślubną. O której Shirleen nie chciała mi nic powiedzieć. Lee jej zabronił, a ona się tym przejęła, chociaż normalnie nie bała się nikogo.

Wszedł Vance z zarożumiałym uśmiechem, trenowanym na Jules, a po nim Luke i Ava. Trzymali się za ręce. Gdyby ktoś mi powiedział, że zobaczę, jak Luke Stark trzyma kogokolwiek za rękę, wyśmiałabym go. A teraz z Avą to było takie naturalne. Ava z kolei wyglądała na rozmarzoną – czyli też byli po.

Uśmiechnęłam się do siebie. Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie przechrzcić ten Zamek na gniazdo miłości.

Do pokoju wpadła Daisy z nowym dzbankiem kawy.

– Zrobiłam świeżą – oznajmiła. – Ktoś ma ochotę?

– Ja napiję się coli dietetycznej – odparła Ava.

– Ja chętnie! – zgłosiła się szybko Jules, gdy twarz Daisy pociemniała.

– Smithie przyniósł tu pączki. Ja chciałam usmażyć naleśniki, ale on przyniósł pączki. Ale nadal mogę usmażyć – zjesz naleśnika? – zwróciła się z nadzieją do Luke’a.

Pokręcił głową i wziął drożdżówkę, nieświadom znaków, jakie dawała mu Jules.

– Stella zrobiła wczoraj wypasionego łososia i zapiekankę z ziemniaków i wszyscy się zachwycali. A ja co, nie mogę zrobić cholernych naleśników we własnym domu? – wybuchła Daisy.

Oho.

– Jak zrobiła łososia? – spytał Vance, dolewając sobie śmietanki i siadając na oparciu fotela Jules.

To nie było dobre pytanie.

– Z masłem i ziołami, w lekkim cieście francuskim – rozpląnęła się Ava, chociaż Jules teraz jej dawała znaki, a twarz Daisy poróżowiła. – A ziemniaki z serem i śmietaną, cieniutko pokrojone... Wszystko było takie przepyszne...

Daisy zasztyletowała ją wzrokiem, postawiła z rozmachem kawę na stoliku i demonstracyjnie wyszła.

– Co ja takiego powiedziałam? – Ava rozejrzała się stropiona, a Jules uśmiechnęła się do niej: „później ci powiem”.

– Czy ja dobrze rozumiem, że Mace ma dziewczynę, która umie gotować? – odezwał się Vance.

Jules odwróciła się do niego i walnęła go w ramię, a potem zasłoniła szybko usta, zerwała się z fotela i wybiegła z pokoju.

– Kurwa. – Smithie właśnie podniósł się po kolejnego pączka, ale po jej sprincie usiadł z powrotem.

– To pojedę do domu do Brownsburg. Pomieszkać z rodzicami – mówiła Roxie do Hanka, gdy weszli do pokoju.

– Nie.

– To do Meksyku.

– Roxanne, powiedziałem: nie.

– To na Syberię!

Hank spojrzał na Lee i pokręcił głową.

– Nie kręć mi tu głową do swojego brata, Hanku Nightingale’u! – warknęła Roxie.

– O, pączki! Zajebicie. Wreszcie coś miłego – zignorował ją Hank.

Luke uśmiechnął się krzywo i cholernie seksownie; na twarz Vance’a powrócił bezczelny uśmiech, Eddie przygryzł wargę, Lee zaśmiał się cicho.

Czyli w przeciwieństwie do wszystkich Hank i Roxie nie zaliczyli porannego numerku. A może zaliczyli, tylko kłótnia zgasiła blask?

– No dasz wiarę, że się poddają? – sapnęła do mnie Roxie.

– Nie – odparłam, dalej jedząc pączka.

– Ja też nie. – Zmroziła Hanka spojrzeniem, a potem wzięła sobie pączka z polewą czekoladową i zaatakowała go z taką pasją, że budyniowe nadzienie wypłynęło z boku.

– Skarbie, nalej mi kawy – powiedział Luke.

– „Proszę”? – odparła Ava.

– Piękna Avo, nalej mi, proszę, kawy – odparł Luke łagodnie i z ciepłem w oczach.

Zagapiłam się na niego. Wyglądał tak przystojnie, miał tak słodki głos i tak otwartą twarz, że mi serce zamarło. Wstrzymałam oddech i poczułam dreszcz tam, gdzie tylko Lee mógł go wywołać.

Spojrzałam na Roxie, która gapiła się na Luke’a z otwartymi ustami, a potem na Jet, która robiła to samo, a potem na Avę, która nalewała mu kawy.

– Indy, kochanie – odezwał się cicho Lee.

Odwróciłam do niego głowę i zobaczyłam, że stoi obok mnie. Pochylił się, rozbawiony.

– Przestań się ślinić – szepnął.

Zamknęłam usta, spojrzałam na niego gniewnie i dokończyłam pączka.

Jules wróciła i znów siadła w fotelu.

– Księżniczko? – spytał Vance bardzo cicho.

– Już w porządku – wymruczała.

Dotknął ręką jej twarzy, przesunął palcami po linii włosów i założył kosmyk za jej ucho.

I wtedy coś mnie uderzyło i przeniknęło, jakbym właśnie brała gorącą, przyjemnie pachnącą kąpiel.

Odwrociłam się do Lee.

– Już rozumiem – szepnęłam.

– Co? – spytał, patrząc mi w oczy.

Przesunęłam wzrokiem po pokoju i znów spojrzałam na niego.

– Już rozumiem – powtórzyłam. Spojrzał na mnie ciepło. Wiedział, o czym mówię.

– To dobrze – odparł łagodnie.

– Kocham cię – szepnęłam znowu.

– To też dobrze – odpowiedział z uśmiechem.

Już miałam się podnieść, żeby go pocałować, gdy usłyszałam podniesiony głos Ally.

– Tak, tak, z radością zjem naleśnika! Nie mogę się doczekać!

Odwrociłam się: Ally weszła do pokoju i patrzyła na mnie okrągłymi oczami, jakby wzywała pomocy. Obok szła Daisy.

– Na pewno wszyscy mają jeszcze miejsce na naleśniki. Nikt tak naprawdę nie lubi pączków, są takie mało sycące – dodała jeszcze. Przeginała, ale zdeterminowany wzrok Daisy nie pozostawiał wyboru.

Daisy podeszła prosto do Smithiego i oparła dłonie na wąskich biodrach.

– No i co, Smithie? Ally chce naleśniki. I niech to będzie dla ciebie nauką. Nigdy nie przynoszę pączków do domu kobiety z Południa. Kobiety z Południa same karmią swoich gości i wcale nie pączkami! *Comprende?* – warknęła.

– Kurwa, kobieto, odwaliło ci? – odpalił Smithie. To nie było mądre.

Ale zanim Daisy zdążyła mu odpowiedzieć, usłyszeliśmy wrzask z pokoju obok.

– Jak śmiesz stawać między mną i zespołem?!

W salonie zapadła cisza.

Zatrzeszczało łóżko, ale nie był to trzask wskazujący na poranną akcję przystojniaka i rockowej dziewczyny, ale dźwięk wybuchu III wojny światowej w melinie Daisy.

– O rany – wytchnęła Roxie.

– Hawajczyk ma chyba problem – mruknął Smithie.

– Wychodzimy – zadysponował Lee po cichu, ale i tak było jasne, że wszyscy mają się zastosować, i to już.

Gdy dziewczyny się zawahały, Hank wziął Roxie za rękę, podniósł z kanapy.

– Teraz.

Łóżko zatrzeszczało jeszcze groźniej.

– Idziemy. – Eddie prowadził Jet.

– Wezmę kawę – szepnęła Daisy, zgarniając dwa prawie puste dzbanki.

Tak cicho, jak tylko nam się udało, przenieśliśmy się do kuchni, zostawiając pączki w salonie.

Luke zamknął drzwi.

– Nikt nie wychodzi z kuchni, dopóki jedno z nich nie wyjdzie z pokoju – oznajmił.

Zostaliśmy odcięci od pączków. – Daisy musiała już zrobić te naleśniki.

– Co takiego?! – zawołała Shirleen.

Lee właśnie oznajmił, że się poddają, wyjaśnił, dlaczego się poddają, i dodał, że ma zamiar pogadać z Sidem. Było jasne, że Shirleen się to nie podoba.

Znów siedzieliśmy wszyscy w salonie Daisy.

Shirleen, Ike, Hector i Darius (siostrzeniec Shirleen i bardzo bliski przyjaciele Lee, który od niedawna dla niego pracował) zdążyli na naleśniki, ogromnie poprawiając humor Daisy. Bobby i Matt zajmowali się firmą. NI prawie nie zarabiał, a ktoś musiał pomóc opłacić nasz ślub.

Jakieś półgodziny po ewakuacji do kuchni Jules złamała zakaz Luke'a – znów pobiegła do toalety z wymiotować.

Wróciła z nowiną.

– Chyba skończyli. Widziałam w korytarzu Stellę. I Mace'a.

Dzięki ci, Boże.

Jules przywołała dziewczyny.

– Cokolwiek się stanie, nie chwalcie ubrania Stelli – poradziła.

– Czemu? – zdumiała się Ava.

– Bo wygląda słodko.

– I czemu mamy nie mówić, że wygląda słodko? – nie zrozumiała Roxie.

– Bo Mace jej to spakował – wyjaśniła Jules.

– Aha. – Jet skinęła głową.

– I bieliznę – mówiła dalej.

– Rozumiem – wymruczała Daisy.

– Podobno jest bardzo sexy. Stella powiedziała, że to jedyny seksowny zestaw, jaki posiada.

– Wszystko jasne – dorzuciła Ally ze zrozumieniem.

– Podobno kupił go dla niej, jak byli razem – dodała Jules.

O kurczę.

Robiło się ciekawie.

Daisy roześmiała się i zabrzmiało to jak dzwoneczki.

Uwielbiałam jej śmiech.

– To ubranie to też od niego. – Opowieść Jules o garderobianych decyzjach Mace'a chyba nie miała końca.

Jet przycisnęła dłonie do ust i patrzyła na wszystkich rozbieganymi oczami, Shirleen prychnęła.

– I Stella wygląda w nim słodko? – przypomniała Roxie z niedowierzaniem.

– Bardzo. W stylu hawajskiego surfera – wyjaśniła Jules.

– Chcę to zobaczyć – wyszeptałam.

– Nie wierzę, że Mace kupił jej słodkie ciuchy – mruknęła Roxie.

– Z nią wszystko dobrze? – zmieniła temat Ava.

Jules pokręciła głową.

– Coś ze szwami? – spytała ostro Shirleen, wcześniej wprowadzona w temat batalii.

– Nie, chodzi o coś innego. Bo Stella wygląda na wkurzoną i stropioną jednocześnie. A Mace na cholernie zadowolonego, jak wychodził na korytarz z Juno, a Stella była w łazience.

– Ponury Mace był zadowolony? – zdumiałam się.

Wiedziałyśmy wszystkie, co to oznacza. Znam, wiem, widziałam, mam z tego koszulkę.

Przespał się z nią.

– Dobry Boże – wykrztusiła Jet.

– Tak szybko? – To Ava.

– Rekord Hanka pobity, co? – Ally zwróciła się do Roxie.

– Zgadza się – odparła ta z lekkim uśmiechem.

– O ja cię – dodałam tylko.

– Niech to diabli, nie zdążyłam nawet obstać! Kiedy ja się odegram w takim układzie?

– Shirleen popatrzyła na Ally. – Muszę poczekać, aż ktoś wyrwie cię.

Ally już miała coś odpowiedzieć, ale nam przerwano.

– A może dokończycie to jednak trochę później? – spytał Lee mało uprzejmie.

Poderwałam głowę i zgromiłam go wzrokiem.

– To jest ważne – warknęłam.

– Taak? – uniósł brew.

No dobra.

Może jego plan dnia był jednak odrobinę ważniejszy niż nasze plotki.

Daliśmy Stelli i Mace'owi czas na prysznic i naleśniki, a potem przenieśliśmy się do salonu.

Przeglądałam się Stelli. Naprawdę wyglądała słodko. Chciałam mieć takie ciuchy, pokochałam je. Miała na sobie krótkie welwetowe szorty w kolorze szarym i czarną obcisłą bluzkę na ramiączka i z głębokim dekoltem. Na wysokości piersi biegły niebieskie kwiaty hibiskusa. Stella wyglądała jak super wyluzowana i wylaszczona surferka. Dobry gust Mace'a, dotąd w ukryciu, trochę mnie zdziwił. Teraz byłam strasznie ciekawa, jak wygląda bielizna.

Stella milczała i unikała Mace'a na wszystkie sposoby, a Mace nie wyglądał może na zadowolonego, ale na pewno nie był ani ponury, ani wkurzony, co było jego podstawowym zestawem (i niemalże jedynym). Nie wyglądał też na szczęśliwego, za to był naładowany energią, podkreślony i jednocześnie łagodny, z czego łagodność stanowiła nowość w arsenale emocji.

Dziewczyny zgromadziły się wokół Stelli, stanowiąc bufor, gdyby nas potrzebowała, ale Mace złamał tradycję podrywu przystojniaków, nie naciskał i dał jej przestrzeń.

W salonie Daisy trochę odpuściłyśmy.

To był błąd.

Stella usiadła na oparciu kanapy obok Ally, Juno na podłodze przy niej.

Mace podszedł prosto do Stelli i patrzyłam z otwartymi ustami, jak bierze ją w tali, podnosi z kanapy i stawia na nogach. Stella zasapała ze złością i odwróciła do niego głowę; nie widziałam jej miny.

A on usiadł na oparciu, odchylił się, postawił stopę na kanapie i posadził Stellę przed sobą, między nogami. Potem przyciągnął ją do siebie i położył dłoń na jej udzie.

Ja pierdzielę.

Juno przyjęła to z całkowitym spokojem, najwyraźniej przywykła do takich zagrań ze strony Mace'a jeszcze w dawnych czasach.

Nigdy nie uważałam Mace'a za faceta, który publicznie okazuje uczucia. Podobnie jak w przypadku Luke'a – gdyby ktoś mi powiedział, że Mace będzie je tak demonstrował, parsknęłabym śmiechem. A tu proszę, czarno na białym.

Spojrzałam szybko na Ally: gapiła się na nogę Mace'a obok siebie, a potem wielkimi oczami spojrzała na mnie. Rockowe laski wymieniły spojrzenia i popatrzyły na Stellę.

Siedziała wyprostowana, ze wściekłą miną, ale prędzej dałaby się pokroić, niż zrobiła aferę. Nic z tego. Aferę robi mu później i, o rany, wtedy będzie się działo.

Chciałam zawołać „brawo, mała!”, ale nie odezwałam się.

Lee powtórzył to, o czym już prawie wszyscy wiedzieli.

Z wyjątkiem Shirleen.

– To postanowione – powiedział jej teraz.

– Nie wierzę – odpaliła.

Nie odpowiedział.

Przeniosłam wzrok na Stellę. Nie wyglądała już na wściekłą, pobladła. Widocznie Mace o niczym jej nie powiedział.

– Przepraszam bardzo... – odezwała się swoim seksownym, ochrypłym głosem.

Uwielbiałam ten głos od zawsze i nie tylko wtedy, kiedy śpiewała. Był po prostu, bez dwóch zdań, zajebisty.

– Nigdy się nie poddajecie – wytknęła Shirleen, nie słysząc Stelli.

– Za dużo jest do stracenia – odparł tylko.

– Przepraszam... – powtórzyła Stella, Ally spojrzała na nią.

– Ja pierdołę, nie wierzę! – Shirleen eksplodowała. – Byliśmy tak blisko załatwienia tego skurwiela!

– Przepraszam... – zaczęła znowu Stella.

– Yo! – zawołała Ally i wszyscy odwrócili się do niej. – Stella chce coś powiedzieć!

Wszyscy popatrzyli na Stellę.

– Chciałam tylko... – Wstała i obejrzała się na Mace'a. Na bladej twarzy nie było już śladu złości. Odwróciła się, wyprostowała, odrzuciła do tyłu ciemne, połyskliwe włosy i zaczęła mówić, a jej gardłowy głos brzmiał teraz mocniej. – Zasiadałam kiedyś w ławie przysięgłych.

Zamilkła, wszyscy na nią patrzyli.

– I do czego to zmierza? – wymruczał do mnie Smithie, który siedział obok mnie na kapanie naprzeciw Stelli.

– Cicho – syknęłam.

– Tak? – zachęcił ją Luke.

– To była sprawa o morderstwo – podjęła Stella. – Pokazano nam zdjęcia ofiary. Strzał w głowę i w pierś. Pełno krwi. Straszne. Ja pitolę, jakie to było straszne.

Nikt się nie odzywał.

– Oskarżenie miało jednego świadka – mówiła dalej. – Czarnoskórą starszą panią. Widziała całą sytuację. Weszła, spojrzała na oskarżonego i wiedziałam, jak bardzo się go boi. Jej strach wypełnił całe to pomieszczenie. Można było go poczuć. Można było... przysięgam na Boga, że prawie czuło się go w ustach. Kobieta mieszkała po sąsiedzku i знаła oskarżonego. Wiedziała, że to przestępca. Wiedziała, że może ją skrzywdzić, nawet jeśli będzie w więzieniu. Wiedziała to równie dobrze jak przysięgli.

Wszyscy na nią patrzyli. Wszyscy rozumieli, do czego zmierza. Nikt nic nie mówił.

– Obrońca siedział zrelaksowany na swoim miejscu – mówiła dalej. – Wyluzowany, swobodny i tylko na nią patrzył. Spytano ją, co widziała. Zaciskała dłonie, okropnie zdenerwowana, ale opowiedziała. Spytano, czy widziała, kto to zrobił. Dalej ścisła ręce, ale odpowiedziała. Spytano, czy ta osoba jest na tej sali. Powiedziała, że tak. Poproszono, by ją wskazała. Ręce jej się trzęsły, nigdy nie zapomnę tego widoku, ale spojrzała mu prosto w oczy i wskazała go.

– Dobry Boże – szepnęła Jet.

– Uzналиśmy go za winnego. Gdy zwrócono się do ławy przysięgłych, każdy z nas musiał powiedzieć wyrok głośno, przy oskarżonym, a on patrzył po kolei na każdego z nas. Wtedy doświadczyłam strachu tamtej kobiety, w jakiejś części.

Urwała i po chwili mówiła dalej.

– Gdy wyszliśmy z sali, rodzina ofiary rzuciła się na nas, płakali i dziękowali, zmusili nas do wygłoszenia modlitwy. Byli tacy szczęśliwi, że już po wszystkim. Że facet, który zabił ich syna, brata i tak dalej, teraz pójdzie siedzieć.

– Stella – odezwał się delikatnie Lee.

– Chcę głosowania – oznajmiła Stella.

Mace objął ją w talii, pochylił się i szepnął do ucha.

– Kociątko – wymruczał cicho, ale wszyscy to słyszeliśmy.

O rany.

Słyszałam już wczoraj, jak tak do niej mówił, ale nadal mnie to szokowało. No kurczę, jakie to było słodkie!

– Chcę głosowania – powtórzyła głośniej. – Ten człowiek zabił moją przyjaciółkę. Postrzelił mnie. Strzelał do moich przyjaciół.

Stała wyprostowana, a Mace stał tam za nią, teraz obejmując ją w piersi. Nie wiem, co chciał zrobić, uciszyć ją czy okazać moralne wsparcie, nieważne. To pierwsze i tak by mu się nie udało, drugiego nie potrzebowała.

– Chcę głosowania – powiedziała raz jeszcze, głośniej.

– To już postanowione – powtórzył Luke słowa Lee.

– Dobrze, ale chcę głosowania – zwróciła się do Luke'a, a potem przesunęła wzrokiem po wszystkich. – Jeśli tamta starsza pani mogła zaryzykować w słusznej sprawie, ja też, cholera, mogę to zrobić. Jeśli wy, cholerni twardziele, się z tym nie zgadzacie, w porządku. Nie jestem głupia i wiem, że sama nie załatwię tego faceta. Wiem, że wy musielibyście to zrobić, ale przynajmniej chcę jebanego głosowania!

– Ja również. – Roxie wstała.

Cholera.

Spojrzałam na Lee, widziałam, jak zagrały mu mięśnie na policzku.

Zły znak.

– Roxie... – Hank już szedł przez pokój w jej stronę, cofnęła się.

– Nie, Hank – powiedziała, podnosząc ręce i odsuwając go.

– Stella ma rację – wtrąciła się Ally.

– Ally... – zaczął ostrzegawczo Lee.

– Wiesz, że ma – powiedziała tak spokojnie i delikatnie, tak kompletnie nie swoim głosem, że to było aż nierealne.

Jasny szlag.

– Wiem i chuj z tego wynika – odpalił Lee, tracąc cierpliwość. – Indy i ja bierzemy ślub za dwa tygodnie, Jules jest w ciąży, a...

– Ona ma rację – wcięła się Jules i też wstała. – Stella ma rację.

– O kurwa. – Luke spojrzał na swoje buty.

– Cicho, Jules – mruknął Vance.

Jules spojrzała na niego.

– Mogę gdzieś wyjechać.

– Nie.

– Tam, gdzie będzie bezpiecznie – mówiła dalej.

Przysunął się i położył dłoń na jej brzuchu.

– Jeśli myślisz, Księżniczko, że stracę z tego choćby minutę, to się mylisz.

Przełknęłam ślinę.

– To spraw, żeby tutaj było bezpiecznie – wyszeptała.

Poczułam łzy w oczach.

Cholera!

Jasna cholera!

Nie będę płakać.

Spojrzałam na Lee. Patrzył na mnie, wciąż zaciskając szczęki. Wstałam i podeszłam do niego, a on mnie przytulił.

Objęłam go ręką w pasie, przysunęłam się do jego ucha i wyszeptałam:

– Wiesz, że Stella ma rację.

Zesztywniał.

– Kurwa.

– Nie możemy się poddać – mówiłam dalej.

Nie odpowiedział.

– Jeśli to zrobimy, on wygra.

Milczał.

– Nie działamy w ten sposób, Lee – dokończyłam.

– Jeśli coś ci się stanie... – zaczął.

Odchyliłam głowę i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Nic mi się nie stanie – obiecałam.

Patrzył na mnie. Wiedziałam, co teraz czuje. Był zły, ale poczuł ulgę.

Potem nachylił się i dotknął ustami moich warg.

Gdy skończyliśmy się całować, powiedział:

– Dobra.

A ja poczułam, jak rozluźnia się supeł, o którego istnieniu nie wiedziałam. Aż do teraz nie zdawałam sobie sprawy, jak jestem zasuplona.

Lee przysunął mnie.

Wszystkie dziewczyny i ich faceci prowadzili zajadłą dyskusję.

– Głosujemy? – zwrócił się Lee do wszystkich.

Zapadła cisza.

– Mam jeszcze dziś coś do załatwienia – przypomniał.

– Wchodzę w to – oznajmił od razu Hector, patrząc na Stellę.

– Ja również – dołączył Darius.

– Jestem – dodał Ike.

– Ja pierdzielę – warknął Luke.

– Luke? – spytał Lee.

Luke spojrział na niego, potem odwrócił głowę i przechylił się, żeby spojrzeć na Avę. Oblizła wargi i wzruszyła ramionami. Dotknął czołem jej czoła, zamknął oczy na krótką chwilę i odsunął się.

– Wchodzę.

– Vance?

Vance spojrział na Jules. Jules objęła się rękami w talii.

– Kurwa – wymruczał. – Tak.

– Hank?

Hank popatrzył na Roxie.

– Pojedziesz do Brownsburg? – spytał.

– Jeśli będziesz chciał – odparła.

Zamrugął powoli i wziął głęboki wdech.

– Porozmawiamy o tym – wymruczał do niej i głośno dodał: – Wchodzę.

– Eddie? – spytał Lee.

– Jestem – odparł Eddie od razu, a Jet uśmiechnęła się i oparła o niego.

– Mace? – spytał Lee.

– Nie.

Powietrze zgęstniało, Stella zastygła. Nadal stali razem, Stella trzymała go za rękę, on opierał brodę na jej ramieniu.

– Słucham? – zapytał Lee.

– Nie – powtórzył Mace.

– Nie? – wybuchł Hector, wściekły jak diabli, i wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. A potem, jak na meczu tenisowym, znów popatrzyli na Stellę i Mace'a.

Bo Stella odwróciła się do niego gwałtownie. Mace szybko odchylił głowę, ale nie zabrał ręki, stała bardzo blisko niego. Położyła mu ręce w pasie i zacisnęła palce na podkoszulce.

– Zabił Linnie – przypomniała, odchylając głowę i patrząc mu w oczy.

– Tak, i nie chcę, żeby zabił też ciebie – odparł.

To ją odpaliło.

– Zamordował moją przyjaciółkę! – krzyknęła.

– Tak, i strzelał do ciebie! – krzyknął jej w twarz i cały pokój zastygł, gdy podniósł na nią głos.

Ten wielki, muskularny facet wybuchł złością, ale Stella nawet nie drgnęła. Co więcej, Juno tylko przekręciła się na bok i rozciągnęła, kompletnie nieświadoma napięcia panującego w pokoju.

– No i co z tego? – odwrzasnęła Stella, kompletnie nieprzejęta jego krzykiem.

– Że więcej się to nie stanie.

– Dobra, ja też nie chcę, żeby ktoś do mnie strzelał. Ale jeszcze bardziej nie chcę, żeby mordercy Linnie uszło to płazem!

– Gliny wyznaczą do tej sprawy kogoś innego, Sid w końcu coś zjebie i ktoś go zdejmie.

– Taki jesteś pewien?

– Bardziej tego, że nie będziesz już uciekać pod ostrzałem z broni maszynowej.

I chociaż nadal przyklejona do Mace'a, Stella odwróciła głowę i spojrzała na Lee.

– Ja też mogę głosować? – spytała.

– Wszyscy znamy twój głos, kotku – odparł łagodnie Lee.

– Czy skoro mnie postrzelili i tak dalej, mogę zagłosować za Mace'a?

Mace zacisnęła szczęki. Zamknął oczy, a gdy znów je otworzył, również spojrział na Lee i widać było wyraźnie, że szuka cierpliwości i zrozumienia innego faceta.

Prawie się roześmiałam. Biedny Mace.

I gdybym usłyszała dwa dni temu, że będę mu współczuć, też bym się śmiała.

I chociaż manewr Stelli wyraźnie mu się spodobał, Lee pokręcił głową.

– Nie, Stella, to tak nie działa.

– Wchodzę – warknął w końcu Mace i wszyscy widzieliśmy, ile go to kosztowało.

Stella odwróciła do niego głowę.

– Naprawdę? – zapytała, patrząc mu w oczy.

– Naprawdę – powiedział, a jego głęboki głos zabrzmiał przerażająco.

A potem spojrział na Lee.

– Jeśli coś jej się stanie, jeśli coś stanie się któregoś z nich, działam na własną rękę. Jasne?
– powiedział.

Atmosfera się zmieniła. Jeśli myśleliśmy, że przedtem panowało tutaj napięcie, nie mieliśmy pojęcia, o czym mówimy.

Stella zastygła. Tak jak my wszyscy.

Wszyscy go zrozumieli. Zrobił to już kiedyś dla Jet: zniknął, żeby znaleźć i załatwić gościa, który przemienił życie Jet w piekło. Na szczęście Eddie, Lee, Hank i Darius byli tam, gdy Mace go dorwał.

Jeśli ten cholerny Sid skrzywdzi Stellę czy którąś z rockowych lasek, Mace, który nigdy nie słynął z łagodności, będzie na niego polował, aż go zabije.

Cholera, wiedzieliśmy już, jak to jest, i nie chodziło tylko o Mace'a. Luke też to zrobił w przypadku Avy.

Szlag.

Spojrzałam na Stellę, zbladła.

– Mace... – szepnęła.

– Mace – powiedział Hank głośniej, bardzo znacząco.

A on przysunął Stellę do swojego boku, objął ją w talii, wsunął kciuk w szlufkę na pasku szortów i przyciągnął do siebie.

– Uczciwe ostrzeżenie, Hank – powiedział.

Hank patrzył na Mace'a, nikt nic nie mówił.

– Uczciwe – powtórzył Hank.

Niedobrze.

Ale przecież gdyby coś stało się Roxie, Ally czy mnie (albo innej dziewczynie), to Hank polowałby na tego gościa razem z Mace'em.

Cholera.

– Wojna – wymruczał Luke.

– Wojna – zgodził się Eddie.

– Kurwa mać – warknął Vance.

Hector się uśmiechnął, Darius pokręcił głową.

– Pogadam z Bobbym, Mattem i Montym. To nie może wypłynąć – oznajmił Lee.

Spojrzałam na niego, on spojrział na mnie.

– Kocham cię – wyszeptalam, drugi raz dzisiaj.

Jego oczy nie zrobiły się ciepłe, w kącikach nie pojawiły się zmarszczki. Był cholernie poważny.

Do licha.

– To dobrze – odparł tylko.

Rozdział 6

Zakochanie się w tobie również

Stella

Zjebałam to.

Na całego.

W porywie ratowania ludzkości przed Sidem, którego nawet nie znałam, naraziłam wszystkie rockowe laski.

Działałam bez zastanowienia.

Znowu.

Ostatnio zdarzało mi się to zbyt często. Musiałam coś z tym zrobić, bo albo znów wyląduję z Mace'em w łóżku, co, musiałam przyznać (głęboko w środku), nie byłoby takie złe, albo w trumnie, co byłoby znacznie gorsze.

Dziewczyny nie miały z tym problemu. Cały dzień powtarzały, że miałam rację, że się cieszą, a nawet że poprawiłam im wszystkim humor. Ich faceci się nie poddawali – to był jeden z powodów, dla którego z nimi były. Ciężko było je przegadać.

Zmusiłam się, żeby im wierzyć, i spędziłyśmy wspaniały dzień. Chłopaki wyjechały, żeby zająć się pracą, a my piłyśmy kawę, rozmawiałyśmy, pomogłyśmy Daisy posprzątać w szafach (tak, miała więcej niż jedną) i grałyśmy w „Guitar Hero”.

Ale i tak się martwiłam. Nie o to, że coś stanie się mnie, tylko że coś stanie się im – z mojej winy.

A teraz, czyli późnym popołudniem, Mace wiozł mnie do domu.

Nie rozmawiałam z nim. To był mój nowy wspaniały plan.

Zaczęło się naturalnie.

Gdy narada dobiegła końca, nie miałam szans z nim pogadać. Położył mi ręce na szyi, odchylił głowę, dotknął kciukami moich warg i musnął je ustami w lekkim pocałunku.

Byłam spanikowana, przejęta tym, jak bardzo naraziłam wszystkie dziewczyny, a pocałunek był bardzo miły – więc nie protestowałam.

Zanim doszłam do siebie, Mace wyszedł.

Wrócił kwadrans temu, w trakcie pojedynku Indy i Ally: „Paradise City” Guns N’ Roses, tryb zaawansowany, co oznaczało użycie wszystkich pięciu przycisków zabawkowej gitary, dla mnie poza zasięgiem.

Mace spojrział na mnie.

– Gotowa na powrót do domu?

Jak najbardziej. A nawet jeszcze bardziej. Może niekoniecznie z nim, ale tak strasznie chciałam wrócić do domu, że nie miałam zamiaru wybrzydzać. Chciałam wrócić nie dlatego, że nie lubiłam rockowych lasek, bo lubiłam je, i to bardzo, ale z każdą sekundą spędzoną z nimi czułam się jeszcze bardziej winna i jeszcze bardziej do dupy.

Mace prowadził w milczeniu.

Taki właśnie był. Nigdy nie mówił dużo. Przez ostatnie dwa dni powiedzieliśmy sobie więcej, niż mówiliśmy w czasie całego tygodnia, gdy byliśmy razem. To też w nim lubiłam: ja nie musiałam go zabawiać, a on nie czuł potrzeby olśniewania mnie swoją inteligencją. Od początku było nam z tym dobrze.

Jechaliśmy, patrzyłam na Denver za oknem i myślami już byłam w domu.

Mieszkałam w wielkim pokoju w dużym starym domu, który lata temu podzielono na apartamenty. Obecni właściciele, Swen i Ulrika, przywrócili mu dawną świetność. Żeby to opłacić, najpierw wyremontowali dom teściowej i wynajęli go, a potem odnowili mój pokój i również go wynajęli – mnie.

Żeby dotrzeć do mojego pokoju, trzeba było wejść bocznymi drzwiami z werandy, pokonać dwie

kondygnacje schodów, prawie oddzielnych (prócz mnie korzystały z nich tylko Juno, Swen i Ulrika oraz ich trzy koty).

Pokój był wielki, przestronny i pomalowany na biało (ale nie ostra biel, tylko łagodna, o odcieniu skorupki jajki), miał drewniane podłogi, a na nich kolorowe dywaniki. Cały wystrój pochodził z TJ Maxx i Targeta. Zarabiałam na koncertach i sporadycznych lekcjach gry na gitarze (fani The Gypsies chcieli, żeby dzieci spełniały marzenia, ale lekcje nigdy nie trwały długo, bo w przeciwieństwie do rodziców dzieciaki się tym aż tak nie jarały, chociaż i tak świetnie się bawiliśmy), nie były to jakieś oszałamiające kwoty i nie stać mnie było na porządne meble.

Żadne luksusy, ale uwielbiałam to miejsce.

Od razu przy wejściu, po lewej stronie, trzy stopnie prowadziły na platformę, gdzie stało moje wielkie łóżko, przykryte kremową narzutą. Mieściło się w wielkiej, okrągłej wieży, z oknami dookoła. Miałam zwiewne białe zasłony, widok na ogród (gdzie Ulrika sadziła mnóstwo kwiatów, a Swen się nimi zajmował) i góry w tle.

Po drugiej stronie od drzwi, dwa schodki w dół, miałam kuchnię, niewielką, w kształcie litery U.

Z przodu kuchni, pięć schodków w górę, mieściła się platforma z zieloną kanapą, telewizorem i jeszcze jednym wielkim oknem.

Po przekątnej, dwa schodki wyżej, była kolejna platforma, moja przestrzeń. Trzy gitary na stojakach (dwie elektryczne, jeden akustyk), stopy płyt, dwa statywy, wzmacniacze i wielki, fioletowo-różowy fotel, stary i wysiedziany, ale za to cholernie wygodny.

Za ścianą kuchni znajdowały się pralko-suszarka, szafa i drzwi do łazienki. W środku była wanna na wygiętych nóżkach, zlew i mozaikowa podłoga. Do tego wiklinowy kosz na brudną bieliznę i spory kredens z przeszklonymi drzwiczkami, rodem z antykwarycznej apteki. Wypatrzyłam go na podwórkowej wyprzedaży, Floyd go naprawił, a my z Emily pomalowałyśmy na biało. Trzymałam w nim ręczniki i różne drobiazgi.

Mieszkanie nie odpowiadało rockowym stereotypom: nie kipiało kolorami, nie było zagracone, żadnych chust i szalów na abażurach. Czyste i ogarnięte, bez niepotrzebnych śmieci. Musiało takie być, wystarczyło mi bajzlu, który miałam w głowie.

Pamiętam, jak Mace wszedł tutaj pierwszy raz, gdy przyjechał, żeby mnie zabrać na randkę. Rozejrzał się, chyba zaskoczony.

– Jesteś pełna niespodzianek – wymruczał. Poczulałam, że nie chciał powiedzieć tego na głos, więc nie zareagowałam.

Zawsze zastanawiało mnie, co miał na myśli. Wcale nie czułam się pełna niespodzianek.

Po tamtej randce praktycznie u mnie zamieszkał, u niego nocowaliśmy może kilka razy. Powiedział, że potrzebujemy mojego łóżka z powodu Juno (jego było mniejsze), ale podejrzewałam, że po prostu lubił moją przestrzeń. A ja lubiłam jego w moim mieszkaniu. Pod koniec trochę za bardzo.

Daisy mieszkała w Englewood, ja w Highlands, czyli dwadzieścia minut drogi, jeśli nie było korka (ale był). Przestałam myśleć o domu i przełączyłam się na to, co zwykle, czyli myślenie o chłopakach z kapeli i martwienie się o nich. A raczej o to, że oni martwią się o mnie.

Zwłaszcza Floyd.

Westchnęłam i oparłam głowę o szybę. Na siedzeniu za mną Juno oblizywała się i wachała wiatr przez okno, które Mace dla niej uchylił.

Musiałam zadzwonić do Floyda.

Floyd miał naprawdę talent i mógł zajść daleko, rozwinąć się, gdyby przeniósł się do Nowego Jorku albo LA. Mógłby zostać najmarniej muzykiem sesyjnym, a nawet pójść jeszcze dalej, o wiele dalej.

Ale nie chciał. Chciał spokojnego życia ze swoją żoną, chciał patrzeć, jak jego dziewczynki dorastają szczęśliwe, i to właśnie miał. Taki był Floyd i między innymi za to go kochałam.

Początkowo upierał się, żebym ja robiła karierę, mówił, że nie tylko mam talent, ale również prezencję sceniczną, która wywała z butów (jak to ujął).

Ale ja nie chciałam sławy ani majątku, koncertów na stadionach i zdjęć na okładce „Rolling Stone”. Nie tworzyłam muzyki, grałam ją. I nie grałam jej dla pieniędzy, lecz żeby nie oszaleć. Jedyna szansa ucieczki z mojego przejebanego dzieciństwa to setki światów oszałamiających dźwięków i słów

piosenek, które śpiewałam.

Żeby było jasne. Cieszyłam się z lokalnego sukcesu The Gypsies. Żądaliśmy wysokich honorariów, darmowych drinków, procentu od liczby klientów, to nie były małe pieniądze. Dało się opłacić rachunki, mogłam żyć z mojej muzyki. Wszyscy w zespole wiedzieli, że nie pójdziemy wyżej, bo ja tego nie chcę. Nie raz podchodzili do mnie łowcy talentów, ale mnie zależało na kapeli, a łowcom – na mnie.

Nie mówiliśmy o tym, ale wszyscy, Hugo, Pong, Leo i Buzz, wiedzieli, że sercem zespołu były moja gitara i mój głos, a duszą pianino Floyda. Oni sami byli naprawdę dobrzy, lecz nie wybitni.

Za to wyglądali wspaniale i lepiej grali razem, w kapeli, niż graliby oddzielnie. Potrzebowali tego zespołu, żeby coś znaczyć, i gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że był to jedyny powód, dla którego nasz band ciągle się trzymał. Ciągłe się kłóciliśmy i ciągle istniało niebezpieczeństwo, że któryś z tych zapalczywych (Hugo i Pong) czy melodramatycznych (Leo i Buzz) w końcu trzaśnie drzwiami i wyjdzie.

Zależało mi, żebyśmy trwali razem, potrzebowałam ich. Początkowo chodziło tylko o muzykę, ale teraz stali się jedyną rodziną, jaką miałam, odkąd zostawiłam rodziców. Zespół był dla mnie wszystkim.

Mace wjechał na zwirowy podjazd z boku domu.

Wyrwana z zamyślenia, zobaczyłam swojego vana obok volva Swena i Ulriki.

Nie musiałam pytać, skąd się tu wziął.

Wiedziałam, że za sprawą Mace'a.

Nie skomentowałam. Cieszyłam się, że nie muszę wracać po niego pod dom Linnie że właśnie nie rozmawiam z Mace'em i nie muszę mu teraz za to dziękować.

Zaparkował i sięgnęłam ręką do klamki.

– Nie wychodź, dopóki nie otworzę ci drzwi – powiedział twardym tonem.

Westchnęłam, ale znów się nie odezwałam. Mace wysiadł, obszedł samochód, rozglądając się, i podszedł do drzwi z tyłu. Juno wyskoczyła radośnie, Mace wziął torbę sportową, zamknął drzwi z tyłu, otworzył moje. Wysiadłam ze znacznie mniejszym entuzjazmem niż wcześniej pies.

Mace szedł, osłaniając mnie, szybko wprowadził nas do domu.

Nie wpłynęło to dobrze na moje poczucie winy.

Może i nie chciałam być znowu z Mace'em, ale nie mogłam nie zauważyć, jak mnie chroni i jak poważnie traktuje swoje zadanie. Nie mogłam również nie zauważyć, że nie robił tego dlatego, że byłam kobietą, którą miał chronić, ale że uważał mnie za swoją kobietę, którą miał chronić.

Ja pitolę.

Weszliśmy bez słowa po schodach, Mace otworzył drzwi, kazał mi zostać w holu. Nigdy nie prosiłam o zwrot klucza, bo wtedy musiałabym do niego zadzwonić, a to mogłoby się skończyć błaganiem go, żeby wrócił (a tego nie chciałam, w żadnym stopniu, nic z tego, w żadnym razie). Dlatego ciągle miał klucz.

Mace wszedł do środka, usłyszałam jakieś dziwne pischczenie, potem jak chodzi po mieszkaniu, w końcu zawołał Juno i mnie.

Weszłyśmy. Juno od razu skrzyła w lewo, pewnie po to, żeby zwalić się na łóżko w celu ucięcia sobie szalenie ważnej psiej drzemki numer piętnaście.

Ale przed schodkami stanęła i spozjrzała w górę zaskoczona.

Ja też spozjrzałam.

W pokoju było ciemno. Rolety, których dwa dni temu tutaj nie było, były spuszczone, łóżko przesunięto tam, gdzie stały gitary, gitary znalazły się na środku, a kanapa zajęła miejsce łóżka.

– Co się tu... – zaczęłam.

Mace zamknął drzwi i rzucił torbę na platformę z kanapą.

Gapiałam się, jak wchodzi na górę i zapala światło, a potem wraca do mnie. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął coś, co kliknęło.

Podszedł do mnie i wskazał drzwi.

– Nowy zamek, łańcuch i wizjer. Dwóch ostatnich używaj, jak będziesz w domu. Pierwszego,

gdy wychodzisz. Nie tylko w tej konkretnej sytuacji, zawsze – polecił, dając mi klucz.

Wzięłam, nie odrywając wzroku od drzwi, które teraz miały trzy zamki oraz wizjer.

Ja pierdzielę.

Mace wziął mnie za rękę i pociągnął dwa kroki od drzwi.

– Panel alarmowy – oznajmił, puszczając moją dłoń; wskazał nowe pudełko na ścianie i otworzył je. – Zapamiętaj kod. – Podał mi skrawek papieru.

Spojrzałam, przeczytałam cyfry, przeczytałam jeszcze raz, powtarzając w głowie i dodając skojarzenie (co robiłam zawsze przy zapamiętywaniu numerów).

– Już? – spytał.

Popatrzyłam mu w oczy i skinęłam. Nie powiedziałam nic, nie z powodu wcześniejszego planu nierozmawiania, a dlatego, że zwyczajnie nie byłam w stanie. Właściwie zapomniałam już o swojej strategii milczenia.

Wziął ode mnie karteczkę, zwinął ją, schował do kieszeni.

– Po wejściu masz trzydzieści sekund, żeby wzbic kod i wcisnąć przycisk. – Pokazał który.

– Przed wyjściem zawsze uzbijas alarm i masz minutę, żeby razem z Juno opuścić dom. Ta sama zasada, ten sam kod, ten sam przycisk. Tak?

Skinęłam głową.

– Widzisz ten? – Wskazał czerwony.

Znowu skinęłam.

– Przycisk alarmowy. Naciskasz go i sygnał dociera do dyspozytorni policji. Znają kod i od razu wyślą wóz na syrenach. Zaraz potem sygnał idzie do pokoju monitoringu w naszym biurze i wiemy, że coś ci się stało. Nie naciskasz go, dopóki nie pojawi się zagrożenie. Rozumiesz?

Co tu się działo?

– Mace...

– Rozumiesz? – powtórzył cierpliwie.

Wydawał się mocno skoncentrowany, więc skinęłam znowu.

– W obu twoich telefonach jest zaprogramowany numer naszej dyspozytorni, szybkie wybieranie.

Wciskasz jedynekę, potem dzwonisz. Jeśli nie jesteś w pobliżu panelu alarmu, używasz telefonu. Tak?

– Tak.

– Drzwi są pod alarmem, okna tak samo. Wpisujesz kod, potem ten przycisk – pokazał inny – gdy jesteś w domu. To oznacza, że czujniki peryferyjne są aktywne, a czujniki ruchu już nie. – Wskazał czerwone światełka w rogach pod sufitem. Rozejrzałam się, było ich całkiem sporo.

Mace mówił dalej.

– To oznacza, że alarm jest uzbrojony i jeśli ktoś spróbuje włamać się przez drzwi albo okno, policja dostanie sygnał, wyśle wóz, sygnał dotrze do nas, ta sama procedura. Rozumiesz?

Rany boskie.

Tego było za dużo. Za dużo.

To było jakieś szaleństwo.

Ale nie powiedziałam tego. Zdaje się, że mogłam już tylko kiwać głową.

Mace mówił dalej.

– W pokoju są kamery, niewidoczne dla ciebie i innych ludzi. Łazienka jest na drugim piętrze, okno jest wąskie, mało prawdopodobne, żeby ktoś się przez nie włamał, ale i tak ma czujnik. W łazience nie ma kamery. Kamery będą włączone przez cały czas, dwadzieścia cztery na siedem, obraz idzie do biura. Chcesz się przebrać, idziesz do łazienki. Nadążasz?

Skinęłam głową.

– Kamery są też na zewnątrz, nad frontowym, tylnym i bocznym wejściem i na parkingu. Też dają obraz przez cały czas. Rozmawiałem ze Swenem. Wie, co się dzieje, i cieszy z tego, co zrobiliśmy. On i Ulrika i tak planowali wyjechać w sobotę, bardzo dobrze się składa.

Zadrżałam. Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, że sprawa jest poważna. Śmierć Linnie, moja rana, strzelanina i groźby jakoś mi tego nie uświadomiły.

Spanikowałam dopiero przy środkach ostrożności.

– Mace... – zaczęłam znowu.

Położył mi rękę na szyi, przysunął się, schylił głowę.

– Kociątko, za minutę odpowiem na wszystkie twoje pytania – powiedział spokojnie. – Daj mi dokończyć, a potem spytasz mnie, o co chcesz.

Jeszcze nie skończył?

To jeszcze nie było wszystko?

Mówił dalej.

– Znasz tatę Indy, Toma? Detektywa? – spytał.

Znowu skinęłam głową.

– Wóz patrolowy będzie zjawiał się regularnie, o różnych porach, Tom to załatwia. Jeśli ktoś chciałby się tu przyczaić i czekać na okazję, to albo zostanie zauważony przez policję, albo sam zauważy, jak często kręci się tu policja. Wtedy albo będą bardzo ostrożni, albo w ogóle odpuszczą. Co jakiś czas policjant zadzwoni tutaj do drzwi. Mogą chcieć cię zobaczyć, będziesz wtedy musiała pokazać im swoją twarz. To może być o każdej porze doby.

Wskazał mały ekranik nad alarmem.

– Wciskasz ten przycisk, ty widzisz ich i możesz rozmawiać, oni nie widzą ciebie. Policjant zawsze będzie w mundurze, pokaże odznakę. Otwierasz dopiero, jak ją zobaczysz. Przy bardzo niewielkiej szansie, że tamtym typom uda się przedrzeć przez system ochrony i dopaść cię w domu – na widok policjanta pewnie doprowadzą cię do drzwi i zostaną w ukryciu. Wtedy ty mówisz policjantowi hasło: „wszystko na tip-top”. On zrozumie, że jest niedobrze, ale będzie działał ostrożnie. Rozumiesz?

Teraz już nie drżałam. Teraz mnie telepało.

– Skarbie, rozumiesz? – spytał łagodnie.

Skinęłam.

– Rolety zawsze będą spuszczone. Łóżko jest z dala od okien, żeby nie mogli strzelać, jak będziemy spać. Unikaj kanapy, jest na widoku. Ściany są ceglane, za nimi jesteś bezpieczna, okna nie, więc nie podchodź.

– Dobrze – szepnęłam.

Mace nic nie mówił.

– Jest coś jeszcze? – spytałam.

– Tak.

Ja pitolę.

– Jest kilka bezpiecznych stref: Fortnum, Zamek i biuro, mieszkanie Indy i Lee, Avy i Luke’a, twoje tutaj. To wszystko. Nie chodzisz nigdzie indziej, chyba że jestem z tobą ja albo któryś z chłopaków. Do bezpiecznej strefy docierasz z eskortą, zawsze, bez wyjątku. Przemieszczasz się wyłącznie wozem patrolowym lub samochodem firmy. Dobrze?

Skinęłam głową.

Znowu umilkł.

– To wszystko?

Teraz on skinął.

– Czy to nie jest przesada?

Pokręcił głową.

– To musiało kosztować fortunę, kto za to płaci? – mówiłam dalej.

– Większość sprzętu mamy na stanie. Wszystkie inne potrzebne rzeczy są w gestii chroniącego dziewczynę.

O rany.

– I co to znaczy? – spytałam, chociaż znałam odpowiedź.

– Że ja zapłaciłem.

Zamknęłam oczy. Tego się obawiałam.

Juno szcęknęła zadowolona.

Otworzyłam oczy.

Już oswoiła łóżko. Teraz leżała na brzuchu, z głową na przednich łapach i przyglądała się nam.

– Jak daliście radę się z tym wyrobić? – Nie znałam się na alarmach ani kamerach, ale wyglądało to na rozbudowany system, który ciężko zainstalować w ciągu dwóch dni.

– Vance jest dobry i działa szybko, lata praktyki, tak samo Monty. Skupili się głównie na tym. U Hanka, Eddiego, Nicka i Vance’a trzeba było wymienić szyby; zostali w Zamku, póki tego nie zrobiono. W ten sposób Vance i Monty mogli się skupić na bliźniaku Indy i Lee, gdzie Lee założył skomplikowany system alarmowy kilka miesięcy temu, więc został im tylko montaż kamer. Podobnie loft Luke’a i Avy, już miał wysoki poziom ochrony, musieli tylko przeinstalować kamery. Dlatego mogli się skupić na działaniach u ciebie.

Pewnie powinnam się poczuć jeszcze bardziej winna, ale uznałam, że osiągnęłam już poziom, po którym mój organizm dokona samozapłonu.

– Jak udało wam się ogarnąć taką ochronę policji?

– Ally, Hank, Lee oraz Indy mają ojców gliniarzy. Hank i Eddie sami są gliniarzami. Dla nich to sprawa rodzinna, a ty zostałam adoptowana. Poza tym Sid narobił niezłego bajzlu w tym mieście, mnóstwo ludzi chce się go pozbyć, a nikt nie chce ponosić strat, zwłaszcza w ludziach.

Cholera.

Chyba dobrze, że zostałam adoptowana.

Dobra, to jeszcze jedno.

– Dajemy koncert w ten weekend, piątek i sobota wieczorem, niedziela po południu.

– Wiem. Rozmawiałem z właścicielami klubów. Zrobimy przegląd klubu, zanim otworzą, w trakcie będą tam nasi ludzie. Każdy, kto będzie wchodził, pokazuje torbę czy plecak, wszyscy zostaną sprawdzeni na okoliczność posiadania broni, łącznie z pracownikami.

Sprawdzeni na okoliczność posiadania broni?

Będą trzepać ludzi przychodzących na koncert?

Ja pierdzielę.

Mace odczekał chwilę i przysunął się jeszcze bliżej.

– Masz jeszcze jakieś pytania?

„No chyba z milion!”, krzyknął mózg.

Pokręciłam głową.

– To ja mam jedno – powiedział mi.

– Słucham – odparłam cicho.

– Czemu drżysz?

Zamrugałam oczami.

– Nie wiem – skłamałam. Wiedziałam. Wiedziałam cholernie dobrze.

Byłam w chuj przerażona.

Przysunął się znowu, położył mi jedną rękę na talii, a drugą ścisnął mi lekko kark. Nie wiem czemu, ale przestałam drżeć.

– Będę cię chronił – obiecał niskim głosem.

– Nie chcę – skłamałam. Strasznie tego chciałam, ale nie mogłam sobie na to pozwolić.

Znów mnie uściśnął.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim wygłosiłaś mowę o głosowaniu.

Święta racja. Powinnam była pomyśleć o wielu rzeczach.

– Nie o to chodzi. Wiem, że potrzebuję ochrony, tylko nie chcę, żebyś ty to robił. Przydzielcie kogoś innego. – Zastanowiłam się, jaki mam wybór, i wybrałam gościa, który wyglądał na największego twardziela. – Może być Hector.

Znów błysk w oczach Mace’a, ale tym razem inny. Teraz palił się w nich gniew.

– Nie będzie tu żadnego Hectora, z dwóch powodów. – Jego głos pobrzmiwał złością.

Zignorowałam to i oparłam ręce na biodrach.

– I jakich to?

– Pierwszy jest taki, że przed upływem doby leżałabyś na plecach, on na tobie i oboje bylibyście nago.

Zastygłam. Wytrzeszczyłam oczy i zacisnęłam pięści. Mace albo nie rozumiał, jak mnie właśnie

obraził, albo nie dbał o to, bo mówił dalej.

– On się do tego pali – widzę, jak na ciebie patrzy. Mam z nim do pogadania, ale już teraz mówię ci, że nic z tego.

– Oszalałeś – wytchnęłam.

Zignorował mnie.

– Drugi powód jest taki, że jesteś moja. Koniec dyskusji.

Chyba niekoniecznie.

Uznałam, że najpierw zajmę się punktem numer jeden, potem przejdę dalej i może wreszcie dotrze to do jego maczystowskiego, upartego łba!

– Nie poszłabym z Hectorem do łóżka w ciągu doby! – warknęłam.

– Poszłabyś. On jest dobry, lepszy niż kiedyś Eddie. Lepszy nawet niż Vance, a Vance był legendą.

Mieszkałam w Denver dość długo i znałam mnóstwo ludzi, również kobiety.

I faktycznie, słyszałam nie raz o Vansie. Słyszałam również o Lee i Eddiem.

Gdy jeszcze byli singlami, rzeczywiście byli legendą.

„Skup się!”, huknęła na mnie mózg.

Skupiłam się.

– Nie jestem taka!

– Kociątko, ze mną poszłaś do łóżka na pierwszej randce.

Miał mnie.

– Tak, i zrobiłam to po raz pierwszy i tylko dlatego, że to byłeś ty! – odpaliłam błyskawicznie i bez zastanowienia. A może jednak warto było się zastanowić, na przykład nad tym, żeby w ogóle tego nie mówić.

Mace znalazł się jeszcze bliżej. Jedną rękę przesunął na moje plecy, palce drugiej wsunął we włosy, trzymając ciepłą dłoń na moim karku. I przywierał do mnie całym ciałem.

I to było takie cholernie dobre.

O rany boskie.

– Tak? – spytał, a w jego oczach były ciepło i uśmiech.

Serce zabiło mi trochę szybciej.

Noż kurwa mać!

Naprawdę musiałam zacząć myśleć nad tym, co mówię. I w ogóle myśleć.

– Nieistotne – palnęłam, jakby to nie było nic takiego, a Mace się uśmiechnął.

Co za bydlak.

– Nie jestem twoja! – krzyknęłam, przechodząc do sprawy numer dwa.

– Jesteś.

– Nie jestem!

– Kociątko, jesteś.

– Nie. Nic z tego, nie ma opcji. Nigdy więcej! – krzyknęłam znowu.

Pochylił głowę, uśmiechnął się jeszcze szerzej i spojrzał z tym wyrazem „zaraz cię pocałuję”, który tak cholernie lubiłam.

– Jak ja za tobą tęskniłem... – wymruczał i znów pomyślałam, że pewnie nie chciał powiedzieć tego na głos.

Zatkało mnie. Mój oddech dał nogę. Nie wiem dokąd, może do innego stanu. Zniknął.

I wtedy ktoś zaczął walić do drzwi.

Zastygliśmy oboje.

Tyle w temacie wspaniałego systemu ochrony. Ktoś stał tuż pod moimi drzwiami!

– Stella!

Niech to szlag. Eric.

Zaczął szarpać za klamkę.

– Otwórz! Wszystko w porządku?

Nie, to się nie działo.

Czy ja muszę mieć takie parszywe szczęście?!

Mace zmrużył oczy, patrząc na drzwi, potem spojrzął na mnie.

– Kto to, kurwa, jest?

– Eric – odparłam.

Znów błysk złości.

– Kurwa.

Puścił mnie i podszedł do drzwi.

Eric wciąż się dobijał, Mace wyjrzał przez wizjer. A potem zacisnął szczęki i znów spojrzął na mnie.

– Chyba, kurwa, żartujesz – powiedział.

Słucham?

– O co chodzi? – spytałam.

Mace tylko pokręcił głową i otworzył drzwi.

Za progiem stał Eric i nagle zauważyłam, jaki jest przystojny.

Wysoki, trochę niższy od Mace'a, lecz wciąż wysoki. Miał czarne włosy, lekko falujące; gdyby je zapuścił, pojawiłyby się loki, ale nie dziewczynskie, tylko takie seksownie męskie. Teraz miał tak obcięte, że zawsze wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka po... znaczy, no, seksownie. Miał czarne oczy, był szczupły i umięśniony. Faktycznie był przystojniakiem, ale jak dla mnie nikt nie mógł równać się z Mace'em, nawet Eric.

Na mój widok niepokój na jego twarzy zastąpiła ulga, że jestem cała i zdrowa. Już zaczął wchodzić do środka, gdy spostrzegł Mace'a.

Juno podniosła łeb i szczerknęła powitalnie, wyraźnie zbyt zmordowana pobytem w Zamku, żeby wstać i przywitać się należycie. Oparła łeb znów na łapach, ale zamerdzała ogonem na znak, że gdyby Eric chciał podejść i się przywitać, to nie ma sprawy.

Ale Eric chwilowo nie miał czasu. Przesunął wzrok na mnie, potem na Mace'a i wszedł do środka. Mace pchnął drzwi; gdy zamknęły się z hukiem, Eric wybuchnął.

– Co tu się, kurwa, dzieje?!

Juno szczerknęła znowu, nie do końca pewna, co myśleć o tym nietypowym powitaniu.

– Eric – powiedziałam spokojnie.

– Kim jest ten facet? – spytał, wskazując głową Mace'a.

– Wiesz, kim jestem – powiedział Mace, zaskakując mnie.

– Wiem? – zareagował zaczepnie Eric.

– Wie? – zareagowałam wstrząśnięta.

– Wiesz – powtórzył Mace, patrząc na Erica.

Atmosfera w mieszkaniu zmieniła się. Pojawiło się coś, czego liderki kapel rockowych nie łapia, łapia to wyłącznie twardziele-przystojniacy, mający do czynienia ze światem przestępczym.

– To wiem – odparł Eric, bardziej agresywnie, i poczułam dreszcze na skórze. – Nie wiem tylko, kurwa, co robisz tutaj.

– Mógłbym cię, kurwa, spytać o to samo – warknął Mace.

Nie podobało mi się to wszystko. Głównie dlatego, że obaj wyglądali, jakby mieli skoczyć sobie do gardeł, i było w tym coś więcej niż to, co oczywiste. Ale co?

– Ee... chłopaki... – odezwałam się.

Eric oderwał wzrok od Mace'a i obejrzał mnie od stóp do głów, zatrzymując wzrok na opatrunku wystającym spod szortów.

A potem znów spojrzął na Mace'a.

– Jednak dostała – powiedział do niego.

Słucham?

Wiedział, że oberwałam?

Co tu się działo?

– Dostała – odparł Mace.

– A ty tam byłeś – mówił dalej Eric.

– Tak. – Mace zacisnął szczęki.
– Kurwa! – wybuchnął znowu Eric. – Wywalaj, Mason. Przejmuję to.
Widziałam, nadal zbita z tropu, jak Mace przechodzi od z trudem powstrzymanej złości do jawnego wybuchu, i wiedziałam, że nie wróży to dobrze.
– A co konkretnie przejmujesz? – spytał spokojnie.
– Stellę – odparł Eric.
– Może byś mi wyjaśnił? – Wybuch był coraz bliżej.
– A może ty byś wyjaśnił, czemu niby miałbym ci coś wyjaśniać? – odpalił Eric.
To mogło się ciągnąć całą noc.
– Halo! – zawołałam. – Jestem tu!
– Cicho, Stella – odezwał się Mace, nie odrywając wzroku od Erica.
O nie.
Nie będzie znowu mną dyrygował.
– Nie mów tak do mnie! Co się tu dzieje? – zawołałam.
– To federalny – odparł Mace.
Mój oddech, który właśnie powrócił, wybył znowu. Tym razem do Vegas.
Spojrzałam na Erica.
– Federalny? – powiedziałam na tej resztkę oddechu, która się zagapiła.
Wiedziałam, że coś jest z nim nie tak. Mnie mówił, że pracuje przy budowach.
Eric zacisnął zęby.
– Zgadza się – wysyczał, niechętnie odrywając wzrok od Mace’a i patrząc na mnie.
– Pracujesz dla... – zaczęłam.
– Tak – przerwał mi.
– Ma zadanie – wyjawiał Mace.
Na policzkach Erica zagrały mięśnie.
– Zadanie? – Brzmiało to idiotycznie, ale co mogłam na to poradzić?
– Sidney Carter – warknął Eric.
O rany boskie.
Czyli on też na niego polował.
I wtedy do mnie dotarło. Skoro Eric rozpracowywał Sida, to startował do mnie, bo...
Ja pitolę.
Cofnęłam się.
– Stella. – Eric odwrócił się od Mace’a i zaczął iść do mnie.
– Nie podchodź do niej, kurwa – ostrzegł Mace.
Eric zatrzymał się i odwrócił do niego.
– Może wyjaśnimy to na zewnątrz?
– Bardzo chętnie – odparł Mace od razu.
– Nie! – zawołałam, a Juno zaszczeakała. Wyczuła zmianę nastroju i nie podobało jej się, że Eric nie zdecydował się na bliższe powitanie. Nie przywykła, żeby ją ignorować.
– Nie idziecie na zewnątrz. Wyjaśnicie mi, co tu się dzieje. Ty pierwszy. – Skinęłam na Erica.
Zrobił krok w moją stronę, spostrzegł mój wzrok, zacisnął zęby i zatrzymał się.
– Nie mogę ci dużo powiedzieć – zaczął, ale chyba wyczytał coś w mojej twarzy, bo mówił dalej:
– Stella, kochanie, przepraszam. Nie mogę.
– Dobra, po prostu powiedz, co to ma wspólnego ze mną.
Eric zerknął na Mace’a.
– Myślę, że już wiesz.
– Lindsey – powiedziałam.
– I Mason – dodał.
Co takiego?
– Mace?
Eric mówił dalej.

– Mieliliśmy u nich naszego człowieka. Wiedzieliśmy, że Sidowi pali się ziemia pod nogami, wiedzieliśmy, że zaatakują. Wiedzieliśmy, kto będzie celem i że ty będziesz wśród nich. Wiedzieliśmy dlaczego, wiedzieliśmy o operacji tamtej nocy.

Cofnęłam się jeszcze kilka kroków, zbyt zaskoczona tymi informacjami, żeby poczuć emanującą z Mace'a złość. Uderzyłam w platformę nogami i usiadłam bezładnie.

Eric zaczął iść w moją stronę, ale Mace, szybki jak błyskawica, zastąpił mu drogę.

Eric spojrzał na niego groźnie, a ja patrzyłam to na niego, to na Mace'a.

– Wiedziałeś?

– Kurwa – wymruczał Eric.

A potem bez namysłu (wiem, znowu...) zerwałam się, ominęłam Mace'a i rzuciłam się do Erica z krzykiem.

– Postrzelili mnie!

Mace złapał mnie wpół i przyciągnął mocno do siebie.

– Wiem! – odkrzyknął Eric, ignorując rękę Mace'a, co, jak uznał mój skołowany, ale czujny mózg, było mądre.

– Nie zrobiłeś nic, żeby temu zapobiec! – krzyczałam dalej.

– Miałem być wtedy z tobą – przypomniał mi.

Fakt, tu miał rację. Wyjątkowo mocno naciskał, żebym spędziła z nim tamtą noc, ale odmówiłam. Kamienne ciało Mace'a skamieniało jeszcze bardziej.

– O tym ja chcę pogadać – wtrącił się.

– To nie twoja sprawa – uciął Eric.

– Myślę inaczej.

– A to dlaczego?

– Bo Stella i ja znowu jesteśmy razem – poinformował go Mace.

I znowu bez namysłu odwróciłam do niego głowę i krzyknęłam:

– Nie jesteśmy!

– Stella – zaczął Mace, ale ja patrzyłam już na Erica.

– Chcę się dowiedzieć, czemu pozwoliłeś, żeby mnie postrzelili.

– Nie pozwoliłem. Byłem pod twoim domem. Widziałem, jak wychodzisz, jechałem za tobą do Lindsey. Widziałem, że są tam Stark i Mason, nie wspominając o glinach, i sądziłem, że Sid nie będzie na tyle szalony, żeby zdecydować się na ten ruch. Wtedy dostałem wiadomość: Jet McAlister miała być z Indią Savage i jej gangiem, ale nie była, a Chaveza wyciągnęli z domu. Wysłali mnie do niej – ostrzelali jej dom, zanim tam dotarłem, a ty dostałaś, gdy byłem w drodze.

No dobra, poczułam się trochę lepiej.

– A teraz – Eric zmrużył oczy na Mace'a – zabieraj rękę.

– Nie.

– To nie jest dobra odpowiedź. Słyszałem, jak krzyczała na ciebie, gdy stałem pod drzwiami, a przed chwilą powiedziała, że nie jesteście razem.

– Tak, tak mówi. A jednak jestem pewien, że to właśnie Stellę pieprzyłem dziś rano, że to ona prosiła, żebym rznął ją mocniej, i że to mnie obejmowała, gdy mruzczała mi w szyję po tym, jak doprowadziłem ją do orgazmu. Możesz to uznać za sprzeczne informacje, ale biorąc pod uwagę, że mam zamiar spać w jej łóżku w najbliższej przyszłości, chyba rozumiesz, do czego, kurwa, właśnie zmierzam – powiedział Mace z morderczym spokojem.

Zastygłam, Eric spojrzał na mnie.

„Rany boskie, czy on to właśnie powiedział?“, spytał mnie mózg.

– Pieprzyłaś się z nim? – spytał mnie Eric.

Tak, Mace to właśnie powiedział.

Ja pitole, normalnie go zabiję.

– Eric – odezwałam się cicho.

Nie wiem, dlaczego czułam się wzburzona (poza tym, co Mace właśnie powiedział i jak to zrobił). Przecież nie chciałam się angażować w Erica. I nie byłam jego dziewczyną, tylko zadaniem (nie

wiedziałam, że federalni zapędzają się tak daleko, a tu proszę bardzo).

A jednak było mi źle – bo wyglądał, jakby dostał ode mnie w twarz.

Zamknął oczy, potem spojrzał w bok i znowu zacisnął zęby.

– Musisz znaleźć sobie nowe zadanie. – Mace nie był w nastroju do wyczuwania wibracji, które ostrzegłyby każdego (z wyjątkiem Mace'a), żeby się nie wpierdalał.

Eric otworzył oczy, teraz była w nich złość. I to nie tylko na Mace'a, ale i na mnie.

– Eric, to skomplikowane – wyjaśniłam cicho.

– Wiem. Wiem o tobie bardzo dużo, Stella. Wiem, że się w nim zakochałaś i że on zakochał się w tobie. Wiem, że cię zostawił. Wiem też, że po nim nie miałaś już nikogo, dopóki nie zjawiłem się ja. Wiem też, że mnie trzymałaś na dystans – nie wiedziałem tylko, że to dlatego, że będziesz się z nim, kurwa, pieprzyć w tej samej chwili, w której pojawi się taka szansa. Myślałem, że boisz się otworzyć, żeby ktoś znów cię nie zranił.

Może forma tego wyjaśnienia nie była miła...

– Uważaj na to, co mówisz. – Mace skupił się na formie.

– Ty też się przede mną nie otworzyłeś! – broniłam się. Ja się skupiałam na treści.

– Ja byłem w pracy. Otwieranie się nie było częścią mojego zadania – chlasnął.

No proszę, znowu kop w brzuch, teraz od Erica.

– Wielkie dzięki – warknęłam.

– Zakochanie się w tobie również – dodał.

A mój oddech znów wybył, do Wyoming.

Mace spał się.

Noż kurwa jego mać!

Chciałam coś powiedzieć, ale było za późno: Eric odwrócił się i otworzył drzwi.

Zatrzymał się na progu, spojrzał na Mace'a.

– Tym razem, kurwa, lepiej się nią opiekuj.

I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Rozdział 7

„Blackbird”

Stella

Patrzyłam na drzwi, niepewna, co właśnie czuję w związku z tym, co się właśnie stało. Na pewno byłam niezadowolona i chyba trochę smutna.

Mace nadal mnie trzymał.

– Wyjdź – powiedziałam cicho, nadal patrząc na drzwi.

– Powiedz mi, że się z nim nie przespałaś.

Zamknęłam oczy i przełknęłam ślinę. Próbowałam zapanować nad sobą, żeby nie wrzeszczeć do bólu gardła.

Cicho powtórzyłam:

– Mace, wyjdź.

Nie puścił mnie, nie ruszył się, nie odezwał.

Staliśmy tak, jego ręka nadal wokół mnie, ja nadal przyciśnięta do niego plecami. Patrzyliśmy na drzwi bez słowa i trwało to całą wieczność.

W końcu oparł głowę na moim ramieniu i odsunął brodą moje włosy.

Z ustami przy moim uchu powiedział cicho:

– Pierwszej nocy, gdy byłem z tobą, doszłaś szybko i bardzo mocno. Wtedy, gdy wróciłem z Hawajów, było to samo. I dziś rano. W innych przypadkach trzeba znacznie więcej wysiłku, żebyś dla mnie mruczała, kociątko.

Wstrzymałam oddech. Byłam wstrząśnięta: nie tylko, że to powiedział, ale że pamiętał. Nie sądziłam, że faceci przywiązują wagę do takich rzeczy.

– Nie przespałaś się z nim – dokończył łagodnie, z ulgą w głosie.

– Mów tak dalej, Mace, świetnie ci idzie. Jeszcze trochę i cię znienawidzę.

Zupełnie niestropiony moim wyznaniem, pocałował mnie w szyję, puścił i gwizdnął na Juno.

Słyszałam, jak zeskakuje z łóżka, potem jej pazury na deskach, gdy do nas szła.

Patrzyłam, jak Mace wyjmuje smycz ze swojej torby.

– Co robisz?

– Juno potrzebuje wyjść, pójdziemy na spacer. Niedługo wrócę.

– Nie wracasz. Właśnie cię wyrzuciłam – przypomniałam mu.

Mace stał metr przede mną. Juno już przy nim była, przypiął jej smycz i wyprostował się, a potem pochylił, pocałował mnie lekko w usta i wyszli.

Popatrzyłam na drzwi.

Chciało mi się płakać.

Facet, z którym nie byłam i z którym nie chciałam być, właśnie ze mną zerwał (bo chyba właśnie to zrobił Eric), a właśnie zaczęłam myśleć, że to może jednak niedobrze, że go nie chciałam. Mój były facet, z którym tak bardzo chciałam być, uważał, że znowu jesteśmy razem, a właśnie zaczęłam myśleć, że może to też być błąd – i niczego nie byłam pewna. Do tego facet, którego nawet nie znałam, chciał mnie zabić.

Królowa parszywego szczęścia.

Otrząsnęłam się z tych myśli i umyłam miskę Juno. Nalałam do niej wody, nałożyłam jedzenie do drugiej i wyjęłam swoje rzeczy z torby Mace'a, jego rzeczy demonstracyjnie tam zostawiając. A potem uciekłam do łazienki. Planowałam długą, gorącą kąpiel o zapachu lawendy, a potem pedicure.

Leżałam w wannie z myjką na oczach, gdy Mace i Juno wrócili.

Słyszałam, jak kręcą się po mieszkaniu.

A potem, jak Mace otwiera drzwi od łazienki.

I modliłam się na wszystkie świętości, żeby piana się utrzymała.

– Nie zamknęłaś zasuwy – oznajmił.

Milczałam.

– Nie włączyłaś alarmu – mówił dalej, teraz już bliżej. O wiele bliżej.

– To się chyba skończy pałą ze środków ostrożności – odparłam sarkastycznie.

Podniósł myjkę. Włosy miałam spięte w kok na czubku głowy, na czole szeroką bladożółtą opaskę.

Odwróciłam głowę na poduszce i spojrzałam na Mace'a. Przykucnął blisko wanny. Nie był zły, ale za szczęśliwy też nie.

– Skarbie, problem w tym, że może skończyć się śmiercią – powiedział cicho i bardzo poważnie. Cholera.

Oddał mi myjkę, położyłam ją z powrotem na oczach.

A potem znów usłyszałam jego głos.

– Moczenie się z tą raną to nie jest zbyt dobry pomysł.

Miał rację.

Wiedziałam, że ma rację, więc znów nie odpowiedziałam.

Gdy już zamknął drzwi, podniosłam myjkę i sprawdziłam stan piany.

Przykrywała szczelnie całe ciało.

Dzięki ci, Boże, za ten łut szczęścia.

Czym prędzej rejterując z wanny (i starając się, żeby nie brzmiało to jak rejterada), wytarłam się ręcznikiem, włożyłam szlafrok i zdecydowałam się na wieczór w spa. Zrobiłam sobie pedicure (wybrałam ciemny fiolet), opiłowałam paznokcie dłoni i zrobiłam maseczkę, ale wcale nie poczułam się zrelaksowana i odświeżona. Byłam równie skołowana i wystraszona jak przedtem, a do tego wszystkiego bolała mnie jeszcze rana.

Potrzebowałam muzyki.

Siedziałam w łazience naprawdę długo. Gdy wyszłam, nawet letnie słońce już gasło za opuszczonymi roletami.

Przy fotelu świeciła się mała lampka. Mace był w łóżku i chyba spał, nie poruszył się, gdy weszłam. Juno szcęknęła cicho, potwierdzając mój domysł. Zawsze wiedziała, kiedy jej ludzie potrzebowali odpoczynku. Dziwne, jak na psa, ale prawdziwe.

Gdy Mace mówił rano, że ma wrażenie, jakby spał dziesięć minut, chyba mówił szczerze. Nigdy przedtem nie widziałam go w łóżku o tej porze. Zawsze wracał późno, bo robił w pracy jakieś wariackie rzeczy, potem robił wariackie rzeczy dla mojej kapeli i wcześniej wstawał, zwykle zaczynając dzień od biegania.

Podeszłam do komody, wyjęłam majtki (włożyłam je pod szlafrokiem, uważając na nałożony przed chwilą opatrunek), luźne brzoskwińowe spodenki wiązane w pasie i żółtą bluzkę z brzoskwińowymi kwiatami na bokach. Odwróciłam się tyłem do łóżka, zrzuciłam szlafrok i ubrałam się.

A potem wzięłam gitarę akustyczną i usiadłam na brzegu fotela, opierając gitarę na udzie, blisko kolana. Może jak będę grać bardzo cicho, nie obudzę Mace'a.

Musiałam grać. Nie grałam od dwóch dni, a tyle rzeczy się wydarzyło. Potrzebowałam muzyki.

„Guitar Hero” mi tego nie da.

Przesunęłam palcami po gryfie, dotykając strun, progów. Złapałam kilka akordów. Potem jeszcze kilka.

A potem zapomniałam o wszystkim. O Ericu i o tym, jak na mnie patrzył i co mówił. O nowym systemie alarmowym. O policji, która ma tu przychodzić. Rockowych laskach, którym groziło niebezpieczeństwo. Człowieku, który chciał mnie zabić i który już zabił Linnie. Zapomniałam również o Masie i o Juno, chociaż byliśmy w jednym pokoju.

Przejechałam palcami po progach, trąciłam struny, zamknęłam oczy i zaczęłam śpiewać „Blackbird” The Beatles.

Śpiewałam i grałam z zamkniętymi oczami, dopóki nie wybrzmiały ostatnie nuty. Wtedy otworzyłam oczy i zarejestrowałam ruch.

Spojrzałam na łóżko.

Mace nie spał, leżał, wsparty na łokciu i patrzył na mnie.

Jak kiedyś. Jak zawsze.

– Kociątko, chodź do łóżka – powiedział łagodnie.

Jak zawsze. Jak kiedyś.

Odruchowo, zatopiona w naszych wspólnych wspomnieniach, nie wahałam się.

Odstawiłam gitarę, zgasiłam światło i obeszałam łóżko. Mace się przekręcił, Juno zrobiła mi miejsce (dobry piesek). Zsunęłam spodenki i weszłam pod kołdrę.

Mace objął mnie ręką w pasie i przyciągnął mocno do siebie.

– Lepiej? – wymruczał w moje włosy. Wiedział, jak bardzo potrzebowałam muzyki.

– Tak – wyszeptałam.

Pocałował mnie w kark.

– Za tym również tęskniłem – powiedział. Chodziło mu o to, że ja gram i śpiewam, a on patrzy, i poczułam dreszcze na skórze.

I zrozumiałam, że wcale mu się to nie wymknęło, że chciał to powiedzieć na głos, podobnie jak to, co mówił wcześniej.

I nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć.

Obudziłam się, czując rękę Mace'a pod bluzką, i to nie tylko pod bluzką, ale na piersi.

– Mace... – wymruczałam zaspanym głosem.

Ujął moją pierś i szorstką opuszką kciuka przesunął po sutku, w jedną i w drugą stronę.

– Mace... – Tym razem mój rozespany głos był nieco niższy.

Do kciuka dołączył palec wskazujący, zaczęły ścisnąć delikatnie i pieścić.

Przyjemne mrowienie rozeszło się po całym ciele, zmierzając prosto do miejsca między nogami.

Rany boskie...

Odwróciłam głowę do Mace'a, bo chciałam coś powiedzieć, zaprotestować, ale on podciągnął się, pochylił i pocałował mnie w rozchylone usta. Mocno, seksownie, wciskając się biodrami w mój tyłek i nadal drażniąc mój sutek. Poczułam z tyłu jego twardego penisa i przyjemne mrowienie, teraz znacznie mocniejsze, zelektryzowało każdy mój nerw.

Oddałam pocałunek. Nie mogłam się powstrzymać. Nie próbowałam.

Całowaliśmy się, a potem przesunął ustami po moim policzku, do ucha, przejechał językiem po krawędzi. Zabrał rękę z piersi, przesunął po brzuchu, między moje nogi.

– Powiedz mi, czego chcesz – wymruczał mi do ucha ochryplym głosem.

– Dotykaj mnie – szepnęłam.

Zaczął mnie pieścić przez materiał majtek, szybko znajdując właściwe miejsce. Jęknęłam i oddychałam ciężko, rozchylając usta, a on całował i lizał moją szyję.

Wcisnęłam się w jego członek, poruszyłam; Mace jęknął, usłyszałam ten głęboki dźwięk w jego krtani, poczułam wibrację na swojej szyi.

Przekręciłam głowę i znów się całowaliśmy, mocno, mocniej, a jego palce pieściły mnie przez majtki. Oddychałam coraz szybciej.

Odsunął rękę.

– Czego chcesz? – spytał w moje usta.

Nie chciałam dłużej zwlekać. Nie mogłam.

– Wejdz we mnie.

Zaczął ściągać mi majtki, uważając na opatrunek, zostawił je na kolanach. A potem wszedł we mnie.

I to było piękne.

Cały czas przekręcałam głowę, żeby na niego patrzeć. Znów ujął mi pierś, znów drażnił palcami sutek. Całowaliśmy się i dyszeliliśmy ciężko na przemian, ja wciskałam się w niego pupą, on wbijał się w mnie.

Czułam, że jestem blisko orgazmu, i chciałam to powstrzymać.

Wiedział to, wyczuł i nie chciał tego.

Jak zawsze. Zawsze chciał, żebym po prostu doszła.

A ja zawsze chciałam czekać na niego.

– Jesteś blisko? – wytchnęłam.

– Nie wstrzymuj tego.

– Chcę dojść razem z tobą.

Puścił moją pierś, sięgnął ręką między nogi, dotykając, muskając, zataczając kółka.

Reszką tchu wyszeptałam jego imię; zaczął mnie całować, pchając jeszcze mocniej i jeszcze szybciej, i wiedziałam, że i on jest już blisko.

– Chryste, jesteś taka słodka – szepnął ochryple. – Nie ma nikogo słodsze od ciebie.

Znów zabrzmiało to tak, jakby mu się wyrwało, ale przecież, jak sobie uświadomiłam, nigdy nie robił nic, czego nie chciał. Po moim ciele rozeszła się nowa fala ciepła i rozkoszowałam się nią i tym stanem szczęścia po orgazmie, kiedy Mace wciąż we mnie był.

Wstrzymał oddech, przywarł twarzą do mojej szyi, pchnął mocniej i poczułam jego głośne westchnienie.

A potem położył się za mną i objął mnie w pasie, wciąż ze mnie nie wychodząc.

Zamrugałam oczami.

Cholera. Znowu się kochaliśmy.

Noż kurwa mać.

O czym ja myślę?

A raczej – kiedy wreszcie włączę myślenie!

– Wszystko w porządku? – spytał łagodnie.

Skinęłam głową.

Zjechał ręką do opatrunku, leciutko muskając jego brzegi.

– Zabolało cię?

Pokręciłam głową.

Znów objął mnie ręką w pasie.

A mój mózg rozpaczliwie szukał nowego planu wydostania się z tego zamętu. No kurde, byłam zła na Mace'a. Przed chwilą powiedział mojemu już teraz eks-facetowi, że się ze mną pieprzył, i to ze szczerością nieprzyjemną dla mnie i dla Erica. Nie słuchał, gdy mówiłam, że nie jesteśmy razem, i nie wyszedł, gdy wyrzuciłam go z domu.

To nie mogło tak dłużej trwać.

Tak, byliśmy w łóżku. W moim łóżku, do którego poprzedniej nocy weszłam bez wahania. W którym leżałam teraz, z majtkami na kolanach i Mace'em wciąż we mnie.

Może wysyłałam sprzeczne sygnały?

„No nie mów?“, odezwał się mój mózg.

– Skarbie... – zaczął.

– No? – odparłam, nadal bez planu.

– Czemu to zawsze „black“?

Zaskoczył mnie tak, że zupełnie zapomniałam o planie.

– Co?

– Twoje piosenki. „Blackbird“, „Black Water“, „Black Velvet“, „Black Betty“ – mnóstwo piosenek, które śpiewasz, ma w sobie czerń.

Byłam w szoku. Nigdy nie pytał mnie o nic osobistego, a już zupełnie nigdy o muzykę, sprawę najbardziej osobistą ze wszystkich.

Wiedziała, że ją lubił. Przychodził na koncerty. Stał w ciemności, trzymał w ręku butelkę z piwem i patrzył wyłącznie na mnie. A gdy byliśmy razem w domu, a ja zaczynałam grać, jak zeszłej nocy, on przestawał robić to, co robił (rozmawiać przez telefon, czytać książkę), i wiedziałam, że słucha, i wiedziałam, że mu się podoba.

Po koncertach pieprzyliśmy się jak szaleni, ja zawsze byłam nakręcona i podejrzewałam, że on

również.

A gdy grałam w domu, zawsze potem się ze mną kochał. Seks był wtedy słodszy, wolniejszy, mniej energetyczny i było w nim bardzo dużo dawania, i to zawsze Mace dawał mnie.

– Nie wiem – odpowiedziałam.

Objął mnie mocniej.

– Powiedz.

Westchnęłam i nachyliłam się. Przesunął się za mną, czułam jego oddech na szyi.

Nie chciałam z nim o tym mówić. To nie jego sprawa.

Ale i tak powiedziałam. Nie mogłam tego wstrzymać i znów – nie chciałam.

– Całe moje życie to czerń. Tata mnie nie kochał, mama zasłaniała się mną przed jego przemocą. Nie miałam rodzeństwa i nie zwierzałam się przyjaciółom – bo nie wiedziałam jak, byłam za młoda. Chciałam przemienić tę czerń w coś pięknego, dobrego, zaręczystego. A wszystkie te piosenki są dobre, część z nich piękna, a część zaręczysta.

Chyba coś się zmieniło. Wydawało mi się, że czuję ciepło.

– Rozumiesz? – szepnęłam. Z jakiegoś powodu potrzebowałam tego potwierdzenia.

Ale on milczał.

Spróbowałam znowu. Nie wiem dlaczego.

– W „Black” Pearl Jam Eddie Vedder śpiewa coś takiego. – Przytoczyłam pięć pierwszych linijek naj słynniejszej ballady rockowej, a potem wyszeptałam: – Widzisz... – Zawahałam się, dokończyłam łagodnie: – To ja.

Poruszył się, wysuwając się ze mnie, ale pozostał blisko.

– Nie jesteś w mroku.

– Mój świat jest.

Milczał chwilę, potem zapytał:

– Widziałaś w nim kiedyś światło?

„Jak byłam z tobą”, odpowiedział mi mózg.

– Kiedy poznałam Floyda. Gdy tworzyliśmy The Gypsies.

– Ze mną? – przeszedł od razu do punktu, którego chciałam uniknąć.

– Z tobą – odparłam szczerze.

– A teraz?

– Teraz jesteśmy w mroku – odparłam nieuczciwie. Wiedziałałam, że nie byliśmy, i ta rozmowa najlepiej tego dowiodła.

– I naprawdę w to wierzysz?

– Tak – kłamałam dalej.

– Chcesz, żebym odszedł?

– Tak – skłamałam znowu. Serce mi przyspieszyło, a oddech już się pakował, gotów na podbój Teksasu.

– Zależy mi na tobie – wyznał.

Mój oddech siedział już w samolocie, popijając szampana w pierwszej klasie.

Kai Mason nie zwierzał się.

Kai Mason nie dzielił się ze mną niczym, z wyjątkiem swojego ciała, swojej obecności i zdolności wpłacania kaucji za Ponga od czasu do czasu.

Kim był facet, który tu ze mną leżał?

Nie, nie chcę wiedzieć. Mam to gdzieś.

– W końcu przestanie – zapewniłam go, chociaż wcale nie chciałam, żeby do tego doszło. Byłam tego świadoma, tylko nie chciałam się do tego przyznać, a na pewno nie jemu.

– Lubię to uczucie.

O dobry Boże.

– Mace...

– Chcę, żeby tak zostało.

– A ja nie chcę.

– Chcesz.

– Nie.

– Okłamujesz siebie i mnie.

– To nieprawda.

Pocałował mnie w szyję.

– Prawda, kociątko – powiedział w moją skórę. – Ale chcę, żebyś wiedziała, że nie mam z tym problemu. Będę tu, gdy przestaniesz.

Ja pitoleę.

– Wyjdę z Juno – zaproponował, uznając rozmowę za skończoną.

– Spoko. – Też chciałam ją zakończyć, a ja nie mogłam wyjść z Juno bez kewlarowej kamizelki, hełmu czy kompletnej zbroi.

– Zrób miejsce w szafie na moje rzeczy – powiedział jeszcze.

Ostrożnie podciągnęłam majtki, a potem odwróciłam się do niego.

– To już mniej spoko.

Patrzył na mnie ciepło, łagodnie, z uśmiechem w oczach. Zrobiło mi się ciepło, łagodnie i też się uśmiechnęłam. Na szczęście wyłącznie w środku.

Niech diabli wezmą te jego oczy.

– Dużo miejsca, skarbie. Jak się to wszystko skończy, trochę tutaj zostanę.

– Spadówa – wymruczałam i odwróciłam się do niego tyłem.

Wsunął rękę pod mój policzek na poduszce, przekręcił moją twarz do siebie. Nachylił się i znów musnął leciutko moje usta.

– Niedługo wrócę – szepnął.

Ja pitoleę.

Rozdział 8

To jest dla Linnie

Stella

– O ja, ale zajebioza! Normalnie „Star Trek”! – zawołał Leo.

Gapił się na panel alarmu i ekran wideo, jakby pomysł ochrony domu narodził się pięć sekund temu, a ja byłam pionierką.

– Kurde, Mace nie traci czasu – dodał Pong, odchylając drzwiczki alarmu i naciskając kolejne przyciski jak leci.

Przez głowę przemknęła mi barwna wizja wozów policyjnych i czarnych lśniących fordów explorerów, które wjeżdżają z piskiem na podjazd, zatrzymują się, tryskając żwirem spod kół, a potem wyskakują z nich policjanci i twardziele z NI i otwierają ogień.

Trzepnęłam Ponga po łapie.

– Zostaw – warknęłam.

– No co? – Pong spojrzał z miną niewiniątka. Nieudaną.

– Nie naciskasz żadnych przycisków w tym wyczesanym systemie alarmowym, który kosztował Mace’a majątek i obietnicę oddania do niewoli swego pierworodnego – odparłam. – Pong, kurde, to poważna sprawa.

– Jezu, Stella Bella, wrzuc na luz – wtrącił się Leo (pewnie znowu zjarany), wyczilowany zawsze, nawet w obliczu oczywistych zagrożeń, z jakimi zespół mierzył się już przed zamordowaniem Linnie i wciągnięciem mnie na listę „do odstrzału”. Mieliśmy za sobą niezliczone ilości burd w barze, niedopuszczenie do gwałtu na nieletnich (Pong, Hugo i młodociane fanki) oraz nakrycia Leo z nielegalnymi substancjami, i to nie raz.

Spojrzałam w sufit. Nie znalazłam na nim wskazówek, jak ogarnąć debili z własnej kapeli, wypisanych złotymi zgłoskami ręką Boga, i popatrzyłam na Floyda.

Floyd uśmiechał się szeroko, jak zawsze wiedząc, o czym myślę, i kręcił głową.

– Cokolwiek zamierzasz, nie czyń tego.

Pewnie miał rację. Raczej nie powinnam mordować Ponga i Leo.

Ale może mogłabym ich uszkodzić. Każdy by mnie zrozumiał, działałam w silnym stresie. Poza tym mój obrońca mógłby skłonić ławników, żeby spędzili godzinę w pokoju z Pongiem i Leo – wtedy wypuściliby mnie od razu.

The Gypsies zjawilo się tu w pełnym składzie, żeby zabrać sprzęt na dzisiejszy koncert, trzymaliśmy go w pustym pokoju na piętrze. Zwykle pomagałam nosić i rozstawiać, ale teraz chciał mnie zabić jakiś walnięty kryminalista, co zwalniało mnie z obowiązków.

– Dobra, chłopaki. Zaczniemy ładować, będziemy mieli z głowy. – Floyd uznał, że pora brać się do roboty.

– Serio zrobią przeszukanie każdemu, kto przyjdzie na koncert? – spytał Hugo, ignorując Floyda.

– Będą ich również sprawdzać wykrywaczem metalu – wyjaśniłam.

Pokiwał głową.

– Wchodzę w przeszukiwanie.

W mojej głowie pojawiły się nowe wizje: tym razem Hugo robił przeszukanie każdej dziewczynie, która się zbliżyła do wejścia. Wzdrygnęłam się nieprzyjemnie, podobnie jak za każdym razem, gdy musiałam zadzwonić do poręczyciela – tak często, że miałam jego numer wpisany do szybkiego wybierania.

– Myślę, że zostaną przy wykrywaczach. Są lepsze w wykrywaniu... różnych rzeczy.

Wymyślałam to na bieżąco. Nie miałam pojęcia, co byłoby bardziej skuteczne.

– Byłbym naprawdę dobry w przeszukiwaniu – zaoferował się Hugo.

Jezu.

– Ja również – dorzucił Pong.

Słodki Jezu!

Hugo odwrócił się do Ponga.

– Saksofon nie musi być bez przerwy na scenie. I tak pół koncertu gram na pieprzonym tamburyнку i pracuję z tłumem. Jeśli ktoś ma dostać fuchę przy przeszukaniu, to właśnie ja.

– Perkusja też w sumie nie jest ważna, w MTV Unplugged cały czas grają tylko na gitarach.

– Pong odwrócił się do mnie. – Mogłabyś grać unplugged dziś wieczorem. Powyginasz się trochę.

Unplugged?

Powyginam?

Dobra, dość tego.

Oparłam ręce na biodrach, nachyliłam się i spojrzałam na nich zmrużonymi oczami.

– Nie zagramy unplugged i żaden z was nie będzie nikogo przeszukiwał, w żaden sposób. Czy wyrażam się jasno?!

– Ja pierdzielę, matka, weź wyluzuj. – Hugo podniósł ręce, jakby się bronił.

– Rany, myślałem, że jak wrócisz do Mace’a i będziecie się regularnie bzykać, to znów będziesz

Słodką Stellą Bellą, a nie Stellą Wkurwioną – dorzucił Pong.

Odwróciłam się do Floyda.

– Wciśnij na panelu alarmu czerwony przycisk.

– Czemu? – Floyd się uśmiechnął.

– Bo to przycisk wzywający policję. Przyjadą od razu. Na pewno spodoba im się to nowe udogodnienie, że wzywamy ich, zanim ktoś popełni morderstwo – odparłam.

Floyd nie wcisnął przycisku i nie przestawał się uśmiechać.

No i dobra.

– Chyba czas spadać – przemówił Buzz po raz pierwszy od czasu, kiedy tu przyszli.

– Chcieli ją zabić, niedziwne, że jest w kiepskim humorze – wymruczał Pong, a Floyd błyskawicznym ruchem strzelił go w kark.

– Nie bądź idiotą – wysyczał przez zęby.

Hugo, Leo i ja spojrzeliśmy na Buzza. Pong też patrzył. Buzz był blady jak ściana.

Dobra, może Hugona i Leo tylko skopię, ale Pong zginie na miejscu.

– Kurde no, sorawka, Buzz – wymruczał Pong.

Buzz patrzył na niego przez chwilę, potem wzduszył ramionami i spojrzał na mnie.

– Będziesz tam dziś bezpieczna? – spytał.

Przygryzłam wargę. Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolców.

Skinęłam głowę.

– Mace się tym zajął. – I modliłam się na wszystkie świętości, żeby tak właśnie było.

Buzz kręcił głowę.

– Nie powiem, potrzebuję tej forsy. Nie graliśmy w weekend i jestem w dupie. No i potrzebuję muzyki. Bo Linnie...

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech.

I wszyscy wiedzieliśmy, o czym on mówi. Potrzebowaliśmy muzyki dokładnie tak samo jak i on

– wszyscy kochaliśmy Linnie i to muzyka ją do nas przyciągnęła.

Buzz mówił dalej.

– Ale nie róbmy tego, jeśli nie będziesz dzisiaj bezpieczna.

Podeszłam do niego i położyłam mu rękę na szyi.

– Mace się tym zajął – powtórzyłam, tym razem cicho.

Popatrzył na mnie, skinął głową i wyszli; wszyscy z wyjątkiem Floyda.

Patrzyłam na tę zbieraninę. Może chciałam ich zapamiętać na wypadek, gdyby mnie zastrzelili, otruli czy wykończyli w inny sposób, zanim znów ich zobaczę.

Pong, wysoki i chudy, miał dziką szopę mocnych, ciemnych włosów, sięgających za ramiona; zawsze machał nimi w czasie koncertu. Przed występami nakładał sobie eyeliner, co zawsze drażniło Hugona, ale musiałam przyznać, że mu to pasowało, wyglądał niczym Johny Depp jako Jack Sparrow.

Miał czarne oczy, gęste rzęsy, mocne brwi i osobowość jeszcze dziksza niż włosy.

Hugo był potężnym facetem o skórze czarnej jak smoła. Miał szerokie bary, wielkie mięśnie i bardzo krótko obcięte włosy. Zawsze był odpicowany, choć reszta kapeli po prostu nosiła dżinsy, i miał szeroki olśniewająco biały uśmiech i ciemne oczy. Miał również głęboki, aksamitny głos, przy którym Barry White brzmiał jak mięczak.

Leo był chudy, dwa centymetry niższy ode mnie i wrogo nastawiony do szamponu. Miał nastroszone jasnobrązowe włosy, niebieskie oczy i spokojne usposobienie indukowane ustawicznym paleniem trawki. Ciuchy na nim wisiały i nie tyle wydawały się, co były brudne.

Hugo i Pong zawsze mu to wytykali.

Pong ubierał się jak rockman: wąskie dżinsy nisko na biodrach, wytarte podkoszulki i od czasu do czasu, gdy czuł ducha Stevena Tylera, apaszkę na szyi.

Hugo, jak już mówiłam, wyglądał, jakby był żywcem zdjęty z żurnala.

Leo nie miał żadnego stylu i modę w dupie. Jego grunge'owy image mu służył, dziewczyny na to leciały (bo leciałyby na każdego, kto stał na scenie z gitarą). Ale Leo wolał blanta od dziewczyn, za co Hugo i Pong też po nim jechali.

Hugo i Pong nie potrzebowali powodu, żeby po kimś jechać. Robili to odruchowo.

Buzz z kolei był blondynem o niebieskich oczach i wyglądał jak Brad Pitt w wersji z przedmieścia. Był wysoki i szczupły (bo wiecznie brakowało mu hajsu na jedzenie), miał świetne ciało, które zawdzięczał nie tyle siłowni, co dłoni dobrotliwego Boga.

Gdy stał na scenie w obcisłej podkoszulce i splewiałych dżinsach, prąd elektryczny przesywał wszystkie napalone fanki. Naprawdę. Za każdym razem.

Również dlatego, że wibrował aurą faceta, który będzie czcił ziemię, po której stąpa jego dziewczyna – i dokładnie tak się działo. Był wierny i oddany, i dawał Linnie więcej uczucia i energii, niż na to zasługiwała. Wtedy tak myśleliśmy. A teraz z tego powodu gryzło mnie sumienie.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, odwróciłam się do Floyda.

Floyd miał gęstą siwą czuprynę, którą zaczesywał do tyłu w stylu lat 50. Był szczupły, jeśli nie liczyć niewielkiej piwnej oponki, nosił okulary w czarnych oprawkach à la Buddy Holly, miał słodki śmiech i długie palce, które wyczyniały cuda na klawiszach. Otaczała go aura zadowolenia z życia, rodziny i muzyki. Przyciągał ludzi dobrocią, widoczną w zmarszczkach wokół jasnych, orzechowych oczu i bruzdach przy ustach. Należał do ludzi, których chciało się mieć w znajomych.

– Pogadajmy o tobie – oznajmił Floyd.

Tylko nie to.

Dobra, w tej chwili wcale nie chciałam go mieć w znajomych.

Odwróciłam się i poszłam do platformy, na której stały gitary.

– Nie ma o czym gadać.

– Nie pieprz, Stella Bella. Nikogo nie oszukasz, dziewczyno.

Stanęłam na platformie, otworzyłam pusty futerał i zdjęłam ze stojaka gitarę elektryczną.

Znałam Floyda dość długo i nigdy, ale to nigdy nie udało mi się go oszukać. A wierzcie mi, próbowałam.

– Nie chcę o tym rozmawiać – spróbowałam nowej taktyki.

– Ale ja chcę. A Emily trzęsie się ze strachu.

Cholera, już po mojej taktyce.

Floyd miał dwie dorosłe córki, po mistrzowsku potrafił grać na emocjach i nie wahał się tego robić.

– Zacznijmy od Mace'a – nacisnęła.

– Nie róbmy tego – odparłam, włożyłam gitarę ostrożnie do futerału i zamknęłam wieko.

Floyd podszedł do mnie, wziął za rękę. Nie miałam wyjścia, zostawiłam futerał i odwróciłam się do niego.

– Dziewczyno... – powiedział cicho. Jego głos był jednocześnie słodki i stalowy. Założę się, że to zawsze działało na Emily i dziewczyny. Na mnie na pewno.

– Myśli, że znowu jesteśmy razem – powiedziałam, a Floyd puścił mnie i uniósł brwi.

– Myśli?

– Bo nie jesteśmy.

Co w sumie nie było prawdą, skoro dwie ostatnie noce spędziłam z Mace'em. Nie mówiąc o tym, że dwa razy uprawialiśmy seks. Wspaniały seks. Seks, który można by zdefiniować jako „seks, kiedy znowu jesteście razem”, choć w sumie każdy seks można tak zdefiniować. A do tego niespełna dwie godziny temu Mace przytachał do mojego mieszkania dwie wielkie torby i dwa pudła swoich rzeczy. Potem objął mnie, mocno pocałował i wyszedł, mówiąc, że widzimy się na koncercie.

– Dlaczego? – Floyd przerwał moje myśli.

– Ile powodów chciałbyś usłyszeć?

– A ile masz?

– Siedem tysięcy dwieście jedenaście – odparłam sarkastycznie.

– Dobrze, to ja mam siedem tysięcy dwieście dwanaście, dla których powinnaś przyjąć go z powrotem.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Powaliło cię? Nie było cię, jak ze mną zerwał? Nie było cię, jak zużyłam dwa pudełka chusteczek w waszym salonie? No halo! Mace wszedł w moje życie, rozgościł się, a ja uznałam, że już na zawsze, i polubiłam to. Bardzo. Za bardzo. A potem ze mną zerwał i odszedł. Nie ma opcji, żebym znów przez to przechodziła. Nie.

– Emily mnie zostawiła – odparł.

Tym razem oczy wyskoczyły mi z orbit. Rozdziawiłam usta, próbując chyba nabrać powietrza, żeby dostarczyć organizmowi trochę tlenu. Nic z tego, płuca odmówiły współpracy.

Emily i Floyd byli jak opoka. Wieczni. Niezniszczalni. Nie, niemożliwe...

– Nie teraz, siedemnaście lat temu – mówił dalej, a ja poczułam, jak wraca ziemia, która zdążyła uciec mi spod nóg. – Zostawiła mnie, zabrała dziewczynki i wyprowadziła się do rodziców w Michigan. Nie było jej prawie rok.

– O mój Boże – wyszeptałam, bo już mogłam oddychać.

– Do dziś nie rozumiem dlaczego, chociaż mi wyjaśniała. Tak czy siak, nasz związek nie miał szans – jej zdaniem. A mnie zależało tylko na jednym: na niej.

Cofnęłam się o krok i siadłam na poręczy fotela, przygnieciona ciężarem tej wiadomości. Myślałam, że Emily i Floyd zawsze byli i zawsze będą razem. Słowa Floyda do mnie nie docierały.

Juno podeszła i trącała mi rękę nosem, dopóki nie zaczęłam drapać jej za uszami.

Floyd kucnął przede mną.

– Chcę ci powiedzieć, że w związku mogą się zdarzać różne rzeczy. Są wzloty i upadki. Jeśli chcesz, żeby działał, wkładasz kamizelkę ratunkową i ciśniesz dalej.

Pokręciłam głową. Chyba nie do końca podobał mi się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa, ale Floyd mówił dalej.

– Musisz nauczyć się dawać, Stella. Nie mówię tego po to, żeby zrobić ci przykrość, ale jesteś pozamykana. Ten chłopak wszedł w twoje życie, a ty nie dałaś mu nic prócz muzyki. Patrzyłem na to, wszyscy patrzyliśmy i było jasne, że on chce złożyć ci świat u stóp. Musiałaś go jedynie wpuścić do swojego życia. To się nie stało.

Poczułam się strasznie dziwnie, jakby ktoś ujął moje serce i ścisnął.

– Wpuściłam go – odparłam cicho i wiedziałam, że to nieprawda.

Floyd położył mi rękę na kolanie i zajrzał w oczy.

– Masz i możesz dać o wiele więcej niż muzykę.

Strzał prosto w wątrobę.

Mylił się.

– Nie mam.

– Masz – powiedział mocno.

Dobra. Jedną, kurwa, chwileczkę.

Nie będę się obwiniać za to, że Mace mnie rzucił. Nie ma mowy.

– Jeśli chciał, żebym się otworzyła, mógł poprosić. Nigdy ze mną o tym nie porozmawiał. Jak się

tak zastanowić, to w ogóle się nie znaleźliśmy.

– A pytałaś go kiedyś? Rozmawiałaś z nim? Próbowiałaś kiedykolwiek uwolnić demony, które ten chłopak ma w swojej głowie? – zapytał Floyd.

To mnie walnęło tak mocno, że musiałam to ukryć. Zaśmiałam się krótkim, obcym śmiechem i zerwałam z fotela. Floyd wstał.

– Mace? Demony?

No halo. Mace był...

Mace był sobą. Superwyluzowany superprzystojniak, który miał superpracę i był superświatny we wszystkim, co robił. Po prostu super gość.

Floyd patrzył na mnie intensywnie, poczułam się niepewnie.

Przygotowałam się na kolejny cios, bo wyraźnie działo się coś dziwnego.

Superdziwnego.

A ja nie wiedziałam co.

I chyba nie chciałam wiedzieć.

– Naprawdę tego nie widzisz? – zapytał Floyd.

– Czego?

Przez jedną krótką chwilę, zanim zdążył to ukryć, Floyd wydawał się rozczarowany.

Podszedł do mnie.

– Stella, nie spodziewałam... – Urwał, pokręcił głową, jakby się z czymś zmagał. Wziął mnie za przedramiona, ścisnął. – Nie spodziewałam się tego po tobie. A jednak. Dlatego powiem wprost: wyjdź ze swojej choleryjnej głowy i rozejrzyj się dookoła. A najpierw zajrzyj Mace'owi w oczy – zobaczysz ból, jasny jak dzień i o wiele głębszy niż ten, którego doświadczyłaś przez całe swoje choleryjne życie.

Ślina wypełniła mi usta, bałam się, że zwymiotuję.

Przełknęłam szybko.

– Co? – Głos mi zadrżał.

– Jesteś tak zajęta owijaniem się kokonem, żeby nikt cię nie zranił, że nie widzisz nic wokół siebie. Wiem, że masz powód. Twój ojciec był draniem, a twoja mama... jeszcze gorsza. Nie ma nic gorszego od matki, która używa własnego dziecka jako tarczy.

Spięłam się.

– Nie wiesz, jak to jest, Floyd – powiedziałam ostro.

– I się nie dowiem. Oskarżasz swojego ojca i usprawiedliwiasz mamę, chociaż oboje byli tak samo winni tego, co zrobili. Ale w tej chwili to twoja wina, że pozwalasz im wciąż kontrolować swoje życie – całe lata po tym, jak od nich odeszłaś, jak stworzyłaś coś dobrego, jak stałaś się samodzielna. Nie wszyscy są tacy jak oni, Stella. Niektórzy są o wiele lepsi. I wiesz o tym. Walczyłaś o swoje życie i wygrałaś – i nie pozwalasz sobie na to, żeby się cieszyć tym zwycięstwem. Cały czas szykujesz się do nowej bitwy, która może wcale nie nadejść.

Odeszłam o krok, żeby odsunąć się od Floyda, odciąć od jego słów.

– Floyd, rozmawiasz z kobietą, którą ktoś zostawił bez żadnego konkretnego powodu. Może faktycznie się przed nim nie otworzyłam, ale on też tego nie zrobił! Nie rozmawiał ze mną. Zostawił mnie z powodu rzeczy, które mnie tworzą.

– Do diabła ciężkiego, dziewczyno, nie jesteś swoim zespołem! – odpalił Floyd, tracąc cierpliwość.

– Właśnie że jestem! – krzyknęłam.

Bo, do licha, może to nie było słuszne, może nie było dobre, ale było!

– Skoro ludzie są tacy dbający, kochający, otwarci, to dlaczego Linnie nie żyje? No? Dlaczego? Czemu ja muszę się bać, że ktoś mnie zamorduje, chociaż nie zrobiłam, cholera, nic złego prócz zakochania się w Masie wieki temu? Czemu muszę się bać o przyjaciół? Bitwa, która może wcale nie nadejść? Ona już się toczy, Floyd! To jest moje życie. Zawsze tak było. Bitwa za bitwą. Raz po raz. Dzień po dniu.

Podniosłam rękę, gdy Floyd otworzył usta, żeby mi przerwać.

– Nie, nie mów tego. Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie jesteś mną. I nie wiesz. Nie ty musisz

żyć w mojej głowie. To ja muszę o wszystko zadbać – o siebie, o zespół, o muzykę. To wszystko, co mam. To wszystko, co kiedykolwiek miałam. Jeśli coś dobrego dzieje się w moim życiu – odchodzi, tak jak zrobił to Mace. Lepiej, żebym nie chciała więcej. Próbowałam – zawsze kończy się fiaskiem. Przyjęłam to do wiadomości, trudno. Mogę żyć z tym, co mam, i być szczęśliwa.

Floyd chyba chciał coś odpowiedzieć. Ale jego twarz złagodniała, zbliżył się do mnie, nachylił, oparł czoło o moje.

– Jestem szczęśliwa – powiedziałam cicho. Położyłam mu ręce na ramionach i ścisnęłam.

Podniósł głowę.

– Chciałbym w to wierzyć – powiedział, a w jego głosie została już tylko słodycz. – Ale to, co mówisz, łamie mi serce.

Ręka, która trzymała moje serce, zacisnęła się mocniej; wbiłam palce w ramiona Floyda.

– Nie chcę tego – wyszeptałam. – Proszę, po prostu pozwól, żebym robiła to, co muszę zrobić.

– A potem, jeszcze ciszej, dodałam: – I potrzebuję wsparcia, zwłaszcza od ciebie.

Z leciutkim uśmiechem na ustach Floyd pokręcił głową.

– Kocham cię, dziewczyno. Kocham cię tak, jakbyś była moją córką.

Znów ściśnięcie serca i kopniak w brzuch, jednocześnie. Ale tym razem nie bolało.

– Ale jestem po stronie Mace’a. I nie pozwolę, żeby znów zniknął z twojego życia.

Cofnęłam się, a Floyd nachylił się bliżej.

– I zrobię wszystko, co będę musiał, żeby pomóc mu cię zdobyć.

Do cholery!

– Floyd! – krzyknęłam.

Położył mi dłoń na policzku, uśmiechnął się i powiedział:

– Dla twojego własnego dobra.

Słyszałam dziesiątki razy, jak mówił to swoim córkom.

Patrzyłam na niego, zszokowana, a on wziął mój futerał z gitarą i wyszedł, nie mówiąc już ani słowa.

Patrzyłyśmy na niego z Juno, potem ona spojrzała na mnie i szczerknęła.

– Masz rację, dziewczyno – szepnęłam, czując, jak się zapadam. – Ja to mam pecha.

Juno potwierdziła szczerknięciem.

Spojrzałam na drzwi, a potem znowu na psa.

– Jak myślisz, o co mu chodziło z tym bólem w oczach Mace’a?

Z pyska Juno spłynęła na podłogę strużka śliny. Chyba chciała mi powiedzieć, że nie wie. Uznałam, że ja też nie wiem i że nie będę myśleć o bólu, Masie, a już zwłaszcza o jego oczach.

Palladium było starym kinem na Colfax, przerobionym na wielki klub piętnaście lat temu. Czas świetności dawno miał za sobą, był obskurny, przesiąknięty zapachem piwa, papierosów, wymiocin.

Ale akustyka była tam idealna.

Dało się wpuścić pięćset osób, zanim straż pożarna zaczynała się czepiać, ale za każdym razem, gdy tam graliśmy, właściciel, zwany Mniczem (chyba dlatego, że był kompletnym przeciwieństwem mnicha), wpuszczał dużo więcej. Byliśmy kurą znoszącą złote jaja. Zwykle ludzie wypełniali klub po brzegi, a przed wejściem wiła się jeszcze długa kolejka. Tak samo było dzisiaj.

Kochaliśmy tu grać. Scena była duża, można się było swobodnie ruszać, a wszyscy lubiliśmy śpiewać dla tłumu. Pewnie, że lubiliśmy kameralne koncerty U Hermana czy w The Little Bears, ale prawdziwego kopa dostawaliśmy na widok sali pełnej ludzi w Palladium.

Tak jak dzisiaj, kiedy kłębił się dziki tłum.

Ponieważ istniało prawdopodobieństwo, że to mój ostatni występ, nie żałowałam sobie i na wypadek śmierci ubrałam się odpałowo – chciałam, żeby moje zwłoki wyglądały rockandrollowo.

Napuszyla włosy, zrobiłam mocny makijaż. Włożyłam spłowiałe dzinsy i czarną bluzkę z węzłem wyszywanym cekinami z przodu i głębokim dekoltem z tyłu, tak, że było mi widać czarny stanik. W szlufki spodni wsunęłam czarny szeroki pasek z dużą, pokrytą ornamentami srebrną klamrą.

Do tego czarne kowbojskie buty na wyższym niż zazwyczaj obcasie, z odjazdowymi wzorami na cholewkach, duże srebrne kółka w uszach, srebrne pierścionki na każdym palcu i zarąbistą, szeroką srebrną bransoletkę na przedramieniu.

Kończyliśmy właśnie drugiego czterdziestopięciominutowego seta (z zaplanowanych czterech) i zaczynałam się luzować.

Wiedziałam, że czterej goście z ekipy Nightingale'a w czarnych wiatrówkach z żółtym napisem „OCHRONA” na plecach obstawili wszystkie cztery wejścia. Ike, Jack, Bobby i Matt, w parze z ochroną Mnicha, sprawdzali torebki i plecaki i każdego przejeżdżali sprzątem.

Luke krążył między drzwiami, nie miał na sobie kurtki, za to minę, która wykluczała zadzieranie z nim.

Eddie, Hank i Willie Moses kręcili się w tłumie z odznakami i bronią na wierzchu, z miejsca gasząc wszelkie próby czegokolwiek.

Hector był na zewnątrz, widziałam go, gdy Luke przywiózł mnie i Avę na koncert. Hector wychynął z ciemności, skinął głową Luke'owi, obejrzał mnie od stóp do głów swoimi czarnymi oczami i znów rozplynął się w mroku.

Vance stacjonował przy drzwiach prowadzących za kulisy.

Lee był na scenie, z tyłu, w ciemności, i obserwował tłum.

Jakby tego było mało, barista Indy, Tex, siedział na stołku plecami do baru. Gdy czasem zdarzyło mi się na niego zerknąć, widziałam, że wzrok wielkoluda rzadko zmierzał ku scenie.

Duke z kolei stał tuż przy scenie, chodząc tam i z powrotem, gdy się przemieszczałam. Choć stał tyłem, wiedziałam, że gromi wzrokiem ludzi przed sobą, gasząc pozytywne wibracje. Nie poddawały się temu tylko rockowe laski, które przyszły w komplecie (z wyjątkiem Jules) i szalały teraz niemal przy scenie. Indy, Ally, Jet, Roxie, Daisy, Shirleen, Ava i Annette śpiewały razem ze mną do bólu gardła i krzyczały jak wariatki po każdej piosence.

Mace chyba jeszcze nie przyjechał.

Chyba nawet Madonna nie miała ochrony tej klasy, więc może jednak dzisiaj jeszcze nie umrę.

Zaczęłam cieszyć się koncertem.

Zerknęłam na Floyda i skinęłam mu głową.

Teraz.

Planowaliśmy zrobić odejście od ustalonej listy piosenek. I wszyscy w kapeli o tym wiedzieli.

Wszyscy – z wyjątkiem Buzza.

Floyd spojrział na Leo, ten uniósł głowę, a Hugo uśmiechnął się i podszedł do mikrofonu.

Buzz patrzył w podłogę.

Dawaliśmy czadu, ale Buzz był jakby poza imprezą, nie dokładał się do niej. Myślał o czymś innym.

Oderwałam od niego wzrok i spoglądałam na tłum. Zacisnęłam rękę na mikrofonie, odrzuciłam włosy do tyłu.

Kolej na Ponga i Leo.

Pong zaczął uderzać w bębny, Leo wziął pierwsze akordy – nie musiałam nawet patrzeć na Buzza, żeby wiedzieć, że załapał. Musiał załapać. Wszyscy znaleźmy ten rytm, wiedzieliśmy, co znaczy.

– Ten kawałek dedykujemy Linnie – powiedziałam do tłumy.

Odpowiedzią był ryk. Uderzyła nas fala dźwięku, rozpalając jeszcze bardziej. Większość ludzi nie miała pojęcia, kim była Linnie, ale to nieważne – kawałek z dedykacją musiał być zajebisty. A ten, chociaż rzadko go śpiewaliśmy, mógł rozwalić całą tę budę.

Zerknęłam na Buzza, był blady, ale patrzył płonącymi oczami. Odwróciłam wzrok, żeby się nie rozpląkać, i w tym momencie usłyszałam głęboki wokal Hugona.

Lecieliśmy z zajebistym „La Grange” ZZ Top.

Kolejne ciche akordy, delikatne uderzenia w perkusję.

Poczułam muzykę w sobie, tak jak zawsze, i wiedziałam, że Linnie czuła to samo.

„Jeszcze chwila...”, szepnął mój mózg, bo wiedział, co się stanie za chwilę.

Perkusja weszła mocniej, ciche brzdąkanie Leo brzmiało stabilniej. Tłum oszalał, a mnie spadł

zołądek.

„O to chodzi. Właśnie dla czegoś takiego Linnie żyła”, powiedział mój mózg to, co i tak wiedziałam. Rozumiałam Linnie. Miałam tak samo.

Znów odezwał się głos Hugona.

– Have mercy... – a potem „haw, haw, haw” i reszta tekstu.

Pong zapętlili rytm, a ja wyszłam na przód sceny i zaczęłam dawać czadu.

– Have mercy – zakończył Hugo.

Wycofał się, rzucając mi szeroki uśmiech, weszłam z gitarą.

Wariowałam na scenie, pracując z tłumem, Leo i Pong trzymali rytm. Patrzyłam, jak ludzie skaczą, jak machają głowami, jak podnoszą wysoko ręce i klaszczą. Uśmiechałam się do nich szeroko. Dawałam to, o co prosili, jak zawsze. Mogłam dać tylko tę jedną rzecz – siebie w muzyce – i dawałam hojnie, a oni brali wszystko.

Leo przestał grać, Pong dalej uderzał w perkusję, ja trzymałam rytm. Włączył się Leo, ja odpadłam, zostawiając go z Pongiem, Leo znów wrócił, ja tak samo.

Floyd przyłączył się do szaleństwa: nisko pochylony, z wysuniętą szczęką, udawał, że gra na gitarze, wyglądając niczym biały Chuck Berry.

Patrzyłam na niego i śmiałam się w głos, chociaż tylko ja mogłam się słyszeć. Zerknęłam na Hugona, który tańczył po swojemu, podnosząc i opuszczając ramiona, kiwając głową, wydeptując kwadrat.

Tłum rozpalał nas i jakby zniknął zupełnie.

Byliśmy kompletnie sami. Tylko my, blisko siebie, dla siebie.

Buzz, którego bas nie był potrzebny w tej części piosenki, skakał jak wariat, z szerokim uśmiechem na ustach, ze łzami na twarzy, z basówką za plecami.

Grałam razem z kapelą, przechodząc obok Floyda, który znów robił kolejny szalony rajd po scenie.

Odrzuciłam włosy, odchyliłam do tyłu głowę i grałam dalej.

Potem przestałam i zakołysałam się, uśmiechając się szeroko do Leo, który właśnie ruszał biodrami i machał głową. Brudne kosmyki wpadały mu do oczu i śmiał się jak pomyleniec. Spojrzałam na Ponga, który walił w bębny, a jego dzikie włosy tańczyły mu wokół głowy.

„Linnie byłaby zachwycona”, szepnął mózg.

„Linnie była zachwycona”, odpowiedziałam. Kochała „La Grange” ZZ Top, za każdym razem błagała, żebyśmy znów to zagrali.

„To jest dla Linnie”, szepnął mózg.

– To jest dla Linnie – odszepnęłam.

Uśmiechnęłam się do Buzza, on uśmiechnął się do mnie i gdy skończyliśmy kawałek, podszedł do mikrofonu.

– Niech żyje rock and roll! – krzyknął.

Tłum odpowiedział rykiem.

Skinęłam głową oświetleniowcowi i scenę zalała ciemność.

Duke wcisnął mi do ręki butelkę piwa, gdy zeszłam po schodkach z boku sceny.

– Jest problem – wymruczał. Sama to już poczułam. Haj po „La Grange” wyparował, sunęłam wzrokiem, szukając źródła problemu. Duke stał blisko mnie, z boku, reszta zespołu skupiła się dookoła.

– Co się dzieje? – zapytał Floyd.

A ja już szłam w stronę tylnej ściany, gdzie Lee, Vance i Mace, który chyba właśnie przyjechał, przygwoździli Mnicha, nie tyle siłą, co swoją zbiorową twardzielską obecnością.

– ...I rozluźnić jebany tłum – usłyszałam ostatnie słowa Mace’a, gdy stanęłam krok za nim.

Nawet nie widząc jego twarzy, wiedziałam, że jest wkurzony. Wystarczyło spojrzeć na jego wyprostowane plecy, na jego spięte ciało.

– Odjechało ci? – wrzasnął Mnich, który patrzył na Mace’a ogromnymi oczami.

– Jeśli nie zamkniesz wejść i nie przestaniesz wpuszczać tu ludzi, wtedy dopiero mi odjebie, możesz być pewien – odparł Mace, a jego ton nie pozostawiał miejsca na wątpliwości.

Dobry Boże.

– Co się dzieje? – spytałam.

Wszyscy czterej spojrzeli na mnie, ale odezwał się Mnich.

– Stella, złotko, zabierz swojego faceta.

– Co się dzieje? – powtórzyłam.

– Jeśli go nie zabierzesz, będzie problem – zagroził.

Nigdy go nie lubiłam. Podejrzewałam, że oszukuje przy rozliczeniu wejściówek, i wiedziałam, że rozwadnia drinki. Wiedziałam też, że nie pyta o wiek młodych ładnych dziewczyn, które chcą kupić alkohol, i że serwowanego im alkoholu nie rozwadnia. Gdy rozmawiał ze mną, zawsze podchodził za blisko i cuchnęło mu z ust. Wszystko razem jakoś nie sprzyjało lubieniu go.

Stanęłam pomiędzy „moim facetem” i Vance’em.

– Co... się... dzieje? – spytałam bardzo powoli, mocno wkurzona.

Nikt nie będzie psuł moich dobrych wibracji po ZZ Top.

Nikt.

A już na pewno nie ktoś taki jak Mnich.

Miał wianuszek ciemnych, gęstych, nastroszonych włosów na dole i łysą glacę. Był niższy ode mnie, grubszy od wszystkich i miał chytre oczka. Wyglądał jak dziwaczny, przerażający kłown bez makijażu.

– Przekroczył maksymalną liczbę wpuszczanych osób – wyjaśnił Lee. – Jego ludzie opieprzają się przy przeszukaniach.

Niedobrze.

Mnich zwykle przekraczał liczbę klientów, więc w sumie zero zaskoczeń. Ale porządne przeszukania były ważne i dla mnie, i dla reszty rockowych lasek, jeśli chcieliśmy dożyć poranka.

– Wiesz, ile czasu zajmuje przeszukanie i przejrzenie tych cholernych plecaków? Całe godziny, zanim ludzie by weszli! – Mnich spojrzał groźnie na Lee, ale szybko spękał, gdy Lee przesunął po nim złym wzrokiem.

– Czy ty w ogóle rozumiesz, co jest na rzeczy? – Floyd wcisnął się między Lee i Mace’a, chyba jeszcze bardziej zły niż Lee (ale nie bardziej niż Mace). Mina Mace’a wróżyła Mnichowi bardzo niedobre rzeczy w bardzo bliskiej przyszłości.

Nim zdołał odpowiedzieć, wtrącił się Lee.

– Zgodziłeś się na procedurę.

– Bo nie miałem pojęcia, że to będzie tyle trwało! Wiem, że The Gypsies to pewniaki, ale ludzie wychodzą z kolejki i wracają do domu. Przez to tracę pieniądze, a ja bardzo nie lubię tracić pieniędzy.

– Mnich nie zamierzał ustąpić.

– Nadal masz kolejkę za drzwiami i już przekroczyłeś limit klientów. Niczego nie tracisz – wtrącił się Vance.

– Mówisz ludziom, że nie wchodzi, zamykasz wejścia, luzujesz tłum. Zanim znów zaczną grać, ma stąd wyjść pięćdziesiąt osób – zażądał Mace.

Obserwowałam Mnicha: wyglądał jak postać z kreskówki z symbolem dolara w oczach. Wyraźnie obliczał, ile straci na barze plus zwrot opłaty za wstęp dla pół setki ludzi.

– Nic z tego – zwrócił się do Mace’a.

Ten nachylił się i nie było to serdeczne nachylenie promiennego luzaka.

Bardzo niedobrze.

Dobra, czas interweniować.

Wysunęłam się przed Mace’a i przycisnęłam się do niego plecami, chcąc go odsunąć.

– Jeśli tego nie zrobisz, nie wracamy na scenę – ostrzegłam Mnicha.

– Jeśli nie wróćcie, to nie zapłacę – zagroził Mnich.

– Jeśli nie zapłacisz, połamię ci nogi – obiecał Mace.

– O ja cię sunę – westchnął z zachwytem Pong.

Pong od zawsze nalegał, żebyśmy wynajęli jakiegoś gościa, który ustawiłby właściciele klubów, żeby nie oszukiwali przy rozliczeniu, co się zdarzało. Niestety, nie było nas na to stać. Wprawdzie Hugo oferował, że on może dać wycisk, ale zabroniłam, nie chciałam, żeby połamał palce. Potrzebowaliśmy jego palców – przy grze na saksofonie są jakby ważne.

Lee przysunął się bliżej Mnicha.

– Wypraszasz pięćdziesiąt osób i nie wpuszczasz nikogo więcej. Mamy tu pięciu gliniarzy – wezwą patrole za pogwałcenie przepisów. Może nawet przyjdzie im ochota ściągnąć tu tych z TTB, tak dla zabawy.

Mnich zbladł.

– Co to jest TTB? – wyszeptał z tyłu Lee.

– Chuj go wie – mruknął Pong.

– Biuro podatków od handlu alkoholem i tytoniem[1] – odparł Hugo.

– O nie – szepnął Leo z nutką paniki.

– Wyluzuj, to nie są ci z DEA – wtrącił się Buzz.

– Dzięki ci, Boże. – Leo odetchnął z ulgą.

– Poza tym oni nie przejęliby się trawką, którą masz w futerale – uspokoił go Pong.

– Tak, mają grubsze ryby do wyłapania – zauważył Hugo.

Pomodliłam się szybko o uwolnienie od kapeli, która otwarcie gada, że jeden z jej członków ma przy sobie marihuanę, ze świadomością, że w klubie są policjanci.

Gdy uwolnienie nie nadeszło, odwróciłam się, spojrzałam przez Mace'a i zgromiłam ich wzrokiem.

– Moglibyście się zamknąć? – wysyczałam.

A oni zagapili się na mnie, jakby nie ogarniali, w czym problem.

Ja chromołą.

Odwróciłam się z powrotem do Mnicha.

– To jak? – zapytałam, gdy nic nie mówił.

Mnich miał minę jak po ugryzieniu cytryny, co nie robiło mu dobrze na aparycję. Ogólnie był mało pociągający, teraz jeszcze mniej.

– Zamknę wejścia i wyproszę ludzi – poddał się w końcu.

Spojrzałam w sufit.

Dzięki ci, Boże.

Ale Mnich jeszcze nie skończył.

– Stella, jak będziesz robić takie numery, a ten dupek będzie się kręcił przy zespole – wskazał kciukiem Mace'a – to będę musiał przemyśleć nasze ustalenia.

Oczywiście.

Znów moje parszywe szczęście.

W Palladium mieliśmy zaplanowane trzy koncerty na dwa najbliższe miesiące. Nawet jeśli Mnich kantował przy rozliczeniach, to i tak u niego zarabialiśmy najwięcej. Kurczę, jeden wieczór w Palladium to dla Leo i Buzza ze dwa tygodnie życia. Nie mogliśmy tego stracić.

Ale nim zdążyłam mu powiedzieć, ruszył się Mace. W jednej chwili stałam między nim a Mnichem, w drugiej nic już ich nie dzieliło, a Mnich wznosił się nad ziemią – Mace przycisnął go do ściany i podniósł do góry.

– Mam ci przybliżyć moje stanowisko? – spytał przez zęby.

Mnich wytrzeszczył oczy i szybko pokręcił głową, na tyle, na ile mu się tu udało z ręką Mace'a na szyi.

Mace puścił go, ale nie odsuwał się.

– Procent od wejściówek i zapłatę dla kapeli przynosisz mnie. Policzę pieniądze i jeśli nie spodoba mi się wynik, wrócimy do tej rozmowy – poinformował go.

Ja pitole.

Czy on to serio powiedział?

Mnich patrzył ze złością, ale skinął głową. A potem odwrócił się i zniknął w tłumie.

Tak, jednak Mace to powiedział.

Zajął się mną i kapelą.

Znowu.

Ja to wszystko pitolę.

– Kurwa, uwielbiam tego faceta – oznajmił Pong, zapatrzony w Mace’a.

Ja to wszystko pitolę jeszcze raz.

– Nie masz może jakichś panienek do wyrwania na po koncercie? – zapytałam zjadliwie.

Pong wzdrygnął się – dotarło do niego, że stoi ze mną i grupą typów, zamiast rozpracowywać dziewczyny i ustawiać sobie atrakcje na wieczór.

– O kurde, racja. – Odwrócił się i walnął Hugona w ramię. – Tracimy czas, Murzynie.

Hugo spojrział na niego z góry.

– Nie mów tak do mnie.

– Dlaczego nie? – Pong już szedł w stronę tłumu. W sumie miał gdzieś odpowiedź Hugona; zawsze mówił na niego „Murzyn”, a Hugo zawsze mówił mu, żeby tego nie robił.

– Inny Murzyn może tak na mnie mówić. Kościsty białas z eyelinerem na oczach i lakierem na włosach nie. – Hugo też się ruszył.

– Nie mów tak na mnie – usłyszałam jeszcze, gdy Pong wbijał się w tłum.

– Jesteś kościstym białasem – usłyszałam odpowiedź Hugona, zanim zniknął mi z oczu.

– Muszę napić się piwa – rzucił Floyd w eter i poszedł w stronę baru.

– A ja zapalić. – Leo wycofał się za kulisy.

Buzz podszedł i nie patrząc na mnie, uściśnął mnie szybko. Zawsze był emocjonalny, ale w tej chwili mnie zaskoczył.

Nim zdążyłam coś zrobić, on też wmieszał się w tłum.

Patrzyłam za nim.

Wiedziałam, że ten uścisk to za „La Grange” i Linnie.

Zacisnęłam usta, żeby się nie rozpłakać.

Duke, Vance i Lee też gdzieś poszli, zostawiając mnie z Mace’em.

Napiłam się piwa. W tej chwili byłam za bardzo przebudźcowana, żeby jeszcze gadać z Mace’em.

Poprawka: żeby gadać z nim kiedykolwiek.

– Potrzebuję być sama – poinformowałam go, choć właściwie należało mu podziękować. Znowu zajął się mną i kapelą.

Żeby na niego nie patrzeć, spoglądałam na tłum. Duke, Lee, a teraz jeszcze Hank i Willie odsuwali ludzi, którzy chcieli do mnie podejść, tworząc pustą przestrzeń w zatłoczonym klubie.

Miałam ochotę ich ucałować.

– Cały rok byłaś sama. Czas minął – odparł Mace.

Spojrzałam na niego mrużąc oczy.

Pardonnez-moi?

– Co proszę? – zapytałam.

Podszedł bliżej.

Cofnęłam się.

I uderzyłam plecami w ścianę. Oparł rękę obok mojej głowy, otoczył ciałem.

– Mace, proszę – powiedziałam łagodnie w nadziei, że odpuści. Odpuszczał zawsze, gdy szłam w łagodność.

– Byłaś niesamowita na scenie. – Wyraźnie nie był w nastroju na odpuszczanie. Zrozumiałam też, że wcale nie przyjechał przed chwilą. Był tu, cały wieczór, stał w cieniu. I patrzył.

Zadrżałam.

W półmroku klubu spostrzegłam, że on też łagodnieje; jego łagodność była milion razy bardziej skuteczna niż moja.

O kurde.

– Przestań – powiedziałam.

– Myślisz, że to jest dobre, a to nieprawda. To jest zajebisty magnetyzm.
– Przestań.
– Mogłabyś grać na stadionach.
Zacisnęłam powieki.
– Dość – szepnęłam.
Przysunął się jeszcze, poczułam ciepło jego ciała.
To było takie dobre. Słuszne. Bezpieczne.
– Nie jesteś w mroku.
Otworzyłam szeroko oczy – i zobaczyłam, jak teraz on znika w tłumie.

Wiedziałam, że to zrobię zaraz po tym, jak wybrzmiała nasza dzika, zajebista, odpałowa wersja „Ghostriders in the Sky”, kończąca każdy koncert.

Wiedziałam – nawet jeśli oznaczało to precedens, zmianę rozkładu sił w kapeli, a może nawet wyłom.

Musiałam.

Żeby Mace wreszcie zrozumiał.

Bo jeśli nie zrozumie, będę zgubiona.

Już czułam, jak tracę grunt pod nogami, a dopiero znalazłam swoją drogę.

Nie zawrócę.

Nie mogę.

Nie.

Koncert się skończył, ludzie jak zawsze domagali się bisów, chociaż starzy bywalcy wiedzieli, że nic z tego. Nie graliśmy bisów.

Nigdy.

Mogli krzyżeć, klaskać i tupać – po „Ghostriders” następował definitywny koniec. Bez szans.

Aż do dzisiaj.

Chłopaki nasycili się owacjami, dziękowali do mikrofonów, podnosili ręce, żegnali się z widzami, przepełnieni miłością. Odwrócili się tyłem do publiczności, mieli zamiar się pakować. W klubie zapalono światła, do ludzi docierało powoli, że muszą zejść z tego haju, na który ich wynieśliśmy; żądanie bisów przechodziło w podziękowanie.

I wtedy trąciłam struny.

Buzz spojrział szybko, czułam, że Floyd też na mnie patrzy. Leo rozejrzał się stropiony, Hugo zastygł w miejscu, wpatrzony w palce mojej ręki na strunach i palce drugiej na progach.

Nie odwracałam się, żeby zobaczyć, co robi Pong.

Nadal trącałam struny.

I podeszłam do mikrofonu.

Wypowiedziałam cicho „oh yeah”, pozwoliłam, żeby dźwięki wtopiły się w cichnący tłum. Zagrałam pierwsze akordy.

Buzz, Leo i Pong przyłączyli się idealnie, jakbyśmy grali to na próbach dziesiątki razy – a nie graliśmy nigdy. Grałam dla siebie, w domu, nigdy nie pozwalałam sobie zaśpiewać tego na koncercie. Miałam tę piosenkę głęboko w duszy, tak głęboko, że nie mogłam grać jej publicznie. Bałam się, że źle to zrobię.

W tłumie zapanowała martwa cisza, wszyscy wpatrywali się w scenę.

Wiadomo było, że nigdy nie zmieniam słów, nigdy nie przerabiam męskiej wersji tekstu na kobiecą. Dodawało to pikanterii, lesbijki uważały mnie za jedną z nich, uznając, że w ten sposób przekazuję zakodowaną wiadomość. Nie miałam z tym problemu i cieszyłam się z dodatkowego grona fanek; dziewczyny zawsze dodawały pozytywnych wibracji na koncercie.

Nikt nie wiedział, że nie przerabiam słów dlatego, że nie są to moje słowa. Dla mnie cudza piosenka była dziełem wykutym w marmurze, nie miałam zamiaru poprawiać doskonałości niewprawnym dłutem.

To miał być absolutny wyjątek.

Chciałam zmienić słowa Eddiego Veddera, żeby dopasować je do siebie i Mace'a.

Nietrudno było znaleźć go wzrokiem. W ciągu obu ostatnich setów wiedziałam, gdzie stoi.

Tak jak kiedyś. Przed naszym rozstaniem zawsze widziałam go w czasie koncertu.

Wyższy od większości ludzi, stał metr od baru, wpatrzony we mnie.

Spotkaliśmy się wzrokiem.

I wtedy zaczęłam dla niego śpiewać.

Tak, znowu.

Poczułam, że ludzie wstrzymują oddech.

I śpiewając dla Mace'a, rozwinęłam przed nimi epicką balladę Pearl Jam, „Black”.

Gdy skończyłam, gdy przeciągnęłam „be” i krzyknęłam „yeah”, Mace wyrwał się z transu i zaczął brnąć przez tłum do sceny.

The Gypsies grali z taką mocą i przekonaniem, jakbyśmy grali ten kawałek miliony razy, a nie właśnie ten jeden. Moja gitara cięła dźwięki, rozbrzmiewając złością, Floyd uderzał w klawisze z dużą pewnością, a przecież nie wiedziałam nawet, czy zna tę piosenkę.

Ludzie stali w ciszy, oszołomieni, zapatrzeni, oczarowani.

Wykrzyczałam ostatnie słowa, ochryple, pełne rozpacz, tak jak Eddie Vedder na płycie „Ten”, która wstrząsnęła światem i określiła ich styl.

Mace był już pod sceną, a ja zamknęłam oczy, żeby się odciąć, jakby ten gest mógł usunąć go z mojego świata na zawsze.

Grałam dalej, z opuszczoną głową i czołem wspartym o mikrofon, a widok Mace'a, który parł przez tłum w moją stronę, miałam wypalony pod powiekami.

Klawisze Floyda dublowały dźwięki mojej gitary, kapela śpiewała teraz „da-do-do, do-do-do”, ale nim uderzyłam w gniewny riff, nim wykrzyczałam, jak Vedder, swoją udrekę, ktoś odciągnął mnie od mikrofonu.

Otworzyłam oczy, sparaliżowana. Nie wierzyłam, że to się dzieje.

Mace stał na scenie tuż przede mną na oczach pięciuset osób.

Nie mogłam się ruszyć, a on wziął gitarę za gryf, zdjął mi ją przez głowę i przyciągnął mnie do siebie tak mocno, że uderzyłam w jego ciało.

Wolną ręką objął mnie za plecy i przycisnął do siebie, a potem nachylił się i pocałował mnie. Na scenie. Przed setkami ludzi. Mocno, gorąco, namiętnie i seksownie.

Pochylił się jeszcze, przechylając mnie przez swoją rękę, stałam tak, z wygiętymi plecami, biodrami przyciśnięta jeszcze mocniej do niego.

Całował mnie nadal, a chłopaki grały wokół nas, przeciągając piosenkę w nieskończoność...

Słyszałam, jak ludzie wiwatują, krzyczą, tupią i biją brawo. Wszyscy oszaleli, a moją subtelną ewentualność bycia lesbijką diabli wzięli.

A Mace wciąż mnie całował.

Gdy w końcu przestał, nie odsunął się. Nadal mnie przechylał, z twarzą centymetry od mojej, wpatrzony w moje oczy. Oboje ciężko dyszeliśmy, serce waliło mi jak młot, czułam je w piersi, w krtani i czułam, jak bije jego serce.

– Nie rozumiesz – szepnęłam.

Łzy piekły mnie w krtani, paliły pod powiekami.

Tak bardzo mi zależało, żeby zrozumiał.

Ale on nie pojął, że zalał mój świat czernią, nie ogarnął, że nie chcę przechodzić przez to raz jeszcze.

– Nie, kociątko, to ty nie rozumiesz – odszepnął.

Zaciskałam ręce na jego ramionach, chciałam się odepchnąć, ale widziałam, że nie dam rady. Nie zdołam się wyrwać, hamować i trzymać się kurczowo mojej chwiejnej wiary, że postępuję słusznie. Nie zdołam zrobić tego wszystkiego na raz.

Dlatego po prostu stałam.

– Puść mnie, Mace.

Nie puścił.

Za to przemówił.

I to, co wtedy powiedział przy końcowych dźwiękach rozdzierającej ballady Pearl Jam, zmieniło całe moje cholerne życie.

– Nie mogę być gwiazdą na twoim niebie, bo ty jesteś jedyną gwiazdą, jaka jeszcze świeci na moim.

Wtedy mój oddech wystartował emerytowanym concorde'em i pomknął wprost do Paryża.

Sekundę potem padły strzały.

A chwilę po nich Mace i ja padliśmy na scenę; jego wielkie, mocne ciało przygniotło moje przy rozdzierających dźwiękach miazdzonej gitary.

Rozdział 9

Sex wax

Jet

Właśnie posłałam Daisy szeroki uśmiech, nadal nahajowana po „Ghostriders”, który Gypsies zawsze grali na zakończenie i który trwał co najmniej dziesięć minut, jeśli nie dłużej. Słyszeliśmy go na każdym koncercie, a jednak zawsze były w tym świeżość i nowa siła, wprawiające publiczność w amok.

A dzisiaj to już wyjątkowo. Kapela stała w ogniu, rozpalając ludzi do białości. Zapomnieliśmy o problemach, o groźącym niebezpieczeństwie, po prostu cieszyliśmy się starym dobrym rockiem.

Daisy odpowiedziała szerokim uśmiechem i wrzasnęła:

– Yippee ki yay!

Odkrzyknęłam to samo.

Nad jej ramieniem zobaczyłam, jak Annette i Roxie przybijają piątkę, zderzają się biodrami; roześmiałam się.

Bycie rockową laską to zajebiste uczucie.

Przebijało je tylko bycie kobietą Eddiego.

A ja miałam jedno i drugie.

Przesunęłam wzrokiem przez tłum, szukając Eddiego (bez skutku), zatrzymałam się na Teksie.

Jak przez cały wieczór Tex siedział na stołku, tyłem do baru. Ale w tej chwili zmrużył oczy i wpatrywał się w coś, co chyba mu się nie podobało.

Ponieważ Texowi nie podobało się wiele rzeczy, nie przejęłam się tym.

A potem usłyszałam, jak Stella gra pierwsze akordy „Black”.

O dobry Boże.

Poczułam, jak ludzie nieruchomieją, odwróciłam się powoli. Indy, Ally, Roxie, Daisy, Ava i Annette wyszły już z haju po „Ghostriders” i patrzyły się na scenę. Tak samo jak wszyscy.

The Gypsies nie grali bisów.

Nigdy, przenigdy.

Spojrzałam na Stellę i zamurowało mnie. Stała przy mikrofonie i powiedziała powoli „oh yeah”.

Przesunęła wzrokiem przez tłum, znalazła kogoś. Wiedziałam kogo. Wiedziałam, że będzie śpiewać dla Mace’a.

Tak samo jak kilka miesięcy temu, gdy śpiewała dla niego Hanka Williamsa.

I tak samo jak wtedy, słuchanie jej głosu sprawiało ból.

Piękny, czysty, hipnotyczny ból.

Wiedziałam, że tak samo jak mnie boli słuchanie, ją boli śpiewanie tej piosenki. Zawsze wkładała uczucie w swoje kawałki, ale w „Black” przelewała duszę i wszyscy to czuli. I w tej chwili pełnego czci uwielbienia zastygliśmy w milczeniu, patrzyliśmy, jak dzieli się swoim cierpieniem.

To było jak hipnoza. Piosenka płynęła w tłum, słowa ociekały bólem, a my staliśmy nieruchomo i patrzyliśmy.

I wtedy na scenie pojawił się Mace, w jednej chwili podszedł do Stelli, odciągnął ją od mikrofonu, uwolnił od gitary i zaczął całować.

Wciągnęłam mocno powietrze na sam widok.

To był głodny, mocny pocałunek, w założeniu bardzo intymny, w tej chwili wyjątkowo publiczny. Czułam, jak przenika mnie to na wskroś, i wiedziałam, że powinnam odwrócić wzrok.

Ale nie mogłam.

Nie mogłam.

Ludzie krzyczeli, tupali, bili brawo.

Nie chciałam krzyczeć. Chciałam płakać i śmiać się jednocześnie.

Ale nim zdążyłam się na coś zdecydować, ujrzałam mały czerwony punkt tańczący między

Mace'em i Stellą.

Ktoś używał lasera.

Rozgniewało mnie to.

Kto był w stanie patrzeć na tę namiętność i bawić się laserem?

I wtedy Duke krzyknął chrapliwie:

– Broń!

Co?

Czyli to nie był laser?

Odwrociłam się – zupełnie jakbym nie panowała nad swoim ciałem. Zamiast uciekać albo paść na podłogę, co miałyby jakiś sens, odwróciłam się i ujrzałam, jak Tex odrzuca ludzi z drogi, jak taranuje tłum.

– Padnij! – wrzasnęła Shirleen.

Odwrociłam się w stronę sceny i zobaczyłam, jak światło lasera skacze w górę, metr nad głowę Ponga. A potem wyładowałam na ziemi, Shirleen na mnie.

Rozległy się strzały.

Słyszałam krzyki, wrzask, tupot nóg. W Palladium rozpętało się pandemonium.

Strzały zamilkły. Shirleen zeszła ze mnie, wstała, wzięła mnie za nadgarstek i postawiła na nogi.

– Spotkanie! – usłyszałam głos Eddiego i zobaczyłam go: w jednym ręku miał broń, drugą wskazywał mnie. Zobaczyłam też gościa na podłodze, Tex przyciskał go kolanem do ziemi i wykręcał mu rękę. Wokół nich rozlewała się pusta przestrzeń. Potem zobaczyłam, jak Luke rzuca strzelbę Williemu, jak przesuwa wzrokiem do grupy rockowych lasek, patrzy na Avę.

A potem Hector objął mnie w pasie i odciągnął; widziałam jeszcze Vance'a, Duke'a, Ike'a i Bobby'ego. Wszyscy mieli broń i zagarniali nasze dziewczyny na tyły klubu.

Nie było łatwo. Nadal kłębił się tu tłum ludzi, przepychających się w przeciwnym kierunku. Chłopcy, wysocy, mocni, z bronią w ręku, torowali sobie drogę, odpychając ludzi.

– Stella i Mace! – krzyknęła Indy i spojrzałam szybko na scenę.

Mace, ze Stellą przerzuconą przez ramię, już schodził po schodach, kapela za nim.

Dotarliśmy do schodów w chwili, gdy Mace był już na dole i stawiał Stellę na podłodze.

Stella była biała i w szoku, ale na szczęście nie draśnięta. Dzikim wzrokiem przesunęła po Masie, jakby szukała śladów krwi, potem spojrzała na jego twarz, chciała coś powiedzieć, ale Mace odezwał się szybciej.

– Spotkanie – warknął do Hectora i w jednej chwili poszedł w stronę Texa, Luke'a i Williego.

– Mace! – krzyknął za nim Vance, ale Mace się nie zatrzymał.

– Kurwa – warknął Hector. Odwrócił głowę i zawołał: – Lee!

Lee zeskoczył ze sceny i przepychał się przez tłum w stronę Mace'a.

– Idziemy – zadysponował Duke, pchając nas na tyły.

– Co on zrobi? – Ally wpatrywała się w Mace'a.

– Ruchy! Już! – huknął Duke i zaczął pchać nas mocniej.

Znałyśmy procedurę, i tak zmarnowaliśmy już dużo czasu.

Niedługo potem czarne explorery zawiozły nas do Zamku.

– *Chiquita*, odejdz od okna – poprosił Eddie.

Oderwałam się od widoku za oknem – Mace i Stella odjeżdżali spod domu – spojrzałam na Eddiego.

Stał bosy, bez koszulki, z rozpiętym paskiem i dwoma guzikami džinsów.

Jak zwykle wyglądał wykurwiście seksownie. Właśnie tak, wykurwiście.

I jak zawsze był gotów pójść do łóżka.

Po tej niesamowitej nocy, rockowych przeżyciach i jawnym zagrożeniu, po strzelaniu i ewakuacji w kuloodpornych SUV-ach Eddie mógł iść spać.

No tak, był gliniarzem, miał niebezpieczną pracę i pięć zalotów rockowych lasek i seksownych

twardzieli za sobą, włączając nasze. Dla niego to po prostu kolejna noc.

– Z Mace'em w porządku? – zapytałam, opuszczając zasłonę i odsuwając się od okna.

Mace był spięty i nie mieliśmy czasu zamienić na dole nawet kilku słów; Eddie wrócił przed nim i zabrał mnie od razu na górę. Wyglądał na wyczerpanego, więc się nie spierałam, ale i tak chciałam wiedzieć, co się stało. Bardzo.

Jeśli Mace dostał szafu i dorwał faceta, który strzelał do Stelli, będziemy musieli odwiedzać Mace'a w miejscowym więzieniu, ponieważ nadal wsadza się ludzi za zabójstwo.

To, że siedział ze Stellą w explorerze, uznałam za dobry znak.

Choć równie dobrze mogli właśnie uciekać do Meksyku.

– Tak. Lee to opanował, zanim musieliśmy go zamknąć – odparł Eddie, rozpinając resztę guzików.

Odetchnęłam z ulgą.

Podeszłam do Eddiego i podniosłam jego porzuconą koszulkę. Położyłam ją na łóżku i również zaczęłam się rozbierać.

– Nie wierzę, że otworzyli ogień w zatłoczonym klubie – powiedziałam, zdejmując bluzkę.

– Sid to psychol – odparł Eddie niby niedbale, ale jednak z napięciem.

Tak, to na pewno: Sidney Carter był skończonym świrem.

Może Eddie wcale nie był taki spokojny. Może po prostu chciał pomyśleć o tym później, na przykład opowiadając zwariowane historie naszym wnukom na emeryturze w Arizonie.

Siadłam na łóżku i ściągnęłam buty.

– A jak ty? W porządku? – zapytał Eddie. Zerknęłam na niego.

Zatkało mnie.

Stał całkiem nagi z rękami na piersi i wzrokiem utkwionym we mnie.

Nigdy nie miał problemów z nagością.

A ja nigdy nie miałam problemu z jego nagością.

Przestałam o tym myśleć i skinęłam głową.

Tak, było w porządku.

Nauczyłam się dawno temu, że jeśli wciąż jesteś cały i zdrowy, to przechodzisz nad tym, co się stało, do porządku dziennego.

Wstałam, zdjęłam dzinsy i stanik; Eddie położył się na łóżku. Wzięłam jego podkoszulkę i już miałam ją włożyć, gdy Eddie mnie powstrzymał.

– Nie przypuszczam.

Spojrzałam na niego, z podkoszulką w ręku.

– Słucham?

– Zostaw tę koszulkę, *mi amor* – powiedział łagodnie. Oczy mu płonęły.

Zrobiło mi się ciepło w środku.

Dałam spokój koszulce.

A potem weszłam na łóżko i zaczęłam się do niego skradać. Patrzyłam na jego twarz, on patrzył na moje ruchy i uśmiech błąkał mu się na ustach. Gdy znaleźliśmy się twarzą w twarz, położyłam się na nim.

Objął mnie, jedną dłoń wsuwając w majtki z tyłu.

– To dla ciebie w porządku, że tu nocujemy? – zapytałam, gdy czarne oczy Eddiego zaczęły migotać.

Eddie nie znosił Marcusa, a Marcus jego i obecna sytuacja była daleka od optymalnej. Obaj zachowywali rozejm w imię mojej przyjaźni z Daisy, ale był to niepewny rozejm. Bardzo niepewny.

Zanim Eddie poznał mnie i zanim ja poznałam Daisy, Eddie poświęcił sporo czasu, żeby dopaść Marcusa Sloana za jego mocno szemrane interesy. Gdzieś w międzyczasie Eddie przestał go prześladować, a Marcus zarzucił przestępcze działania. Nie znaczyło to, że Marcus był wzorem praworządności ani że Eddie zrezygnował.

Jeśli Marcus przekroczy granicę, Eddie go przyskrzyni.

Goszczenie się u Sloanów było Eddiemu mocno nie na rękę.

Nie mówiąc już o tym, że (jak dowiedziałam się wczoraj od Eddiego) wydział policji w Denver patrzył na to z niechęcią i Eddie nie miał szans na tytuł detektywa roku. Ponieważ Eddie często działał po swojemu, jego szanse i tak były mizerne (nawet gdyby przyznawali takie tytuły) i wiedziałam, że nie ma z tym problemu. Nie wchodził w politykę i system, skupiał się na pracy.

Jego oczy nadal się jarzyły, gdy odpowiedział:

– Zrobiłbym prawie wszystko, żebyś była bezpieczna.

Wiedziałam, że to prawda. Dowiódł tego nie raz.

Uśmiechnęłam się, a on spojrzał na mnie ciepło. Kochał mój uśmiech.

Poczułam ciepło w brzuchu, pochyliłam głowę i przesunęłam policzkiem po jego szyi.

Eddie uniósł nas, wyciągnął kołdrę, przykrył nas oboje; ja nadal leżałam na nim.

Jego dłoń wróciła w moje majtki, bardziej zdecydowanie, drugą ręką objął mnie w talii.

Z twarzą wtuloną w jego szyję wyszeptałam:

– Opowiedz mi o Masie.

Jego dłoń znieruchomiała.

– Kiepski pomysł, *cariño*.

Zabrzmiało to bardzo poważnie, więc wtuliłam się jeszcze mocniej i pocałowałam go w szyję.

Poza tym lubiłam całować go w szyję. Eddie wszędzie ładnie pachniał, ale tu najładniej.

Musiałam wiedzieć. Każda rockowa dziewczyna miała swojego drugiego twardziela. Dla Indy to był Eddie, dla Roxie Vance, dla Jules Luke, dla Avy Lee.

Moim był Mace.

Między Mace'em i mną była pewna więź, której Eddie nie lubił, ale której nie próbował negować. Wiedziałam, że Mace widział śmierć swojej siostry. Nasza więź zaczęła się w chwili, gdy Mace uratował mnie od podobnej śmierci.

Początkowo Eddie myślał, że Mace próbuje wejść mu w paradę, ale to nie było to. Po prostu Mace i ja mieliśmy jakąś relację, która oznaczała, że od czasu do czasu zjawiał się na kolacji, czasem pod nieobecność Eddiego.

Mace nie mówił dużo i nigdy się nie zwierzał, ale wiedziałam, że lubi słuchać mnie i z całą pewnością lubi moje chili i pieczeń rzymską, chociaż na pierwszym miejscu stawiał pieczonego kurczaka i tłuczone ziemniaki z serem i czosnkiem.

Mace i ja byliśmy tak jakby przyjaciółmi. Po tym, co razem przeszliśmy (gdy uratował mi życie), on był dla mnie bardzo ważny i z jakiegoś powodu ja byłam ważna dla niego.

Czasem po prostu wiesz takie rzeczy i nie musisz o nich rozmawiać.

Eddie wspominał mi już o siostrze Mace'a, ale nie wchodził w szczegóły.

Po tym, co działo się teraz, musiałam je poznać, a wiadomo, że nie zapytam Mace'a.

Dlatego zapytałam Eddiego.

– Chcę się dowiedzieć – przycisnęłam.

– Nie chcesz.

Podniosłam się na rękę i spojrzałam na niego z góry.

– Owszem, chcę.

– Jet...

– Wiem, że jego siostrę zamordowano, Eddie. Nie spodziewam się dobrego zakończenia.

Patrzył na mnie przez chwilę, w końcu westchnął i wiedziałam, że ustępuje.

Nie uśmiechnęłam się. Mój własny dramat się skończył: byłam z Eddie, moja siostra po latach w LA wróciła do Denver, moja mama po przebytych zawałach była zdrowa, szczęśliwa i spotykała się z Teksem i miałam mnóstwo powodów do uśmiechu (pomijając ostatnie wydarzenia).

Lecz nie w tej chwili.

Eddie przekręcił się, leżeliśmy teraz na boku, twarzą w twarz.

Wyjął mi rękę z majtek, ale nie zabrał drugiej z talii.

I zaczął mówić.

– Mace pochodzi z bardzo bogatej rodziny. Jego rodzice rozwiedli się, jak był mały, ojciec trzymał kasę, nic im nie dawał, kolekcjonował za to kolejne żony. Mace został z mamą, przenieśli się

z LA na jej rodzinne Hawaje, ich poziom życia znacznie się obniżył. Jego ojciec miał drugie dziecko z żoną numer trzy, w sumie było ich pięć, zostawiał je po kolei bez grosza przy duszy. Mace był bardzo związany z mamą i miał kontakt ze swoją przyrodnią siostrą, ale nie wchodził w relacje z ojcem.

Nie dziwiło mnie to. Z tego, co słyszałam o ojcu Mace'a, też nie chciałam mieć z nim kontaktu.

Eddie urwał. Spojrzałam na jego minę i wiedziałam, że ta część opowieści będzie niemiła. Przesunęłam dłonią po jego brzuchu, położyłam mu ją na piersi, dopiero wtedy znów się odezwał.

– Jego ojciec miał kupę szmalu – mówimy tu o miliardach. Zostawiał kolejne żony i dzieci, nie miał z nimi kontaktu. I chociaż zagrożenie nie było poważne, to przy tego rodzaju forsie zawsze jest jakieś, a on zostawiał dzieciaki bez ochrony. Siostrę Mace'a porwano dla okupu.

– O mój Boże – powiedziałam bez tchu, choć mnie też porwano, podobnie jak Avę, Indy i Roxie. Wprawdzie żadne porwanie nie było miłe, ale większość nie trwała długo, zostałyśmy uratowane i nie trzymano nas dla okupu.

– Ojciec Mace'a był gnojem. Twardy gość, nie zapłaci okupu, nie zawiadomi policji. Wynajął własny oddział komandosów, a oni nie mieli pojęcia, z czym się mierzą. Zjebali akcję i ojciec Mace'a dostał dłoń córki w pudełku.

Poczułam gulę w gardle, przełknęłam i zacisnęłam mocno powieki.

Może Eddie miał rację. Może jednak nie chciałam wiedzieć.

Ale było za późno, mówił dalej.

– Mace miał dość. Złamał zakaz ojca, powiadomił policję. Otoczyli porywaczy, zaczęli negocjować. Z jakiegoś jebanego powodu tamci zażądali, żeby Mace wszedł do budynku. Policja odmówiła. Gdy usłyszeli krzyki dziewczyny, Mace dostał szalu, żądał, by go wysłali. Wybór był żaden, dziewczyna ciągle krzyczała, więc wpakowali go w kamizelkę i hełm, a SWAT miał wejść od razu za nim i zakończyć tę sprawę. Porywacze wiedzieli, że są w dupie, i nie mieli zamiaru negocjować – gdy Mace wszedł do pokoju, zanim SWAT zdążył wkroczyć, odstrzelili jej głowę i wsadzili jedenaście kul w kamizelkę Mace'a. Dostał w ramię, w udo, dwa razy w hełm, a potem zastrzelili się. To była rzeźnia. Tylko Mace wyszedł stamtąd żywy.

Informacja dotarła do mózgu i przeniknęła do krwiobiegu, parząc jak kwas.

Otworzyłam oczy, łzy spływały po mojej twarzy.

– Mace miał wtedy dwadzieścia pięć lat – mówił dalej Eddie. – Jego siostra szesnaście.

Pochyliłam głowę, oparłam czoło o obojczyk Eddiego. Nie umiałam przyswoić, że szesnastoletnia dziewczyna przeszła przez coś takiego, a potem straciła życie. Nie umiałam przyswoić, że jej brat żył z tą świadomością przez resztę życia.

Tego nie dało się przyswoić.

– Wiem to wszystko od Lee, Mace o tym nie opowiada. I w tym momencie cała ta historia robi się mętna – odezwał się znowu Eddie.

Odchyliłam głowę i spojrzałam przez łzy.

– To nie wszystko? – szepnęłam.

Pokręcił głową.

– Jest coś jeszcze?

Skinął.

– Co? – zapytałam. Nie chciałam, ale musiałam wiedzieć.

– Nie wiem, dla kogo pracowali porywacze, ale to była duża operacja i ojciec Mace'a w tym siedział. Może chodziło o broń, o narkotyki albo o coś innego, jeszcze gorszego. Może po prostu był dupkiem, który nie powiadomił policji czy FBI. Może coś ukrywał. Może faktycznie chodziło o okup, chociaż domaganie się Mace'a śmierdzi zemstą. Może jego ojciec zrobił coś, za co musiał zapłacić. To tylko moje domysły i nie znam rozwiązań, a od Lee go nie dostanę.

– Co to znaczy?

– Że nie chce, żebym się w to zagłębiał – choć wcale się nie wrywam.

– W co zagłębiał?

– Gdzie Mace zdobył swoje umiejętności.

– Jakże?

– Te, których potrzebuje, pracując dla Lee.

Zamrugałam oczami, przestałam płakać.

– Co?

Eddie westchnął.

– Mace był snowboardzistą, Jet. Dobrym, jednym z najlepszych. Gdyby sięgnąć po czasopisma branżowe sprzed siedmiu lat, można by go znaleźć na reklamach. Miał podpisany kontrakt. Pojawiał się w reklamach na kanale ESPN. Wcześniej to samo działał się z surfingiem. Był znany i nadal jest znany w pewnych kręgach.

– Wiem, że... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– A teraz jest prywatnym detektywem.

– Wiem, ale...

– Dobrym.

– No wiem, tylko...

– Jednym z najlepszych. Lee zdobył swoje umiejętności w wojsku. Monty w marynarce. Nie wiem, jak Luke, ale to była oficjalna operacja i na pewno przeszedł szkolenie, specjalistyczne. Vance siedział – kradł samochody od trzynastego roku życia i pewnie wciąż by to robił, był w tym dobry. Złapali go tylko dlatego, że jego kumpel oberwał w czasie kradzieży, a Vance go nie zostawił. Lee wykorzystał jego naturalne zdolności, szkoląc go w innych rzeczach. A Mace jest samoukiem. Lee nigdy go niczego nie uczył.

– Samoukiem?

– Dokładnie.

– I co z tego wynika?

– Że gdzieś między morderstwem jego siostry i pracą dla Lee przeszedł od surfera i snowboardzisty do zdobycia umiejętności mających mało wspólnego z sex wax.

Zamrugałam oczami.

– Sex wax?

– Smar, którego używasz na desce do surfingu, żeby się nie ślizgać, i na spodzie snowboardu, żeby ułatwić poślizg.

Ściągnęłam brwi.

– I skąd to wiesz?

Uśmiechnął się.

– Jeździłem z Mace'em.

Jakieś szaleństwo. Byliśmy razem dziewięć miesięcy, mieliśmy wziąć ślub za pięć, a ja tego nie wiedziałam.

– Jeździsz na desce?

– Mieszkam w Colorado, *chiquita*.

Ja też, a nie jeździłam na desce. Ani na nartach. To wymagało pieniędzy, których nigdy nie miałam.

– Nie jeździłeś tej zimy – zauważyłam.

– Tej zimy miałem coś, co trzymało mnie w domu.

Mój żołądek ścisnął się radośnie.

Zignorowałam go i wróciłam do tematu.

– Czyli jego umiejętności...

Eddie przekreślił się na mnie.

– Po tamtej rezi coś się wydarzyło. Mace zniknął. Nie brał udziału w zawodach, zerwał kontrakt reklamowy. O porwaniu i morderstwie było bardzo głośno, wszędzie o tym mówiono. Wydarzyło się w LA, Mace był sławny, jego ojciec dobrze znany. A potem nic, Mace się rozplątał. I nie wypłynął do czasu rekrutacji u Lee, a Lee przyjął go nie bez powodu. Wszyscy jego ludzie mają specjalną umiejętność, Mace również. Nie chcesz wiedzieć jaką.

– Ale...

Eddie położył mi rękę na policzku, spojrzał poważnie.

– Nie chcesz tego wiedzieć – powtórzył takim tonem, że wiedziałam już: nic mi nie powie. Mogę się dopytywać, mogę prosić, a i tak nic z tego.

Jego ręce zaczęły wędrować po moim ciele, poczułam usta na szyi. Chciał w ten sposób przekierować moją uwagę w stronę innych, przyjemniejszych rzeczy, ale ja odsunęłam się i zatrzymałam jego rękę.

– Eddie.

– Cholera, znam ten ton – wymruczał w moją szyję sfrustrowany.

Fakt, szybko stał się ekspertem w odczytywaniu tego, jak wymawiam jego imię. Dlatego wiedział, że teraz ja chcę być poważna. Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy.

– Z Mace'em wszystko w porządku? – zapytałam.

– Nie. Ale będzie, jak to gównno się skończy i jak Stella ulegnie.

– Słucham?

Eddie westchnął, musnął ustami moje wargi, oparł czoło o moje, przesunął kciukiem po policzku. I odezwał się bardzo łagodnie:

– Wiele ran nigdy się nie zagoi, Jet. Gdy na twoich oczach mordują siostrę, to właśnie jedna z nich. Gdy masz ojca i zarazem go nie masz. Ale jeśli trafiasz na wspaniałą kobietę, rany pozostają otwarte, a ty wracasz do życia. Ból nie mija, ale twoje życie przekierowuje się na inny tor. Lepszy.

Miał rację. Ja też miałam ojca, który nie był obecny w moim życiu, i ta rana nigdy się nie zagoi. Mój tata był nałogowym hazardzistą. Teraz nad tym pracował, częściej się widywaliśmy, ale w każdej chwili mógł wrócić do nałogu. I mnie, i siostrze wiecznie towarzyszyła ta świadomość, ten lęk, a to nie było łatwe.

To, że znalazłam Eddiego, że w nas uwierzyłam, przekierowało moje życie na inny tor.

Lepszy.

Ale w tej chwili zaniepokoiło mnie co innego. Po pierwsze, mój narzeczony, detektyw Eddie Twardziel Chavez, jeździł na snowboardzie, po drugie, dużo wiedział o niegojących się ranach.

Przejechałam dłońmi po jego gładkich, umięśnionych plecach, jedną zatrzymałam na łopatkę, drugą dotarłam do karku, wsunęłam ją Eddie'emu we włosy.

– Ty też masz rany, które nigdy się nie zagoją? – spytałam cicho i nastawiłam się na odpowiedź. Oderwał czoło od mojego i spojrzał na moje usta.

– Ja miałem szczęśliwe życie, *mi pequena* – wymruczał i spojrzał mi w oczy, a jego nabrały ciepła, napełniły się czułością i uczuciem, zatrzymując mi serce. – A teraz, *alabado sea Dios*, staję się jeszcze szczęśliwsze.

A potem zamilkł i pocałował mnie, głęboko i namiętnie, i ja też nic nie mówiłam.

Przesunął ustami po mojej szyi, po piersi i wymruczał:

– Twoje również.

Sunął ustami coraz niżej, a potem rozchylił mi nogi i jego usta znalazły się dokładnie *tam* i wiedziałam, że ma rację. W moim życiu też było coraz więcej szczęścia.

I gdy jego wspaniałe usta jeszcze raz dały mi szczęście, podniósł się, wszedł we mnie, wbijał się mocno i jego również zalało szczęście (jak i mnie).

A potem zgasił światło, przekręcił mnie tak, że przytulałam się plecami do jego torsu i objął obiema rękami. Jedną mocno w pasie, a druga zeszła niżej, obejmując mnie między nogami.

Od jakiegoś czasu Eddie przytulał mnie tak po seksie. To się zaczęło kilka tygodni temu, gdy zgodziłam się wyjść za niego. Intymna, zaborcza pozycja, choć i tak byłam jego.

Lubiłam ją.

– *Chiquita*? – odezwał się, gdy już zapadałam w sen.

– Mmm?

– Stella raczej nic o tym nie wie.

Otworzyłam oczy.

A on mówił dalej, z ostrzeżeniem w głosie.

– I jeśli ma się dowiedzieć, to od Mace'a.

Nie odezwałam się.

- Wy kobiety lubicie gadać, dlatego proszę cię, żebyś jej nie mówiła.
- Powinna się dowiedzieć.
- Powinna, ale dopiero, gdy on będzie gotów jej opowiedzieć.
- Eddie...
- Nie, Jet – przerwał mi twardo, jego ręce stężały.

Przygryzłam wargę.

I skinęłam głową.

Nie powiem Stelli.

Chyba że będę musiała.

Rozdział 10

Demony

Stella

– Kurwa – zaklął Mace pod nosem, gdy jechaliśmy żwirowym podjazdem do domu Swena i Ulriki.

No tak. Była czwarta rano, znów ktoś do mnie strzelał, potem Mace’a powstrzymali od zamordowania strzelającego (co Mace’a rozwścieczyło, mnie przyniosło ulgę), a jeszcze później rozmawiał z policją. A teraz, podjeżdżając do domu, zobaczyliśmy Erica, który stał na rozstawionych nogach, z rękami skrzyżowanymi na piersi pod lampą wiszącą nad bocznym wejściem do domu.

Westchnęłam głośno.

Eric patrzył, jak podjeżdżamy. Włosy miał jeszcze bardziej zmierzwione niż zazwyczaj i choć światło było nie najlepsze, widziałam, że jest wkurzony.

Pewnie już wiedział.

Ja pitolę.

Nie wróżyło to dobrze. Mace też nie był w świetnym humorze, nabuzowany i zły, a jego złość była raczej przerażająca.

A ja nie miałam siły, żeby radzić sobie z przerażającą złością Mace’a czy wkurzeniem Erica, już i tak miałam o czym myśleć. Jeszcze nie ochłonęłam po tym, co się stało na scenie, gdzie ktoś do mnie strzelał – znowu. Nie miałam również szansy pozbyć się Mace’a i ochłonąć, bo dzwoniłam do chłopaków z kapeli, którzy byli posrani ze strachu, ale żywi, co w obecnym chaosie uznałam za fantastyczną nowinę.

Gdy Mace przyjechał do Zamku, wystarczył jeden rzut oka, by zrozumieć, że dolewanie oliwy do tego ognia będzie szczytem głupoty. Dlatego gdy wszedł do salonu Daisy i bez przywitania kazał mi iść do samochodu, nie odpysknęłam, na co miałam straszną ochotę, tylko faktycznie poszłam do samochodu.

Teraz jeszcze to.

Ja i moje parszywe szczęście.

Eric podszedł do forda od mojej strony i gdy Mace się zatrzymał, otworzył gwałtownie drzwi, odpiął pas i wyciągnął mnie z samochodu.

Bezczelny.

Stanąłam na żwirze i chciałam coś powiedzieć, nie wiem co, ale i tak nie miałam szans na cokolwiek.

– Zabieraj łapy – warknął Mace, obchodząc SUV-a.

– Spierdalaj – odparł Eric, który nie miał zamiaru wczuwać się w nastrój Mace’a.

Boże drogi.

– Eric – powiedziałam łagodnie, próbując uwolnić rękę i chcąc ostudzić te rozpalone emocje.

I znowu nie miałam szansy.

– Powtórzę to tylko raz, Turner. Zabieraj łapy.

– Ja również, Mason. Spierdalaj – odparł Eric, ciągnąc mnie w stronę ciemnego chevroleta trailblazera.

Noż kurwa mać.

Nim zdążyłam ogarnąć, co się dzieje, albo wtrącić choć słowo, obaj się poruszyli.

Bardzo szybko.

Mace wyrwał mnie z rąk Erica i teraz stali twarzą w twarz, szarpiąc się za podkoszulki.

– Dosyć! – zawołałam. Podbiegłam i spróbowałam wcisnąć się między nich. Nie udało się, ale interwencja odniosła skutek: cofnęli się o krok, nadal mierząc się wzrokiem.

Ja pitolę.

Znów chciałam się odezwać, ale ku mojej wzrastającej frustracji Eric był szybszy.

– Zabieram ją do aresztu prewencyjnego – oznajmił.

O rany.

– Kurwa, chciałbyś – odpalił Mace.

– Przy tobie nie jest bezpieczna.

– Za to teraz jest, stojąc tu na widoku i gadając z tobą – odciął się Mace.

Eric zmienił temat.

– Strzelali do niej.

– Wiem.

– Znowu.

– Wiem – odparł Mace, tracąc resztki cierpliwości.

– Prawie odstrzelili głowę Pongowi – kontynuował Eric. Skąd wiedział? Ale nie miałam czasu na rozmyślanie, bo Mace ostatecznie stracił cierpliwość, nachylił się do Erica i ryknął:

– Kurwa, wiem!

– Ja zapewnię jej bezpieczeństwo! – odkrzyknął Eric.

– Tak samo jak Skinny Blackburn?

Eric skrzywił się, czyli punkt dla Mace'a.

Ale szybko ochłonął i oznajmił:

– Stellą zajmę się osobiście.

Oho.

Chyba nie powinien był tego mówić.

Mace, już i tak napięty, teraz zmartwiał i powiedział cicho i groźnie:

– No, to na pewno.

– Przestań myśleć fiutem, Mason, i bądź rozsądny! – zawołał Eric.

Tego już na pewno nie powinien był mówić.

– Masz minutę, żeby stąd wypierdalać, zanim ci wjebię – warknął Mace.

No właśnie. Tak jak mówiłam.

Eric zignorował go i odwrócił się do mnie.

– Wsiadaj do chevroleta, Stella.

O kurde.

Ale nie miałam szans ani odpowiedzieć, ani się ruszyć, bo Mace, nie odrywając wzroku od Erica, rzucił:

– Stella, nawet nie podchodź.

– Do kurwy nędzy, wsiadaj do samochodu! – krzyknął Eric, który też mówił do mnie, nie patrząc na mnie, i który też stracił cierpliwość.

Hmm.

I co teraz?

Eric był federalnym, a FBI na pewno miało zasoby, żeby ochronić mnie przed naszpikowaniem kulkami. A istniało spore prawdopodobieństwo, że najbliższa przyszłość przyniesie mi właśnie to.

Ale przy okazji Eric na mnie leciał, a ja nie miałam zasobów (emocjonalnych) do zajmowania się tym w tej chwili. Moje życie było w niebezpieczeństwie i panował w nim kompletny bajzel.

Wiedziałam jedno: nie chcę mu być nic winna.

Co to, to nie.

Z drugiej strony, Mace był twardzielem i przystojniakiem. On i ekipa NI znali się na rzeczy. Dzisiejszy wypadek to nie jego wina, tylko Mnicha i moja.

Po pierwsze, chłopaki chcieli odpuścić i to ja im nie pozwoliłam swoją przemową o głosowaniu, którą teraz uważałam za wyjątkowo debilną. Po drugie, zagraliśmy koncert, choć wiedzieliśmy, na co się narażamy. Mace z kolei uważał, że to jego wina; wkurzało mnie to i nie chciałam, żeby mnie wkurzało, ale tak było. Wprawdzie skończyłam z Mace'em (tak jakby, w każdym razie ciągle o tym myślałam), no ale jednak.

Tak czy inaczej, chciałam się od niego uwolnić i teraz Eric dawał mi niepowtarzalną okazję.

Ja pitolę.

Co robić?

Wahałam się i Mace, nadal patrząc na Erica, powiedział cicho:

– Stella.

– Ja i moje parszywe szczęście – oznajmiłam. Po pierwsze dlatego, że nie podjęłam jeszcze decyzji i grałam na czas, po drugie, taka była prawda.

– Stella, kochanie, wsiadaj do samochodu. – Eric też nie odrywał wzroku od Mace’a.

– Jeszcze raz powiesz do niej „kochanie” i pozbierasz zęby z trawnika – warknął Mace.

Robiło się coraz gorzej.

Eric wyszczerzył się do niego, uniósł brodę.

– Zapraszam.

Nie!

Mace zrobił krok do przodu, Eric uniósł pięści.

– Do licha ciężkiego, przestańcie! – krzyknęłam, stając pomiędzy nimi i kładąc każdemu rękę na piersi.

Podjęłam przerażającą decyzję w ułamku sekundy i odwróciłam się do Erica.

– Nie jest winien temu, co się dziś stało. Tam było mnóstwo ludzi, a Mnich to debil, wiesz o tym. Myślał o forsie i wpuszczał ludzi na szybko, bez dokładnego przeszukania.

Eric spojrzał na mnie.

– W ogóle nie powinnaś tam być.

Racja.

– Być może – zgodziłam się. – Ale jak nie będziemy grali, Buzz i Leo nie będą jedli. Nie mieliśmy wyboru.

– Jak zginiesz, zespół przestanie istnieć i wtedy z całą pewnością nie będą jedli – zauważył.

Święte słowa.

– Eric, odpowiadam za innych. Za mój zespół. Psa. – Zamilkłam, bo chociaż tak właśnie było, zabrzmiało słabo. Ale mówiłam dalej. – Ktoś na mnie liczy i nie mogę po prostu zniknąć. Innym rockowym laskom też grozi niebezpieczeństwo, i to przeze mnie.

Eric cofnął się. Poczulałam chwilową ulgę, że odpuszcza, i opuściłam ręce. Mace zrobił krok do przodu, stanął obok mnie. Eric spojrzał na nas zwięzionymi oczami i moją ulgę wymiotło, ale, hosanna, Eric jednak odpuścił.

– Dlaczego, do cholery, przez ciebie? – spytał.

– Nie odpowiadaj, Stella – wtrącił się Mace, a Eric ściągnął brwi. – I wejdz do środka.

Miał rację. Nie minął nawet tydzień, a już dwa razy do mnie strzelali, a raz dostałam (wprawdzie lekko, no ale zawsze). Teraz czułam się na widoku i nie podobało mi się to.

Odsunęłam się od Mace’a i zbliżyłam do Erica, żeby jakoś załagodzić sytuację/wynagrodzić mu straty.

– Dzięki, że przyjechałeś i oferujesz pomoc, ale jest w porządku – powiedziałam cicho.

Spojrzał na mnie i jego twarz złagodniała. Patrzył na mnie ciepło i uświadomiłam sobie poniewczasie, że nie był tak po prostu przystojny. Był naprawdę bardzo przystojny.

I może nawet był całkiem miłym facetem.

Kurde.

Moje parszywe szczęście.

– I będzie dobrze, bo będę miał na ciebie oko – odparł łagodnie i nachylił się. – Gdybyś czegoś potrzebowała, Stella, wiesz, jak mnie złapać. Dzwon o każdej porze.

– Dziękuję – wyszeptałam.

– Koniec gadki – warknął Mace, przerywając nam, i Eric spojrzał na niego ze złością. – Do środka.

– Na ciebie też będę miał oko – ostrzegł Eric zupełnie innym tonem.

Mace położył mi rękę na plecach i poprowadził do drzwi.

Nic nie powiedział.

Obudziłam się, czując usta Mace'a na szyi i jego dłoń sunącą delikatnie po moim brzuchu.
Wbrew swojej woli zadrżałam.

Ja pitolę.

– Mace – powiedziałam głosem bardziej chropawym niż zwykle, z powodu rozespania i nie tylko.

Nie odpowiedział. Drugą rękę wsunął pode mnie i podążył w stronę piersi, palcami pierwszej schodząc w dół brzucha.

Jedno i drugie było bardzo miłe.

Cholernie miłe.

Noż kurwa mać.

Poprzedniej nocy, gdy Eric odjechał i Mace zabrał Juno na spacer, ja szykowałam się do łóżka. Gdy wrócił, rozmawiał przez telefon, a my z Juno padłyśmy spać. Mimo natłoku emocji wyłączyłam się prawie natychmiast, zasypiając przy dźwiękach głosu Mace'a, który zdawał komuś relację, zapewne Lee.

Teraz leżałam trochę na brzuchu, trochę na boku, z podciągniętą nogą, a Mace przywierał do mnie.

– Mace – powtórzyłam, chociaż mój senny opór zaczynał słabnąć.

Musieliśmy pogadać o wielu rzeczach i nie chciałam znów uprawiać z nim seksu. Zaczęłam myśleć, że wysyłam sprzeczne sygnały.

Do diabła, co ja mówię? To jasne, że wysyłam sprzeczne sygnały!

– Cicho, kociątko. Chcę posłuchać, jak dochodzisz – wymruczał w moją szyję i wsunął mi rękę w majtki.

Znów zadrżałam.

– Musimy porozmawiać – powiedziałam uparcie, ale jego palec trafił na właściwe miejsce i nacisnął mocniej.

O dobry Boże.

Poruszyłam odruchowo biodrami i zaczęłam mruczeć. Nic na to nie poradzę, to było strasznie przyjemne.

Co się ze mną działo?

Nie miałam ani krzty silnej woli?

– Porozmawiamy później – odparł Mace aksamitnym głosem.

– Musimy teraz – zaprotestowałam, a moje biodra podążyły za jego ręką.

– Później – odparł, a ja chciałam coś odpowiedzieć, naprawdę chciałam, ale zaczął robić palcem takie przyjemne kółka, a potem zszedł niżej i wsunął się, tak cudownie powoli, do środka.

– O rany... – wyszeptałam, zamknęłam oczy i odchyliłam głowę, opierając się o jego ramię.

Nagle zrobiło mi się wszystko jedno, jakie sygnały wysyłam, chciałam tylko, żeby nie przestawał robić tego, co robił.

Odwróciłam się do niego i Mace od razu mnie pocałował, mocno i głęboko, powoli wsuwając i wysuwając palec, a ja poruszałam biodrami w jego rytmie.

To było tak cholernie przyjemne.

– Słodka, wilgotna, jedwabista – wyszeptał Mace w moje usta. Te słowa znów przeszyły mnie dreszczem i zamruczałam.

Wtedy rozległ się brzęczyk, którego jeszcze nigdy nie słyszałam.

Co to było?

Dłoń Mace'a znieruchomiała.

Otworzyłam powoli oczy, a Mace mruknął:

– Kurwa.

– Co się stało? – spytałam, a brzęczyk odezwał się znowu, tym razem dłużej.

– Kurwa – powtórzył Mace, wysuwając palec. Poczułam, jak jego ciepłe ciało odrywa się ode mnie.

– Przepraszam, skarbie. Drzwi – wyjaśnił.

Pocałował mnie w ramię, przykrył kołdrą, wstał z łóżka.

Juno, która już warowała przy drzwiach, wpatrzona w panel alarmu, szczerknęła niepewnie. Też nigdy nie słyszała brzęczyka.

Patrzyłam, jak Mace idzie nagi do drzwi, i próbowałam zapanować nad swoim ciałem.

Co przychodziło z trudem, bo byłam już mocno podniecona, a widok nagiego Mace'a nie pomagał.

To się robiło żalosne. Muszę w końcu zapanować nad moją wewnętrzną dziwką.

Mace wcisnął guzik.

– Czego?

Na ekranie pojawiła się twarz Hectora.

– Mamy problem.

Spięłam się, Mace również.

– Wszyscy żyją? – zapytał.

– Tak, to inny problem.

Cudownie.

Tego nam było trzeba.

Innych problemów.

– Szlag – zaklął Mace, który chyba się ze mną zgadzał. – Włóż. – Potem nacisnął przycisk i odwrócił się do mnie; patrzyłam z zapartym tchem, jak jego gniewna twarz łagodnieje. – Kocie, musisz się ubrać.

Ta łagodność i cichy głos też należały do tych siedmiuset tysięcy dwudziestu pięciu rzeczy, za którymi tęskniłam.

Dobra, dość. Odrzuciłam kołdrę.

Juno szczerknęła znowu, przypominając o sobie, potrzebie wyjścia na dwór i pragnieniu śniadania. Wyszłam z łóżka, a Mace zmierzwił futro na głowie psa, podszedł do brzegu platformy, wziął dżinsy i założył je na gołe ciało.

Było coś seksownego w tej jego nagości pod dżinsami.

Cholernie seksownego.

„Uspokój się, ty zdiro!”, zażądał mózg.

Otrząsnęłam się z myśli i podeszłam do szafy. Włożyłam dżinsy, stanik i fioletową podkoszulkę z napisem „Olde Town Pickin' Parlor” na główce i gryfie gitary. Mace tymczasem otwierał drzwi i wpuszczał Hectora.

Gdy wyszłam z garderoby, obaj stali już w niewielkiej kuchni oparci o blat. Mace miał na sobie białą podkoszulkę (henleya z guziczkami pod szyją), w ręku „Denver Post” i czytał pierwszą stronę.

– Cześć, Hector – powiedziałam, odzywając się do niego po raz pierwszy w życiu.

Spojrzał na mnie czarnymi, płonącymi oczami i poczułam ich żar na skórze.

– Cześć, Stella – odparł.

Wow.

Trzeba przyznać, że Hector miał piękne oczy.

Mace podniósł wzrok znad gazety, spojrzał na mnie i na Hectora, który nie odrywał ode mnie wzroku i nie osłabił żaru spojrzenia.

A ja znów wzdrygnęłam się mimo woli.

Mace zacisnął usta i odezwał się.

– Skarbie, zaparzysz kawę?

O, kawę. Pewnie, kawa to świetny pomysł. Zrobię kawę z radością. Zrobię kawę i nie będę myśleć o Masie ani Hectorze.

Skinęłam głową, mruknęłam „jasne” i przecisnęłam się do ekspresu przez tę niewielką przestrzeń, jaka tu została przy obecności dwóch wysokich, umięśnionych facetów.

Szykowałam kawę, a Mace szeleścił gazetą.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Wiadomość na pierwszej stronie – odparł zagadkowo Hector.

Odwrociłam się z pustym dzbankiem w ręku (jak miałam się przedostać do zlewu, skoro Hector się tam opierał?) i spytałam:

– Co?

A on wskazał głową gazetę w rękach Mace’a.

I wtedy zobaczyłam pierwszą stronę.

I siebie na okładce.

Zdjęcie z koncertu, od pasa w górę: trzymam gitarę, mam przed sobą mikrofon, przechyliłam głowę i patrzę na gitarę z nikłym uśmiechem. To musiało być co najmniej rok temu, nie nosiłam tej podkoszulki od wieków.

Obok umieszczono zdjęcie Mace’a, tej samej wielkości. Trochę młodszy, u podnóża zaśnieżonej góry, w pełnym osprzęcie snowboardzisty, w otoczeniu fotografów, których ignoruje. Ma spocone, zmierzwiłone włosy i deskę pod pachą; aparat uchwycił go w ruchu.

Nagłówek głosił: „Lokalne sławy pod ostrzałem”.

– Ja pitole – powiedziałam. Zadzwoił telefon.

– Niech to szlag – mruknął Mace, rzucił gazetę na blat i sięgnął do parapetu, gdzie trzymałam telefon. Przystawił go do ucha i warknął:

– Czego?

Ogłuszona, nawet nie przejęłam się tym, że Mace odbiera mój telefon i jest nieprzyjemny. Znalazłam się na pierwszej stronie gazety i ktoś nazwał mnie „sławą”.

– Nie udziela żadnych komentarzy – oznajmił Mace do słuchawki i dodał: – Ja również.

– A potem rozłączył się i odłożył telefon na blat.

Patrzyłam na niego, słowa docierały powoli do mojego skołowanego mózgu, a potem z dużym wysiłkiem poruszyłam się, wręczyłam pusty dzbanek Mace’owi i chwyciłam gazetę.

Czułam się dziwnie. Cholernie dziwnie. Chyba czułam panikę. Nieprzyjemne uczucie.

– Stella... – zaczął Mace, lecz nie słuchałam.

Wyszłam z kuchni; Juno szła za mną, zaskamlała.

– Zaraz, Juno – wymruczałam, patrząc na stronę.

– Wyjdę z psem – oznajmił Hector, ale na to też nie zareagowałam.

Dotarłam do końca platformy z łóżkiem i usiadłam – ale zanim zdążyłam przeczytać choćby słowo, gazetę wyrwano mi z ręki.

Podniosłam głowę.

– Ej! Czytałam to! – zawołałam do Mace’a, który stał nade mną.

Za Hectorem i Juno zamknęły się drzwi.

– Jebać to, Stella. Musimy się skoncentrować.

Wstałam.

– Na czym?

Znalazłam się bliżej Mace’a; nie odsunął się, po prostu patrzył.

– Na tym, co ważne – odparł spokojnie.

– Bycie na pierwszej stronie gazety nie jest ważne? – odparłam daleka od spokoju.

Nigdy nie byłam na pierwszej stronie i nie wiedziałam jeszcze, jak się z tym czuję. Z jednej strony, dziwnie podekscytowana, z drugiej przerażona jak cholera. I ogarniała mnie niezrozumiała panika, której ani nie rozumiałam, ani nie chciałam. Powodów do paniki miałam po grdykę, nie potrzeba mi było nowych.

– Nie. – Mace wdarł się w moje myśli.

– To co jest ważne?

– Żebyś przeżyła. Żebyśmy się dogadali. Byli razem. To jest ważne.

Pokręciłam głową, ciągle zbyt rozspana i niepozobierana po wczorajszej nocy i dzisiejszych wiadomościach, żeby o tym myśleć.

Zmieniłam temat.

– Kto dzwonił?

– To nieistotne.

– Mace, kto dzwonił?

Chciał odpowiedzieć i wtedy telefon zadzwonił znowu. Spojrzałam na niego, Mace przekreślił się i też spojrział.

Telefon dzwonił, Mace odwrócił się do mnie, ale ja już go ominęłam i wyciągnęłam rękę.

Prawie mi się udało, gdy Mace objął mnie w pasie, przyciągnął do siebie; już sięgałam do telefonu, ale on miał dłuższą rękę i wygrał.

Odebrał.

– No? – spytał, gdy ja krzyknęłam „Mace!”.

Słuchał przez chwilę, w końcu powiedział:

– Nie mamy nic do powiedzenia. – Znow się rozłączył.

– Nie wierzę, że to zrobiłeś! To mój telefon! – wrzasnęłam, próbując uwolnić się z jego uścisku.

Potrząsnął mną.

– Stella, uspokój się i posłuchaj.

– Puszczaj!

Puścił mnie, odsunęłam się, a on wziął mnie za rękę, obrócił i przyciągnął do siebie. Staliśmy twarzą w twarz.

Położył telefon na blacie, objął mnie, pochylił głowę i spojrział na mnie.

– Posłuchaj mnie – zażądał.

Przestałam się wyrywać i spojrzałam na niego.

– To się nie dzieje – oznajmiłam zgodnie z prawdą.

– Dziennikarze to dranie. Nie rozmawiamy z nimi. Ignorujemy. Nie czytasz, nie komentujesz, ignorujesz. Jak się skończy ten cyrk, rzucą się na następną ofiarę.

– Nie mogę tego zignorować! – warknęłam.

– Dlaczego?

Nie wiedziałam dlaczego. Nie panowałam nad swoim życiem do tego stopnia, że już nic nie wiedziałam na pewno.

– Wiem, Mace, że ty masz w tym doświadczenie, ale ja nie.

– Dlatego musisz mnie słuchać.

I wtedy to się stało. Panika wydostała się z miejsca, zepchniętego bardzo głęboko, zamkniętego na głucho, które nigdy więcej nie miało się już otworzyć.

Zawładnęła mną i zaczęłam się trząść. Przestałam się wyrywać, oparłam się o Mace'a, odchyliłam głowę i zacisnęłam drżące palce na jego podkoszulce.

– A jeśli moja matka to zobaczy? – spytałam drżącym głosem.

Jeszcze przed chwilą Mace patrzył twardo, z determinacją, w tej chwili jego zielone oczy złągodniały.

– Kociątko – wymruczał.

– Ja nie jestem nikim ważnym, ale może ty nadal tak. A jeśli wiadomości dotrą i do niej? Muszę porozmawiać z dziennikarzami, powiedzieć, że ze mną wszystko w porządku. Że ty, Lee i chłopaki wiecie, co robicie, że siedzi w tym policja i federalni, że Sid to bydlak, że zabił Linnie, a my postępujemy właściwie.

– Stella, nie możemy nic takiego powiedzieć.

Zacisnęłam pięści jeszcze mocniej.

– Musi wiedzieć, że postępujemy słusznie!

Przyglądał się mojej twarzy, nachylił głowę.

A potem spytał cicho:

– Twoja mama czy ojciec?

Zamrugałam oczami.

– Co?

– Kto ma wiedzieć, że postępujesz słusznie? Mama? Czy ojciec?

Pokręciłam głową.

– Chrzanić mojego ojca.

– Kociątko...

Stężałam i wrzasnęłam:

– Chrzanić go!

Prosto w twarz Mace'a.

Nie wiem, czemu krzyknęłam. To się po prostu stało.

Nie wiem, czemu się trzęsłam, panikowałam. Tak się po prostu działo.

Znów spróbowałam się wyrwać. Chciałam uciec, nie wiedziałam dokąd, ale musiałam uciec, kurwa, uciec, w tej chwili.

Mace nie stracił czujności.

Obrócił się, podniósł mnie i posadził na blacie. Zdeterminowany, wepchnął się między moje nogi, znalazł się bardzo blisko. Byliśmy teraz pierś w pierś, nos w nos. Mace położył ręce na blacie po obu moich stronach.

– Pogadaj ze mną – zażądał łagodnie.

Odwrociłam głowę, zagapiłam się w blat.

Coś się ze mną działo, coś przerażającego; wiedziałam jedno – że nie dam rady.

Muszę to znów zakopać.

Ale Mace nie zamierzał na to pozwolić. Ujął mnie rękami za szyję i przekręcił mi głowę. Z kciukami na moich policzkach zmusił, żebym na niego spojrzała.

– Pogadaj ze mną – powiedział, patrząc dziwnym wzrokiem. Jeszcze nigdy nie widziałam tego spojrzenia. Było w nim ciepło i chyba troska. Martwił się o mnie. I jeszcze czułość, tyle czułości, że mój oddech nie tyle wsiadł do samolotu, co wystrzelił od razu do innej galaktyki.

– Nie mogę – wyszeptałam.

Telefon zadzwonił znowu, ale my patrzyliśmy na siebie.

Żadne z nas nawet nie drgnęło.

Przestał dzwonić, Mace przysunął się do mnie, oparł czoło o moje.

– Nie wiesz, gdzie jesteś – bardziej stwierdził, niż spytał.

Nie odpowiedziałam i to była najlepsza odpowiedź.

– A ty nie chcesz, żeby wiedzieli – mówił dalej Mace; dalej milczałam. – Nie chcesz, żeby wiedzieli – powtórzył. – Nie chcesz tego tak bardzo, że sabotujesz swoją karierę, odrzucasz propozycje łowców talentów. Siedzisz tu, grasz po knajpach, zamiast pozwolić sobie stać się tym, kim powinnaś.

Przełknęłam ślinę.

Dokopał się do miejsca, do którego nie powinien. Do którego nie pozwalałam zaglądać nikomu, nawet sobie. Teraz już dygotałam.

Położyłam mu ręce na piersi, pchnęłam.

Ani drgnął.

– Odsuń się, Mace – szepnęłam.

– Okłamałaś Daisy. Ty się nie boisz. Naprawdę jesteś złamana.

Dyszałam ciężko.

– Odsuń się.

Zmienił taktykę.

– Nie zdołają cię skrzywdzić.

Poczułam łzy w krtani, kłucie w zatokach.

Przełknęłam ślinę. Zabolało.

– Proszę, odsuń się.

– Nie pozwolę na to. Ani Floyd. Kurwa, gdyby Hugo usłyszał, że mówią ci coś wrednego, rozerwałby ich na strzępy. Masz teraz ludzi, którzy się o ciebie troszczą, kociątko. Rodzice nie zdołają cię skrzywdzić. Możesz żyć normalnie. Możesz zabłysnąć.

– Zdołają.

– Kociątko.

Słuchałam, jak jego łagodny, głęboki głos nazywa mnie tym słodkim imieniem, zarezerwowanym wyłącznie dla mnie, widziałam jego twarz tak blisko, że jego oczy przesłaniały mi cały widok,

i odsłoniłam się tak, jak nie robiłam tego jeszcze nigdy przed nikim. Ani przed przyjaciółmi, ani przed chłopakami z kapeli, ani przed Floydem.

– On zdoła – powiedziałam prawie niesłyszalnie.

Mace zamknął oczy, zdjął mi ręce z szyi i objął mnie, nie odsuwając czoła.

Nie chciałam tego przyznać, ale bycie w jego ramionach było super.

Mega.

I z tym też było mi trudno.

Otworzył oczy, teraz mnie nimi świdrował.

– Nie zdoła.

Skinęłam głową.

Mace pokręcił.

Położyłam mu dłonie na szyi i ścisnęłam lekko.

– Nie rozumiesz – szepnęłam.

– Rozumiem.

– Nie możesz.

Przybliżył się jeszcze bardziej i patrzyłam z przerażającą fascynacją, jak wydarza się coś nieprawdopodobnie strasznego.

Coś niewiarygodnie wstrząsającego i dziko niemożliwego.

Patrzyłam, wstrzymując oddech, jak znika zupełnie garda, której istnienia nie podejrzewałam.

– Skarbie – powiedział z mocą. – Mogę.

I wtedy wychynęłam ze swojego bólu, swojej paniki i zobaczyłam, bardzo wyraźnie, jak one tańczą złowrogo w jego pięknych oczach.

Demony.

Demony Mace'a.

Znacznie straszniejsze niż wszystko, co mogłam sobie wyobrazić.

Dreszcz przebiegł mi po plecach, a podkuty but kopnął mnie brutalnie w żołądek. To było tak niespodziewane, że szarpnęłam się, wciągnęłam powietrze i patrzyłam bezgłośnie na jawną udramę w oczach Mace'a.

Ale zanim zdołałam coś powiedzieć (choć nie wiedziałam zupełnie, co by to miało być), telefon zadzwonił znowu i znów odezwał się brzęczyk.

Chwila przeminęła.

Znów szczelnie pozamykany, Mace odsunął się. Zgarnął telefon z blatu, poszedł do drzwi.

„Co to było?“, spytał mnie cicho mózg.

A ja znowu się trzęsłam, teraz już z innego powodu.

„Nie mam pojęcia“, odparłam.

Juno weszła z Hectorem, a Mace znów burknął do telefonu „żadnych komentarzy“.

„I co my teraz zrobimy?“, chciał wiedzieć mózg.

Przełknęłam ślinę, bardziej wystraszona niż wtedy, gdy kule gwizdały wokół mnie. Bardziej niż kiedykolwiek w całym swoim cholernym życiu.

„Nie mam, kurde, zielonego pojęcia“, odpowiedziałam.

Rozdział 11

Pierwsza trasa koncertowa

Stella

I nie miałam czasu się zastanawiać.

Juno trąciła mnie mocno głową, dając do zrozumienia, że najwyższy czas na śniadanie.

No tak, przed chwilą puściłam ją na spacer z kompletnie obcym (i cholernie przystojnym, co może dla Juno było bez znaczenia, ale co należało podkreślić) gościem. Jeśli nie zadbam o jej podstawowe potrzeby, zostanę najgorszą psią mamą roku.

– No dobra, mała – wymruczałam i zsunęłam się z blatu.

Wiedziała, co to znaczy. Ogon poszedł w ruch, razem z nim całe ciało.

– Musimy jechać – usłyszałam Hectora, gdy schylałam się po miskę Juno.

– Wiem – dodał Mace. – Daj mi chwilę.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Mace idzie do mnie.

Wyprostowałam się, cofnęłam o dwa kroki. Nadal wrzały we mnie emocje i nadal nie miałam czasu sobie z nimi poradzić – musiałam nakarmić psa.

– Muszę jechać – powiedział Mace, podchodząc bliżej. Odchyliłam głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Dobra.

Świetnie się składało. Zajebicie. Będę mogła się przespać. Pograć na gitarze. Zadzwoić do Ally i omówić każdą sekundę z ostatnich dwunastu godzin. Albo wymyślić sobie jakieś sprytne przebranie i uciec z miasta.

Mace wziął ode mnie miskę, odstawił ją na blat.

Pies zaskomlał, niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

– Muszę nakarmić Juno – przypomniałam.

– Za chwileczkę.

Biedna Juno.

– Jeśli będą tu dzwonić, mówisz jedynie „żadnych komentarzy” i rozłączasz się. Rozumiesz?

– Mace...

– Stella, rozłączasz się. Nie chcę znowu przeżywać tego gówna.

Odwróciłam głowę, wzdrygając się od tych słów i tego, co się za nimi kryło.

Nie miałam pojęcia, co to dokładnie jest, i nie pytałam. Wciąż sobie powtarzałam, że nie chcę wiedzieć (choć tak naprawdę chciałam).

Tak, w mojej głowie panował bajzel.

– Stella, powiedz mi, że rozumiesz – nacisnął Mace.

– Rozumiem – wymruczałam, bo chciałam wreszcie nakarmić psa i dlatego, że też nie chciałam „tego wszystkiego” w życiu Mace’a (w odwrotnej kolejności).

Ale moje parszywe szczęście było dziś jeszcze bardziej parszywe niż zazwyczaj, bo okazało się, że to jeszcze nie wszystko.

Mace podszedł bliżej i przesunął się tak, że teraz Hector nie mógł mnie widzieć. Położył mi rękę na szyi i nachylił się do mnie.

– W porządku? – spytał łagodnie.

A o co pytał? O to, co się działo wczoraj w nocy na scenie? O Erica? A może chodziło mu o przerwana poranną akcję w łóżku? Albo o tę przerażającą rozmowę przed przybyciem Hectora?

Odpowiedź brzmiała tak samo.

– Nie.

Mace tylko się uśmiechnął.

Podkuliłam palce u nóg.

Nachylił się jeszcze bardziej, musnął wargami moje usta i delikatnie ścisnął mi szyję. A potem, z ustami na moich, obiecał:

– Ale będzie.

Do podkulonych palców dołączył dreszcz.

Mace znów ścisnął mi szyję i odsunął się, a ja stałam, patrzyłam, jak idzie do swojej torby, i czułam, jak rozgrzewa się moja skóra. Spojrzałam na Hectora, który stał z rękami na piersi i patrzył na mnie z seksownym uśmiechem.

Ja pitolę.

To mnie odblokowało i zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam (legalnie) zrobić w tej chwili.

Nakarmiłam wreszcie swojego psa.

Mace siedział na brzegu platformy z łóżkiem i wciągał buty, gdy brzęczyk rozległ się znowu.

– Chryste – wymruczał Mace, a Hector podszedł do panelu.

Pochyliłam się z miską, Juno wsadziła w nią pysk, zanim jeszcze postawiłam jedzenie na podłodze. Gładziłam właśnie psie futro, gdy usłyszałam głos Hugona w pokoju.

– Powinniśmy znać jakieś hasło?

– Kapela – powiedział Hector do Mace’a.

Do Mace’a, nie do mnie.

– Wpuść ich – zażądałam.

– Porozmawiam z nimi – odezwał się Mace w tej samej chwili i ruszył do drzwi.

Słucham?

Zaraz, jedną pitoloną chwileczkę.

– Możesz ich po prostu wpuścić – powiedziałam Mace’owi, idąc za nim.

– Zostań ze Stellą – rzucił Mace Hectorowi, ignorując mnie. – Zaraz tu z nimi przyjdę.

– Mace! – warknęłam. – Wpuść ich!

– Najpierw coś załatwię – powiedział, odwracając się do mnie.

Zmrużyłam oczy.

– Co tu się dzieje?

– Chcę, żeby coś zrozumieli.

No chyba nie.

– I niby odnośnie czego?

– Odnośnie „bez komentarzy”.

A, to.

Dobra.

W takim razie w porządku.

Oboje wiedzieliśmy, że wszyscy, nawet pogrążony w żałobie Buzz, w kontakcie z dziennikarzami radośnie wypaplą wszystko, jeśli się im nie powie, że mają tego nie robić. Zwłaszcza gdyby liczyli na The Blue Moon Gypsies i daty naszych koncertów w prasie.

– Pogadaj z nimi tutaj.

– Pogadam z nimi na dole.

– Mace.

– Stella.

– Jezu, ktoś nas wreszcie wpuści? – Głos Ponga nie dobiegał już z panelu, tylko zza drzwi.

– Zaraz – rzucił Hector i nim zdążyłam wtrącić choć słowo, Mace wyszedł.

Spojrzałam na drzwi, potem na Hectora i warknęłam ze złością:

– Strasznie jest wkurzający.

– Pewnie nie bez powodu – odparł.

– A ja powinnam przejąć się powodami, ponieważ...?

– Nie musisz się przejmować, przyjmij tylko do wiadomości, że istnieją – rzucił bez wahania.

Przez chwilę mroziłam go wzrokiem.

Potem odpuściłam.

I wtedy przypomniałam sobie, że zostałam sam na sam z Hectorem i że powinnam się czuć

niekomfortowo.

Spojrzałam na niego.

Uśmiechnął się.

A ja nagle nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Potrafiłam myśleć wyłącznie o słowach Mace'a: że wylądowałabym z Hectorem nago w łóżku przed upływem doby.

Co teraz nie wydawało się takim złym pomysłem...

„Dobry Boże, ale z ciebie dziwka”, zauważył mózg.

Musiało to dotrzeć do Hectora po jakiejś sekretnej częstotliwości przystojniaków, bo jego uśmiezek stał się bardziej drapieżny, ale niezmiennie efektywny.

Ja pitolę.

Na szczęście dał mi szansę.

– Robiłaś kawę? – przypomniał mi.

– Racja – wymruczałam i pospieszyłam do kuchni.

Nalałam wody do dzbanka i odwróciłam się do ekspresu; Hector wszedł do kuchni. Wolałam, żeby pozostał tam, gdzie był (albo jeszcze lepiej: na Alasce), ale nie mogłam go o to prosić – do tego wszystkiego wyszłabym jeszcze na cykora.

Przelałam wodę do ekspresu i założyłam włosy za ucho.

– No to... – zaczęłam w rozpaczliwej próbie rozpoczęcia rozmowy. Ile czasu może zająć poinformowanie kapeli, że mogą powiedzieć dziennikarzom dwa słowa, a poza tym mają trzymać gęby na kłódkę? Znając mój zespół, jakieś osiemdziesiąt dwie godziny.

Czyli zapowiadała nam się długa rozmowa.

Zerknęłam na Hectora.

– Masz dziewczynę?

Czemu o to spytałam?!

– Nie.

– Nikogo, kto byłby dla ciebie ważny?

„Zamknij ryj!”, wrzasnął mózg.

– Tego nie powiedziałem.

Hm, to ciekawe. Mózg przestał wrzeszczeć.

Podsunęłam dzbanek, włączyłam ekspres i przyjrzałam się Hectorowi.

– Czyli jest ktoś ważny?

Nie odpowiedział.

– Ale nie jest twoją dziewczyną?

Złożył ręce na piersi, oparł się biodrem o blat, wciąż bez słowa.

– Kim ona jest?

– Nie jest rockową laską – przemówił jednak. – Jest bogata i kurewsko piękna. Zrobiła pierwszy ruch, potem mnie odpaliła, więc teraz musiałyby zrobić drugi.

Zamrugalam oczami.

Dużo informacji jak na takiego zajebistego twardziela, którego w dodatku prawie nie znałam.

Byłam ciekawa, jak wyglądało odpalenie Hectora i dlaczego jakakolwiek kobieta przy zdrowych zmysłach miałaby zrobić coś tak głupiego, ale stchórzyłam.

– I co robisz, czekając, aż wykona swój ruch? – zapytałam. Wiedziałam, że tak się stanie. Musiałyby być stuknięta, żeby tego nie zrobić.

Na twarz Hectora powrócił uśmiech.

– Bawię się.

O dobry Boże.

Wiedziałam, jak się bawią tacy przystojniacy jak on. Doświadczyłam tego dziś rano, z ręką Mace'a w majtkach.

Kimkolwiek była ta laska, lepiej niech się pospieszy.

– Jesteś dobra – odezwał się Hector znienacka.

Spojrzałam na niego, zaskoczona. Myślamy byłam przy tej dziewczynie i dłoni seksownego

gościa i nie załapałam.

– Słucham?

– Widziałem, jak grasz. W The Little Bear, U Hermana, w The Gothic. Jesteś dobra.

Słyszałam już wcześniej takie komplementy, również od przystojniaków, w tym od przystojniaków, którzy chcieli się ze mną przespać. Być może prawili mi je właśnie z tego powodu.

Ale proste słowa Hectora brzmiały inaczej. Szczerze. Nie należał do gości, którzy szastaliby komplementami, bo tak.

Zaczerwieniona, odwróciłam się do dzbanka.

– Dziękuję – wymruczałam.

Miałam nadzieję, że to wyczerpuje temat, bo był jeszcze bardziej niezręczny od poprzedniego.

Poczułam żar jego ciała, bardzo intensywny i niespodziewanie blisko.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Hector skrócił dystans i znalazł się pół metra ode mnie.

Cholera.

– Nie rozumiem tylko jednego – podjął spokojnie. – Co, do kurwy nędzy, robisz w tym mieście.

Był tak blisko i tak cholernie przystojny, że ciężko mi było oddychać. Czułam jego żar i nie miałam gdzie uciec.

– Mieszkam – rzuciłam.

– Mówię o kapeli. Każdy, kto cię widział na scenie, wie, że miał kupę farta: powinien opłacić miejsce w golden circle, żeby patrzeć na ciebie z bliska.

Przestałam mieć problem z oddychaniem. Po prostu przestałam oddychać.

Czy on to mówił serio?

Tymczasem Hector mówił dalej.

– Potrzebujesz porządnego managera. Powinnaś być w trasie. Przenieść się do LA. Żeby zobaczyli cię łowcy talentów.

– Już mnie widzieli.

– I?

– Lubię być tu, gdzie jestem.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Chyba, kurwa, żartujesz.

– Nie, jest w porządku.

Pokręcił głową.

– Jesteś za dobra.

Poczułam, jak podkrada się do mnie panika, razem z ekscytacją znalezienia się na pierwszej stronie „Denver Post”.

– Jest w porządku – powtórzyłam, ignorując oba uczucia.

– Jesteś za dobra – powtórzył.

– Nie rozumiesz – westchnęłam i przysunęłam się do blatu, żeby zyskać odrobinę przestrzeni; nie pomogło, nachylił się. Patrzyłam zafascynowana, jak jego twarz poważnieje.

– Nie, nie rozumiem. Nie mam talentu. Ale tobie przyglądałem się jakiś czas i zawsze się zastanawiałem, czemu nie dzielisz się talentem z tłumami ludzi. – Urwał i przysunął się jeszcze bliżej.

– Nie chcesz mi wyjaśnić?

– Niekoniecznie – odparłam i to była prawda.

Poza tym, nic mu do tego.

Prawie go nie znałam!

Wprawdzie powiedział mi o tej swojej „ważnej osobie”, ale to w sumie nie były jakieś zwierzenia.

Nic mu nie będę mówić.

Hector patrzył na mnie, a ja na niego.

Nie odrywał ode mnie wzroku, a ja wytrzymałam spojrzenie.

W końcu odsunął się odrobinę i mruknął:

– Cała, kurwa, nadzieja w tym, że Mace zdoła przemówić ci do rozumu.

– Jak się to wszystko skończy, ze mną i Mace’em też koniec – rzuciłam wrednie.

Uniósł wysoko brwi i parsknął śmiechem.

Złożyłam ręce na piersi.

– I co jest takie cholernie śmieszne? – warknęłam.

Nie śmiał się już, ale wesołość pozostawiła ciepło na jego twarzy.

Myliłam się, wcale nie był przystojny.

Był po prostu piękny.

– Ty, *mamita*. Jesteś bardzo zabawna.

– Nieprawda – warknęłam jak sześciolatka, ale miałam to gdzieś. Wkurzał mnie!

Hector znów się nachylił.

– Jesteś. I chcę wejściówkę za kulisy, jak już będziesz w swojej pierwszej trasie koncertowej.

– Dobra – warknęłam na odczepnego, ale panika i dreszcz emocji znów mnie przeszyły.

– Dobra – potwierdził twardo.

Drzwi się otworzyły i konwersację z seksownym przystojniakiem przerwało mi wejście Mace’a i rozgadanej kapeli.

Jedna milisekunda wystarczyła, żeby Mace spostrzegł mnie i Hectora, wciśniętych w kuchni.

Druga, żeby się wkurzył.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

– Robiłam kawę – wyjaśniłam szybko, choć zabrzmiało to głupio.

– Kawa, dzięki ci, Boże! – zawołał Leo, spiesząc w moją stronę.

– Wyluzuj, *hombre*. Tylko rozmawialiśmy – odezwał się Hector, robiąc miejsce dla Leo.

– Żeby tylko była mocna – wymruczał Hugo.

– Rozmawialiście? – powtórzył Mace.

– Nie ma się czym podniecać – odparł Hector, ale Mace nie wyglądał na przekonanego.

– Starczy tam tej kawy dla wszystkich? – chciał wiedzieć Buzz.

– Nawet nie skończyła się parzyć! – zawołał Pong tak dramatycznie, jakby miało to potrwać jeszcze trzy lata, a on nie mógł jeść nic innego.

Gdy całe Blue Moon Gypsies skupiło się przy dzbanku, Juno zabrała swoje cielsko i wyszła z kuchni. Skorzystałam z okazji i poszłam za nią.

Miałam dosyć.

Dosyć.

DOSYĆ.

Poszłam za nią prosto do łóżka. Usiadłam na brzegu, Juno wskoczyła obok. Spojrzałam na nią.

– Dlaczego ja?

Szczeknęła.

– Czemu nie jestem lesbijką? – pytałam dalej.

Juno usiadła z wystawionym językiem, ogon zamiatał pościel szerokim łukiem. Jej nieznanostwo angielskiego stanowiła sporą przeszkodę w naszej sesji terapeutycznej.

– Czemu nie stworzyłam takiej kapeli jak Go-Gos? – mówiłam dalej.

– Go-Gos! Dziewczyńska muzyka dla surferów? Ja pierdzielę, odbiło ci? – zawołał Hugo z kuchni.

Padłam plecami na łóżko. Zasłoniłam oczy przedramieniem i próbowałam udawać, że jestem na plaży. Opuszczonej. Tysiące kilometrów od najbliższej cywilizacji.

Juno położyła się na brzuchu i wachała mi szyję wielkim, wilgotnym nosem.

No dobra, opuszczonej plaży tysiące kilometrów od cywilizacji, razem z Juno.

Wsunęłam palce w futro na głowie i podrapałam ją za uszami.

Polizała mi twarz.

A potem poczułam coś przy moich nogach, które zwisały z łóżka. Materac ugiął się, przestałam drapać Juno, otworzyłam oczy.

Mace nachylał się nade mną, zgięty wpół, z rękami po obu stronach mojego ciała.

Na widok napiętych bicepsów zrobiło mi się gorąco między nogami.

„Spokój tam, zdziro!”, ostrzegł mnie mózg.

Co się ze mną działo?

– Skarbie, muszę lecieć – powiedział łagodnie Mace.

– W porządku.

– Pamiętaj, żadnych komentarzy.

Westchnęłam.

– Pamiętajam.

– Jak wrócę do domu, zjemy kolację i pogadamy.

To, że nazwał moje mieszkanie „domem”, znów wzbudziło panikę, której znów towarzyszyło podniecenie.

– Dobra.

– Pamiętaj o alarmie.

– Jasne.

– Zadzwoń w ciągu dnia.

– Mace, wyjdiesz w końcu czy nie? – Straciłam cierpliwość; moja zdolność do hamowania paniki, ekscytacji i ciepła między nogami też była na wyczerpaniu.

Uśmiechnął się i oparł na łokciu, jego pierś dotykała mojej. Pocałował mnie mocno, ale bez języczka, a potem podniósł się i poszedł do drzwi.

Zamknęłam oczy i zastanowiłam się, co mam zrobić.

Ale nie zdążyłam nic zaplanować, bo coś wielkiego padło na łóżko, aż mnie i Juno podrzuciło do góry.

Otworzyłam oczy. Pong wskoczył na łóżko przy poduszkach, położył się na wznak. Spojrzałam na drzwi, Mace i Hector właśnie wychodzili.

– Na razie, Hector! – zawołałam, a on podniósł rękę.

– Co z tą kawą? – zawołał Pong do Leo, który stał w kuchni i gapił się na niemal pełny dzbanek.

– Prawie gotowa!

Na łóżku znowu ktoś usiadł – tym razem Floyd.

Wyglądał na zmartwionego.

I było tam jeszcze coś. Coś, co mnie przerażało. I miało dużo wspólnego z demonami Mace’a. I miejscem, do którego nie chciałam nigdy zaglądać.

– W porządku? – spytał cicho.

– Nie – odparłam szczerze.

– A czy ktoś spyta, jak ja się czuję? To mnie prawie odstrzelili głowę – obruszył się Pong.

– Celował w Stellę – zauważył Buzz, kładąc się na boku w nogach łóżka.

– No i co z tego? – warknął Pong.

Popatrzyłam na niego.

– To jak się czujesz?

Złość na jego twarzy zastąpił szeroki uśmiech.

– Zajebicie! Laski obrabiały mnie całą noc! Chyba śmiertelne niebezpieczeństwo działa jak afrodyzjak.

Westchnęłam w duchu.

– Pojebany debil – poinformował go Buzz.

– Pojebany debil, który zaliczył czworokącik ubiegłej nocy!

O Boże.

– Jestem na to za stary – wymruczał Floyd.

Telefon znowu zadzwonił. Podniosłam się na łokciu i patrzyłam, jak Hugo do niego idzie.

– Żadnych komentarzy, Hugo – przypomniałam mu.

– Jezu. Mówię po angielsku, nie w suahili, tak? Słyszałem Mace’a. Słyszałem ciebie. – Odebrał.

– Halo?

Opadłam z powrotem na łóżko. Zaczęłam myśleć o swojej karierze. I życiu osobistym. O kobiecie, która była na tyle głupia, żeby odpalić Hectora. A potem wróciło wspomnienie udręki

w oczach Mace'a i zadrżałam.

– Stella, to Mnich.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Hugo stoi przy łóżku.

Ja pitolę.

Podniosłam się i wzięłam od niego telefon.

Nie miałam chęci na tę rozmowę. Wiedziałam, że Mnich się wścieknie.

W jego klubie pojawił się gość ze strzelbą. Co więcej, użył jej. Co jeszcze więcej, nie było ostatniej kolejki, bo ludzie ruszyli hurmą do wyjścia. A co jeszcze, jeszcze więcej, dziś miało nie być koncertu. Był zaplanowany na wieczór, a cholera, nie było opcji, żebyśmy grali tam znowu.

– Cześć, Mnich – odezwałam się.

– Stella, słońce! – zawołał radośnie Mnich. Wcale nie był zły.

Ale jak to?

– Słuchaj, przepraszam cię...

– Widziałaś dzisiejszy „Denver Post”? – przerwał mi.

– Yy, nie? Znaczą, nie do końca...

Ale on miał to gdzieś.

– Wspomnieli o Palladium pięć razy! Najlepsza reklama i, kurwa, za darmo! Zajebioza!
– mówił uszczęśliwiony. – Dziś podwajamy stawkę za wejście. To będzie czad.

Nie. Nie mówił tego poważnie.

– Mnich, nie zagramy – poinformowałam go.

Cisza.

– Niby dlaczego, kurwa?

Spojrzałam na chłopaków. Wszyscy patrzyli na mnie.

– Bo wczoraj do nas strzelali – wyjaśniłam.

– No?

– Ze strzelby – dodałam.

– I?

– Pong prawie zginął!

– Zajechany na śmierć przez nagrzone panienki – odpalił Mnich. – Ten chłopak nie miał tyle szczęścia od czasu, gdy siatkarki z uniwerku Colorado przyjechały na wasz koncert!

Pamiętałam to. To nie była dobra noc, w każdym razie nie dla mnie, a już na pewno nie dla Mace'a. Skończyła się o piątej nad ranem telefonem – Mace musiał ratować Ponga, zgranego w rozbieranego pokera do samych gaci. Gdy chłopak spróbował odzyskać ciuchy, dowiedział się, jak silne potrafią być dwudziestoletnie sportsmenki. Dodajmy też, że Mace nie szalał ze szczęścia, że wiezie gościa w czarnych slipach na przednim siedzeniu swojego srebrnego chevroleta avalanche.

– Nawet jeśli tak było... – zaczęłam znowu, próbując uświadomić Mnichowi powagę sytuacji.
Zaczynałam się wkurzać, do diabła, powinien sam to zrozumieć!

– Stella. Gracie – wciął się Mnich.

– Chyba nie myślisz...

– Myślę i mówię. Jak nie zagrać dzisiaj, nie zagrać już nigdy więcej w Palladium – zagroził.

Spięłam się.

– Mnich!

– To nie koniec. Pogadam z innymi właścicielami klubów, opowiem im o tym szajsie, przeszukaniach i w ogóle, i tym jebanym Masie, który wystartował do mnie z łapami.

Ja pitolę.

– Mnich, słuchaj mnie. Nie możemy zagrać wieczorem. To niebezpieczne.

– Nie, Stella, ty mnie posłuchaj. Gracie dzisiaj albo nie gracie już więcej w Denver. Nigdy.

I nigdzie.

– To jest groźba? – warknęłam.

– Nie. Obietnica.

Ja i moje parszywe szczęście!

Nim zdążyłam mu coś odpalić, Hugo wyjął mi telefon z ręki i przystawił do ucha.

– Mnich, tu Hugo – przemówił do telefonu, a głęboki aksamit jego głosu był teraz podszyty złością. – Tak jest. Nie, ty posłuchaj, biały błaznie. Zagramy dzisiaj, podwajasz stawkę i dostajemy swoje.

Patrzyłam zszokowana na Hugona, który zamilkł, ale tylko na chwilę.

– Ciszka, teraz ty mnie słuchasz, popaprańcu.

Złość w głosie przebiła się na pierwszy plan, wstrzymałam oddech.

– Otwierasz budę godzinę wcześniej i wpuszczasz ludzi. Przestrzegasz procedur bezpieczeństwa co do joty. Co do jebanej joty, zrozumiałeś? – Urwał znowu, skinął głową i mówił dalej. – Gramy w setach półgodzinnych, nie dłuższych. Wystawiasz informację, że nie wolno wnosić żadnych pakunków, torebek ani plecaków. – Usłyszałam wrzaski po drugiej stronie, ale Hugo twardo szedł dalej. – Nikt nie nosi luźnych ciuchów. Żadnych bluz, żadnych kurtek, niczego. Gdy osiągasz maksimum ludzi, zamykasz drzwi. Nikt nie wejdzie, póki ktoś nie wyjdzie. Rozumiesz, jebłu?

Jeszcze więcej wrzasków po drugiej stronie. Zerknęłam na chłopaków. Leo stał w kuchni, trzymał w ręku trzy zapomniane kubki do kawy. Floyd patrzył na telefon zwięzonymi złością oczami. Pong szczyrzył zęby, Buzz przygryzł wargę.

Przeniosłam wzrok na Hugona, gdy znów przemówił.

– Jak spróbujesz znowu ojechać Gypsies, to będzie problem. A nie chcesz ze mną problemów, pojebańcu. Wiem, że lubisz przyćpać, wiem, skąd bierzesz towar, i wiem, że wchodzisz typowi w paradę. A to poważny gość i nie lubi się dzielić, zwłaszcza z pojebanymi białasami. Jeśli tamten ma zostać w cieniu, a ty cały, zdrowy i z ćpaniem, trzymasz gębę na kłódkę. Teraz się rozumiemy?

W telefonie zapanowała cisza.

– I bardzo dobrze, jebłu – oznajmił Hugo, wyłączył się i rzucił mi telefon. – Będzie w porządku – powiedział do mnie spokojnie.

Zamrugałam oczami.

– W porządku? – zapytałam niepewnie.

– Mnich się zgadza.

– Hugo, odbiło ci? Nie możemy grać. Nie możemy, póki się to wszystko nie skończy!

– Spokojnie, matka, wszystko będzie git – odparł.

Patrzyłam na niego otwartymi oczami.

Wszystkim tu odjechało. Wszystkim z wyjątkiem mnie.

– Jesteś stuknięty – poinformowałam Hugona.

– Ktoś ma chęć na jajka? Ja smażę – zaoferował się Leo z kuchni.

– Oo, jajka! Zajebioza! Masz bekon? – spytał mnie Pong, zaimpregnowany na całe szaleństwo, które rozgrywało się wokół.

– Ty też masz hopla – powiedziałam do Ponga, który wyszczerzył się i zerwał z łóżka.

– A ja chcę tosty. Z marmoladą. I grubą warstwą masła – dodał Buzz i też zszedł z łóżka.

– O, ma chleb! I bekon! – zawołał Leo, otwierając lodówkę.

Popatrzyłam na Floyda.

Nie wyglądał na szczęśliwego.

Chociaż jeden normalny!

Spojrzał na mnie i pokręcił głową.

Czekałam, aż coś zrobi, wniesie odrobinę normalności w tę zjebaną sytuację.

Ale on tylko wzruszył ramionami.

– Kawa się już zrobiła? – spytał, a potem też wstał i poszedł do kuchni.

Jego mać.

Opadłam na łóżko.

Pięknie.

Po prostu pięknie.

– Ty lepiej zadzwoń do Mace’a, powiedz mu, żeby ogarnął nam ochronę na wieczór – rzucił Hugo oparty o parapet.

I co jeszcze?

Mace nieźle się wkurzy.

A ja będę go prosić, żeby pomógł mnie i kapeli.

Znowu!

– Stella Bella, chcesz jajka? – zapytał Leo.

Popatrzyłam na Juno.

Zamrugła i wystawiła język. A potem, zmęczona walką ze snem, przekręciła się na bok, zamruczała i wyciągnęła się, gotowa do psiej drzemki.

Nie odrywając od niej wzroku, odpowiedziałam:

– Tak, chcę.

Rozdział 12

Lista piosenek

Stella

– Denver, chcę usłyszeć, jak robicie hałas! – zawołałam do mikrofonu, grając na gitarze, a muzyka ryczała z głośników.

Tłum oszalał.

Spojrzałam na Buzza z uśmiechem. Też się uśmiechnął, nie przestając grać. Widziałam, jak Floyd gra na pianinie, kiwając głową; zrobiłam krok do tyłu, żeby spojrzeć na Ponga: walił w bębny, wymachując dziko włosami. Leo stał pochylony, wpatrzony w scenę, ale wybijał stopą rytm.

Hugo grał na klawiszach, do czego się nie rwał, bo przywoływało to nieprzyjemne wspomnienia z lekcji gry na organach, do czego zmuszała go jego babcia-hetera.

Nie czułam się dobrze, zmuszając Hugona do tych flashbacków: poznałam jego babcię i faktycznie była heterą.

Ale czasem potrzebowaliśmy klawiszy.

Kończyliśmy trzeciego seta „Get Out of Denver” Boba Segera i The Silver Bullet Band i klawisze były tu najważniejsze. Nie da się zagrać tego kawałka bez keyboardu.

Hugo musiał to jakoś przełknąć.

Nienawidził tego, ale robił to dla zespołu.

Wykończyłam ostatni riff, perkusja, keyboard i pianino dawały czadu wokół mnie, a potem podniosłam rękę i kiwając głową i ramionami, cięłam palcem powietrze, raz, dwa, trzy, cztery! Zagrzmieliśmy ostatni raz, opuściłam gwałtownie rękę i muzyka umilkła.

Odwrociłam się do mikrofonu, objęłam go ręką i uśmiechnęłam się do tłumu.

– Rock’n’roll! – zawołałam i uderzyła w nas ściana krzyku.

– Idziemy się napić piwa – zapowiedziałam widzom. – Za piętnaście minut jesteśmy z powrotem!

– Odpowiedział mi ryk.

Wzięłam gitarę za gryf, odsunęłam włosy i zdjęłam przez głowę czarny skórzany pasek (z zabójczymi srebrnymi nitami w kształcie stokrotek na brzegach, może i dziewczynskie, ale wciąż rockowe). Postawiłam gitarę na stojaku i weszłam pomiędzy Buzza i Leo, szliśmy razem do schodków.

Ludzie przeszli od krzyku do rytmicznego tupania i powtarzania w kółko „Gypsies, Gypsies”. Liczyli na bis numer pięć, a ja byłam tak nahajowana, że może nawet bym i zagrała.

Ale w tej chwili oprócz haju, muzyki i miłości tłumu potrzebowalam piwa.

Dzień zaczął się kiepsko i nie było szans na poprawę.

Mace nie ucieszył się, że plan kolacji we dwoje i rozmów o przyszłości przerodził się znienacka w ogarnianie ochrony dla koncertu, który mógł skończyć się czyjąś śmiercią.

Po wyjściu chłopaków zadzwoniłam do Mace’a i udało mi się go przekonać. No dobra, musiałam się nakrzyczeć, ale w końcu się poddał. Ale potem zadzwonił Lee, który nawrzeszczał na mnie, a potem to samo zrobili Luke, Hector i Eddie. W czasie rozmowy z Hankiem w końcu się rozłączyłam i wtedy dzwoniła Roxie, żeby mnie ochrzanić, że się rozłączam.

Tym twardej nie podobało się to, że znów ktoś może do mnie strzelać, a jeszcze bardziej fakt, że na koncert wybierały się wszystkie rockowe laski, by udzielić mi moralnego wsparcia.

Jeśli chodzi o Roxie, nie podobało jej się wyłącznie to, że odłożyłam słuchawkę, gadając z Hankiem.

Znalazłam się między młotem a kowadłem. Nie mogłam zmusić dziewczyn, żeby zostały w domu. I nie mogłam zawieść kapeli.

Tak czy siak, byłam w dupie.

No to postanowiłam ułożyć listę piosenek.

W międzyczasie dzwoniли również dziennikarze i przyjaciele z pytaniem, co się właściwie dzieje. A ponieważ nie mogłam rozmawiać z dziennikarzami i w sumie nie wiedziałam, co się dzieje, rozmowy były krótkie i wkurzające.

Dlatego przestałam odbierać telefony i razem z Juno wysprzątałam cały dom. To znaczy, ja sprzątałam, a Juno albo się przyglądała, albo drzemała.

A potem opracowałam listę kawałków. Trochę się zeszło, w końcu to mógł być ostatni koncert, jaki w życiu zagram. Powtarzałam sobie, że nie jestem negatywnie nastawiona, tylko przygotowana i wiedziałam jedno: cokolwiek się wydarzy, koncert musi być wyjątkowy.

W związku z tym nie udało mi się złapać drzemki ani pograć na gitarze dla uspokojenia roztrzęsionej duszy, ani dojść do żadnych wniosków odnośnie mojego pochrzanionego życia.

Powinłam była zrobić to wszystko, albo chociaż trochę, a przynajmniej jedno. Ale się nie udało.

Liczyłam na to, że ludzie będą się trzymać z dala od Palladium, skoro podwojono opłatę za wstęp, ochrona była bezwzględna i mogły latać kule.

Przeliczyłam się.

Gdy Vance przywiózł mnie do Palladium, drzwi już były zamknięte, bo klub osiągnął maksymalną liczbę klientów. Przed wejściem nadal ciągnęła się kolejka przez pół ulicy i znikła za rogiem. Poza tym koncert zaczął się z opóźnieniem, bo kapela znów miała do mnie pretensje (jak zawsze).

Szaleni rockandrollowcy z Denver.

Dobra wiadomość była taka, że mieliśmy dwa wozy policyjne i policjantów mundurowych przed wejściem, zapewniających to, co Vance nazywał „obecnością” i co miało pomóc w zapanowaniu nad tłumem i zmusić potencjalnych przestępców do zmiany planów.

Bycie adoptowaną przez denverską policję miało swoje plusy.

Druga dobra wiadomość: graliśmy dziś jak mistrzowie. Wczoraj to był ogień, dzisiaj cholerne piekło.

Jeszcze nigdy nie graliśmy tak dobrze.

Nigdy.

Stałam z boku sceny i Mace wsunął mi w rękę butelkę piwa.

– Musimy potem pogadać o twoim wyborze piosenek – mruknął.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że był wkurzony i miał ochotę komuś przywalić.

Tworząc listę, dałam się ponieść. Graliśmy piosenki, które próbowaliśmy tysiące razy, ale bardzo rzadko graliśmy na koncertach. „Death Letter” Son House, „Don’t Fear the Reaper” Blue Oyster Cult, „Only the Good Die Young” Billy’ego Joela, „Hit Me with Your Best Shot” Pat Benatar, „Thunderstruck” AC/DC oraz „Lawyers, Guns and Money” Warrena Zevona.

Poza tym wykonaliśmy dwa kawałki, których nigdy wcześniej nie graliśmy na koncertach i których nikt nie słyszał poza próbami.

Skomponowali je Buzz i Leo. Ja nie pisałam piosenek, ale oni owszem i byli w tym bardzo dobrzy. Nigdy ich nie graliśmy. Nie dlatego, że ja nie chciałam, po prostu Buzz i Leo nie czuli się z tym dobrze.

Ale teraz uznałam, że jak mamy zginąć, to robimy to teraz albo nigdy.

Buzz i Leo się nie zgadzali.

Floyd, Hugo i Pong uznali to za świetny pomysł.

Pokłóciliśmy się.

Moja strona wygrała, ale wyszliśmy na scenę z dwudziestominutowym opóźnieniem.

Ale w końcu to rock'n'roll.

Ludzie pokochali nowe piosenki. Zresztą, kochali wszystkie. Wchłonęli je.

Ale chyba Mace nie docenił ironii.

– To moja kapela – przypomniałam mu teraz. – Ja ustalam piosenki i nikt nie będzie się wcinał.

To było kłamstwo. Wszyscy wcinali mi się bez przerwy.

Mace spojrzał na mnie i uznałam, że najlepiej będzie już nic nie mówić.

Jak po każdej przerwie, Mace położył mi rękę na plecach i zaprowadził na tyły.

Dzisiaj postanowili nie ryzykować. Znów byli tutaj wszyscy twardziele plus Tex i Duke, ta sama procedura co zeszłej nocy. Z jednym wyjątkiem: chłopaki obrabiali dziewczyny przy barze, a ja spędzałam przerwy zamknięta w garderobie w otoczeniu rockowych lasek.

– Ja pierdzielę! To było super! – zawołała Indy, jak tylko weszłam do środka.

Widziałam, że w tej przerwie Vance robił za ochroniarza. W poprzedniej był z nami Luke.

Vance skinął Mace'owi głową, Mace uniósł brodę, spojrzał na mnie ciężko ostatni raz i zamknął za sobą drzwi.

– Uwielbiam waszą wersję „Don't Fear the Reaper”. Fantastyczna! – zawołała Roxie, która nie żywiła urazy za wcześniejszą sprzeczkę przez telefon.

Uśmiechnęłam się, pociągnęłam z butelki i padłam na starą sofę, którą należało wymienić dwanaście lat temu.

– Dokładnie, dziewczyno. Dajesz dzisiaj czadu – zahuczała Shirleen. – Wolę hip-hop i od czasu do czasu bluesa, ale jak słyszę wasze granie, dziewczyno, to myślę, czy nie wrócić do rocka.

– Nic z tego, Shirleen. – Uśmiechnęłam się do niej. – Tej nocy rock'n'roll należy do mnie.

– Święte słowa – wtrąciła się Daisy ze swoim dźwięcznym śmiechem i stuknęła się ze mną butelką piwa.

– Dobra, a jak tam między tobą a Mace'em? – spytała Ally, która miała dość tej ody do Stelli i domagała się pikantniejszych szczegółów.

– Ally – upomniała ją Ava i spojrzała wymownie na Jet.

– No tylko pytam!

– Ciężka sprawa – odpowiedziałam jej, znów pijąc piwo. Nie miałam zamiaru opowiadać im o demonach Mace'a, nie teraz. Jeszcze sobie z tym nie poradziłam. I jeszcze nie wiedziałam, czy w ogóle sobie poradzę. – Nie mam czasu ogarniać sytuacji z Mace'em, kapelą, psem, byciem na pierwszej stronie „The Post”, koncertami, tym deklek Mniczem, strzelaniną i w dodatku jeszcze Erikiem...

– Erikiem? – zapytała Jet.

– To mój chłopak.

Zdumione okrzyki; Ally, która właśnie upiła łyk piwa, wypluła je, Ava i Roxie odskoczyły poza zasięg prysznica.

– Że co? – wrzasnęła Ally, plując piwem.

– No dobra, może nie od razu chłopak, ale coś w tym stylu. Spotykaliśmy się – wyjaśniłam.

– Spotykaliście? – spytała Indy.

– A potem gdy Mace i ja, no... – Przygryzłam wargę i zerknęłam na Vance'a, który wpatrywał się swoje buty. – Gdy zrobiliśmy to – wyszeptalam do dziewczyn i znów mówiłam normalnym głosem – Mace, Eric i ja mieliśmy konfrontację. I wtedy Mace powiedział Ericowi, że mnie zerznął. Wprost. Ericowi się to nie spodobało.

– No chyba – wymruczała Shirleen, zerkając na Daisy.

– Czemu nic nam nie powiedziałaś o tym Ericu? – oburzyła się Ally.

Wzruszyłam ramionami.

– No bo w sumie nie byliśmy ze sobą. Trudno wyjaśnić. Dowiedziałam się, że to federalny...

– Co takiego? – Tym razem Daisy wypluła piwo.

– Dokładnie tak. On też rozpracowuje Sida i dlatego zbliżył się do mnie, a teraz jeszcze powiedział, że się zakochał. Wprost, przy Masie, i to po tym, jak Mace powiedział mu, że mnie pieprzył. – Tutaj przerwałam. Nie chciałam mówić nic więcej, bo opowiadanie oznaczałoby przeżywanie na nowo. A ja nadal miałam w sobie to koncertowe wrzenie i potrzebowałam go na ostatniego seta.

– Skomplikowane – dokończyłam.

– To nie jest skomplikowane, to jest pojebane – skomentowała Shirleen i miała rację.

– Mace naprawdę powiedział mi, że cię pieprzył? Użył takich słów? – spytała Ava, a gdy skinęłam głową, mówiła dalej. – To było chamskie.

– Jakbyś ich nie znała. Wszyscy walą prosto z mostu – przypomniała jej Indy.

– Ale przecież ten cały Eric leci na Stellę. Mace mógł przynajmniej spróbować być delikatny

– nie ustępowała Ava.

Shirleen, Ally i Indy parsknęły głośnym śmiechem, Daisy, Roxie i Jet zachichotały.

Shirleen otarła załzawione oczy.

– Mace? Delikatny? Ava, słonko, aleś zasunęła.

Ava spojrzała na nią znacząco.

Ja z kolei popatrzyłam na Vance'a – co on sobie o tym wszystkim pomyślał?

Jules znów odpuściła wyjście z dziewczynami i została w domu, gdzie była bardziej bezpieczna.

Świetna decyzja.

Vance nie gapił się już na swoje buty, teraz patrzył na mnie z uśmiechem.

Pewnie uważał, że to wszystko jest szalenie zabawne.

Przewróciłam oczami.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Do licha!

Ktoś zastukał do drzwi, Vance się spiął.

– Łowca talentów – oznajmił głos Hectora z drugiej strony i teraz to ja się spięłam.

– Łowca talentów? – powiedziała Roxie bez tchu, patrząc na mnie wielkimi oczami. Wszystkie dziewczyny wydawały się podjarane.

– Nie ma mnie – powiedziałam szybko Vance'owi, ale on zignorował mnie i otworzył drzwi.

Ja pitolę!

Mnich wprowadził Hectora i łysiejącego mężczyznę w średnim wieku, który mimo przeredzonych włosów nadal świetnie się prezentował w dżinsach, błękitnej koszuli i w czarnych pantoflach.

– Stella, moja śliczna, dajesz dziś czadu – oznajmił Mnich, zacierając dłonie niczym chciwy bankier w kiepskim filmie.

Wymruczałam podziękowanie, nie odrywając oczu od łowcy. Dzięki temu nie musiałam unikać wzroku Hectora, Vance'a, Mnicha i dziewczyn.

Napiłam się piwa i zapytałam:

– Pan...?

– Dixon Jones. A&R. Black Fat Records.

O rany.

Wow.

Słyszałam o nich, chociaż długo ich tu nie było. Wytwórnia nieduża i dość wybredna. Znajdowali talent i otaczali opieką; mieli zajebisty dział marketingu.

Gdybym kiedykolwiek chciała wydać płytę The Gypsies, wybrałabym właśnie Black Fat Records.

– Dobrze się pan bawi? – rzuciłam od niechcienia, jakby mnie to nie obchodziło. A przecież nie do końca tak było.

Chociaż w sumie nie bardzo.

Ja pitolę, co się ze mną działo?

Dixon Jones uśmiechnął się; miał szczery, ujmujący uśmiech.

– Pani stworzyła ten nowy materiał? – spytał, co też mnie ujęło.

Pokręciłam głową.

– Nie, to Buzz, mój basista. On komponuje muzykę. Leo, gitara rytmiczna, pisze teksty.

– Mocna rzecz. Cieszę się, że odchodzicie od coverów – zauważył Dixon, czym już mnie ujął bez reszty.

– Był pan już wcześniej na naszym koncercie? – spytałam z nonszalancją, która kosztowała mnie cholernie dużo wysiłku.

– Przychodzę za każdym razem, gdy jestem w Denver i grają Gypsies.

O rany boskie.

– Jak to się stało, że wcześniej nie poznałeś mojej dziewczynki? – Mnich się przysunął i klepnął Dixona w plecy.

Od bycia „dziewczynką Mnicha” przeszył mnie dreszcz, skrzywiłam się mimo woli.

Dixon spojrział na niego z góry:

– Chyba że grają w Palladium. Zazwyczaj unikam tego miejsca.

Mnich zbladł trochę, odsunął się.

Nic nie mogłam na to poradzić – uśmiechnęłam się do Dixona Jonesa, czując, że go lubię.

– Ale tego już nie mogłem przegapić – powiedział, pokazując mi „USA Today”, który trzymał w ręku. – Rock’n’roll w obliczu niebezpieczeństwa! Pomyślałem, że to może być dobre, ale kurczę, Stella, ty i chłopaki przesłiście wszelkie oczekiwania. Bardzo kreatywny zestaw piosenek.

A potem otworzył gazetę i odwrócił ją do mnie.

Zobaczyłam ziarniste zdjęcie, na którym ja i Mace całujemy się na scenie. Nie patrzyłam na tytuł – nigdy jeszcze nie miałam okazji zobaczyć z boku, jak całuję się z Mace’em (ani kimkolwiek innym) i zafascynowało mnie to.

Zdjęcie, pewnie zrobione smartfonem, nie było może najlepszej jakości, ale w porządku. Stoję przechylona przez rękę Mace’a na tle perkusji. Mace zaciska dłoń na gryfie mojej gitary, ja trzymam się jego szerokich ramion, nasze usta złączone są pocałunkiem. Wyglądało to naprawdę seksownie.

Cholernie seksownie.

Kurwa jego mać.

– Ja pierdzielę – szepnęła Indy.

– „USA Today”? – Jet osłupiała.

– Tego nie widziałam – mruknęła Daisy.

– Ale w chuj dobre zdjęcie – zauważyła Ally.

Zrobiłam krok do przodu, żeby wziąć gazetę do ręki, ale nie zdążyłam – Vance ją pochwycił i cofnął się.

– Skup się na występie – oznajmił, składając gazetę i wsuwając ją sobie pod pachę.

Patrzyłam na niego równie zszokowana jak Dixon Jones. Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

Coś się tu szykowało.

Niedobrze.

Odwróciłam się do Vance’a.

– A ty co? Mój manager?

Spojrzał na zegarek, a potem na mnie.

– Przez najbliższe dwie minuty, owszem.

– Nieprawda – warknęłam.

– Stella, skoncentruj się – odpalił.

– Musimy porozmawiać – poinformował Dixona Hector, a ja spojrzałam na niego zła i zmieszana.

Dixon też zdawał się stropiony.

Spojrzełam znów na Hectora i już wiedziałam, co się tu święci.

O nie.

Nic z tego.

– Nie rozmawiaj z nim – ostrzegłam Dixona.

Teraz spojrział na mnie, nadal stropiony.

Dziewczyny otoczyły mnie, Shirleen podeszła do Dixona.

– Hector i ja chcemy z tobą pogadać – powiadomiła go.

Jezu.

Robiło się coraz gorzej.

– Ja również! – Daisy się przecisnęła.

Nie, nie, nie!

To jeszcze gorzej!

– Tylko nie to! – zawołałam, próbując się ruszyć, ale Ally i Ava mnie przytrzymały. Bardzo mocno.

Dixon patrzył teraz na Daisy i Shirleen.

– A kim wy jesteście?

Zwracał się do Shirleen, lecz odpowiedziała mu Daisy.

– Managerkami. Zajmujemy się Gypsies. Jak każdy porządny, czadowy rockowy band sprawiają kupę problemów, *comprende*?

– Nie są moimi managerkami! – zaprzeczyłam.

Shirleen, która już objęła go ręką i prowadziła do drzwi, nachyliła się i bezczelnie skłamała:

– Zawsze tak mówi.

Wzniosłam oczy ku sufitowi, modląc się w konkretnej intencji.

Modlitwę zignorowano; Dixon Jones spojrział na mnie rozbawiony przez ramię i zniknął za drzwiami.

Odwrociłam się sztywno i spojrzałam na Ally.

– Co tu się właśnie stało?

– Nie pytasz, nie słyszysz kłamstw – odparła.

Zmrużyłam oczy, czując, jak serce wali mi w krtani.

I wrzasnęłam:

– Co to wszystko ma znaczyć?!

– Że musisz nam zaufać. – Jet zmaterializowała się przede mną.

Niedobrze.

Cholernie niedobrze.

Coś planowały.

Chyba wiedziałam co i nie chciałam tego.

Pokręciłam głową.

– Nie w kwestii łowcy talentów.

– Zaufaj nam. – Indy stanęła obok Jet.

I co jeszcze?!

– Pojechało was. Wszystkich tu pojechało. Cały ten świat jest popierdolony! – wrzasnęłam, a wtedy w drzwiach stanął Mace.

Ignorując mój napad szału, spojrział na mnie, ciągle wkurzony, i oznajmił:

– Ostatni set. I jeśli znów będzie tam jakiś kawałek o śmierci albo o broni, ja cię zastrzelę.

Kurna, ja pitolę.

Graliśmy końcowy numer, „Ghostriders”, kiedy to się stało.

Udało mi się wyrzucić to wszystko z głowy i ostatni set wypadł jeszcze lepiej niż trzy poprzednie. Zaczęliśmy od „Ventura Highway” Ameryki; moglibyśmy rozwalić tę budę ostrym rockiem, ale zdołaliśmy osiągnąć potężną harmonię i nawet ja musiałam przyznać, że nasza wersja była słodka.

Potem zegraliśmy jeszcze dwa kawałki Buzza i Leo. Gdy je zapowiadałam, tłum zareagował tak żywiołowo, że pół minuty pierwszej piosenki zagłuszył wrzask.

Poczułam ciepło i dreszcz, widząc, jak Buzz i Leo reagują na to przyjęcie. Patrzyli na siebie, z mieszaniną paniki i ekscytacji, którą ja czułam przez cały dzień. I widziałam, że ekscytacja wygrała.

A potem przestaliśmy się opierdzielać. Nadszedł czas na mocnego rocka i wróciliśmy do tematu tego wieczoru (cóż, Mace będzie musiał mnie zabić), grając „Ridin’ the Storm Out” REO Speedwagon, „Flirtin’ with Disaster” Molly Hatchett, „Dangerous” The Doobie Brothers i wreszcie „Ghostriders”.

Zbliżaliśmy się do końca piosenki. Ludzie wiedzieli o tym i dawali się ponieść, tańcząc i krzycząc, z rękami w górze.

I wtedy, naładowana zajebistym koncertem, z walącym sercem, tętniącą (na szczęście) krwią, mrowieniem na skórze i ustami rozjechanymi w uśmiechu, zobaczyłam go.

Niechlujny facet w znoszonej wojskowej kurtce na podkoszulku, z potarganymi włosami i rękami w kieszeni kurtki, parł zdecydowanie w stronę Jet.

Uderzyły mnie dwie rzeczy.

Po pierwsze, była ciepła końcówka maja, po drugie, nie wolno było tu wchodzić w kurtkach.

Kurna, Mnich!

Duke znów stał na posterunku przed sceną, ale ze swojego miejsca nie widział tego gościa, a z kolei ja, stojąc za nim, nie mogłam dać mu znać.

Chłopaki z NI byli w zasięgu, typ nawet przepchnął się obok Vance'a, ale Vance akurat patrzył w innym kierunku.

Lee był z nami na scenie, tak jak wczoraj. Nie przestając grać, przekreśliłam się do niego, próbowałam uchwycić jego wzrok, ale on cały czas skanował tłum.

Niemal w rozpaczy, spróbowałam z kolei zwrócić uwagę Vance'a, ale właśnie się odwrócił i przepychał w innym kierunku, przeciwnym do rockowych lasek.

Ja pitole, nic się nie dało zrobić. Podeszłam do mikrofonu i chciałam ostrzec Jet, ale jak tylko wyjąkałam jej imię, ujrzałam przerażona, że ludzie za nią się odsuwają.

Facet miał łatwy dostęp.

Kurna, ja pierdzielę.

Od Jet dzieliło go kilka kroków, zaczął wysuwać rękę z kieszeni i wtedy ześwirowałam.

– Jet! – wrzasnęłam do mikrofonu.

Teraz na mnie spojrzała, ale nie miałam czasu jej ostrzec, bo facet stał tuż za nią.

Zerwałam z siebie gitarę, rzuciłam ją z głośnym brzękiem strun, podbiegłam do brzegu sceny i skoczyłam, prosto na tego typa.

Słyszałam, jak tłum reaguje entuzjastycznie na mój skok, i z całym impetem spadałam na gościa.

– Co jest...! – zawołał, kompletnie zdezorientowany. Jedną rękę nadal trzymał w kieszeni, drugą objął mnie, zachwiał się pod ciężarem, zrobił trzy kroki do tyłu i upadliśmy, ja na nim.

Upadając, przewróciliśmy innych.

Kłębowisko ciał, rąk i miliona wierzgających stóp.

Ja skupiłam się na facecie, walcząc z nim i próbując chwycić go za nadgarstek. Może niemłody, ale silny i żyłasty, więc nie było mi łatwo.

Słyszałam, jak Floyd prosi ludzi o zachowanie spokoju, lecz olałam go, zajęta mocowaniem się z gościem.

– Chryste, dziewczyno, co jest z tobą, kurwa, nie tak? – wołał typ, broniąc się i też ze mną mocując.

– Nosisz kurtkę! – wrzasnęłam.

– Co z tego?!

– Kurtki są zabronione! – krzyknęłam i wtedy ktoś objął mnie w pasie i oderwał od typa.

Szarpnęłam się i odwróciłam – trzymał mnie Vance. Postawił mnie na nogach przed sobą, ale wciąż obejmował mocno w pasie.

Ponieważ był jednym z NI, przestałam się wyrywać, wskazałam faceta na podłodze i krzyknęłam:

– Bierzcie go!

Vance uniósł wysoko brwi.

– Kogo?

– Tego w kurtce!

Vance spojrzał na niego, ja również – Luke właśnie podawał gościowi rękę, podnosił go z podłogi.

– W porządku, Ray? – spytał, a ja zastygłam.

– To wariatka! – warknął Ray, otrzepując džinsy i poprawiając kurtkę.

Gapiałam się na niego, rejestrując pobieżnie, że teraz przysunęły się do nas rockowe laski i coraz więcej ludzi. Wszyscy przepychali się i gapili.

– Znasz go? – spytałam Luke’a.

– To mój tata – odparła Jet.

O Boże.

– Och – wymruczałam, czując się jak idiotka.

– Wszystko dobrze, tato? – Jet podeszła do niego.

– Tak, chyba tylko cudem – odparł i spiorunował mnie wzrokiem. – Co z tobą? Skoczyłaś na mnie ze sceny!

Musiałam się jakoś bronić.

– Miał pan na sobie kurtkę!

– O co, kurwa, chodzi z tymi kurtkami? – warknął do Luke’a.

Luke właśnie patrzył na Vance’a i wykrzywił usta w seksownym półuśmiechu.

W końcu spojrzał na mnie.

– Ponieważ Ray raczej nie mordowałby swojej córki ani jej przyjaciół, uznaliśmy, że może wejść w kurtce.

– Och – powtórzyłam i spojrzałam na Raya. – Przepraszam – wymruczałam.

– Jesteś walnięta – poinformował mnie.

Przygryzłam wargę i zerknęłam przepraszająco na Jet, która chyba walczyła ze śmiechem.

– Ostrożności nigdy nie za wiele – odezwał się z tyłu Vance, ale przysięgłabym, że też tłumiał śmiech.

Wykręciłam się i spostrzegłam, jak drżą mu usta.

Kurna jego mać.

Dostrzegłam Shirleen i Daisy po obu stronach Dixona Jonesa, stali na obrzeżach tłumu i gapili się na mnie. Shirleen i Daisy z uśmiechem, Dixon Jones zaskoczony.

Moje przepitolone parszywe szczęście!

– Zwykle tak nie robię – poinformowałam Dixona.

Ten wzdrygnął się, jakby moje słowa wyrwały go właśnie z transu.

Przepchały się do mnie chłopaki z kapeli, Vance puścił mnie, mogłam się odsunąć.

– Ja cię sunę, Stella Bella! Od dziś mówimy na ciebie Ramba[2]! Ale jazda! – zawołał Pong.

– Nie potrzebujemy już mięśni Mace’a – zauważył Leo. – Mamy Stellę!

– Następnym razem skocz na jakąś dziewczynę – poradził Hugo.

Wzniosłam oczy do góry.

– Jedno trzeba ci przyznać, Stello Gunn – odezwał się Dixon, również wstrzymując uśmiech.

– To zajebisty rock’n’roll w czystej postaci.

Nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle.

Ale skoro dla mnie czysty rock był rzeczą pozytywną, to uznałam, że tak.

Odrzuciłam włosy do tyłu i uśmiechnęłam się do niego.

Patrzył na moje włosy, potem spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się do mnie.

– Koniec show – oznajmił Mace, który wyrósł jak spod ziemi.

– Ja pierdzielę, ale jakiego show! – zahuczał Tex, który też wziął się nie wiedzieć skąd. Podeszedł do mnie i położył swoją wielką łapę na mojej głowie. – Dziewczyno, dałaś czadu! Mogłabyś przebić Molly Hatchett i przejąć biznes! Ja pierdzielę! – powtórzył, zabrał rękę i zawołał „Niech mnie diabli!”. A potem, wyraźnie nakręcony muzyką, odwrócił się do tłumu i huknął: – Kochamy Gypsies?

Ludzie, trochę w szoku (jeszcze nigdy nie skakałam ze sceny na zakończenie koncertu, więc nie byli pewni, co się dzieje), przytaknęli słabo.

– Co z wami! – ryknął Tex, podnosząc wysoko rękę. – Kochamy Gypsies?!

Tłum odpowiedział znowu, tym razem mocniej. Oklaski przybierały na sile, kilka osób krzyknęło „Yippee kay yay”, a potem wszyscy zaczęli skandować „Gypsies, Gypsies”.

Boże.

– Zawodowstwo – odezwał się za mną Pong, przesuając wzrokiem po tłumie.

Mace wziął mnie za rękę. Spojrzałam na niego i wiedziałam od razu, że ma dość.

– Wychodzimy – oznajmił, potwierdzając moje przypuszczenia i zaczął się przepychać przez

tłum, ciągnąc mnie za sobą.

Szliśmy, a ludzie napierali na nas. Nakręcenii koncertem, nietypowym zakończeniem i krzykami Texa byli jak w gorączce. Wyciągali do mnie ręce. Łapali za podkoszulek, za szlufki paska, czułam czyjeś dłonie na włosach. To samo działo się z Mace'em.

Tłum zwierzał się coraz szczelniej, nawet Mace miał trudności, żeby się przepchnąć.

Obudził się we mnie strach, pojawiło się nowe zagrożenie. Moi fani, rozpaleni muzyką, świadomością niebezpieczeństwa, zdjęciami w gazetach i smagnięci przez Texa, powariowali. Bałam się, że rozerwą nas na kawałki.

W końcu Mace stanął, odwrócił się, pochylił i podniósł mnie do góry – znalazłam się na jego ramieniu. Jedną rękę trzymał na moich udach, drugą rozpychał tłum. Ludzie odlatywali do tyłu, błyskały flesze.

Doskonale.

Ciekawe, czy te zdjęcia też wylądują na pierwszej stronie.

Luke, Lee, Vance, Hector, Eddie i Duke zaczęli chronić nas z boku, Mace nie zatrzymywał się, póki nie dotarliśmy do drzwi za kulisy. Podniosłam głowę: faceci zwarli szyki za nami, powstrzymując tłum, drzwi zamknęły się za mną i za Mace'em.

Pełen dramatyzm.

Mace postawił mnie przed tylnym wyjściem z klubu, otworzył drzwi. Darius wyłonił się z mroku, skinął głową i zniknął.

Mace posadził mnie na miejscu pasażera w czarnym explorerze, sam siadł za kierownicą i ruszyliśmy.

Trzymałam się sztywno, nie wiedziałam, w jakim jest nastroju. Pewnie nie za szczęśliwy.

Zerknęłam na niego i zobaczyłam szeroki uśmiech.

– Z czego się cieszysz? – spytałam zaskoczona.

Spojrzał na mnie i znów na drogę, szczerząc białe zęby.

– Uznałem, że jednak podoba mi się twój wybór piosenek, kocie.

– Jednak?

– Jednak – powtórzył i wyjaśnił: – W żadnym z kawałków, które dzisiaj śpiewałaś, nie było ani słowa o czerni.

Noż kuźwa mać!

Na śmierć zapomniałam!

Rozdział 13

Chcesz znaleźć się tutaj?

Stella

Wróciliśmy do mnie i Mace zabrał Juno na spacer.

A ja wzięłam najszybszy prysznic w historii świata.

Nie chciałam być nago, jak Mace wróci.

Poza tym musieliśmy w końcu porozmawiać.

Dosyć tego dobrego.

Wprowadzie była trzecia rano, a ja jechałam na oparach po koncertowym hajku, nie mówiąc już o tym idiotycznym skoku ze sceny (na samo wspomnienie będę się kulić ze wstydu do końca życia).

Ale Mace i ja musieliśmy w końcu pogadać – i zrobimy to właśnie teraz.

Wyskoczyłam spod prysznica, wytarłam się, zawinęłam ręcznik na włosach, włożyłam szlafrok, wyszłam z łazienki i usłyszałam, że Juno i Mace wrócili.

Mace włączył alarm i ruszył do mnie. Zignorowałam go i podeszłam szybko do komody, musiałam się ubrać. Wyjęłam błękitne koronkowe majteczki i już miałam je włożyć, gdy zobaczyłam przed sobą jego rękę – chwycił majtki i rzucił je na fotel.

– Co ty wyprawiasz?

Nie musiałam pytać. Wiedziałałam.

Uśmiechnął się szeroko i zdjął mi ręcznik z włosów.

Oparłam dłonie na biodrach i potrząsnęłam głową, żeby odrzucić włosy z twarzy, a ręcznik pomknął w ślad za majtkami.

– Mace, do licha, co robisz?

– Będę cię pieprzył, skarbie.

O matko.

Patrzył na mnie w ten swój sposób. Który tak lubiłam. Który tak mnie nakręcał.

Który mówił jasno, że właśnie tak, chce się ze mną pieprzyć.

No nie.

Nie.

Nie ma mowy.

Stanął twardo, nadal z dłońmi na biodrach.

– Nie, nie będziesz. Musimy porozmawiać. Mamy mnóstwo do obgadania i zrobimy to właśnie teraz.

Mace obszedł mnie, musiałam się obrócić, żeby nadal patrzeć mu w twarz.

Wtedy on stanął i zaczął iść na mnie. Stałam twarzą do niego, więc mogłam się tylko cofać.

Położyłam mu rękę na piersi.

– Zatrzymaj się. Posłuchaj.

Nie zatrzymał się i wyraźnie nie słuchał.

Objął mnie w talii, zanim spadłam ze schodków, podniósł i musiałam położyć mu ręce na ramionach.

– Serio, Mace. Nie będziemy się kochać. Jestem zbyt zmęczona i mamy mnóstwo rzeczy do omówienia. Musimy teraz pogadać.

– Serio, kocie. Będziemy się teraz pieprzyć. Pogadać możemy później – odparł i postawił mnie na podłodze przy łóżku.

Znów oparłam ręce na biodrach.

– Zaczynasz mnie wkurzać – powiadomiłam go.

Położył dłoń na moim brzuchu i pchnął mnie, na tyle lekko, żeby nie wypadło to brutalnie, i na tyle mocno, żebym siadła na łóżku.

Próbowałam się wykręcić, ale złapał mnie za kostki nóg i przekręcił z powrotem. A potem rozłożył mi nogi i położył się między nimi, jego dżinsy ocierały się o wnętrze moich ud.

Podobało mi się to.

Bardzo, bardzo.

– Mace! – zawołałam.

Jego usta znalazły się na mojej szyi, dłonie sunęły po ciele. Były ciepłe, mocne i przyjemne w dotyku.

Ja pitole!

– Będziesz krzyczeć przez cały czas? – spytał.

– Tak! – warknęłam.

– To byłoby coś nowego – wymruczał i poczułam język za uchem.

To też było przyjemne.

„Halo! Wewnętrzna dziwko Mace’a? Ogarnij się! Mamy porozmawiać! Mamy się skupić! Mamy odzyskać kontrolę nad naszym życiem!”, przypomniał mózg.

Przekręciłam głowę, odsuwając się od ust Mace’a.

– Naprawdę, Mace... – zaczęłam, a on uniósł głowę, spojrzał mi w oczy, palce wsuwając w moje mokre włosy po obu stronach twarzy.

Znałam ten wzrok: nakręcony, podniecony, gorący.

I już wiedziałam, że faktycznie będziemy się zaraz pieprzyć.

Chciałam tego.

Bardzo.

Och, jebać to wszystko.

Powiem tylko, że gdy podniosłam głowę, żeby go pocałować, wyglądał, jakby chciał się roześmiać.

– Skarbie...

Usłyszałam głos Mace’a, otworzyłam oczy i spojrzałam na ścianę. Na dworze było jasno, musiał być późny ranek.

Czułam się cudownie, rozgrzana, odprężona, wyciłowana. Czułam mocne ciało Mace’a za sobą, jego rękę na mojej talii, twarz w moich włosach.

Uwielbiałam budzić się w łóżku, ciepłym od jego żaru. To była jedna z tych siedmuset dwudziestu pięciu tysięcy rzeczy, których tak bardzo mi brakowało.

Noż kuźwa mać!

Znowu to zrobiłam. Znowu kochałam się z Mace’em. Znowu spędził noc w moim domu, prawie pozwoliłam mu się tutaj wprowadzić!

Co ja robiłam?

Mace przysunął się jeszcze bliżej.

– Stella, obudź się. – Głęboki głos przesunął się po moim karku, wywołując dreszcze na skórze.

– Nie śpię.

Objął mnie mocniej w pasie, pocałował w szyję.

– Już późno. Przepraszam, że cię budzę, ale muszę iść.

To bardzo dobrze. Skoro on miał pracę, ja będę miała czas, żeby pomyśleć, zaplanować i zebrać myśli.

– W porządku – odparłam.

Przejechał nosem po moich włosach, ale nie wstawał.

Gdy wciąż się nie ruszał, zapytałam:

– Mm, Mace?

– Tak?

- Chyba miałaś iść – przypomniałam.
- Zgadza się – odparł, ale wciąż się nie poruszał.
- To co, jednak nie musisz?
- Myślałem, że chcesz pogadać.

Rzeczywiście, tak było.

Faktycznie chciałam pogadać.

Serio.

I zrobiło mi się jeszcze milej i cieplej na myśl, że musiał wyjść, a jednak przypomni mi o rozmowie i dał przestrzeń.

Ale w chłodnym świetle poranka, w łóżku ciepłym od Mace'a kompletnie zapomniałam, o czym chciałam pogadać.

Przetrząsałam zamglony umysł, szukając podpowiedzi, gdy Mace położył mi dłoń na brzuchu, odsunął się i przekręcił mnie na plecy.

Nachylił się, górną częścią torsu przywierając do mojego boku, uniósł się na łokciu i spojrzał na mnie z góry. Jego zielone oczy były ciepłe i czujne, a ja przypominałam sobie, jak bardzo lubiłam patrzeć w nie o poranku.

Patrzyłam na niego przyjemnie zrelaksowana, z watą w mózgu i myślami przy oczach Mace'a (choć myśli wkrótce pomknęły w stronę siedmiuset tysięcy dwudziestu pięciu innych rzeczy, które w nim lubiłam), a on spojrzał mi prosto w oczy. Patrzył tak przez jedną, dwie, trzy sekundy i wyglądał, jakby walczył z uśmiechem.

– Kociątko, nie mam całego dnia – przypomni mi, a ja wzdygnęłam się, wyrwana ze szczęśliwych myśli o Masie.

Jasna cholera.

Dobra.

Skupmy się.

O czym chciałam pogadać z Mace'em...

Wtedy do mnie dotarło.

– Robisz mi wodę z mózgu – poinformowałam go.

Dokładnie tak, ostatnie pięć minut było tego świetnym dowodem. Totalnie robił mi wodę z mózgu.

– Zgadza się. I?

Zamrugłam, zaskoczona szybkością odpowiedzi.

Popatrzyłam na niego.

Nawet nie zaprzeczał!

Mój umysł wyskoczył z mgły, teraz myślałam jasno. Podniosłam się, żeby usiąść, odsuwając się od Mace'a i przekręcając, żeby na niego spojrzeć.

– Przestań to robić.

On też się podniósł – ujął mnie w tali i przeniósł nad swoje ciało. Posadził mnie na kolanach tak, że teraz siedziałam na nim okrakiem, ugiął swoje nogi w kolanach i objął mnie rękami.

Pchnęłam jego nagą pierś i wbiłam kolana w łóżko.

Nie zadziało.

– Mace, puść mnie.

Nie puścił.

– Stella, mam dziesięć minut, a potem muszę się zbierać. Chcesz mi coś powiedzieć?

Przestałam się wyrywać, porażona jego arogancją, wkurzona, że znów zignorował moje żądania, i warknęłam:

– Jak cholera!

– To mów.

– Dobra. Powiem, a właściwie powtórzę. Chcę, żebyś się wyprowadził. Chcę, żeby to, cokolwiek jest, skończyło się, i to już. Chcę, żebyś przestał mącić mi w głowie. I chcę, żebyś przestał mieszać się do mojej kapeli.

– Nie.

Czekałam, aż powie coś jeszcze, ale on chyba skończył.

– Nie?

– Nie – powtórzył, tak po prostu, a potem spytał: – To wszystko?

Zagapiłam się na niego, zła i oszołomiona.

To się nie działo.

Zaczekał jeszcze chwilę, a potem podniósł się, żeby dotknąć moich ust swoimi i zdjąć z siebie.

Jakby nasza rozmowa była skończona i wszystko było tip-top. Jakby chciał wstać i pójść załatwić te swoje sprawy.

No nie.

Jeszcze nie skończyliśmy.

Położyłam mu ręce na ramionach i przycisnęłam go do łóżka, przytrzymując udami jego biodra.

– Czekał – powiedziałam.

Zastygł. Teraz wyglądał na zniecierpliwionego.

I rozbawionego.

– Stella, może nie pamiętasz, ale muszę złapać jednego drania.

– Pamiętam, ale nie skończyliśmy jeszcze rozmawiać.

– Jeśli to wszystko, o czym chcesz rozmawiać, to skończyliśmy.

– Nie!

– Tak.

– Do diabła, Mace!

Zacisnął ręce na mojej talii, przysunął do mnie twarz. Rozbawienie zniknęło, patrzył bardzo poważnie.

– Tak właśnie będzie to przebiegało – rzekł stanowczo.

Ja pitole.

„Ja chyba nie chciałem tego wiedzieć”, szepnął mózg wystraszony.

„Ja również nie”, pocieszyłam go.

– Wiedziałem, że będziesz z tym walczyła, i w porządku, powiedziałem ci już, że nie mam z tym problemu. Oboje wiemy, jak było. Znów jesteśmy na starym szlaku. Ale musisz wiedzieć, że w takiej walce nie ma żadnych reguł. Jeśli będę musiał robić ci wodę z mózgu, zrobię to, nawet jeśli mi się to nie podoba.

Czy mówiłam już, że on był niewiarygodny?

Tak na wszelki wypadek: był niewiarygodny.

– Nie podoba mi się to – warknęłam. – I już ci powiedziałam, że nie pójde znowu tym szlakiem.

Nie z tobą.

– Już tam jesteś – poinformował mnie.

– Nieprawda! – warknęłam.

Rozbawienie wróciło.

– Skarbie, jest rano, ty siedzisz mi nago na kolanach, po tym jak kochaliśmy się w nocy i prosiłaś, żebym pozwolił ci ssać...

Przycisnęłam mu dłoń do ust i zagłuszyłam stłumiony dźwięk ostrym krzykiem złości z głębi krtani.

Tak, do diabła, prosiłam, pozwolił mi i to było super dla nas obojga.

Cholera, jaka ja byłam słaba!

Zabrałam rękę, zacisnęłam oczy i chwyciłam się rękami za włosy.

To, co robiłam, nie pomagało.

W żaden sposób.

I sama byłam sobie winna.

A potem dotarło do mnie, że chciałam pogadać o czymś jeszcze.

Opuściłam ręce, otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

Znowu był rozbawiony.

Zignorowałam to.

– Powiedz mi o tym, co się stało wczoraj w kuchni – odezwałam się cicho.

Rozbawienie znikło od razu.

O rany.

– O czym? – spytał spiętym głosem.

– Przecież wiesz – odparłam, nadal łagodnie.

Podniósł rękę do mojej talii, jakby chciał mnie zdjąć, ale ja znów przycisnęłam go rękami i udami do materaca. Zastygł.

Spojrzał na mnie, lecz teraz jego oczy nie zdradzały niczego. Nie było w nich tego ciepłego rozbawienia, nie było determinacji, niecierpliwości, niczego.

Puste.

Ukryte.

Mace nie odezwał się ani słowem.

Wtedy zrozumiałam.

Zrobi wszystko, co będzie musiał, żeby ze mną wygrać.

Poza tym, co mogłoby zadziałać.

– Rozumiem – wyszeptalam.

W jego oczach zapłonął gniew.

– Nie przypuszczam.

– Tak, masz rację. Nie rozumiem. A ty mi nie wyjaśnisz – odparłam. Wiedziałam, że się nie zwierzy. Chciał brać, lecz nie zamierzał dawać. To zabolalo. Nie powinno zboleć i nie chciałam, żeby bolało. Ale i tak było jak kopniak w brzuch.

– Ta sama jebanka, Mace – dodałam cicho. – Tylko rok później.

Teraz ja chciałam z niego zejść, ale on mnie przekręcił, wylądowałam na plecach. On siedział na mnie, znaleźliśmy się twarzą w twarz.

– Myślisz, że zrozumiałaś, kociątko, ale tak nie jest. Czyli nie jesteś gotowa.

Może rzeczywiście nie byłam gotowa na to, co kryło się w jego oczach.

Ale musiałam wiedzieć. Wiedziałam, że nie powinnam tego chcieć ani potrzebować – a jednak.

– I ty zdecydujesz, kiedy będę gotowa?

– Tak.

– I kiedy to nastąpi?

– Mogę ci powiedzieć, kiedy to nie nastąpi. Nie wtedy, gdy próbujesz mnie odepchnąć, bo wciąż mi nie ufasz – odparł.

– Czyli dalej będziesz robił mi gówno z mózgu, wpięprzał się w moje życie, brał, co ci się podoba, i nie dawał nic w zamian?

– Dokładnie tak – odparł całkowicie spokojny.

Nie mówił tego poważnie.

– Nie wierzę. Jesteś niewiarygodny – wygłosiłam wcześniejsze myśli.

Przesunął dłonią po mojej ręce, wziął mnie za nadgarstek i pociągnął. Gdy moja dłoń znalazła się między nami, położył ją sobie na sercu.

– Chcesz być tutaj? – wymruczał, patrząc z taką intensywnością, że żołądek ścisnął mi się ze strachu.

Nie rozumiałam tego, to było nielogiczne, i wciąż się bałam. To był ten sam strach co wczoraj rano, przemożny i nieopanowany.

– Nie – skłamałam, bo poza możliwością grania muzyki znalezienie się w jego sercu było jedyną rzeczą, której pragnęłam w moim popitolonym życiu.

Pokręcił głową.

– Dopóki odpowiedź się nie zmieni, skarbie, dostaniesz to, co ci dam. Moją ochronę, moją uwagę i mojego fiuta.

Zatkało mnie od tej szczerości, stężałam.

– Niewiarygodne – wysyczałam wściekła.

– Gdy nadejdzie czas, że dasz mi coś, czego nie będę musiał wydzierać z ciebie siłą, gdy z własnej woli dasz mi kawałek siebie, ja dam ci również.

– To się nigdy nie stanie – warknęłam, choć właśnie tego chciałam. Pragnęłam kawałka jego. A nawet więcej. Chciałam go całego. Żeby pozwolił mi walczyć z jego demonami. Żeby mogła wziąć je na siebie – jeśli dzięki temu on będzie wolny.

Nienawidziłam się za tę słabość, ale taka była prawda.

Może nie potrafiłam być szczerą wobec niego, ale musiałam być szczerą względem siebie, przynajmniej teraz.

– To przyjdzie z czasem – obiecał, wrywając mnie z moich myśli.

Rzuciłam mu ostre spojrzenie, które miało ukryć zgiełk w mojej głowie.

Przyjął je spokojnie.

– Nie miałeś czasem czegoś do załatwienia? – przypomniałam mu.

Bo ja miałam już dosyć.

Dosyć, dosyć, dosyć!

Przyglądał mi się przez kilka chwil, złagodniał. I zamiast się ode mnie odsunąć, pochylił się i ukrył twarz w mojej szyi.

Pchnęłam jego ramiona.

– Co ty robisz?

– Nie chcę tego tak zostawiać.

– Ale nie będzie inaczej – powiedziałam.

Odsunął się i przekręcił na bok razem ze mną. Jego dłonie zsunęły się na moje plecy, przycisnął mnie tak, że teraz przywierałam torsem do niego, położył udo na moim.

Nie walczyłam z nim. Zaczynałam rozumieć (może trochę późno), że im mocniej odpierałam go fizycznie, tym trudniej mi było walczyć z nim emocjonalnie.

Wsunął dłoń w moje włosy i pociągnął lekko, żeby odchylić mi głowę. Pochylił się i spojrzał na mnie.

– Dobrze, Stella. Dam ci kawałek.

Oho!

„Kawałek? Kawałek czego?“, chciał wiedzieć mózg.

– Kawałek czego? – spytałam głośno.

– Kawałek siebie.

O rany.

– Najgorszą częścią naszego rozstania było to, że pozwoliłaś mi odejść.

Mój oddech spakował się w jednej chwili i pomknął wahadłowcem na Księżyc.

– Co takiego? – wyszeptałam.

– Między nami było tak zajebiście, że w życiu bym nie pomyślał, że mi na to pozwolisz – mówił dalej.

– Co takiego? – powtórzyłam tępo.

Objął mnie mocniej, zacisnął dłoń we włosach.

– To był test.

Jego słowa walnęły mnie jak obuchem.

Zesztywniałam i wrzasnęłam raz jeszcze:

– Co takiego?!

– Oblałaś.

Ja pitole. Ja pitole, kurwa. Kurwa, ja pitole.

– Chyba... sobie... żartujesz – powiedziałam bez tchu, akcentując każde słowo.

– Skarbie, mam nadzieję, że wiesz już, że jestem gotów walczyć o ciebie, ale muszę wiedzieć, że ty też jesteś gotowa zawalczyć o mnie. To działa w obie strony. To się nie uda, dopóki nie będę wiedział, że ty też nie odejdziesz i nie pozwolisz mi odejść. Nigdy więcej.

Jego słowa nadal nie docierały do mózgu.

– Chcesz mi właśnie powiedzieć – mówiłam cichym, dziwnie chropawym głosem – że gdybym

wtedy poprosiła cię, żebyś wrócił, zrobiłbyś to?

Palce wolnej ręki gładziły moje plecy.

– Potrzebowałem deklaracji, kociątko – odezwał się delikatnie. – I jej nie dostałem.

Poczułam, że jeszcze chwila i się rozplączę.

Zwalczyłam łzy i skupiłam się na tym, co do mnie mówił.

– Mówisz mi, że nie zerwałeś ze mną dlatego, bo chciałeś zerwać, tylko w ramach testu?

– Tak.

Tylko tyle.

„Tak”.

Cały rok złamanego serca – i „tak”.

Wszystko sprowadzało się wyłącznie do tego.

Łzy wypełniły mi oczy, nie chciałam ich tam, ale nie mogłam już z nimi walczyć. Nie byłam pewna, co właśnie czuję, ale nie było to nic dobrego.

– Dobra – powiedziałam łamiącym się głosem. Mace wysunął dłoń z moich włosów, przestał gładzić plecy, spiął się. – Chcę mieć pewność, że dobrze cię zrozumiałam. Wszedłeś w moje życie, stałeś się jedyną dobrą rzeczą, jaką miałam poza muzyką, i zabrałeś mi to w ramach testu?

– Kociątko...

Jego słowa w końcu do mnie dotarły.

– Jesteś chujem – wyszeptalam.

Spiął się jeszcze bardziej.

– Stella, posłuchaj mnie...

– Jesteś chujem – powtórzyłam piskliwie, a łzy spływały mi z oczu. Nie panowałam nad nimi, nie mogłam.

– Nie wiedziałem przecież, co czujesz. Nie powiedziałas mi...

– Nie pytałeś.

– Skarbie, gdybym wtedy zapytał, powiedziałabyś?

– Tak – rzuciłam od razu, a on cofnął się zaskoczony. Zignorowałam to i mówiłam dalej.

– Powiedziałabym ci. Wtedy dałabym ci wszystko.

Przyglądał mi się, jakby oceniał szczerłość tego wyznania, w końcu podniósł rękę, wsunął ją w moje włosy, odchylił się i przytulił mi twarz do swojej szyi.

– Chryste, Stella... – Zabrzmiało to jak jęk.

– Mace, zanim znów będziesz chciał „dać mi kawałek siebie”, przemyśl to jeszcze – poradziłam.

Mówiłam w tej chwili zimnym głosem, miałam suche oczy i wrażenie, że moje serce stwardniało.

– Teraz mnie zostaw.

Na zawsze.

Oczywiście nie zrobił tego.

– Zjebałem to – wymruczał.

Tu miał rację.

– Tak, zjebałeś. Teraz mnie zostaw.

– Zjebałem to – powtórzył i pociągnął mi włosy, odsuwając od siebie moją twarz. Nachylił się i spojrzał na mnie. – Kociątko, przepraszam – wyszeptał.

Wiedziłam, ile musiało go to kosztować.

Wiedziłam.

Ale przeszywał mnie taki ból, że w tej chwili miałam to gdzieś.

– O, jestem pewna. Tak samo jak tego, jak bardzo mam w to wyjebane.

To było kłamstwo.

Ale zabrzmiało dobrze, prawdziwie, Mace zacisnął powieki. Punkt dla mnie. Czułam, że jego reakcja powinna mi dać do myślenia, ale nie dała.

Wciąż mnie nie puszczał.

– Musisz zrozumieć – powiedział.

– O, świetnie rozumiem – odpaliłam, chociaż wcale nie rozumiałam i nie miałam zrozumieć.

– Nie, skarbie, nie rozumiesz. Wczoraj rano...

Pokręciłam głową.

– O nie, tylko nie to – warknęłam.

Nie, nie chcę, żeby znów robił mi wodę z mózgu. Skoro nie chciał nic mówić, póki ja nic nie powiem, to proszę bardzo. Będę trzymać wszystko przy sobie.

Jebać to wszystko!

Objął mnie tak mocno, że miałam problem z oddechem, jego twarz przechodziła teraz z łagodności i żalu w gniew.

– Posłuchaj mnie – zażądał.

– Już skończyliśmy – przerwałam mu. – Nie chcę więcej rozmawiać. Idź szukać tego drania, Mace, żeby to wszystko mogło się wreszcie skończyć.

– Musisz zrozumieć, przez co przeszedłem.

– Mam to gdzieś – odpaliłam od razu.

Przemiana zakończona, teraz Mace był już naprawdę zły.

– Stella, ostrzegam cię – masz jedną szansę. Jeśli ciśniesz mi nią w twarz, drugiej nie będzie.

Mimo wszystko jego słowa mnie wystraszyły.

Ale instynkt przetrwania przejął stery i nie bacząc na strach, odpalił za mnie:

– Zaryzykuję.

Na jego twarzy malowała się złość, ale przysięgam, że w oczach rozblęsnął ból, ostry i mocny. Miałam gulę w gardle, ale nie mogłam już cofnąć słów.

Puścił mnie.

A potem wstał z łóżka.

To było jak policzek.

Usiadłam, naciągnęłam na siebie kołdrę. Mace wkładał dzinsy; miał spięte, gwałtowne ruchy. Był wściekły.

Co gorsza, chyba również zraniony.

Kurwa mać!

Co ja zrobiłam?

Serce waliło mocniej, przełknęłam gulę w gardle.

Otworzyłam usta, żeby go zawołać, gdy odezwał się brzęczyk.

– Jezu – wymruczał Mace.

Zapiął dzinsy i poszedł do panelu alarmu.

– Mace... – Zabrzmiało to ciszej niż szept i nie usłyszał.

Nacisnął guzik na panelu.

Na ekranie pojawiła się twarz Ally, Mace spytał:

– Tak?

– Otwierać! – zażądała Ally. – Rockowe laski!

Mace zabrał palec z przycisku, znów mruknął „Jezu” i wcisnął inny guzik.

Potem otworzył dziewczynom drzwi i odwrócił się do mnie.

– Wezmę psa na dwór.

A potem poszedł do torby, wyjął granatową podkoszulkę, wciągnął na siebie. Usiadł na platformie, żeby założyć buty, gdy wpadły dziewczyny: Ally, Indy, Jet, Roxie, Ava, Daisy, Shirleen, Annette, nawet Jules.

– Jesteśmy w prasie! – zawołała Ally, pokazując gazetę. – Tym razem wszystkie! – I zamilkła. Popatrzyła na mnie, na Mace’a i znowu na mnie.

Siedziałam, wciąż nieruchoma, ciągle nago i nadal w łóżku, i patrzyłam, jak moje przyjaciółki stoją milczeniu, bo wiedzą, że wcięły się w coś poważnego.

– Zły moment? – spytała w końcu Jules.

Mace wstał, wziął smycz z wieszaka przy drzwiach i gwizdnął na Juno, która, dostrojona do ludzkich emocji, była dziwnie cicha.

Ja i rockowe laski patrzyłyśmy na Mace’a.

A on wyrwał gazetę z rąk Ally, zignorował jej zaskoczone „Hej!” i włożył sobie pod pachę.

I wyszedł.

Wszystkie patrzyłyśmy na drzwi.

Shirleen odwróciła się do mnie powoli.

– Shirleen ma złe przeczucia – oznajmiła.

– Nie inaczej, siostró – wymruczała Jet.

Ja pitolę.

Rozdział 14

Może w ręczniku

Stella

Owinęłam się prześcieradłem i przejechałam na tyłku na brzeg łóżka.

– Żyjesz? – zapytała mnie Ally.

– Zaparzę kawę – wymruczała Ava i poszła do kuchni.

Postawiłam stopy na podłodze.

– Chyba właśnie stało się coś złego – wyznałam cicho. Nie wiedziałam jeszcze, czy chcę o tym mówić, ale zbyt się bałam, żeby trzymać to w środku.

– Chyba? – zareagowała Shirleen. – Powietrze jest tak ciężkie, że można je kroić nożem!

Spojrzałam na nią, zakładając szlafrok na prześcieradło. Shirleen patrzyła ostro, ale na twarzy miała łagodność, co wyraźnie świadczyło o jej stropieniu.

Znowu miałam łzy w oczach. Wciągnęłam powietrze przez nos i uznałam, że nie będę jednak nic mówić.

– Co było w tej gazecie? – zapytałam, zmieniając temat i zrzucając prześcieradło.

– O nie, nie, dziewczyno, nic z tego. Co tu się właśnie stało? – Daisy wsparła szczupłe dłonie na biodrach opiętych džinsami.

Przyjrzałam się jej – opakowanej w džins dosłownie od stóp do głów. Miała na sobie džinsową czapkę z daszkiem, pod nią grzywkę i kucyki. Obcisła džinsowa kamizelka nie dała rady pomieścić potężnego biustu i Daisy musiała rozpiąć górny guzik, przechodząc od wersji poważnie nieprzyzwoitej do z lekka pornograficznej. Całość uzupełniały przylegające džinsy, sięgające do kostek i spiczaste szpilki pokryte, a jakże, dżinsem.

I nawet w tym niedorzecznym stroju zdołała wyglądać jak w kreacji *haute couture*. Niesamowite.

– No? – zniecierpliwiła się.

Zakładając majtki, oznajmiłam:

– Chyba właśnie zrobiłam coś głupiego.

– Jeszcze głupszego niż niewpuszczenie Mace’a do swojego życia bez całej tej szarpaniny? – prychnęła Shirleen. – Kule gwizdzą w powietrzu. Chłopaki nadstawiają karku. Wszystkie jesteście zagrożone. A wy się zachowujecie, jakby zaproszenie was do seksu przez jednego z tych przystojniaków było męczarnią. Nie kumam tego!

– To nie jest zaproszenie na seks, Shirleen. Pakują ci się do głowy, wprowadzają do domu, rozstawiają cię po kątach, rządzą się i mówią ci, co masz robić, niech ich szlag – wygłosiła płomiennie Indy, biorąc mnie w obronę. Mówiła z taką złością, jakby właśnie przypomniała sobie własne doświadczenia.

Shirleen podniosła rękę do piersi, cofnęła się.

– Och, naprawdę? To ja przepraszam! Moje biedactwa! – wygłosiła i zachnęła się. – Niech to szlag! Gdyby któryś z tych chłopaków chciał mnie rozstawiać po kątach, weszłabym w to od razu. Do diabła, zapłaciłabym, żeby się do mnie wprowadził. Nie musiałyby mnie nawet posuwać, niechby tylko chodził po domu. No, może w ręczniku.

Jules spojrzała na mnie i przewróciła oczami.

– Nie rozumiesz – odezwała się Roxie.

– No właśnie tak, dziecko, zgadza się. Shirleen nie rozumie. To z jaką traumą mierzymy się tym razem? – Spojrzała na mnie, gdy szłam do kuchni. – Za dużo orgazmów? Czy o co chodzi?

– A czy może być coś takiego jak za dużo orgazmów? – spytała Annette, nim zdążyłam odpowiedzieć. Ledwie ją znałam i była pierwszy raz w moim domu, a właśnie otwierała w kuchni kolejne szafki, szukając Bóg wie czego.

– Nie ma, właśnie w tym rzecz – odparła Shirleen, tracąc cierpliwość.

– Tak na marginesie – mówiła dalej Annette, zarzucając poszukiwania i odwracając się do nas.
– Trzymam stronę Shirleen. W kwestii orgazmów Jason nie ma problemów, ale zawarliśmy układ. Mamy swoją listę, tak jak się robi listę aktorów. No wiecie, jeśli masz szansę przespać się z Dwayne’em Johnsonem, wchodzisz w to i twój partner nie ma pretensji. Ja mam na swojej liście przystojniaków, Jason – rockowe laski.

Zapadła cisza, patrzyłyśmy na Annette bez słowa.

Wszystkie, z wyjątkiem Shirleen.

– Dziewczyno, gustu ci nie brakuje! Dwayne Johnson to zajebiście seksowny czarny facet!

– Samończyk – poprawiła ją Annette.

– Chłopak jest czarny! – odpaliła Shirleen.

– Pół na pół – odparła Annette, niewyczerpane źródło informacji o słynnym The Rock.

– Biorę tę czarną część – odparła niezrażona Shirleen.

– Rany boskie, możemy przestać gadać o Johnsonie? – krzyknęła Jet.

– Ja nie mam nic przeciwko krótkiemu przerywnikowi. – Daisy wzruszyła ramionami.

– Widziałyście „Z podniesionym czołem”?

– Tak, jakieś siedemset razy – odparła Annette.

– Ja wolę „W pogoni za zemstą” – dorzuciła Shirleen swoją opinię. – Na minus był brak scen seksu, ale za to całe dwie godziny filmu chodził posępny, a posępny The Rock to duży plus.

– Mam półgodzinną wersję zapętlonej sceny z „Szybkich i wściekłych 5”, kiedy walczy z Vinem Dieselem – zwierzyła się Annette. – Chcecie przyjść i obejrzeć? Zrobię popcorn.

– Oo, Vin Diesel – westchnęła Shirleen.

– Wchodzę w to – przyłączyła się Daisy.

– Ja też się piszę – dodała Shirleen, dochodząc do siebie po wizji półgodzinnej walki Johnsona i Diesela.

Usiadłam na brzegu platformy, padłam na plecy i zagapiłam się w sufit.

Naprawdę rozmawiałyśmy o Dwayne Johnsonie?

Jasne, że był seksowny, ale miałam teraz na głowie inne, odrobinę ważniejsze sprawy.

Zobaczyłam nad sobą twarz Ally.

– Też przyjdiesz, Stella?

– Nie.

– Dobra, może jednak przestańmy gadać o The Rock – ustąpiła Shirleen.

Spojrzałam na Ally. Oparta na rękach, pochylała się nade mną.

– Co było w tej gazecie? – spytałam.

Podniosła głowę i spojrzała przez ramię. Jedna z dziewczyn wydała dziwny dźwięk, nie wiem która.

Ally usiadła obok, a ja podniosłam się do pozycji siedzącej.

Panowała kompletna cisza.

O rany.

W końcu przerwała ją Daisy.

– No cóż, wszystko wyszło na jaw. Indy i Lee, Jet i Eddie, Roxie i Hank, Jules i Vance, Luke i Ava – wszystkie wasze historie. Ktoś puścił farbę, wszystko wypaplał. Zapowiadają trzyczęściowe exposé o rockowych dziewczynach i ich przystojniakach; dzisiaj była część pierwsza – Indy i Lee, Jet i Eddie. Obiecali też obserwować ciebie i Mace’a.

Patrzyłam na nią bez słowa.

Mówiła dalej, chyba chcąc mnie pocieszyć (nie wyszło).

– Może poprawi ci humor, złotko, że zamieścili wielkie zdjęcie, na którym Mace wynosi cię z klubu. Co prawda widać tylko twój tyłek, za to Mace świetnie się prezentuje.

– Chyba, kurwa, żartujesz – wykrztusiłam w końcu.

– A ja chcę wiedzieć, kto się wygadał – zauważyła Ava, wyraźnie nie rozumiejąc mojego napadu szału.

– Podejrzewam, że Tex – odezwała się Ally.

– Wujek Tex by tego nie zrobił. Ja myślę, że Duke. Duke ma długi język – odparła Roxie.

– Nie ma opcji, żeby to był Duke – zaprotestowała Indy.

– Tod? – spytała z wahaniem Jet.

– To możliwe. – Indy skrzyżowała ręce na piersi.

Popatrzyłam na nie – skupiały się nie na tym, co trzeba!

– Może to May? Myślisz, że mogłaby coś powiedzieć? – zwróciła się Ally do Jules.

Jules z westchnieniem skinęła głową.

Miałam dość.

– Co za różnica, kto wygadał?! Nie macie innych zmartwień? Ktoś chce nas wszystkie zabić! A Mace i ja mieliśmy właśnie przykrą rozmowę, cholernie przykrą rozmowę, w której on chciał mi coś powiedzieć, a ja zamiast go słuchać, cisnęłam mu tą propozycją w twarz! Powiedział, że to moja jedyna szansa, a ja, powtarzam, cisnęłam mu nią w twarz! Nie chcę tej szansy, ale cholera! Nie chcę, żeby było mi przykro, że zraniłam go, bo nie słuchałam, co chciał mi powiedzieć, ale zraniłam go i teraz mnie to boli. Ja pitole, kurwa! Moje życie jest w strzępach i już nic nie rozumiem! Co, do jasnej cholery, mam teraz zrobić!

– Chciał ci coś powiedzieć? – spytała cicho Jet, patrząc na mnie tak intensywnie, że aż mnie to wystraszyło.

Skinęłam głową.

– A ty mu nie pozwoliłaś? – odezwała się Roxie.

Oderwałam wzrok od Jet i z kolei skinęłam głową Roxie.

– Złotko, dlaczego zrobiłaś taką głupotę? – chciała wiedzieć Daisy, znów kładąc ręce na biodrach.

– Nie wiem! Ludzie do mnie strzelają, Mace robi mi wodę z mózgu, Linnie nie żyje, a ja jestem na pierwszej stronie gazety! Dziennikarz, którego nawet nie znam, bo nie zajrzałam do tej gazety, chce obserwować moją pojebaną relację z Mace'em! Łowca talentów z bardzo dobrej wytwórni przychodził na moje koncerty! Nie myślałam jasno!

– À propos, Dixon Jones przyjdzie dzisiaj na koncert – wtrąciła się Shirleen.

Serce mi się ścisnęło, spojrzałam na nią.

– Co takiego?

– To, co słyszysz. Podobasz mu się, i to bardzo. Zawarliśmy umowę – poinformowała mnie Daisy.

– Umowę?

Daisy i Shirleen zawarły umowę?

W imieniu mojej kapeli?

Nie mogły tego zrobić.

Tylko ja miałam prawo.

Ja pitole!

Przeniosłam wzrok na Daisy, a mój oddech przeniósł się do Idaho.

– Co takiego? – powtórzyłam. Zaczynałam nienawidzić tych słów.

– Umowę – włączyła się Shirleen. – Hector zna człowieka, który zna człowieka, który zna człowieka, który działa w świecie muzycznym. Hector z nim pogadał i złapał slang. Teraz Dixon Jones myśli, że Hector jest zajebisty, no bo tak właśnie jest. Szkoda, że nie widziałas, wyglądał, jakby robił w tym biznesie od lat.

Otworzyłam usta, zamknęłam je, otworzyłam znowu i powiedziałam:

– Poznałam Hectora kilka dni temu.

– A Dixon Jones myśli, że jesteśmy twoimi managerkami, a Hector jest naszym szefem – wyjaśniła Daisy.

Mój mózg wziął pod rozwagę pomysł, że gość z działu artystycznego Black Fat Records mógłby uznać, że The Blue Moon Gypsies potrzebuje aż trzech managerów (w tym Shirleen i Daisy), i od razu odrzucił go jako niemożliwy.

– Hector to prywatny detektyw – powiedziałam głupio.

– Ty to wiesz, my to wiemy, ale Dixon Jones uważa go za szychę show-bizu. Szukamy teraz

terminów sesji nagraniowej w studio – wyjaśniła Shirleen.

Rany

Boskie.

– W studio? – wyszeptałam.

– Nagraniowym – wyjaśniła Shirleen, jakbym nie wiedziała.

– Ale sztos! – zawołała Annette.

Odwrociłam się do Ally.

– Myślisz, że jak wyjdę teraz na dwór, to ktoś mnie zastrzeli?

– Istnieje taka możliwość.

– No to idę – wstałam.

– Nie możesz dać się zastrzelić! Macie spotkanie z Dixonem zaraz po koncercie w The Little Bear! – zawołała Daisy.

Mój mózg pochylił się nad możliwością, że jakiś łowca talentów mógłby chcieć się spotkać z moimi chłopakami (którzy na pewno odjebaliby coś głupiego), i też ją odrzucił. Błyskawicznie.

– Nie mamy – zaprotestowałam.

– Macie, razem z kapelą – odparła Shirleen.

– Tak? I myślisz, że będę miała chwilę, żeby przetrwać to wszystko, co zjebało się w moim życiu, zanim zjebie się jeszcze bardziej? – zaatakowała ją.

– Nie ma czasu. To jest życie. Dostosuj się do zmian[3] – odpaliła Shirleen.

– Nie cytuj mi tu REO Speedwagon! – zawołałam.

– Ta strona jest już skończona, złotko, przewróć kartkę. – Daisy się do mnie zbliżyła.

– Jasne, a teraz jeszcze cytujesz Boba Segera – warknęłam. – I też tego nie rób!

Daisy spojrzała zakłopotana na Indy.

– Myślałam, że ja też cytuję Speedwagon...

– Może jednak przestańmy przerzucać się tekstami piosenek i pomóżmy Stelli z Mace'em – wciąła się Jet.

– Nie ma czasu, trzeba iść na koncert – odezwała się Shirleen, jakby chodziła na moje koncerty od kilku lat, a nie od kilku dni. – Poza tym Vance i Matt czekają na zewnątrz i Vance nie będzie zadowolony, że tu tyle siedzimy. I tak wyświadczył Jules przysługę, że nas przywiózł, mówił, że ma sprawy do załatwienia.

– Nie, Shirleen, serio, musimy... – upierała się Jet, ale teraz z kolei ja jej przerwałam. Krzykiem. Tak głośnym, że nie słyszałam wracającego Mace'a.

– Jasna cholera, koncert! A nasze graty ciągle w Palladium! Mace musi ogarnąć ochronę! Ja pitole!

– Wszystko już załatwione – oznajmił Mace swoim głębokim głosem.

Wzdrygnęłam się zaskoczona i wszystkie spojrzałyśmy na niego.

Odpiął smycz od obroży i Juno ruszyła do mnie, po drodze trącając łbem i obwąchując wszystkie rockowe dziewczyny po kolei.

Wystarczył jeden rzut oka, żeby wiedzieć, że Mace nadal jest wściekły.

– Co jest załatwione? – zapytałam ostrożnie.

Spojrzał na mnie.

– Wszystko. Shirleen wysłała Roama i Sniffa, żeby pomogli kapeli ze sprzętem. Luke załatwia ochronę, właśnie ogarnia to w The Little Bear. Wszystko w porządku – powiedział mi. Zastanawiałam się właśnie, kim, do licha, są Roam i Sniff, gdy Mace dokończył: – Teraz idę pod prysznic.

Shirleen uśmiechnęła się szeroko na myśl o Masi pod prysznicem, a reszta dziewczyn poruszyła się niepewnie. Wiedziały, że powinny dać nam przestrzeń, ale w jednopokojowym mieszkaniu nie było zbyt wielu możliwości.

Wyciągnęłam rękę i zatrzymałam Mace'a, gdy szedł w stronę łazienki.

– Mace, musimy porozmawiać.

Staął, spojrzał na moją rękę, a potem na mnie. Miał kamienną twarz, a głos wibrował gniewem.

– Nie mamy o czym, skarbie.

Ostry, mocny kop w brzuch.
Ja pitolę.
Opuściłam rękę, a Mace wszedł do łazienki i trzasnął za sobą drzwiami.
Patrzyłyśmy wszystkie na te drzwi.
Słyszałyśmy, jak Mace odkręca wodę.
– A niech mnie – wyszeptała Shirleen z nabożną czią.
– Zbieramy się – oznajmiła Jules.
– Stella... – odezwała się Jet.
– Idziemy. – Indy popatrzyła na Jet.
Jet odpowiedziała ostrym spojrzeniem.
Indy wskazała głową drzwi.
Jet pokręciła głową.
Czułam, że rozmawiają bez słów, ale nie chciałam wiedzieć, o czym.
Chciałam wiedzieć, o czym myślał w tej chwili Mace.
Kurwa jego mać!
Rozpieprzał mnie, nawet jak nie próbował tego robić.
A może to ja sama się rozpieprzałam.
Juno pchnęła mnie nosem w brzuch, głośna psia prośba o śniadanie.
– Dobra, już ci daję. – Podrapałam ją za uszami.
Szczęśliwa, wystawiła język.
Ally ścisnęła mi ramię.
– Na razie, Stella.
– Widzimy się na koncercie. – Ava pomachała mi dłonią.
– Nie wypiliśmy kawy! – zauważyła Annette, ale pod wpływem wzroku Roxie dała spokój kawie, uśmiechnęła się do mnie i przesłała mi znak pokoju.
– Porozmawiamy później – obiecała Jet.
– Daj czadu – poprosiła Jules.
– I pamiętaj o spotkaniu – przestrzegła Shirleen.
– Przyjdź z kapelą – dodała Daisy.
– Do zobaczenia! – Roxie przesłała mi pocałunek w powietrzu.
Tylko Indy podeszła i uściśnęła mnie.
– I z tobą, i z nim wszystko będzie w porządku. Obiecuję. Bez kitu. Wszystko będzie bardzo dobrze – szepnęła mi do ucha, a potem odsunęła się i spojrzała mi w oczy. – Tak? – spytała cicho.
– Tak – odparłam. Nie wierzyłam w to, ale bardzo chciałam.
Przytuliła policzek do mojego policzka i wyszeptała:
– Na razie, mała.
I wszystkie wyszły.
Nałożyłam Juno śniadanie, nalałam sobie kawy, ale myślami byłam pod prysznicem.
Gdy Mace wyszedł z łazienki, stałam w kuchni, z niedopitą kawą w ręku i ciężkim cielskiem Juno na moich stopach.
Patrzyłam na drzwi od łazienki. Patrzyłam, jak Mace podchodzi do swojej torby, jak wyjmuje świeże ubrania, jak ciska ręcznik. Wstrzymałam oddech na widok jego nagości, ale nie mogłam się długo gapić, bo ubrał się w rekordowym tempie i wrócił do łazienki.
Stałam tam i ogarniało mnie przerażenie.
Coś było bardzo niedobrze i nie chodziło tylko o to, że polowały na mnie jakieś typy.
Mace wrócił, rzucił buty obok platformy, a ubrania do torby, wyciągnął parę skarpetek i zapiął torbę na suwak.
Miałam rację.
Niedobrze.
Moje przerażenie narastało.
Usiadł znów na platformie, żeby włożyć skarpetki i buty.

- Mace... – zaczęłam. Nie wiedziałam, co chcę powiedzieć, ale i tak nie dostałam szansy.
- Chłopaki będą cię dziś pilnować – odezwał się, nie odrywając wzroku od butów.
- Mace...
- Zabiorę swoje klamoty, zanim tu wrócisz.

Moje usta wypełniała ślina, przerażenie rozlało się po całym ciele, paraliżując mnie.

Pokonałam paraliż i wyszeptałam:

- Mace...
- Zadzwońię do Turnera i powiem mu, że ma szansę.
- Opuściłam rękę, kubek z resztką kawy uderzył w blat.
- Do Erica?

Mace spojrzał na mnie.

- Znasz innego Turnera?

Pokręciłam głową, chociaż może i znałam. Znałam mnóstwo ludzi.

Mace gwizdnął ostro.

Juno zerwała się i przybiegła, a on nachylił się i zaczął ją czochrać po całym grzbiecie.

Jakby robił to ostatni raz. Pożegnalnie.

„To nie może tak być!”, spanikował mózg.

- Mace... – spróbowałam znowu.

Przestał czochrać Juno, podszedł do torby.

- Trzymaj się, Stella – powiedział, nie patrząc na mnie.

Podniósł torbę, założył na ramię i poszedł do drzwi.

„Nie, nie, nie, to nie może tak być!”, wołał mózg.

Musiałam coś z tym zrobić. Wszystko jedno co. Szybko!

- Gdy miałam dwanaście lat, złamałam rękę. Spadłam z roweru – wypaliłam.

Mace zatrzymał się. Stał do mnie bokiem, odwrócił tylko głowę i spojrzał na mnie.

Przełknęłam nerwowo ślinę.

- Przyszłam do domu, ale mamy nie było. Nie wiem, dokąd poszła, ale był tylko ojciec.

Mace nie odezwał się i nie ruszył.

Oddychałam szybko, nerwowo. Wszystkie myśli o tym, że nie chcę Mace’a w moim życiu, nagle zniknęły.

W jednej chwili.

Już ich nie było.

- Ojciec nie... – zaczęłam, ale Mace tylko pokręcił głową.

- Za późno – powiedział, a we mnie się wszystko ścisnęło.

– Daj mi dokończyć – wyszeptałam. Mace znowu pokręcił głową, ale ja pospiesznie mówiłam dalej. – Ręka dziwnie zwisała. Ból był straszny, myślałam, że zemdleję. Można by pomyśleć, że zapamiętam tylko...

- Za późno – powtórzył Mace.

– A jednak nie. Ojciec się wściekł. Jak cholera. Oglądał turniej golfa w telewizji i wściekł się, że musi zawieźć mnie do szpitala zamiast...

Przerwał mi znowu. Tym razem odwrócił się do mnie i odezwał niskim, przerażającym głosem:

- W chuj za późno.

– Nie odchodź – wyszeptałam, zmieniając taktykę. Po raz pierwszy od kilku dni mogłam myśleć jasno, byłam skupiona i pozbierana.

Doskonale wiedziałam, co robię, pozwalając, żeby Mace się ze mną kochał, spał, żeby się tu wprowadził. Robiłam to, bo tego chciałam. Pragnęłam go. Czyny mówiły głośniejszą niż słowa, ale byłam tak mocno zawinięta w ten kokon, o którym wspominał Floyd, że nic do mnie nie docierało.

Wstrzymałam oddech.

Mace patrzył na mnie.

Ja na niego.

- Proszę. Nie odchodź – powiedziałam raz jeszcze.

Gdzieś w środku spodziewałam się triumfalnego uśmiechu, myślałam, że podejdzie, weźmie mnie w ramiona i pocałuje.

Ja przez jakiś czas będę się wkurzać, a jak już dam mu trochę popalić, to odpuszczę.

Ale on tylko zacisnął wargi, odwrócił się na pięcie i mruknął:

– Ten jeden raz włącz alarm.

I wyszedł.

Wykręciłam się, żeby spojrzeć przez ramię na zamknięte drzwi.

„Co tu się właśnie stało?“, spytał mnie zszokowany mózg.

Nie odpowiedziałam.

Wiedziałam, co się stało.

Osunęłam się po szafce, postawiłam kubek z kawą na podłodze, zamknęłam oczy i przywarłam czołem do kolan.

Juno trąciła mnie nosem w szyję, pocieszając po psiemu, najlepiej, jak potrafiła. Nie odwróciłam się do niej.

Zapadłam się w to miejsce, które tak dobrze znałam.

Znów zapadłam się w mrok.

Koncert zaraz się kończył.

Rockowe laski siedziały przy stolikach z przodu i na środku, wszystkie wyglądały na przejęte i przygaszone.

Chłopaki z Nightingale Investigations, a także Tex i Duke trwali na posterunku, pilnowali drzwi, sceny i tłumu. Widziałam wszystkich.

Z wyjątkiem Mace'a.

I chociaż koncert był słaby (i wiedziałam, że z mojej winy), publiczność szykowała się na „Ghostriders”.

Ale ja zdjęłam gitarę, postawiłam ją na stojaku i przesłam po zakurzonych, wytartych dywanikach, które leżały w The Little Bear na scenie, i siadłam obok Floyda przy pianinie. Floyd patrzył na mnie wstrząśnięty.

Przez ostatnie cztery godziny chłopaki z kapeli i wszystkie rockowe laski wychodziły z siebie, żeby do mnie dotrzeć. Ale ja byłam tak głęboko w mroku, że po prostu płynęłam z prądem, działałam na automacie. Nie wiedziałam, o co pytają. Nie słyszałam, co do mnie mówią. Nie miałam zielonego pojęcia, co odpowiadam.

A teraz nachyliłam się do Floyda i szepnęłam mu do ucha.

Przykrył dłonią mikrofon.

– Stella...

Zacisnęłam mocno powieki, podniosłam je i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Po prostu zrób to – poprosiłam.

Patrzył na mnie długo, w końcu skinął chłopakom i zaczął grać.

Cały bar zastygł w szoku.

Popatrzyłam na belki stropu i zwisające z nich słynne biustonosze, a potem przysunęłam do siebie mikrofon Floyda, zamknęłam oczy i zaśpiewałam.

„And So It Goes” Billy’ego Joela.

Śpiewałam dla Mace’a, którego tutaj nie było. Zrobiłam to, bo nic nie oddawało lepiej moich uczuć niż te piękne, rozdzierające słowa.

Śpiewałam.

A gdy Floyd zagrał ostatnie dźwięki, zamknęłam oczy.

Czekałam.

Miałam nadzieję.

A potem otworzyłam oczy i spojrzałam na tłum.

Zerwała się burza braw.

Ale tym razem nie uderzyły mnie tak, jak zawsze.

Tym razem nie było Mace'a.

Nie wskoczył na scenę, nie porwał mnie w objęcia i nie mówił mi pięknych rzeczy.

– Stella... – szepnął Floyd, ale dla mnie to już był koniec. I nie mogłam nikogo winić.

Nie wiem dlaczego, ale wstałam, podbiegłam do brzegu sceny, zeskoczyłam i zaczęłam się przepychać przez tłum. Nic nie czułam, miałam pustkę w głowie. Wiedziałam tylko jedno: że muszę iść. Nie miałam pojęcia dokąd. Ale musiałam.

Czułam na sobie czyjeś ręce, ktoś mnie ciągnął, słyszałam znajome głosy wołające moje imię. Był wśród nich głos Hectora. I Duke'a.

Szłam dalej przez zatłoczoną salę, do drzwi. Wyszłam, czując wolność, ale nie ulgę. I wtedy ktoś mnie złapał od tyłu, podniósł do góry, obrócił i postawił na ziemi. Obejrzałam się i zobaczyłam Bobby'ego, gościa z ekipy Lee.

– Cholera, kobieto, co ty robisz? – zdenerwował się.

Nie odpowiedziałam.

Zaczęłam się wyrywać, wierzgać i szarpać.

I wtedy stało się coś jeszcze.

Bobby puścił mnie nagle – mocował się z kimś innym: wielkim, napakowanym gościem, jeszcze większym i bardziej napakowanym niż sam Bobby, który był ogromny.

Obok wyrósł Luke i rzucił się na innego mężczyznę. Wbił mu ramię w brzuch, poderwał go z ziemi i rzucił na drewnianą poręcz przed barem. Facet przeleciał przez poręcz i wylądował na plecach, waląc głową w chodnik z obrzydliwym trzaskiem. Luke odwrócił się do mnie, ale wokół było jeszcze więcej obcych typów, jeden rzucił się na Luke'a. Pojawiło się więcej naszych, Hector, Lee, i jeszcze więcej gości w garniturach; rozgorzała walka.

Nim zdążyłam coś zrobić, poczułam na przedramieniu twarde palce. Krzyknęłam zaskoczona, a ten ktoś już ściągnął mnie po drewnianych schodkach i wrzucił na tył czarnej limuzyny.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem i limuzyna ruszyła.

Wstrzymując oddech, odwróciłam się – obok ktoś siedział.

Bardzo wysoki, szczupły, dobrze zbudowany, po pięćdziesiątce, czarne włosy przyprószone srebrem. Drogi garnitur, drogie zapinki do mankietów, drogi zegarek.

I do bólu znajome jaszczurcze oczy, które patrzyły ostro.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami, gdy w końcu przemówił.

– Witaj, Stello. Jestem Preston Mason, ojciec Kaia.

O rany.

Rozdział 15

Nie dość dobra

Stella

– Za chwilę mam spotkanie – powiedziałam Prestonowi Masonowi, bo nie mogłam myśleć o niczym innym.

W zasadzie planowałam wykręcić się z tego spotkania z Dixonem Jonesem, udając migrenę, atak serca albo cokolwiek, ale w tej chwili totalnie zmieniłam zdanie. Rozmowa z nim na pewno byłaby o wiele łatwiejsza niż z bogatym ojcem Mace’a, który właśnie mnie porwał.

– Musisz je przełożyć – odparł.

– To raczej ważne – cisnęłam.

Spokojnie poprawił mankiety nienagannej błękitnej koszuli, wystające z rękawa równie nienagannej granatowej marynarki.

– Obawiam się, że mimo to musisz je przełożyć.

Odchyliłam się na oparcie, gdy limuzyna zjechała na górską drogę.

The Little Bear mieścił się w Evergreen, górskim miasteczku (modnym, luzackim i ekskluzywnym zarazem) uwielbianym przez harleyowców. Do tego wyglądało, jakby rewolwerowcy nadal urządzali tu pojedynki w samo południe.

Lubiłam Evergreen jak cholera. Było tak rockandrollowe, jak to tylko możliwe.

Odchrząknęłam ostrożnie i zapytałam:

– Czy pan mnie właśnie porwał?

Spojrzał na mnie zielonymi oczami.

– Zgadza się.

Wow.

Jedno było pewne: poza kolorem oczu, Prestona Masona i jego syna łączyła równie arogancka bezczelność.

– Dlaczego?

– Musimy porozmawiać o Kaiu.

– Nie chcę o nim rozmawiać.

Serio nie chciałam.

Poza tym, nie chciałam mówić na niego „Kai”. To było dziwne. Już i tak czułam się dziwnie i nie potrzebowałam czuć się jeszcze dziwniej. Jeśli spróbuję, mój mózg może się wybrać do rzeczywistości alternatywnej na resztę życia, a moje ciało pozostanie w naszej rzeczywistości, będę leżała w śpiączce, lekarze nie będą wiedzieli, co ze mną zrobić, i w końcu odłączą mnie od systemów podtrzymujących życie – i co wtedy?

– Jak dobrze znasz Kaia? – Preston Mason wyrwał mnie z tych szalonych myśli.

Spojrzałam na niego.

– Hm... – Zawahałam się, ponieważ to było bardzo dobre pytanie.

W sensie biblijnym mogliśmy uznać mnie za eksperta. Inne obszary podlegały szerszej dyskusji.

– Muszę cię ostrzec, że mój syn nie jest dobrym człowiekiem.

Wyprostowałam się i spojrzałam na niego kompletnie i całkowicie w szoku.

I znów powiedziałam to znienawidzone:

– Co takiego?

– Przez niego zamordowano jego siostrę.

Kop w brzuch.

Tak mocny i brutalny, że się wzdrygnęłam.

Siostra Mace’a została zamordowana?

Z pamięci wyłoniła się twarz Mace’a i demony, tańczące w jego oczach. Jego słowa, że rozumie,

gdy mówię o moim ojcu.

Rzeczywiście rozumiał.

Ja to wszystko pitoleę.

Jego siostrę zamordowano.

– Pana córkę, siostrę Mace’a, zamordowano? – wyszeptałam.

Przyglądał mi się uważnie i poczułam się mocno niepewnie. Jego oczy wydawały się takie znajome i jednocześnie tak obce. Nic za nimi nie było, żadnych emocji, nawet gdy mówił o śmierci swojego dziecka.

Przeraziło mnie to jak cholera.

– Nie czytasz gazet? – spytał.

– Nie miałam okazji.

– To wszystko kłamstwo.

– Co?

– Wszystko.

– A konkretnie?

Zmienił temat.

– Chcę, żebyś zniknęła z jego życia.

Zaskoczył mnie, zwłaszcza że jeszcze nie doszłam do siebie po tamtym szoku.

– Czyjego życia? – spytałam głupio.

Zmrużył oczy.

– Kaia.

– Dlaczego?

– Wiesz, kim jestem?

Pokręciłam głową i jednocześnie odparłam:

– Ojcem Mace’a.

Wygiął wargi.

– Jesteś głupia?

Teraz mnie wkurzył.

Na co on sobie pozwalał?!

Porwał mnie i do tego był nieprzyjemny!

O co tu chodzi?

– O co tu chodzi? – warknęłam.

– Jesteś. Średnia ocen dwa przecinek pięć. Ustawiczne wagary, znikoma ilość przyswojonej wiedzy. Nie poszłaś na studia. Twój ojciec jest spawaczem, matka kelnerką od ćwierć wieku. Żadne z nich nie skończyło studiów.

– No i co?

– To, że Kai ukończył z wyróżnieniem Uniwersytet Hawajski z tytułem magistra inżynierii lądowej.

O ja cię sunę.

Inżynierii lądowej?

Grubo.

Otrząsnęłam się z myślenia o Masie harującym ciężko z kątomierzem w rękę (czy czego tam potrzeba na takich studiach), pochyliłam się i warknęłam:

– No i co?

– Poprzednia dziewczyna Kaia była córką senatora.

O szlag.

Serio?

Senatora?

Ukryłam zaskoczenie i powtórzyłam:

– No i?

– Mój Boże – wymruczał. – Naprawdę jesteś głupia.

Teraz już wkurzył mnie na całego. Pochyliłam się i wysyczałam:

– Przestań to powtarzać.

– Nie łapiesz, Stella. Próbuję ci powiedzieć, że nie jesteś dość dobra dla mojego syna.

Nie mówił tego poważnie.

Odchyliłam się, złożyłam ręce na piersi, założyłam nogę na nogę i kiwałam brązowym kowbojskim butem.

– Wyjaśnijmy sobie coś, ważniaku. Najpierw mówisz mi, że twój syn jest winien śmierci swojej siostry i że nie jest dobrym człowiekiem. Potem zachowujesz się jak kiepsko nakreślony bohater szablonowej komedii romantycznej i oznajmiasz, że nie jestem dość dobra dla twojego syna. Powiem ci coś: to nie ja jestem głupia. To ty gadasz bez sensu.

– Może powinienem był zabrać książkę z obrazkami, żebyś pojęła.

– Szkoda, że nie zabrałeś – mogłabym cię nią trzasnąć, stuknięty świrze – warknęłam. A potem nachyliłam się i zaczęłam walić w przyciemnioną przegrodę, która oddzielała nas od kierowcy. – Odwieź mnie do baru! – zażądałam.

– Siadź spokojnie, Stella, bo jeszcze z tobą nie skończyłem.

Spojrzałam przez ramię.

– Może ty ze mną nie, ale ja z tobą na pewno tak. – Odwróciłam się do kierowcy i znów załomotałam w przegrodę. – Odwieź mnie do baru!

– Siadaj! – podniósł głos, wkurzony.

Znów spojrzałam przez ramię.

– Dobra, panie Mason. Miałam zły dzień. Naprawdę zły. Więc nie zaczynaj ze mną. Nie dzisiaj. Serio. – Znowu się odwróciłam i wrzasnęłam: – Odwieź mnie do tego przeklętego baru!

– Twój ojciec zalega z płatnościami za hipotekę – poinformował mnie Preston Mason.

Przestałam walić w przegrodę.

W rozmowie nastąpił zwrot, w nie najlepszym kierunku.

Odwróciłam się powoli i spojrzałam na ojca Mace'a.

– Skąd to wiesz?

– Bo jestem właścicielem tej hipoteki.

Kuźwa mać.

– Panie Mason. Wie pan o mnie tak dużo, więc pewnie również i to, że nie rozmawiam z ojcem od lat. Dlatego muszę zapytać: skąd myślisz, że powinno mnie to obchodzić?

– Twój ojciec tonie w długach, a matka jest chora. On nie jest ubezpieczony, ona z całą pewnością również. A chemioterapia sporo kosztuje, jeśli ktoś jest zbyt dumny i zbyt głupi, żeby nie korzystać z Medicaid.

O nie.

Tylko nie to.

To niemożliwe, że właśnie się dowiedziałam, że moja matka ma raka, a mój ojciec (co za debil) jest zbyt dumny, żeby jej pomóc poprzez państwowy program opieki zdrowotnej skierowany dla ubogich. I to dowiedziałam się o tym od tego palanta, ojca Mace'a.

Popatrzyłam na niego.

Wiedziałam, że nie kłamał.

Mogliśmy śmiało uznać, że mój wyjątkowo zły dzień właśnie zrobił się jeszcze gorszy.

Moje w huk przejebane parszywe szczęście.

Odchyliłam głowę i spojrzałam w sufit limuzyny.

Zamknęłam oczy.

A potem usiadłam, skrzyżowałam ręce na piersi, założyłam nogę na nogę i wyjrzałam przez okno.

– Odwieźcie mnie do baru – powiedziałam cicho.

– Wystawię dom na sprzedaż – ostrzegł mnie Preston Mason.

– Nie zrobisz tego – powiedziałam do okna.

– Owszem, Stella, tak właśnie zrobię.

Odwróciłam powoli głowę i spojrzałam na niego.

– Nie. Dziś rano Mace ze mną zerwał. – Machnęłam ręką. – Cała ta sytuacja z porwaniem to strata czasu. Między nami skończone.

Przyglądał mi się uważnie.

Widziałam, jak się odpręża.

– Cóż, to bardzo dobra wiadomość – powiedział cicho i uśmiechnął się, ale nie było w tym wesołości.

Jakim cudem Mace mógł mieć takiego ojca?

– Obiecuj mi, że nie wystawisz domu na sprzedaż – zażądałam.

Teraz on się wyprostował, choć nadal sprawiał wrażenie spokojnego i zrelaksowanego.

– Forsa to forsa. Jeśli nie będą płacić, w końcu zostaną...

– Jeśli tak się stanie, wrócę do Mace'a.

Ściągnął brwi.

– Przecież właśnie oznajmiłaś, że Kai z tobą zerwał.

– Owszem. Pokłóciliśmy się, bardzo brzydko. Ale wciąż mu na mnie zależy – i powiedział mi to bardzo wyraźnie. Jeśli dasz spokój moim rodzicom, zostanie mu po mnie blizna. Jeśli wyrzucisz z domu moich rodziców, zacznę go nękać. – Nachyliłam się. – A Mace bardzo lubi temu ulegać.

Przesunął wzrokiem po mojej twarzy, włosach, torsie. Dużo mnie kosztowało, żeby się nie skrzywić, ale patrzyłam twardo.

W końcu powiedział:

– Tak długo, jak będę właścicielem kredytu, nie wystawię domu na sprzedaż.

Cwaniak.

– Zatrzymasz hipotekę do końca życia mojej matki.

– Stella.

– Jeśli coś im się stanie za jej życia, będziemy siedzieć przy jednym stole w Święto

Dziękczynienia.

Mruknął coś pod nosem, pewnie przekleństwo.

Potem nacisnął guzik i powiedział głośno:

– Jon, zawieź pannę Gunn z powrotem do baru.

Tym razem ja uśmiechnęłam się niewesoło.

Dojechaliliśmy do przedmieść Evergreen, gdy przerwałam milczenie.

– Mylił się pan – oznajmiłam, znów wyglądając przez okno.

– Tak? Odnosnie do czego?

– Mace jest dobrym człowiekiem.

Zaśmiał się. I tak samo jak poprzednio w jego uśmiechu, tak i teraz też nie było w tym wesołości.

Patrzyłam na Evergreen przemykające za szybą; dojechaliliśmy do Little Bear. Wszędzie stały czarne explorery, zobaczyłam Mace'a, zabolowało mnie serce na jego widok. Stał z rękami na biodrach na drewnianym podeście przed barem, obok niego Tex, Lee, Hank, Hector, Eddie i chłopaki z zespołu.

Lee spostrzegł nas pierwszy, wskazał głową limuzynę. Mace odwrócił się, a do mnie dotarły jednocześnie dwie rzeczy. Pierwsza, był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. Druga: był wściekły.

– Miał pan też rację – dodałam cicho.

– I znów: odnośnie do czego? – On też mówił cicho i pewnie również patrzył na Mace'a.

Limuzyna zatrzymała się, a Mace znalazł się przy moich drzwiach.

– Nie jestem dla niego dość dobra – wyszeptałam.

Drzwi otworzyły się, Mace wziął moją rękę i wyciągnął mnie z samochodu. Trzymałam mocno jego dłoń, stojąc obok niego, gdy nachylił się do limuzyny.

Wyciągnął rękę do ojca i powiedział tonem, który przeszył mnie dreszczem.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

– Kai... – zaczął Preston Mason, ale Mace trzasnął drzwiami i pociągnął mnie w stronę explorera.

Szarpnęłam rękę.

– Mace.

Szedł dalej.

Szarpnęłam znowu.

– Mace!

Zatrzymał się dopiero przed drzwiami pasażera, otworzył je.

– Wsiadaj.

Podniosłam na niego wzrok, kątem oka rejestrując, że limuzyna nie odjeżdżała i Preston Mason nas obserwował.

Czułam, jak moje serce przystaje, ściska się i zamiera.

To niedobrze, gdy ci serce zamiera. Boli całe ciało.

– Wsiądź do samochodu, Stella – polecił Mace.

Spojrzałam na niego znowu i usłyszałam w głowie jego głos.

To działa w obie strony. Nigdy się nie uda, jeśli nie będę wiedział, że nie odejdziesz i nie pozwolisz mi odejść – nigdy więcej.

Mogłam go odzyskać.

Potrzebowałam deklaracji, kociątko. Nie dostałam jej.

Gdybym zadeklarowała się teraz, odzyskałabym go. Wiedziałam to, tak po prostu.

I wtedy usłyszałam głos jego ojca.

Jest winien morderstwa swojej siostry.

Nie wierzyłam w to nawet przez chwilę.

Ale zrozumiałam, że Mace tak się czuł – winien.

Jedyne, co musiałam w tej chwili zrobić, to dać mu pewność.

I tym samym narazić moich rodziców.

Jasna sprawa, że nie miałam takich pieniędzy, żeby im pomóc.

I nie chciałam, żeby Mace musiał znów rozwiązywać moje problemy.

Tak samo jak rozwiązywał je w przeszłości i rozwiązywałby niewątpliwie w przyszłości.

Dokładnie tak: Kai Mason był dla mnie zbyt dobry.

Mace podszedł bliżej.

– Skarbie – powiedział miękko. – Wsiądź do samochodu.

Jego głos spowił mnie niczym kojący balsam.

Wiedziałam, że oto dostałam swoje otwarcie – dzięki Prestonowi Masonowi. Mace nie lubił, kiedy byłam w niebezpieczeństwie. Tak bardzo, że odpuścił sobie wściekłość na moją głupotę.

Zatopiłam się w tych myślach na jedną cudowną chwilę, a potem zapytałam:

– Zawieziesz mnie do Erica?

Zmrużył oczy.

– Nie, kurwa, nie zawiozę cię do Turnera – odparł. Pokręciłam głową. Mace puścił moją dłoń, wziął mnie za ramię i pociągnął. – Pogadamy u ciebie. A teraz wsiadaj do samochodu.

– Zawieź mnie do Erica – poprosiłam łagodnie.

Zacisnął palce na moim przedramieniu, ale nie zrobił nic więcej.

To dobrze. Mogłabym nie wytrzymać.

– Do diabła, Mace, zawieź mnie do Erica! – zawołałam.

Patrzył na mnie.

Wstrzymałam oddech, zachowałam zewnętrzny spokój, chociaż wszystko się we mnie trzęsło, i też na niego patrzyłam.

W jego oczach znów zabłysł ból.

Przeszył mi serce.

Mace puścił mnie, odwrócił się i poszedł do baru.

– Chce jechać do Turnera – powiedział do Lee i rzucił mu kluczyki. Lee złapał, a Hector rzucił Mace'owi inne kluczyki. Mace poszedł prosto do innego explorera, wsiadł, odpalił silnik i odjechał.

– Wsiadaj, *mamita* – powiedział łagodnie Hector, który z nienacka znalazł się blisko mnie; czułam

jego ciepło.

– Zawieziesz mnie do Erica? – wyszeptalam, powtarzając te słowa jak mantrę. Teraz, gdy Mace odjechał, było mi wszystko jedno, czy Hector widzi łzy w moich oczach.

– Dokąd tylko zechcesz – odparł.

Wsiadłam do samochodu.

Materac ugiął się pod czyimś ciężarem.

Ktoś zebrał mi włosy z karku.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – usłyszałam w ciemności głos Erica.

Nie.

Nie, nie czułam się dobrze.

Nie wiedziałam, która godzina, ale musiało być bardzo późno. Leżałam na tym łóżku od kilku godzin. Zbliżało się lato i dni były coraz dłuższe, ale w tej chwili panowały absolutne ciemności.

– Tak – skłamałam.

– Musisz coś zjeść.

Zrobiło mi się niedobrze na samą myśl.

– Nie jestem głodna.

– Stella, to tylko świadczy, że nie czujesz się dobrze. – Eric czekał na moją odpowiedź, a gdy nie nadeszła, mówił dalej: – O co, do licha, chodziło z ojcem Masona?

– Jego ojciec to kawał chuja – odparłam.

Eric zaśmiał się krótko, niewesoło.

– Nie da się ukryć – przyznał.

Próbowałam przyrzeć mu się w ciemności, ale widziałam jedynie cień, dlatego patrzyłam po prostu tam, gdzie powinna być jego głowa.

– Słyszałeś o nim?

Eric milczał przez chwilę, potem odezwał się, zaskoczony.

– Każdy słyszał o Prestonie Masonie, Stella. Ten gość jest znany.

Uniosłam się na łokciu.

Dobra, ustalmy to sobie: wiedziałam, że robię źle. Najpierw pograłam sobie z Mace'em, teraz jeszcze z Erikiem.

W samochodzie przez chwilę chciałam prosić Hectora, żeby zabrał mnie do siebie. Ale Hector pracował z Mace'em, Mace dostałby szału, ich zawodowe układy by się spaprały, a to wszystko byłaby moja wina.

Nie, jedyny sposób, żeby ostatecznie zerwać relację z Mace'em, to przeprowadzić cięcie chirurgiczne, bez wciągania w to kogoś znajomego. Dlatego właśnie byłam tu, gdzie byłam.

W łóżku Erica Turnera.

Mace nigdy mi nie wybaczy.

Nigdy.

– Znany z czego? – zapytałam.

Eric nachylił się i zapalił lampkę.

Pokój był całkiem przyzwoity – i zupełnie bezosobowy. Sypialnia mężczyzny, który pewnie tutaj nie mieszka, lecz aktualnie przebywa, bo ma zadanie.

Eric chciał mnie zawieźć do aresztu, ale nie chciałam. Miałam przecież życie, którym musiałam się zająć. Wrócę do mojego ultrabezpiecznego mieszkania, ale pod warunkiem, że Mace więcej tam nie przyjdzie.

I musiałam jeszcze wykonać jeden telefon, i też tego wcale nie chciałam.

Spojrzałam na Erica, który mi się przyglądał.

Dotknął mojego policzka i wymruczał:

– Myślisz o nim.

Zamknęłam oczy i przygryzłam wargę.

Potem uniosłam powieki i wyszeptalam:

– Przepraszam.

Eric wstał i wziął mnie za rękę.

– Chodźmy do salonu.

Zaprowadził mnie do równie bezosobowego salonu, siadł na kanapie i wziął mnie na kolana.

Powinłam była zaprotestować – i nie zrobiłam tego. Nie protestowałam również, gdy położył mnie plecami na kanapie, z głową na poręczu i nogami na jego udach. Eric położył się obok, wsparty na łokciu, drugą rękę położył lekko na moim brzuchu.

Ta intymna pozycja była bardziej ciepła i wspierająca niż seksualna i zaborcza. Eric patrzył na mnie zmartwiony.

– Próbuje zrozumieć, jak udało ci się spędzić tyle czasu z Masonem, zakochać się w nim po uszy i nie wiedzieć, kim jest jego cholerny ojciec – odezwał się.

Tak, ja też próbowałam zrozumieć.

I szczerze mówiąc, znałam odpowiedź.

Ponieważ byłam skończoną frajerką.

Gdy nic nie odpowiedziałam, mówił dalej.

– Preston Mason jest dziany. Nieprzyzwoicie bogaty. Ma górę forsy.

– Domyśliłam się po limuzynie i garniturze.

Eric uśmiechnął się. To był dobry uśmiech, pewnego dnia jakaś dziewczyna będzie miała mnóstwo szczęścia, że może go zobaczyć. I z całą pewnością tą dziewczyną nie będę ja.

– Wyobraź sobie kogoś bogatego, kochanie, a Preston Mason i tak będzie bogatszy.

Zaskoczył mnie, bo potrafiłam wyobrazić sobie obrzydliwie bogatych ludzi.

– Serio? – spytałam głupio.

– Serio. I nie został tym, kim jest, z powodu bycia miłym facetem.

Wciągnęłam powietrze i nim zdążyłam się powstrzymać albo choć zreflektować (że jestem suką, która w całej tej zjebanej sytuacji leży na kanapie i wykorzystuje uczucia Erica), wypaliłam:

– Preston Mason powiedział mi, że Mace jest winien śmierci swojej siostry.

W oczach Erica pojawił się nieprzyjemny błysk, twarz mu stężała, wyglądał na wkurzonego.

– Co się stało? – spytałam, ale nic nie powiedział. I choć czułam się poniżona wyznawaniem, jak bardzo płytki był mój związek z Mace'em, powiedziałam: – Nie wiedziałam nawet, że Mace miał siostrę ani, tym bardziej, że została zamordowana.

To również go zaskoczyło. Złość odpłynęła z twarzy, pokręcił głową, znów patrzył na mnie łagodnie.

– Gdybym miał cię w łóżku, ciepłą i chętną, również nie pchałbym się z opowieściami o porwaniu i morderstwie siostry.

Mój oddech pomknął zwiedzać wybrzeża Maine, a ja wytrzeszczyłam oczy.

– Porwali ją? – wykrztusiłam.

– Kurwa – mruknął Eric i spojrzał na moje kolana.

Wyciągnęłam rękę do jego twarzy, zmuszając go, żeby spojrzał na mnie.

– Co, do diabła, stało się z jego siostrą?

Przyglądał mi się bardzo długo, w końcu westchnął ciężko.

– To Mason musi opowiedzieć ci tę historię.

– Z nami skończone – odparłam szybko.

Eric uśmiechnął się samymi ustami.

I powiedział słodkim i smutnym głosem:

– Kochanie, ta świadomość mnie zabija, ale między wami nic nie jest skończone. A to jest jego historia i to on musi ją opowiedzieć. – Otworzyłam usta, ale Eric szybko pokręcił głową. – Uwierz mi, Stella. Ta historia jest ciężka i skoro o niej nie wspomniał, miał ku temu powód – i jestem pewien, że w pewnej chwili to zrobi. Ale na coś takiego musi przyjść odpowiedni moment. Gdy znajdziesz wspaniałą kobietę, nie chcesz od razu wywalić na nią całego gówna i jej wystraszyć.

Miało sens.

Historii o swoim ojcu-palancie, porwanej i zamordowanej siostrze na pewno nie wywalasz tak od razu na nikogo, nieważne, czy jest to wspianała kobieta, czy ktoś inny.

Z tym że już byłam wystraszona, a nawet nie wiedziałam jeszcze, co się stało!

Dziś rano miałam szansę się dowiedzieć: pewnie właśnie to chciał mi powiedzieć Mace.

Zamknęłam oczy i odwróciłam głowę.

– Jestem głupia – szepnęłam.

Eric wyciągnął się na kanapie, przysunął do mnie, splótł nogi z moimi. Przytuliłam twarz do jego piersi.

Kilka minut później zapytał:

– Chcesz, żebym cię do niego zawiózł?

Chciałam.

Naprawdę chciałam.

I wiedziałam, że myliłam się co do Erica.

Był dobrym człowiekiem.

Był dobrym człowiekiem, którego właśnie wykorzystywałam z powodu innego dobrego gościa, z którym już nigdy nie będę, ponieważ byłam dokładnie tak głupia, jak myślał Preston Mason.

– Między Mace'em i mną już skończone.

Eric objął mnie mocniej i powiedział cicho głosem, w którym zadźwięczał gniew:

– Co Preston Mason zrobił ci w samochodzie?

– Nic.

– Gówno prawda.

Odchyliłam głowę i spojrzałam na niego.

– Serio – skłamałam przez zaciśnięte zęby. – Nic. Tylko rozmawialiśmy. – To przynajmniej nie do końca było kłamstwem.

Ale Eric i tak tego nie kupił.

– Preston Mason nie robi nic bez ukrytego powodu. Nie porywałby cię z koncertu, żeby tylko pogadać.

– Nie mówię, że to była przyjemna pogawędka. Mówię tylko, że nic mi nie zrobił.

Eric ściągnął brwi.

– Stella, coś ukrywasz.

– Nie ukrywam. Mówiłam, że nie chcę być znowu z Mace'em. Teraz chcę, żeby to było jasne.

Skłamałam.

Znowu.

I spokojnie mogłam pójść za to do piekła. Na pewno nie wyglądało gorzej niż moje życie w tej chwili.

Eric przyglądał mi się. Był agentem federalnym i pewnie umiał czytać mowę ciała i wyraz twarzy, i miał do czynienia z bardziej wytrawnymi kłamcami, ale w tej chwili miałam to gdzieś. Byłam zmęczona.

– Muszę się przespać – powiedziałam.

– Najpierw musisz coś zjeść.

– Nie jestem głodna.

Eric wstał z kanapy i podniósł mnie na nogi.

– W takim razie zjesz płatki z mlekiem.

– Eric.

– Bez dyskusji – oznajmił stanowczo i równie stanowczo zaciągnął mnie do kuchni.

Eric

Wmusił w Stellę miskę płatków.

Potem siedzieli razem na kanapie i oglądali film. W połowie filmu zasnęła.

Zaniósł ją do łóżka, przykrył kołdrą, wyszedł z pokoju, zamknął drzwi i wrócił do salonu.

Wykonał kilka telefonów i dostał numer, na którym mu zależało.

Zadzwoił na komórkę Lee Nightingale'a.

– Tak? – usłyszał.

– Mówi agent specjalny Turner.

– Stella? – spytał niespokojnie Lee.

– Wszystko w porządku. Nadal macie to cudowne dziecko przy komputerach?

Lee nie odpowiedział.

– To niech poszuka i dowie się, co Preston Mason ma na Stellę. Coś się wydarzyło w tym samochodzie, ale ona nie chce powiedzieć. To może być trop.

– Już nad tym pracujemy – odparł Lee.

– Nie wie o Caitlin Mason – mówił dalej Eric.

– Wiem. Mówisz „nie wie” – nie powiedziałaś jej?

– Nie moja rola.

Cisza. Potem Lee mówił dalej.

– Mace nie chce, żeby docierały do niej gazety.

Eric pomyślał o artykułach z dwóch ostatnich dni, które odgrzewały z lubością wszystkie straszne szczegóły porwania i morderstwa Caitlin Mason oraz roli Kaia Masona, kreując go trochę na męczennika, trochę na bohatera. Co gorsza, jego obecny, bardzo publiczny związek (całowanie się z miejscową gwiazdą rocka na scenie trudno nie nazwać publicznym, kurwa jego mać) szybko obrastał legendą.

Stella odgrywała tutaj podwójną rolę – balsamu, który koł zranioną duszę, i kobiety, która znalazła się na linii ognia. Jej wersja „And So It Goes” (Eric tego nie słyszał, ale agent, którego przydzielono jej tego dnia do ochrony, opowiedział mu wszystko ze szczegółami), brutalna walka ludzi Nightingale'a z porywaczami (bez przeszkód oglądana i nagrywana komórkami) i wreszcie uprowadzenie po koncercie tylko pogłębiły tę rolę.

– Rozumiem go – powiedział jedynie Eric. Stało się jasne, że póki Stella była u niego, nie zajrzy do gazety.

– Jak coś będziesz miał... – zaczął Lee. Eric mu przerwał.

– Zadzwoń.

Rozłączył się i odłożył telefon na stół. Poszedł sprawdzić alarm, wyrzął przez okno w drzwiach, żeby sprawdzić ulicę – dwa domy dalej w samochodzie siedziało dwóch agentów. Wyjął broń i położył ją przy telefonie. A potem wziął koc, zdjął buty, położył się na kanapie, żeby dokończyć film.

Rozdział 16

Ser z tubki

Hank

Następnego ranka Hank i Mace weszli do gabinetu Lee. Lee siedział przy swoim biurku, pochylony nad teczką. Na ich widok zamknął ją, rzucił na blat.

– Co mówi George? – spytał.

George Riverside był prokuratorem. Hank, Eddie i Mace spotkali się z nim dziś rano w sprawie Sidneya Cartera. Chodziło o to, czy można go wreszcie aresztować.

– Że dalej za mało mamy – odparł Hank, a Lee zmrużył oczy.

– Chyba, kurwa, kpiny.

Hank pokręcił głową.

George Riverside był dobrym oskarżycielem. Ambitnym. Wiedział, że sprawa Cartera trafi do gazet i że może pomóc jego karierze. George lubił trafiać do gazet i miał szerokie plany odnośnie do swojej kariery. Chciał, żeby ludzie pamiętali jego nazwisko, zwłaszcza w dniu wyborów.

Lubił również wygrane sprawy.

Nie znosił za to tych przegranych, które trafiły do gazet. I chociaż Hank, Eddie i Mace mieli dowody, George wciąż pozostawał ostrożny. Potrzebował pewności absolutnej, chciał mieć sprawę w rękę, a tak się najzwyczajniej nie dało. Było to nie tylko niemożliwe, ale również cholernie frustrujące.

– Eddie wycisnął coś z tego typu? – spytał Lee, gdy Hank stanął przy biurku.

Chodziło o gościa, który strzelał do Stelli i Mace'a w sobotę wieczór.

Mace siadł na krzesło przed biurkiem, oparł nogę na kolanie.

– Nie, zaparł się – odpowiedział.

Lee, zaskoczony, pokręcił głową.

Eddie był naprawdę dobry w czasie przesłuchań.

Ale Hank widział go w akcji i wiedział, że Eddie wyszedł z niczym.

Wiedział też dlaczego.

Dla strzelającego to była misja prawie samobójcza. Zdawał sobie sprawę, że gdy strzeli do Stelli w zatłoczonym klubie, nie zdoła uciec. Miał wykonać zadanie, ale złapali go i aresztowali. Bardzo możliwe, że Carter zawarł z nim układ i już zajął się jego rodziną – bo taki miał tryb działania. Kupował wierność i płacił za nią bardzo dobrze; łańcuch powiązań przykrywała góra forsy tak wielka, że nikt z uwikłanych by go nie zerwał.

Hank spojrział na Mace'a. Mimo wczorajszych wydarzeń i dzisiejszej rozmowy z George'em Mace wydawał się spokojny i zrelaksowany. Jednak Hank znał Kaia Masona na tyle długo, by wiedzieć, że nigdy nie był ani spokojny, ani zrelaksowany. Nawet odpoczywając, pozostawał czujny i patrzył nieruchomym wzrokiem.

Hank wiedział dlaczego, znał przecież historię jego siostry. Lee opowiedział mu ją ze szczegółami, dodając, że Mace niesłusznie obciążał się winą za jej śmierć. Hank wiedział też, że Stella nie miała o niczym pojęcia. Mace dał do zrozumienia, że opowie jej o tym sam, jak będzie gotów. I wreszcie, Hank przypuszczał, że skoro Stella rozmawiała z Prestonem Masonem, to pewnie już coś wiedziała i że zachowuje się tak, bo również obwinia Mace'a. W każdym razie tak myślał Mace.

– Tracę cierpliwość to do tej chujni – oznajmił Lee, przerywając myśli Hanka. – Trzeba będzie w końcu załatwić armię Cartera.

Hank ostrzegawczo pokręcił głową.

– Lee...

Brat odwrócił się do niego.

– W sobotę biorę ślub, Hank. I nie sądzę, żeby Indy chciała zostać poprowadzona do ołtarza w kamizelce kuloodpornej i kasku.

Racja. Indy by się wściekła.

– Może przełoż ślub? – zasugerował Hank.

Lee spojrział na niego twardo.

– Nie przełożę, kurwa, mojego ślubu.

Hank przyjrzał się bratu i szybko dał sobie spokój.

– Może nie powinieneś brać udziału w dalszej rozmowie – wtrącił się Mace, spoglądając na Hanka.

Hank spiał się i spojrział szybko.

– Nie po to poświęciłem temu śledztwu rok życia, żebyście teraz wszystko zjebali, gdy jesteście tak blisko. – Lee i Mace zeszywnieli, Hank mówił dalej. – Nie będziecie działać na własną rękę i nie spierdolicie sprawy. Nie ma opcji.

– Hank...

Spojrział na Lee.

– Nie ma opcji – powtórzył. – Działamy zgodnie z prawem.

Wiedział, że jego brat tego nie lubi. To niemal cud, że udało im się tak długo nic nie wywinąć – Lee nie lubił grać według zasad, a Kai Mason był mistrzem ich olewania.

– Jesteśmy bardzo blisko – przypomniał im. – I jak na razie działamy czysto. Nie spieprzmy tego.

– Dziewczyny... – zaczął znów Lee, a Hank znów mu przerwał.

– Wiem, co jest na szali, Lee – powiedział cicho. – Ale Carter polegnie, musi polec. I to nie może stać się po cichu. W tej chwili dziennikarze obserwują każdy nasz ruch i musimy przestrzegać prawa.

Lee spojrział na niego ciężko, Hank patrzył spokojnie.

Oczy Lee rozbłysły złością i Hank wiedział, że wygrał. I że Lee się to nie podoba. Wiedział też, że zyskał jedynie trochę czasu – jeśli wkrótce nie posadzą Cartera, Lee, Mace i ludzie Lee wyrzucą te zasady do kosza.

– Kurwa – wymruczał Lee, poddając się.

Zadzwoiła komórka Mace'a.

Hank patrzył, jak Mace wyjmuje ją z kieszeni, patrzy na ekran i wyraźnie nie podoba mu się to, co tam widzi.

– Tak? – warknął, odbierając. Ktoś zapukał do drzwi.

Lee rzucił ostro „wejść”, Mace powiedział „W Fortnum. Za godzinę”, a potem schował telefon i zacisnął usta.

Hank nie mógł spytać, o co chodziło, bo do pokoju wszedł Brody, informatyk Lee, i zawołał:

– Znalazłem trop!

Wszyscy popatrzyli na niego.

Błada twarz Brody'ego aż się świeciła. Wpadł do pokoju, nakręcony chyba kilkoma sporymi dawkami napojów energetycznych i przetworzonego jedzenia, wpakował swoje pulchne ciało na drugi fotel przed biurkiem Lee i poprawił na nosie okulary w ciemnej oprawie.

Brody był geniuszem informatycznym i tak też wyglądał. Hardware, software, podsłuch, programowanie, szukanie informacji, nic nie miało przed nim tajemnic. Był również, co Lee cenił najbardziej, hakerem.

Miał ciemne włosy i pryszcze, ponad trzydzieści lat, ale zachowywał się jak dwunastolatek. I nie dało się go nie lubić.

– Widzieliście? Znów jesteśmy na pierwszej stronie! Ale czad! – emocjonował się Brody.

– Zajebiste zdjęcie, jak Luke przerzuca przez poręcz jakiegoś gościa. Że mnie tam nie było!

Hank przysunął się do biurka i oparł o nie biodrem, krzyżując ręce na piersi.

– Co znalazłeś, Brody? – zapytał Mace, ale ten albo go nie słyszał, albo wołał zignorować. Teraz patrzył na Hanka.

– Dzisiaj piszą o Roxie i o tobie. Wszystko o waszym związku, co tylko wiadomo, po tym jak Vance przestrzelił rękę byłemu facetowi Roxie na imprezie u Daisy – wygłosił Brody. Zupełnie niepotrzebnie Hank przeczytał cały artykuł, gdy rano pił kawę z zaspną, marudną (ale nadal słodką) Roxie. – Dali jej super zdjęcie z jakiegoś konkursu piękności, jak jeszcze była w liceum. Ale była z niej

laska, nawet wtedy – ekscytował się Brody.

Hank wziął głęboki wdech. Brody płynął na fali i musieli poczekać, aż opadnie.

– Pisali też o Jules i Vansie. Totalny czad! Zrobili z niej superbohaterkę! Zapomniałem już, jak dawała czadu, dowlajac dilerom. Szkoda, że teraz będzie mamą, to było mega! – niosło Brody’ego.

– Brody, podobno znalazłeś trop? – wtrącił się Lee. Chyba tracił cierpliwość.

– Ciekaw jestem, kto im to opowiada. Mają wszystko! – Brody zignorował Lee.

– Trop – powtórzył twardo Lee.

– Jaki trop? – nie zrozumiał Mace.

– Jutro mają pisać o Avie i Luke’u – mówił dalej Brody.

– Brody, kurwa, przestań gadać o prasie i skup się. Trop! – Lee ostatecznie stracił cierpliwość, teraz mówił nie tylko twardo, ale i groźnie.

Brody zamilkł i zapatrzył się na niego.

W końcu powiedział:

– A, jasne. Pewnie. Tak, znalazłem. Mam trop.

Zamilkł i wszyscy trzej mężczyźni popatrzyli na niego.

– No? – ponaglił Lee, składając ręce na piersi.

– Nie trzeba było głęboko kopać, ale musiałem wciągnąć w to Kim – zaczął Brody.

Kim również pracowała dla Lee i też była specem od komputerów. Zajmowała się głównie poszukiwaniami, prowadziła też dochodzenia telefoniczne.

– No to tak – mówił dalej Brody. – Właścicielem the People Bank jest Canault Limited. Właścicielem Canault Limited jest SunPower. Właścicielem SunPower...

– W skrócie – przerwał mu Lee, który nauczył się już, jak radzić sobie z wylewnością Brody’ego, ale nigdy nie nauczył się cierpliwości.

– APM Holdings! – dokończył triumfalnie Brody i pokój wypełnił się wrogością, którą emanował Mace.

Wszyscy w tym gabinecie wiedzieli, że za międzynarodowym, multimiliardowym koncernem APM Holdings stoi Preston Mason.

– O co tu, kurwa, chodzi? – spytał Mace, patrząc na Lee.

Hank wiedział, że po porwaniu Stelli Lee kazał Brody’emu i Vance’owi się temu przyjrzeć. Brody umiał znaleźć ślad w internecie, Vance znalazłby wszystko inne. Lee chronił swoich ludzi; był świadom, że Preston Mason może stanowić poważne zagrożenie, i nie miał zamiaru ryzykować.

Hank nie wiedział za to, że Lee nie wtajemniczył w to Mace’a.

Lee patrzył na Brody’ego.

– Dobra, od początku, czyli to znaczy...

Brody zamrugał oczami.

– A, tak. The People Bank jest właścicielem hipoteki Trávisa i Sherry Gunnów.

– Rodziców Stelli – dodał Lee i wrogość w pomieszczeniu narosła.

Spokojna, zrelaksowana poza Mace’a zaczęła znikać. Nie poruszył się, ale widać było, jak stęzał.

– Tak jest – potwierdził Brody.

– Wyjaśnij – warknął Mace do Brody’ego. Ten spojrział na Mace’a i w jednej chwili zbladł jeszcze bardziej.

– Zalegają ze spłatą hipoteki. Siedem miesięcy. Bank wysłał im ostrzeżenie o przejęciu domu.

Spokój i relaks należały już do przeszłości – Mace zdjął nogę z kolana, nachylił się, oparł łokcie na kolanach i spojrział na Brody’ego.

Brody przełknął ślinę, ale mówił dalej.

– Ale robi się dziwniej.

– Tak? – Głos Mace’a był zwodniczo spokojny.

– Tak – odparł Brody. – Widzicie, rodzice Stelli mieli problemy już od jakiegoś czasu, właśnie tym zajmowała się Kim. Sherry Gunn zachorowała na raka, a oni nie mieli ubezpieczenia. Teraz są zadłużeni po uszy. Gdy The People Bank wykupił ich hipotekę, tonęli w długach. To był kiepski ruch, ale takie rzeczy dzieją się bez przerwy. Dziwne jest to, że chociaż zalegali ze spłatą hipoteki, nie płacili

innych rachunków, a ich zdolność kredytowa była żadna, to gdy poszli do banku, żeby zaciągnąć pożyczkę pod hipotekę, bank jej udzielił.

– Ja pierdzielę – wymruczał Lee.

– Jest jeszcze dziwniej – mówił dalej Brody, a Hank patrzył, jak Mace przymyka na chwilę oczy, odchyła się znów na oparcie fotela i świdruje wzrokiem Brody’ego. – To się nie stało wczoraj. Wszystko się zaczęło ponad rok temu. – Odwrócił się do Mace’a. – Mnie tu nie było, ale Kim mówi, że wtedy gdy zaczęłaś chodzić ze Stellą.

Hank patrzył, jak Mace przesuwając językiem po zębach za zaciśniętymi wargami, i wiedział, że to niedobry znak.

– Mace... – zaczął Lee, ale Brody już mówił dalej.

– Jest jeszcze dziwniej.

Mace zacisnął szczęki.

– Brody, po prostu powiedz – odezwał się szybko Hank.

– No więc, wygrzebałem to wszystko o rodzicach Stelli może w godzinę. Kim umie zadawać pytania, przyjaciele i sąsiedzi lubią pogadać, zwłaszcza jak ktoś jest chory, więc mieliśmy całą historię naprawdę szybko. – Brody zamilkł, przełknął ślinę, odwrócił się do Mace’a. – Rak jajnika. Od tego się zaczęło. Myśleli, że nad tym panują, ale są przerezuty. – Znów zamilkł i dokończył cicho: – Żle to wygląda.

Mace wciągnął powietrze przez nos, ale skinął Brody’emu, żeby mówił dalej.

– Nie wiem w sumie, czemu to zrobiłem. – Brody poruszył się niepewnie w fotelu. – Nie jestem takim detektywem jak wy, ale to było dziwne. No wiecie, kto by robił problemy kobiecie chorej na raka? Porywał córkę? – Mace wibrował wrogością, ale Brody dzielnie brnął dalej. – Dlatego zacząłem szukać głębiej i wtedy to się zrobiło naprawdę dziwne.

– Ja pierdołę, Brody, po prostu... – wciął się Lee.

– Już, już kończę! – Brody uniósł rękę. – Pamiętasz tego gościa, który się tutaj kręcił jakiś czas temu? Wziął się znikąd, spotykał z tobą, chciał inwestować w Nightingale Investigations, próbował namówić cię na filię?

– Tak – odparł Lee. Hank obserwował Mace’a i nie podobało mu się to, co widział.

– Spuściłeś go wtedy z wodą, ale mnie coś tknęło i zacząłem go sprawdzać. Tym razem trop był ukryty głębiej, ale się udało. Ten gość też ma powiązania z ojcem Mace’a.

Lee zerknął na Mace’a i wymruczał:

– Próba sił.

– Co? – nie zrozumiał Brody.

Lee znów spojrzał na niego.

– Masz coś jeszcze?

Brody pokręcił głową.

– Na razie tyle.

– Przekazałeś wszystko Vance’owi?

– Jasne.

– Kop dalej – odezwał się Mace, a Brody spojrzał na niego. – Sprawdzaj wszystko. Sprawdź Stellę, mnie, Lee, firmę...

– Luke’a – dodał Lee.

– Kurwa – wymruczał Mace.

Hank przymknął oczy. On też wiedział o Luke’u. Niełatwo będzie komuś to znaleźć, przeszłość Luke’a była pogrzebana w dokumentach, mocno pokreślonych czarnym markerem. Ale jeśli masz wystarczająco dużo pieniędzy, znajdziesz wszystko. A Prestonowi Masonowi pieniędzy nie brakowało.

Odezwał się Lee i Hank otworzył oczy.

– Szukaj wszystkiego, Brody. O wszystkich, każdym członku ekipy, każdej z dziewczyn. To teraz twoja misja. Śpisz z nią, jesz z nią, oddychasz nią. Ustal, czy Preston Mason do czegoś dotarł, czy znalazł dojście do kogoś z nas. Sprawdź nawet siebie.

– Mnie? – zdumiał się Brody.

– Ciebie. A jak już się dokopiesz – zakopuj. Wszystko, co znajdziesz ty, oni też mogą znaleźć. Jeśli jeszcze nie znaleźli, ty zakop to tak głęboko, żeby nikt do tego nigdy nie dotarł.

– Siedem lat – odezwał się Mace, a Brody patrzył na niego ogromnymi oczami. – Cofnij się o siedem lat.

Hank i Lee zeszywnieli.

– Mace – zaczął ostrzegawczo Lee.

– Nie mam nic do ukrycia.

– Masz.

– Nie przed nim.

Lee nic nie powiedział.

– On wie, że ja wiem – mówił dalej Mace ciężkim głosem. – Mam przewagę, Lee, i on to wie. Chce ją odzyskać. A przynajmniej chce, żebym milczał.

– O czym mówimy? – chciał wiedzieć Hank.

– O Caitlin – odparł Lee; Hank i Brody wstrzymali oddech.

Mace nigdy nie wspominał o swojej siostrze.

– Wiem, kto ją porwał. Wiem dlaczego – powiedział Mace. – Ten skurwiel był umoczony w jednej chujowej sprawie, zadarł z niewłaściwymi ludźmi i Caitlin za to zapłaciła. Teraz on nie chce, żeby to wypłynęło, i nie podoba mu się, że mogę to wykorzystać. Zaczął mnie rozgrywać i używa do tego Stelli. To pokaz siły, bogactwa. Chce sobie zapewnić moje milczenie. Chce mieć pewność, że może mnie kontrolować. Chce, żebym wiedział, że jeśli zacznę mówić, pożałuję.

Lee spojrzał na Brody'ego.

– Znajdź słaby punkt Prestona Masona.

– Ja mam jego słaby punkt – przypomniał Mace.

Lee spojrzał na niego.

– Chcę więcej.

Patrzyli na siebie, w końcu Mace skinął głową i odwrócił się do Brody'ego.

– Ile potrzeba, żeby spłacić zaległości na hipotecę?

– Sześć koła.

– Dam ci dane mojego konta bankowego. Zrobisz przelew. I chcę wiedzieć, ile wynosi reszta długów – zażądał Mace.

Brody wytrzeszczył oczy.

– Ja wiem i nie masz takich pieniędzy. Nikt nie ma takich pieniędzy.

Hank przysiadł na biurku.

– Zrzutka – oznajmił.

– Nie ma, kurwa, opcji – rzucił twardo Mace.

– Wchodzę. Pogadam z chłopakami – dodał Lee.

– To mój problem – warknął Mace.

– Nie. To problem Stelli – odparł Lee.

– Powiedziałem już: to mój problem – odpalił Mace.

Żaden z nich nie mógł zaprzeczyć. Taka była prawda.

– Panowie, nawet jeśli się wszyscy zrzucą, ten dół tylko mlaśnie. Jak mówię, że mają potężne długi, to wiem, co mówię – poinformował ich Brody.

– Niech Kim siada do telefonu, pogada z przyjaciółmi i sąsiadami, z miejscowym kościołem – polecił Hank.

– O kurde – sapnął Brody.

– Nie wkurwajcie mnie – warknął Mace.

– Nie chcemy cię wkurwiać – rzucił krótko Lee. – Ale wiem, że Stella siedziała w limuzynie Prestona Masona, sama i bezbronna, że on jej groził, a to mnie wkurwia. Ona jest twoją kobietą, ty jesteś członkiem mojej ekipy, przez co ta sprawa staje się również moja. Jeśli ktoś zadziera z tobą czy z nią, zadziera ze mną. A nikt, kurwa, nie będzie ze mną zadzierał. Mamy po uszy gówna z Carterem, nie chcemy, żeby twój ojciec jeszcze się do tego dokładał. Odetnę mu wszystkie dojscia. Jeśli to będzie

kosztowało, jebać to. Tam umiera kobieta, matka Stelli, a twój ojciec próbuje ich dojechać. Wszyscy w to wchodzimy. Pogódź się z tym.

I nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do Brody'ego.

– Znajdź mi coś na Prestona Masona, a jeśli wykona jakiś ruch, chcę o tym wiedzieć. – Brody siedział dalej, wpatrzony w niego, Lee się pochylił. – Działaj, Brody. Już.

Brody pokiwał szybko głową, zerwał się i prawie wybiegł z pokoju.

– Nie podoba mi się to – Mace znów siedział odchylony, pozornie zrelaksowany. Patrzył na Lee ostro i ze złością.

– Wiem o tym. Na twoim miejscu czułbym to samo. Przykro mi, Mace, ale nie masz wyjścia.

– To też mi się nie podoba.

– I będziemy mieli z tym problem? – spytał spokojnie Lee.

– Tak.

– Mace – wtrącił się Hank. – Wiesz, że Luke oberwał za Roxie.

Mace od razu zrozumiał, do czego zmierza, i odpalił:

– Został draśnięty.

– Bo miał szczęście. A mogło być znacznie gorzej – odparł Hank i Mace zacisnął usta – wiedział, że Hank miał rację. Hank mówił dalej. – Wiesz, co Eddie i Darius zrobili dla Indy. Wiesz, że gdyby to wypłynęło, Eddie miałby przejebane, a jego kariera ląduje w koszu. Eddie wycofał się z Marcusa, wściekał się, ale zrobił to dla Jet. A Jet postrzelono na twoich oczach i oboje wiemy, co to oznacza.

– Hank... – zaczął Mace, ale Hank mówił dalej.

– Wszyscy wiemy, co musiał zrobić Darius, żeby skończyć ten syf, który dopadł Jules. Wiemy, z czym musi żyć Hector, gdy spieprzył sprawę, chciał chronić honor Roama, przez co Jules prawie zginęła.

– Rozumiem – warknął Mace.

– Nie, nie rozumiesz – sparował Hank. – Dla ciebie to nowa sprawa, dlatego tłumaczę ci, że wiązanie się z dziewczyną oznacza, że musisz być gotów na poświęcenie i na to, że będziesz musiał żyć z decyzjami, które podjąłeś. Jedną z nich podejmujesz właśnie teraz.

W pokoju nadal wibrowało napięcie, trzech mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

W końcu Mace mruknął:

– Ja pierdolę.

Hank zerknął na Lee. Ten odetchnął i przeniósł wzrok na Mace'a.

– W nocy dzwonił Turner – obwieścił.

Mace odwrócił głowę do Lee i atmosfera w pokoju zrobiła się łatwopalna.

– Jest po naszej stronie – dokończył Lee.

– I co to, kurwa, oznacza?

– Że rozmawiał ze Stellą i niczego się nie dowiedział. Powiedział, żebym przyjrzał się twojemu ojcu i że Stella nic nie wie o twojej siostrze. Zakładam, że skoro rozmawiali, to zna podstawy i teraz ją to dręczy. Turner obiecał jej nic nie mówić. Wiem, że to też ci się nie podoba, ale ten gość to sojusznik. Zajmie się nią.

– Zabieram ją do domu – odpalił Mace.

– Wstrzymaj się – poradził Lee.

– Nie ma, kurwa, mowy.

– Jak ją zabierzesz, sprowokujesz ojca. Nie potrzebujemy tego w tej chwili.

Mace wahał się ułamek sekundy, zerwał z miejsca i wybuchnął.

– Kurwa mać!

Hank spiął się, wściekły Mace był praktycznie nie do opanowania, nawet on i Lee mogliby nie dać rady.

– Spokojnie, Mace – odezwał się cicho Hank.

– Jebać to. Ja w to nie gram – warknął Mace i widać było, że powstrzymuje się z całych sił.

– To nie będzie mądre – ostrzegł Lee.

Mace stał wyprostowany, spięty i wściekły. A potem nagle się rozluźnił. Wciągnął powietrze

przez nos i na jego twarzy rozlał się powolny uśmiech.

– Będę mądry – powiedział cicho.

A potem ruszył do wyjścia. Lee spojrzął na Hanka, ten zawołał:

– Dokąd idziesz?

Mace odpowiedział, nie odwracając się:

– Muszę dorobić klucze.

A potem wyszedł.

Roxie

Siedziałam na kanapie w salonie, z papeterią na kolanach. Niedokończony list do przyjaciółki w Charleston leżał obok, Shamus, nasz czekoladowy labrador, spał zwinięty w wielkim pośłaniu przed kominkiem.

Po raz pierwszy od kilku dni byłam w domu. Okna frontowe wymieniono, wszędzie zainstalowano kamery, na drzwiach i oknach był nowy system alarmowy. Vance nauczył mnie, jak go obsługiwać, gdy mnie przywiózł do domu.

Siedziałam i patrzyłam na okno, a raczej na zaciągnięte w tym oknie zasłony (również sugestia Vance'a).

Nie myślałam o liście.

Myślałam o Hanku.

A raczej o tym, co Hank powiedział mi trochę wcześniej.

Ale im dłużej o tym myślałam, tym niecierpliwiej czekałam na jego powrót, więc zaczęłam myśleć o Masie.

A konkretnie o tym, jak wszedł w ciągu dnia do księgarni, gdzie byli już Tex, Duke i wszystkie rockowe laski (z wyjątkiem Shirleen, która odbierała telefony w NI, i Jules, która była w azylu). Była również Stella z tym nowym gościem, Erikiem, i choć wcale nie chciałam, musiałam przyznać, że Eric był naprawdę zabójczy.

Myślałam o tym, jak Mace podszedł do niej i bez słowa oddał jej klucze od mieszkania.

A konkretnie o tym, jak wyglądała Stella, gdy Mace odwrócił się i wyszedł.

A jeszcze konkretniej, jak Ally dostała szału, wyleciała za Mace'em, wrzeszczała na niego przed księgarnią, a my wszyscy w środku staliśmy i gapiliśmy się na tę scenę.

Nazwała go „jebanym macho-idiotą”, wykrzyczała mu słowa piosenki „And So It Goes” i powiedziała, że Stella śpiewała to dla niego wczoraj. Zapędziła się tak daleko, że pchnęła go mocno w ramię i wrzasnęła „Co jest, kurwa, z tobą nie tak?!”.
Wtedy Mace, który chyba miał dość, podniósł ją, zarzucił sobie na ramię i zaniósł z powrotem do księgarni, postawił na podłodze, a potem odwrócił się i wyszedł.

Stella zbladła jak ściana, gdy Mace wrócił i nawet nie spojrzął w jej stronę.

Ally gapiała się wściekła na drzwi i oznajmiła: „Elektrowstrząsy. Tylko to doprowadzi go do przytomności”.

Wtedy Stella ocknęła się, szepnęła do Erica „przepraszam” i wbiegła między regały.

Daisy i Indy poleciały za nią.

Ava i Jet rzucił się na Ally.

A ja gapiałam się na Erica, który patrzył tam, gdzie zniknęła Stella.

Podeszłam do niego i powiedziałam:

– Wszyscy tutaj jesteśmy trochę szurnięci.

Spojrzał na mnie ciemnymi oczami i wtedy uzmysłowiłam sobie, że tak, jest naprawdę seksowny.

– Wiem – odparł z lekkim uśmiechem. – Czytam gazety. Miss hrabstwa Hendrick?

Jezu.

Mogłabym ukatrupić tego, kto wypaplał to wszystko dziennikarzom.

– Stare dzieje – rzuciłam.

– Mieli pokaz w strojach kąpielowych?

Zmrużyłam oczy i oparłam rękę na biodrze.

– To był konkurs dla nastolatków, żadnych kostiumów, tylko strój sportowy.

Spojrzał cieplej, przez co wyglądał jeszcze seksowniej.

– To znaczy szorty.

Rany boskie.

– Przepraszam, ale czy nie lecisz czasem na Stellę? – wytknęłam opryskliwie.

– Bez szans – odparł spokojnie.

– Czyli próbujesz szczęścia gdzie indziej? – spytałam, przechylając ze złością głowę.

– Nie. Szukam tylko szczęśliwych myśli. A ty, w stroju sportowym, w szortach, jesteś jedną z nich.

Nie wytrzymam.

Nawet jeśli nie należał do brygady twardzieli, członkostwo miał w kieszeni.

Potem w jego oczach zgasło ciepło i flirt, spojrzał na mnie twardo, poważnie (tak jest, przyjęliby go bez wahania).

– Zadzwoń po jednego z waszych, bo ja mam pracę i muszę iść. Niech wiedzą, że Stella zostaje bez ochroniarza. – Skinęłam głową, on wstał i po drodze do drzwi odwrócił się do mnie. – Nie pokazuj jej gazet.

I poszedł.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, wujek Tex huknął na Duke'a:

– No?

– No co? – burknął Duke.

Wujek podniósł swoje wielkie łapy i huknął znowu:

– Najwyższy czas wyłożyć Stelli kawę na ławę!

Duke skinął głową i znów spojrzał na drzwi.

– Jak cholera. Ale nie ja jej będę wykładał.

– Zgadzasz się – powiedziała mocno Jet i wszyscy spojrzeli na nią.

Jet podzieliła się z nami całą tą straszliwą i przejmującą historią Mace'a i jego siostry – i wszyscy usłyszeliśmy, że mamy nie wygadać się z tym przed Stellą. Bezpośredni nakaz od Mace'a, który Lee przekazał Indy, która z kolei przekazała go wszystkim dziewczynom. Jet się to nie spodobało, a w tej chwili wyglądała, jakby miała stracić cierpliwość.

– Nie puszczasz pary z gęby, Loopy Loo – ostrzegł ją Tex.

– Ktoś w końcu musi...

– Nie ty.

– Ale... – upierała się Jet.

– Bez gadania. Bierz się do roboty – polecił Tex, chociaż akurat mieli przestój i przy stolikach siedziało tylko parę osób. Wyjątkowa sytuacja, biorąc pod uwagę, co się tutaj działo przez ostatnie dni po wszystkich tych reportażach o rockowych dziewczynach i brygadzie twardzieli.

Jet spojrzała twardo na wujka Texa.

Wujek spojrzał twardo na nią.

Jet zrobiła zaciętą minę, co zwykle nieźle działało.

Ale jeszcze nikt nie przebił w minach wujka Texa. Gość był szalony.

– Dobra – poddała się. – Ale daję mu dobę.

– Jet, słonko... – zaczął Duke delikatnie.

– Jeden dzień – warknęła i poszła za bar.

Duke rzucił wujkowi Texowi spojrzenie, które miało chyba oznaczać „dzwonicz do Mace'a”, ale obawiałam się, że Mace ma to gdzieś.

Wyjęłam telefon z torebki, wcisnęłam boczny przycisk, przyłożyłam do ucha i powiedziałam imię Hanka. Odebrał od razu.

– Co tam, słońce? – Jego głęboki głos jak zawsze przeszył mnie dreszczem.

Powstrzymałam drżenie i powiedziałam.

– Nie jest dobrze. Przed chwilą mieliśmy tutaj scenę: Stella przyjechała do księgarni jakiś czas

temu, powiedziała, że zadzwoniła do Mace'a, żeby oddał jej klucze, a on powiedział, że spotkają się w Fortnum. Mace wszedł, dał jej klucze, nawet na nią nie patrząc, nic nie powiedział i wyszedł. Ally dostała szału, zaczęła na niego wrzeszczeć przed księgarnią, Mace nawet nie mrugnął. Stella zdenerwowała się, pobiegła za regały, a ten jakiś Eric musiał wyjść i powiedział, żeby cię powiadomić, że go już nie ma.

Potem przerwałam i zniżyłam głos do szeptu.

– Nie mogę w to uwierzyć, Whisky, ale wygląda, że to naprawdę koniec! Mace zachowywał się, jakby jej nie znał, a Stella jest w tym samym stanie, w jakim była wczoraj na koncercie. Martwię się.

– Oddał jej klucze? – spytał Hank.

– Tak, bez słowa. Może nigdy nie był bardzo wylewny, ale zawsze lubił być przy niej blisko, a dziś nawet jej nie dotknął. Nawet nie podszedł. To tak zupełnie nie pasuje do brygady twardzieli!

– Nie przejmuj się – powiedział Hank, zupełnie niewzruszony.

Próbowałam mu wytłumaczyć, nie wiem czemu, może uważałam, że wtedy on jakoś dotrze do Mace'a. Zawsze myślałam, że Hank może wszystko.

– Nie rozumiesz, Whisky. Stało się coś złego. Stella powiedziała nam...

– Nie przejmuj się.

– Hank!

– Słońce, nie przejmuj się i nie mów nikomu, zwłaszcza Ally, tego, co ci za chwilę powiem.

Zamilkłam.

Hank uznał to za zgodę i mówił dalej.

– Spędziłem z Mace'em cały poranek. Wie, co się działo ze Stellą. Wychodząc z gabinetu Lee, powiedział, że idzie dorobić klucze. Wszystko jest w porządku.

Odetchnęłam z ulgą.

Mace nie oddał jej kluczy.

Dał jej dorobiony komplet.

Uśmiechnęłam się do siebie.

– Wrócę późno – dodał Hank – ale chciałbym, żebyś zaczekała. Chłopaki są wprawdzie zajęci, ale będą patrolować okolicę, mimo to od czasu do czasu do mnie zadzwoni.

– Dobrze.

– Nie wypuszczaj Shamusa. Wyjdę z nim po powrocie.

– Dobrze.

A potem powiedział miękko, łagodnym głosem:

– Do zobaczenia, kochanie.

– Do zobaczenia.

– Kocham cię – dodał.

Zastygłam, ale nie zdążyłam nic odpowiedzieć; rozłączył się.

A ja zostałam z telefonem przy uchu, gapiąc się w podłogę.

– Roxie, wszystko w porządku? – spytała Ava.

Nie zareagowałam.

Hank jeszcze nigdy nie powiedział mi, że mnie kocha. I tak wiedziałam. W każdym razie, myślałam, że tak jest. Ale nigdy mi nie powiedział.

A skoro on nie mówił, to ja również.

Dobry Boże.

– Roxie? Wszystko w porządku? – powtórzyła Ava, teraz już bliżej mnie.

Podniosłam na nią oczy.

– Hank powiedział mi właśnie, że mnie kocha – wyszeptałam.

– Tak? No i co? – spytała Ally, podchodząc również.

– Po raz pierwszy.

Ava i Ally spojrzały na siebie zaskoczone.

– To mu się nie spieszyło, co? – rzuciła Ally w przestrzeń.

– A ja nie zdążyłam mu odpowiedzieć.

– Też jeszcze mu nie mówiłaś? – zdumiała się Ava.

Pokręciłam głową.

– Następna wyhamowana – zauważyła Ally.

Spojrzałam na nią zmrużonymi oczami.

– O, przepraszam! Ostatni gość, któremu wyznałam miłość, stanął pod moimi drzwiami z młotem dwuręcznym, pobił mnie, porwał i prześladował. Może zrobiłam się w tej kwestii nieco płochliwa?

– Hank nigdy by czegoś takiego nie zrobił – wytknęła Ally.

– Wiem.

– To z czym masz problem?

Spięłam się.

– A ty? Wściekasz się cały dzień. Zdenerwowałaś Stellę!

– Tak mi przykro! Już rozumiem Shirleen. Moi bracia i przyjaciele mają, jak może wiesz, cały czas kupę problemów, nie potrzebują dzikich jazd rockowych dziewczyn. To się robi żałosne.

– Zaczekaj, aż przyjdzie kolej na ciebie, Ally Nightingale – zaczęła się bronić Ava.

– Nic z tego. Nie ma, kurwa, opcji – odpaliła Ally.

– I skąd to wiesz?

– Bo został już tylko jeden facet, nie licząc Dariusa. Dariusz nie pieprzy białych kobiet i jest jak brat – odparła Ally. – A między mną i Hectorem do niczego nie dojdzie, bo znamy się od piaskownicy. Traktuję go jak kuzyna.

– Czyli tak naprawdę chcesz nam powiedzieć – wtrąciła się Jet, która właśnie wróciła – że się wściekasz, bo nie będziesz miała swojego przystojniaka?

Uśmiechnęłam się do Avy, a ona do mnie.

Ally popatrzyła na Jet ze złością.

– Nie, tak naprawdę chcę wam powiedzieć, że nie pakowałabym się w kupę problemów. A gdyby do tego doszło, tobym się nimi zajęła. Nie pozwoliłabym jakiemuś facetowi wsadzać nosa w moje sprawy, szlag by mnie trafił, gdyby to zrobił. Jakiś cholerny macho twardziel miałby mnie rozstawiać po kątach, robić mi zamęt w życiu i wodę z mózgu? Nie kupuję tego. Gdyby jakiś gość spróbował, szybko by się przejechał.

Parsknęłam śmiechem, zarażając Avę i Jet.

– Serio, laski, nic z tego – wbiła się Ally w nasz śmiech.

– Nie mogę się już doczekać, aż jakiś facet wedrze się w twoje życie i będziesz musiała odszczekać swoje słowa – odezwała się Ava.

– Nic z tego.

– Przegrana sprawa – zauważyłam.

Odwróciła się do mnie i warknęła:

– A możemy przestać o tym gadać?

– Jasne – rzuciłam lekko.

– Jak myślisz, kto to będzie? – zwróciła się Jet do Avy.

– Nie rozmawiamy o tym – przypomniała Ally.

– Ten Eric jest całkiem niezły – zauważyła Ava.

– Wal się – warknęła do niej Ally i ruszyła ostro do baru, stanęła w połowie drogi, zobaczyła wujka Texa uśmiechniętego od ucha do ucha, odwróciła się na pięcie i poszła w stronę księżek.

Spojrzałyśmy na siebie i znów wybuchłyśmy śmiechem.

Ten paroksyzm wesołości przerwał dźwięk dzwoneczka – do księgarni wpadł Tod z dzikimi oczami.

Nic dziwnego. Był oficjalnie nieoficjalnym koordynatorem ślubu Indy, a do ślubu pozostało pięć dni. Tod był w amoku.

– Wydaje wam się, że skoro na was polują, to możecie olać przygotowania? – wrzasnął piskliwie. Indy, Daisy i Stella akurat wróciły zza regałów, spojrzał na Indy i znowu wrzasnął: – Dziewczyno, jest kupa roboty!

– Wiem, Tod. Spokojnie – odparła Indy.

Wzniósł ręce w górę.

– Spokojnie?! Nie, nie będę spokojny! Trzeba potwierdzić wszystko z firmą cateringową. Trzeba ostatecznie ustalić, kto gdzie siedzi. Trzeba zapakować ręcznie robione trufle, bo mają być pamiątką dla gości. I w ciągu półgodziny ktoś musi nauczyć się kaligrafii i wypisać ręcznie winietki na stół!

– A nie ustaliliśmy, że wydrukują je na komputerze? – wtrąciła nierozważnie Ava.

– Ty ustaliłaś. Ja nic takiego nie ustalałem. Winietki wypisuje się ręcznie! Wszyscy to wiedzą!

– krzyknął Tod.

Dzwoneczek zadzwonił znowu i Annette zawołała:

– Yo, laski! Kogoś dzisiaj porwali lub zastrzelili?

Zanim ktoś zdołał odpowiedzieć, rzucił się na nią Tod.

– W czym przychodzisz na ślub?

Annette, zaskoczona tym atakiem, odparła:

– Jeszcze nie wiem, słodziaś. Plan jest taki, że wypalę jointa i wtedy mnie natchnie.

Tod poczerwieniał i myślałam, że głowa mu eksploduje.

– Jeśli przyjdiesz na ślub zjarana, zastrzelę cię – ostrzegł.

– Gościu, ja zawsze chodzę na śluby po trawce. Inaczej nie daję rady. Śluby to straszna nuuuda – odcięła się Annette i spojrzała na Indy. – Bez urazy.

– Spokojnie – uśmiechnęła się Indy.

Tod dał spokój Annette i spojrzał groźnie na przyszłą pannę młodą.

– Musimy zwołać zebranie w sprawie ślubu. Teraz – oznajmił. – Niech ktoś dzwoni do chłopaków, powie, że potrzebujemy eskorty. Zebranie odbędzie się u ciebie i Lee za półgodziny.

– Szkoda cię mocno. Jet, Ally i Indy pracują. Teraz mamy przestój, ale w każdej chwili mogą się tu zwalić tłumy – wtrącił się Tex.

– I co z tego? – rzucił się Tod. – Ślub jest priorytetem!

– Nie wtedy, gdy finansują go hektolitry sprzedanej kawy, przygłupie – zahuczał Tex.

– Nie nazywaj mnie tak!

– Przygłup!

– Boże – mruknęła Daisy.

– Dobra, zanim krew się tutaj poleje, chcę się tylko upewnić, że przyjdziecie jutro wieczorem na otwarcie mojego sklepu – wcięła się Annette. – Musicie totalnie przyjść! Będą krakersy i ser w tubce, i w ogóle!

Niewzruszony serami w tubce, Tod zwrócił się do Annette:

– Nikt nie przyjdzie na twoje otwarcie, dopóki wszystkie karty z odpowiedziami nie zostaną policzone, nie zadzwonimy do cateringu, nie będziemy mieli pewności, kto gdzie siedzi na weselu, a na talerzach nie będą leżały wypisane ręcznie winietki i pudełeczka z trufkami i kokardkami, do diabła! – warknął Tod i wskazał palcem Indy. – Za trzydzieści minut. U ciebie.

I wyszedł.

– O rany – westchnęła Stella.

– No dobra – odezwała się Daisy. – Dobra, Indy, zadzwoń do Lee i powiedz mu, że potrzebujemy eskorty. Jet i Ava, wy zostajecie tutaj, pilnujcie biznesu. Ja dzwonię do Jules, żeby przyszła z May, jak skończą pracę. Indy, Ally, Roxie, Stella i Annette: spotykamy się u Indy i działamy z Todem.

– Odwróciła się do Annette. – Nigdy w życiu nie przegapilibyśmy twojego otwarcia, skarbie.

– No to sztos – uśmiechnęła się Annette.

Daisy popatrzyła na Stellę.

– Pogadamy u Indy o spotkaniu z Dixonem Jonesem. Nie miał problemu z odwołaniem spotkania, skoro zostałaś porwana i tak dalej, ale trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Stella popatrzyła na Indy, a ta wyciągnęła do niej rękę i uścisnęła.

– Do roboty! – podsumowała Daisy.

Spędziłam całe popołudnie, pakując trufle i kłócąc się z Todem o usadzenie gości przy stole.

Stella z kolei kłóciła się z Daisy i Shirleen (przez telefon) o Dixona Jonesa.

Po siedemnastej przyjechały Jules i May.

Po osiemnastej pojawili się Roam i Sniff (wychowankowie Jules z azylu, którzy zamieszkali u Shirleen po zakończeniu całej dramy Jules) z trzema wielkimi pudłami pizzy.

Po dziewiętnastej przyjechała Shirleen z futerałem i oznajmiła, że Roam i Sniff oficjalnie zaczynają ze Stellą lekcje nauki gry na gitarze.

Koło dwudziestej Stella z chłopakami poszli na górę do pokoju telewizyjnego, skąd zaczęły dobiegać dźwięki gitary.

O dwudziestej trzydziestej przyjechał Vance, żeby odwieźć wszystkich do domu.

Zanim przyjechał, udało nam się dokończyć przygotowania, a także zrobić zebranie i omówić wszystkie szczegóły.

W międzyczasie dwa razy zadzwoniłam do Hanka, a potem, już w domu, próbowałam napisać kilka listów, żeby się uspokoić.

Nie zadziało.

Było grubo po jedenastej, a ja wciąż byłam podminowana.

Drgnęłam, gdy otworzyły się drzwi wejściowe, rzuciłam papeterię z długopisem na stolik i poszłam do wyjścia. Hank gwizdnął na psa.

Minęłam drzwi do kuchni i zobaczyłam, jak stoi ze smyczą w ręku.

Spojrzał na mnie i w oczach miał uśmiech.

– Cześć, kochanie – powiedział jak każdego dnia, gdy wracał do domu, a ja nie spałam.

– Cześć, Whisky – odparłam jak każdego dnia, gdy nie spałam, jak on wracał do domu.

Wprowadzając się do niego, myślałam, że nie zdołam dopasować się do normalności. Że mój były facet, Billy, na zawsze pozbawił mnie tej umiejętności. Normalny związek. Codziennosc. Zwyczajne życie ze zwyczajnym (choć seksownym) gościem, w zwykłej dzielnicy, ze zwykłym psem. Myślałam, że utraciłam tę normalność na zawsze.

Jednak normalność z Hankiem nie była normalnością przeciętną.

Była nadzwyczajna.

I wpasowałam się w nią bez problemu.

Podszedł, objął mnie w pasie, pochylił się i przywarł ustami do mojej skroni.

– Jak ci minął dzień? – spytałam cicho, patrząc na jego ciemne włosy, zawijające się na mocnym karku.

Pewnie powinnam przypomnieć mu o wizycie u fryzjera, zwłaszcza przed ślubem brata, ale nie miałam zamiaru tego robić. Hank miał piękne włosy, mocne, miękkie i falujące, i lubiłam, gdy robiły się troszkę dłuższe. Bardzo lubiłam.

– Na szczęście minął – odparł i ścisnął mnie w talii. – Wyjdę z Shamusem – wymruczał w moją skroń i znowu mnie pocałował. – Do zobaczenia w łóżku.

Skinęłam głową, czując ciepło w żołądku i potarłam policzkiem o jego policzek. Hank odsunął się i przypiął smycz Shamusowi, podekscytowanemu perspektywą spaceru. Wyszli.

Umyłam twarz tonikiem, zwinęłam włosy w niedbały węzeł na czubku głowy, włożyłam blad różową koronkową koszulkę, położyłam się do łóżka i czekałam.

Nadal podminowana.

Usłyszałam otwieranie drzwi, potem pazury Shamusa na deskach podłogi w pokoju, potem w kuchni, w końcu ciszę, gdy szedł po dywan w pokoju telewizyjnym. Dotarł do drzwi sypialni, wpadł do środka i wskoczył na łóżko. On lizał mnie po twarzy, a ja drapałam go za uszami.

Wszystko jak zwykle.

Hank zjawił się w pokoju z mniejszym impetem.

– Shamus – powiedział cicho i pies odsunął się, zaczął krążyć po łóżku. Znał je na pamięć, ale i tak obwąchiwał co wieczór. W końcu położył się w nogach, wystawił język i patrzył na Hanka.

– Hank... – zaczęłam.

Po raz pierwszy od miesiąca spędzonych z Hankiem nie wiedziałam, co robić.

Nie możesz tak po prostu wypalić komuś w twarz, że go kochasz.

No dobra, możesz, ale nie robisz tego.

O Boże.

– No? – spytał Hank, zdejmując T-shirt.
– Mm... – Zawahałam się. – Prosiłeś, żebym nie szła spać?
Rzucił T-shirt na podłogę, siadł na brzegu łóżka, zdejmował buty.
– Tak.

– Czemu?
Zdjął jeden but, a potem drugi, wciąż tyłem do mnie.
– Bo chciałem się z tobą pieprzyć.

Aż mnie zatkało.

Przez miesiące mieszkania razem kochaliśmy się bardzo często. To nigdy nie było zwyczajne, zawsze wyjątkowe i nigdy się nie zmieniło.

Nienormalna była jedynie prośba, żebym nie spała.

– Zwykle nie masz problemu, żeby mnie budzić – przypomniałam mu.

Już bez skarpetek odwrócił się do mnie, rozpiął pasek. Miałam doskonały widok na jego pierś, moją ulubioną część jego ciała. Jeśli nie liczyć oczu. I ust. I innych partii.

– Chciałem, żebyś była rozbudzona, słońce – uśmiechnął się szeroko.

– Czemu?

Zamiast odpowiedzieć, poprosił miękko:

– Zdejmij koszulkę, Roxie.

Przebiegł mnie dreszcz, ale nie poruszyłam się.

Czułam się dziwnie. Przyjemne, elektryzujące uczucie, pełne oczekiwania.

– Dlaczego chciałeś, żebym była rozbudzona?

– Roxanne, zdejmij koszulkę.

– Hank...

– Już – polecił i ściągnął dżinsy.

Na widok innych partii jego ciała (a zwłaszcza jednej), które bardzo lubiłam, zdjęłam koszulkę.

Hank przyglądał mi się.

I już po chwili był przy mnie.

Ujeżdżałam go, opierając kolana na łóżku i odchylając głowę, Hank był głęboko we mnie, z twarzą wtuloną w moją szyję, z rękami na moich plecach.

Unosiłam się i opadałam. Gdy przekreśliłam twarz, żeby na niego spojrzeć, oderwał się od mojej szyi, a ja go pocałowałam.

Oddał pocałunek, nasze języki splotły się. Potem dłonie Hanka powędrowały na moje biodra, uniósł mnie, wbił mocniej palce i ściągnął mnie w dół.

Poczułam rozkosz i jęknęłam cicho w jego usta.

Wbiłam się mocniej w jego biodra, napięłam pewne ukryte mięśnie i teraz on jęknął.

To był ten moment.

– Kocham cię – wyszeptałam.

Z rękami na moich biodrach, Hank spojrzał mi prosto w oczy.

– Dobrze, że to mówisz, słońce – odszepnął.

Uśmiechnęłam się.

Opadł na plecy i nadal mnie obejmując, pociągnął za sobą.

Nie wychodząc ze mnie, przekreślił nas na bok, otworzył szufladę szafki nocnej i wyjął granatowe aksamitne pudełeczko.

Patrzyłam, jak kciukiem podnosi wieczko, i spostrzegłam błysk pośród błękitnego jedwabiu.

Wyjął pierścionek.

Rzucił pudełeczko na szafkę i usiadł, wciąż we mnie. Prawą ręką ujął moją lewą dłoń i wsunął mi pierścionek na palec.

Siedziałam nieruchomo, patrząc na pojedynczy diament.

Nie był ani za duży, ani za mały.

Normalny pierścionek zaręczynowy z brylantem.

Taki w sam raz.

– Jeśli pozwolisz Todowi zająć się planowaniem naszego ślubu, zabieram go – powiedział Hank. Patrzyłam na niego przez jedną, dwie, trzy sekundy, a potem wyszeptałam ze łzami w oczach.

– Nigdy go nie zabierzesz.

Hank uśmiechnął się i zaczęliśmy się całować.

A potem przekręcił mnie na plecy.

Gdy już skończyliśmy i nasze oddechy się wyrównały, Hank wysunął się ze mnie i położył na boku. Z ręką na moim brzuchu, nogą na mojej nodze, z twarzą wtuloną w moje włosy.

Shamus, który wyszedł z łóżka, gdy zaczęliśmy się kochać, teraz wrócił. Pokręcił się chwilę i położył tam, gdzie zawsze, wzdłuż mnie.

Obaj chłopcy Nightingale'a leżeli po obu moich stronach.

Przesunęłam kciukiem po pierścionku, upewniając się, że nic mi się nie przywidziało.

Poczułam chłodne, solidne, szczere złoto.

Nie miałam omamów.

Przekręciłam głowę, dotknęłam ustami warg Hanka i uśmiechnęłam się.

– Szczęśliwa? – wymruczał w moje usta.

Skinęłam głową.

Pocałował mnie lekko.

Poczułam, jak powstrzymywane łzy wypływają mi z oczu.

Hank też je poczuł.

– Jezu, jesteś stuknięta – wymruczał, obejmując mnie mocniej.

– Nie mów tak – szepnęłam ochrypłym głosem.

– Przepraszam cię, słońce, ale naprawdę jesteś – odparł. – Ale to dobrze.

Zignorowałam to. Mówił, że jestem stuknięta prawie codziennie.

I z jakiegoś szalonego powodu naprawdę uważał, że to dobrze.

– Zadzwońię do mamy – powiedziałam.

– W Indianie jest druga w nocy.

– Zaufaj mi, nie będzie miała pretensji.

Tak by było.

Trish Logan nie posiadałaby się ze szczęścia.

Trish Logan zwołałaby nagłe zebranie w kościele, żeby cała wspólnota mogła dziękować Bogu, że jej córka, Roxanne Giselle znalazła wreszcie dobrego, porządnego, uczciwego mężczyznę.

– Zadzwońisz rano.

– Whisky...

Objął mnie bardzo mocno.

– Roxanne, zadzwonisz do niej rano – powtórzył. – Ta noc jest wyłącznie nasza.

Wciągnęłam powietrze.

– Dobrze – powiedziałam tylko.

Odwrócił mnie do siebie, podniósł głowę i wtulił w moją szyję.

A ja objęłam go, bardzo mocno.

Shamus zrozumiał aluzję i zszedł z łóżka.

Rozdział 17

Z nami w porządku

Stella

Na przemian zapadałam w sen i budziłam się.

Gdy się budziłam, oceniałam moje zasoby i kombinowałam, ile hajsu mogłabym wysłać rodzicom (odpowiedź brzmiała „niewiele”).

Gdy przysypiałam, śniły mi się latające trufle, wybuchające konfetti, Dixon Jones w paroksyzmie śmiechu, Preston Mason, który podsuwa mi komiks ze strasznymi scenami morderstwa, i twarz Mace’a wypełniona bólem.

Dźwięk klucza w drzwiach wyrwał mnie z tych majaczeń.

Juno poruszyła się, potwierdzając, że nic mi się nie przyśniło, przekręciła się na brzuch. Leżała w nogach łóżka, więc w tej ciemności jej nie widziałam, ale na pewno miała podniesiony łeb i patrzyła na drzwi z postawionymi uszami.

Oceñałam sytuację. Ja pitole. Padłam spać bez telefonu przy sobie. Nie miałam broni, której i tak nie umiałabym użyć. Dom stał z dala od innych, Swen i Ulrika byli na wakacjach.

Nikt nie usłyszy mojego krzyku.

Drzwi się otworzyły, zapiszczał alarm, Juno zeszła z łóżka.

Byłam tak sztywna ze strachu, że mogłam tylko słuchać, jak ktoś naciska przyciski i piszczenie milknie.

W tej panice nie dotarła do mnie jedna ważna rzecz: gdy piszczenie ustało, jedynym dźwiękiem był brzęk breloczka Juno przy obroży.

Innymi słowy: mój pies nie zaszczekał.

Powinno mi to dać do myślenia.

Ale byłam zbyt zajęta wyobrażaniem sobie, że któryś z chłopaków Lee, może Mace, znajduje mnie martwą w łóżku. Wygląda, jakbym spała, ale mam odstrzelony tył głowy.

A potem usłyszałam, jakby ktoś się rozbierał, o deski podłogi uderzyła ciężka klamra od paska.

Matko jedyna.

Najpierw chce mnie zgwałcić, potem zastrzeli.

Dobra, może i zginę, przy moim parszywym szczęściu to było bardzo prawdopodobne.

Ale nikt nie będzie mnie gwałcił.

Nic z tego.

Nie.

Walić to.

Ktoś podszedł do łóżka; leżałam nieruchomo, czekając na odpowiednią chwilę. Kołdra zsunęła się powoli z mojego ramienia, materac ugiął się pod ciężarem – a ja przekręciłam się szybko.

Leżąc na plecach w poprzek łóżka, podniosłam nogi, wycelowałam w wielki cień, który chyba przykląkł na łóżku – i kopnęłam obiema nogami prosto w jaja.

Usłyszałam bolesny jęk, cień odchylił się, a ja przeturlałam się po łóżku, żeby pobiec w stronę panelu i przycisku alarmowego.

– Na pomoc! Niech mi ktoś pomoże! – wrzasnęłam, choć wiedziałam, że nikt mnie tu nie usłyszy.

W głębi ducha liczyłam na łut szczęścia.

Może jakiś eks-komandos z superczujnym słuchem i imponującą kolekcją medali biegał właśnie po okolicy, odpędzając nocne koszmary? Może mnie usłyszy, wpadnie do środka i uratuje?

Z tą myślą zeskoczyłam z platformy w stronę drzwi, ale ktoś złapał mnie w pasie i poleciałam w drugą stronę.

Wylądowałam na łóżku, napastnik zważył się na mnie.

– Spierdalaj! – wrzasnęłam mu prosto w twarz, wijąc się, kopiąc i wrywając.

– Jezu, Stella, spokojnie! – warknął Mace zduszonym głosem.
Znieruchomiałam i zagapiłam się na jego twarz, nadal w cieniu.

– Już? – spytał.

Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt zaskoczona.

Skinęłam jedynie głową.

Musiał to zobaczyć albo usłyszeć, bo zszedł ze mnie; leżał teraz na plecach, z nogami ugiętymi w kolanach.

– Niech mnie, ale ty kopiesz – wymruczał.

Przekręciłam się na bok, wsparłam na łokciu. Wzrok przyzwyczał się do ciemności i widziałam, że trzyma się rękami za brzuch.

– Myślałam, że chcesz mnie zgwałcić – powiedziałam.

Mace odwrócił do mnie głowę i poczułam na sobie jego wzrok. Atmosfera w pokoju zmieniała się, wcale nie na lepsze.

– Skąd, kurwa, taki pomysł? – warknął, wciąż głosem pełnym bólu.

– Uznałam, że jesteś kryminalistą, którzy przyszedł mnie zabić, po tym jak już mnie zgwałci.

Atmosfera oczyściła się z napięcia.

– Kryminaliści nie znają kodu do twojego alarmu, skarbie.

Hm.

Tu miał rację (miejmy nadzieję).

– Wszędzie są kamery. Wiedzielibyśmy, że tu jest, zanimby otworzył drzwi. Dostałabyś telefon z ostrzeżeniem.

Hmm.

W przerażeniu kompletnie zapomniałam o kamerach.

– I nie miałby klucza, do diabła – mówił dalej.

– Ty też nie masz – przypominałam.

– Kociątko. – Jego głos był teraz łagodny i delikatny. – Sądysz, że oddałem ci klucze?

Mój oddech wybrał się na wycieczkę po Route 66.

O czym on do mnie mówił?

– Oddałeś mi klucze w Fortnum.

– Oddałem ci komplet kluczy. Dorobiłem.

Mój oddech zameldował się w motelu z basenem.

– Dlaczego? – zapytałam bez tchu.

– Żebym mógł wejść, gdy nadejdzie czas, żeby wrócić do domu pod koniec dnia.

Oparłam się na łokciu i spojrzałam na niego.

W moim mózgu wirowało tysiące myśli.

Zatrzymał się na jednej.

Mace wrócił.

Zerwałam się.

Mace albo jeszcze nie doszedł do siebie, albo był zbyt zaskoczony, że w jednej chwili leżę sobie spokojnie, a w drugiej rzucam się na niego, bo nie zareagował.

Dzięki temu mogłam go całować, dotykać i smakować. Odkryć, że wciąż ma na sobie bokserki, i zdjąć je z niego.

Mace przestał leżeć nieruchomo i zrobiło się bardzo gorąco. Splątani w objęciach, całowaliśmy, smakowaliśmy, dotykaliśmy i drażniliśmy.

Zdarł ze mnie majtki i ściągnął mi koszulkę przez głowę.

Najpierw ja ssałam jego, potem on mnie.

Potem przekręciłam go, znalazłam się na górze i wsunęłam w siebie jego penisa.

Udało mi się nadziać na niego pełne trzy razy, zanim Mace przekręcił mnie na plecy i pchnął mocniej.

Oplotłam go łydkami, błagając, żeby zrobił to jeszcze mocniej.

Zrobił.

Doszłam, gdy mnie całował, jęczałam w jego usta.

Jemu zajęło to trochę dłużej. Patrzyłam na kolumnę jego szyi, gdy odchylił głowę, pchnął po raz ostatni i skończył z niskim głębokim jękiem.

Opadł na mnie, a ja cieszyłam się, że mogę czuć jego ciężar, choć nie bardzo mogłam oddychać.

Wytrzymałam tak długo, jak tylko się dało, a gdy głośno zaczerpnęłam powietrza, Mace od razu przekreślił się na plecy. Teraz ja leżałam na górze.

Oboje dyszeliśmy ciężko, ja dodatkowo mruczałam. Wtuliłam w twarz w miejsce między jego szyją i ramieniem, wsunęłam mu rękę pod głowę.

Gdy mój oddech się uspokoił i przestałam mruczeć, zrozumiałam, że coś się ze mną stało. Coś ekscytującego i przerażającego zarazem. Coś jak bycie na pierwszej stronie gazety w charakterze sławy.

Tylko znacznie większego i lepszego.

Coś, co sprawiło, że pomyślałam, po raz pierwszy w życiu, że moje szczęście jednak się odmieni.

Nie chciałam poddawać tego próbie, ale musiałam.

– Mace.

– Tak?

W pierwszej chwili nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– Zostawiłeś mnie.

Do tej pory trzymał ręce na moich plecach, teraz objął mnie mocno.

– Byłem wściekły, kociątko – wyznał łagodnie.

I tak było. A wściekłość Mace'a to coś jak żywioł, tornado, huragan, eksplodujący wulkan i tak dalej.

– Zachowałam się podle – wyszeptałam.

Wsunął mi dłoń we włosy.

– Miałaś powód. Przydarzyło ci się wiele złego. Nie możesz dusić tego w sobie, bo to cię rozpieprzy. Musisz komuś powiedzieć. I masz od tego mnie. – Przekreślił głowę i pocałował moje ramię, a potem dokończył cicho: – A ja muszę nauczyć się traktować cię z większą delikatnością.

Z mojej krtani wydobył się cichy dźwięk, jakby jęk bólu. Ale to nie był ból. Ból już uwolniłam.

Mace położył głowę na poduszce, zawinął moje włosy na ręce, drugą ręką obejmując mnie mocniej w talii.

– Czemu oddałeś mi klucze? – zapytałam.

– Bo mi kazałaś.

– No tak, ale...

Przerwał mi.

– Skoro mój ojciec kazał ci coś zrobić, musi wiedzieć, że to robisz.

O rany.

Skąd to wiedział?

– Skąd to wiesz? – wykrztusiłam.

Mace mówił dalej.

– Ale nie gramy według jego zasad. Nie może wiedzieć, że do ciebie wróciłem.

– Myślisz, że nas obserwuje?

– Tak.

Ja pitole.

Co za porębana sytuacja.

– Dlaczego?

– Bo jest gnida.

Dotarło do mnie, że mówił o swoim ojcu, ale nie zaprotestowałam, przecież sama tak uważałam. Preston Mason był arcygnidą wszech czasów.

– Jeśli nas obserwuje, będzie wiedział, że tutaj wszedłeś.

– Nie będzie.

– Będzie. Swen i Ulrika mają na zewnątrz światło na czujniki i...

– Nie zobaczy mnie.

– Mace.

Ścisnął mnie w pasie.

– Skarbie, zaufaj. Nie zobaczy mnie.

Powiedział to takim tonem, że zaufałam. I nie wnikałam. Nie chciałam wiedzieć, kiedy i jak Mace nauczył się przenikać do cudzych domów niezauważony.

Przykrył nas kołdrą. Leżeliśmy naprzeciw siebie, ja trzymałam ręce na jego piersi, on obejmował mnie w talii. Czułam, jak jego palce wędrują po moich plecach, pomyślałam właśnie, jakie to przyjemne, gdy Juno dołączyła do nas i łóżko zatrzęsło się, gdy klapnęła w nogach.

– Wiesz o chorobie mamy i hipotece, prawda? O tym ci mówił? – spytał Mace cicho.

Nie pytałam, skąd wie. Był prywatnym detektywem, pytanie byłoby głupie. A bez względu na to, co Preston Mason myślał o mnie i mojej średniej, nie byłam głupia.

– Tak – odparłam.

– Ile ci powiedział? O mamie?

– Niewiele. Tylko tyle, że ma raka i że zalegają z hipoteką, którą on przejął.

Mace westchnął.

– Zalegali. Dziś będą na bieżąco.

Zastygłam. Chciałam zaprotestować, chciałam krzyczeć, nie na niego, tylko na świat i może na jego pitolonego ojca.

Zamiast tego rozpląkałam się, głośno i rozpaczliwie.

Miałam powód. A nawet trzy. Było mi przykro z powodu mamy. Byłam wdzięczna Mace'owi, że zajął się kolejnym moim problemem. I wściekła jak wszyscy diabli na jego ojca.

Mace przytulił mnie i trzymał mocno.

Płakałam bardzo długo, a on cały czas mnie przytulał.

Gdy wreszcie zaczęło mi przechodzić, podniosłam głowę i zawołałam:

– Przepraszam, Mace, ale twój ojciec to skończony kutas!

A potem, nie wiadomo dlaczego, rozpląkałam się znowu.

Wtedy Mace odsunął się i szedł z łóżka. Nadal łykając łzy, usiadłam i patrzyłam, dokąd idzie. Zeskoczył z platformy, zniknął w łazience, a gdy wrócił, wcisnął mi do ręki chusteczkę.

Wzięłam kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić, i w końcu się udało. Gdy już wytarłam twarz i wydmuchałam nos, Mace wziął ode mnie chusteczkę, rzucił ją na szafkę.

Juno przyglądała się temu wszystkiemu, leżąc na brzuchu, a gdy Mace rzucił chusteczką, uznała, że cała drama dobiegła końca, i z westchnieniem przekręciła się na bok. Mace wyciągnął się na plecy i przytulił mnie; a ja położyłam głowę na jego piersi, rękę na brzuchu.

– Wolałbym ci tego nie mówić, ale musisz wiedzieć – zaczął Mace. Westchnęłam w jego pierś i skinęłam głową, a on kontynuował: – To rak jajnika, kociątko. Z przerzutami. Nie wygląda to dobrze.

Przygryzłam wargę i wyszeptałam:

– Zadzwoń do niej jutro.

Przytulił mnie mocniej.

– Mamy jeszcze dużo rzeczy do mówienia, ale to jutro. Na dziś masz pewnie dosyć, prawda?

Znowu skinęłam głową.

I od razu złamałam ustalenia i powiedziałam tak cicho, że nawet ja prawie nie słyszałam:

– Wiem, że twoja siostra została porwana i zamordowana.

Poczułam, jak Mace się spina.

Tym razem to ja go uścisnęłam.

– Proszę cię, nie odchodź – mówiłam bardzo cicho.

– Jestem przy tobie.

– Chciałeś mi wtedy powiedzieć, prawda?

– Tak – odparł po chwili wahania.

– Zachowałam się podle – powiedziałam głośniej i ostrzej.

– Kociątko...

Uniosłam się na łokciu i spojrzałam Mace'owi w oczy.

– Straciłam swoją szansę? Powiedz, że nie. Mówiłeś, że będziesz tu dla mnie, ale ja też muszę być dla ciebie... Proszę cię, Mace. Daj mi drugą szansę.

Podniósł rękę, przesunął kciukiem po moim policzku, po brzegu dolnej wargi.

– Jutro.

– Mace...

– Jutro.

– Chciałabym...

A to, co on powiedział, czy raczej: wyznał, wywróciło mój świat.

– Kociątko, nie chcę mówić po ciemku. Potem będę o tym myślał przez całą noc. O czymś takim lepiej jest mówić w dzień.

Rozumiałam to.

Ja pitole, rozumiałam to jak cholera.

Nigdy bym nie pomyślała, że Mace ma jakąś słabość – ale jednak.

I bez wahania podzielił się ze mną kawałkiem siebie.

Tym, że on też żył w mroku.

I właśnie wtedy zrozumiałam, że go kocham.

I że moje szczęście wreszcie się odmieniło.

I żeby nie wiem co, wyciągnę go z tego mroku.

Poczułam się szczęśliwa, ale nie uśmiechałam się. Położyłam z powrotem głowę na jego piersi, rozluźniłam się; on też się odprężył; słuchałam, jak zaczyna równo oddychać.

Gdy uznałam, że zasnął, pozwoliłam sobie na uśmiech.

I wzdrygnęłam się, gdy zapytał ochrypłym głosem:

– Między nami jest w końcu dobrze?

Wtuliłam się w niego mocniej i wyszeptalam:

– Tak. Jest dobrze.

Wtedy jego pierś zaczęła dziwnie drżeć i dotarło do mnie, że Mace się bezgłośnie śmieje.

Oparłam się na łokciu i znów na niego spojrzałam.

– Czy ty się śmiejesz? – spytałam, myśląc, że może to jakiś napad obłądu z powodu braku snu albo czegoś.

– Tak.

– Czemu?

Uniósł się, przekręcił, również oparł na łokciu; i leżeliśmy twarzą w twarz. Bardzo blisko.

– Wygrałem – wymruczał tonem pełnym triumfu i arogancji.

Przez milisekundę zastanawiałam się, czy go nie kopnąć.

Ale tylko przewróciłam oczami i wymruczałam:

– Też mi coś.

Wtedy on objął mnie szybko, pociągnął na siebie i wybuchnął śmiechem.

Dużo później, gdy już spał ponad wszelką wątpliwość, doszłam do wniosku, że się jednak mylił. To ja wygrałam.

To było po tym, jak kochaliśmy się o jakiejś nieludzkiej godzinie, i po tym, jak Mace zabrał Juno na spacer. Po tym, jak trochę później, ale nadal upiornie wcześniej wzięliśmy razem prysznic.

Robiłam jajka po benedyktyńsku.

Mace opierał się o blat w małej kuchni obok mnie, sączył kawę i przeszkadzał się skupić.

Stał boso, miał mokre włosy i wyblakłe dzinsy bez paska. Włożył oliwkowy (właściwie zielonooliwkowy) T-shirt, bardzo ładny, ale przewidziany na zwykłego faceta bez wielkich, muskularnych bicepsów, więc teraz opinał się, podkreślając wielkie mięśnie Mace'a.

Skupianie się na jego bicepsach wchodziło mi w paradę przy gotowaniu. Sos holenderski

wymuszał koncentrację, grożąc rozwarstwieniem – wtedy trzeba go będzie wyłączyć i zacząć od początku, co byłoby słabe (wiem, bo spotkało mnie to nie raz).

Ja włożyłam obcięte džinsy i czarną bluzkę z grafitową czaszką wplecioną w gałąź winorośli na plecach i, tak samo jak Mace, miałam białe stopy i mokre włosy.

– Chłopaki wiedzą, że będę przyjeżdżał do ciebie w nocy – oznajmił Mace.

– Skąd?

– Kamery, skarbie – przypomniał.

Ja pitole. Czemu ciągle o nich zapomniałam?

Mace mówił dalej.

– Rockowe laski nie mogą się dowiedzieć.

Mieszałam sos, jakby od tego zależało moje życie, bo tak należało traktować sos holenderski, i spojrzałam na Mace'a przez ramię.

– Dlaczego?

– Bo za dużo gadają.

Tu miał rację. Dziewczyny rzeczywiście dużo gadały.

– Dobra – powiedziałam i wtedy uświadomiłam sobie coś odnośnie do kamer. Sos zgęstniał, więc zsunęłam go z palnika i udając nonszalancję, rzuciłam: – Mace, w kwestii tych kamer...

– Tak?

Odstawiłam sos, wyłowiłam z wody jajka w koszulkach i położyłam je na przygotowanych wcześniej angielskich muffinach i smażonym boczku.

– Oni nie patrzą, gdy my... no wiesz... dzisiaj rano...

– Wewnętrzne kamery się wyłączają, gdy faceci wracają do domu.

Odetchnęłam z ulgą.

Dzięki ci, Boże.

Polałam jajka sosem i odstawiłam patelnię. Wręczyłam Mace'owi sztućce i talerz (trzy jajka w koszulkach, trzy grube plastry boczku, trzy muffiny; fura jedzenia, ale on był wielkim facetem) i skupiłam się na własnym talerzu (jedno jajko, jeden muffin, jeden plaster, nie lubiłam obfitych śniadań).

Z talerzami na blacie, blisko siebie, jedliśmy na stojąco.

Będę musiała rozważyć zakup stołu. Nie miałam wprawdzie pojęcia, jak uda mi się to zrobić, skoro chciałam również wysłać kasę rodzicom. Może to dobry moment, żeby wziąć się bardziej za lekcje gry na gitarze?

Ja byłam zajęta jedzeniem, mój mózg myśleniem, ale zamiast czuć się szczęśliwa i zrelaksowana, że Mace był tutaj i że między nami wreszcie było dobrze, nie mówiąc już o wspaniałym seksie (dwukrotnym), czułam się spięta i trochę spanikowana. Nie potrafiłam przełączyć się z wydarzeń poprzedniego tygodnia i zeszłorocznej rozpaczki na sielankę bycia znów z Mace'em.

Po pierwsze, niepokoiła mnie zapowiedziana rozmowa „o czymś więcej”, w dodatku martwiłam się nim i tym, co miał mi opowiedzieć o siostrze.

Po drugie, moje życie wciąż było w strzępach.

Dlatego dopiero po chwili poczułam przyjemne ciepło na swoim karku. Zerknęłam i spostrzegłam, że Mace na mnie patrzy – ciepło, słodko i z uśmiechem na ustach.

– Co tam?

– Tęskniłem za twoim gotowaniem, kociątko – powiedział ciepło. – Nie znam nikogo, kto potrafiłby przyrządzić jajka tak łatwo, jakby robił tosty.

Czyli chyba mu smakowało.

Moja panika uległa pacyfikacji.

Uśmiechnęłam się do niego.

Odpowiedział tym samym.

Miał piękny uśmiech.

„Dlaczego przez cały tydzień z nim walczyliśmy?”, nie mógł zrozumieć mózgu.

„Oj, cicho”, odburknęłam.

Mace przeniósł wzrok na talerz, wziął się za drugie jajko.

– Hank ogłosił zbiórkę.
Przełknęłam kęs i popiłam kawą.
– Zbiórkę?
– Wchodzą wszyscy, również Marcus, Malcolm i Tom. Hank pojedzie do Toma, Steviego i Shirleen, gdy wyjdziemy. Mają już piętnaście kawałków.
Nie zrozumiałam.
– Piętnaście kawałków czego?
– Piętnaście kawałków docłów.
Gapiłam się na niego bez słowa.
– Nie rozumiem.
Podniósł wzrok na mnie.
– Dla twoich rodziców.
Kop w brzuch. Nie żeby nieprzyjemny, za to paralizujący.
Otrząsnęłam się i sprecyzowałam:
– Hank zrobił zbiórkę dla moich rodziców i zebrał piętnaście tysięcy docłów?
Mace skinął głową i wyjaśnił ze wzrokiem w talerzu:
– Luke ma forszę, Lee również. Dariusz śpi na pieniądzech. Vance, zanim poznał Jules, sporo odkładał, żył oszczędnie, nie wydawał. Nadal odkładają na dom, ale Jules ma jakiś ogromny rachunek, który należy do jej wujka Nicka, ale on nalega, żeby z niego skorzystała, gdy już znajdą dom, który chcą kupić. Nie kumam tego, ale to nieistotne, chodzi o to, że Vance był hojny. Z kolei Marcus oznajmił, że gdy Daisy dowie się o zbiórce, to będzie chciała być na szczycie, więc podwoił najwyższą wpłatę.
Otworzyłam usta.
– Piętnaście tysięcy dolarów?
– Zgadza się – powiedział Mace i wrócił do jedzenia.
– A ty? Ile było zaległości na hipotecę?
– Sześć koła. Marcus o tym nie wie. – Mace zjadł ostatni kawałek jajka i spokojnie zaniósł talerz do zlewu.
Mnie było bardzo daleko do spokoju.
Panika wróciła ze zdwojoną siłą.
Mace odkręcił gorącą wodę, żeby umyć talerz, a ja wygłosiłam do jego profilu:
– To daje dwadzieścia jeden tysięcy docłów.
– Owszem.
– Dwadzieścia jeden tysięcy docłów w jeden dzień?
Mace zakręcił wodę i spojrzął na mnie, uważnie, czujnie.
– Tak jest.
– Ale to... – zaczęłam, urwałam i znów zaczęłam: – To szaleństwo!
– Długi przekroczyły sto tysięcy dolarów. Wczoraj w nocy sprawdziłem: twoja mama teraz nie pracuje, ojcu z trudem udawało się pokryć hipotekę i bieżące wydatki. Podwoili hipotekę, żeby opłacić pierwszy kurs leczenia. To ich pogrążyło.
Znowu cios w brzuch, teraz nieprzyjemny.
– Sto tysięcy dolarów? – wyszeptalam.
– Tak.
Patrzyliśmy chwilę na siebie.
– Matko kochana. To... ja... Matko kochana! To się nie mieści w głowie!
– Stella...
Upuściłam widelec na talerz, talerz odstawiłam na blat.
– Nie licząc pieniędzy z ostatnich trzech koncertów – za które Mnich jeszcze nam nie zapłacił...
Forszę z The Little Bear ma Floyd, ale nie odebrałam jeszcze mojej części... Nie licząc tego, mam odłożonych siedemset pięćdziesiąt docłów, ponad tysiąc w czekach i może z tysiąc w obligacjach, które mama kupowała mi kiedyś na Boże Narodzenie... – Wyszedłam gwałtownie z kuchni, stanęłam, Mace odwrócił się do mnie. – Cholera, nie dam rady im pomóc! Nie mogę... i nawet te piętnaście tysięcy...

Nie możemy przyjąć takich pieniędzy!

– Kociątko...

– To za dużo! – krzyknęłam.

Mace uśmiechnął się, co wydało mi się absolutnie szalone, nawet w tym kompletnie szalonym świecie.

– Spróbuj przekonać Hanka i Lee, żeby nie dawali twoim rodzicom tych pieniędzy.

Zastanowiłam się.

Słabo znałam Hanka. Wydawał się mniej zwariowany i chyba bardziej stabilny niż reszta przystojniaków, ale nie aż tak bardzo.

Za to Lee czasem zwyczajnie mnie przerażał. Był stanowczy i nie przywykł do sprzeciwu.

Noż kuźwa mać!

Gdy już prawie się z tym pogodziłam, Mace odezwał się znowu:

– Resztę spłaci mój ojciec, dorzucając okrągłą sumkę na czarną godzinę. Cokolwiek stanie się z twoją mamą, będzie mogła czuć się bezpiecznie.

Znów otworzyłam usta i zagapiłam się na niego, jakby właśnie oznajmił, że zamierza spędzić kolejne sześć lat w drodze na Marsa, gdzie planuje założyć kolonię innych Supermace'ów.

– Słucham? – wykrztusiłam.

– Mój ojciec zatroszczy się o twoją rodzinę. Da im milion dolarów. Wystarczy na spłatę długów, domu i tego wszystkiego, co może ich jeszcze czekać.

Nie odrywałam od niego wzroku.

– Zwariowałaś.

Pokręcił głową.

Położyłam ręce na biodrach i nachyliłam się do niego.

– Po pierwsze, nie chcę jego pieniędzy. Wiem, że jest twoim ojcem, ale to kutas. Po drugie, to skapiradło i nie da moim rodzicom miliona dolców. Po trzecie, patrz punkt pierwszy: nie chcę jego pieniędzy!

Ostatnie zdanie wykrzyczałam, spięta tak, że czułam pulsujące mięśnie na szyi.

Mace zachował spokój.

– To nie są jego pieniądze.

– Co to znaczy?

– Że należą do mnie i mojej mamy. Do Caitlin i jej mamy. Jest nam wszystkim winien forszę i oto nadszedł czas spłaty.

– Do Caitlin? – Zamrugałam oczami.

– Mojej siostry.

Zesztywniałam.

Nadeszła pora.

Ja pitolę, nadeszła pora.

Nie wiedziałam, co robić. Chciałam do niego podejść, ale bałam się, że to nie będzie właściwe. Ale czy w porządku było tak po prostu tu stać? Dzieliły mnie od niego dwa metry, równie dobrze mógłby to być kilometr. Mace wydawał się bardzo spokojny, ale na pewno nie był. Niemożliwe.

Zostałam tu, gdzie byłam, zmuszając się do zachowania spokoju.

Spytałam cicho:

– Miała na imię Caitlin?

– Tak – odpowiedział Mace, też nie ruszając się z miejsca.

Wciągnęłam powietrze i je wypuściłam. Próbowалаm znaleźć coś bezpiecznego, od czego dałoby się zacząć...

– Była podobna do ciebie?

Mace przyglądał mi się, pokręcił głową.

– Nie. Miała jasne włosy. I niebieskie oczy. Była malutka.

Oparł dłoń na blacie.

I powtórzył udręczonym głosem:

– Malutka.

Poczułam, że to coś znaczy.

Powiedział to tak, że serce mi się ścisnęło.

Nie odzywał się, więc szepnęłam:

– Malutka?

Zamknął oczy. Gdy je otworzył, ujrzałam w nich demony.

O ja pitole.

Wstrzymałam oddech, nadal nie podchodziłam do Mace’a i miałam cholerną nadzieję, że robię dobrze.

– Była tancerką, baletową. Naprawdę dobrą. Była taka maleńka, Chryste, taka drobna... I pełna gracji. Każdy jej ruch był jak taniec. – Urwał. – Była skończenie elegancka. Wystarczyło, że poruszyła rękami, miała takie śliczne dłonie... – Urwał znowu i dodał ciszej: – Jezu, nigdy nie zapomnę, jak poruszała rękami.

Znowu urwał i wiedziałam, że było w tym coś ważnego, ale wiedziałam też, że nie powinnam teraz naciskać.

– Pewnie byłeś z niej dumny.

Nie odpowiedział. Nie musiał. Wiedziałam, że tak było.

– Chciała się przenieść do Nowego Jorku.

Skinęłam głową.

Mówił dalej, jego głos brzmiał jeszcze ciszej i bardziej chropawo. Znowu poczułam ból w sercu.

– Zabrałem ją tam, gdy miała czternaście lat. Zakochała się w tym miejscu.

Zacisnęłam usta i po raz kolejny skinęłam głową. Było mi ciężko. Chciałam do niego podejść i bolało mnie, że nie podchodzę, ale trzymałam dystans.

– Nie mieliście tej samej mamy?

Pokręcił głową.

– Siostra przyrodnia.

Mace tylko na mnie spojrzał.

– Byliście bardzo blisko – wyszeptałam.

– Mówiłem na nią Malutka – wyznał.

A ja poczułam łyzy w oczach. I wyobraziłam sobie, jak to jest mieć superfajnego, przystojnego brata, który jest surferem, zabrał mnie do Nowego Jorku, uwielbia moje dłonie i mówi na mnie Malutka.

To była szczęśliwa i przejmująco smutna myśl.

– Na pewno byłeś dobrym bratem – odezwałam się cicho.

– Nie dość dobrym – odparł, tak ochryple i cicho, że prawie niesłyszalnie.

W oczach miał udrękę.

Nie wytrzymałam. Za bardzo bolało mnie patrzenie w jego oczy. Zacisnęłam powieki.

Poczułam, jak coś mokrego spływa po policzku, otworzyłam oczy i wyszeptałam:

– Powiedz mi.

Patrzył na mnie przez dwie sekundy.

– Ja pierdolę, kociątko...

Urwał. Opuścił głowę i wpatrzył się w podłogę i wtedy wreszcie ruszyłam ze swojego miejsca.

Podeszłam prosto do niego i przytuliłam się, z głową pod jego brodą, obejmując go mocno rękami. Nie poruszył się, nawet nie drgnął. Nie objął mnie, nadal opierał się o blat.

Przytuliłam policzek do jego piersi.

– Powiedz – szepnęłam znowu.

Zadzwoniła jego komórka, spał się jeszcze bardziej.

– Nie odbieraj – poprosiłam.

Ale on podniósł głowę, wyjął telefon z kieszeni. Odchyliłam się, żeby spojrzeć na jego twarz.

Już po wszystkim.

Jego oczy znowu były czujne.

Straciłam go.

Kuźwa jego mać.

Mace objął mnie lekko w talii, odebrał drugą ręką i mruknął:

– Tak?

Odwróciłam się do jego piersi, oparłam czołem i poczułam, jak się wzdryga, jak jego palce wbijają się w moje biodro z taką siłą, że prawie zabolalo.

Podniosłam głowę. Mace zacisnął szczęki i poczułam, że krew stygnie mi w żyłach.

– Będę za dziesięć minut – rzucił do telefonu.

Rozłączył się, puścił mnie szybko, poszedł się ubierać.

Patrzyłam, jak bierze pasek i buty, i czułam, jak pali mnie w piersiach.

– Co się dzieje? – spytałam przerażona jak diabli, że coś stało się z dziewczynami.

Mace rzucił buty na brzeg platformy, wsuwał pasek w szlufki.

I spojrzął na mnie.

– Carter poszedł dalej – rzucił twardo. – Ponieważ wszystkie dziewczyny są chronione, dziś rano zaatakował Shirleen.

Cofnęłam się o krok, jakby mnie uderzył.

O ja pitole.

Rozdział 18

La la la

Stella

Mace wziął mnie lekko za brodę, podniósł moją twarz i musnął ustami moje usta, obiecując, że da znać, jak tylko się czegoś dowie. I poszedł.

Zadzwoił dwadzieścia minut później (bardzo długie dwadzieścia minut później): wóz patrolowy z dwoma mundurowymi podjedzie pod mój dom, mam być gotowa za pięć minut i nie otwierać drzwi, jeśli nie podadzą hasła. Gdy to mówił, słyszałam wściekłe męskie głosy w tle. Rozłączył się, nie mówiąc, co z Shirleen.

Odezwwał się brzęczyk, na ekranie wideo zobaczyłam mundur, odznakę i usłyszałam: „na tip-top”. Wyszliśmy z Juno.

Policjanci nie chcieli wpuścić Juno do wozu patrolowego, ja nie chciałam bez niej ruszyć się z miejsca, a ponieważ to miejsce było odsłonięte i na widoku, Juno pojechała ze mną do Nightingale Investigations.

Nie ma, kurwa, opcji, żebym zostawiła teraz mojego psa.

Skoro Sid Carter „poszedł dalej”, gdzie gwarancja, że nie zacznie robić krzywdy zwierzętom?

Nawet jeśli moje parszywe szczęście stawało się mniej parszywe, wolałam nie ryzykować.

Niezbyt wylewni policjanci powiedzieli mi o Shirleen tylko tyle, że nadal pracują nad tym „na miejscu zdarzeń”.

Jedyne zdarzenia z udziałem moich przyjaciół, które lubiłam, to te organizowane przez nich samych – a i to nie za bardzo.

Policjanci eskortowali mnie do drzwi NI, gdzie powitał nas milczący, spięty i zły jak diabli Jack, który wystraszył mnie na tyle, że też nic nie mówiłam. Jack przejął mnie i Juno i zaprowadził do pokoju wypoczynkowego.

W tym pokoju chłopaki mieli zebrania i spędzali czas, gdy musieli być pod telefonem. Mieli tu sprzęt jak na siłowni i kanapę, ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś na niej siedział. Zwykle byli na bieżni albo ławce do podnoszenia ciężarów.

Innymi słowy, jeśli ktoś jeszcze nie załapał, chłopaki z NI nie znali pojęcia „wypoczynek”.

Weszliśmy z Juno do pokoju. Jules, Ava i Jet piły już kawę na kanapie, Daisy rozsiadła się na fotelu i piłowała paznokcie. Ally leżała na ławce do ciężarów z podniesionym oparciem. Indy i Roxie rozkładały na stole pasjansa, obok kart stały kubki z kawą.

Gdyby nie zostało to jeszcze niezbitcie dowiedzione, ten spokój idealnie świadczył o tym, że były całkowicie walnięte.

– Co z Shirleen? – zapytałam od wejścia. Roxie przechyliła się i pstryknęła na Juno, pies poczłapał do niej.

– W porządku, tylko się wścieka. Musi kupić nową kanapę – odparła Ally z ławki.

Zagapiłam się na nią.

Odpowiedź przyniosła ulgę i wprawiła mnie w osłupienie.

– Dzięki ci, Boże. Sam jej widok przyprawiał mnie o migrenę – mruknęła Jet.

Spojrzałam na Jet.

– A ja lubiłam te wielkie czarne spirale na białym tle. Bardzo dramatyczne. Cała Shirleen – skomentowała Indy.

Przeniosłam wzrok na Indy.

– Może Luke i ja powinniśmy kupić nową? – zamyśliła się Ava. – Nie do końca podoba mi się ta cała skóra.

Zerknęłam na Avę.

– A ja lubię kanapę Eddiego – wymruczała Jet.

Na jej twarzy błąkał się nikły uśmiech i nie trzeba było telepaty, żeby zrozumieć, skąd to przywiązanie.

– Kotku, a co u ciebie? – spytała Daisy. Spojrzałam z kolei na nią, przyglądała mi się czujnie.

Co u mnie? Właśnie cieszyłam się, że przestałyśmy nareszcie gadać o kanapach.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, i zamknęłam je szybko.

Mace zaznaczył, że rockowe laski mają się nie dowiedzieć.

Ja pitolę.

Dlatego powiedziałam jedynie:

– Jakoś leci.

Co w sumie nie było kłamstwem.

Między mną i Mace'em było dobrze, o czym nie mogłam powiedzieć, poza tym raczej słabo, ale to z kolei żadna nowina. No i czekała mnie jeszcze jedna próba ogniowa, gdy Mace powie mi całą prawdę o Caitlin – a po tym, co się stało dziś rano, wolałabym raczej, żeby ktoś mnie zastrzelił.

Weszłam głębiej do pokoju i żeby zmienić temat, spytałam:

– O co chodzi z tą kanapą Shirleen? – Chociaż absolutnie nie chciałam kolejnej gadki o kanapach.

Daisy pomachała ręką w powietrzu.

– Zastrzeliła gościa, który włamał się do niej dziś rano. Użyła czterdziestki czwórki, a to oznacza bałagan, *comprende?*

Gapiłam się na Daisy.

Shirleen właśnie zastrzeliła gościa, który się do niej włamał?

Z czterdziestki czwórki?

Shirleen miała w domu czterdziestkę czwórkę?

Dobra. Nie chciałam wiedzieć.

Daisy chyba czekała na potwierdzenie przyjęcia informacji, więc skinęłam głową, a ona kontynuowała:

– Odleciał w tył i wylądował na jej kanapie. Teraz wszystko jest we krwi, a Shirleen się wkurwia.

Uwielbiała ją.

– Strzelił pierwszy?

– Tak, Shirleen głupia nie jest. – Daisy wróciła do piłowania paznokci. – Z jej przeszłością nie ma mowy, żeby strzeliła do kogoś, nawet włamywacza, zanim on strzeli do niej. Wsadził trzy kule w ścianę, ale to nic, wystarczy zaszpachlować.

Przeszłością?

Zaszpachlować?

Ja pitolę.

– Upuścił broń, kiedy go postrzeliła – mówiła dalej Daisy. – Problem w tym, że chociaż go rozbroiła, wściekła się tak, że wykrwawia się na jej kanapie, że grzmotnęła go kolbą. Może być jej trudno to wytłumaczyć.

O Boże.

– Tak czy inaczej, zaraz tu będą. – Daisy podniosła wzrok znad paznokci. – A my mamy do pogadania o Dixonie Jonesie.

Nie.

No nie.

Nic z tego.

Podsunałam krzesło do kanapy i usiadłam; Juno postanowiła osobiście przywitać się ze wszystkimi, czyli biegać w kółko i wachać.

– Może przełożymy tę rozmowę, aż ludzie przestaną włamywać się do domów i krwawić na kanapach?

– Życie toczy się dalej, kotku. – Daisy wzruszyła ramionami. – Dzwoniłam do niego wczoraj. Musiał wyjechać z miasta po twoim ostatnim koncercie, ale wraca do Denver i przyjdzie na koncert w czwartek i wtedy chciałby się spotkać. Podsunałam, że powinniśmy pogadać przed, skoro strzelanina, porwania i skakanie na widownię zdarzają się zawsze po, zgodził się ze mną.

Postanowiłam zignorować fakt, że Daisy przypomniała Dixonowi Jonesowi, jakim szaleństwem jest moje życie. Przecież i tak widział to wszystko, a na wypadek gdyby może zapomniał, były jeszcze gazety.

Na szczęście nie musiałam odpowiadać – drzwi otworzyły się i do pokoju wpadła Shirleen.

Dziewczyny miały rację. Czuła się dobrze, ale była wkurzona.

– A kto zapłaci mi za kanapę, co?

Krzyczała na mężczyznę, który szedł za nią. Miał rudawe, dobrze obcięte włosy i nosił drogi garnitur. Dość wysoki, szczupły, pod czterdziestkę, w tej chwili był spięty i chyba jeszcze bardziej rozeźlony niż Shirleen.

– Kto mi zapłaci za terapię dla chłopców? – cisnęła dalej.

„Chłopcy”, czyli Roam i Sniff, dla których była rodziną zastępczą, szli za nią. Roam, ciemnoskóry chłopak, przystojny, wysoki i szczupły, właśnie zaczął nabierać trochę ciała. Sniff, biały dzieciak, niski i chudy, wychodził z trądziku i był bardzo zabawny, czego dowiedziałam się na wczorajszej lekcji gry na gitarze.

Żaden z nich nie wyglądał, jakby potrzebował terapii.

– Hej, Stella! – zawołał Sniff i pomachał do mnie z krzywym uśmiechem.

Roam skinął mi głową, przeniósł wzrok na Jules i mruknął:

– Cześć, Law.

Jules wstała, żeby przywitać chłopców, i wtedy do pokoju wpadli faceci z seksownej bandy (wszyscy, co do jednego) oraz Tex i Duke.

I wszyscy, jak jeden mąż, wkurzeni.

Spojrzałam na Mace’a, ale nie patrzył na mnie. Wiedziałam, że z powodu dziewczyn, ale i tak zrobiło mi się trochę niemiło.

Rudawy mężczyzna przystanął i spojrzał na Shirleen.

– Cieszę się, że pani o nich wspomniała. Może faktycznie porozmawiamy o chłopcach, panno Jackson? Proszę mi przypomnieć, czemu to właśnie pani, nie kto inny, została ich opiekunem?

Nie musiałam znać tego faceta, żeby widzieć, że po pierwsze był wściekły, a po drugie właśnie jej groził. Atmosfera w pomieszczeniu zgęstniała.

– Prowadziłam sprawę chłopców w azylu – wyjaśniła Jules. – I sprawdziłam Shirleen przed adopcją.

Gość zwrócił się do Jules:

– Imponujące poświęcenie, pani Crowe, uwzględniając, że w czasie, kiedy chłopców umieszczano u panny Jackson, przebywała pani na oddziale intensywnej terapii.

Oho, ho.

Znow spojrzałam na Mace’a. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, na rozstawionych nogach. Z miną świadcząca o tym, że jeśli gość nie przestanie być takim fiutem, Mace urwie mu głowę.

– Wystarczy, George – odezwał się cicho Hank.

– Tak, Nightingale, wystarczy – odparł George zirytowany. – Przez cały cholerny ranek ty i twoi ludzie robicie problem.

Hank zmrużył oczy, a ja pomyślałam, że niesłusznie uważałam go za bardziej stabilnego niż reszta całej ekipy – w tej chwili wyglądał jeszcze groźniej niż jego brat.

– Wczoraj rano przetrzepaliśmy trzy pudła, George – warknął Hank. – A sześć dni temu strzelano z samochodów w czterech miejscach, a Stella oberwała.

– Niczego nie zgłoszono – odpalił George.

Hank był tak wściekły, że głos mu drżał.

– Zgłoszono jak skurwysyn. Mace i Luke zeznawali, na miejscu zdarzeń stały trzy wozy patrolowe. Mamy pięciuset świadków użycia karabinu w jebanym klubie!

– Żaden z tych incydentów nie ma powiązania z Carterem.

– Kurwa, George! – wybuchnął Eddie. – Lee dostał telefon przed strzelaniną!

– To on tak mówi – odpalił George.

– Chyba, kurwa, żartujesz – warknął Vance.

George spojrział na Lee.

– Masz nagranie rozmowy?

Lee spojrział ciężko na George'a i znowu zmieniałam zdanie. Może jednak był bardziej przerażający niż Hank.

– Hank... – powiedział cicho Lee, nie odrywając wzroku od George'a. Oznaczało to chyba, że jeśli Hank gościa nie ogarnie, zrobi to Lee i wtedy to będzie problem.

Ale Hank nie zwracał uwagi na Lee. Patrzył na George'a.

– Dość.

George znów zwrócił się do Hanka:

– Mówię ci, Nightingale...

– Tydzień temu okna w moim domu ostrzelano z AK-47 – przerwał mu Hank. – Moja narzeczona była akurat w środku. Znam Shirleen od małego, należy do rodziny. A teraz ktoś włamał się do jej domu, wsadził trzy kule w ścianę – celując do niej!

George chyba spuścił z tonu, ale nie zamierzał się poddać. Uparty i zły, patrzył twardo na Hanka. Ten pojedynek spojrzeń trwał chwilę, póki Hank go nie przerwał.

– Dość – powiedział i wyszedł z pokoju.

Wszyscy popatrzyli na George'a.

Ten gapił się na drzwi, w końcu przeniósł wzrok na Eddiego.

– Chyba nie będzie aż taki głupi – mruknął.

Tym razem Eddie skrzyżował ręce na piersi – a ja od razu umieściłam go na szczycie listy najbardziej przerażających seksownych przystojniaków.

– Graliśmy według twoich zasad, ale wystawiłeś nas i dziś rano Shirleen prawie zginęła – warknął Eddie. – I teraz, *hombre*, my wystawimy ciebie.

George rozejrzał się po pokoju i wysyczał:

– Myślicie, że jesteście nietykalni?

Luke przesunął się lekko w prawo i powiedział:

– Nie idź w tę stronę, George.

– Zadzierasz z niewłaściwym człowiekiem – odparł ten.

Lee uniósł brwi.

– Tak myślisz?

George wyciągnął do niego rękę (według mnie ryzykując życiem).

– Czasy, kiedy twoja ekipa mogła swobodnie urządzać jatki w Denver, już przeminęły!

– Jeśli się nie ogarniesz, przeminą twoje marzenia o biurku gubernatora – odparł Lee.

– Spierdalaj – warknął George.

O matko.

Lee nachylił się, ledwie centymetr, ale był to bardzo groźny centymetr.

– Teraz ty jesteś głupi.

George patrzył na niego ze złością.

Lee wytrzymał to ze spokojem.

Wtedy George popatrzył wściekle na wszystkich i wyszedł.

Gapiliśmy się na drzwi.

Świetnie.

Nie wiedziałam, co się właściwie stało, ale było jasne, że pojawił się nowy problem.

Przeniosłam wzrok na Mace'a. Patrzył na mnie, poruszył nieznacznie głową i też wyszedł.

– Chłopcy, z wami wszystko w porządku? – zwróciła się Jules do Roama i Sniffa.

– No pewka! Zajebista akcja! Shirleen wymiata! – odparł Sniff, opadając na krzesło. – Było jak na filmach!

– Czarna suka dała czadu – wymruczał Roam.

– Nie nazywaj Shirleen „czarną suką” – warknęła Jules.

– Wyluzuj, Law. Jej to nie przeszkadza – odparował Roam.

– Dowiedz się, że przeszkadza i właśnie straciłeś kieszonkowe z tego tygodnia – wtrąciła się

Shirleen. Stała z dłońmi na biodrach, mrużąc oczy, a Roam patrzył na nią wyzywająco. Musiało jej się to nie spodobać, bo dodała: – Zarobiłeś za to sprzątanie łazienek poza kolejką.

– Kurde – wymruczał Roam i spuścił głowę. Chyba chciał się zapaść pod ziemię.

– Mam trzy łazienki i toaletę – poinformowała mnie Shirleen. – Chłopaki sprzątają je na zmianę.

– Odwróciła się do Sniffa. – Ty masz wolne.

– Elegancko! – Krzywy uśmiech Sniffa powrócił.

Sytuację przerwał Smithie, który wparował do pokoju razem z ładną czarnoskórą kobietą.

Przesunął wzrokiem po wszystkich, mamrocząc coś pod nosem.

– Cześć, Smithie, cześć, LaTeesha – odezwała się Jet, ale Smithie tylko machnął jej niecierpliwie, znów popatrzył na wszystkich, poruszając bezgłośnie ustami.

W końcu wrzasnął:

– Gdzie jest ten cholerny Hawajczyk?

– Z Mace'em wszystko w porządku – odparła Roxie; Indy przewróciła do mnie oczami.

Smithie spojrział na Roxie.

– A twój facet?

– Z nim też w porządku – uśmiechnęła się Roxie.

– Oo, co ja widzę! – wrzasnęła nagle LaTeesha, rzucając się do Roxie. – Skąd masz ten pierścionek?

Ja też spojrzałam na dłoń Roxie i zaręczynowy pierścionek z brylantem.

Roxie spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Ona i Hank zaręczyli się zeszłej nocy – wyjawiała ochoczo Ava.

– Było słodko? – spytała LaTeesha, nadal trzymając dłoń Roxie.

– Bardzo – odparła cicho Roxie.

– Nie słodko, tylko seksownie – poprawiła ją Daisy.

Ally zatkała rękami uszy.

– La la la, wcale nic nie słyszę, że mój brat się oświadcza, robiąc niegrzeczne rzeczy, la la la...

– Ale jazda. – Sniff gapił się na spłonioną Roxie.

Indy przygryzła wargę, trzęsąc się od wewnętrznego śmiechu.

Jet zachichotała.

A faceci odwracali wzrok, przestępowali z nogi na nogę i próbowali się nie uśmiechać.

– Halo, czy czasem nie do was ktoś strzelał dziś rano? – warknął Smithie do chłopaków, wyciągając nas z tej bańki szczęścia. – Może nie mówię ludziom, co mają robić – Jet prychnęła, LaTeesha wytrzeszczyła oczy – ale jedna rzecz to strzelać do waszych dziewczyn, kiedy wy, twardziele, chronicie ich śliczne zadki, chociaż to i tak pojebane, a zupełnie inna włądować się komuś na chatę, gdzie są dzieciaki, i strzelać do kobiety. Tak sobie myślę chłopaki, że macie tu chyba coś do załatwienia.

– Smithie, złotko... – odezwała się LaTeesha.

– To już ogarnięte, Smithie – odezwała się Shirleen.

– To będzie ogarnięte – warknął do niej Smithie. – Bo zabierasz tyłek w troki i przenosisz się do mnie razem z chłopakami. LaTeesha, to dla ciebie okej?

– Bardzo. Przygotuję kurczaka z pierożkami – odparła LaTeesha, uśmiechając się szeroko do Roama i Sniffa.

– A możemy zamówić pizzę? – zapytał Sniff.

Shirleen trzepnęła go lekko w głowę.

– Co z tobą, chłopaku? Słyszałeś, co powiedziała kobieta! Skoro LaTeesha robi kurczaka z pierożkami, ty jesz kurczaka z pierożkami.

– Ja lubię kurczaka z pierożkami – wstawił Roam.

– No widzisz! Wszystko będzie dobrze – podsumowała LaTeesha.

– A będzie, bo sprawiłem sobie dubeltówkę i rok temu kupiłem ci trzydziestkę ósemkę na Gwiazdkę – zwrócił się do niej Smithie. – Dlatego musi być dobrze.

– Nie słyszałem tego – mruknął Eddie i wyszedł.

– Smithie, potrzebuję twój adres. Wrzucimy cię na trasę patrolu – odezwał się Lee do Smithiego i też wyszedł. Smithie za nim, mamrocząc „a żebyś wiedział”.

Faceci zaczęli wychodzić. Luke i Vance pożegnali się słodko z Avą i Jules, Hector spytał mnie, czy wiem o czwartkowym spotkaniu z Dixonem Jonesem, LaTeesha poszła za Mattem, który miał ją zaprowadzić do Smithiego i Lee, a Roam i Sniff za Bobbym, który zabrał ich przed telewizor w schronie.

W pokoju zostały tylko dziewczyny, Tex i Duke.

I z jakiegoś powodu wszyscy patrzyli na mnie.

Nie spodobało mi się to.

Żeby odwrócić uwagę od siebie, powiedziałam do Roxie:

– Gratulacje, Roxie! To super!

– Dzięki – uśmiechnęła się.

– Ava, cukiereczku, zrób Stelli kawę – poprosiła łagodnie Daisy. Ava skinęła głową i wyszła, a mnie zimny dreszcz przebiegł po plecach.

– Co jest? – spytałam, widząc, że manewr z odwróceniem uwagi nie wypalił.

– Masz wiadomość od Mace’a, mała? – spytał mnie Tex.

Kurde.

Musiałam kłamać.

– Yyy... – wymruczałam.

– Nie wiem, czy mam na to zgodę – odezwała się Ally, łagodniej niż zwykle. Zimny dreszcz powrócił.

– Nie chcę mówić o Masie – chciałam się wywinąć, ale Daisy wstała, podeszła do mojego krzesła i podniosła mnie.

– Myślę, że powinnaś sięść na kanapie – oznajmiła, prowadząc mnie.

Niedobrze.

– Słuchajcie, serio, między Mace’em i mną już skończone, więc... – zaczęłam znowu, ale Daisy pchnęła mnie na kanapę.

Jet podsunęła bliżej fotel Daisy i usiadła.

Ale to nie jej działania mną wstrząsnęły. To jej mina.

– Zdarza się, że rockowa laska potrzebuje odrobiny pomocy swoich przyjaciół – powiedziała cicho.

– A zdarza się, że przyjaciele powinni wiedzieć, kiedy się odwalić – odparłam równie cicho.

Nie chciałam być nieprzyjemna, ale cokolwiek zaplanowali, to było zbędne.

No wiem, że nie wiedzieli, ale jednak.

– Zgadza się, ale to nie jest ten przypadek. – Duke siadł obok mnie na kanapie, położył rękę na oparciu za mną i odwrócił się do mnie swoim wielkim ciałem.

– Duke... – zaczęłam.

– Wolelibyśmy, żeby Mace ci to wszystko powiedział, jak będzie gotów, ale czas ucieka, a kule nadal latają. Dziewczynom chwilę to zajęło, żeby mnie do tego przekonać, ale w końcu im się udało.

– Serio, Duke...

– Cicho bądź i słuchaj. Ile wiesz o Masie, jego ojcu i siostrze?

Och.

Więc o to chodzi.

– Wszystko – skłamałam.

Bo przecież w końcu się dowiem.

Duke uniósł brwi.

– Wszystko?

Skinęłam głową.

– Wiesz, że jej siostrę porwano? – spytała ostrożnie Jet.

Potwierdziłam.

– Wiesz, że jej ojciec wynajął jakichś komandosów, żeby ją uwolnić, i to nie wypaliło? – mówiła dalej.

O rany.

Tego nie wiedziałam.

Nie brzmiało to dobrze.

Moje serce pędziło jak szalone i musiałam to jakoś ukryć.

Dlatego znowu skinęłam głową i znów skłamałam:

– Wiem wszystko. Wiem, że została zamordowana i że Mace się za to obwinia.

– To czemu ty i Mace wciąż nie jesteście razem, kotku? Nie wierzę, że wiesz, co się stało, i pozwalasz temu gościowi odejść – zauważyła Daisy.

Na to nie miałam już odpowiedzi, więc rzuciłam:

– To skomplikowane.

– Mnie by wystarczyło to o jej ręce, żeby nigdy go nie opuścić – mruknęła Ally. Moje galopujące serce stanęło jak wryte; spojrzałam na Ally.

Była zła, i to chyba na mnie.

Nie miałam teraz czasu się tym przejmować.

– Ręce? – wykrztusiłam. Brakowało mi tchu.

Popatrzyli na siebie.

– Czyli nie wiesz wszystkiego – zahuczał Tex.

– Co z jej ręką?

– Stella... – zaczął Duke.

Odwrociłam się do niego, złapałam go za ramię i zrozpaczonym, napiętym głosem zażądałam:

– Powiedz mi o tej choliernej ręce.

Duke spojrzał na Texa, ścisnęłam go mocniej, przeniósł wzrok na mnie i westchnął.

– Po tym jak komandosi zwalili sprawę, porywacze w odwecie odcięli jej dłoń i wysłali ojcu w...

Zerwałam się z kanapy, spojrzałam na Indy i wyszeptalam:

– Łazienka.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegłam z pokoju. Dotarłam na korytarz, Indy dogoniła mnie i zaczęła prowadzić. Przyciskałam rękę do ust, z trudem przeszłam przez biuro Lee, dotarłam do jego łazienki, padłam na kolana, objęłam muszlę rękami i zwróciłam śniadanie.

Indy trzymała mi włosy, a ja zwymiotowałam wszystko do końca.

Potem usiadłam na podłodze, oparłam się o ścianę. Indy podała mi mokrą myjkę, żebym wytarła usta, spuściła wodę.

Siadła blisko mnie.

Zasłoniłam rękami twarz, nadal ściskając myjkę. Bolał mnie żołądek, czułam obrzydliwy posmak wymiocin, ale potrafiłam myśleć tylko o Masie.

– Kochanie – szepnęła Indy.

– Uwielbiał jej dłonie – odszepnęłam. – Powiedział, że były śliczne.

I nagle znalazłam się w ramionach Indy.

– Och, skarbie – wyszeptala.

Czułam, że oddycham, ale nie mogłam nabrać dość powietrza. Wdychałam powietrze przez nos, wypuszczałam przez usta, ale nadal nie docierało do płuc. Miałam wrażenie, że gałki oczne powiększyły się i wyskoczą mi z głowy.

Usłyszałam w głowie głos Mace'a.

Jezu, nigdy nie zapomnę, jak poruszała dłońmi.

– Boże – wyszeptalam.

– Cii, kochanie, cicho – uspokajała mnie Indy.

Spojrzałam na jej twarz przez łzy i zobaczyłam, jak powstrzymuje własne. A nigdy nie widziałam, żeby Indy Savage płakała. I choć poraziło mnie to i wzruszyło, w tej chwili musiałam zająć się czymś innym.

– Zawołaj Duke'a – zażądałam.

– Jestem tu, słonko. – Duke stał w drzwiach, Tex i rockowe laski za nim. Ava trzymała w rękach moją kawę.

– No już, wychodzimy. – Tex odpędził dziewczyny, Indy zostawiła mnie i do łazienki wszedł Duke.

Siadł obok mnie, z jedną nogą ugiętą, drugą wyprostowaną, kładąc nadgarstek na tej ugiętej.

Tex zamknął drzwi i zostaliśmy sami.

Odwróciłam się do Duke'a. Nie był rockową laską, więc Mace nie powinien mieć pretensji.

– Ja i Mace znowu jesteśmy razem – wypaliłam. – Przyszedł do mnie wczoraj w nocy i wszystko obgadaliśmy. – Duke patrzył zaskoczony, mówiłam dalej. – Musimy udawać, że nie jesteśmy razem, bo jego ojciec prowadzi swoją grę. To musi być tajemnica.

– Dobrze, słońce – powiedział. Mówił teraz niższym, chropawym głosem, chyba wzruszony. Musiałam to zignorować, bo moja poczytalność trzymała się na włosku.

– Zaczął mówić o swojej siostrze, było mu trudno. Ale wiem, że musi zrobić to na swój sposób.

Duke wyciągnął rękę do mojej twarzy, przesunął po włosach na czole, odgarnął je.

– Jesteś bardzo mądra.

– Dziewczyny nie mogą wiedzieć, że znowu jesteśmy razem. I nie mogą mi opowiadać, co stało się z Caitlin.

– Pogadam z nimi.

– Ale ty musisz mi opowiedzieć.

Duke zawahał się.

– Stella, nie jestem pewien...

Nachyliłam się do niego.

– Duke, właśnie zwymiotowałam, bo nie dałam rady tego przyjąć. Jeśli zrobi się gorzej, nie chcę, żeby on to widział. Chcę być silna – bo on jest silny dla mnie. Dlatego ty musisz mi opowiedzieć. Chcę się przygotować.

– Masz prawo do naturalnej reakcji... – zaczął Duke, ale ja pokręciłam głową.

– Nie, nie rozumiesz. Kochał ją. Byli bardzo blisko. I to go zżera. Muszę być silna. Muszę pozwolić mu opowiedzieć. I muszę być w stanie to przyjąć.

Duke patrzył mi w oczy przez kilka chwil. Podjął decyzję i skinął głową. Przysunął się, objął mnie, wielką dłoń położył mi na głowie, żebym oparła się policzkiem o jego ramię.

– Dobrze, słońce. Wolałbym tego nie mówić, ale potem jest jeszcze gorzej.

Wciągnęłam powietrze przez nos. Co mogło być jeszcze gorszego niż porwanie dziewczyny, której potem odcięto rękę? Ale skoro zginęła, to musiało być gorzej.

– Jeśli będziesz potrzebowała przerwy, żeby się pozbierać, powiedz mi.

Skinęłam.

A on opowiedział, co było dalej.

Nie przerywałam. Wysłuchałam wszystkiego, nie wydając jednego dźwięku, poza ciężkim oddechem.

Gdy skończył, dalej siedzieliśmy na podłodze, ja z głową na jego ramieniu, on z ręką na mojej talii.

Siedzieliśmy długo, każde z nas pogrążone we własnych myślach.

– Widziałam blizny – odezwałam się w końcu.

– Słucham?

– Po kulach. Na udzie i na ramieniu. Nie zastanawiałam się, skąd je ma, uznałam, że coś sobie zrobił, jak był sportowcem. Pomyślałam po prostu... – Przerwałam, bo co jeszcze mogłam powiedzieć.

Duke nie skomentował.

– On myśli, że popełnił błąd, wzywając policję – dorzuciłam.

– Ja myślę, że zabili ją zaraz po porwaniu. Błąd popełnił jej ojciec, bo nie zrobił wszystkiego, co było można. On wiedział, z czym się mierzy – Mace nie. Mace chciał po prostu odzyskać siostrę. To normalne.

Znowu skinęłam głową, odetchnęłam głęboko.

A potem wyszeptalam:

– Nie zdołam go od nich uwolnić.

– Od czego?

– Od demonów – wyjaśniłam. Czuję się bezradna, zagubiona, trochę wystraszona i czuję, że może moje szczęście jednak się nie odmieni. – Nigdy nie odejdą.

Duke ścisnął mnie ręką w talii, a potem wstał. Zostałam na podłodze i patrzyłam, jak wychodzi z łazienki, zamyka drzwi, i nie wiedziałam, co robić.

Chciałam znaleźć Mace'a, objąć go i wchłonąć jego ból, jakbym była gąbką wchłaniającą emocje. Pragnęłam magicznej mocy, żeby wymazać jego wspomnienia. Chciałam móc podróżować w czasie, żeby go ostrzec, żeby chronić Caitlin. Chciałam dać jej życie, które powinna mieć. Chciałabym, żeby Mace mógł chodzić na premiery, siedzieć na widowni i podziwiać swoją siostrę balerinę.

A najbardziej chciałam skopać tyłek jego ojcu.

Wrócił Duke, ze szczoteczką do zębów w jednej ręce i kawą w drugiej. Odstawił kubek, podniósł mnie z podłogi, zajrzał do apteczki, podał mi pastę. Umyłam zęby, wyszorowałam język, wypłukałam usta.

Duke opuścił klapę toalety, posadził mnie na niej i podał kawę. Napiłam się, a on kucnął przede mną, zajrzał mi w oczy.

– Nie znałam Caitlin Mason. Ale jeśli jest podobna do brata, to gdybyś cofnęła się o osiem lat, siadła obok niej i powiedziała, co się wydarzy, to wiem, co by ci odpowiedziała.

– Co?

– Bądź szczęśliwa.

Wiedziałałam, co próbował przekazać.

I wiedziałałam, że to nie zadziała.

To nie było takie proste.

Tu nic nie było proste.

Pokręciłam głową, napłynęła druga fala łez.

Duke mówił dalej.

– Masz rację, Stella. To go zżera. Mówisz, że byli blisko, i widząc, co się z nim dzieje, pewnie się nie mylisz. Ale żadna szesnastoletnia baletnica kochająca swojego brata nie chciałaby, żeby jej duch go prześladował. Chciałaby, żeby uwolnił się od demonów i był szczęśliwy. A ty musisz sprawić, żeby zrozumiał, że tego właśnie by chciała.

– Jak? – spytałam, a po moich policzkach spływały łzy.

– Dając mu szczęście. Wtedy to przyjdzie z czasem. On się uwolni.

Znów pokręciłam głową.

– To nie jest coś, od czego można się tak łatwo uwolnić.

Mogłabym robić Mace'owi na śniadanie jajka po benedyktyńsku, gofry z truskawkami i bitą śmietaną albo jagodowe naleśniki z ciepłym syropem klonowym czy szarlotkę z grubą warstwą kruszonki, albo jeszcze coś innego, mogłabym to robić codziennie, aż do końca jego pitolonego życia – a i tak by nie wystarczyło, żeby uwolnił się od tamtego gówna.

Duke ścisnął mi rękę.

– Zaufaj mi, dziewczyno. Wiem, co mówię. Widzę, jaki on jest przy tobie. Nie wiem wszystkiego, nie wiem, co się z nim działo po jej śmierci. Ale wiem, że nie dopuszczał do siebie nikogo – oprócz ciebie. Jeśli spróbujesz dać mu szczęście, on się uwolni.

Przypomniałam sobie, co Mace powiedział na scenie, gdy zaśpiewałam „Black”.

Nie mogę być gwiazdą na twoim niebie, bo ty jesteś jedyną, która jeszcze świeci na moim.

Co chciał przez to powiedzieć?

Jedyną gwiazdą?

Jak to możliwe?

Mace był dobrym człowiekiem. Może bezpośrednim, może szybko się wkurzał, ale chłopaki z ekipy go szanowali. Lubili go. Byli nie tyle kumplami z pracy, ile przyjaciółmi.

Musiał mieć jakieś życie – przed porwaniem Caitlin.

Musiał mieć ludzi, o których się troszczył i którzy troszczyli się o niego.

Musiał mieć rodzinę.

Przyjaciół.

Mamę.

Nigdy o tym wszystkim nie opowiadał.

Nigdy.

I wtedy zrozumiałam.

Już wiedziałam.

Miał tak jak ja.

Był w mroku.

Porzucił karierę sportowca i został detektywem.

Odciął się od dawnego życia i poszedł dalej. Wszystko, co działo się przed Caitlin, było nieważne. Odrzucił to.

Ja zrobiłam to samo.

I wtedy na to wpadłam. Wyprostowałam się, zabrałam Duke'owi rękę, otarłam oczy i powiedziałam:

– Duke, możesz coś dla mnie zrobić?

– Co zechcesz, słońce.

– Muszę wiedzieć, jak nazywa się mama Mace'a, i mieć jej numer. Tak, żeby Mace się nie dowiedział.

Duke patrzył na mnie przez chwilę.

Potem odparł z uśmiechem:

– Załatwione.

Rozdział 19

Stuknięte świrusy

Stella

– Pierwszy ją zobaczyłem! – wrzasnął Leo.

– No i co, jest moja! – odkrzyknął Pong.

Stałam z Indy i Ally w Head West, a Pong i Leo stali nad drucianym koszem z podkoszulkami i walczyli o tęczy, ręcznie farbowany T-shirt, przeciągając go między sobą jak linę.

Bajecznie.

Znów moja pitolona kapela.

Nowo otwarty sklep Annette przeżywał oblężenie.

Ludzie tłoczyli się, rzucając się na oliwki, piwo, orzeszki i krakersy z wyciskany serem jak na wyrafinowane delicje. Wszyscy dzierżyli papierowe torby ze stemplem „Head West” w stylu Dzikiego Zachodu, a w nich T-shirty, plakaty, fajki wodne i co tylko można wymyślić.

Jak na razie fajna zabawa pozwalała nam oderwać się od myślenia, a tego wszyscy potrzebowaliśmy. Shirleen musiała radzić sobie z napastnikiem (i straciła kanapę), ja przeżyłam traumę, słuchając o tym, co się stało z Mace’em i jego siostrą. Impreza, nawet jeśli stanowiła niesamowitą kombinację oliwek, sera i fajek wodnych, była dokładnie tym, czego potrzebowaliśmy.

Annette, przeszczeniwa, krążyła w tłumie w odjazdowej kremowej bluzce w wycięciu w łódkę i luźnych spodniach w kolorze khaki. Miała bosc stopy, paznokcie w kolorach tęczy, cieniłą kremowo-zieloną apaszkę na jasnych włosach, skręconych, zaplecionych, zawiniętych i sterzcących na wszystkie strony.

Sklep liczył sobie niecały dzień, a wyglądał, jakby stał tu od lat sześćdziesiątych.

Ściany zdobiły plakaty z Jimim Hendrixem, Grateful Dead i Jimem Morrisonem oraz wielkie chusty w celtyckie wzory.

Pięć wielkich drucianych koszy wypełniały podkoszulki, sarongi i tak dalej. Trzy stojaki prezentowały plakaty grup rockowych, kobiet na tygrysach oraz całe spektrum psychodelii. Na regałach stały książki w stylu *Zen i sztuka oporządzania motocykla*[4] i biografie Jerry’ego Garcii. Dwie ściany zajmowały szklane gabloty, zapełnione fajkami wodnymi w każdym stylu, rozmiarze i kolorze, zapalniczki jednorazowe we wszystkich odcieniach, zapalniczki Zippo, naklejki na zderzaki i nie tylko, kadzidółka o każdym zapachu, ogromny wybór świeczek i tak dalej.

Przyszły wszystkie rockowe laski i cała brygada twardzieli, z wyjątkiem Mace’a, który, jak powiedział mi Luke, pracował i który, jak się domyśliłam, wolał się trzymać z daleka od rockowych dziewczyn.

Chłopaki, z bronią w kaburze i walkie-talkie przy pasie, pełniły funkcję ochroniarzy i nie kryły się z tym. Każdy miał ten sam wyraz twarzy „nie zadzieraj ze mną”, niezwykle uniwersalny i bardzo efektywny, wnioskując z reakcji klientów.

Nie założyłyśmy wprawdzie ubrań z konopi, ale miałyśmy na sobie dżinsy i kowbojki (z wyjątkiem Avy w klapkach) i, na żądanie Annette, jej podkoszulki. Indy miała T-shirt z napisem „Grateful Dead”, Ally pomarańczowo-żółtą bluzkę z psychodelicznym wzorem, Ava – „Jefferson Airplane” w stylu retro. Mnie Annette wręczyła różową bluzkę ze stokrotkowym napisem „Flower Power” (poszłam z nią do przebieralni), a Roxie założyła zabójczą tunikę w stylu indyjskim, też do nabycia w sklepie.

Daisy musiała przegapić informację o dress codzie – miała na sobie białą miniówkę i bluzkę pozbawioną pleców. Bluzka wyglądała jak zrobiona ze srebrnych koralików i miała draperię na przodzie; obfity biust Daisy prawie ją rozrywał. Na nogach parę srebrzystych wysokich kozaków na platformie.

Obejrzałam ją od stóp do głów, a ona oznajmiła:

– Nie ubieram się jak hipiska, *comprende?*

Skinęłam głową, no bo o czym tu gadać.

Tymczasem do Leo i Ponga, którzy dalej szarpali tęczy T-shirt, podszedł niechlujny gość (znajomy dziewczyn o ksywce Kevster, widziałam go na jakimś koncercie) i powiedział tylko jedno słowo:

– Ziomale.

A potem podniósł ręce w znaku pokoju, jakby myślał, że to zadziała.

Zamknęłam oczy zrozpaczona, bo wiedziałam, że nie.

– Odjeb się, hipisie – usłyszałam głos Ponga. Pora interweniować. Spojrzałam przepaszająco na Indy i Ally i zaczęłam się przeciskać w stronę mojej nieszczęsnej kapeli.

I słyszałam odpowiedź urażonego Kevstera:

– Nie jestem hipisem. Palę zioło. To ogromna różnica, bracie.

Leo zignorował go i szarpnął podkoszulkę.

– Puszczaj, Pong.

– Ty puść! – Pong odwrócił się do niego.

– Właśnie że ty! – Leo szarpnął znowu.

– Ziomale, musicie szanować wajb tego sklepu – włączył się Kevster. – To tak, jakbyście weszli do Kabbalah Center i urządzili tam rozróbę. Tak się nie robi. Niszczycie pozytywne wibracje.

– Jebać wibracje! – wrzasnął Pong.

Właśnie do nich dotarłam – w złym momencie. Pong puścił koszulkę i poleciał do tyłu, czyli na mnie, oboje upadliśmy na ziemię, wymachując rękami i potrącając po drodze dwa kosze z ubraniami. Przewróciły się z głośnym hukiem i poturlały, siejąc T-shirtami i ubraniami z konopi.

– Chaos! – zawołał Kevster, wymachując rękami nad głową. – Chaos w head shopie!

Pojawiła się Ally i odciągnęła go.

– Uspokój się, Kevin.

Kevin nie miał zamiaru się uspokajać.

Wskazał na Ponga, potem na Leo.

– Wyrzucić ich!

– Skoro w head shopie nie ma chaosu, to nie ma też wyrzucania – stwierdził Pong z podłogi, ale Kevster się tym nie przejął.

– Chodzi o szacunek, człowieku – oznajmił. – Nie wolno wносить chaosu do head shopu. Wszyscy to wiedzą!

Indy, która stanęła za mną, podniosła mnie; podszedł Hugo i popatrzył na Ponga.

– Stuknięte świry – wymruczał, dając jasno do zrozumienia, że nie przyszedł tu, żeby pomóc.

– Święta racja, bracie – powiedziała do Hugona Shirleen, która wyrosła tu jak spod ziemi.

Normalnie bym się tym nie przejęła.

Nie było w tym nic nowego. Chaos w moim życiu był czymś normalnym, i to jeszcze zanim kule zaczęły świstać mi koło głowy. Mój band powodował chaos wszędzie.

Ale dziś miałam dosyć.

Dosyć jak cholera.

Po sesji z Dukiem spędziłam całą godzinę w gabinecie Lee, gdzie przejrzałam wszystkie gazety, które dziewczyny, Duke i Tex w końcu mi pokazali.

Cała historia Caitlin, ze zdjęciami pięknej jasnowłosej i niebieskookiej dziewczyny, drobniutkiej i uśmiechniętej. Zdjęcie Mace'a z czasów surfowania, chyba po zawodach. Stał na plaży, w kombinezonie, cały mokry, deska wbita z tyłu w piasek. Caitlin, malutka i bardzo młoda, może dziesięcioletnia, radosna i roześmiana, przytulała się do niego bokiem i obejmowała go w pasie. Odchyłała głowę i patrzyła na brata, on patrzył na nią. Obejmował ją, długimi, mocnymi palcami ściskając jej ramię. Caitlin zupełnie, ale to kompletnie nie przeszkadzało, że ona jest sucha, a Mace cały mokry.

Mace, o wiele młodszy, może dwudziestoletni, też się uśmiechał. Nigdy nie widziałam u niego tego uśmiechu. Odprężona, otwarta, jasna twarz. Bolał mnie sam jej widok.

Po raz pierwszy, patrząc na zdjęcie, zrozumiałam, jak wiele siebie utracił po śmierci siostry.

Zrozumiałam, że stracił wszystko.
I że ja powinnam pomóc mu to odzyskać.
I niech mnie szlag, jeśli wiedziałam, jak to zrobić.
Dowiedziałam się też dużo o Prestonie Masonie. Nie myliłam się: był arcygnidą wszech czasów.
Przeczytałam o wszystkim. O jej ręce. O komandosach. Że Mace widział, jak odstrzelili jej głowę jego siostrze i faszeryją kulami jej piękne ciało.
Podsumowując, Mace miał chujowego ojca, martwą siostrę i dziewczynę, której groziła śmierć.
Naprawdę, mogłam się wkurzyć.
I przeżyć wstrząs.
I poczuć, że niszczy ci to resztę życia.
Zrozumiałam, że nie mam już cierpliwości do Leo i Ponga, którzy ze wszystkich pitolonych rzeczy kłócili się o pofarbowaną bluzkę.
No serio, czy ktoś mógł mieć do mnie pretensje, że się wkurzyłam?
Pong wstał, a ja ruszyłam do niego, depcząc rozsypane T-shirty. Gdy znalazłam się blisko, pchnęłam go w pierś. To go zaskoczyło – nigdy się tak nie zachowywałam. Cofnął się o krok.
– Co z tobą? – warknęłam.
Pong otworzył szeroko oczy, nie rozumiejąc mojej reakcji, i wymruczał:
– Stella Bella.
– Mówię serio. Co z tobą? Chcę się dowiedzieć.
Pong zamrugał i wyjaśnił:
– Ten T-shirt jest zajebisty.
Przechyliłam się i wyrwałam bluzkę z rąk Leo.
Potrząsnęłam nią przed twarzą Ponga.
– To? To jest warte robienia takiej sceny? Skakania do oczu kumpłowi? Nigdy byś jej nawet nie włożyła! – zawołałam i to była prawda. Pong nigdy nie włożyłby farbowanej koszulki. Nigdy.
Odwrociłam się do Leo.
– A ty? – Na widok mojej miny Leo się cofnął. – Ty masz takich piętnaście!
To też była prawda. Z całą pewnością miał ich piętnaście, może nawet dwadzieścia. Cholera, bardzo podobną miał w tej chwili na sobie!
Leo wzruszył ramionami, cisnęłam mu podkoszulkę w twarz. Złapał.
– Mam was potąd! – wrzasnęłam, przejeżdżając ręką pod brodą. – Linnie nie żyje. Nie żyje! Floyd i Buzz są w drodze do Oklahomy, jadą na pogrzeb – a wy się kłóćcie o podkoszulkę?! – Chyba zrobiło im się głupio, a ja krzyczałam dalej. – Do diabła, ludzie do nas strzelają! Codziennie jesteśmy w prasie! Mamy szansę na coś wielkiego z wytwórnią płytową, coś, co może zmienić całe nasze życie! A Mace... – Urwałam, widząc, że wszystkie rockowe laski, wszyscy przystojniacy i większość klientów patrzą na mnie.
Zamknęłam się, potrząsnęłam głową.
– Nieważne! Załatwicie to jak mężczyźni, którymi jesteście, nie jak sześciolatki. Mam dość waszych wygłupów! Dosyć. Koniec! – Popatrzyłam na Hugo. – Twoich również.
Hugo uniósł brwi i ręce.
– Kurde, co ja zrobiłem?
– Nic – uciełam. – Nic, co mogłoby pomóc. A wiem, że stać cię na więcej. Was również. Ale to zawsze ja zaprowadzam spokój w kapeli. Wszystkich was stać na więcej. Jeśli się nie ogarniemy, zespół się rozpadnie, a ja na to pozwolę, bo mam dosyć. Dostyc mam! Rozumiecie?
Patrzyli na mnie bez słowa.
Uznałam to za potwierdzenie i wskazałam podłogę.
– A teraz posprzątaacie i jeśli coś się zniszczyło, zapłacicie Annette, nawet jeśli będziecie musieli to odrobić. Czy wyrażam się jasno?
Znów bez odpowiedzi, więc nachyliłam się groźnie i powtórzyłam:
– Czy wyrażam się jasno?!
– Kurde, Stella Bella, wyluzuj – mruknął Pong.

- Wyluzuję, jak posprzątaacie ten bajzel – warknęłam.
- Czaimy, Stella. Się robi. – Leo nachylił się i zaczął zbierać T-shirty.
- Hugo wciąż na mnie patrzył, bardzo uważnie.
- Nic się nie przydarzy kapeli – powiedział.

– Masz rację – przyznałam. – Nic nam się nie przydarzy – ani złego, ani dobrego, jeśli nie pozbieracie się do kupy. Chcecie do końca życia grać w klubach Denver, Boulder i pitolonym Colorado Springs?

Pong, Hugo i Leo popatrzyli na siebie, potem na mnie. Nigdy nie rozważali żadnego „dalej”, bo ja nie miałam zamiaru nas tam zabierać.

- A możemy zrobić coś więcej? – spytał Pong zaskoczony.
- Moglibyśmy – gdybyście w końcu się ogarnęli. Moglibyśmy robić o wiele więcej.

Chcielibyście?

Cisza, gapienie się i zaskoczenie totalne.

W końcu Leo wyszeptał:

– Kurde, no pewka.

– Dobrze. To możecie w tym pomóc i, do kurwy nędzy, wreszcie dorosnąć. – Odwróciłam się do Indy i oznajmiłam: – Potrzebuję piwa.

– Masz piwo w ręku, kochanie – odparła łagodnie.

Spojrzałam – faktycznie, jakimś cudem nadal trzymałam butelkę w ręku, ale już prawie pustą.

– Potrzebuję nowego.

Shirleen wzięła mnie za ramię i zaczęła przepychać się przez tłum.

– Z drogi, ludzie! Pilna potrzeba piwa!

– Piwo będzie za słabe – wymruczała Ava do Jules, gdy szły za nami razem z zresztą rockowych lasek.

Shirleen odholowała mnie na bok, gdzie, o dziwo, było trochę miejsca i spokoju. Ally wcisnęła mi do ręki pełną (i już otwartą) butelkę zimnego piwa, Ava wzięła ode mnie starą, odstawiła na gablotę.

Wzięłam potężny łyk.

– To było mega – oznajmiła mi.

– I powinno zostać zrobione dawno temu – dodała Daisy, mrugając do mnie.

Dopchała się do nas Annette.

– Ja cię kręcę, to był totalny sztos! – zawołała. – Już się bałam, że jednak nic się nie stanie! Co by to było, gdyby rockowe laski niczego nie odwinęły! – Trąciła mnie w ramię. – Stara, jesteś niemożliwie zajebista!

A potem zakręciła się i zniknęła.

– Zakładam, że nie jest szalona – powiedziałam do Roxie.

– Nettie może być trochę dziwna – przyznała z uśmiechem.

– Nie inaczej, siostró – mruknęła Jet.

Wzięłam kolejny łyk i zobaczyłam Hectora, wchodził do sklepu. Przesunął wzrokiem po ludziach, znalazł mnie i zaczął przeciskać się przez tłum w naszą stronę.

– Nie chciałabym tego teraz wyciągać, ale musimy porozmawiać o Masie – odezwała się cicho Jet.

Spojrzałam na nią.

Rockowe laski nie wspominały o tym, co się stało dziś rano. Po poranku w gabinecie Lee Tex załadował mnie do swojego el camino i zawiózł do mnie. Po drodze wyznałam mu, że jestem z Mace'em (w końcu on też nie był rockową laską). W rewanżu spędził ze mną i Juno całe popołudnie, pałaszując popcorn i oglądając filmy akcji.

– Nic tak nie oczyszcza głowy jak popcorn i Bruce Willis – zauważył, wrzucając do ust garść popcornu.

Nie da się ukryć. Patrzenie, jak Bruce Willis wysadza wieżowiec, oderwało mnie od myślenia o Masie i wszystkim innym.

Na jakiś czas.

– Nie mogę w tej chwili mówić o Masie – oznajmiłam dziewczynom.
– Ma dużo do przetrawienia – przyznała Jules.
– Przetrawienia, akurat! Powinna ściągnąć chłopaka do domu i wpakować się z nim do łóżka!
– wtrąciła się Shirleen.
– Potrzebują rozmowy, nie seksu – odparła Roxie.
– Seks działa jak rozmowa, dziewczyno – odpaliła Shirleen. – I sama powinnaś wiedzieć o tym najlepiej! Niech mnie, zeszłej nocy twój facet dał ci pierścionek w trakcie seksu. O czym to świadczy?
Ally znów przycisnęła dłonie do uszu.
– La la la, nic nie słyszę!
– Seks nie jest odpowiedzią na wszystko, Shirleen – nie zgodziła się Ava.
Shirleen spojrzała na nią ostro.
– Kiedy ty i Luke ostatnio się kochaliście?
– Nie rozumiem... – zaczęła Ava. Shirleen jej przerwała:
– Kiedy?
Ava rozejrzała się i wyznała:
– Dziś, przed przyjściem tutaj.
Daisy zachichotała, my wymieniłyśmy uśmiechy.
– Prowadzicie rozmowy od serca? Czy cholerny Luke Stark opowiada ci o uczuciach? Czy raczej pcha cię na ścianę, gdy ma ci coś do powiedzenia, coś do zakomunikowania, coś ważnego do przekazania, i się kochacie?
Sama rzuciłam się na Mace'a zeszłej nocy, żeby pokazać mu, jak bardzo cieszę się z jego powrotu. Usłyszał mój przekaz, głośny i wyraźny. Jasne, że potem również rozmawialiśmy, ale dopiero gdy otrzymał moją wiadomość.
– To nie było na ścianie, lecz na stole w jadalni – poprawiła Ava, uparcie nie chcąc przyznać Shirleen racji.
– Ooo, na stole w jadalni, uwielbiam – odezwała się Daisy. – Musicie też kupić biurko. Marcus i ja kochaliśmy się na biurku wczoraj wieczorem. Biurko jest dobre.
– Mamy biurko. Tylko jakby się przewróciło, gdy próbowaliśmy się na nim kochać – powiedziała Ava.
– Bo Luke to wielki facet, a ty masz niewielkie biurko. Potrzebne większe – poradziła Roxie.
– Nie ma to jak blat w kuchni – odezwała się Indy. – Lee jest bardzo kreatywny, ale gdy robimy to w kuchni... – Urwała z rozmarzeniem.
– La la la, nie słucham o kreatywności Lee!
– Chodzi nie tyle o miejsce, ile o pozycję – dołączyła Jules do rozmowy.
– Bardziej niż o pozycję chodzi o intensywność – poprawiła ją Jet. – Eddie i ja lubimy mocno i ostro. Tak jest najlepiej. Wiecie, co mam na myśli.
– Kurwa – padło stłumione przekleństwo. Odwróciłyśmy się – Hector stał za Jet i chyba żałował, że usłyszał o tym, jak to jego brat lubi ostry i mocny seks.
– Ups – szepnęła Jules i wszystkie zaczęłyśmy się śmiać, z wyjątkiem Jet, która poczerwieniała.
– Witaj w klubie. Teraz wiesz, jak to jest – mruknęła do niego Ally.
Hector nie dał się wciągnąć w tę rozmowę. Spojrzał na mnie i wyciągnął rękę; między dwoma palcami trzymał złożoną kartkę.
– Chcesz ten numer? – zapytał mnie.
Rany boskie.
Telefon do mamy Mace'a.
Wstrzymałam oddech, popatrzyłam na niego wielkimi oczami i skinęłam głową.
– No to chodźmy. Musisz zadzwonić – dokończył Hector, a ja odstawiłam piwo na gablotkę i poszłam za nim.
– Jaki telefon? – chciała wiedzieć Ally.
– Co tu się dzieje? – rzuciła Daisy.
– Czyj to numer? – drażyła Indy.

– Dajcie jej spokój – odezwała się Jules.

W tym momencie przepchali się do nas Tod i Stevie.

– Nie uwierzycie. Szukałem i szukałem, i nie ma tu nic, co chciałbym kupić! Jeszcze nigdy nie byłem w sklepie, w którym nie chciałbym czegoś kupić. – Tod wydawał się przerażony. – Dotknijcie mojego czoła, może mam gorączkę?

– To head shop, Tod. Nie palisz gandzi i nie jesteś hipisem. To normalne, że nie znalazłeś tu nic do kupienia – wyjaśnił Stevie.

– Oglądałem „Hair” milion razy – odpalił Tod, kładąc ręce na biodrach. – Burgundowa Róża dawała czadu, śpiewając „The Age of Aquarius”. Przejrzałem wszystko, ale nigdzie nie ma staników z makramy!

Hector miał dość. Wziął mnie za ramię i pociągnął za sobą.

Daisy była czujna.

– Chwilunia. Nie odpowiedziałas nam na pytania – zawołała za mną.

– Później wyjaśnię – zawołałam przez ramię.

– Mam nadzieję! – odrzyknęła.

Hector prowadził mnie do starego modelu bronco, zapięliśmy pasy i ruszyliśmy. W drodze do mojego domu zapytał:

– Czy kobiety zawsze tak rozmawiają? – Chyba chodziło mu o tę rozmowę o seksie.

– Yy... – zaczęłam. Owszem, tak właśnie rozmawiałyśmy.

– Dobra, nie chcę wiedzieć – przerwał mi.

– Rozsądny wybór – szepnęłam.

– Kurwa – mruknął.

Było późno. Ja i Juno leżałyśmy w ciemności, gdy usłyszałam klucz w zamku.

Juno spała. Ja nie.

Ja układałam plan.

Przekręciłam się, gdy otworzyły się drzwi i zapiszczał alarm. Juno zeskoczyła z łóżka, usłyszałam wbijanie kodu i brzęk breloczków Juno, gdy szła przez pokój.

Uniosłam się na łokciu, odsunęłam włosy z twarzy i zawołałam:

– To ty, Mace?

– Tak, skarbie – odpowiedział półgłosem.

Poczułam radość i spokój. Nie chodziło o to, że ktoś mógłby się włamać, po prostu cieszyłam się, że Mace był w domu. I że powiedział „tak, skarbie”, jakby mówił to każdej nocy, jakby co wieczór wracał do domu. I że teraz może tak się stanie: będzie wracał do domu i mówił tak do mnie każdej nocy.

– Tylko sprawdzałam. Wszystko w porządku?

– Na tyle, na ile to możliwe.

To nie była jakaś super odpowiedź, ale przynajmniej do nikogo dziś nie strzelali.

– Kładziesz się?

– Za chwileczkę.

Breloczki Juno dzwięczały teraz głośniej, Mace pewnie ją czochrał. Potem usłyszałam, jak się porusza w ciemności, rozbiera, rzuca ubranie. Na chwilę pojawiło się światło, gdy wchodził do łazienki, zgasło, gdy zamknął drzwi.

Położyłam się. Przybiegła Juno i zaczęła się mościć w nogach.

Wzięłam głęboki wdech, przestałam planować Walkę z Demonami Mace’a i wróciłam pamięcią do dzisiejszego wieczoru.

Hector wszedł ze mną do mieszkania i wręczył nową komórkę. Jak wyjaśnił, moja komórka i stacjonarny mogą być pod kontrolą ojca Mace’a.

To byłoby chore, ale w sumie ojciec Mace’a był chory, a więc nic w tym dziwnego.

Ku mojemu zdumieniu Hector został; uznałam, że to miłe. Nie potrzebuję towarzystwa bez przerwy, ale w tej chwili wołałam nie być sama – to miała być pierwsza akcja w ramach Wojny

z Demonami. Fajniej byłoby mieć przy sobie którąś z rockowych lasek, ale takiej opcji nie było, musiał wystarczyć Hector.

Spojrzałam na kartkę – mama Mace’a miała na imię Lana. Jak pięknie. Zachowała nazwisko Mason, czyli raczej nie wyszła ponownie za mąż. Możliwe, że jak wystawi cię arcygnida wszech czasów, nie masz ochoty narażać się po raz drugi.

Wybrałam jej numer, przestraszyłam się i zapragnęłam, żeby nie odbierała.

Nie miałam zielonego pojęcia, co jej powiedzieć.

Potem z kolei wystraszyłam się, że nie odbierze: nie miałam również zielonego pojęcia, jaką zostawić wiadomość.

– Halo? – usłyszałam.

Cholera.

Za późno.

Spojrzałam na Hectora. Stał za mną, ja siedziałam w fotelu.

Skinął mi głową.

– Pani Mason? – spytałam, wpatrzona w swoje kolana. Usłyszałam, jak Hector odchodzi.

– Tak? – usłyszałam w słuchawce.

– Tu Stella. Stella Gunn. Nie zna mnie pani, jestem przyjaciółką pani syna. Kaia.

Jezu, jak dziwnie było mówić na Mace’a „Kai”.

Cisza.

Bardzo głęboka.

– Halo? – odezwałam się.

– Kaia? – powtórzyła. W jej ustach jego imię brzmiało tak pięknie... Miała cudowny głos, delikatny, kobiecy, melodyjny. Polubiłam ją za samo brzmienie jej głosu. A jeszcze bardziej za to, jak wymawiała jego imię. Jakby to była magia.

– Tak, Kaia.

– Coś się stało? – usłyszałam strach w jej głosie.

– Nie – odparłam szybko. – To znaczy tak. To znaczy, nie jemu, w sensie, nie konkretnie.

Ja pitole, jakie to było trudne.

„Mów dalej!”, krzyknął na mnie mózg.

„Nie wiem co!”, odkrzyknęłam.

„Wymyśl coś!”, nie ustępował.

– Nie rozumiem – odezwała się Lana. – Jesteś tą dziewczyną z gazety, tak?

O jasny gwint, czytała gazety.

Ciekawe, ile wie.

– Tak. Jesteśmy jakby wyjątkowymi przyjaciółmi.

Wyjątkowymi przyjaciółmi.

Ale to zabrzmiało.

– Tak, zrozumiałam to z artykułów – oznajmiła łagodnie. – Jesteś bardzo ładna.

To było miłe, uśmiechnęłam się do telefonu.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

No i co teraz?

Kuźwa, ja pitole.

– On nie wie, że do pani dzwonię – oświeciłam ją.

Znowu cisza.

Nabrałam powietrza i mówiłam dalej.

– Wiem o Caitlin. Właśnie się dowiedziałam.

Znowu cisza. I znów bardzo głęboka.

– Pani Mason?

– Mów do mnie Lana.

To też było miłe.

– Lana, rozmawiałaś ostatnio z Mace'em? – zapytałam.

– Z Mace'em? – nie zrozumiała.

– Przyjaciele nazywają tak Kaia. Mace.

Dłuższa przerwa, a potem cichy głos:

– To nie pasuje do mojego syna. On nie jest Mace'em.

Posmutniałam. Na tym zdjęciu, gdzie obejmował siostrę, faktycznie nie wyglądał jak Mace.

Wyglądał jak Kai.

Ale teraz właśnie był Mace'em.

– Rozmawiała z nim pani?

– Nie miałam od niego wiadomości od siedmiu lat.

Kopniak w brzuch, ostry i mocny. Wyjątkowo mocny.

Zrobiło mi się przykro, ze względu na nich oboje.

– Och, Lana...

– Czemu dzwonicz? – spytała mocniejszym głosem.

– Ja... – Co mam jej powiedzieć? – Potrzebuję twojej pomocy.

I opowiedziałam jej o tym, co się stało. O wszystkim. O Sidneyu Carterze, Linnie, Prestonie Masonie, moich rodzicach, opowiedziałam jej nawet historię moją i Mace'a.

Uznałam, że ma prawo wiedzieć. Niczego nie ubarwiałam. Skoro Mace był jej synem, to był do niej podobny i pewnie odziedziczył po niej te dobre rzeczy. Preston Mason nie miał w sobie ani krzty dobra, Mace miał go mnóstwo, więc jej geny musiały być silniejsze.

Gdy skończyłam, Lana zapytała od razu:

– Co chcesz, żebym zrobiła?

Spojrzałam w stronę Hectora. Siedział na platformie, patrzył na mnie i głaskał Juno.

– Chciałabym, żebyś przyjechała do Denver – powiedziałam, odrywając wzrok od Hectora.

– A potem?

– Nic więcej. Po prostu przyjedź. Ja załatwię resztę.

– I co to będzie ta reszta?

Nie miałam pitolonego pojęcia.

I też nie chciałam tego ukrywać.

– Na razie nie wiem. Będę improwizować na bieżąco.

Zaśmiała się cicho i zabrzmiało to jak piękna melodia.

– Nie brzmi jak dobry plan.

Uśmiechnęłam się do siebie.

– Bo może nie jest. – Odchyliłam się na oparcie, postawiłam stopy na siedzeniu fotela. – Ale muszę coś zrobić. On bardzo się mną opiekuje, czas, żeby ktoś zajął się nim. A to wszystko, z jego ojcem i Caitlin, musi się wreszcie skończyć.

Lana nie odzywała się, ale czułam bijące od niej ciepło.

– Stella... Musisz wiedzieć, że on kochał Caitlin najmocniej na świecie. Nie miała ojca. Żadne z nich tak naprawdę go nie miało. Kai zrobił wszystko, żeby nie poczuła tej straty tak, jak on ją odczuł. Gdy ją porwano...

– Lana...

– Nie, skarbie, pozwól mi skończyć.

Umilkłam, głównie ze względu na to „skarbie”. To było takie miłe. Moi rodzice nigdy tak do mnie nie mówili. Dlatego właśnie tak uwielbiałam, gdy Mace mówił do mnie „kociątko”.

Czy do Mace'a również mówiła „skarbie”?

– Gdy ją porwali – mówiła dalej Lana – widziałam, jak mój syn umiera.

Wciągnęłam powietrze i zeszytniałam. Ścisnęło mi się gardło, spojrzałam na Hectora, a ona mówiła dalej.

– Kai zniknął i jego miejsce zajął ten Mace. Musisz wiedzieć, że być może on nie chce mojego przyjazdu. Ja, Kai, Caitlin i jej mama, Chloe, spędzaliśmy razem święta, jeździliśmy nawet na wakacje. Stworzyliśmy rodzinę. Dobrze się między nami układało, choć na początku Chloe i ja... To Kai

zbudował naszą rodzinę. Chciał tego dla Caitlin, Chloe i dla mnie.

– I dla siebie – wtrąciłam.

– I dla siebie. Ale potem wszystko przepadło. Dłużej tego nie chciałam. I być może nadal tego nie chce, skoro nie ma już Caitlin.

– Jesteś jego mamą.

– Wiem, ale...

– A Chloe jest wszystkim, co zostało po Caitlin.

– Stella, skarbie...

– Muszę do niej zadzwonić – powiedziałam, a w mojej głowie rodził się plan.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odezwała się szybko.

– On nie może tak dłużej żyć.

– Mój syn jest twardym człowiekiem. I zawsze był. Zawsze robił to, co chciał – dodała z rezygnacją.

Ja nie miałam zamiaru zrezygnować.

– To wszystko prawda. Ale teraz musi zrobić to, czego chciałyby Caitlin. I choć jej nie znałam, to wiem, że nie chciałyby dla niego czegoś takiego. Ani dla niego, ani dla ciebie, ani dla Chloe. Musicie znów być rodziną.

Nie zareagowała.

– Dasz mi numer do Chloe? – zapytałam w tę ciszę.

Usłyszałam, jak bierze głęboki wdech i odpowiada z wahaniem:

– Zadzwonię do niej.

Spojrzałam na Hectora i uśmiechnęłam się.

– Byłoby super – powiedziałam.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – dodała Lana.

– Nie – wyznałam. A skoro już wszystko jej mówiłam... – Ale go kocham i muszę spróbować.

– Nie mogę się doczekać, aż się poznamy, Stello Gunn – powiedziała ciepło.

Znowu się uśmiechnęłam.

– Ja również.

Poprosiłam Hectora o numer nowej komórki i podałam go Lanie. Pożegnałyśmy się.

Spojrzałam na starszego Chaveza.

– Dobrze, że to robię? – spytałam.

– Bardzo dobrze – odparł z przekonaniem.

– Jesteś pewien? – Ja nie byłam.

Wstał i podszedł do mnie, pochylił się, objął za szyję i pocałował mnie w czubek głowy. Gdy odchyliłam głowę, żeby na niego spojrzeć, patrzył mi prosto w oczy.

– Jestem – wyszeptał.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – odszepnęłam.

Puścił mnie, stanął prosto.

– Mace to farciarz.

Przepłynęło przeze mnie szczęście i ciepło.

Uśmiechnęłam się.

– Dzięki.

Hector odpowiedział uśmiechem, a mój oddech w jednej chwili wybrał się na wyprawę w Góry Skaliste.

Hector Chavez miał cholernie ładny uśmiech.

Wkrótce potem pojechał, zostawiwszy mi komórkę.

Zadzwoniłam z niej do Floyda, żeby sprawdzić, czy z nim i Buzzem wszystko w porządku.

Pogrzeb był następnego ranka, żałowałam, że nie pojechałam z nimi, ale z oczywistych względów nie mogłam. Zaraz po pogrzebie wracali, żeby zdążyć na koncert w czwartek.

Opowiedziałam Floydowi, co się dzieje; chyba poczuł ulgę.

Dał telefon Buzzowi i jemu też powiedziałam.

– Linnie byłaby taka szczęśliwa – powiedział.

Miał rację. Dlatego trochę byłam szczęśliwa, a trochę smutna: chciałam, żeby tu była, zobaczyła, jak się wszystko układa, uwierzyła w to i może znów uwierzyła w siebie.

Ale aż tak dobrze nie było.

Potem zajęłam się listą piosenek na czwartkowy koncert – to musiał być majstersztyk, specjalnie pod Dixona Jonesa i Kaia Masona. Potem grałam trochę na gitarze, a potem poszliśmy z Juno do łóżka i zaczęłam układać plan.

Drzwi od łazienki otworzyły się, Mace wszedł do pokoju. Podniósł koldrę, wyciągnął się obok mnie i przykrył do pasa.

Nie wiem czemu, ale nie ruszałam się z miejsca, czekałam, aż mnie przyciągnie.

Nie zrobił tego. Leżał na plecach, z rękami pod głową, i patrzył w sufit. Ja leżałam na boku i patrzyłam na niego.

– Lee opowiedział mi o kłótni w head shopie – odezwał się.

O rany.

– Ponga i Leo trochę poniosło – odparłam.

Nie odpowiedział, nie było o czym gadać. Ponga i Leo ponosiło regularnie.

– Daisy i Hector umówili w czwartek spotkanie z tym gościem z Black Fat Records – powiedziałam z kolei ja.

– Idziesz?

Odetchnęłam głęboko.

– Tak.

Przekręcił się na bok w moją stronę i wymruczał:

– To dobrze.

– Boję się – wyznałam.

– Wiem.

No i proszę. Temat wyczerpany.

– Wstąpiłem dzisiaj do Mnicha – powiedział Mace. – Wziąłem wasze pieniądze, leżą na blacie w kuchni. Jutro podrzucę chłopakom ich działkę.

– Nie musiałeś tego robić.

– To też wiem.

I znów koniec tematu.

– Nie zadzwoniłam dzisiaj do mamy – przyznałam się.

– To dobrze – odparł. – Chcę tu być, jak zadzwonisz.

Zatkało mnie.

Boże, kochałam go.

– Dziękuję – powiedziałam.

Nie odpowiedział.

– Jak ci minął dzień? – zapytałam, choć dziwnie się z tym czułam.

Nigdy tego nie robiliśmy. Nie leżeliśmy w łóżku, rozmawiając, opowiadając sobie różne rzeczy czy, jak mówili niektórzy, przetrawiając.

Czułam się spanikowana. W tym dobrym sensie.

– Mamy postępowanie. George, ten gość dziś w biurze, jest zastępcą prokuratora okręgowego i robił nam problemy w sprawie Sida. Hank sięgnął ponad nim i pokazał dowody jego szefowi. Facet powiedział Hankowi i Eddiemu, żeby brali Sida – nakaz aresztowania dostaliśmy dzisiaj wieczorem.

– To chyba dobrze?

– Z pozorami. Ale Sida niełatwo znaleźć, poza tym będzie się mścił i zmobilizuje swoich żołnierzy.

– Myślałam, że już to zrobił.

– Tak, w defensywie. Teraz przejdzie do ataku.

Nie brzmiało to dobrze. Właściwie brzmiało wyjątkowo niedobrze.

– George jest wściekły – mówił dalej Mace. – Przez Hankę wyszedł na głupca.

– Będzie robił problemy?

– Nie wiadomo. George nie lubi, jak robi się z niego idiotę, i pewnie chciałby się policzyć z Hankiem, ale nic na niego nie ma. Dlatego może spróbować dorwać Lee i Shirleen.

– I co?

– Lee da radę. Czasem łamie prawo, ale zacierza ślady. Ale Shirleen dilaowała kiedyś narkotykami. – Krzyknęłam cicho, zaskoczona, Mace mówił dalej. – A w tej chwili jest rodziną zastępczą dla dwójki uciekinierów; Jules i inny pracownik socjalny naciągnęli trochę zasady, żeby umieścić u niej Roama i Sniffa. Teraz chłopaki mogą stracić dom, a Jules pracę.

– Cholera – szepnęłam.

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie wygląda na to.

– Nie martw się tym, kociątko – powiedział z absolutnym spokojem.

Zaufałam mu i przestałam się martwić.

– Shirleen handlowała narkotykami? – zapytałam.

– Tak. Nigdy nie została złapana, a od kilku miesięcy jest czysta.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Nawet dobrzy ludzie robią złe rzeczy, Stella. Shirleen jest dobra, ale postępowała źle. Skończyła z tym. Jest świetnym rodzicem zastępczym, kocha tych chłopców. Jak dowiodła dziś rano, oddałaby za nich życie. Jest też dobrym przyjacielem. Nic więcej nie musisz wiedzieć.

Zamilkłam. Ufałam, że Mace się nie myli. Znałam trochę Shirleen i wyglądała na wspianą osobę.

– To jest dziwne – wyznałam w końcu.

– Co?

– Ty i ja. Że tak rozmawiamy.

– Podoba mi się. – Usłyszałam uśmiech w jego głosie.

– Mnie też. – W moim głosie również był uśmiech.

Uznałam, że najwyższy czas dowalić jego demonom. Nie podobało mi się, że go dręczyły, i nie chciałam, żeby tak dłużej było. Koniec z tym. Przystąpiłam do szturm.

– Lubię, jak wracasz do mnie do domu – odezwał się cicho.

Powietrze w pokoju uległo zmianie. Zgęstniało, stało się cięższe, ale cieplejsze.

Mace nie odpowiedział, ale w końcu się ruszył i dotknął mnie; poczułam jego palce, delikatne muśnięcie na swojej talii.

– Lubię robić ci śniadanie – mówiłam dalej. – Lubię, jak jesteś ze mną w kuchni. Podobała mi się koszulka, którą miałeś na sobie. Ładnie ci w niej.

– Kociątko – wymruczał, przesuwając dłoń na moje plecy.

Pochylił się i przysunął mnie bliżej.

Oparłam dłoń na jego twardej piersi, założyłam mu rękę na szyję.

– Lubię słuchać, jak dzwonią breloczki Juno, gdy ją głaszczesz. Lubię słuchać, jak kładziesz swoje ubrania.

Dotknął ustami mojej szyi, powędrował za ucho.

Przekreśliłam głowę, moje usta znalazły się przy jego uchu i objęłam Mace'a mocno w pasie.

– Przepraszam, że z tobą walczyłam, Mace – wyszeptałam. – Teraz, gdy znów jesteś mój, nigdy nie pozwolę ci odejść.

Odwrócił głowę i przysięgam, że patrzył na mnie w ciemności. Czułam, jak robi mi się ciepło w policzki pod tym wzrokiem; reszta mojego ciała już dawno rozgrzała się od jego ciała.

I wtedy mnie pocałował.

A potem użyliśmy języków, warg, palców i innych części ciała, żeby przekazać to, co musiało zostać przekazane.

Gdy już skończyliśmy, gdy przestałam mruzczyć i normalnie oddychaliśmy, gdy Mace przekreślił mnie i przytulił plecami do siebie, gdy Juno wróciła do łóżka i ułożyła się w stopach, wyszeptałam:

– Dziękuję.

– Za co mi dziękujesz, kociątko? – spytał Mace w mój kark, wydawał się rozbawiony.

– Jestem królową wyjątkowo parszywego szczęścia. Całe moje życie miałam pecha. I to nie po prostu pecha, ale wyjątkowego pecha. A w tej chwili już nie. Teraz jest dobrze. Zawsze jest dobrze, gdy jesteś przy mnie. Zaczynam myśleć, że jesteś moim talizmanem.

Jego ciało stało się twarde jak skała.

A potem objął mnie w pasie bardzo, bardzo mocno. Tak mocno, że brakowało mi powietrza. I wymruczał w moją szyję:

– Jezu.

To, jak to powiedział, to, jak mocno mnie objął, dawało nadzieję, że w tym pierwszym starciu udało mi się dokopać paru demonom.

Chciałam jeszcze powiedzieć mu, że go kocham, ale uznałam, że to by było za szybko.

Wojna z demonami chwilę mi zajmie. Musiałam być cierpliwa, silna i nie zjebać sytuacji.

Nie ma pośpiechu.

Rozdział 20

Demon

Stella

Następnego ranka upiekłam Mace'owi szarlotkę z kruszonką, a skoro byłam w areszcie domowym (w pewnym sensie), to Mace musiał skoczyć rano do sklepu po składniki. Na szczęście nigdy nie miał problemu z robieniem zakupów, a moja szarlotka (z kruszonką) należała do jego ulubionych ciast.

Piekarnik się nagrzewał, a ja układałam ubrania Mace'a w szafie i wyjmowałam rzeczy z pudeł.

Chciałam, żeby zauważył, że to robię, ale chciałam też, żeby wyglądało to na coś naturalnego, jeden z codziennych obowiązków, jak karmienie Juno czy zmywanie.

Kolejna bitwa w wojnie z demonami: chciałam, żeby Mace poczuł się w moim mieszkaniu jak u siebie.

No dobra, może była to raczej drobna potyczka, ale zawsze.

W pierwszej chwili myślałam, że faktycznie nic nie zauważył: siedział na kanapie, rozmawiał przez telefon i zapisywał coś w notesie.

W końcu uznałam, że nawet w zwykłej sytuacji takie rozkładanie rzeczy byłoby dość znaczące, i zaczęło mnie wkurzać, że on uważał to za coś naturalnego. Dlatego zaczęłam się demonstracyjnie rozbijać, żeby się, kurde, ruszył i mi pomógł.

Dotarłam do dna ostatniego pudła, z płytami CD. Gdy Mace skończył rozmowę, wzięłam pudło, przyniosłam je do stolika i postawiłam z rozmachem na notesie.

Mace podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Skarbie?

Wsparłam dłonie na biodrach.

– Musisz podpisać swoje płyty.

Zerknął na moje biodra i ściągnął brwi.

Potem spojrzał mi w oczy.

– Dlaczego?

– Bo jak ich nie podpiszesz, to się pomieszają z moimi.

Wyjęłam jedną płytę, „Evolution” Journey. Była tu jedna z moich ulubionych piosenek „Lovin’, Touchin’, Squeezin’”. Zastanowiłam się, czy da się ją wpasować w jutrzejszy koncert, i uznałam szybko, że tak.

Miałam tę samą płytę.

A wiadomo, co to oznacza.

– No i co? – spytał Mace.

Zdjął pudło z notesu, postawił dalej.

Najwyraźniej nie wiedział, co oznaczają powtórzone płyty.

– No i to – burknęłam. – Że ja też mam taką płytę. Skąd będziemy wiedzieli, która jest która?

Mace odchylił się na oparcie i oparł stopę na brzegu stolika.

– Co za różnica, które płyty są twoje, a które moje?

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– Zasadnicza!

– Jak to?

– Po prostu. To są CD. A CD są święte.

– Niczym się nie różnią.

– Tak, ale ja kupiłam swoją, jak byłam w Twist and Shout w czasie fazy na Journey, a Twist and Shout już nie ma. Byłam wtedy z moją starą kapelą. Ze względu na mnie graliśmy „Wheel in the Sky” prawie co wieczór. Uwielbiałam każdy kawałek Journey. Nawet ich ballady. Nie znoszę rockowych

ballad, ale ich ballady dają czadu. „Faithfully”. „Open Arms”. Niesamowite.

– Jak będziemy mieli powtórzone CD, to sprzedamy moje na eBayu.

Prawie się zakrztusiłam.

– Co takiego?

Mace przyglądał mi się uważnie, być może zastanawiając się, czy nie potrzebuję pomocy.

A potem powtórzył, tym razem bardzo powoli:

– Jak będziemy mieli podwójne płyty, to sprzedamy moje na eBayu.

Uniosłam ręce do góry.

– Nie możesz tak po prostu sprzedać swoich płyt na eBayu, zwłaszcza jeśli są powtórzone. Będą miały podwójne zastosowanie! Po pierwsze, będą stanowiły backup, gdyby coś się stało z jedną płytą, po drugie, są dowodem, że powinniśmy być razem, bo lubimy tę samą muzykę. To oczywiste!

Pokręcił głową, jakby nie wiedział, czy ma się uśmieć, czy wkurzyć.

– Jeśli chcesz podpisywać CD, podpisz swoje – doradził.

– Nie będę podpisywać moich CD! Nie chcę pisać na płycie. Ani na okładce – zaznaczyłam tak na wszelki wypadek.

Mace wziął głęboki wdech, jakby próbował znaleźć cierpliwość.

– To podpisz moje.

– Sam je podpisz.

– Kociątko, nie mam czasu na podpisywanie CD i najmniejszego zamiaru się o to kłócić.

Ale jak to?

Kto się kłócił?

Kłótnia nie wchodziła w moją strategię wojny z demonami Mace’a. Przeciwnie, była wysoce niepożądana.

– Nie kłóćmy się. Dyskutujemy – oznajmiłam.

– Jeśli mężczyzna rozmawia z kobietą, a kobieta kładzie ręce na biodrach, to mamy kłótnię. A ty zaczęłaś w ten sposób.

– Wcale że nie – warknęłam, choć obawiałam się, że niestety miał rację.

– Tak.

Spojrzałam na niego twardo.

– Dobra, nieważne. Układam twoje rzeczy, tak? Mógłbyś mi pomóc.

– Brody mówił mi, co znalazł na mojego ojca. Brody leci na oparach siedemnastu sześciopaków Red Bulla i nie śpi od czterdziestu dwóch godzin. Robi włamy, wyłącznie nielegalne i niektóre z jego odkryć są cholernie pożyteczne. Przepraszam, że nie przerwałem rozmowy, żeby pomóc ci rozwieszać ubrania.

O rany.

Uznałam, że czas się wycofać, zanim wyjdę z tej potyczki z jeszcze większymi stratami.

– Dobra, nieważne. Podpiszę twoje CD – wymruczałam.

Wrzuciłam płytę Journey do pudła i chciałam je wziąć, ale Mace już tam był. Wyjął mi pudło z rąk i rzucił je na podłogę.

– Hej! – Wyprostowałam się, a on złapał mnie w pasie i przyciągnął do siebie.

Trzymałam się jego ramion i stanęłam na palcach, żeby nie uderzyć się o stół, a Mace w jednej chwili położył mnie na kanapie i znalazł się na mnie.

Przysunął twarz do mojej i powiedział:

– Kociątko, gdyby to ciasto nie pachniało tak cholernie dobrze, gdyby patzenie, jak rozkładasz moje kłopoty i krążysz po mieszkaniu w tych szortach, które tak zajeście lubię, nie sprawiało mi takiej przyjemności, byłabyś nie do wytrzymania.

No dobra, skoro obserwował, jak układam jego rzeczy, to może nie miałam racji względem przegrania potyczki. Może właśnie wygrałam, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Nie wiedziałam, co mogę powiedzieć, żeby się nie zdradzić, więc rzuciłam tylko:

– No, na pewno.

– Zostaw to pudło – powiedział. – Zdecydowałem, że jak się to wszystko skończy,

przeprowadzasz się do mnie.

Patrzyłam na niego wielkimi oczami.

Zapomniałam o potyczkach, wojnach i demonach i wykrztusiłam:

– Nie przeprowadzam.

– Przeprowadzasz. Lubię twoje mieszkanie, ale jest strasznie dziewczynskie i za mało tu miejsca.

Ja mam podwórko dla Juno i stół, żebyśmy nie musieli jeść na stojąco. Zabierzemy twoje łóżko, pozbędziemy się innych kłopotów i będziesz mogła podpisać wszystkie płyty za jednym zamachem.

Pozbędziemy się moich kłopotów?

No halo!

Skrzyżowałam ręce na piersi. Wymagało to trochę wysiłku, bo musiałam je wcisnąć między siebie i niego, ale się udało.

– Wygląda na to, że wszystko masz przemyślane.

Uśmiechnął się, ignorując skrzyżowanie rąk, sygnalizujące kłótnię znacznie dosadniej niż dłonie na biodrach, i powiedział:

– Jak cholera.

– Twój dom jest nowy – zauważyłam.

– Zgadza się. I?

– To może zabrzmieć śmiesznie, ale nowoczesność to nie mój styl.

Tak było.

Jego dom miał może trzy lata, stał na nowym osiedlu. Zero osobowości. Trzy rodzaje domów w trzech kolorach na krzyż.

Nuda.

Nie robiło mi to różnicy, skoro i tak spędzaliśmy większość czasu u mnie, ale teraz zaczęło. Wiedziałam, że jego dom nie jest domem. To budynek. Jak się to wszystko skończy, nie chciałam, żeby Mace mieszkał w czymś takim. Chciałam zrobić z tego budynku przytulny dom.

– To znajdziemy coś innego – powiedział, jakby było mu wszystko jedno, i pewnie tak właśnie było.

– Naprawdę? – zapytałam, tracąc zapał do kłótni.

– Naprawdę – pochylił głowę i musnął ustami moje usta. – Ale muszą tam być pokoje.

– Może tak być – wyszeptalam.

Spojrzał na mnie ciepło i łagodnie.

– Ale będziesz grała w sypialni.

Czując, jak się rozpląwam, objęłam go.

– To też jest możliwe – szepnęłam.

Podniósł rękę do mojej twarzy, opuszki palców wsunął we włosy przy skroni, cofnął dłoń. Przeszył mnie dreszcz szczęścia. Patrzył na swoją rękę, znów spojrzał na mnie. Wstrzymałam oddech na widok intensywności w jego oczach, a potem coś w nich rozbłysło i demony zniknęły, garda opadła.

Myślałam, że to już koniec tej chwili, ale Mace powiedział:

– Gdy jestem z tobą, czasem zapominam.

Bardzo dobrze wiedziałam, o czym mówi.

Miałam ochotę zerwać się, uderzyć pięścią w powietrze i wrzasnąć do demonów: „Co wy na to, śmiecie!”.

Ale zamiast tego ujęłam twarz Mace’a, podniosłam się i pocałowałam go.

Oddał pocałunek.

Zrobiło się seksownie.

Jakiś czas później odezwał się timer w piekarniku i wbrew sobie musiałam zsunąć Mace’a z siebie i wstać. Mace usiadł i zanim poszłam do kuchni, stanęłam między jego nogami i nachyliłam się, kładąc dłonie na jego udach. Musnęłam ustami jego usta i wyszeptalam:

– Ja zapominam za każdym razem, gdy jestem z tobą.

Jego oczy znowu rozbłysły, a ja wyprostowałam się szybko i poszłam do piekarnika.

Powstrzymując się, żeby nie świętować zdobycia nowego punktu.

Jakąs godzinę po wyjściu Mace'a zadzwoniła komórka, którą dał mi Hector.

Odebrałam.

– Halo?

– Kociątko.

Poczułam przyjemny dreszcz.

– Cześć – powiedziałam miękko.

– Hector twierdzi, że dał ci czysty telefon.

– Tak.

– Kiedy?

O rany.

– No, wczoraj wieczorem. Jak mnie odwiózł do domu z Head West. – I to nie było kłamstwo. To było pominięcie powodu, dla którego dał mi telefon, i niewspomnienie o tym, że został u mnie, gdy używałam tego telefonu z owego pominiętego powodu, dla którego w ogóle mi go dał.

– Nie jestem jakoś szczególnie zachwycony tą nową bliskością z Chavezem – powiedział Mace cicho.

– Hector to mój manager.

Cisza.

– Tak samo jak Daisy i Shirleen. I zdaje się, że rockowe laski też są minimanagerkami.

– Jezu.

– Wszystko jest w porządku – rzuciłam od niechcienia, choć to już zdecydowanie nie była prawda.

Mace postanowił odpuścić.

– Chcesz przyjechać do biura? Zjeść ze mną lunch?

„No jaha!”, wrzasnął mój mózg.

– Pewnie – powiedziałam na głos.

– Możemy potem zadzwonić do twojej mamy.

O kurde blaszka.

– Yyy... – wymruczałam.

– Kociątko, musisz do niej zadzwonić – powiedział dużo łagodniej.

– Wiem – szepnęłam i zacisnęłam mocno powieki. – Kurwa.

– Będę przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

Trochę pomogło.

– Dobra.

– Któryś z chłopaków po ciebie przyjedzie.

– Spoko.

– Tak koło pierwszej.

– Jasne.

– Jak masz listę zakupów, weź ją. Wstąpię do sklepu w drodze do domu.

Znowu przyjemny dreszcz.

– Wolisz na jutro gofry czy tę resztkę szarlotki? – zapytałam.

– Szarlotkę.

– Będziesz w domu na kolację?

– Chciałbym odpowiedzieć, że tak, ale zobaczymy.

– Dobra, zaplanuję coś elastycznego.

– Na razie, kociątko. – Usłyszałam uśmiech w jego głosie.

– Na razie – odparłam z nadzieją, że on też słyszał uśmiech w moim.

Rozłączył się.

Boże, kochałam go.

Komórka od Hectora zadzwoniła ponownie przed południem.

Odebrałam, myśląc, że to może znowu Mace, i licząc, że nie odwołuje lunchu ani kolacji.

– Halo?

– Stella?

Dzwoniła Lana.

– Cześć, Lana! Co słyszeć?

– Pakuję się i jestem przerażona. Nic więcej nie słyszeć. Chloe i ja przylatujemy jutro do Denver.

Rany.

– To wspaniale!

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, kochanie. Chloe boi się jeszcze bardziej niż ja. Kai i ona... Po tym jak... Kai... uznał, że Chloe go obwinia. Wmówił to sobie. Mogła mu tłumaczyć, a on... – Urwała i odetchnęła. – O Boże.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam z przekonaniem, którym nie dysponowałam.

– Wygląda jak Caitlin – powiedziała Lana.

O rany.

O rany.

O RANY.

Dobra.

Nieważne, co mówił Mace, potrzebowałam w tej chwili rockowych lasek.

Nie ma, kurwa, opcji, żebym dała radę przejść przez to wszystko bez nich.

– Wszystko będzie dobrze – obiecałam. – Mace, to znaczy Kai, ma mnóstwo przyjaciół, bliskich przyjaciół. To dobrzy ludzie. Zajmiemy się i tobą, i nim.

– Skoro tak mówisz.

Układając wczoraj ten plan, zrozumiałam, że muszę zapewnić Lanie (i Chloe) bezpieczeństwo.

W grę wchodził nie tylko Sidney Carter, ale i Preston Mason, i być może ten palant George.

– Nie rezerwuj hotelu. Musicie zatrzymać się u przyjaciół.

– Och, nie chcemy robić kłopotu...

– Musicie – dodałam szybko. – Kai nigdy by mi nie wybaczył, gdybym nie podjęła środków ostrożności.

– Och – powiedziała po chwili ciszy.

– Wszystko w porządku. „Bezpieczeństwo” to ich drugie imię.

Mówiłam o brygadzie twardzieli. Mieli wiele takich imion. Na przykład „despotyzm”, „zastraszenie”, „twardzielstwo”, „sexy”. Ale tego nie chciałam na razie mówić, żeby jeszcze bardziej jej nie wystraszyć.

– Dobrze – powiedziała.

– Podaj mi numer twojego lotu, ustalimy, kto cię odbierze z lotniska. Tak?

Zapisałam numer w notesie Mace’a, oderwałam górę kartki, złożyłam i wcisnęłam do tylnej kieszeni szortów.

– Stella? – odezwała się Lana.

– No?

– Dziękuję.

Znów poczułam przyjemny dreszcz. Inny niż ten, który wiązał się z Mace’em, jego głosem, oczami, ustami albo dłońmi. Ale też bardzo miły.

– Nie, Lana. Ja ci dziękuję – odparłam.

Zapisałam jej numer w telefonie jako Obiekt 1, na wypadek gdyby Mace go zobaczył. Chciałam wiedzieć, że to ona, jeśli znowu zadzwoni.

Potem usiadłam na kanapie i zaczęłam się zastanawiać, kogo mam wybrać.

A ponieważ nie mogłam się zdecydować, zadzwoniłam do Fortnum i uznałam, że pogadam z tym, kto odbierze telefon.

– Księgarnia książek używanych Fortnum, słucham? – powiedział kobiecy głos i od razu wiedziałam, że to Jane. Ultrachuda, patologicznie nieśmiała, trochę dziwna kobieta w nieokreślonym

wieku, która pracowała tam, zanim Indy odziedziczyła księgarnię po babci.

– Jane? – upewniłam się jeszcze.

– Kto mówi? – spytała czujnie.

– Stella.

Ja pitole, czyli jednak musiałam kogoś wybrać.

Dobra, wiem.

Duke.

– Jest Duke? – zapytałam.

– Nie ma.

Cudownie.

Czyli jednak pech mnie nie odstępował.

Dobra, plan B.

– A mogę rozmawiać z Teksem? – wypaliłam.

– Jasne. – Usłyszałam, jak zasłania mikrofon ręką. – Tex?

– Co? – warknął niecierpliwie.

– Telefon – poinformowała go Jane.

– Widzę, kobieto. Ale mam z pół tysiąca klientów. Niech zostawi wiadomość.

– To Stella Gunn.

– Jasny gwint. Ale nie podziurawili jej chyba kulami, co?

Przewróciłam oczami.

– Czy jesteś ranna? – spytała Jane z całkowitą powagą.

– Nie – odparłam. Ale Tex nie będzie miał tyle szczęścia, jeśli nie zgodzi się na mój plan, i to szybko. – Powiedz mu, że to bardzo ważne.

Zasłoniła mikrofon.

– Mówi, że to ważne.

Usłyszałam niezrozumiałe mruczenie, a potem Texa, który zamiast powitania oznajmił:

– Przysięgam, że zabiję tego, kto gada z prasą. Mamy tutaj jebany dom wariatów. I większość z nich jest nowa, nie zna procedury i nie wie, co trzeba robić. Oni się spodziewają, że będę miły. Jeden powiedział, że potrzebuję kursu treningowego z obsługi klientów. Co to ma, kurwa, być?

– Tex... – spróbowałam mu przerwać, lecz bez efektu.

– Kursu treningowego! Tak, kurwa, potrzebujemy, i to bardzo! Ci pojebańcy muszą się nauczyć, że ja robię kawę, a oni piją. Nie ma tu żadnego „siemasz, jak leci” czy innego „dobrego dnia”. Zamawiają, idą na koniec lady, dostają kawę i dla mnie przestają istnieć. Kurwa! – huknął na koniec.

– Tex, przestań głośno przeklinać – upomniała go Indy w tle.

– Kurwa! – odrzyknął do niej Tex. – Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa!

O rany.

– A nie możesz być trochę miły? – spytałam.

– Nie – huknął.

Dobra, nie miałam czasu na takie dywagacje. Pora przejść do rzeczy.

– Tex, potrzebuję przysługi.

– Mam skopać komuś tyłek?

– Nie.

– Super. Zajebioza! Potrzebuję skopać komuś dupę – ale czy tego ode mnie potrzebujesz? Nie!

Nie, kurwa, nie. To czego chcesz?

Opowiedziałam mu o strategii. O mamie Mace’a, mamie Caitlin, ich przyjeździe i o tym, że potrzebuję pomocy rockowych lasek, ale muszą przysiąc pod groźbą śmierci, że nie zdradzą się z niczym.

– Jak się wygadają, to mam je zabić? – spytał.

– Nie krępuj się – odparłam.

– Załatwione.

I rozłączył się bez słowa pożegnania.

Odhaczyłam w myślach ten punkt.

Idziemy dalej.

Mace i ja byliśmy w gabinecie Lee. Ja siedziałam w fotelu za biurkiem, Mace na blacie tuż obok mnie. Przy jego udzie leżały opakowania po wrapach, kurczak na ostro.

Ciągnęłam przez słomkę resztkę letniej, wygazowanej coli dietetycznej i gapiłam się na telefon, który Mace położył przy wrapach.

– Kociątko – odezwał się delikatnie.

Nie odrywałam wzroku od telefonu.

– Kurwa – mruknięłam.

– Załatw to szybko. Będziesz miała z głowy – zachęcił.

Spojrzałam na niego. Odstawiłam colę i potrząsnęłam włosami.

– Dobra. Szybko. Z głowy. Robi się.

Podniosłam słuchawkę, wybrałam numer stacjonarny rodziców, którego nie zapomniałam po tych wszystkich latach, i słuchałam sygnałów.

– Halo? – odezwała się moja mama.

Brzmiała, jakby miała siedemset lat.

Spojrzałam szybko na Mace'a. Nachylił się, położył mi rękę na ramieniu przy szyi i ścisnął.

Przepląnęła przeze mnie siła.

Głupio brzmi, ale to prawda.

– Mamo? – odezwałam się.

Cisza.

– Mamo? Jesteś tam?

– Stella?

– Tak, mamo. Tu Stella.

– Stella... – powiedziała.

– Cześć. Co słychać?

Cisza.

A potem dźwięk, jakby płakała.

Jestem głupia.

Głupia, głupia, głupia.

„Co słychać? Co to w ogóle jest za pytanie?“, obruszył się mózg.

Zignorowałam go.

– Mamo, wiem, co się dzieje – powiedziałam jej.

– Wiesz? Skąd to wiesz?

– Mam przyjaciela, który... Więcej niż przyjaciela. W sumie to mój chłopak...

Spojrzałam na Mace'a. Nie wyglądał już na przejętego, teraz jego usta drżały w uśmiechu.

Ja pitolę.

– Właściwie mieszkamy razem. Nazywa się Kai Mason, ale mówię na niego Mace. Nie tylko ja, wszyscy. Wszyscy nazywają go Mace.

Czemu plotłam trzy po trzy?

– W każdym razie jest miły i słodki. Polubiłabyś go.

Słodki?

Przestań pleść!

– Skąd wiesz, co się u nas dzieje? – Mama wróciła do tematu.

– On jest jakby prywatnym detektywem.

Mama krzyknęła cicho.

– Nie! Nie śledzi cię ani nic. To znaczy, dobra. Jak się dowiedzieliśmy od jego ojca, który jest draniem...

Spojrzałam szybko na minę Mace'a, ale on schylił głowę i trzęsły mu się ramiona. Wiedziałam, że to ze śmiechu.

– Nieważne, długa historia – mówiłam dalej. – Wiem od jego taty, że jesteś chora. Mace sprawdził i powiedział, że macie kłopoty. Dlatego...

– Opłaciłaś hipotekę?

Położyłam rękę na udzie Mace'a i ścisnęłam. Mace podniósł głowę; miałam rację, uśmiechał się.

Uśmiech znikł, gdy powiedziałam:

– To nie ja, Mace.

– Ojciec urządził piekło. Poszedł do banku, żądał, żeby odesłali pieniądze, ale odmówili, bo mieliśmy zaległości.

– Będzie musiał to przeżyć. Wyślemy więcej pieniędzy, mam, przyjaciele zrobili zrzutkę.

– Nie rób tego, Stella.

– Mam...

– Nie rób tego, dziewczyno – rzuciła twardo.

Zmieniła ton, a mnie krew odpłynęła z twarzy.

Zdarzało się, że była nieprzyjemna, ale rzadko. Zwykle była cicha i wycofana, prawie niewidzialna.

Mace dostrzegł moją bladość i zmrużył oczy. Zdjął rękę z mojego ramienia, wyprostował się i wcisnął tryb głośnomówiący.

Ja nadal mówiłam do słuchawki.

– Mam, musicie przyjąć te pieniądze.

– Gdy odeszłaś, moje życie stało się piekłem – usłyszałam jej głos w głośniku, ostry, nieprzyjemny. – Zostawiłaś mnie z nim. Nawet przez chwilę nie pomyślałaś, co mnie czeka, gdy ciebie już nie będzie. Zawsze byłaś cholerną egoistką. Potem zachorowałam. Nie odzywałaś się całe lata i co, myślisz, że możesz tak po prostu się zjawić, wielka gwiazda rocka, dziewczyna słynnego sportowca, i wszystko naprawić? – rzuciła z gryzącym sarkazmem.

Poczułam, że serce mi staje i ściska mi się żołądek.

Mówiła zupełnie jak ojciec.

I czytała gazety.

Czyli wiedziała, że ktoś chciał mnie zabić.

I miała to gdzieś.

– Mam.

– Jest wściekły z powodu tych pieniędzy. Nie pomagasz. Nie chcę tego. Potrzebuję spokoju.

– Mam, pozwól mi pomóc.

– Jak chcesz pomóc, trzymaj się z daleka. Chciałaś odejść i odeszłaś, nie ma cię już. Daj mi umrzeć w spokoju.

– Mam!

– I nie dzwoń więcej. Nie powiem ojcu, że to pieniądze od twojego waźniaka. Mam dość problemów.

– Mam, proszę, posłuchaj!

Ale jej już nie było.

Patrzyłam na telefon.

Mace wymruczał cicho:

– Kurwa, to się nie dzieje.

Nie spojrzałam na niego, wciąż gapiłam się na telefon. Byłam zszokowana i... i nie wiem, co jeszcze czułam.

W końcu odłożyłam słuchawkę.

– To się, kurwa, nie dzieje – powtórzył Mace i w końcu na niego popatrzyłam.

O ja pitole.

Wkurzył się.

– Mace...

Złapał telefon, wyrwał go szybko z gniazdka, podniósł się i z całej siły cisnął nim przez pokój.

Telefon rozbił się o ścianę.

O matko.

Oderwałam wzrok od szczytków telefonu i spojrzałam na Mace'a.

– Posłuchaj...

Popatrzył na mnie.

– To koniec. – Jego głos wibrował furia.

– Mace.

– Nie dzwonisz więcej do tej suki. Mam gdzieś, że umiera.

– Mace.

– Do chuja, jesteś ich córką! – wybuchnął. – Nie wiedzą, jaka jesteś bezcenna?

O matko.

Chyba nie mówił o mnie.

No dobra, może mówił. Ale ja wcale nie czułam się bezcenna.

Podeszłam do niego i położyłam mu ręce na szyi.

– Mace, spójrz na mnie.

Ale on patrzył w ziemię i dyszał ciężko.

– Nazwała cię egoistką.

– Nie myśl o tym.

– Powiedziała, że nie myślałaś o niej, kiedy odeszłaś.

– Słyszałam – szepnęłam.

– Czy kiedykolwiek pomyślała, że on stosował przemoc wobec ciebie?

– Mace.

– Powiedz mi, Stella!

– Nie.

– Czy cię kiedyś chroniła?

– Nie.

– Wykorzystała cię, żeby ochronić siebie.

Przysunęłam się do niego.

– Mace, nie...

– Tak było, prawda?

– Prawda – przyznałam cicho.

– Jest gorsza niż twój ojciec.

– Nie jest. Jest tylko słaba.

– Kurwa, nie broń jej. Jest gorsza.

Ścisnęłam jego szyję.

– Dobrze. Jest gorsza. – Wsunęłam ręce w jego włosy i pociągnęłam, aż schylił głowę. – Nie wściekaj się. Nie są tego warci.

– Dałam im sześć tysięcy dolarów.

Zamknęłam oczy.

– Wiesz, co bym dał, żeby zadzwonił mój telefon i żebym usłyszała w nim głos Caitlin?
– usłyszałam.

Uniosłam powieki i ujrzałam demony w jego oczach.

Cholera.

– Co byś dał? – wyszeptałam.

– Wszystko – odszepnął.

– Kocham cię – powiedziała znienacka. Nie planowałam tego, miałam zamiar powiedzieć to znacznie później. Po prostu mi się wyrwało.

I już nic nie dało się zrobić. Nie mogłam tego odkręcić, nawet gdybym chciała.

Mace patrzył na mnie.

I choć bałam się jak diabli, to skoro zaszłam już tak daleko, równie dobrze mogłam pójść jeszcze dalej.

– Jesteś najlepszym, co mam w życiu. Mogłabym stracić ręce, mogłabym nigdy więcej nie zagrać

na gitarze, a i tak byłoby to nieważne, gdybym miała ciebie.

Mace nadal patrzył.

Przywarłam do niego, przysunęłam się do jego twarzy, spojrzałam w piękne oczy i popełniłam ogromny błąd.

– Nie powinnam tego mówić, ale gdybym była Caitlin, gdybym miała takiego brata, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Byłoby dobre, szczęśliwe i fartowne. Jestem pewna, że chroniłeś ją przed ojcem. Że dawałeś jej bezpieczeństwo. Miała szczęście, aż do końca, że miała ciebie.

– Nic nie mów, Stella.

– To prawda.

– Nie masz, kurwa, pojęcia, o czym mówisz.

– Myślę, że mam – szepnęłam.

Ujął mnie za rękę na wysokości bicepsów i ścisnął. Zabolęło.

– Nic nie mów – warknął.

Skinęłam głową, ale nie zamknęłam oczu, nie odsunęłam się, chociaż jego palce wbijały mi się głęboko w ciało.

Patrzyliśmy na siebie. Jego twarz twarda i niedostępna, moja, taką miałam nadzieję, otwartą.

Ale on się zamknął i nie pokazał nic.

Kompletnie nic.

Jakby w ogóle go tu nie było.

Cholera.

Ktoś otworzył drzwi do gabinetu.

Mace odwrócił się, ja również.

W progu stał Vance. Spojrzał na szczątki telefonu, potem na mnie, w końcu zatrzymał wzrok na Masie.

– Mamy problem – oznajmił.

Rozdział 21

Spotkanie towarzyskie

Stella

Poszłam z nimi do recepcji. I prawie wpadłam na Mace'a, gdy stanął jak wryty. Przesunęłam się obok niego i zobaczyłam to samo.

Na kanapie, wyluzowany, odprężony i zrelaksowany, siedział Preston Mason.

Na domiar złego, ten palant George, zastępca prokuratora, stał w drzwiach obok nieatrakcyjnej kobiety. Miała pomarszczoną twarz i pończochy zrolowane w kostkach.

Gdy przyjechałam do biura na lunch, wpuścił mnie Vance, Shirleen nie było. Teraz wróciła, ale nie siedziała za ladą recepcji, tylko stała, wkurzona.

– Chyba sobie żartujesz – warknęła w stronę starszej kobiety.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – zwrócił się równocześnie Mace do swojego ojca.

– Mace... – odezwał się cicho Vance.

Preston Mason patrzył na mnie.

– Myślałem, że zawarliśmy umowę – powiedział.

– Yy... – wymruczałam.

Ja pitole.

Przyłapaną na gorącym uczynku.

– Pytałem, co tu robisz – powtórzył Mace.

Preston przeniósł wzrok na syna, nadal całkowicie spokojny.

– Przyjechałem porozmawiać. A przy okazji obejrzałem ten dramat. – Wskazał Shirleen, George'a i kobietę.

Zimny dreszcz przebiegł po moich plecach.

– Shirleen, w porządku? – zapytałam z wahaniem.

– Nie... nie jest... w porządku – odparła.

O rany.

– Co tu się dzieje? – zapytałam.

– Panno Jackson, może znajdziemy jakieś ustronne miejsce – zasugerowała kobieta.

– Możecie śmiało mówić przy moich chłopcach. – Shirleen wskazała Mace'a i Vance'a.

– Ma pani więcej widzów – zauważył George.

– Stella to moja dziewczyna. A ten tam to palant, więc i tak się nie liczy – odparła, kiwając na Prestona.

Prawie się roześmiałam.

– Shirleen, przejdźcie do gabinetu Lee. Poczekamy na Jules – wtrącił się Vance.

– Obawiam się, że pani Crowe jest zajęta – poinformował go George. – Widzi pan, Azyl King ma niespodziewaną inspekcję.

O cholera.

Azyl, w którym Jules pracowała.

Mace miał rację: George nie tracił czasu.

– I w pierwszej kolejności zbadają sprawę umieszczenia dwójki uliczników u znanego przestępcy.

– O, to ciekawe – powiedział przeciągle Preston. – Ona jest przestępcą? – Wskazał głową Shirleen, a potem utkwiał wzrok w Vansie. – A może mówił o tobie, Crowe? Przecież wiemy, że jesteś kryminalistą. – Pomarszczona krzyknęła cicho, Preston skinął jej głową i dokończył spokojnie:

– Kradzieże samochodów.

O nie.

Tak to nie będzie.

Pomarszczona gapiała się na Vance'a przez kilka sekund.

– To oznacza, że Juliet Crowe poślubiła przestępcę?

– Nie – warknęłam. – Przystojniaka.

Tym razem zagapiła się na mnie, mrugając szybko, w końcu odwróciła się do Shirleen.

– Panno Jackson, widzę, że musimy przeprowadzić natychmiastową interwencję – oznajmiła.

– Na czas rozpatrzenia sprawy chłopcy zostaną przeniesieni gdzie indziej. Mogła się pani tego spodziewać po włamaniu i użyciu broni kaliber 44, gdy obaj chłopcy byli obecni w domu.

– Mam prawo bronić mojego domu i moich chłopców – odpaliła Shirleen.

– Przykro mi, ale nie mam pewności, czy prawo zezwala na posiadanie broni w domach opiekuna zastępczego – zripostowała pomarszczona słodkim głosem.

– Trzy razy strzelił w salonie! A zeszłej nocy Roam zasnął tam na kanapie przed telewizorem. Ten drań mógł go zranić!

– To już pani wyjaśni w czasie przesłuchania – podsumowała zmarszczona. – Chłopcy zostaną przeniesieni już dzisiaj.

– Chłopcy nigdzie nie pójda – warknęła Shirleen.

Spojrzałam przez pokój – na szeroki uśmiech Prestona Masona.

Ej.

No nie.

Ktoś musiał coś wreszcie zrobić i tym kimś byłam ja.

– Chce pani powiedzieć, że odbieracie Shirleen jej konstytucyjne prawo do sprawowania opieki nad dziećmi? – zapytałam.

Zmarszczona odwróciła się do mnie.

– Kim pani jest?

– Przyjaciółką.

Spojrzała na Georga i zapytała:

– Czy ona też handluje narkotykami?

Shirleen zabalgotowała, Preston Mason parsknął śmiechem, Mace i Vance zastygli, a ja czułam, że za chwilę wybuchnę.

– Co powiedziałaś? – wysyczałam, robiąc krok do przodu. Mace objął mnie szybko w talii, powstrzymując i przyciskając do siebie.

– Wszyscy wiedzą, kim ona jest. – Zmarszczona wskazała Shirleen.

Nachyliłam się do niej nad ręką Mace'a.

– Chcę, żebyś to powiedziała. Głośno i wyraźnie. Żeby każdy tu obecny mógł być świadkiem tego oszczerstwa.

– Stella – odezwał się cicho Mace.

– Nie! – Wykręciłam się i spojrzałam na niego. – Chcą sobie kopać dół? To im pozwólmy. Ha, pomóżmy im! – zawołałam.

– Bądź cicho – zażądał.

Nie miałam najmniejszego zamiaru być cicho.

Przed chwilą moja matka mnie zgnoiła, Mace słyszał to i dostał szału.

Ojciec gnoił mnie całe życie.

Wiecznie pozwalałam, żeby ludzie mi dokopywali. Raz po raz.

Miałam dość.

Odwróciłam się i spojrzałam na George'a.

– Jesteś idiotą? – zapytałam.

Zmrużył oczy.

– Słucham?

– Nie czytasz gazet? Nie wiesz, że każdy, kto pracuje w tym biurze, jest sławny? Denver nas kocha. I jeśli oboje za chwilę stąd nie wyjdziecie, dzwonię do „Denver Post” i opowiem im wszystko. Nie musisz czekać, aż Lee cię zeszmaci, ja to zrobię.

George przeniósł wzrok na Mace'a.

– Mason, uspokój swoją kobietę.

– O, chciałbyś. – Pokręciłam głową. – Podobno marzy ci się fotel gubernatora. Chcesz, żeby przyszedli wyborcy zapamiętali cię jako kogoś, kto zniszczył porządną kobietę, która nie tylko dała dom dwóm dzieciakom, ale wyszła pod kule, żeby ich chronić? Założę się, że ludzie z Colorado oszaleją z radości. Na pewno mają gdzieś Drugą Poprawkę – w ogóle się tym nie przejmuj – warknęłam sarkastycznie. – Do tego Jules, pracowniczka społeczna, w tej chwili w ciąży. Codziennie pomaga dzieciom, a teraz ty utrudniasz jej życie. Nie zapominajmy o reszcie rockowych dziewczyn, trzymanyh w domach pod kluczem, przemieszczających się z ochroniarzami. Strzelali do nas, chociaż nic nie zrobiłyśmy! Mnie trafili!

Teraz już krzyczałam i nie miałam zamiaru przestać.

– Dwie z tych dziewczyn to narzeczone gliniarzy – gliniarzy, dzięki którym w mieście jest bezpiecznie. Twoje działania na pewno przysporzą ci popularności. Mogłeś to powstrzymać i nie zrobiłeś tego. A teraz się mścisz – i nie dlatego, że broniłeś prawa i sprawiedliwości, a dlatego, że stałeś z boku, gdy inni się narażali. Jak to będzie wyglądać? Już widzę te nagłówki, George. Na pewno znajdę dziennikarza, który ucieszy się z materiału. Koniec z tobą, George. Ludzie cię znienawidzą.

Zamilkłam w końcu i tylko na niego patrzyłam. Nie miał szans odpowiedzieć – Preston Mason wstał, klaszcząc w dłonie.

– Brawo, Stella – powiedział, kończąc tę jednoosobową owację. – To było naprawdę imponujące. Podobała mi się zwłaszcza wzmianka o Drugiej Poprawce – najwyraźniej tych lekcji nie opuściłaś.

– Niech cię piekło pochłonie – syknęłam.

– Dowiesz się, czym jest piekło za życia, gdy porwą i zamordują ci córkę – sparował.

Powietrze zgęstniało. Mace spiął się, czułam fale wrogości od Vance'a i Shirleen.

Ale ja byłam w ferworze.

– Myślisz, że piekło to porwanie i śmierć Caitlin? A może to coś innego, co, Preston? Może piekło to świadomość, że miałaś piękną córkę i zdolnego syna, a strawiłaś życie na zarabianiu hajsu i rolowaniu ludzi, bez kontaktu z własnymi dziećmi?

Trafiłam. Zabolało. Widziałam to, bo się skrzywił.

– Zamknij się – wysyczał.

– Niedoczekanie – warknęłam. – Miałaś swoje pięć minut w limuzynie, teraz moja kolej. Niedobrze mi, jak na ciebie patrzę. Chce mi się rzygać. Sądzisz, że jestem głupia? Nie na tyle, by odrzucić kogoś tak wartościowego. – Wskazałam kciukiem Mace'a. – W przeciwieństwie do ciebie, głupcze. Moja matka umiera na raka, a ty chcesz wyrzucić ich z domu. Śmiało. Kolejne czarne piętno na twojej duszy – ale co za różnica, skoro po śmierci i tak pójdziesz prosto do piekła. Prawda?

Patrzył na mnie wściekły.

Szarpnęłam się w objęciach Mace'a i zawołałam:

– Prawda?!

Mace nachylił się do mnie, przysunął usta do mojego ucha, powiedział miękko:

– Starczy, kociątko.

A ja poczułam, jak schodzi ze mnie powietrze. Wyczerpana, oparłam się o niego; podtrzymał mnie, objął drugą ręką.

Preston Mason spojrzał na niego.

– Przyszedłem tu, żeby się dogadać.

– Niepotrzebnie – rzucił twardo Mace.

– Bądź rozsądny, synu.

– Mógłbym ci zaproponować to samo.

Preston pokręcił głową.

– Jej rodzice wylądają jutro na ulicy.

– To będzie trudne, skoro nie zalegają już za hipotekę – odpalił Mace.

Przez twarz Prestona przemknęło zaskoczenie, szybko je ukrył.

Zmienił taktykę.

– Stać cię na więcej – powiedział, wskazując mnie.

– Zajebicie zabawnie słyszeć takie rady od kogoś, kto rzucił dwie wspaniałe kobiety bez mrugnienia powieką – warknął Mace.

Spojrzałam na Shirleen – uśmiechała się do Mace’a. Potem spojrzała na mnie, zaciskając usta, jakby bardzo próbowała się nie roześmiać.

– Czyli konfrontacja? – zapytał Preston.

– Na to wygląda.

– Wiesz, że ja zawsze wygrywam.

– Zapowiada się ciekawie, bo to samo mogę powiedzieć o sobie – odparł Mace.

– Niech wygra najlepszy! – zawołała Shirleen. – Przyjmujemy zakłady! Stawiam pięćdziesiąt dolców na Mace’a!

– Obawiam się, że nikt nie obstawi inaczej, Shirleen – wstawił Vance.

I wtedy Shirleen wybuchnęła śmiechem. A cała ta sytuacja była tak straszna i pokręcona, że zaczęłam się śmiać razem z nią.

Drzwi się otworzyły i wszedł Lee ze Smithiem.

– A niech mnie – rzucił Lee, patrząc na George’a. – Co my tu mamy, spotkanie towarzyskie?

Poczułam, jak w pokoju znika napięcie, jak odpręża się Mace, a od Vance’a przestaje emanować wrogość.

– Nightingale – odparł twardo George, ale zbladł, patrząc na Smithiego. Tak dziwnie, bo nie odrywał od niego wzroku, właściwie na niego nie patrząc. W końcu powiedział: – Pani Armstrong, będziemy się zbierać.

– Ale... – zaczęła pomarszczona pani Armstrong i nie dokończyła.

– Czy to czasem nie... – Smithie przyglądał się uważnie George’owi. – No pewnie! George Riverside! Do licha, brachu, dawno cię u nas nie było. Gdzie się podziewałeś, skurczybyku?

Twarz George’a poczerwieniała.

– Przepraszam, czy my się znamy? – spytał George.

– A jak! Tylko dawno nie zaglądałeś, a były czasy, że przychodziłeś bez przerwy. – Smithie nachylił się do pani Armstrong. – Mam klub ze striptizem, a nasz Georgie lubi, jak mu dziewczyny tańczą na kolanach. Płacił extra, żeby sobie tu i ówdzie pomacać. Najlepiej blondynki z wielkimi cycami. Naprawdę wielkimi cycami...

Smithie pokazał rozmiar dłońmi, zmarszczona cofnęła się.

– A teraz robi to poza miastem – ciągnął Smithie.

Zmarszczona patrzyła zszokowana na George’a.

– Do Wyoming droga prosta, co? A ja wciąż mam tam kumpla – mówi, że jesteś stałym bywalcem. Psiakrew, trochę nie w porządku wspierać biznes poza swoim stanem. Co mają zrobić tacy lokalsi jak ja?

Zmarszczona odsunęła się od George’a, przeniosła wzrok na Shirleen.

– Zadzwońię do pani, pani Jackson...

– Wal śmiało – odparła Shirleen, siadając na swoim miejscu i grzebiąc w kubku z ołówkami. Wyjęła stamtąd pilniczek, odchyliła się, założyła nogę na nogę i zaczęła piłować paznokcie.

Zmarszczona wyszła.

– Nightingale... – zaczął George.

– Mamy zdjęcia, George – przerwał mu Lee. – A tylko poskrobaliśmy po wierzchu, pół godziny szukania. Chcesz jeszcze więcej?

George zacisnął usta. Spojrzał w ziemię i również wszedł.

Preston Mason przesunął chłodnym wzrokiem po recepcji. Wszyscy patrzyliśmy na niego. Shirleen nadal piłowała paznokcie.

– Było mi miło – wymruczał Preston i również poszedł do wyjścia.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Lee spojrzał od razu na Shirleen.

– Wszystko w porządku?

– Będzie, jak Gordżus Pordżus wyniesie się do swojego biura i odwoła swoje psy z Jules, Roama i Sniffa – odparła.

To chyba wystarczyło, bo Lee popatrzył na Mace'a.

– A z tobą?

– Tak.

– Stella? – Lee zwrócił się do mnie.

– Zdaje się, że znacie wielu palantów – zauważyłam.

W kącikach oczu pojawiły się zmarszczki, ale uśmiech nie dotarł do ust.

– Taka jest smutna prawda.

– To co, mogę już iść? – niecierpliwił się Smithie.

Lee klepnął go w ramię.

– Dzięki, Smithie.

Smithie uniósł rękę i wyszedł.

Shirleen wcisnęła przycisk na telefonie, włączyła głośnik, usłyszeliśmy sygnały w telefonie.

– No? – odebrał Jack, jego głos rozległ się w całej recepcji.

– Masz nagraną przemowę Stelli „nie musisz czekać, aż Lee cię zeszmaci, bo ja to zrobię”?

– zapytała Shirleen.

Znieruchomiałam.

– Pewnie – odparł Jack ze śmiechem w głosie.

– Daj mi kopię, muszę spisać ten tekst – zażądała Shirleen. – Luke, Eddie i Hank powinni to usłyszeć. Kurde, niech Tom albo Malcolm rozesłają to całej policji, chłopakom też się coś od życia należy.

Odwróciłam się do Mace'a. Chyba otrząsnął się już po sytuacji w gabinecie Lee i spotkaniu z ojcem, bo uśmiechał się do mnie i patrzył ciepło.

Wskazał mi ręką róg pokoju, potem objął znowu, nachylił się i szepnął do ucha jedno straszne słowo:

– Kamery.

Gapiałam się na nie.

Ja pitole.

Znów spojrzałam na Mace'a.

– Shirleen mówi poważnie?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Może?

– Kurde – szepnęłam.

Objął mnie mocniej.

– Dobrze się czujesz?

– Twój ojciec jest arcygnidą wszech czasów.

Przestał się uśmiechać, objął mnie palcami na bicepsach, gładząc kciukami delikatną skórę.

– Zrobiłem ci krzywdę? – spytał cicho.

– Przeżyję.

Spojrzał na mnie szybko, ale nic nie powiedział.

– Vance cię zawiezie do domu. Porozmawiamy później.

Skinęłam głową.

Ze swojego miejsca odezwała się Shirleen.

– A mogłabym się dowiedzieć, co się między wami dzieje, do licha?

Spojrzeliśmy na nią.

– Długa historia – wyjaśniłam.

– No to chodź tutaj i zacznij opowiadać!

Spojrzałam na Mace'a. Uśmiechnął się, nachylił i pocałował mnie w czoło.

– Mam sprawy do załatwienia. Zrobiłaś listę zakupów?

Wyjęłam świstek z tylnej kieszeni i podałam mu.

A potem pomyślałam, że to może być numer lotu, wyrwałam mu go z ręki, odwróciłam się i rozwinęłam.

To była lista. Odetchnęłam z ulgą, odwróciłam się znów do Mace'a, podałam mu.

Zmrużył oczy.

– Co to było?

– Nic, po prostu...

Mój mózg próbował na szybko znaleźć jakieś wytłumaczenie, czemu zachowuję się jak kretyńska.

– Pomyślałam, że to lista piosenek na koncert, a wiesz, że mam na tym punkcie hysia... – Nie miałam, to było totalne kłamstwo i oczy Mace'a zwięziły się jeszcze bardziej. – No ale to nie jest lista piosenek, tylko lista zakupów. – Nachyliłam się, musnęłam jego usta swoimi i powiedziałam: – A teraz idź i dorwij kilku złoli, zaczynając od twojego ojca.

Patrzył na mnie przez chwilę, ale postanowił odpuścić. Ścisnął dłońią moją szyję i wyszedł.

Żeby była jasność: tak, zauważyłam. Nie odniósł się nawet słowem do tego, że powiedziałam mu, że go kocham.

– Wszystko ogarnięte – zapewniła mnie Ally przez telefon. – Tata Indy odbiera mamę Mace'a i Chloe. Przylatują w odstępie godziny. Musisz powiedzieć Lanie, żeby przekazała Chloe, że Tom będzie przy fontannach i potem razem poczekają na Lanę.

– Dobra, zadzwonię do niej.

– Zatrzymają się u Daisy, bo pewnie będą chciały być razem, a u Daisy jest mnóstwo miejsca. Chłopaki Marcusa nie mogą, więc Tom mówi, że to on zabierze je na koncert jutro wieczorem. I tam już ty będziesz mogła zrobić swoje.

– Brzmi dobrze – odparłam. – Powiesz Tomowi, że Chloe wygląda jak Caitlin, tylko jest starsza?

– Pewnie. – Ally zawahała się. – Nie brzmiśz, jakbyś uważała, że to brzmi dobrze.

– Nie, jest w porządku. Po prostu... Myślisz... Myślisz, że dobrze robię?

– Jak cholera – odparła Ally. – Jeśli rodzina jest w porządku, to jest najważniejsza. Mace nie ruszy do przodu, jeśli sobie tego nie pouklada. Robisz bardzo dobrze.

Spojrzałam na przedramię. Na wewnętrznej stronie widać było cztery małe siniaki.

Wciągnęłam oddech i wyznałam:

– Mace i ja mieliśmy dzisiaj incydent.

– Jaki incydent?

– Zadzwoniłam do mamy. Mace słyszał, jaka była dla mnie niemiła, dostał szału i cisnął telefonem Lee w ścianę. Roztrzaskał go na milion kawałków.

– O kurde.

– Wtedy powiedziałam mu, że go kocham...

– Ja pierdzielę. Ale jazda.

– A on nie powiedział mi tego samego, tylko patrzył.

Cisza.

– Gdy powiedziałam, że na pewno był dobrym bratem, wściekł się znowu. Chwycił mnie za rękę, bardzo mocno.

– Stella...

– Ja to rozumiem – powiedziałam szybko. – Wiem, że to wszystko znów do niego wróciło. Że zobaczył to jeszcze raz w gazetach. Że jest między ludźmi, którzy o wszystkim wiedzą. Widzi zdjęcia Caitlin.

– Pewnie mu trudno – przyznała Ally.

– Wiadomo było, że jakoś zareaguje. Powinnam sobie z tym radzić.

– Tak. Tylko, mała, on też powinien panować nad sobą i nie robić ci krzywdy.

– Widział, jak mordują mu siostrę – przypomniałam.

– Wiem – odparła po chwili ciszy.

– I teraz zastanawiam się, czy w ogóle mamy jakąś szansę – wyznałam.

– Dziewczyno, jeszcze trzy dni temu posyłałaś go do diabła. Daj sobie trochę czasu.

– Wiem – powiedziałam z kolei ja.

– Dasz radę?

– Pewnie.

– Zadzwoń, jakby coś się zmieniło. Pogadamy. Jestem tu, pamiętaj.

Wiedziałam o tym, ponieważ zawsze tak było. Na zewnątrz twarda, w środku była słodka. Najlepsza kumpela ever.

– Dzięki, Ally.

– Trzymaj się.

– Trzymam się.

Rozłączyłyśmy się i od razu zadzwoniłam do Lany. Nie było jej w domu, więc nagrałam wiadomość o Tomie i Chloe i ostrzegłam, że gdy Mace wróci do domu, nie będę mogła rozmawiać.

Wyłączyłam się i zagapiłam na Juno. Drzemała przy moich stopach.

Było późno. Mace zajrzał w ciągu dnia, przywiózł zakupy, ale nie mógł zostać; nie wiedziałam też, kiedy wróci.

Zrobiłam sobie kolację (pieczonego kurczaka i pilaw), a potem obdzwoniłam rockowe laski, przekazując nowiny i przypominając, że mają trzymać gębę na kłódkę. Potem zadzwoniłam do chłopaków z kapeli, ich też wprowadziłam w temat i zagroziłam śmiercią, jeśli coś wygadają.

A w tej chwili siedziałam i się martwiłam.

Hector i Ally powiedzieli, że robię dobrze, ale teraz myślałam, że może działam za szybko. Może należało zaczekać, aż to wszystko się skończy. Aż Mace się przyzwyczai, że znowu jesteśmy razem i będę miała czas nad nim popracować. Może to nie był dobry moment na spotkanie z Laną i Chloe, skoro kule latały, a jego ojciec się wtrącał.

Usłyszałam klucz w zamku, Juno się zerwała.

Drzwi się otworzyły, alarm zapiszczał, Mace wszedł, od razu spojrzał na mnie.

– Hej, skarbie – powiedział.

Moje serce znów się ścisnęło i odparłam:

– Hej.

Wyłączył alarm, włączył znowu, zamknął drzwi, a ja wstałam z fotela. Juno już była przy Masie, on już ją czochrał po grzbiecie, a ja zatrzymałam się metr od niego i patrzyłam.

Świetnie wyglądał w wytartych dżinsach, czarnych butach i ciemnoszarym T-shircie. Rękawy podkoszulki jak zwykle opinały się na bicepsach, a ponieważ się pochylał i kuczał, widać było napięte mięśnie pleców i szerokie bary. Ciemne włosy wymagały przycięcia, zawijały się już na końcach, ale wciąż widać było opaloną skórę szyi.

Stojąc tak i głaszcząc mojego psa, Mace wyglądał po prostu pięknie.

Pomyślałam, że na pewno zdaje sobie z tego sprawę i że nie ma to dla niego najmniejszego znaczenia.

Po raz pierwszy w życiu zaczęłam się zastanawiać, jak zasłużyłam na tyle szczęścia.

Nadal pochylony, nadal czochrając futro zadowolonej Juno, podniósł głowę do mnie.

– Jeszcze nie śpisz?

– Nie śpię. Jesteś głodny?

– Nie, mieliśmy z chłopakami spotkanie w Lincolnie. Zjedliśmy tam.

– Macie Sida?

Wyprostował się i pokręcił głową.

– Zapadł się pod ziemię. Eddie i Hank rozmawiali z Turnerem, zawarli układ z federalnymi, teraz pracują razem. Wzięli się za ludzi Sida, przymknęli tych, na których cokolwiek mieli, resztę przetrzepują.

– Czyli postęp.

– Owszem.

– A George?

– Wycofał się. Lee wysłał mu zdjęcia, o których mówił – George faktycznie lubi cycastle laski i nie powiem ci, skąd to wiem. – Skrzywiłam się, Mace mówił dalej. – George nie będzie więcej robił problemów.

Skinęłam głowę. Nadal staliśmy w odległości metra. Juno siedziała między nami, patrząc to na mnie, to na Mace'a i nadal ziejąc.

– Wszystko w porządku? – spytał w końcu Mace.

– Tak. Czemu pytasz?

– Bo jesteś cała spięta.

– Nieprawda – skłamałam.

– Skarbie, jesteś.

– Po prostu mam za dużo na głowie.

– Grałaś? – pytał o gitarę.

Pokręciłam głową.

– Powinnaś.

– Wiem.

Znów zamilkliśmy i znów patrzyliśmy na siebie.

To było dziwne.

Dziwne i przerażające.

O co chodziło? Powiedziałam mu, że go kocham, i teraz on nie wiedział, co ma z tym zrobić?

Nasz związek zawsze był intensywny, wszystko działo się szybko, teraz było tak samo.

Powiedział, że razem zamieszkamy, naprawdę zamieszkamy, choć trochę już tak było.

Wszystko, co robił, wskazywało na to, że mu zależy.

Nie wiedziałam, czy mnie kocha, ale raczej nie uważał za coś złego tego, że ja go kocham.

To dlaczego stał tak daleko? Czemu nie podszedł? Czemu patrzył na mnie z taką zamkniętą twarzą? Czemu nawet nie wszedł bardziej do domu?

– A ty? Dobrze się czujesz? – spytałam.

– Nie, kurwa – odparł od razu.

– Co się dzieje?

Zrobił krok w moją stronę, tylko jeden, za to wyciągnął rękę. Wziął mnie za nadgarstek i delikatnie wykręcił – i zobaczył siniaki. Nie wyglądały jakoś strasznie, ale tam były.

– Ja pierdołę – wymruczał, nie odrywając od nich wzroku.

Wziął mnie za drugą rękę, przekręcił i zobaczył identyczne siniaki.

– Mace...

Spojrzał na mnie i jego twarz już nie była pusta. W udręczonych oczach zobaczyłam nowe demony.

Super.

Tego właśnie potrzebowałam: nowych demonów.

– Nigdy w życiu nie zrobiłem krzywdy kobiecie – przemówił.

– Jest ci bardzo ciężko – powiedziałam. Uważałam to za logiczne wytłumaczenie.

– Nie szukaj dla mnie wymówek, kocie.

– Nie powinnam była mówić tego o Caitlin. Nie wiem, jak to jest.

– Chciałaś być miła.

– I wybrałam zły sposób.

– Stella... – zaczął, a ja uwolniłam ręce i pokonałam dzielącą nas odległość. Byłam tuż przy nim.

Juno wstała i poczłapała do kanapy.

Objęłam Mace'a rękami w talii, odchyliłam głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Powiedziałaś, że musisz nauczyć się mną opiekować – i ja muszę nauczyć się tego samego.

Jesteś dość gwałtownym facetem, Kaiu Masonie.

Spuścił głowę, wsparł się czołem o moje.

– Nigdy więcej nie wyrządzę ci krzywdy, kociątko – obiecał delikatnym, czułym, pięknym głosem.

– Wierzę ci. – I naprawdę tak było.

Objął mnie.

– Musimy pogadać o tym, co mi dziś powiedziałaś.

O cholera.

– To znaczy? – spytałam, jakbym nie wiedziała.

– O tym, co powiedziałaś mojemu ojcu.

– Aha...

– I o tym, że mnie kochasz.

Ja pitolę, kurwa.

– Może nie. Zapomnijmy o tym – podsunęłam.

– Nie ma takiej opcji.

– To było pod wpływem chwili. Zrobiło się gorąco – wyjaśniłam.

Spojrzał na mnie łagodnie, powiedział cicho:

– Najlepszy sposób na mówienie takich rzeczy.

– Mace... – zaczęłam, ale on już prowadził mnie tyłem i całował w szyję.

Z ustami na mojej skórze wymruczał:

– Zobaczmy, czy da się stworzyć właściwy moment. Może powiesz to znowu.

Roztopiłam się w środku.

O rany.

Z jednej strony cieszyłam się, że chce, żebym to znów powiedziała, z drugiej byłam przerażona.

– Potrzebuję mojej gitary – grałam na zwłokę.

Zatrzymał się, przysunął usta do moich i wymruczał:

– Później. – A potem mnie pocałował.

Zarzuciłam mu rękę na szyję i też go pocałowałam.

No dobra, może jednak to wszystko nie działo się zbyt szybko. Może jednak się nie wyrwałam i zrobiłam, co należało.

A on nachylił się, wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka.

I wtedy zajął się mną, podgrzewając atmosferę i tworząc odpowiedni nastrój.

Był na górze, już we mnie. Obejmowałam nogami jego biodra, sunęłam dłońmi po plecach, nasze usta się dotykały. Wtedy ujął moją twarz w ręce i zażądał:

– Powiedz to jeszcze raz.

Spojrzałam mu w oczy i wyszeptałam:

– Mocniej, Mace.

Uśmiechnął się i znów dotknął moich ust.

– Nie to, skarbie.

Och.

Cholera.

Dobra, wszystko jedno.

Wsunęłam mu dłonie we włosy i powiedziałam cicho:

– Kocham cię.

I patrzyłam, jak powoli zamyka oczy, jak wtula twarz w moją szyję i jak znów zaczyna się we mnie ruszać.

Tym razem mocniej.

Już po wszystkim zostawiłam Mace'a na łóżku. Leżał na brzuchu, z twarzą w pościeli i zamkniętymi oczami, ale wiedziałam, że nie śpi. Wstałam, założyłam majtki, szorty i bluzkę, wzięłam gitarę. Siadłam w fotelu, oparłam gitarę na kolanie i zaczęłam grać.

I zaśpiewałam Mace'owi kolejną piosenkę o nas, cholernie dobrą balladę Journey, „Open Arms”.

Po pierwszym wersie podniosłam głowę i zobaczyłam, że Mace się przekręcił, nadal leżał na brzuchu, ale teraz wsparty na łokciu.

I patrzył na mnie.

Zaśpiewałam refren, patrząc na niego.

A potem z wysiłkiem przeniosłam wzrok na gitarę i śpiewałam dalej.

Gdy doszłam do miejsca, w którym kochanek wraca, pochwyciłam wzrok Mace'a i zaśpiewałam ten kawałek i refren, patrząc mu prosto w oczy.

Skończyłam śpiewać, pochyliłam głowę i nadal grałam.

Czułam, że Mace nadal mi się przygląda. I uwielbiałam to.

– Jaką muzykę lubiła Caitlin? – spytałam miękko ze spuszczonym wzrokiem, trącając struny.

– Czajkowskiego – odpowiedział od razu.

Podniosłam głowę i uśmiechnęłam się do niego.

– Nie znam nic Czajkowskiego – powiedziałam.

Pokręcił głową, uśmiechając się nikle. Patrzyłam, starając się wyczuć jego nastrój. Chyba było mu dobrze (w każdym razie taką miałam nadzieję).

– Myślisz, że by mnie polubiła?

– Wiem, że tak – odparł równie szybko.

Znow poczułam ciepło w sercu.

– Myślisz, że cieszyłaby się, że jestem z tobą?

– Na pewno.

– Wiem, że trudno ci o niej mówić.

– Robi się łatwiej.

Uśmiechnęłam się delikatnie.

– To dobrze.

Co ty na to, cholerny demonie?!

– Chodź do łóżka, kociątko – wymruczał.

Przestałam grać.

Postawiłam gitarę na stojaku, rozebrałam się i wsunęłam do łóżka. Odwróciłam się do Mace'a, objęłam go ręką w pasie. Zgiętą nogę oparłam na jego twardym udzie, policzkiem przytuliłam się do ramienia. Wsunął rękę pode mnie, objął mnie w talii.

– Kocham cię, Kaiu Masonie – szepnęłam w jego pierś i poczułam, że mnie też coraz łatwiej to mówić.

Wbił palce w moje ciało.

– Śpij – powiedział.

Wtuliłam się jeszcze mocniej. Juno uniosła głowę i znow ułożyła się w naszych nogach.

Zasnęłam.

Rozdział 22

Albo umrę w trakcie

Stella

– Przestań się drapać – zażądał Mace ochryłym od snu głosem.

– Swędzi – odparłam, też rozespana.

Wziął mnie za nadgarstek, oderwał dłoń od szwów na biodrze i przycisnął do swojej piersi.

– Goi się. Musisz trzymać łapy z daleka.

– Rok temu też byłeś taki apodyktyczny? – wymruczałam.

– Rok temu byłem zbyt zajęty myśleniem o tym, ile mam szczęścia, że ktoś tak piękny i utalentowany jak ty wpuścił mnie do swojego łóżka. A teraz, gdy już wiem, że mnie kochasz, mogę sobie być apodyktyczny, ile chcę.

Uniosłam szybko głowę i spojrzałam na niego.

Był wczesny ranek, słońce dopiero zagłądało przez wiecznie zasłonięte rolety.

Mace leżał na plecach, ja nadal byłam w niego wtulona. Przespaliśmy całą noc, nie zmieniając pozycji. Mace był wciąż rozespany, ale zielone oczy patrzyły czujnie.

– Myślałeś, że masz szczęście? – zapytałam.

– Skarbie, nagram cię, jak jesteś na scenie. Mogłabyś być brzydka jak noc, ale to, jak się poruszasz, i tak by mnie nakręcało. Tak samo jak twój głos. Nieważne, czy śpiewasz, czy mówisz, masz najseksowniejszy głos na świecie.

Wow.

Czy on to naprawdę powiedział?

– Serio? – spytałam cicho.

Uśmiechnął się i przekręcił na mnie.

– Serio. Ale jestem farciarzem i masz wspaniałe włosy, piękne oczy, świetne nogi i nieziemski tyłek.

I jakby na potwierdzenie, położył mi rękę na tyłku i przytulił twarz do mojej szyi, przyciskając mnie do łóżka.

– A gdy jestem w tobie – wymruczał – gdy słyszę, jak tym ochryłym głosem prosisz, żebym pieprzył cię mocniej, to przysięgam, powstrzymuję się z całych sił, żeby nie dojść w tej właśnie chwili.

Chyba przeżyłam mikroorgazm, słuchając go.

Postanowiłam zmienić temat, zanim się zupełnie rozpląnę.

– Ale to, że cię kocham, nie oznacza jeszcze, że możesz mną dyrygować.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie, jednocześnie ujmując moją pierś.

– Oznacza.

– Nic z tego.

– No właśnie tak – uśmiechnął się.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie.

Przesunął kciukiem po moim sutku.

To było tak przyjemne, że przygryzłam dolną wargę, żeby nie jęczeć.

Spojrzał na moje usta.

– Jeszcze jak – wymruczał, cholernie z siebie zadowolony.

– Cofam to. Wcale cię nie kocham. Jesteś wrzodem na tyłku.

Zatrząś się ze śmiechu.

– Nie możesz tego cofnąć.

– Mogę.

Musnął ustami moje usta.

– Jezu, kociątko, jesteś taka słodka.

– Nie jestem słodka. Jestem seksowna i namiętna – odparowałam.

Jego usta znów znalazły się przy moich, patrzył mi w oczy, z łagodnością i rozbawieniem, i pomyślałam, że gdzieś w jego głowie demony właśnie dostają łupnia.

– To również – przyznał i znów trącił sutek.

Wygięłam plecy i objęłam Mace'a rękami.

– Dobra, może jednak nie jesteś wrzodem.

Pochylił się i pocałował mnie w usta, ale już nie delikatnie, już na poważnie, angażując język.

Rozpłynełam się.

I wtedy zadzwonił telefon.

– Ja pitole – mruknęłam w jego usta.

Pocałował mnie szybko, odbił się od materaca i wstał. Patrzyłam, jak idzie przez pokój, i tak się zatopiłam w obserwacji jego nagiego ciała w ruchu, że nie ogarnęłam jednej ważnej rzeczy: dzwonił telefon, który dostałam od Hectora.

Dotarło to do mnie z opóźnieniem.

Siadłam na łóżku i zawołałam:

– Mace!

Trzymał komórkę w ręku i patrzył na wyświetlacz, a ja owinęłam się prześcieradłem i zsunęłam z łóżka, ciągnąc prześcieradło za sobą.

Juno szczeknęła zaskoczona, ale nie spojrzałam na nią, szłam w stronę Mace'a.

Podniósł głowę.

Gdy stanęłam przed nim, odwrócił do mnie telefon.

– Dzwonił Obiekt 1. Kto to jest Obiekt 1?

„Myśl, myśl, szybko!”, krzyknął mój mózg.

– Skąd mam wiedzieć? Przecież to nie moja komórka – odparłam.

Wtedy telefon zapiszczał w jego ręku; ktoś zostawił wiadomość.

Spojrzałam na telefon. Mace również.

Zaczął coś naciskać.

Kuźwa jego mać!

– Mace, daj mi telefon. – Chciałam mu go wyrwać, ale odsunął rękę i spojrzał na mnie zwięzonymi oczami.

– Co się dzieje? – spytał, ściągając brwi.

– Nic – skłamałam.

Patrzył na mnie przez chwilę, spytał raz jeszcze:

– Kto to, kurwa, jest Obiekt 1?

– Yy...

– Zaczynaj mówić, Stella. – Teraz jego głos brzmiał groźnie. – To Turner?

Zamrugalam wstrząśnięta. Jak mógł pomyśleć, że ukrywałabym przed nim telefony od Erica?

– Nie! Oczywiście, że nie!

– Czyli wiesz, kto to dzwonił.

Jasny szlag!

Jak mogłam być taka głupia?

– Mace...

– Chavez? – drążył.

– Nie! Mace, nie mogę ci powiedzieć. Musisz mi zaufać. Po prostu daj mi telefon. – Wyciągnęłam do niego rękę w nadziei, że to zadziała.

Niestety.

– Wczoraj w nocy siedziałas tu i śpiewałaś: „Nie mam nic do ukrycia, uwierz w to, co mówię”, a kilka godzin później kłamiesz w żywe oczy.

Zacisnęłam na chwilę powieki.

– Mace, proszę. Musisz mi zaufać.

– Muszę ci zaufać odnośnie do czego? – spytał niecierpliwie.

– Mace.

– Odnośnie do czego? – Teraz był już prawie wkurwiony.

– Twojego serca! – krzyknęłam.

Stężał.

Zignorowałam to i mówiłam dalej.

– Musisz mi zaufać w kwestii twojego serca, do diabła. Dwa dni temu pytałeś, czy chcę się dostać do twojego serca. Teraz już wiesz, że tak. Dlatego próbuję się tam dostać na swój sposób, ale musisz mi zaufać. A teraz daj mi ten pitolony telefon!

Stał tam i patrzył na mnie. To było dziwne i zupełnie do niego niepodobne, ale nie miałam zamiaru się zastanawiać – skorzystałam z okazji i zabrałam komórkę.

Poszłam twardo do kuchni, docierając do wiadomości głosowej. Patrzyłam, jak Mace wkłada dzinsy, i słuchałam Lany: siedziała w samolocie i zaraz mieli startować do LA. Już wyłącza telefon, chciała mi tylko powiedzieć, że powiadomiła Chloe.

„Do zobaczenia wkrótce, kochanie”, dokończyła.

I chociaż strasznie chciałam zachować, jak melodyjnym głosem mówi do mnie „kochanie”, skasowałam tę wiadomość od razu.

Mace zapiął dzinsy i wciągnął wczorajszego henleya.

Chciałam się odezwać, ale on był szybszy i jego głos smagnął mnie jak batem.

– Odcięli jej rękę.

Mój oddech spakował się i wystrzelił prosto ku słońcu, wyparowując w wysokiej temperaturze.

Próbowałam wciągnąć powietrze, nie zdołałam. Patrzyłam na jego twarz: garda opuszczona. Nic nie kryło demonów i nawet ze swojego miejsca mogłam zobaczyć, jak tańczą w oczach Mace’a, jak celebryści swoje pięć minut. Nie mogłam oddychać, widząc taki ból w oczach ukochanego człowieka.

– Caitlin porwano. Mój ojciec nie powiadomił policji. Za to wynajął jakichś pojebów. – Przerwał na chwilę. – Nie uwierzyłybyś. Komandosi z wyprzedzący.

Zaczęłam do niego iść, ale wyciągnął rękę:

– Nie podchodź.

Kurwa.

Ja.

Pitolę.

Zatrzymałam się.

Juno wyczuła emocje, zaskomlała.

Mace mówił dalej.

– Zjebali sprawę. Zostawili jednego ze swoich ludzi. Porywacze odesłali go – w kawałkach. Nie żartuję, kurwa. W kawałkach.

Tym razem to już nie był kop w brzuch: żołądek wywrócił się na drugą stronę i bałam się, że zwymiotuję tam, gdzie stałam.

Duke nic mi o tym nie mówił.

– W ramach zemsty za tę akcję odcięli Caitlin rękę i wysłali ją mojemu ojcu. Po jej śmierci sekcja zwłok wykazała, że zrobili to z chirurgiczną precyzją. Ci goście wiedzieli, kurwa, co robią. Zostali przeszkoleni. Mieli zasoby. Z takimi się nie zadziera. I mój ojciec to wiedział. Wiedział o tym, kurwa, przez cały czas.

– Czego chcieli? – udało mi się zapytać.

– Mojego ojca. Na wymianę. Caitlin za niego.

Tego Duke również nie mówił.

– Nie chciał się na to zgodzić? – spytałam.

Mace zaśmiał się gorzko.

– On? Nie ma opcji. Preston Mason miałby poświęcić siebie dla swojej córki? Nigdy w życiu.

Zamilkł.

Dużo mnie to kosztowało, ale nie robiłam nic, jedynie stałam tam i czekałam.

– Miałem dość pojebanych akcji mojego ojca. Powiadomiłem policję i FBI, zaproponowałem siebie.

Ścisnęło mi się serce, zamknęłam oczy. Otworzyłam je, gdy znów się odezwał.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, kim oni są i czego chcą. Byłem stosunkowo sławny, miałem pieniądze. Myślałem, że uda się negocjować. Nie wiedziałem, że chcieli wyłącznie śmierci mojego ojca, chcieli, żeby zapłacił. Ale nie chodziło o hajs, tylko o zemstę. Cały czas chodziło tylko o zemstę. Oni nie mieli pojęcia, że mój ojciec ma mnie i Caitlin w dupie, ja nie miałem pojęcia, co robić, ale byłem zdesperowany.

Znów urwał i zapatrzył się na mnie.

– Co stało się potem? – zapytałam ostrożnie.

– Byłem pewny siebie i głupi, a do tego zrozpaczony, co przeniosło mnie na wyższy poziom głupoty. Karmiłem media opowieściami. Chciałem wyrzucić presję. Historia szesnastolatki, której odcięto rękę, nie wygląda dobrze w gazetach. Ale oni mieli w dupie, co o nich piszą. Mieli gdzieś, czy to w ogóle przeżyją. To byli kamikadze. Pracowali dla wielkiej organizacji, ich zadanie było częścią większej operacji. I chociaż dziennikarze próbowali się czegoś dowiedzieć, nie znaleźli nic. Ci goście żyli w podziemiu. Dosłownie.

Przepalał mnie wzrokiem, skinęłam głową.

Mówił dalej.

– W FBI wiedzieli, z czym mają do czynienia, ale mnie nie mówili. Ich też cisnąłem. Karmiłem media wszystkim, czym się dało, żeby się ruszyli. Zdziałało, w końcu zrobili ruch, musieli. Zdjęcia Caitlin w prasie i wiadomościach, dla nich to była katastrofa wizerunkowa. Musieli podjąć kroki. Wiedzieli, że Caitlin nie przeżyje – i próbowali już tylko ochronić mnie. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałem.

Znowu urwał, a ja znowu skinęłam głową.

– Utrudniałem im to. Zawarłem układ z porywaczami – siebie za Caitlin. Wysłali mnie w kamizelce i hełmie; wszedłem i zobaczyłem ją. Trzymali ją trzy tygodnie... Potwornie schudła. Jej włosy...

Zamknął oczy. Serce mi podeszło do gardła, gdy uniósł powieki i mówił dalej.

– Miałem sekundy, nie zdążyłem się dobrze przyjrzeć. Trzymali broń przy jej głowie, strzelili, potem strzelali do mnie. Dostałem kilka razy, upadłem, a oni zastrzelili siebie. Zanim wpadł tam SWAT i federalni, byli już martwi.

Przestał mówić, a ja dalej tam stałam, wciąż z sercem w gardle.

Gdy się nie odzywał, spytałam:

– Mace... Mogę do ciebie podejść?

– Nie – odparł od razu. – Jeszcze nie skończyłem.

„To tam było coś więcej?“, spytał mój skołowany mózg.

„Cicho bądź!“, warknęłam.

– Rzuciłem wszystko, wycofałem się, zniknąłem. Wszedłem do organizacji, nie mogę powiedzieć jakiej. Szkolono mnie, przeszedłem specjalistyczne treningi, których tak bardzo potrzebowałem. Robiłem, co musiałem, żeby dostać to, na czym mi zależało. Potem przez całe lata robiłem dla nich różne rzeczy – i to, co musiałem, dla Caitlin. Dowiedziałem się, jak mój ojciec był umocowany w porwanie, i tego również nie mogę ci powiedzieć. Gdybyś się dowiedziała, ludzie gorsi od Sidneya Cartera chcieliby twojej śmierci. Chcę, żebyś wiedziała jedno: zanim stamtąd odszedłem, zrobiłem dla Caitlin wszystko, co mogłem. Człowiek, który wydał rozkaz, już nie żyje – przeze mnie. Umarł dokładnie tak jak ona, wiem to na pewno.

Przełknęłam ślinę. To było trudne, bo wciąż miałam serce w gardle, ale udało się.

Mace mówił dalej. Tym samym, mocnym, ostrym i zupełnie pozbawionym emocji głosem.

– Robiłem chujowe rzeczy, z których nie jestem dumny, i żyłem w świecie, którego nie możesz sobie wyobrazić, i mam to gdzieś. Musiałem to zrobić dla Caitlin i nie mam z tym problemu. Mogę z tym żyć – powiedział, krzyżując ręce na piersi. – Pytanie tylko, czy ty zdołasz.

Cholera.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Potrzebowałam czasu, żeby wszystko przetrawić, i to bez udziału seksu.

Mace mówił dalej.

– Powiedziałaś mojemu ojcu, że ma czarne plamy na duszy i pójdzie prosto do piekła. Musisz wiedzieć, że serce, do którego tak chcesz się dostać, również ma na sobie ślady. Nic ich nie zmyje. Z takim mężczyzną chcesz dzielić łóżko?

– Do tej pory nie dawałaś mi większego wyboru – odpowiedziałam.

– Masz go teraz.

– Do tej pory nie zadawałaś mi takich pytań.

– Do tej pory nie sądziłem, że poznasz moją przeszłość.

– Chciałaś to przede mną ukrywać?

– Do dnia mojej pieprzonej śmierci.

Nie do wiary. Otworzyłam usta i zapytałam:

– Czemu?

– Bo nie chciałem, żebyś patrzyła na mnie tak, jak patrzysz teraz.

Kuźwa mać.

Nie miałam pojęcia, jak na niego patrzę, ale spróbowałam zmienić wyraz twarzy. I pożeglowałam na bardziej bezpieczne wody.

– Jak się znalazłaś u Lee?

– Luke mnie znał, razem pracowaliśmy. Dowiedział się, że odszedłem, podsunął Lee, żeby mnie zwerbował, i dlatego tu jestem.

– Luke? On też...

– Tak.

– Ava wie?

– Tyle, ile musi. Czyli pewnie tyle, co ty.

Patrzyliśmy chwilę na siebie, w końcu spuściłam głowę i zawięłam się mocniej w prześcieradło.

W moim mózgu kotłowały się myśli.

Dotyczące mniej więcej tego samego.

Że szczęście naprawdę się do mnie uśmiechnęło.

Po całym życiu pozbawionym miłości znalazłam mężczyznę, który potrafił kochać tak głęboko, że poświęciłby wszystko, żeby pomścić kogoś, kogo kochał.

To było zajebiste.

Może byłam świruską, ale miałam to gdzieś.

Nie chciałam znów mówić tego na głos, ale Caitlin Mason była szczęściarą – bo miała przy sobie takiego gościa.

Teraz ja miałam to szczęście.

– Uznaję to za odpowiedź – powiedział Mace.

Podniosłam głowę i zobaczyłam, że idzie po swoje buty.

– Co ty robisz?

Nie spojrzał na mnie.

– Wychodzę.

– Co? – spytałam ostro, on podniósł głowę, a ja mówiłam dalej. – Dobra, nie będę udawać, że mnie to nie przeraża, bo to jednak jest przerażające, ale... ale to było wtedy, a teraz jest teraz. Przynajmniej wiem, dlaczego jesteś tak cholernie ponury przez cały czas i dlaczego tak się szybko odpalasz. Cały ten występ z rzucaniem telefonem o ścianę też był przerażający, ale teraz rozumiem i...

Przestałam mówić, bo zmienił kierunek i teraz szedł w moją stronę.

– Co ty robisz? – powtórzyłam.

Nie odpowiedział, tuż przede mną pochylił się, jak futboliści przed starciem, i wziął mnie na ramię.

– Mace! – zawołałam. – Co ty wyprawiasz?!

Podszedł do łóżka i rzucił mnie; poleciałam na materac. Wylądowałam miękko, odbiłam się,

a Mace znalazł się na mnie.

Odepchnęłam go.

– Mace, nie skończyliśmy rozmowy...

Pociągnął za prześcieradło, jego twarz znalazła się przy mojej szyi.

– Skończyliśmy – wymruczał.

– Mamy jeszcze...

Podniósł głowę, spojrzał mi w oczy i usłyszałam trzask dartego materiału.

– Nadal mnie kochasz? – spytał.

Zmrużyłam oczy.

– Co to za pytanie?

– Odpowiedz.

– Nie, bo...

– Odpowiedz! – zawołał, a ja zamarłam od dzikości w jego głosie.

– Pewnie, że tak – wyszeptałam.

– W takim razie skończyliśmy rozmowę. Teraz będę cię pieprzył, aż wymażę z twojej pamięci wszystko, co powiedziałem. Aż będziesz mogła myśleć tylko o moim fiucie w tobie, moich rękach i moich ustach na twoim ciele. Aż usłyszę, jak znów mówisz tym swoim głosem, że mnie kochasz. Będę cię pieprzył, dopóki nie będę pewien, że mnie pragniesz, mimo całego tego szajsu, nawet gdyby miało to zająć tydzień.

– To zajmie dwie sekundy – odparłam, a przez jego twarz przemknęło zaskoczenie. – Proszę bardzo! – oznajmiłam. – Już. Zrobione! I nawet nie musiałeś mnie pieprzyć.

Mace patrzył na mnie.

– Ale wciąż możesz, jeśli chcesz – mówiłam dalej.

Nie odrywał ode mnie wzroku.

– Na przykład teraz. Pieprzenie się ze mną w tej chwili byłoby spoko.

Wciąż patrzył.

– Halo? Kai Mason? Jest pan tu? – zawołałam, on nie przestawał mi się przyglądać, a ja nie przestawałam mówić. – Do Kaia Masona: jego dziewczyna potrzebuje porządnego pieprzenia, i to najlepiej JUŻ.

I dopiero wtedy przemówił:

– Boże, kocham cię.

A potem się ze mną pieprzył.

I choć wcale nie musiał, pieprzył się ze mną, aż usunął wszystko z mojej głowy, aż zostało tam tylko to, co chciał.

A potem pieprzyliśmy się znowu.

A potem znowu.

A potem zostawił mnie bezwolną na łóżku, przykrył podartym prześcieradłem, zabrał Juno na spacer, wrócił, wziął prysznic, zjadł kawałek szarlotki i podszedł do łóżka.

Ja się nie ruszyłam. Leżałam z twarzą w pościeli i albo drzemałam, albo słuchałam, jak Mace porusza się po mieszkaniu.

Siadł na łóżku, odsunął mi włosy z twarzy i z ramienia, nachylił się i pocałował mnie w szyję.

– Jakim cudem w ogóle możesz się ruszać? – spytałam zduszonym głosem.

– Kociątko, musisz nabrać formy.

– Odwołuję dzisiejszy koncert.

– Dojdiesz do siebie.

– Podarłeś mi prześcieradło.

– Kupię ci nowe.

– Nie chcę. Oprawię sobie to w ramki.

Wtedy powiedział:

– Teraz już rozumiem.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

– Co rozumiesz?

– Dlaczego faceci wytrzymują z rockowymi laskami.

Oho.

Poczułam, że za chwilę będą kłopoty.

Oparłam się na łokciu.

– No? I niby dlaczego?

– Nie mogłem w to uwierzyć, nie potrafiłem znaleźć wyjaśnienia i sądziłem, że po prostu są pod pantoflem.

Wyszczrzyłam się do niego.

– A nie są?

Odpowiedział uśmiechem.

– Tacy faceci jak my nie lądują pod pantoflem, skarbie.

– Guzik prawda – zaśmiałam się.

– Nie w tym rzecz.

– Przyznaj się. To część całej zabawy – drażniłam się.

– Znalezienie kawałka dupy to nie problem.

I chociaż mnie zatkało, choć powinnam się oburzyć w imieniu kobiecej części ludzkości, musiałam przyznać mu rację. Tacy przystojniacy jak oni nie mieli z tym najmniejszego problemu.

– No, to o co chodzi?

Nachylił się i pocałował mnie w usta.

– Nie powiem. Jak się dowiesz, będziesz drzeć nosa.

– Bo jesteśmy namiętne i seksowne?

Spojrzał ciepło.

– Pudło. – Pocałował mnie znowu i powiedział: – Muszę iść.

A potem wstał i poszedł do drzwi.

Dezaktywował alarm, otworzył zamki, a ja zawołałam:

– Zapewnisz mi bezpieczeństwo dzisiaj wieczorem?

Otworzył drzwi, odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Nawet gdybym miał umrzeć w trakcie.

I poszedł.

A ja zostałam w łóżku, patrząc na drzwi, a w moim sercu na stałe zagościł spokój. Wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że tak właśnie zrobi.

Rozdział 23

Rodzina

Stella

– Nie dam rady – oznajmiłam w przestrzeń.

Siedzieliśmy w explorerze. Jules z przodu, Jet obok mnie, Vance prowadził.

Panikowałam.

Jules odwróciła się na swoim miejscu, Jet wzięła moją rękę, Vance spojrział na mnie w lusterku wstecznym.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła Jet, ściskając mi dłoń.

– Nie. Wcale nie będzie dobrze. – Popatrzyłam na Jules. – A co ty w ogóle tu robisz? Kryminaliści latają po ulicach, a ty jesteś w ciąży!

– Nic mi nie będzie – odparła.

Wytrzeszczyłam na nią oczy i powiedziałam:

– Muszę się napić.

– Dostaniesz piwo, jak tylko dojedziemy – pocieszyła mnie Jet.

Spojrzałam na nią.

– Nie chcę piwa. Potrzebuję tequili – wyjaśniłam.

– Będzie tequila – obiecała.

Jechaliśmy na koncert.

Chloe i Lana doleciały bezpiecznie i zostały przewiezione do Zamku. Meldując się mniej więcej co pół godziny, Daisy informowała mnie, że umieściła kobiety w pokojach pełnych kwiatów, ze „starymi, dobrymi” pudłami czekoladek.

– Kotek, powiedziałam, że to od ciebie. Nie masz nic przeciwko? – spytała Daisy.

Nie miałam.

No bo jak?

W końcu przyjechała je pod swój dach.

Lee podrzucił tam Indy i Ally i grały w „Guitar Hero”.

Nie wiedziałam, co myśleć o tym, że Lana i Chloe grały w „Guitar Hero”, ale miałam większe zmartwienia.

Na przykład to, co powiem Dixonowi Jonesowi.

Albo to, jak Lana i Chloe na mnie zareagują. Preston Mason uznał, że nie jestem dość dobra dla jego syna. Może też tak pomyślał?

I czy Mace będzie mnie nadal kochał, gdy zobaczy, jak wtrącam się w jego życie?

Co założę na koncert, pamiętając, że Lana i Chloe tam będą? Może powinnam zdecydować się na coś ładnego, na przykład luźne spodnie albo spódnicę, chociaż byłam piosenkarką rockową?

Luźne spodnie nie są bardzo rockowe.

Zdecydowałam się na dżinsy, czarny pas i czarne kowbojki. Zwykle dokładałam T-shirt albo bluzkę, dziś włożyłam czarną zapinaną kamizelkę z satynową wstawką z tyłu. Do tego kilkanaście cienkich srebrnych bransoletek na lewym nadgarstku, szeroka kuta na prawym, kolczyki navajo, trzypoziomowe, srebrno-turkusowe ze srebrnymi szpikulcami na samym dole i czarna skórzana obróżka na szyi z małymi srebrnymi kółkami. Włosy zostawiłam rozpuszczone, umalowałam się, zrobiłam smokey eye i miałam cichą nadzieję, że nie wyglądam na rockową świruskę.

Spojrzałam na drugą rękę.

Drżała.

– Spójrz na to! – zawołałam. – Nie utrzymam nawet gitary!

– Stella, wycisz umysł – powiedział spokojnie Vance.

– Sam sobie wyciszaj umysł! Ja panikuję! – wykrzyczałam piskliwie.

Vance zniecała zjechał na pobocze i stanął.

Atmosfera w wozie zmieniła się, Jet i Jules wymieniły spojrzenia.

Vance odwrócił się do mnie.

– Zadzwońska do tych kobiet dwa dni temu, a one rzuciły wszystko i przyleciały. Czyli chcą, żeby to się udało, i zrobią wszystko, co mogą, żeby tak było. Ty zrobiłaś swoje, otworzyłaś drzwi. Teraz musisz im pozwolić przejść – powiedział.

– A jeśli on się rozgniewa? – spytała cicho, a głos łamał mi się ze strachu.

– Bardzo możliwe – odparł Vance, a ja wciągnęłam głośno powietrze.

– Crowe! – zaprotestowała Jules.

– Cicho, księżniczko – mruknął Vance i znów zwrócił się do mnie. – Ja na jego miejscu wściekłym się jak cholera. A potem zrozumiałbym, czemu to zrobiłaś, i by mi przeszło. Mace robi to samo. Musisz tylko przeczekać.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– On się mierzy z ciężkimi rzeczami – powiedziałam, jakby nie wiedział.

– Wiem – odparł Vance.

– Boję się – wyznała zniecała (i to komu, Vance'owi! Ale serio byłam spękana).

– To znaczy, że ci zależy. A to dużo mówi. Mace też to rozumie.

– Tak myślisz?

– Nie myślę: wiem – rzekł z przekonaniem. – A teraz skoncentruj się na czymś innym. Wycisz umysł. Masz przed sobą wielką noc.

Miał rację.

Vance odwrócił się ode mnie i wyjechał na drogę.

Jet znów ścisnęła mi dłoń.

Uśmiechnęłam się do niej słabo, a potem spojrzałam przed siebie i zobaczyłam, jak Jules kładzie rękę na udzie Vance'a. Patrzyłam, jak bierze ją za rękę, przekręca, jak ich palce się splatają. Trzymał jej dłoń na swoim udzie i jechał dalej.

A ja znalazłam coś, na czym mogłam się skupić.

Doznałam objawienia. Zrozumiałam już słowa Mace'a o tym, dlaczego seksowna ekipa wytrzymuje rockowe laski.

Preston Mason powiedział, że Vance był przestępcą, złodziejem samochodów. W tej chwili był prywatnym detektywem, ożenił się z pracowniczką socjalną o urodzie gwiazdy filmowej, spodziewali się dziecka i jechali SUV-em na koncert rockowy, trzymając się za ręce.

Mój mózg się wyciszył, ręce przestały drżeć, a serce się uspokoiło.

Zrozumiałam, że o tym Mace właśnie mówił: o ukojeniu serca.

On też to poczuł.

To właśnie rockowe laski dawały swoim facetom. Właśnie dlatego oni z nami wytrzymywali.

Prawie się rozplakałam na myśl, że ja też ukołam serce Mace'a.

Czy oni wiedzą, że nam dają to samo?

– Cholera, zaraz się rozplaczę – oznajmiłam.

Vance spojrzał w lusterko, Jet znów ścisnęła mi dłoń.

– Czemu, na Boga, miałabyś płakać? – spytała.

– Bo Vance ma rację. Wszystko będzie dobrze.

– Pewnie, że tak – zapewniła.

Wzięłam kilka głębokich wdechów, starając się nie rozplakać. Na szczęście zadziałało.

Nie odzywaliśmy się. W lusterku znów zobaczyłam oczy Vance'a – chyba się uśmiechał.

Również się uśmiechnęłam.

Vance przestał na mnie patrzeć i dojechaliśmy do klubu.

Graliśmy w The Rose, nowym klubie w Lowry, który mógł pomieścić dwieście pięćdziesiąt osób.

Chłopaki lubiły tu grać, bo dostawaliśmy super garderobę, w której obsługa zostawiała nam zwykle zapas piwa w lodzie.

Tex czekał przy tylnym wejściu.

– Kurwa, denerwuję się jak pieprzony królik.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Tex nie wyglądał na gościa, który by się czymkolwiek denerwował.

– Czemu?

– Spotkanie rodzinne. Wpadam w panikę – odparł.

Stanęłam jak wryta.

– Myślisz, że źle zrobiłam?

Położył mi rękę na głowie.

– Kurwa, pewnie, że nie.

Wypuściłam powietrze.

– Ale – mówił dalej – Mace to wielki gość i strasznie humorzasty. Jak dostanie szału, trzeba będzie go zamknąć.

Cudownie.

– Zamknij twarz, Tex – warknęła Jet.

– Spokój, Loopy Loo.

– Tequila – wypaliłam.

Tex spojrzał na mnie.

– Tequila. Jasne. Już po nią idę – powiedział i poszedł w stronę baru.

Chłopaki zgarnęli Roama i Sniffa po szkole (i odrabianiu lekcji), razem nosili sprzęt. Scena była gotowa. Poczułam nagłą wdzięczność do Sidneya Cartera za tę jedną rzecz: nie musiałam targać wzmacniaczy.

Wiedziałam od Daisy, że Lee i Tom już u niej byli i dostarczyli Ally, Indy, Lanę i Chloe za kulisy.

Doszliśmy do garderoby. Znowu się zatrzymałam i spojrzałam na zamknięte drzwi.

– Wszystko będzie dobrze – przypomniała mi Jet.

Odwróciłam się do niej.

– Ale nie wyglądam jak rockowa świruska, co?

Uśmiechnęła się, pokręciła głową i wyszeptwała:

– Nie, Stella. Wyglądasz jak rockowa piękność.

Skinęłam głową. Chyba naprawdę tak myślała. Wzięłam głęboki wdech i otworzyłam drzwi.

W środku byli też Floyd, Duke, Roxie i Ava.

Prócz nich stały tu dwie kobiety.

Jedna była miniaturową blondynką, ładną, opaloną, z niebieskimi oczami. Nosiała eleganckie dzinsy, czarne sandały z rzemyków, pleciony czarny skórzany pasek i białą koszulę. Miała frencz na paznokciach ślicznych stóp i włosy zebrane w luźny kucyk.

Druga była starsza. Wysoka i szczupła, miała długie czarne włosy, teraz rozpuszczone, wspinała karnację i ciepłe brązowe oczy. Była piękna. Najwyraźniej należała do tych kobiet, które z wiekiem nie tracą seksapilu i będą zajebiście wyglądać aż do śmierci. Nosiała spłowiałe dzinsy, czarne klapki i czarną podkoszulkę z napisem „The Blue Moon Gypsies”.

Nie wiedziałam, od kogo ją dostała, ale podejrzewałam Ally.

Na mój widok otworzyły szeroko usta.

Pomachałam do nich głupio.

– Cześć... Pewnie jesteście Lana i Chloe. Ja jestem Stella.

Wtedy blondynka, która musiała być Chloe, wybuchnęła płaczem.

Zrobiłam krok w jej stronę, a ona wyciągnęła rękę, jakby chciała mnie powstrzymać.

Kurde, chyba niedobrze.

Zatrzymałam się, a serce waliło mi w piersi.

– Chloe, kochanie – powiedziała Lana swoim słodkim, melodyjnym głosem.

Chloe nie odrywała ode mnie wzroku.

I szepnęła:

– Jest doskonała.

Lana przeniosła wzrok na mnie.

I powiedziała z uśmiechem:

– To prawda.

Wow.

Czyli jednak dobrze.

Cholernie dobrze.

Zajebicie.

Uśmiechnęłam się do Lany.

– O szlag. Zaraz się rozpłaczę – wypaliła Indy i zaczęła się wachlować rękami.

Duke objął ją ręką, a ja zaczęłam iść w stronę Lany. Ona już szła do mnie, wyciągając ręce; ujęłam je, uściśniła mnie mocno.

– Boję się jak diabli – powiedziała.

Oddałam uścisk.

– Ja też – przyznałam się.

Roześmiała się i ten melodyjny śmiech, jak wcześniej melodyjny głos, przepłynął przeze mnie jak balsam.

Podeszła do nas Chloe; poczułam jej perfumy, eleganckie, kwiatowe. Pachniały niebiańsko.

Puściłam dłoń Lany i ujęłam rękę Chloe, Lana zrobiła to samo.

I pomyślałam, że Preston Mason nie był wcale arcygnidą wszech czasów, tylko największym idiotą na ziemi.

– Dziękuję, że nas zaprosiłaś – powiedziała Chloe, z twarzą moką od łez.

– Dziękuję, że przyjechałyście – odparłam.

– Dla Kaia zrobiłabym wszystko – szepnęła.

Przełknęłam łzy i też uściśniłam jej rękę.

Drzwi otworzyły się i do środka wpakował się Pong, za nim Leo, z tyłu Hugo i Buzz.

– O ja cię! Trzy wiedźmy w akcji! Mace ma przejebane – oznajmił Pong, patrząc na Lanę, Chloe i mnie.

Hugo trzepnął go w głowę.

– Zamknij się, Pong.

– Typie, dobrze wiesz, że mam rację.

– Przyszliśmy okazać moralne wsparcie – wyjaśnił Leo, patrząc na mnie.

Ach, wsparcie.

Tego właśnie było mi NIE trzeba.

– To może pójdziecie sprawdzić, czemu Tex zwleka z moją tequilą? – podsunęłam zjadliwie.

– Nie potrzebujesz tequili. Mam zioło w futerale gitary – odparł Leo.

– Leo! – zgasił go Buzz. – Może panie nie palą trawki.

– Idealny moment na pierwszy raz – mruknął Hugo.

Spojrzałam w sufit, potem na Lanę i Chloe.

– To mój zespół, The Blue Moon Gypsies: Buzz, Leo, Pong i Hugo. Floyda już znacie, poza nim wszyscy są szurnięci. Nie zwracajcie na to uwagi.

– Ja pierdziele, twój T-shirt wymiata – zwrócił się Pong do Lany, potwierdzając mój opis.

– Dziękuję. Też go lubię – odparła Lana. I już wiedziałam, po kim Mace odziedziczył swój piękny uśmiech.

– Nie przeklinaj przy mamie Mace’a – zgromił go Buzz, przecisnął się do przodu z wyciągniętą ręką i uśmiechem, od którego tysiące fanek moczyły majtki. – Bardzo mi miło...

Pozostała trójka również zdobyła się na to, żeby przywitać się, jak należy.

Floyd podszedł do mnie.

– Wszystko w porządku, Stella Bella? – szepnął cicho.

– Nie.

Objął mnie w talii.

– Jestem z ciebie dumny.

Zamknęłam oczy.

Gdy je znów otworzyłam, czułam się o wiele lepiej niż przez ostatnie kilka dni.

Oparłam się o niego, też objęłam go ręką w pasie i oparłam mu głowę na ramieniu.

– Jak Buzz? – spytałam cicho.

– Rozmawialiśmy w drodze do domu. Dziwnie to zabrzmiało, ale myślę, że pogrzeb dobrze mu zrobił. Coś jak domknięcie. Jej rodzice zachowywali się bardzo w porządku; wiedzieli, że Buzz próbował się nią opiekować; chyba byli mu wdzięczni. – Skinęłam głową i westchnęłam, Floyd mówił dalej.

– Nadal jest zagubiony bez Linnie, ale z czasem wszystko będzie dobrze.

Uścisnęłam go, drzwi znowu się otworzyły i wszyscy spojrzeliśmy na przybyłych.

Do środka weszli Hector, Shirleen i Dixon Jones.

Kuźwa mać.

„To tylko twoje życie, twój świat i twoja kariera”, poinformował mnie mózg. „Nie ma się o co spinać”.

„Czemu jesteś taką mendą?”, zapytałam.

„Każdy neurotyczny artysta musi mieć mózg, który go torturuje, taka zasada”, odparł niewzruszony.

„Jeb się”, warknęłam.

I zwróciłam się do Dixona Jonesa:

– Cześć. – Podeszłam do nich, zerkając na Hectora, który skinął mi głową, i na Shirleen, która przyglądała mi się uważnie. – Cieszę się, że dałeś radę przyjechać – dokończyłam.

Uścisnął moją dłoń.

– Chcesz poznać moją kapelę? – zapytałam.

– Nie w tej chwili – wtrąciła się od razu Shirleen. – Kto wie, co się dziś jeszcze zdarzy – snajperzy? Bomby? Od razu przejdźmy do rzeczy – zwróciła się do Dixona. – No, śmiało, nie ma się co ociągać. Co chciałeś powiedzieć mojej dziewczynie?

Dixon spojrział na nią, potem na mnie. Chyba też postanowił nie tracić czasu.

– Jesteście gotowi przyjechać do studia?

Przeszył mnie dreszcz przerażenia i euforii, przygryzłam wargę i spojrzałam na Floyda. A potem na Hugona, Ponga, Leo i w końcu Buzza.

W końcu przeniosłam wzrok na Dixona i powiedziałam:

– Jasne.

Dixon zwrócił się do Leo i Buzza:

– Wystarczy wam materiału na płytę?

– Pewnie – odparł Buzz. – Ale jesteśmy Gypsies. Musimy dorzucić ze dwa covery.

– Żadnych coverów. Tylko nowe kawałki – nie zgodził się Hugo.

– Gościu, musimy wcisnąć chociaż „Ghostriders”. „Sister Golden Hair” też by siadło – uznał Pong.

– Dupa, będzie „La Grange”, bo w „La Grange” dajemy czadu – postanowił Leo.

– „La Grange”! – zachnął się Hugo. – Jak już dawać covery, to żadnego „La Grange” bez „Ain't No Easy Way”!

Może powinnam się wtrącić, ale milczałam. Dixon Jones musiał wiedzieć, z czym będzie miał do czynienia.

Chyba już to do niego dotarło.

Pong, Buzz i Leo już otwierali usta, żeby się dalej kłócić, ale Dixon ich wyprzedził.

– „Ghostriders” – zdecydował stanowczo i spojrział na mnie. – I pogadamy z ekipą Joela w sprawie pozwolenia na wykonanie „And So It Goes”.

– Zajebioza – odezwała się Ally.

– Masz ze sobą umowę? – spytał go Hector, Dixon skinął głową.

– W samochodzie. Przyniosę, musicie tylko znaleźć jakiegoś specjała, żeby ją przejrzał.

Poczułam ulgę. Zdarzało się nie raz, że nowym artystom wciskano słabe umowy, ale Dixon

najwyraźniej nie robił takich numerów.

Moja ulga wyparowała na widok wzroku Hectora. Patrzył na Dixona, dając do zrozumienia, że nie przywykł, by ktoś traktował go jak idiotę, i że mu się to nie podoba.

Dixon cofnął się lekko i bardzo rozsądnie zmienił temat.

– Kiedy możecie przyjechać do studia? – spytał Hectora.

– O jakim studiu mówimy? – zapytała Shirleen.

– Naszym, w Los Angeles – wyjaśnił Dixon. – Black Fat pokrywa wszelkie wydatki. Mają pokoje w Chateau Marmont, gdzie zatrzymacie się na czas nagrań.

Ja pitolę, gość się nie opierdzielał.

W pełni opłacona wycieczka do LA z zakwaterowaniem w pitolonym Chateau Marmont?

Jim Morrison tam mieszkał, wisiał na rynnie i uszkodził sobie plecy.

Led Zeppelin urządzali w holu przejażdżki na motocyklach.

Serce mi stanęło na myśl, co Pong, Hugo, Leo mogliby odwalić w Chateau Marmont, ale przypomniałam sobie, że hotel jest podobno odporny na trzęsienia ziemi, i poczułam się lepiej. The Gypsies nie zdołają go zniszczyć.

A skoro Zeppelini jeździli tam na motorach, to wygłupy chłopaków obsługa przyjmie bez mrugnięcia powieką.

– O ja pierdole! – zawołał Pong, robiąc rękami rockowy gest.

– Stella nie ruszy się poza Denver, póki nie będzie absolutnie bezpieczna – wtrącił się Hector, oblewając nas zimną wodą.

– Typie! Moglibyście chronić Springsteena i cały cholerny E Street Band! – wyjęczał Leo.

– Dacie radę dostarczyć nas do LA!

– Nigdzie nie pojedziecie, póki Stella nie będzie bezpieczna – powiedział Hector takim tonem, że Leo się zamknął.

– Zgadzam się – wtrącił się Dixon.

Hector skinął mu głową i odwrócił się do mnie.

– Wejściówki za kulisy. Pamiętaj. – Spojrzał znów na Dixona. – Chodźmy do samochodu.

Wyszli.

Wszyscy patrzyliśmy na drzwi.

– Co tu się właśnie stało? – Chloe zwróciła się po cichu do Lany.

– Nie jestem pewna – odparła mama Mace'a.

– Nic takiego – oznajmiła Daisy nonszalancko. A potem odwróciła się do Lany i Chloe i zawołała: – Nasza dziewczynka podpisała właśnie umowę z zajebistą wytwórnią płytową! – Podniosła ręce do góry i zawołała: – Juhu!!!

– O cholera, zaraz się popłaczę, serio. Niech to szlag! – zawołała Indy, wachlując twarz.

– Ja już płaczę – jęknęła Roxie.

Lana uśmiechnęła się do mnie.

– Kochanie, to wspaniale!

– Wspaniale? To zajebioza! – zawołała Ally.

– Rock and roll! – krzyknęła Ava z rękami w górze.

Wszyscy zaczęliśmy skakać, krzyczeć i obejmować się.

– Szampana! Potrzebujemy szampana! – wrzasnęła Daisy i wtedy drzwi do garderoby się otworzyły.

Na progu stali Mace i Lee.

Wszyscy zamarli.

Ja pitolę.

Niestety (a może stety, zależy, jak na to patrzeć), stałam tuż obok Lany, moja ręka wokół jej ramion, jej ręka opleciona wokół mojego pasa.

Gdy ujrzała Mace'a, zastygła i wbiła mi palce w ciało.

Panowała kompletna cisza.

Mace wpatrywał się w matkę.

Ja wstrzymałam oddech.
Mace przesunął wzrok do Chloe.
Wciągnęła powietrze.
Mace spojrzał ostro na mnie.
O rany.
Ścisnęłam Lanę.

– Skarbie? – odezwałam się do Mace’a. – Mamy dzisiaj specjalnych gości, znanych również jako Osobnik 1.

Zobaczyłam, jak Mace zaciska szczęki, jak przesuwają językiem po zębach.
To nie był dobry znak.

Vance i Luke stali za Lee. Luke wszedł do garderoby, Vance się przechylił, złapał klamkę i zamknął drzwi z drugiej strony. Lee i Luke zajęli miejsca przy drzwiach.

Mace przekreślił się, patrzył na nich. Lee oparł ręce na biodrach, Luke skrzyżował swoje na piersi. Obaj nie odrywali wzroku od Mace’a.

Jedno było pewne: rockowe laski potraktowały sprawę poważnie. Zrobiły wszystko, o co prosiłam.

Mace odwrócił się do mnie.

– Kai? Kochanie? – odezwała się Lana delikatnie.

Mace zamknął oczy, ale na jego twarzy i tak malował się ból.

– Może zostawmy ich samych – szepnęła Jules.

Mace otworzył oczy, spojrzał na nią. Ból zastąpiła furia.

Kurde!

– Nikt się, kurwa, nie rusza – warknął.

Jules zastygła, tak jak my wszyscy.

– Mace – powiedział spokojnie Lee.

Mace rzucił mu spojrzenie przez ramię.

I przemówił groźnie:

– Chcieliście przedstawienia? Będziecie mieć przedstawienie.

Lana próbowała się cofnąć, ale ja trzymałam ją mocno w pasie.

– Mace, spójrz na mnie – zażądałam.

Spojrzał od razu. Dziwne, że nie rozpuściłam się w ogniu tego spojrzenia.

– Ty to zorganizowałaś? – warknął.

– Tak.

– I, kurwa, po co?

Zerknęłam szybko na Duke’a, który zacisnął usta i skinął głową.

Znów spojrzałam na Mace’a.

– Ponieważ Caitlin by tego chciała.

Powietrze w garderobie zrobiło się tak gęste, jakbyśmy oddychali zupą. Gęstą, z kawałkami marchewki i selera, którymi można by się zadławić.

Kosztowało mnie to mnóstwo wysiłku, żeby się tym nie przejąć.

– Zrobiłaś dla niej wszystko, co mogłaś – przemówiłam szybko. – A teraz ja robię to, co ona by zrobiła, gdyby tu była. Nie chciałyby, żeby dręczyły cię demony. Przegoniłyby je. Nie ma jej tu, żeby mogła to zrobić, ale ja jestem. Powiedziałaś, że cieszyłaby się, że jesteśmy razem, i myślę, że ona powierzyłaby mi to zadanie. Podejmuję się. Chcę je przegonić.

Puściłam Lanę i ruszyłam w stronę Mace’a. Stał tam, przerażająco nieruchomy. Nie, nie był w szoku, raczej powstrzymywał się, żeby komuś nie zrobić krzywdy.

Niewystraszona, podeszłam bardzo blisko.

Odchyliłam głowę i spojrzałam na niego, oparłam lekko dłonie na jego piersi. Czułam, jak serce bije mu mocno pod moją dłoń.

Spięło mnie to, ale mówiłam dalej.

– I nie mów mi, że nie wiem, o czym mówię. Wiem, że tego nie chciałaś, ale widziałam gazety,

Mace. Widziałam jej zdjęcie. I wasze wspólne. Kochała cię i teraz chciałaby, żebyś był szczęśliwy. Potrzebujesz swojej rodziny. Każdy w tym pokoju jest twoją rodziną i wszyscy przyszli tu z troski. – Zawahałam się i dokończyłam z uśmiechem: – Z wyjątkiem Ponga i Hugona, którzy pewnie przyszli tu na darmowy browar.

Próbowałam rozładować napięcie.

Nie wyszło.

Mace patrzył na mnie.

Ja nie odrywałam od niego wzroku.

Jego spojrzenie było jeszcze bardziej przerażające, ale wytrzymałam i nie odwróciłam oczu.

Ktoś podszedł do nas. Mace i ja odwróciliśmy głowy – Chloe.

Podniosła rękę, chyba chciała go dotknąć, ale Mace spojrzał na nią tak, że opuściła dłoń.

Wzięła oddech, przytrzymała i wypuściła.

– Ona ma rację, kochanie – przemówiła. – Malutka tego by właśnie chciała.

Mace wzdygnął się, słysząc to przezwisko, ale nie odezwał się ani słowem. Tylko patrzył.

„Nie jest dobrze!”, wtrącił się znów mój spanikowany mózg.

„Morda”, odpowiedziałam.

Chloe znowu podniosła rękę i dotknęła mojego ramienia. Odsunęłam się. Z drugiej strony Mace’a stanęła teraz Lana, ale ja patrzyłam na Chloe. Wsunęła dłoń do kieszeni dzinsów i wyjęła łańcuszek.

Zastygłam i patrzyłam, jak Chloe bierze wdech tak głęboki, że rozszerza jej pierś, wypuszcza go i nachyla się do Mace’a. Wspięła się na palce, uniosła ręce i zapięła łańcuszek na szyi Mace’a. Na łańcuszku wisiał mały pierścionek.

Stanęła na całych stopach i jednym palcem dotknęła pierścionka na szyi Mace’a.

– Kochała ten pierścionek. Nigdy go nie zdejmowała. Chciałam ci go dać po tym, jak...

– Pokręciła powoli głową, mówiła dalej. – Dostała go od ciebie, pamiętasz? Na swoje czternaste...

Nie dokończyła. Mace poruszył się błyskawicznie i przyciągnął ją do siebie tak mocno, że Chloe krzyknęła cicho. Pochylił się i ukrył twarz w jej szyi.

Ścisnęła mi się krtań, z oczu popłynęły strumienie łez.

Chloe stała nieruchomo w jego objęciach, a potem założyła mu ręce na szyję i objęła go mocno.

– Do wyjścia. Już – zarządził Lee i wszyscy się ruszyli.

Lana objęła Mace’a i Chloe, ja się odsunęłam. Wszyscy wychodzili i ja też planowałam; rodzina potrzebowała czasu dla siebie.

Ale nie zrobiłam drugiego kroku – Mace wyciągnął rękę i złapał mnie za nadgarstek. Podniósł głowę, spojrzał mi prosto w oczy.

Nie powiedział ani jednego słowa.

Zastygłam w miejscu.

A potem puścił mnie i odwrócił się do matki.

Znalazła się w jego ramionach tak naturalnie, jakby nie dzieliło ich te kilka lat.

Mace przytulił Lanę, a ja spojrzałam na drzwi.

Gdzie stali Floyd i Lee.

Floyd mrugnął do mnie.

Lee zrobił to samo.

Floyd wyszedł pierwszy.

Lee zamknął za nimi drzwi.

– *And it's your turn, girl, to cry* – śpiewałam do mikrofonu.

Przeszłam do „na-na-na-na” w „Lovin’, Touchin’, Squeezin’” Journey, chłopaki grały, tłum dał się porwać, śpiewając z nami, trzymając ręce w powietrzu. Tłum, w którym stały również Lana i Chloe pośród wszystkich rockowych lasek.

Lana czuła się na koncercie rockowym jak ryba w wodzie. Śpiewała głośno, znała wszystkie

cover, które graliśmy, tańczyła i kiwała się. Była seksowna jak cholera i kochała rocka.

Wieczór z „Guitar Hero” rzeczywiście mógł być dla niej dobrą zabawą.

Chloe z kolei potrzebowała czasu, żeby się wkręcić (możliwe, że tak jak Caitlin wolała Czajkowskiego), ale Gypsies byli na fali i wkrótce ona również poczuła klimat.

Ochrona była taka sama jak na poprzednich koncertach, z tą różnicą, że miejsce Eddiego i Hanka (polujących na Sidneya Cartera) zajęli Tom, tata Indy, i Malcolm, ojciec Lee, Hanka i Ally. Tom i Duke stali blisko sceny, chroniąc mnie i dziewczyny.

Po spotkaniu rodzinnym udało mi się już tylko opowiedzieć Mace’owi o Dixonie Jonesie i Chateau Marmont. Mace uśmiechnął się do mnie z aprobatą i musnął mnie wargami, przesywając dreszczem szczęścia. Potem Chloe i ja zostawiłyśmy go z Laną.

Chcieliśmy zapewnić im trochę prywatności, więc zamiast w garderobie, siedziałam przy barze z dziewczynami i Chloe. My piłyśmy piwo, a Chloe martini. Kobieta z klasą. Rozmawiałam trochę z fanami (Duke siedział przyklejony do mnie), a potem wyszłam na scenę.

Uśmiechałam się teraz i śpiewałam „na-na-na-na”, kiwając się i machając rękami w górze. Publiczność złapała rytm, robiła to samo, co ja.

Przesunęłam wzrokiem po tłumie i zobaczyłam Luke’a przy drzwiach, tyłem do sceny; z rękami na piersi rozmawiał z tutejszym bramkarzem.

Śpiewałam dalej, sunęłam dalej wzrokiem i zobaczyłam barki i głowę Mace’a ponad tłumem. Patrzył na ludzi.

Zaczekałam, aż spojrzy na mnie – bo wiedziałam, że spojrzy. Nie wiedziałam tylko, że gdy nasze oczy się spotkały, uśmiechnęłam się jeszcze bardziej promiennie. Nie wiedziałam, że Lana i Chloe zobaczyły mój uśmiech i obejrzały się, żeby sprawdzić, do czego tak się uśmiecham. Gdy zrozumiały, że chodzi o Mace’a, Chloe wybuchnęła płaczem, a Lana ją przytuliła. Tego też nie wiedziałam.

Mace oderwał ode mnie wzrok i znów skanował publiczność. A ja śpiewałam „na-na-na”, nadal żyjąc w swojej szczęśliwej bańce.

Moja kapela jechała do LA nagrać album.

Przegoniłam demony Mace’a i zwróciłam mu rodzinę.

Czułam się z tym szczęśliwa.

I Mace mnie kochał.

Sunęłam wzrokiem po barze i coś przebiło moją bańkę. Coś było złe.

Nadal śpiewając z publicznością, nadal z rękami w górze, przesunęłam wzrokiem po barze, tam i z powrotem.

Tam i z powrotem.

I wtedy do mnie dotarło, że nie widzę Texa.

I że przecież nie przyniósł mi w końcu tej tequili.

Na automacie dokończyliśmy piosenkę, a ja szukałam go wzrokiem w tłumie.

Powiedziałam do mikrofonu:

– Robimy teraz przerwę, ale wrócimy!

Tłum zaryczał, ja pomachałam ręką i uśmiechnęłam się, nadal trzymając fason. Szybko zesłam ze sceny.

Duke już tam na mnie czekał, z piwem.

– Dziewczyno, zawsze wymiatacie, ale powiem ci, że dzisiaj jesteś zajebista!

Normalnie by mnie to zszokowało, może nawet wzruszyło: Duke nigdy nie szastał komplementami.

Ale w tej chwili tylko podniosłam na niego wzrok i spytałam:

– Gdzie Tex?

Zastygł i spojrzał szybko na bar.

Chłopaki z kapeli zeszyli za mną, rockowe laski podchodziły do sceny, ale mnie już tam nie było.

Parłam do przodu.

Przeciskałam się przez tłum.

Ludzie wołali do mnie, chcieli mnie zatrzymać, pogadać. Przepychałam się dalej, do Mace’a.

Stanęłam przed nim, oparłam mu rękę na piersi, odchyliłam głowę.

Patrzył na mnie i uśmiechał się ciepło.

– Skarbie... – zaczął cicho. Przerwałam mu.

– Gdzie Tex?

Podniósł szybko głowę, spojrzał na bar.

Zacisnęłam mu dłoń na koszulce.

– Gdy przyjechałam, czekał na nas przy tylnym wejściu. Poszedł mi zamówić tequilę. Od tamtego czasu go nie widziałam. Po tym wszystkim, co się stało, nie miałam głowy...

Nie dokończyłam. Mace wziął mnie za rękę i przeciskał się w stronę sceny. Dziewczyny stały blade, ekipa przystojniaków była w komplecie. Lee zerknął na Mace'a, rozmawiał przez telefon.

– Widzieliście go w ogóle? – spytała Roxie.

– Jak przyjechaliśmy, potem już nie – odparła Jet.

– Kurwa – mruknął Duke.

– Co się stało? – spytała Lana, podchodząc do mnie i Mace'a.

– Zaginął jeden z naszych przyjaciół – wyjaśniłam. – Musimy to ogłosić – powiedziałam Mace'owi. – Trzeba przerwać koncert.

Lee skończył rozmowę i zwrócił się do nas:

– Dziewczyny jadą do domu, potem chcę mieć wszystkich w terenie. Bobby, Matt, Duke, Tom i ty, tato – wy zostajecie ze Stellą i zespołem. Matt, ty odwozisz Stellę do domu. Tato, załatwiasz eskortę policyjną dla każdego członka zespołu po koncercie. Tak?

Malcolm skinął głową.

– Kurwa mać! – wybuchnął Duke. – Jak mogliśmy tego nie zauważyć?!

– To moja wina – wyszeptałam.

– Nie myśl o tym. Dokończ koncert – zażądał Lee i popatrzył na swoich ludzi. – Luke, ty zabierasz Avę i Ally, Darius, bierzesz Shirleen, Daisy, Lane i Chloe. Hector, odwozisz Roxie i Jet, Vance – Jules i Indy. Mace, idziesz ze mną. Ruszamy.

Poszli wszyscy, z wyjątkiem Mace'a, którzy patrzył na Matta.

– Muszę wiedzieć, że rozumiesz.

Matt skinął głową.

– Rozumiem.

Mace spojrzał ciężko na Toma.

Ojciec Indy powiedział:

– Wszyscy wiemy, co robić. Idź.

Mace przeniósł wzrok na mnie, a ja zaczęłam bełkotać:

– To moja wina. Nie myśleliśmy... Nie ogarnęliśmy tego. Wszyscy byli zajęci mną, tobą, Dixonem, Laną i Chloe. Wiedziałam, że powinnam zaczekać, aż to wszystko się skończy, wiedziałam. Jeśli coś się stanie Texowi...

Położył palec na moich ustach, uciszając mnie. Potem położył mi dłoń na szyi i ścisnął.

A potem poszedł.

Czując, jak ogarnia mnie strach, patrzyłam, jak Mace i Lee wychodzą.

– To moja wina – wyszeptałam.

Rozdział 24

Żadnego pieprzonego przytulania

Jules

Mój kot Boo i ja nie spaliśmy dobrze, przekręcając się z boku na bok całą noc i czekając, aż Vance wróci do domu albo zadzwoni i powie, że wszystko jest okej.

Nie wrócił i nie zadzwonił.

Dzwonił za to budzik, więc wstałam z łóżka, nakarmiłam Boo, umyłam się i ubrałam. Stałam w kuchni, opierając się biodrem o blat i jedząc rumianego tosta.

W jakimś momencie uczyłam się gotować i nawet miałam pewne sukcesy. Ale tosty nigdy mi nie wychodziły. A ponieważ nadal nękały mnie poranne mdłości, lekko rumiany tost był znacznie lepszy niż zupełnie spalony.

Jadłam go właśnie, gdy Vance wszedł tylnym wejściem.

Spojrzał na mnie, zawołał „cześć, księżniczko” i odwrócił się, żeby wyłączyć i znów włączyć alarm.

Czekałam, a on podszedł do mnie, objął mnie w talii, przyciągnął do siebie i dotknął ustami moich ust.

Wiedziałam, że to niedobrze. Gdyby wieści były dobre, nie musiałby mnie obejmować.

Podniósł głowę i odezwał się cicho:

– Nic nie mamy.

Zamknęłam oczy i otworzyłam je, gdy Vance objął mnie mocniej.

– Muszę wziąć prysznic i pojechać do biura. Mamy spotkanie, potem wszyscy szukamy dalej.

Skinęłam.

– Wiesz, co to znaczy?

Pokręcił głową.

– Sid zwykle się odzywa, mówi, czego chce albo co zrobił i dlaczego. Tym razem cisza. Myślisz, że z Texem wszystko dobrze?

Twarz Vance’a stężała. Zrozumiałam, co to znaczy, zanim powiedział:

– Sid się nie opierdziela. Nie wygląda to dobrze, Jules.

Przygryzłam wargę, usiłując nie płakać.

– Hank mówi, że Roxie jest w strasznym stanie – powiedział jeszcze. – Znajdziesz dzisiaj czas, żeby się z nią zobaczyć?

Przelknęłam łzy i skinęłam głową.

Tex był wujkiem Roxie. Odciał się od swojej rodziny wieki temu, ale kiedyś, dawno temu, bardzo ją lubił. Osiem miesięcy temu Roxie zrobiła dla Texa to, co Stella wczoraj dla Mace’a, połączyła go znów z rodziną.

Vance mówił dalej.

– Będę zajęty, księżniczko, zadzwoń do agencji nieruchomości. Złóż naszą ofertę na ten dom.

– To może poczekać.

Znów objął mnie mocniej i przyłożył dłoń do mojego policzka.

– To jedyny dom, który podobał się nam obojgu. Jest w porządku. Ty będziesz obok Nicka, a ja będę miał blisko do biura. Nie chcę tego przegapić. Zadzwoń.

– Teraz mogę myśleć tylko o Texie. Znajdziemy inny.

– My zajmujemy się Texem. Ty zadbaj o naszą rodzinę.

– Crowe...

Odsunął się trochę i położył mi rękę na brzuchu. Lubił to robić. Ostatnio spał z dłonią na moim brzuchu.

Ja też to lubiłam – czuć jego rękę na swoim brzuchu. Może nawet bardziej, niż on lubił ją tam

kłaść.

– Chcę mieć to ogarnięte, zanim on się urodzi, księżniczko – powiedział cicho Vance.

– Zadzwoń.

Zmrużyłam oczy. Jeśli myślał, że mu to ujdzie na sucho, to się mylił.

Kłóciliśmy się o płeć dziecka, odkąd dobiłam do drugiego trymestru. Żadne z nas nie chciało jeszcze wiedzieć, więc nie pytaliśmy lekarza.

Z jakiegoś powodu, może hormonalnego, te kłótnie mnie wkurzały. Vance (a od niedawna również Nick), uważał, że to zabawne, i podnosili ten temat regularnie. Dodatkowo kłóciliśmy się o imiona.

– To nie będzie chłopiec, tylko dziewczynka i będzie się nazywała Rebecca Ann, po cioci Rebie. Vance uśmiechnął się, zabrał rękę z mojego brzucha, przysunął się i objął mnie mocno.

– Bardzo bym chciał, żeby to była dziewczynka, której dasz imię po cioci, ale to będzie chłopiec.

I nazwiemy go Max.

Sami widzicie.

– To jest dziewczynka. A nawet gdyby to miał być chłopiec, to nazwiemy go Harry – odpaliłam.

– Nie nazwiemy.

– Jeszcze jak nazwiemy. Harry to dobre imię.

– Dobre dla jakiegoś innego dziecka, nie mojego.

– Crowe...

Nachylił się do mnie.

– Wiesz, że uwielbiam te nasze kłótnie, Jules, ale muszę iść.

Zastygłam i skinęłam głową. Musnął mnie ustami i poszedł w stronę łazienki.

– Chcesz tosta? – zawołałam za nim.

– Zrobię sobie – odrzyknął, znikając w łazience i zamykając drzwi.

– Dobry wybór – powiedziałam do Boo, który zamiatał podłogę w kuchni wielkim, czarnym ogonem. Siedział z nadętą miną, niezadowolony, że Vance skupił na sobie całą moją uwagę.

– Miau – skomentował.

Do azyłu zawiozła mnie policja. Wkurzało mnie to (bez względu na hormony), bo jeszcze niedawno (kilka miesięcy temu) sama potrafiłam o siebie zadbać. Weszłam do środka i od razu zaatakowała mnie May.

Wolontariuszka w azylu, trzydzieści lat starsza ode mnie, była moją najbliższą przyjaciółką. Twarda na zewnątrz i miękka w środku (dosłownie i w przenośni), miała złote serce.

– Jest problem – oznajmiła.

Już miałam spytać jaki, gdy zobaczyłam.

W pokoju siedział Roam.

– Zajmę się tym – uspokoiłam May i zakradłam się do Roama.

– Co ty tu robisz? – naskoczyłam na niego. – Powinieneś być w szkole.

Roam siedział z Clarice, też była uciekinierką, która teraz spędzała mnóstwo czasu z tutorami, jeszcze więcej z Daisy i choć miała zaledwie siedemnaście lat, była bardziej wolontariuszką niż jedną z podopiecznych. Pomagała dzieciakom z ulicy, przekazywała informacje pracownikom społecznym, czasem rozmawiała z dziećmi na sesjach z tutorami.

Roam i Clarice rozmawiali z dwójką innych dzieci, nowych w azylu, których nie zdążyłam jeszcze dobrze poznać.

Roam spojrzął na mnie i wstał z oparcia kanapy.

– Law – powiedział tylko i odszedł na kilka kroków, chyba spodziewając się, że pójdę za nim.

Zatrzymał się i spojrzął na mnie wymownie. Miałam rację.

Roam był jednym z moich podopiecznych. I chociaż skończył szesnaście lat, mieszkał z Shirleen i rósł szybko, nadal nim był.

I to wyjątkowym.

Siedem miesięcy temu zasłonił mnie i dostał kulkę, ja zasłoniłam jego, dostałam dwie i zabiłam człowieka. Nie rozmawialiśmy o tym, ale to nas zbliżyło. May, Sniff i Roam byli drużbami na moim ślubie.

Vance wziął Sniffa i Roama pod swoje skrzydła – gdy nie byli w szkole, na randce, nie odrabiali pracy domowej czy nie sprząkali w domu, działali w pokoju monitoringu w Nightingale Investigations. Nieczęsto, ale zdarzało się, że jeździli z Vance'em na patrol, ostatnio zabierał ich również Luke.

Fakt, że Roam zwrócił się do mnie uliczną ksywką, że arogancko spodziewał się, że za nim pójde, wskazywało na silny Efekt Crowe'a i było tak podobne do zachowania brygady twardzieli, że zastanowiłam się nad ograniczeniem ich czasu spędzanego u Lee.

I mimo to za nim poszłam. Cieszył się szacunkiem w azylu, był na ulicy bardzo długo i przetrwał. Z powodu narkotyków stracił najlepszego przyjaciela i osłonił mnie przed kulami. Teraz miał dobry dom, uczył się i, jak by nie patrzeć, był stażystą w NI. Ludzie Lee mieli reputację twardzieli, fakt, że Roam z nimi „działał”, dużo znaczył dla innych dzieciaków.

Znalazłam się blisko niego i spytałam cicho i groźnie:

– To czemu nie jesteś w szkole?

– Możliwe, że wiem, gdzie jest Tex – powiedział.

Zamrugałam oczami i zastygłam. Potem wzięłam go za ramię i pociągnęłam dalej.

May podeszła do nas.

– Co się dzieje?

Zignorowałam ją, nie odrywałam wzroku od Roama.

– Gadaj.

– Dzieciaki coś widziały. Znają Texa i dali nam znać. Sniff i ja wyśliznęliśmy się wczoraj w nocy, wzięliśmy wóz Shirleen i podjechaliśmy. Sniff obserwował budynek, do którego podobno go zaciągnęli. Ja rozejrzałam się, popytałam. Myślę, że to może być prawda – wyjaśnił Roam.

– Zadzwoń do Vance'a? – spytałam.

– Nie chcę wyjść na idiotę, jeśli... – zaczął; przerwałam mu.

– Zadzwoń. Już. Powiedz wszystko, co wiesz.

– Ale nie ma pewności...

Nachyliłam się.

– Sam dobrze wiesz, że to nieważne. Trzeba sprawdzić wszystkie tropy.

Patrzył na mnie przez chwilę, skinął głową, wyjął telefon, odszedł na dwa kroki i wcisnął przycisk. Patrzyłam, jak przykładła telefon do ucha i coś mówi.

– Co za chłopak – powiedziała May, jednocześnie z dumą i irytacją.

– Dokładnie – zgodziłam się. Obie patrzyłyśmy na Roama.

Poczułam wibracje na tyłku i bulgotanie w żołądku.

Naprawdę, naprawdę nie mogłam się już doczekać, kiedy wreszcie urodzę dziecko. Przynajmniej wtedy przestanie mi być niedobrze.

Wyjęłam telefon z tylnej kieszeni, powstrzymałam mdłości.

Dzwonił Sniff.

Spojrzałam na May, odebrałam telefon.

– Mów – zażądałam, ale usłyszałam tylko sapanie. – Sniff? – zawołałam ostro.

May zmrużyła oczy.

– Law? – zawołał Sniff, dysząc ciężko.

Zaczęłam iść w stronę drzwi.

– Kluczyki! – zawołałam do May; pobiegła do kuchni, gdzie trzymała torebkę. – Gdzie jesteś? – spytałam Sniffa.

– Uciekamy z tego budynku, Tex jest ze mną. Kurwa, Law, on wysadził ten dom w powietrze!

– ekscytował się Sniff.

Stałam jak wryta.

– Co?

Sniff dyszał ciężko, ale mówił. Był gadułą, byle ucieczka po wysadzeniu budynku nie zmusiłaby

go do milczenia.

– Tex właśnie wysadził ten jebany budynek! Ale jazda!

– Daj mi ten szajs – usłyszałam dudnienie Texa, który też ciężko dyszał. – Jules?

Na dźwięk jego głosu sięgnęłam ręką do szyi, poczułam łzy w oczach, przysunęłam się do fotela i siadłam.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Ci skurwiele nieźle mi przyjebali, łeb mi pęka – odparł. – Potrzebuję podwózki – powiedział, jakby właśnie był na imprezie, kierowca mu nawalił, Tex trochę się wkurzył, ale wciąż jeszcze dobrze się bawił.

Innymi słowy: tak, wszystko było w porządku.

Przybiegła May.

Odwróciłam się do niej, kręcąc głową.

– Gdzie jesteś? – spytałam Texa.

Usłyszałam zgrzyt przy mikrofonie, a potem:

– Gdzie jesteśmy, mały?

– Commerce City – odparł Sniff i podał nazwy ulic i skrzyżowań.

Pstryknęłam palcami na Roama, który podszedł bliżej.

– Zaczekaj, Tex – poprosiłam, wzięłam od chłopaka telefon i przyłożyłam go do ucha. – Vance?

– Jestem, księżniczko.

– Mam Texa na linii. Wszystko w porządku. Jest ze Sniffem – przekazałam mu wszystkie informacje.

Vance powtórzył nazwy ulicy, pewnie dla człowieka, który był z nim, rzucił krótko:

– Przyjąłem, Jules. Masz go nadal na linii?

– Tak. Rozmawia z telefonu Sniffa.

– Rozłącz się. Darius jest najbliżej, wydzwoni Sniffa.

– Dobra.

– Mówisz, że wysadził budynek?

– Tak twierdzi Sniff.

Cisza, a potem:

– Chryste, mówią o tym na częstotliwości policji.

I śmiech.

– Crowe, kurwa, to wcale nie jest zabawne! – zawołałam i wszyscy odwrócili się do mnie.

– Racja – odpowiedział, nadal ze śmiechem. – Rozłączam się.

Oddałam telefon Roamowi i wróciłam do mojego.

– Tex, jesteś tam?

– A gdzie mam, kurwa, być? – zadudnił Tex. I choć się zachowywał jak gbur, to żył i czuł się na tyle dobrze, żeby być niemiły, więc miałam ochotę skakać z radości.

– Vance wie, gdzie jesteś. Darius krąży po okolicy, zaraz po was podjedzie. Zadzwoni do ciebie, rozłączam się.

– Kumam.

I rozłączył się.

Popatrzyłam na May, ale to Roam mnie opomniał:

– Law, nie powinnaś przeklinać.

Zawarczałam głucho.

A potem poczułam nawrót mdłości, pobiegłam do łazienki i zwymiotowałam.

Godzinę później po mnie i Roama przyjechał Bobby. Stella i Ava już siedziały w jego explorerze. Jechaliśmy do Fortnum.

Tex już stał za ladą, Roxie była przy nim, Jet, Indy, Ally nieopodal. Lee, Eddie, Hank, Sniff i Darius stali przed ladą, Duke i Jane na końcu. Nie było żadnych klientów, księgarnia była oficjalnie

zamknięta.

Ledwie zdążyliśmy wejść, gdy Tex machnął kolbą od ekspresu; fusy poleciały przez pomieszczenie, łądując obok stolika.

– Jak się zbliżycie, to przysięgam na Boga, że komuś stanie się krzywda! – huknął. – Nic mi nie jest! Żadnego pieprzonego przytulania!

Cofnęliśmy się, Ava podniosła ręce do góry.

– Dobra, dobra. Bez przytulania – powiedziała ugodowo i ostrożnie weszliśmy do księgarni.

Roam podbiegł do Sniffa. Oni też się nie przytulali, przybili piątkę w skomplikowany sposób i odeszli na bok.

– Tex, cieszę się, że żyjesz i tak dalej, ale ostrzegam cię, że jeśli jeszcze raz machniesz się kolbą z fusami, krzywda stanie się tobie! – warknęła Indy.

Tex przestał się marszczyć i posłał Indy szeroki uśmiech.

– Co się stało? – spytałam, podchodząc bliżej.

– Nie mówił – podzieliła się Ally.

– Opowiem to tylko raz. Daisy i Shirleen jeszcze tu nie ma. Jakbym powiedział Indy i Jet, jak tu przyjechałem, potem musiałbym opowiedzieć jeszcze raz Ally, potem Roxie, potem wam, a potem jeszcze raz Daisy i Shirleen. Musicie, kurwa, zaczekać – zadudnił Tex.

– Wysadził budynek! – zawołał Sniff, przedkładając rozmowę dorosłych nad dyskusję z kumpem.

Ava i Stella krzyknęły cicho, czyli jeszcze nic nie wiedziały.

– Wysadziłeś budynek? – Stella popatrzyła na Texa ogromnymi oczami.

– Ci debile zabrali mnie do miejsca z chemikaliami – wyjaśnił Tex.

– Zbudował bombę! – wołał Sniff, podchodząc do nas.

Tex wzruszył ramionami.

– Zamknęli mnie. Musiałem się jakoś wydostać.

– Dlatego wysadziłeś budynek? – dopytywała się Stella.

– Chciałem tylko wysadzić drzwi – ale mówię, miejsce było naćkane chemikaliami.

– Czyli wysadzałeś drzwi i cały dom wyleciał w powietrze? – uściśliła Stella, do której chyba nadal nie docierało.

Znowu wzruszenie ramion.

– Bywa.

Zadzwonił dzwoneczek nad drzwiami, Ally zawołała:

– Zamknięte!

Wszyscy odwrócili się do mężczyzny, który wszedł, mamrocząc:

– Ale to przecież piątek. Wszyscy mają otwarte w piątek. A w gazetach pisali – wskazał Texa – że jego kawa jest najlepsza w Denver, a może i w całych Stanach.

– Właśnie wysadził w powietrze dom – wyjaśniła mu Ally. – Może nadal mieć na sobie chemikalia. A na drzwiach wisi tabliczka, że zamknięte.

Mężczyzna zrobił wielkie oczy i podszedł do nas.

– To prawda... Wszystko, co o was piszą, to prawda. – Spojrzał na Stellę. – O Boże. Ty jesteś Stella Gunn.

– Typie, nie rozumiesz, co znaczy słowo „zamknięte”? – warknęła Ally.

Lee ruszył w jego stronę i przybyły spojrzał na niego.

– Cholera, ja ciebie znam! Widziałem twoje zdjęcie w gazetach. Jesteś z tą rudą i masz Nightingale Investigations – powiedział z nabożnym zachwytem, a ja parsknęłam śmiechem: wyglądał, jakby patrzył na gwiazdę kina. – I co teraz zrobisz, wyrzucisz mnie? – zapytał, jakby na niczym więcej mu nie zależało.

– Nie, po prostu wyjdiesz stąd, i to już – odarł Lee.

Facetowi opadła szczeka i spytał szeptem:

– Zabiłeś kiedyś człowieka?

Lee nachylił się groźnie.

– Ale że dzisiaj?

Do faceta w końcu dotarło, obejrzał się jeszcze na wszystkich i w końcu wyszedł.

Lee zamknął za nim drzwi na klucz.

– I tak jest, kurwa, przez cały dzień – dudnił Tex. – Zabiję kiedyś tego, co papla o tym wszystkim do gazet. Przyłożą tu i albo się na mnie gapią, jakbym był jebanym Paulem Newmanem, albo się spodziewają się, że będę dla nich miły, jakby mi, kurwa, na nich zależało. Tyle dobrego, że słoik na typy opróżniamy trzy razy dziennie. Chyba w końcu kupię dla kotów te poidła, które cały czas mają świeżą wodę. Taką kocią fontannę.

Stella wytrzeszczyła oczy na Texa, który chwilę temu mówił o wysadzeniu budynku, a teraz o fontannach.

Nikt inny nie zwrócił na to uwagi.

Ktoś zapukał do drzwi: na zewnątrz stali Daisy, Lana, Chloe i Mace. Lee otworzył i wszyscy weszli do środka.

– Jak ktoś będzie chciał mnie przytulić, skręcę mu kark – warknął Tex.

Lana zatrzymała się, Chloe zbladła. Za to Daisy przebiegła przez księgarnię, przepchała się między ludźmi przy ladzie i dopadła Texa, obejmując go.

– Kobieto! – ryknął rozzłoszczony.

– Cicho – szepnęła Daisy, ale głos jej się załamał i usłyszeliśmy stłumiony szloch.

Wszyscy znieruchomieli, patrząc na nich. Widziałam łzy w oczach Roxie.

Tex uspokoił się i objął Daisy.

– Żyję, kotku – wymruczał.

Wtedy Daisy odsunęła się i zaczęła go okładać drobnymi piąstkami.

– Jak mnie jeszcze raz tak nastraszysz, Texie MacMillanie, skopię ci tyłek! – zawołała.

Przez chwilę Tex był zdumiony.

Potem zaczął się śmiać.

– Kobieto, już to widzę – zahuczał.

Roxie odciągnęła Daisy.

– Chcesz, żeby wujek Tex zrobił ci latte?

– Jak cholera – warknęła Daisy. – Mocca, podwójnie czekoladowa. – I zaczęła wycierać rozmazany tusz.

– Może idź do łazienki? – podsunęła Jet.

Daisy odwróciła się do Texa i dźgnęła go palcem.

– I w dodatku zniszczyłeś mój makijaż!

A potem, tupiąc głośno, poszła na zaplecze, gdzie była łazienka dla pracowników księgarni, rockowych lasek i brygady twardzieli.

– Nie przejmujcie się, to nietypowe wariactwo – pocieszyła Jet Lanę i Chloe.

– Jeszcze jak typowe – mruknęła Ally.

– Mam tu wrosnąć w ziemię? – zawołał Tex, robiąc mocę dla Daisy. – Ktoś jeszcze chce się napić jebanej kawy?

Duke przysunął Lanę i Chloe do lady.

Odwróciłam się, Mace już był przy Stelli. Przytulał ją do siebie, jej głowa znalazła się pod jego brodą. On obejmował ją, ona jego. Położył jej dłoń na szyi. Odchyliła głowę, a on uśmiechnął się do niej.

Widziałam ze dwa razy, jak Mace się uśmiecha, ale nigdy nie widziałam takiego uśmiechu. Stella uśmiechnęła się również, wtuliła w niego.

Odwróciłam wzrok, ta scena była zbyt intymna.

Poznałam Mace'a miesiąc temu, ale był jedynym człowiekiem Lee, który trzymał dystans. Teraz, świadoma jego historii, już wiedziałam dlaczego.

Wszyscy myśleli, że historia moja i Vance'a była rozdierająca, ale przy opowieści Mace'a wypadaliśmy jak dobranocka.

Stella była cudotwórczynią.

– Nigdy nie myślałam, że to zobaczę – szepnęła do mnie Ava, głową wskazując Mace'a i Stellę,

ale nie patrząc na nich.

- Tak samo – zgodziłam się.
- Super widok – mówiła dalej, a ja się uśmiechnęłam.
- Zgadzam się.

Obudziłam się, gdy Vance wrócił do domu w nocy, wszedł na platformę z łóżkiem.

Zwykle śpię mocno i twardo, ale zawsze się budzę, choćby na chwilę, gdy on wraca do domu.

– Hej – wyszeptałam.

– Śpij – wymruczał, przytulając się do moich pleców i kładąc mi rękę na brzuchu.

Przekręciłam się do Vance'a. Boo, umoszczony wygodnie, wstał z oburzonym miaukiem, zeskoczył z łóżka.

Vance przytulił mnie do siebie.

Położyłam mu ręce na piersi i powiedziałam:

– Jesteś zły na Roama?

– Byłem na początku. Ale zobaczyłem, jak to wszystko zagrało, i pogadaliśmy tylko. Już wie, że następnym razem ma od razu do mnie zadzwonić – odparł. – Opowiedział mi, co zrobili. Sprawdzili budynek: żadnych samochodów, hałasów, żadnych ludzi. Texa trzymali w pokoju bez okien, z wiadomych względów za bardzo nie hałasował. Uznali, że jest pusto. Sniff wiedział, gdzie ma zadzwonić, jak ktoś zbliży się do budynku, Roam miał dzwonić, gdyby nagle zaczęli mieć towarzystwo. Trochę błędów w założeniach, ale w sumie dobra robota. Uczy się.

Odprężyłam się.

Vance był cierpliwym nauczycielem.

I będzie wspaniałym ojcem.

– Dowiedziałeś się czegoś od Texa?

– Niewiele. Albo był nieprzytomny, albo sam, i konstruował bombę.

– A mówiłeś, że Carter się nie opierdziela.

– Zwykle tak jest. Może chcieli się z Texem pobawić później i potrzebowali go przytomnego.

Zostawili go przywiązanego do krzesła; udało mu się przesunąć do metalowych regałów i przeciąć plastik, pocierając o ostrą krawędź. Nie spodziewali się, że się uwolni, a już na pewno nie tego, że stworzy bombę. Myślimy, że chcieli wrócić, ale ostatnio mieli sporo na głowie.

To było dobre. Pod wieloma względami przerażające, ale i dobre.

– Myślisz, że teraz odpuści? – spytałam.

– Carter?

– No tak. Shirleen załatwiła w salonie jego zabójcę, Tex wysadził w powietrze jego budynek.

Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach dałby spokój.

– Podejrzewam Cartera o niejedno, ale na pewno nie o zdrowe zmysły.

Nie zabrzmiało to dobrze.

– Eddie i Hank coś mają? – kontynuowałam swoje miniprzesłuchanie.

– Tak, wywołali chaos. Niektórzy z ludzi Cartera mówią, idą na układ, wystawia się kolejne nakazy aresztowania. Powoli, ale posuwają się do przodu.

– Czyli wkrótce będzie po wszystkim?

– Być może. Ale Carter wciąż się ukrywa i niedługo zacznie działać desperacko. Tego właśnie się boję.

Przytuliłam się mocniej.

– Wszystko będzie dobrze.

Vance westchnął.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, księżniczko, ale zaczęliśmy od porwań Indy, prawie gwałtu na Jet i pobicia Roxie. Ty dostałaś dwie kulki, Ava niemal wyleciała w powietrze z samochodem. A teraz wszyscy są celem, kryminalista za chwilę zacznie działać desperacko. Nie podoba mi się to. Mam złe przeczucia.

– Przeżyjemy – szepnęłam.
– Liczę tylko, że Hector i Ally się jednak zejdą. Upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu i wszystko wreszcie się skończy.
Parsknęłam śmiechem.
– To nie miało być śmieszne – zauważył Vance.
Objęłam go.
– Nie chcę cię rozczarować, kotku, ale Jet mi mówiła, że Ally traktuje Hectora jako brata albo kuzyna.
– Zajeście – wymruczał, a ja zachichotałam.
Teraz on mnie objął.
– Uwielbiam słyszeć twój śmiech – wymruczał, a ja poczułam motyle w brzuchu.
Leżeliśmy w ciszy kilka długich minut.
– Przyjęli naszą ofertę na dom – odezwał się.
Vance przytulił mnie jeszcze mocniej. Ja jego też.
To był wspaniały dom. Kilka ulic dalej, blisko miejsca, w którym mieszkali Lee z Indy. Miał sympatyczne podwórko, wspaniały widok, piękne rośliny i duże drzewa. Miał również osobowość, duszę i nawet biały drewniany płotek.
Chciało mi się śmiać.
Jeszcze niedawno byłam nocną mścicielką, zającą twardzielką, która nosiła broń, patrolowała ulice, psuła krew dilerom, a raz nawet powaliła na ziemię alfonsa i dwie jego dziwki, jedną po drugiej.
Vance wciąż był hardcorem.
A teraz mieliśmy zamieszkać w domu z białymi sztachetami.
– Jutro zadzwonię do agenta, niech się pospieszą – powiedział Vance.
– I co my zrobimy z trzema sypialniami, dwiema łazienkami i toaletą? – zapytałam.
– Wypełnimy je dziećmi – odparł, a motyle zatrzepotały mocniej.
Jednak dla zasady zaprotestowałam.
– Żadnych dzieci więcej. Poranne mdłości są do kitu.
Vance zaśmiał się cicho.
– Będziemy mieli czwórkę.
– Czwórkę?! – zawołałam i odchyliłam głowę, żeby spojrzeć na niego w świetle księżyca.
Uwielbiałam patrzeć na niego w każdym świetle, ale najbardziej w księżycowym. Jego twarz kryła się w cieniu, twarda, delikatna i niezmiernie piękna, taka jak on.
Vance spojrzał na mnie.
– Czwórkę.
– Nie zamierzam być w czterech ciężach.
– Cztery to dobra liczba.
– Śmiało, zachodź sobie w kolejne ciąży i rzygaj do południa.
Uśmiechnął się i pocałował mnie w usta.
– Dobrze, no to trójkę.
Zastanowiłam się.
– Trójka może być – wymruczałam.
I nawet w tym słabym świetle zobaczyłam satysfakcję i rozbawienie na jego twarzy – od początku chciał troje dzieci. Tylko się ze mną droczył.
– Wkurzasz mnie – poinformowałam go.
– Już kiedyś wspominałaś.
Przesunął dłonią po moich plecach, dotarł do tyłu głowy, wsunął dłoń we włosy i przycisnął mi twarz do swojej szyi. A potem, nie wysuwając ręki z moich włosów, bawił się kosmykami.
Leżeliśmy w ciszy, on obejmował mnie, ja jego i było nam bardzo dobrze.
W końcu spytałam:
– Jesteś zmęczony?
– Wykończony.

Przycisnęłam się głębiej i pocałowałam go w szyję.

– Jakaś szansa na nocny seks?

Zawahał się, a potem przekręcił się na plecy, biorąc mnie za sobą. W jednej chwili zdjął ze mnie koszulkę.

– Jeśli chcesz seksu, musisz odwalić całą robotę – odparł.

Uśmiechnęłam się.

Chciałam. Dlatego chętnie na to przystałam.

Zwykle nie miałam szans „odwalić całej roboty”, więc nawet mnie to cieszyło.

Jakiś czas później ja byłam na górze, Vance we mnie. Poruszałam się w swoim rytmie, rozkoszując się każdym ruchem. Vance jedną rękę trzymał na moim biodrze, drugą wsunął mi między nogi, czyniąc tam magię.

– Bliżej, księżniczko – powiedział i nachyliłam się do niego.

Nadal poruszał palcami dłoni, więc zatrzymałam się, odchyliłam głowę i jęknęłam.

– Bliżej – powtórzył. Nachyliłam się bliżej, dysząc szybciej.

Byliśmy teraz twarzą w twarz. Oderwał drugą rękę od mojego biodra i sięgnął do moich włosów.

Nawinął je na dłoń i powiedział urywanym, schrypniętym głosem:

– Uwielbiam patrzeć, jak mnie ujeżdżasz. Wiesz, jaka jesteś cholernie piękna?

– A wiesz, jaki ty jesteś piękny? – odparłam urywanie, bo byłam bliska eksplozji.

Nie odpowiedział.

– Jesteś blisko... – wymruczał w moje usta.

Skinęłam głową.

– Chcę to usłyszeć – zażądał chrapliwie. Wiedziałam, o czym mówi.

– Vance... – szepnęłam, jak zawsze na chwilę przed tym, gdy doprowadzał mnie do orgazmu.

– Jules – usłyszałam ostry głos Vance’a.

Wyrwał mnie ze snu, leżałam, zlana potem, i dyszałam ciężko. Uniosłam powieki, ale wciąż miałam przed oczami krwawe sceny z koszmaru.

– Nie śpię – szepnęłam, roztrzęsiona. Czułam usta Vance’a na szyi, jego rękę na moim brzuchu.

– Już dobrze.

– Musisz pogadać ze specjalistą o tych cholernych koszmarach – wymruczał w moją skórę.

We śnie powracały do mnie tamte wydarzenia. Czasem ja strzelałam komuś w głowę, czasem ktoś strzelał do mnie, ale zawsze była to krwawa jatka.

– Jak te wszystkie akcje się skończą.

– Obiecuj mi, Jules – zażądał.

Przysunęłam się, wtulając tyłek w jego krocze.

– Obiecuję.

Zapadła cisza i spodziewałam się, że Vance zaśnie, co robił zawsze po obudzeniu mnie z koszmaru.

Ale nie dzisiaj.

– Zrobiłaś to, bo taka właśnie jesteś – a ja, nawet gdybym mógł, nic bym w tobie nie zmienił. Zrobiłaś to dla Roama. Zrobiłaś to, żeby przeżyć.

– Wiem – odparłam cicho.

Vance przytulił się mocniej. Nie podejrzewałam, że to możliwe, ale jednak.

– To był bydlak, księżniczko – szepnął w moje włosy. – Gdybyśmy razem z Lukiem zjawili się chwilę wcześniej, gdybyśmy dorwali go, zanim padły strzały, jeden z nas by go zabił. I do żadnego z nas nie wracałoby to w koszmarach.

– Wiem – powtórzyłam.

– Chwilę wcześniej zamordował Cordovę. Pobił Roama i jego też chciał zabić. Zrobiłaś to, co

musiałaś.

Zacisnęłam mocno powieki.

– To przeze mnie się mścił.

– Odstrzeliłaś głowę jego siostrze na jego oczach? – spytał twardo Vance.

Zastygłam, gdy dotarło do mnie, co powiedział.

– Oczywiście, że nie – wyszeptałam.

Przekręcił mnie na plecy, a potem oparł się na łokciu i spojrzał na mnie.

– Oblewałaś samochody dilerów olejem roślinnym. Rzuciałaś bomby dymne. Odwet za coś takiego to nie morderstwo.

Miał rację.

– Masz rację – powiedziałam. – Konkretnie rzepakowym – rzuciłam lekko, dla odprężenia.

Vance nie miał zamiaru się odprężyć.

– Jakie były inne opcje tamtej nocy? – spytał spokojnie, a ja zamrugałam.

– Słucham?

– Dobrze strzelasz. Mogłaś go zostawić przy życiu, chociaż on strzelał, żeby cię zabić. Gdybyś chciała go tylko zranić, co by się stało?

– Strzeliłby mi w głowę.

– A potem Roamowi – docisnął Vance. Zadrżałam.

– Zgadza się – szepnęłam.

– Co oznacza, że Sniff zostałby sam. Bez ciebie i Roama.

Nie dałam rady znieść tej wizji, odsunęłam ją od siebie od razu.

Vance mówił dalej.

– A ja nie miałbym ciebie, a ty nie byłabyś w ciąży z naszym synem.

– Córką – poprawiłam od razu.

– Nieważne, jakiej jest płci, ważne, że jest. Nasze. I że przyjdzie na świat, bo w ułamku sekundy podjęłaś dobrą decyzję i wsadziłaś łajdakowi kulkę w łeb.

– Crowe...

– I nieważne, że był skurwielem, ciebie nadal dręczą koszmary z jego powodu – i w jakimś stopniu kocham cię również za to. – Przynął usta do moich ust. – Ale, Jules, teraz już dość. Teraz musisz odpuścić.

Tu też miał rację.

Nie znosiłam, kiedy miał rację.

Uwielbiałam za to, gdy mówił, że mnie kocha.

– Kocham cię – powiedziałam, też w jego usta.

Poczułam, jak się uśmiecha.

– To dobrze, skoro jesteście małżeństwem, a ty masz urodzić nasze dziecko.

Pocałował mnie szybko, przekręcił na bok, tyłem do siebie, i przytulił się do mnie całym ciałem.

I znów położył rękę na moim brzuchu.

Prawie zasypiałam, gdy odezwał się cicho:

– Gdyby coś ci się stało, byłbym jak Nick.

Wiedziałam, co to znaczy.

Mój wujek Nick nigdy nie otrząsnął się po śmierci cioci Reby. Jakoś żył i nawet cieszył się życiem, kochał mnie, szanował i lubił Vance'a. Tworzyliśmy małą rodzinę. Ale światło w nim zgasło, kiedy ona umarła, i już nigdy nie powróciło.

Wiedziałam, że z Vance'em stałoby się to samo. Wiedziałam, jak bardzo mnie kochał. Wiedziałam to od zawsze.

– Wiem – szepnęłam.

– Doświadczałem tego sześć godzin, gdy leżałaś na sali operacyjnej. I nie chcę tego czuć nigdy więcej.

– Vance...

– Nie chcę tego czuć nigdy więcej, Jules.

– Dobrze.
– Podjęłaś słuszną decyzję, gdy strzeliłaś, żeby go zabić.
Splotłam nasze palce, ścisnęłam mocno.
– W porządku.
– Teraz śpij.
Westchnęłam i burknęłam bez złości:
– A ty nie mów mi, co mam robić.
On też ścisnął mi dłoń, ale nie odpowiedział.
Zasnęliśmy.
A mnie już nie śniły się krwawe koszmary.
Nigdy więcej.

Rozdział 25

Będziemy się klócić codziennie

Stella

Obudziłam się, gdy Mace i Juno położyli się na łóżku. Spałam tak mocno, że nie poczułam, jak Juno zeszła z materaca, jak Mace wrócił do domu, otwierał drzwi, kręcił się po mieszkaniu.

Spałam jak zabita, bo poprzedniej nocy, gdy Tex zniknął, nie zmrużyłam oka. Co gorsza, Mace'a nie było całą noc i zadzwonił dopiero rano, że z Texem wszystko w porządku, a Bobby przyjedzie po mnie i zawiezie mnie do księgarni.

– Mace? – zapytałam ochryple zaspanym głosem.

– Tak, skarbie. – Leżał na plecach i przekręcił mnie do siebie.

Objął mnie w talii, a ja położyłam mu głowę na ramieniu.

– Która godzina?

– Po północy.

– Wszystko w porządku?

– Z tego, co wiem.

– A wiedziałbyś?

Przytulił mnie mocniej.

– Wiedziałbym.

Położyłam rękę na jego torsie i wtuliłam się w niego.

– Chcesz pogadać? – wymruczałam w jego ramię, na granicy snu.

– Gdybym miał odrobinę energii, kociątko, zużyłbym ją na seks, nie na gadanie.

Najlepszy dowód, że Shirleen miała rację.

Już odpływając w sen, wymruczałam jeszcze, na wpół świadomie:

– Kocham cię, Kai.

I nie poczułam już, jak jego ciało zastygło, gdy nazwałam go jego prawdziwym imieniem.

– Kociątko – szepnął mi do ucha i potrząsnął mną.

Otworzyłam oczy. Był ranek.

W nocy zmieniliśmy pozycję, ja leżałam tyłem do niego, on wtulał się w moje plecy.

– Stella – powiedział, potrząsając mną trochę mocniej, ale wciąż delikatnie.

Zamrugalam.

– Nie śpię.

– To wielki dzień i dużo do zrobienia. Ale wpieryw musimy pogadać.

Tak, to był wielki dzień.

Ślub Lee i Indy.

Ponieważ byłam zaproszona na ślub i wieczór panieński, który miał się odbyć poprzedniego wieczoru, na ten weekend nie ustawiałam żadnych koncertów.

A ponieważ wszystkim groziło morderstwo albo porwanie, Lee odwołał swój kawalerski oraz panieński Indy.

Impreza Lee miała się odbyć w Lincoln's Road House, impreza Indy w klubie striptizowym Smithiego.

Odwołanie wieczoru panieńskiego stanowiło problem.

Ally dostała szału, gdy jej brat odwołał imprezę, którą planowała od miesięcy. Ogłosił to, gdy już wszyscy przyjechali do księgarni zobaczyć na własne oczy, że Tex żyje. Usłyszeliśmy nowiny z pierwszej ręki i staliśmy się świadkami ostrego starcia.

Jako jedynaczka zawsze pragnęłam mieć rodzeństwo – do chwili, gdy zobaczyłam kłótnię Ally

i Lee.

W pewnym momencie wtrącił się Hank, próbując zadziałać dyplomatycznie. Nie udało się i jedynie dołał oliwy do ognia.

Potem odezwali się Eddie i Indy, dorzucając tam prochu.

A my patrzyliśmy, jak na siebie wrzeszczą, wyciągając sprawy tak stare, że nikt z nas nie wiedział, o czym jest mowa.

Padaly pretensje o imprezę z piwem, którą Indy i Ally urządziły w liceum i która skończyła się tym, że Hanka, Lee, Dariusa i Eddiego zgarnęła policja. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że Hanka omal nie wywalili za to z uniwerku, o co miał żal nawet teraz, po latach.

– Nie zmieniliście się ani o jotę! – krzyczał Eddie do obu dziewczyn.

– I dobrze! – odwrzasnęła mu Ally.

Stała z rękami na biodrach i od razu przypomniało mi się, co Mace mówił o kobietach, rękach na biodrach i kłótniach.

– Powiem ci coś, śliczna: nigdy nie podobał mi się pomysł waszej imprezy. Ty, Ally i rockowe laski stanowiłyście chaos nawet w najlepszych czasach, do których nam cholernie daleko. Jestem, kurwa, szczęśliwy, że mam powód, by ją odwołać – powiedział Lee do Indy.

Indy wypuściła powietrze i zwróciła się do mnie:

– Powiedz mi, że właśnie tego nie powiedział.

Mace szepnął mi do ucha:

– Tylko się nie odzywaj.

– Ja cię sunę! – zadudnił Tex. – Jak ja się cieszę, że mnie jednak nie zajebali! Gdybym nie żył, tobym teraz tego nie widział!

– Urządzimy przyjęcie, jak wrócić z miesiąca miodowego. – Daisy próbowała pełnić funkcję negocjatora.

– Jet nie przyjdzie – oznajmił Eddie.

Oho.

– Słucham? – odezwała się Jet, która do tej pory milczała.

– Ani Roxie – dorzucił Hank.

Oho, ho!

– Przepraszam? – Roxie zmrużyła oczy.

– Ojej – szepnęła Lana, stojąca obok mnie.

– Nie idziesz – powtórzył Eddie do Jet.

– Słyszałaś – odezwał się Hank do Roxie.

– Trochę mnie przerażają – szepnęła Chloe, która stała obok Lany z drugiej strony.

Nie słyszeli jej i byli już w takiej fazie, że bez mrugnięcia powieką wciągnęli Roxie i Jet w kłótnię, szybko dochodząc do punktu, w którym zaczęłam się bać, że dach Fortnum wyleci w powietrze.

– Cisza! – wrzasnął zniecierpliwiony Darius. Wszyscy zamilkli i spojrzeli na niego. – Jezu, nigdy się nie nauczycie, co? – spytał.

Odwrócił się i wskazał Mace'a.

– On już wie. – Potem wskazał Vance'a. – On również. – Zwrócił się do Jules. – Ona też się już dowiedziała. I wszyscy cholernie dobrze wiecie, że ja też wiem. A wy musicie się, kurwa, wreszcie nauczyć, że życie jest za krótkie na takie bzdury.

Podszedł do Indy i Lee.

– Kochacie się w sobie od dziecka, jutro bierzecie ślub. A dzisiaj co? Dzisiaj się kłócicie? I o co?

Lee patrzył nieruchomo, Indy spojrzała w podłogę. Darius mówił dalej.

– Eddie ma rację. Ale nie tylko Indy i Ally się nie zmieniły. Żadne z was się nie zmienia.

– Wskazał wszystkich ręką. – Mieliście, kurwa, tyle szczęścia, przy całym tym gównie, które się działo, że nie nauczyliście się tego, co my już wiemy? – zapytał, wskazując ich jeszcze raz i uderzając się w pierś. – Radujcie się, do kurwy nędzy! – dokończył i popatrzył na Texa. – Cieszę się, że żyjesz, wielkoludzie.

A potem odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– On mnie też przeraża – wymruczała Chloe.

Stłumiłam chichot.

Indy przygryzła wargę i spojrzała na Lee.

– Możemy porozmawiać... na osobności?

Twarz Lee złagodniała, objął Indy i zniknęli między regałami z książkami.

Tak samo Hank z Roxie i Eddie z Jet.

Ally spojrzała na pozostałych.

– Czyli jestem idiotką. Żadna nowina – oznajmiła.

– No i proszę, koniec kolejnej kłótni białych – oznajmiła Shirleen.

– Ty! – huknął Tex i wskazał palcem Lanę. – I ty też! – Wskazał Chloe. – Uczcie się szybko, że tu nigdy nie ma nudy.

– Zaczynam to rozumieć – odparła Lana, a jej usta drżały od śmiechu.

Wszystko się uspokoiło. Faceci wyszli załatwiać swoje sprawy, a my z Todem, Steviem, Dukiem i Texem zostaliśmy w księgarni, rozmawiając, plotkując i robiąc niewielkie poprawki, uwzględniające Lanę i Chloe na weselu.

– Och, nie, nie możemy – protestowała Chloe. – Prawie was nie znamy.

Indy uśmiechnęła się do niej.

– Rodzina to rodzina, a czy wam się to podoba, czy nie, zostańcie rodziną, wsiadając do samolotu.

To było bardzo miłe; Lana i Chloe już nie protestowały.

W ramach wieczoru panieńskiego zamówiliśmy pizzę, a Tod i Stevie wyskoczyli po piwo. Jedliśmy pizzę i piliśmy piwo, plotki przerodziły się w rozmowę o seksie, ale przy Lanie i Chloe nie wychylałam się za bardzo. Nie piły piwa (nieprzyzwyczajone do picia na tej wysokości), ale dowiedziałam się, że pięć lat temu Chloe wyszła za Bena, który był świetnym facetem (pod wieloma względami). Lana była singielką, zadowoloną ze swojego statusu.

Wkrótce rozmowa o seksie przeszła w Yahtzee.

Piliśmy piwo, graliśmy w Yahtzee, aż koło dziesiątej eskorta przyjechała odwiedzić nas do domu.

Przytuliłam się teraz do Mace'a i wymruczałam:

– Muszę się dostać do Zamku. Nie jestem druhną, ale mam być na przygotowaniach do ślubu.

– Nie ma problemu, ale najpierw porozmawiamy i będziemy się pieprzyć. Zaczniemy od rozmowy – odparł Mace, a ja od razu zauważyłam dwie rzeczy.

Pierwsza, że znów się rządził.

Druga, że mówił poważnie.

Bardzo poważnie.

Dlatego zamiast się wkurzyć, zeszywniałam i odwróciłam się do niego.

Odchyliłam głowę, przyjrzałam się: tak, był cholernie poważny.

Mój oddech poczuł ducha przygody i wyruszył szlakiem Inków.

– Coś się stało? – spytałam.

– Powiedziałaś, że widziałaś gazety.

– Słucham?

– Wtedy, za kulisami – powiedziałaś, że widziałaś gazety.

Zamrugłam oczami.

– No i co?

– Skoro widziałaś gazety, zanim opowiedziałem ci o Malutkiej, to znaczy, że wiedziałaś już wszystko.

– I jesteś o to zły?

– Tak i nie.

– A dlaczego „tak”? – zapytałam z wahaniem.

– Stałaś tam i słuchałaś całej historii, jakbyś nic nie wiedziała.

– Bo nie znałam jej całej?

– Części, której nie znałaś, nie zna nikt prócz chłopaków. A jednak zachowywałaś się tak, jakbyś nic nie wiedziała.

– Bo były tam również rzeczy, o których nie wiedziałam? – próbowałam dalej.

– Zachowywałaś się, jakbyś nie miała pojęcia o niczym.

– Mace...

Objął mnie jedną ręką, przyciągnął do siebie i przysunął twarz do mojej.

– Kociątko, jeśli to ma zadziałać, nie okłamuj mnie. Nigdy. Rozumiesz?

Zamrugłam oczami.

No chwileczkę.

– To były wyjątkowo wyjątkowe okoliczności – broniłam się.

– Zgadza się i dlatego nie jestem zły, i odpuszczam ci, że ściągnęłaś tutaj mamę i Chloe bez mojej wiedzy.

Zamrugłam. Tak, znowu.

Odpuszcza mi...

– Mace...

– Koniec rozmowy. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. I chyba mnie zrozumiałaś.

O, zrozumiałam go jak cholera.

Odwrócił się do mnie, ale ja odsunęłam się i zerwałam z łóżka. Stałam z boku, w majtkach i podkoszulce, z rękami na biodrach i miażdżyłam go wzrokiem.

Tak, byłam wkurwiona.

Cholernie dużo mnie kosztowało, żeby to wszystko zrobić, a teraz on...

– W życiu nie przypuszczałam, że kiedykolwiek to powiem, ale ja pitolę: jak śmiesz?!
– wrzasnęłam.

Juno podniosła się i szczeknęła.

Mace uniósł się na łokciu i patrzył na mnie zmrużonymi oczami.

– Wracaj do łóżka – warknął.

– Pierdol się! – wrzasnęłam.

– Wracaj, kurwa, do łóżka.

– Nie rozkazuj mi, Kaiu Masonie!

– Jeszcze jedno. – Jego głos wibrował gniewem. – Nie mów do mnie Kai.

– Jeśli nie odwołasz tego, co powiedziałeś, w ciągu trzech sekund, w ogóle nie będę do ciebie mówić! – odpaliłam i już miałam sobie pójść, bo tak, cholera, chciałam sobie pójść, ale nie zdążyłam.

Mace złapał mnie za nadgarstek, pociągnął mocno i znalazłam się znowu w łóżku, Mace na mnie.

Juno szczeknęła znowu i zeskoczyła.

– Nigdzie nie idziesz – warknął.

– Zrobię, co będę chciała.

– Jak mamy nieporozumienie, rozmawiamy i ogarniamy to. Nie odchodzisz.

– Może tego nie widzisz, *Kai*, ale to nie jest nieporozumienie. To jest kłótnia.

– Dobrze. Kłócimy się, rozmawiamy i ogarniamy. Powtarzam, nie odchodzisz.

– A ja ci powtarzam, że będę robić, co zechcę!

Był wściekły, myślałam, że eksploduje, ale zamiast tego pochylił się i pocałował mnie.

To był cholernie namiętny pocałunek. Rozpalony kłótnią i tak mocny, że chwilę później całowaliśmy się i dotykaliśmy już wszędzie, a złość przerodziła się w coś innego. Coś, co było super.

Mace ściągnął ze mnie majtki, ja zrzuciłam koszulkę.

Na szczęście, on już był nagi.

Potem jego usta wędrowały po moim brzuchu, rozsunał mi nogi i jego język znalazł się dokładnie tam, gdzie chciałam.

Ależ on był w tym dobry. Gdybym miała skatalogować jego talenty, seks oralny znalazłby się na pewno na szczycie listy. Nic też dziwnego, że bardzo szybko zaczęłam jęczeć i dyszeć.

Wtedy podniósł się nade mną, myślałam, że we mnie wejdzie, ale nie. Położył mi rękę między nogami, ale nic więcej. Nie pieścił mnie palcami, nie poruszał się, po prostu trzymał tam dłoń. Poczułam

jego usta na szyi.

– Czego chcesz? – spytał ochryple.

Nie wahałam się, nie mogłam. Byłam już nakręcona.

– Chcę, żebyś mnie rznął – wytchnęłam.

– Poproś – zażądał, a ja od otworzyłam szeroko oczy.

– Nie.

Podniósł głowę. Patrzył mi prosto w oczy i poruszył palcami.

Wsunął jeden we mnie, wysunął i wsunął znowu.

I powtórzył.

– Poproś mnie, kocie.

– Nie – powtórzyłam, ale już brakowało mi tchu.

Nadał poruszał dłonią.

Przesunął usta na moje i wyszeptał:

– Poproś mnie, skarbie.

Nie mogłam się oprzeć jego dłoni, równie mistrzowskiej jak jego język.

I wyszeptałam.

– Zerznij mnie, Mace:

Jego dłoń znieruchomiła, a mój mózg się wyłączył.

– Powiedz to jeszcze raz.

Powiedziałam.

A on zsunął się ze mnie.

Nie zdążyłam zareagować, bo przekręcił mnie na brzuch. Spojrzałam przez ramię: klęczał za mną, spozjrzał mi w oczy, uniósł moje biodra i wbił się we mnie.

O ja pitole.

Jakie to było boskie.

Odrzuciłam głowę i wyjęczałam:

– Tak...

Trzymał mnie rękami za biodra i wbijał się we mnie raz po raz. Prawie dochodziłam, gdy wyszedł ze mnie.

Zaprotestowałam głośno, a on opadł na plecy i wciągnął mnie na siebie.

– Mace... – wykrztusiłam, a on ugiął moje nogi w kolanach tak, że teraz go dosiadałam. Podniósł mnie i wbił się we mnie w tej samej chwili.

Spojrzałam w dół.

Boże, jaki on był piękny.

– A teraz, kociątko, ty zerznij mnie – zażądał gorącym szeptem.

Zrobiłam to bez wahania.

Tak mocno, ostro i szybko, jak tylko mogłam.

Odrzuciłam głowę, gdy przyszedł orgazm, a Mace przekręcił mnie na plecy i skończył, wbijając się we mnie mocno. Drugi orgazm pojawił się na fali pierwszego.

Gdy skończył, opadł na mnie, poruszając się jeszcze, delikatnie wciskając biodra między moje nogi. Zamruczałam.

W końcu przestał, przyjmując taką pozycję, że nie czułam jego ciężaru. Jedną ręką gładził mój bok, od biodra do pachy, i leżał, z twarzą w mojej szyi.

– Uwielbiam się z tobą kłócić, skarbie – powiedział w moją skórę.

O nie.

Zaraz mnie wkurzy.

– Nie wkurzaj mnie – wygłosiłam w sufit.

Mace uniósł głowę – uśmiechał się.

– Trzeba się było więcej kłócić rok temu. Nigdy bym cię nie zostawił.

– Wkurzasz mnie – ostrzegłam.

– Teraz zamierzam kłócić się codziennie.

– Mace...

Przysunął do mnie twarz, musnął moje usta.

– Zapomniałem już, jak bardzo lubię cię na kolanach – wymruczał. – Twój zajebisty tyłek tuż przede mną.

– Mace... – spróbowałam znowu.

– Zmieniam zdanie – poinformował mnie lekko, przesuając usta na mój policzek. – Wkrótce będziesz sławna i każdy będzie pragnął tego, co właśnie mam. – Znow poruszył biodrami, a ponieważ nadal był we mnie, a ja byłam bardzo wrażliwa, zamruczałam odruchowo, krótko, ochryple. Przesunął dłonią po moim boku, ujął pierś. – A to jest moje – szepnął w mój policzek i przesunął usta w stronę ucha. – To wszystko jest, kurwa, moje.

I choć podobało mi się, co mówił, i to bardzo, uznałam, że nie mogę się dekoncentrować.

Dlatego oznajmiłam:

– Wciąż jestem na ciebie zła.

Podniósł głowę, nadal się uśmiechając.

– Nie mam z tym problemu.

Aha. Nie zaczynałam być wkurzona. Już byłam wściekła.

Pchnęłam go mocno; wysunął się ze mnie i padł na plecy, ale czułam wyraźnie (co mnie również wkurzało), że pozwolił mi na to. Odsunęłam się w drugą stronę, ale on złapał mnie za biodra i przerzucił tak, że teraz leżałam na nim.

Odepchnęłam się, ale trzymał mnie mocno w talii, długie nogi splatając z moimi.

– Powiedz, o co chodzi – zażądał, ale tym razem patrzył łagodnie i mówił cicho, a ponieważ nigdy nie radziłam sobie z takim zestawem, poddałam się.

– Rockowe laski postanowiły interweniować tego ranka, gdy Shirleen postrzeliła włamywacza. Bały się, że z nami koniec, i postanowiły powiedzieć mi wszystko o Caitlin. Próbowałam je powstrzymać, ale nim zdołałam, dowiedziałam się o jej ręce.

Mace spiął się, ale mówiłam dalej.

– Usłyszałam i zrobiło mi się niedobrze, dosłownie. Pobiegłam do łazienki i zwymiotowałam śniadanie.

Czułam, jak się wzdrygnął, w jego oczach pojawiło się ciepło.

– Kociątko – wymruczał, ale ja pokręciłam głową na znak, że nie skończyłam.

– Wiedziałam, że kiedyś w końcu mi powiesz, ale chciałam być silna, gdy będę tego słuchała. Nie chciałam robić hysterii, chciałam być spokojna, dla ciebie. Dlatego namówiłam Duke'a, żeby opowiedział mi całą historię. Nie chciał, ale uległ. Potem pokazali mi gazety.

Mace przekreślił mnie na plecy i teraz leżał trochę na mnie, a trochę z boku. Opierał się na łokciu, drugą rękę trzymał na moim brzuchu.

– Trzeba było mi o tym wszystkim powiedzieć – zauważył łagodnie.

Pokręciłam głowę.

– Nie chciałam, żebyś wiedział. Że nie dałam rady. Chciałam cię spokojnie wysłuchać.

Dotknął koniuszkami palców mojej skroni, delikatnie wsunął je we włosy.

– Doceniam to – wymruczał. Pochylił się, żeby mnie pocałować, ale ja odsunęłam się na bok. Ściągnął brwi. – Nadal jesteś wkurzona?

– No raczej – odparłam tonem, który nie pozostawiał wątpliwości.

– Czemu?

– Ja cię nie zmuszam, żebyś tłumaczył mi się z każdego ruchu. Ja cię nie rozstawiam po kątach. Ja ci ufam.

Odchylił głowę.

– Czy nie spędziłem właśnie całego tygodnia, przekonując cię do powrotu, bo mi nie ufałaś?

Ja pitole.

Kompletnie zapomniałam!

„Osłona!”, wrzasnął mój mózg.

– Wtedy to było wtedy, a teraz jest teraz – wybrnęłam.

Patrzył na mnie chwilę i westchnął.

– Dobrze, kociątko. Chcesz się na mnie wściekać, to się wściekaj. Będę tu, jak ci przejdzie. Jakby to było takie proste.

Wstał, ubrał się, wziął smycz i gwizdnął na Juno. Przykryta prześcieradłem, leżałam na łóżku i patrzyłam. Gdy wyszedł, poszłam do łazienki i wzięłam prysznic.

Stałam przy umywalce w szlafroku, z mokrymi włosami i myłam zęby, gdy wszedł Mace.

Stanął za mną, objął mnie w talii i pocałował w szyję przy ramieniu.

Spojrzał na mnie w lustrze.

– Już się nie wściekasz?

Wściekałam się.

Ale spozjrzałam w jego piękne zielone oczy i zobaczyłam w nich niepokój i wesołość, jakby spodziewał się, że wciąż się wściekam, ale każda odpowiedź rozbawi go tak samo.

Myłam zęby, patrzyłam na niego w lustrze i dotarło do mnie, że czegoś mi brakuje.

W pierwszej chwili nie rozumiałam.

A potem mnie olśniło: nie trzymał gardy. Patrzył na mnie otwarcie.

I w jego oczach nie było już demonów.

Byliśmy tu tylko on i ja.

Na jego szyi wisiał mały pierścionek siostry.

Pożałowałam, że nie mogę odtańczyć triumfalnego tańca radości, świętując moje zwycięstwo nad demonami.

Wyjęłam szczoteczkę z ust i odpowiedziałam przez pianę z pasty:

– Już nie.

I dokładnie tak jak myślałam – roześmiał się.

Patrzyłam, jak się śmieje, nachyliłam się, wypłułam pastę i wypłukałam usta, pozwalając sobie w duchu na minitaniec radości.

Ha!

Gińcie, śmiecie!

Mace nadal stał za mną, obejmując mnie teraz obiema rękami.

– Nie trwało to długo – zauważył.

– Jesteś wkurwiający i apodyktyczny, ale też cholernie seksowny. Masz szczęście, że tak jest, bo inaczej bym z tobą nie wytrzymała – wygłosiłam. Ponieważ jednak wcale tak nie myślałam (nie do końca), wypadło to bez przekonania.

Pocałował mnie w szyję.

– Guzik prawda – mruknął.

Zignorowałam to i spytałam:

– Masz tutaj garnitur na ślub?

– Nie, frak jest w biurze. Podjedziemy tam po drodze do Daisy.

– Będziesz we fraku? – spytałam zaskoczona.

Wprawdzie ślub miał być wieczorem, ale...

– Będę drużbą – wyjaśnił, a ja wytrzeszczyłam oczy.

– Naprawdę?

– Tak jest.

Zamrugalam.

– Ale serio?

– Nie wiedziałas?

– Nie. Nie miałam pojęcia, nic nie mówiłeś.

– Indy ci nie wspomniała?

– Nie sypiam z Indy – wytknęłam mu.

– Myślałem, że wy kobiety gadacie o tym ślubie przez cały czas – odparł zaskoczony.

– Rozmawiamy o seksie i muzyce, czasami o ciuchach. Od ślubów mamy Toda.

Wyszczerzył się.

- Rozmawiacie o seksie?
- Tak. Eddie lubi mocno i ostro, Luke i Ava rozwalili biurko...

Skrzywił się.

- Nie chciałem tego wiedzieć.
- Zaintrygowana, odwróciłam się do niego.

- A wy chłopaki nie gadacie o seksie?

– Jasne, że nie.

- Żadnych rozmów w szatni?

– Nie.

- W pokoju monitoringu?

– Nadal nie. Nie rozmawiamy. Może dlatego, że wcale nie chcemy wiedzieć.

- Ale rockowe laski są seksowne. Myślałam, że wszyscy się przechwalacie.

– Nie potrzebujemy się tym przechwalać.

- Dlaczego?

Spojrzał wymownie, objął mnie mocniej.

- Skarbie – powiedział tylko.

Teraz ja się wyszczerzyłam. Miałam zamiar się z nim podrażnić.

- Indy mówi, że Lee jest świetny w seksie na blacie w kuchni.

Zmarszczył brwi.

- Nic nie mów.

– Podobno Vance jest bardzo kreatywny w kwestii pozycji, może porozmawiajcie kiedyś, wymienicie pomysły...

- Stella...

– Hank oświadczył się Roxie, jak był w niej – dorzuciłam.

- Cicho – warknął.

– Daisy i Marcus...

Nie dokończyłam.

Pochylił się, przerzucił mnie na ramię i wyniósł z łazienki. Rzucił mnie na łóżko, wrócił do łazienki, trzasnął drzwiami i przekręcił zamek.

Zaśmiałam się do siebie.

Juno położyła się przy mnie i trąciła mnie nosem w łydkę.

- To było śmieszne – powiedziałam jej.

Szczeknęła.

Podrapałam ją po głowie i spojrzałam na miskę.

- Mace, nie nakarmiłeś Juno!

– Ja z nią wychodzę, ty ją karmisz! – odkrzyknął i włączył prysznic.

Uśmiechając się do siebie, nakarmiłam psa, a potem zrobiłam kawę i gofry dla Mace'a.

Rozdział 26

Coś pożyczonego

Stella

Siedziałyśmy w jadalni Daisy wokół stołu, zavalonego wszystkimi możliwymi akcesoriami kosmetycznymi. Kremy nawilżające, cienie, podkłady, sztuczne rzęsy, bronzer, puder rozjaśniający, suszarki do włosów, prostownice, lokówki, szczotki, grzebienie, spinki, wsuwki, lakiery, żele, mus, pomada, wosk i tak dalej.

Indy siedziała i piła latte, którą Tex przywiózł jej z księgarni, dzisiaj zamkniętej. A potem się zmył, był umówiony „z chłopakami” na lunch.

Spokojnie i na luzie rozmawiała sobie z mamą Lee, Kitty Sue, mamą Roxie, Trish (która przyjechała na ślub aż z Indiany), z mamą Eddiego, Blanką, mamą Jet, Nancy, a także żoną Duke’a, Dolores, z Laną i Chloe.

Miała na sobie piękne blad różowe kimono z wielkim kwiatem z tyłu, prezent ślubny od Roxie, Jet, Avy i Jules, włosy zawinięte w ręcznik. Odchyłała się na oparcie, założyła nogę na nogę.

Panował ogólny spokój i luz.

Daisy przygotowała na lunch wielki zimny bufet, pokój dekorowały bukiety, już dostarczone, w tych samych kolorach, co ślubna wiązanka Indy: białe róż i biel, gerbery, róże i piwonie. Nie poszła w rock and roll; w tle leciała delikatna muzyka Chopina.

Daisy płynęła przez pokój w szlafrocжку (włosy zebrane do tyłu szeroką opaską, brak makijażu) i dolewała szampana wszystkim, którzy chcieli się napić.

W pewnym momencie do pokoju wpadł Tod – w pięknie skrojonym granatowym garniturze, różowej koszuli, różowym krawacie i z udręczonym wyrazem twarzy. Jego lśniące skórzane pantofle stuknęły na deskach podłogi, gdy podbiegł do nas.

Jego dramatyczne wejście zakłóciło kobietę sielankę.

Stevie, też w pięknym garniturze, wszedł już bardziej spokojnie.

Tod wziął dwa głębokie wdechy, podniósł ręce (w jednej ścisnął podkładkę z notatkami) i zaczął mówić:

– Dobra. Dobra. Raport. Przed chwilą wróciłem z klubu. Zaczynają przygotowywania. Mają obrusy w odpowiednim kolorze, florystka już tam była. Zadzwoniłem do niej, żeby nie przywoziła kwiatów jeszcze przez godzinę, bo mogą opaść. Przysięgła mi, że nie przyjedzie za wcześnie. Zapowiedziałem jej, że przed naszym przybyciem o siódmej musi koniecznie przyjechać jeszcze raz do klubu i osobiście sprawdzić, czy nie opadł choć jeden płatek.

Gdy przerwał i nabrał tchu, Ally poradziła:

– Tod, uspokój się, wypij szampana.

Tod spojrzał na nią szybko.

– Nie widzisz, że jestem w trakcie raportu?! – wrzasnęła, a potem wrócił do Indy i spytał absolutnie spokojnym tonem: – Na czym skończyłem?

Indy wyglądała, jakby się martwiła, że głowa Toda zacznie obracać się wokół własnej osi, i powiedziała łagodnie:

– Na opadających płatkach.

– A, prawda.

Spojrzał w notatki i mówił dalej, odhaczając kolejne punkty.

– Tort już przyjechał, właśnie go składają. Wygląda pięknie. Idealnie. Catering i obsługa powiadomieni o przybyciu Lany i Chloe. – Spojrzał na nie, mówił dalej, wskazując długopisem to jedną, to drugą. – Siedzicie razem z krewnymi rockowych lasek spoza miasta. Trish i Herb się wami zajmą, ale na wszelki wypadek przesadziłem do was też Stellę.

Kontynuował raport, nie pomijając absolutnie niczego, nawet stanu asfaltu na podjeździe do

Cherry Hills Country Club, w którym Daisy i Marcus (jako członkowie klubu) urządzali wesele.

– Dzięki Bogu załatali dziurę w asfalcie, którą zauważyłem w zeszłym tygodniu.

– Tod, kotku, czy właśnie powiedziałaś, że załatali dziurę w asfalcie? – odezwała się Trish.

– Tak, dzięki Bogu.

Trish pokręciła głową.

– Synu, jak mawiała nastoletnia Roxie do swego ojca: weź wyluzuj.

Tod spojrział na Trish zmrużonymi oczami, a my wstrzymaliśmy oddech.

– Wszystko musi być idealnie – rzucił ostro.

– I będzie. Ciężko na to pracujesz od miesięcy. A teraz ciesz się owocami swojej pracy.

– Wskazała bufet. – Nałóż sobie kurczaka. Mówię ci, w ustach się rozplywa.

– Trish, jest jeszcze milion rzeczy do sprawdzenia! – odpalił Tod.

– Nic, czegoś byś już nie sprawdził, i to nie raz – odparła spokojnie.

– No tak, ale...

Nachyliła się do niego.

– Tod, powiem to tylko raz. Siądź na tyłku, odpręż się i zrób to, czego twoja przyjaciółka naprawdę się po tobie spodziewa. – Wskazała Indy ruchem głowy. – Ciesz się jej wielkim dniem razem z nią, nie lataj dookoła jak kurczak z odciętą głową. – Spojrzała na Nancy. – Jezu, co z tymi młodymi dzisiaj?

Nie odrywaliśmy od nich wzroku, czekając, co będzie dalej.

Stevie usiadł przy stole i zawołał:

– Daisy, napiłbym się szampana.

– Jasne, kotek. – Daisy już szła do niego.

– Nalej również Todowi – dodała Indy.

– Się robi!

Indy odstawiła swoją latte, wstała i podeszła do Toda. Objęła go i szepnęła mu coś do ucha. Tod spłonął się, miał łzy w oczach.

Indy stała tyłem do mnie, widziałam za to twarz Toda. Byłam za daleko, żeby usłyszeć, ale nie musiałam umieć czytać z ruchu warg, żeby wiedzieć, co jej powiedział.

„Ja też cię kocham”.

Brygada twardzieli

– Jeszcze jedna rundka, panowie? – spytała kelnerka, przechodząc.

Lee podniósł głowę i przytaknął.

Kelnerka zatrzymała się, wygięła biodro i rzuciła z uśmiechem:

– Lee, słońce, słyszałam, że dzisiaj już oficjalnie znikasz z rynku.

– Zniknąłem jakiś czas temu, Betty – odparł Lee.

– Serce mi pęka... – Rozejrzała się. – Panowie, padacie jak muchy. – Spojrzała na Hectora, Dariusa, Williego i Mace'a. – Dobrze, że zostało nam jeszcze czterech.

– Trzech – poprawił Mace.

– Och, właśnie mnie dobiłeś! – Uśmiechnęła się. – Widziałam gazety; najwyższa pora, żebyś przejrzał na oczy co do Stelli.

Ekipa NI, a także Hank, Eddie i Tom oraz Herb, tata Roxie, Nick, wujek Jules, Willie i Duke siedzieli w Lincoln's Road House, czekając na lunch. Tex jeszcze nie dotarł.

Po słowach Betty rozległo się kilka śmiezków, niektórzy odwrócili wzrok, inni popatrzyli w stolik.

Mace nie odpowiedział. Betty знаła go od lat, więc niczego innego się nie spodziewała. Mrugnęła do niego i poszła przynieść piwo.

– Nie przeszkadzają ci ustalenia? – zwrócił się Malcolm do Lee.

– Nie, tato. Nie przeszkadza mi osobista ochrona w postaci połowy policji Denver, która będzie się objadać na koszt Indy i potajemnie wynosić żarcie.

– To nie Indy płaci za catering, lecz ja – wtrącił się Tom. – I za tę cenę radzę wam jeść, ile wlezie, i cieszyć się każdym kęsem.

– Powiedz mi, że to będzie stek z ziemniakami – mruknął Bobby.

– Chciałbyś. Nie pamiętam dokładnie, ale coś zawiniętego w ciasto filo.

– Co to, u diaska, jest ciasto filo? – wybuchnął Herb.

Tom wzruszył ramionami.

Herb spojrzął na Lee.

– Miałeś jakiś wpływ na menu?

Lee pokręcił głową.

– Miałeś jakiś wpływ na cokolwiek?

– Mam być w smokingu w Red Rocks o piątej i zabrać Indy do Cherry Hills Country Club o siódmej. Indy zapowiedziała, że jesteśmy tam do jedenastej, dopiero wtedy będziemy mogli spadać i pojechać do apartamentu w Brown Palace – odparł Lee. – To wszystko, co wiem. To wszystko, co chciałem wiedzieć.

Herb przeniósł wzrok na Hanka.

– Posłuchaj, synu. Ty się lepiej zaangażuj przy swoim ślubie. Poprosiłeś Roxie o rękę, więc pamiętaj o nas. Nie zapłacę za żadne cholerne ciasto. Stara dobra pieczeń wołowa, ziemniaki, może jakiś frymuśny zielony groszek i cholerny tort. Jasne?

– Roxie powiedziała mi, że Tod już robi dla niej ślubny album – wyjął Hank.

– Co to jest ślubny album? – chciał wiedzieć Eddie.

Hank wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem, ale zdaniem Roxie Tod ma już coś takiego dla Jet. – Eddie zamknął oczy, Hank popatrzył na Herba. – Gdyby Tod chciał zająć się ślubem, ja się wycofam. Roxie o tym wie.

– Wygląda na to, że ty jeden zrobiłeś to prawidłowo – rzucił Luke do Vance'a.

– A co żeś zrobił? – spytał go Herb.

– Ślub w urzędzie – odparł Vance.

Herb skinął głową.

– Bo zrobiłeś dziecko swojej dziewczynie. Jedyne sposob, żeby kobieta zgodziła się na cywilny. – Mężczyźni krztusili się ze śmiechu, a Herb spojrzął na Hanka. – To jest myśl, synu. Jedyne sposob, żeby uratować nas wszystkich. Zaczynj pracować nad dzieciakiem.

Hank, który właśnie napił się piwa, omal się nie zakrztusił.

Herb mówił dalej.

– Nic się nie martw. Masz na to moją zgodę.

Hank zerknął na Lee i wymruczał:

– Ja pierdołę.

Lee śmiał się już na całego, podobnie jak cała reszta.

Tex właśnie podszedł do stolika:

– Co przegapiłem?

Stella

Byliśmy w wielkiej sypialni Daisy: rockowe dziewczyny, Tod, Stevie i Kitty Sue.

Stylistki i wizażystki już poszły, drużny Indy (Ally, Roxie, Ava, Jet, Daisy, Jules i dwie przyjaciółki Indy, Marianne i Andrea) miały delikatny makijaż z różem na policzkach i piękne szyfonowe sukienki w kolorze bladego różu, z krótkimi welonami, kunsztownie udrapowane – wyglądały, jakby zsuwały się z ramion. Włosy upięte, zwisające loki, a w uszach perłowe wkręty z pojedynczym brylantem na dole; prezent dla druzhen od Indy.

Wyglądały jak w romantycznej współczesnej bajce.

Kto by pomyślał, że India Savage, rockowa laska, zapragnie romantycznego wesela?

Z drugiej strony, kochała się w Lee od czasu, gdy trzymał ją za rękę w czasie pogrzebu jej mamy, gdy miała pięć lat, więc ich historia była właśnie taką współczesną bajką.

Uczesałam się i umalowałam w jadalni, potem przebrałam w sukienkę w pokoju, który zajmowaliśmy z Mace'em wieki temu po tym, jak zostałam postrzelona.

Kupiłam tę sukienkę na długo przed całą tą sytuacją z Carterem, po dużym wpływie forsy z Palladium. Zakręciłam włosy, zostawiłam długie z tyłu, zebrałam z twarzy i upięłam z boku i na górze. Sukienka, wąska, z rozcięciem z przodu i bez ramiączek, miała kolor burgunda, czółenka ze spiczastym czubkiem, bez pięty i na obcasie, ufarbowane były pod kolor sukienki. Długi naszyjnik z granatami potraktowałam jak bransoletkę, kolczyki również miały granaty w kształcie łezki.

Siedziałam na łóżku między Jules i Jet, a Kitty Sue i Ally zakładały suknię na pannę młodą.

W odróżnieniu od stroju druhen suknia Indy nie była romantyczna i szyfonowa.

Była anielska.

Atlas w kolorze kości słoniowej, z dekoltem w szpic i większym wycięciem z tyłu. Przd i tył łączyły cienkie sznurki w kolorze atlasu. Dopasowana na górze, miała szeroki dół, rozcięcie z przodu i długi tren. Żadnych brylancików, pereł, koronek albo cekinów. Jediną biżuterię stanowiły pierścionek zaręczynowy, bransoletka z trzech rzędów pereł (prezent od Ally i Kitty Sue) i perłowe kolczyki mamy Indy.

Taką właśnie suknię nosiłby anioł.

Gdyby był seksowny, namiętny i rudowłosy.

Loki i fale spadały jej na ramiona i plecy (podobno Lee tak właśnie lubił najbardziej), makijaż był subtelny i elegancki.

Nie zakładała welonu.

Wyglądała pięknie i całe piękno emanowało z niej.

Kitty Sue stanęła i popatrzyła na nią.

Potem powiedziała cicho:

– Muszę tylko coś sprawdzić. – I spiesznie wyszła z pokoju.

Wszyscy patrzyliśmy w milczeniu.

Indy odwróciła się do Ally, położyła ręce na bokach i zapytała:

– Co myślisz?

Ally obejrzała ją jeszcze raz od stóp do głów, spojrzała jej prosto w oczy, powstrzymując łzy.

– Zajebioza – szepnęła.

Objęła Indy i uścisnęła mocno.

– Stare, nowe, pożyczone, niebieskie. Stare, nowe... niebieskie. – Tod ukradkiem sprawdzał swoją listę, mamrocząc do siebie. Nachylił się do Stewiego i wyszeptał: – Do licha, zapomnieliśmy o pożyczonym!

– Mężczyzna w pokoju! – zaanonsowała Shirleen, wprowadzając za sobą Mace'a już w smokingu.

Sam widok mojego boskiego chłopaka w smokingu wysłał mój oddech na wycieczkę statkiem na Karaiby.

Było jasne, że jeśli chodzi o drużbów, nie poszliśmy w romantyzm. To nie był przeciętny smoking, to był sexy smoking. Wszystko było czarne: smoking, koszula, jedwabny krawat. Żadnej muchy. I od razu było widać, że nie został pożyczony, był idealnie dopasowany.

– Przyszedł zabrać Stellę, Lanę i Chloe – zaordynowała Shirleen.

No tak. Miał nas zawieźć na ślub.

I mimo to dziwne, że go tutaj wpuściła.

Patrzyłam, zupełnie nieurazona, jak przygląda się nieruchomym wzrokiem pannie młodej.

– Shirleen! Nie możesz wprowadzać mężczyzny do sypialni pełnej szykujących się kobiet! – krzyknęła Daisy, chociaż wszystkie już byłyśmy ubrane. – Zwłaszcza jeśli jedną z tych kobiet jest panna młoda!

– Co? Przecież to Mace. Już zajęty. Nie przyszedł tu jej poderwać – odburknęła Shirleen.

Indy spojrzała na Mace'a w lustrze i uśmiechnęła się.

– Cześć, Mace.

Skinał jej głowę.

– Indy, kochanie, nie chcę cię denerwować, ale zapomnieliśmy o pożyczonym – odezwał się Tod.
– Co? – zdenerwowała się Daisy.
– Mamy stare: kolczyki jej mamy. Mamy nowe: bransoletkę od Ally i Kitty Sue. Mamy niebieskie: podwiązki, ale nie mamy pożyczonego – wyjaśnił.

– Cholera – mruknęła Ally.
Shirleen popatrzyła na Toda.

– To przecież proste. Niech weźmie coś od kogoś i będzie pożyczone. Do licha, może wziąć wsuwkę!

– Shirleen, ona nie ma upiętych włosów – przypomniała jej Ava.
Shirleen popatrzyła na Indy.

– Rzeczywiście...
– Pójdę po kasetkę z biżuterią, sprawdzę, co mam. – Daisy pobiegła do garderoby.
– Może być chusteczka. Ma ktoś chusteczkę? – zawołała Roxie.

Patrzyłam, jak wszyscy rzucili się szukać czegoś do pożyczenia, i prawie przegapiłam to, że Mace podszedł do Indy. Sięgnął rękami do szyi i łańcuszek z pierścionkiem znalazł się w jego dłoni. Zdjął pierścionek, wsunął łańcuszek do kieszeni spodni i stanął przed Indy. Wziął jej prawą rękę i założył pierścionek na mały palec.

Tylko Jet i ja to widziałyśmy. Zaczęłyśmy szybciej oddychać, ratując makijaż przed rozmazaniem; brzmiało to prawie jak hiperwentylacja.

Indy spojrzała na pierścionek, potem na Mace'a. Położyła mu rękę na bicepsie, nachyliła się do jego twarzy i uśmiechnęła.

Słońce wpadające przez okno rozświetliło łzy w jej oczach.
Jet i ja spojrzałyśmy na siebie, Jet wzięła moją dłoń i ścisnęła.

Patrzyłyśmy, jak Indy puszcza rękę Mace'a i przesuwając palcami pod okiem. Odwróciła się do pokoju i ogłosiła:

– Już w porządku. Odhacz pożyczone, Tod.

– Co? Gdzie? – spytał Tod, rozglądając się szybko i patrząc na podłogę, jakby spodziewał się tam królika.

Mace podszedł do mnie.

Nachylił się, wziął mnie za rękę i pociągnął.

– Chodźmy.

Gdy wyszliśmy na korytarz, zapytał:

– Gdzie są mama i Chloe?

– W jadalni, piją szampana z Trish, Dolores, Nancy i Blanca.

– O kurwa – mruknął.

– Co się stało?

– Trish. Rodzice Roxie są stuknięci. Tex przy nich wydaje się zupełnie normalny.

Zaśmiałam się.

– Zauważyłam.

Zeszliśmy na dół i byliśmy niedaleko jadalni, gdy wzięłam go za rękę i zatrzymałam.

Stanął, spojrzał na mnie, ale widać było, że chce iść.

– Skarbie, jestem drużbą, muszę...

– Kai, to, co właśnie zrobiłeś dla Indy...

Twarz mu stężała, odwrócił się do mnie całym ciałem.

A potem nachylił się i warknął:

– Mówiłem ci już: nie mów do mnie Kai.

Zamrugłam oczami. Po pierwsze, powiedziałam to odruchowo, po drugie, zszokowała mnie jego reakcja.

Zmrużyłam oczy, czując, jak mi skacze ciśnienie.

– Sorry, *Mace*, wyrwało mi się. Pomyślałam po prostu, że to, co zrobiłeś, było w stylu sympatycznego faceta o imieniu Kai, nie hardcora o ksywce Mace.

Wyrwałam mu rękę i ruszyłam przed siebie, przeklinając pod nosem jego humory, ale on chwycił mnie i wziął w ramiona.

– Ja pitole, znów się będziemy kłócić? – zawołałam, odchyliłam głowę i spojrzałam na niego.

A on w tej samej chwili mnie pocałował.

Głęboko, wolno i słodko.

A potem powiedział, wciąż z wargami na moich ustach:

– Musisz znaleźć dla mnie cierpliwość, kociątko. Nie jest mi, kurwa, łatwo.

Po tym wyznaniu ciśnienie mi się ustabilizowało.

Położyłam mu dłoń na policzku i powiedziałam cicho:

– Dobrze.

Przesunął wzrokiem po mojej twarzy i sukience, uściśnął mnie i wyszeptał:

– Skarbie, wyglądasz wspaniale.

Zerknęłam na jego smoking.

– To nic w porównaniu z tobą. – Wydostałam się z jego ramion, wzięłam go za rękę. – Chodźmy po twoje mamy.

Uniósł brwi i nie ruszył się, chociaż ciągnęłam go za rękę.

– Moje mamy?

Wróciłam do niego, stanęłam na palcach, położyłam mu ręce na piersi, musnęłam jego usta.

– Nie pytaj. Po prostu chodź.

Pokręcił głową, ale poszedł za mną do jadalni.

Rozdział 27

Wyznanie

Stella

Stałam w rogu z Avą, Lukiem, słuchając, jak Ava stara się nakłonić Luke'a do tańca (ponosząc klęskę) i patrzyłam na parkiet.

Nick, który był DJ-em na ślubie Indy, puszczał właśnie „Jump, Jive an' Wail” The Brian Setzer Orchestra, a Tom i Lana dawali popis na parkiecie.

Wiedziałam, że Lana umie się ruszać, ale Tom... To nie było po prostu boogie, to było odjechane boogie-woogie. Może nie był najmłodszy, za to silny. Obracał Laną, jakby ważyła tyle, co mokry ręcznik.

Zaczęli tańczyć zaraz po pierwszym tańcu Indy i Lee, Indy i Toma, Lee i Kitty Sue, i praktycznie nie schodzili z parkietu. Zastanawiałam się właśnie, co Mace powie na to, że jego mama kręci z tą Indy, gdy usłyszałam głęboki głos Luke'a:

– Stella?

– Mm? – wymruczałam, nie odrywając wzroku od Toma i Lany, a mój mózg produkował obrazy wściekłego Mace'a.

– Halo, Ziemia do Stelli, Stella, odpowiedz – wołała Ava.

Odwróciłam się do nich. Luke patrzył na mnie, Ava na parkiet.

– Myślisz, że Mace dostałby szału, gdyby coś zaszło między Tomem i Laną? – wypaliłam.

Teraz Luke spojrzał na parkiet, Ava na mnie.

– Kurde, nie pomyślałam – mruknęła Ava.

Luke przyjrzał mi się.

– Są dorośli. Czemu to ma być problem?

– Mace jest nieprzewidywalny – wyznałam.

Luke odchylił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem, jakby moje słowa były bardzo zabawne.

Nie były.

Patrzyliśmy na niego z Avą.

Gdy już mu przeszło, spojrzał na mnie swoimi ciemnoniebieskimi oczami i powiedział:

– Mace jest najbardziej opanowanym facetem, jakiego znam.

Teraz ja się na niego zagapiłam. Na pewno mówiliśmy o tym samym Masie?

– Najwyraźniej jeszcze nigdy go nie wkurzyłeś.

Luke zaśmiał się.

– Nie. Staralem się tego unikać.

– A jak myślicie, co Indy powie na Toma i Lanę? – odezwała się Ava i wszyscy znów spojrzeliśmy na parkiet.

Indy tańczyła z Malcolmem. Obrócił ją mocno, zderzyła się z Laną i obie prawie upadły. Tom objął szybko Lanę, Malcolm przyciągnął do siebie Indy. Kobiety popatrzyły na siebie, Indy parsknęła śmiechem i gestem przywołała Lanę. Zostawiły facetów i zaczęły tańczyć ze sobą.

– Chyba nie powinna mieć nic przeciwko – wymruczał Luke, a ja uśmiechnęłam się do Avy.

Ślub przebiegł bez najmniejszych zakłóceń, głównie dzięki idealnemu planowaniu Toda oraz za sprawą denverskich policjantów, którzy, wprawdzie poza służbą, ale w mundurach, sprawdzali na liście Toda nazwiska wszystkich gości i patrolowali Red Rocks Amphitheater, zapobiegając ewentualnym porwaniom albo postrzałom, które skutecznie zepsułyby ceremonię.

Indy i Lee brali ślub na górnym tarasie, gdzie jedyną dekorację stanowił krajobraz. Żadnych kwiatów, wstążek, wazonów, tylko rzędy krzeseł, romantyczne druhny, anielska Indy oraz panorama Denver i masyw czerwonych skał.

Perfekcja.

Można było w sumie zorganizować przyjęcie weselne tam, ale Indy i Tod uznali, że to zbyt

daleko od miasta i powrót taksówką może być problemem.

Indy twierdziła, że Lee nie był jakoś specjalnie przejęty „całym tym ślubem”, chyba jednak zmieniła zdanie, gdy Tom wprowadził Indy na taras. Miałam wrażenie, że na jej widok wciągnął całe nocne powietrze.

Szła, uśmiechała się do niego i wyglądała równie spokojnie jak przez cały dzień.

Lee się nie uśmiechał. Stał nieruchomo i wpatrywał się w nią z rozchylonymi ustami, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, ale miał zamiar porwać, wywieźć na bezludną wyspę i tam zerznąć, jak tylko dotkną stopami piasku.

Hank był świadkiem i stał obok Lee, za nim Eddie, Darius, Luke, Monty, Mace, Vance i Willie. Ally była świadkową, dalej stały Andrea, Marianne, Ava, Jet, Roxie, Daisy i Jules.

Lee nie oderwał wzroku od Indy, ani gdy Tom z nią podszedł, ani gdy pocałował ją po ojcowsku.

Ale gdy Tom włożył dłoń Indy w jego rękę, Lee ścisnął jej dłoń, przyciągnął Indy mocno do siebie, jedną ręką objął w talii, drugą wsunął we włosy i pocałował.

I to nie było to symboliczne muśnięcie warg.

To był pełen, głęboki pocałunek. Tak długi, że Ally zaczęła dopingować, a pastor delikatnie dotknął ramienia pana młodego, żeby to przerwać.

Goście śmiali się cicho, a Lee spokojnie dokończył pocałunek. Odsunął się odrobinę i szepnął coś do Indy, a ona zacisnęła usta, pewnie żeby się nie rozpłakać.

Potem Lee odwrócił się do pastora i powiedział głębokim, władczym głosem:

– Kontynuuj. – Jakby to on prowadził ceremonię.

Lana, siedząca obok mnie, nachyliła się i szepnęła:

– Chyba lubię szefa Kaia.

Uśmiechnęłam się do niej. Też go lubiłam.

Cała ceremonia przebiegła prosto i szybko, państwo młodzi nie byli przywiązani do tradycji. Potem żadnej kolejki do składania życzeń, wszyscy podchodzili, uśmiechali się, rozmawiali, ściskali sobie dłonie, goście i fotografowie robili zdjęcia. Indy nie chciała pozowanych zdjęć, tylko spontaniczne. A potem wsiedli do crossfire'a Lee i odjechali.

Indy przewidziała sporo czasu na dojazd z ceremonii do Cherry Hills Country Club; jak wtajemniczyła mnie Daisy, żeby mieli czas zajechać do domu „skonsumować małżeństwo, *comprende?*” i dotrzeć do klubu.

Spóźnili się pół godziny.

Nikt się tym nie przejął.

Piosenka dobiegła końca, Lana z Indy przestały tańczyć i usłyszeliśmy z głośników głos Nicka.

– Mam tutaj piosenkę na zamówienie – poinformował nas. – Od mężczyzny imieniem Kai.

Rozległ się gwar, ale ja patrzyłam tylko na Nicka, wstrzymując oddech. Poczułam na swoich plecach ciepłą dłoń, spojrzałam przez ramię – obok stał Mace. Prowadził mnie na parkiet, a Billy Joel śpiewał „And So It Goes”.

Byliśmy na parkiecie, obejmował mnie jedną ręką, drugą sunął do mojego ramienia.

– Mace...

Objął mnie mocno i przyciągnął do siebie. Splótł nasze palce i przyłożył moją dłoń do swojej piersi.

– Zatańcz ze mną, kociątko – wyszeptał.

I nic więcej.

Przytuliłam się do niego.

Nigdy jeszcze nie tańczyliśmy, ale od razu poczułam, jaki jest w tym dobry. Nie był tancerzem balowym, ale jego ciało było idealnie dopasowane do mojego, poruszaliśmy się z naturalną gracją, pozwalałam mu się prowadzić.

– Muszę ci coś wyznać. – Jego gładki policzek znalazł się przy moim, jego usta przy moim uchu.

– Co? – szepnęłam.

– Byłem wtedy w The Bear, gdy graliście. Nie miałem zamiaru przegapić koncertu i chciałem porozmawiać z tobą po, wyprostować wszystko. – Ścisnął mi dłoń. – Widziałem, jak śpiewałaś dla mnie

ten kawałek.

Odchyliłam głowę i spojrzałam na niego. Odsunął się odrobinę, zająknął mi oczy.

Ale zanim coś powiedziałam, zanim w ogóle zdołałam coś powiedzieć, on mówił dalej.

– Patrzyłem, jak to śpiewasz, słyszałem słowa, wiedziałem, co chcesz przekazać, i zrozumiałem, że cię kocham, Stella.

Chciałabym coś powiedzieć, naprawdę. Ale nie mogłam. Dlatego położyłam rękę na jego szyi, wspierałam się na palce i pocałowałam go.

Oddał pocałunek. A potem znów przysunął policzek do mojego i tańczyliśmy tak, przytuleni, policzek przy policzku.

To był najpiękniejszy moment mojego życia.

Nie licząc chwili, gdy pierwszy raz powiedział mi, że mnie kocha.

Gdy kawałek się skończył, musnął jeszcze ustami moje usta, puścił mnie i zeszedliśmy z parkietu. Chloe i Lana stały na brzegu i obserwowały nas. Chloe, która wyraźnie miała oczy na mokrym miejscu, znów prawie płakała.

Lana uśmiechnęła się do mnie, a ja do niej.

Mace spostrzegł to, objął mnie ręką w tali i uściśnął.

Dotarliśmy do Lany i Chloe i chciałam coś powiedzieć, ale zobaczyłam ruch w wejściu. Stali tam Roam i Sniff, Sniff podskakiwał, uśmiechnięty od ucha do ucha, Roam skinął mi głową.

– Ee, przepraszam was – wymruczałam do Mace'a, Lany i Chloe.

Odwróciłam się i machnęłam ręką Nickowi. Ustalaliśmy to wcześniej, więc tylko skinął mi głową, uśmiechnął się i wziął mikrofon.

– Chcielibyśmy zaprosić wszystkich na patio – oznajmił.

Rozległ się gwar, goście patrzyli na siebie zaskoczeni, a potem powoli, przy zachętach Nicka, przeszli na patio.

Mace ścisnął mnie mocniej.

– Co się dzieje?

Uśmiechnęłam się do niego.

– Nic, tylko... – Urwałam. – Widzimy się na patio.

Uwolniłam się z jego objęć, poszłam do wyjścia. Moja kapela już tam na mnie czekała. Buzz i Leo mieli swoje gitary, Pong pałeczki, Floyd trzymał gitarę dla mnie.

Wzięłam ją i skinęłam głową.

– Idziemy.

Dotarliśmy do patio, gdzie stały już wzmacniacze, perkusja, keyboard, bongosy i wjechało pianino, gdzie zebrali się wszyscy goście. Chłopaki zajęli swoje miejsca i zaczęli po cichu grać, a ja podeszłam do mikrofonu.

Przełożyłam pasek gitary i spojrzałam na państwa młodych.

– Nie mamy dużo pieniędzy – powiedziałam do mikrofonu – dlatego uznaliśmy, że damy wam wspomnienie.

Indy znów zacisnęła usta, w kącikach oczu Lee pojawiły się zmarszczki, a ja skinęłam Pongowi. Zaczął wybijać rytm.

A ja melorecytowałam pierwsze słowa „You're Still the One” Shanii Twain.

Sentymentalne, ale idealnie pasujące do Indy i Lee.

Hugo zaczął grać na klawiszach, weszło pianino Floyda, wymruczałam słodkie „Mm, yeah” i zaczęłam śpiewać słodką, cukierkową, idealną piosenkę miłosną, która mówiła wszystko.

Gdy śpiewałam o tym, że przeszli długą drogę, zobaczyłam łzy w oczach Indy. Gdy śpiewałam, że nadal są razem, silni i mocni, Indy już otwarcie płakała.

Chłopaki podeszły do mikrofonów, powtarzając tytuł piosenki, a ja śpiewałam dalej.

Goście kołysali się do rytmu, ale ja patrzyłam tylko na Indy i Lee.

Gdy śpiewałam o tym, jak pokonali przeszkody, Indy odwróciła się do Lee. Objął ją jedną ręką, drugą dotknął jej policzka, a ona objęła go w pasie, przechyliła głowę i śpiewała ze mną, do swojego męża.

Umilkłam, chłopaki śpiewały „ooo”, Hugo grał, a ja patrzyłam, jak Lee pochyla głowę, jak opiera czoło na czole Indy, jak oboje zamykają oczy i tak stoją.

Znowu śpiewałam. Indy i Lee otworzyli oczy, on zsunął rękę na jej szyję, kciukiem gładząc policzek, a ona nadal śpiewała razem ze mną.

Chłopaki przestały grać, została już tylko moja gitara, Indy śpiewała do Lee, a ja popatrzyłam na Mace'a. Pochwycił mój wzrok i ostatnie dwie linijki zaśpiewałam dla niego.

Piosenka się skończyła, goście bili brawo, Ally i Daisy gwizdały i krzyczały, Tex wydał okrzyk bojowy.

Mace tylko pokręcił głową.

I uśmiechnął się.

A ja uśmiechnęłam się do niego.

Indy i Lee nie bili brawa. Znowu się całowali.

To był najlepszy prezent, jaki dałam komukolwiek.

Kapela się nie wahała, Hugo podszedł do bongosów i zaczął wybijać rytm, Floyd uderzył w klawisze, a ja wzięłam mikrofon do ręki.

– Dostyc tego dobrego – powiedziałam, spojrzałam na chłopaków i zawołałam: – Dajemy czadu!

I zagraliśmy „Feelin' Alright” Joe Cockera.

Wszyscy zaczęli tańczyć, nawet Indy i Lee kołysali się w rytm muzyki. Gdy wszedł refren, goście podnieśli ręce do góry i śpiewali z nami.

Floyd grał, a ja znalazłam wzrokiem Mace'a. Stał obok Luke'a i Vance'a, ale uśmiechał się do mnie – i to tak, że moje serce prawie wybuchło.

To był ten sam szczerzy, słodki uśmiech, który widziałam na jego zdjęciu z Caitlin.

Byłam na scenie, więc jedyne, co mogłam zrobić, to uśmiechnąć się do niego.

Ale mentalnie zasadziłam ostatniemu z konających demonów decydującego kopa w brzuch.

A potem skupiłam się na muzyce.

Od Cockera przeszliśmy do Three Dog Night i „Shambali”, potem śpiewaliśmy The Doobies „Jesus Is Just Alright”, a potem Buzz zaśpiewał „Sister Golden Hair”. Podkręciliśmy trochę i przeszliśmy prosto do „Peace of Mind” Bostonu, a na zakończenie przypięłam harmonijkę i zakończyliśmy jednym z naszych sztandarowych kawałków, mocną, czadową, odjechaną wersją „Ain't No Easy Way” Black Rebel Motorcycle Club.

Dziękowaliśmy i odstawialiśmy gitary, ale goście protestowali i buczeli, więc musieliśmy wrócić i zagrać jeszcze „Ghostriders in The Sky”.

Powiem tylko tyle: nigdy w życiu nie grałam bardziej pozytywnych kawałków.

Rozdział 28

Swen i Ulrika się wkurzą

Stella

Mace wiozł nas explorerem. Wracaliśmy do mnie po weselu, a ja wznosiłam się na szczęśliwym haju.

Byłam z moim facetem. Kochałam go i on mnie kochał. I trzymał moją dłoń na swoim udzie. Moja kapela miała jechać do studia nagrań i podpisać zajebistą umowę. Byłam na przepięknym ślubie dwojga ludzi, których bardzo lubiłam. I przez cały dzień nikogo nie próbowano porwać ani postrzelić.

– Szczęśliwy haj – wymruczałam w szybę, uśmiechając się jak wariatka.

– Co? – spytał Mace, wjeżdżając w moją uliczkę.

Przeniosłam wzrok na niego.

– Szczęśliwy haj.

Spojrzał na mnie przelotnie, z uśmiechem w pięknych jadeitowych oczach.

Testując granice pasa, nachyliłam się do niego, uwolniłam dłoń z jego ręki, oparłam mu ją na udzie i pocałowałam jego mocną szczękę. Mace właśnie wrzucił kierunkowskaz, wjeżdżając na mój podjazd.

– Nigdy nie byłam taka szczęśliwa, skarbie – wyszeptałam, z ustami przy jego twarzy.

Mace nie odpowiedział, ale poczułam, jak zaciska szczękę.

Zaskoczyło mnie to i odsunęłam się odrobinę. Patrzył na coś intensywnie, spojrzałam również – na końcu podjazdu przed domem stała limuzyna.

Kuźwa jego mać.

Gdy wjeżdżaliśmy, tylne drzwi limuzyny otworzyły się i z samochodu wysiadł Preston Mason.

Kto by się spodziewał.

Noż kuźwa jego mać!

– Super – wymruczałam. – Jeśli ktoś mógł mi zniszczyć ten szczęśliwy haj, to właśnie arcygnida wszech czasów.

Mace zignorował mój komentarz i polecił:

– Zostań w wozie.

Zatrzymał się, wrzucił luz, zaciągnął ręczny, ale nie wyłączył silnika.

– Mace... – zaczęłam. Chciałam powiedzieć, że najlepiej będzie, jak zignorujemy jego ojca, omiemy go, zapomnimy o jego istnieniu i zanurzymy się w moim szczęśliwym haju jeszcze głębiej, czyniąc go jeszcze szczęśliwszym.

Mace odwrócił się do mnie i posłał mi spojrzenie.

Nie powiedziałam nic więcej.

Otworzył swoje drzwi i wysiadł z SUV-a.

Widziałam, jak idzie do ojca. Jak coś mówi. Widziałam, jak jego ojciec spogląda na mnie z wyższością, odpowiedziałam ostrym spojrzeniem. Potem widziałam, jak Mace rozgląda się, jego ojciec coś mówi, pewnie jak zwykle coś niemilego, a Mace gwałtownie podnosi rękę do góry. Preston zamilkł, a Mace wrócił do samochodu.

Otworzył drzwi i sięgnął do stacyjki, patrząc na mnie.

– Wejść do domu, skarbie – polecił; skinęłam głową. – Zaczekaj, aż podejdę do ciebie.

Odpięłam pas, Mace wyjął kluczyki, wyszedł z samochodu, obszedł go z przodu, odwrócił głowę do ojca i powiedział coś, czego nie zrozumiałam. Otworzył moje drzwi, pomógł mi wysiąść i eskortował mnie do bocznego wejścia do domu, gdzie już czekał Preston.

Cudownie.

Nieproszony gość na moim własnym terenie.

Próbowałam zamordować Prestona wzrokiem, ale chyba nie zadziało.

Miałam się nie poddawać i mordować go dalej, ale Mace otworzył drzwi i wprowadził mnie do środka, trzymając rękę na moich plecach, i musiałam się skoncentrować na pokonaniu schodów w pantoflach na wysokich obcasach i nie wywalaniu się.

Udało mi się dotrzeć szczęśliwie do mieszkania, bez odwracania się i sztyletowania Prestona spojrzeniem – za zniszczenie mojego szczęśliwego haju i wkurzenie Mace’a, zwłaszcza że wiedziałam, że on też na swój sposób był na tym szczęśliwym haju.

A ponieważ jego sposób zwykle kończył się ostrym pieprzeniem mnie, dogłębnym i dokładnym, tym bardziej trafiał mnie szlag.

Mace wyłączył alarm. Juno leżała na łóżku, wyraźnie wyrwaliśmy ją z całodniowego snu. Szczeknęła powitalnie, ale nie ruszyła się. Spojrzała tylko na Prestona, zaskoczona i czujna. Ucieszyłam się, że potrafi wyczuwać wibracje, których wcześniej nie znała: gdy jej ludzie niekoniecznie lubią człowieka, którego tu sprowadzili.

Zapaliłam światło, Preston wymruczał:

– Uroczo.

Spojrzałam szybko na niego – rozglądał się po mieszkaniu, średnio zachwycony.

No co za kutas. Jasne, że było nieduże, ale zajebiste.

– Kociątko, zrób mi przysługę. – Mace mówił do mnie, ale patrzył na ojca. – Idź się przebrać do łazienki i zajmij się sobą, daj nam trochę czasu.

Oho, ho.

No chyba nie.

Nie po to przechodziłam dwa tygodnie emocjonalnego piekła, które miało zakończyć wszystkie inne emocjonalne piekła, nie po to wpuściłam Mace’a z powrotem do mojego serca, nie po to mu zaufałam, dowiedziałam się, co się stało z Caitlin, nie po to wzięłam naszą przyszłość w swoje ręce i przywróciłam go jego rodzinie, żeby teraz ten kutas, jego ojciec, jebał go tu, gdy ja będę siedzieć w łazience.

Nie ma opcji.

Nic z tego.

– Nie – odparłam i Mace spojrzał na mnie. Wiedziałałam, że był wkurzony, i wyjaśniłam: – Nikt nie będzie wkurwiał mojego faceta.

Mace wciągnął powietrze, ale część złości zniknęła z jego twarzy.

– Stella...

– Nie, Mace. Twój ojciec zachowuje się jak kutas i chcę być przy tobie, gdy znowu się tak zachowa. – I odwróciłam się do Prestona. – Mieliśmy naprawdę wspaniałą dzień, a ostatnio nie było ich wiele, więc mów, co chcesz powiedzieć, a potem spadaj, żebyśmy mogli zapomnieć, że w ogóle tu byłeś, i przejść do naprawdę wspaniałej nocy.

Juno szczeknęła na potwierdzenie, Preston wykrzywił wargi.

– No? – ponagliłam go, gdy nie odpowiedział.

A potem podeszłam do Mace’a i nie zostawiając mu wyboru, wsunęłam się pod jego pachę; musiał mnie objąć. Wtedy ja jedną ręką objęłam jego plecy, drugą położyłam mu na brzuchu.

Preston patrzył na nas, nadal z grymasem.

– Rozumiem, że nie masz zamiaru zaproponować mi nic do picia?

Kutafon.

– Nie ma sprawy – powiedziałałam mu. – Pod warunkiem, że przyszedłeś przeprosić Mace’a za bycie sukinsynem wszech czasów, błagać o wybaczenie i obiecać poświęcić się działalności charytatywnej po wieki wieków. Jeśli nadal planujesz być kutafonem, to zapomnij.

Preston spojrzał na syna.

– Serio, Kai? To był twój wybór? – spytał, wskazując mnie.

Mace zeszytniał.

Szlag.

– Dość tego! – rzuciłam szybko. – Gadaj, czego chcesz, i wynocha.

Preston spojrzał znów na mnie.

– Powiem, Stella, ale radziłbym, żeby cię tu nie było, gdy będę „gadał”, jak raczyłaś to ująć.

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć.

– Przestań jechać po Stelli, i to już – warknął Mace.

Preston spojrział na niego, ja również. Znałam go dobrze. Kochałam go i liczyłam, że spędzę z nim resztę życia, ale i tak widziałam, jaki był cholernie przerażający.

Ale jednocześnie cholernie seksowny i wkurwiał się z mojego powodu, a to też było cholernie fajne uczucie.

Spojrzałam na Prestona, usiłując nie prychnąć, ale nie odrywał wzroku od syna, rozpoczynając turniej, kto mrugnie pierwszy.

Gapili się na siebie bez słowa.

A ponieważ obaj kierowali się w życiu zasadą „nigdy się nie poddawaj”, w końcu straciłam cierpliwość i warknęłam:

– Jezu, po prostu powiedz!

Preston spojrział na mnie, zacisnął szczęki i znów spojrział na Mace’a.

– Stąpasz po cienkim lodzie – oznajmił.

– Czyżby? – zapytał Mace.

– Nie bądź głupcem, Kai – szepnął Preston. – Raz tylko zachowałeś się głupio i skończyło się to tragicznie. Nie popełniaj tego błędu ponownie.

Jeśli przed chwilą ciało Mace’a było twarde jak skała, teraz miało twardość marmuru. Ale w sumie było to bez znaczenia, bo ja miałam już dość. Nie wiedziałam, po co on tu przyjechał, i nie wiedziałam, czemu Mace pozwolił mu tutaj wejść.

I w tym momencie gównu mnie to obchodziło.

– Wynocha z mojego domu – wysyczałam.

Preston spojrział na mnie.

– Nie... – zaczął.

– Wynoś się, kurwa, z mojego domu! – zawołałam.

– Recepcjonistka z jego pracy handlowała dragami – poinformował mnie Preston.

– Wynoś się.

– Jej siostrzeniec, który pracuje z Kaiem, też w tym siedział.

Dariusz?

Serio?

O rany.

Dotarło do mnie, że mówił o tym w czasie przeszłym. I skoro nie przeszkadzało to Mace’owi, a najwyraźniej nie, nie przeszkadzało i mnie.

Poza tym Dariusz był super.

– Wynocha z mojego domu – powtórzyłam raz jeszcze.

– Jego organizacja brała udział w operacji odwetowej, w której policjant z wydziału w Denver wystrzelał wszystkie naboje i zabił człowieka, co nigdy nie zostało zgłoszone na policję.

Cholera.

To chyba nie było dobrze. I jeszcze gorzej, że Preston o tym wiedział.

Stłumiłam niepokój i powtórzyłam:

– Wynocha z mojego domu.

– Jego pracodawca ma układ z Marcusem Sloanem. Ciemne interesy z jawnym przestępcą, handlarzem bronią i stręczycielem.

O kurde.

Marcus handlował bronią i kobietami?

Ja pitolę.

Preston jeszcze nie skończył.

– Żona jednego z jego współpracowników wypełniła fałszywy raport, umieszczając dwójkę zbiegłych dzieciaków w domu znanej kryminalistki.

No, to przynajmniej wiedziałam.

Nie odzywałam się już, tylko patrzyłam twardo.

Wytrzymał mój wzrok.

– Jeden z pracowników Liama Nightingale’a włamuje się na konta prywatne oraz na strony władz lokalnych, stanowych i federalnych.

Nie byłam wprawdzie informatyczką, ale czułam, że to akurat jest super.

Rzecz jasna, nie dzieliłam się tą opinią.

– A mężczyzna, którego tak rozpaczliwie się trzymasz – dokończył Preston – zabijał ludzi.

Spojrzałam jeszcze ostrzej.

Nie trzymałam się Mace’a rozpaczliwie, do cholery! Tylko z miłością. I wsparciem.

– Wielu ludzi – dodał cicho.

Gdy zamilkł, zapytałam:

– Skończyłeś?

– Nie – odparł i popatrzył na Mace’a. – Twoje zadanie, synu, polega na tym, żeby porozmawiać z Nightingale’em i przekonać go do mojej inwestycji. Przejmuję pakiet kontrolny w NI i wyczyszczę to szambo. Pozbędę się Dariusa Tackera, Vance’a Crowe’a, Lucasa Starka i tej dziwacznej recepcjonistki. Ich przeszłość i powiązania pozostawiają wiele do życzenia. Ty zachowasz pracę, przecież twoja kobieta nie zapewni wam utrzymania, a musisz stanąć na nogi. Wpakowałaś sześć tysięcy dolarów w jej rodzinę, co znacząco osłabiło twoje rezerwy. Innymi słowy, Nightingale się odsuwa, ja przejmuję stery.

Ale zasunął!

– Rozumiem – odezwał się Mace – że upublicznisz te rewelacje, jeśli nie zrobię tego, co mi każesz.

Preston skinął głową.

– Chavez straci pracę i nie znajdzie jej u mnie, gdy już przejmę NI. Być może postawią mu zarzuty. Shirleen Jackson straci opiekę nad dziećmi i chłopaki albo wrócą na ulicę, albo do azyłu. Juliet Crowe wyłąduje na bezrobociu. Brody Dunne i Lee Nightingale zostaną przesłuchani i być może aresztowani za swoje poczynania...

Mace przerwał mu.

– To już wszystko, co masz?

Wzdrygnęłam się. Jak dla mnie Preston Mason miał bardzo dużo.

Spojrzałam na Mace’a. Jego twarz była obojętna i pusta, jakby te wszystkie informacje wcale nie były cholernie przerażające, jakby Preston mówił mu, że Lee i jego ekipa dla beki podeptali kwiaty na klombach.

– Kai... – zaczął Preston, ale Mace nie pozwolił mu się rozwinąć.

– Dla twojej informacji: w mieszkaniu Stelli są kamery i mikrofony. Twoja próba szantażu została zarejestrowana.

Preston pochylił się, niemal nieuchwytnie, ale wstrzymałam oddech.

– Ja... – zaczął, ale Mace wykonał tak gwałtowny ruch, że Preston zamilkł.

Mace odwrócił się, patrzył teraz na coś po drugiej stronie pokoju. Nie wiem, na co. Potem znów przeniósł wzrok na ojca.

– W tej chwili kamery są wyłączone – powiedział cicho, a ja znów się spięłam. – Teraz, gdy jesteśmy już tylko ty i ja, słuchaj, co ci powiem.

O Boże.

Uznałam, że Mace pewnie ma niejedno do powiedzenia, więc się uspokoiłam, ale nieznacznie.

– Brody jest dobry, wiesz o tym i powinieneś być rozsądniejszy. – Mace nadal mówił cichym głosem, nie tyle panując nad sytuacją, ile znajdując się na krawędzi wpadnięcia w szal. Przygryzłam wargę. – Wiesz, że masz przejebane. Że ja wiem, że Caitlin zginęła przez twoje machlojki. Dobrze o tym wiesz, kurwa.

– Nie zrobiłem nic, żeby...

– Kurwa, jeszcze jak.

– Absolutnie nic, Kai – warknął Preston.

– Broń, tato – powiedział Mace.

O matko.

Broń?

O co tu chodziło?

– Nie ma na to najmniejszego dowodu – odparł Preston, szybko i cicho, ale na jego twarzy pojawiła się czujność, zdradzając go z kretesem.

– Czyżby? – zapytał Mace, a jego ojciec się wyprostował.

Mace mówił dalej.

– Powiem ci, czego nie wiesz: my wiemy, że nie przestałeś robić tego, przez co Caitlin zginęła.

– Kai...

– Rządowe zamówienia, które dostawały twoje zakłady amunicji. Federalni pewnie nie posiadaliby się ze szczęścia na wieść, że twoja broń trafi nie tylko do chłopaków w mundurach, ale również w ręce wrogich ugrupowań i siedmiu sekt terrorystycznych.

Rany boskie.

– APM Holdings nie ma absolutnie nic wspólnego z bronią – odparł Preston.

– Zgadza się – przyznał Mace. – Za to ty masz.

O matko.

– Nonsens – odparł Preston.

Mace patrzył na niego. Bardzo długo. Czekałam, obserwowałam ich i czułam, że coś się zmieniło, że coś było nie w porządku.

Zrozumiałam co, gdy wyszeptał.

– Odstrzelili jej głowę:

Przytuliłam się jeszcze do Mace'a, objęłam go mocniej.

Preston zbladł, ale szybko zmrużył oczy i odparł:

– I przez kogo?

Mace nachylił się do przodu i krzyknął:

– Odstrzelili jej głowę!

Teraz już obejmowałam go z całych sił.

Preston też się nachylił i odpalił:

– Nie należało...

– Aż tak się przejmować Malutką? – dokończył Mace. – O tym mówisz? Widzisz, chciałem, żeby zabili mnie zamiast niej, i prawie mi się udało. A ty nie zrobiłeś nic. Przez ciebie przeszła cały ten koszmar, nim ją zamordowali, a ty wciąż nie zrobiłeś nic. Oczywiście prócz tego, że po jej śmierci poddałeś się i znów handlowałeś z nimi bronią, żeby następnym razem nie dorwali ciebie.

Poczułam, że znaleźliśmy się w punkcie, w którym powinnam chronić Mace'a, i postanowiłam się wtrącić.

– Sytuacja jest patowa, panowie. Może się rozejdziecie?

– Zamknij się – warknął Preston, patrząc na mnie szybko. – To nie twoja sprawa.

Mace wyrwał się z moich objęć i błyskawicznie znalazł się tuż przy ojcu. Trochę od niego wyższy i sporo młodszy, pochylił głowę i powiedział ze śmiertelnym spokojem:

– Ostrzegałem cię i powiem to tylko raz. Nie odzywaj się do mojej kobiety, kurwa, nigdy. Chuj mnie obchodzi, co chcesz powiedzieć. Nie życzę sobie, żebyś w ogóle na nią patrzył. Nie odzywaj się, bo następnym razem użyję siły. I przyjmij do wiadomości, że nie żartuję.

Preston wciągnął powietrze, ale nie skomentował. Nawet tak arogancki kutas jak Preston Mason widział, że Mace nie żartuje. Jednak Mace jeszcze z nim nie skończył.

– Dla mnie jesteś martwy. Traktowałeś jak gówno mnie, mamę, Chloe i Caitlin, którą potem przez ciebie zamordowali. Wiesz o tym. Od lat świerzbią mnie ręce, żeby ujawnić ten szajs, który mam na ciebie, kurwa, od lat. Teraz mam nową rodzinę i jeśli myślisz, że możesz się wtrącać, sprawiać problemy i udowodniać, że masz większego fiuta, i pogrywać sobie, to się, kurwa, jeszcze zastanów. Bo załatwię cię i zrobię to z przyjemnością. Wiem, że się dowiedziałeś, dokąd idzie twoja broń, że twój partner zrobił cię w chuja. Chciałeś to przerwać, a gościowi, do którego trafiała broń, to się nie spodobało. Przycisnęli cię, ty się postawiłeś, ale zrobiłeś to głupio. Myślałeś, że twój jebany hajs cię

ochroni, ale się pomyliłeś. Nie miałeś zielonego pojęcia, z czym się mierzysz, i nie wysiliłeś się, by się dowiedzieć. Nacisnęli mocniej, porwali Caitlin, a ty pozwoliłeś jej, kurwa, umrzeć, bo zjebałeś. Mógłbym latami wymieniać powody, dla których jesteś kutasem. Ale od tej chwili twoje szemrane interesy nie kolidują z moim życiem. Koniec. Odebrałeś mi siostrę i każdego jebanego dnia o niej myślę, każdego jebanego dnia zdycham z powodu twojego, kurwa, fakapu!

Preston wyprostował plecy i odpalił:

– Nie masz dowodów, Kai.

– Założymy się?

– Takie dowody nie istnieją.

– Przekonasz się, że się mylisz, jak pokażę je mediom. Nie bawimy się w pokazywanki i nic nie będę ci udowadniał. Jeśli się nie odjebiesz, nie znikniesz z mojego życia, zgnoję cię. Jeśli spróbujesz zrobić coś Eddiemu, Shirleen, Lee, komuś z nich, to przysięgam, kurwa, że za moją sprawą wyślą cię na bezterminowy pobyt w placówce rządowej, której istnienia nikt nawet nie podejrzewa.

Zamilkł na chwilę.

– I wierz mi, i federalni, i ludzie, którym dostarczasz broń, mają w dupie twój hajs. To uczciwy układ, biorąc pod uwagę, że na samą myśl o tobie, na samo wspomnienie o Caitlin, o tym, co jej zrobiłeś, tracę kontrolę i mam chęć pokazać, jakim gnojem jesteś i zawsze byłeś. A myślę o niej przez cały czas. Codziennie, bez przerwy, pojawia się w mojej głowie, piękna i doskonała, wychudzona, złamana i przerażona, i wreszcie, kurwa, martwa.

– Nie masz żadnych dowodów – upierał się Preston, purpurowiejąc.

– Jeśli rzeczywiście w to wierzysz, sprawdź mnie – podsunął Mace.

– Twoi przyjaciele są na linii ognia – przypomniał Preston.

– Jeśli sądzisz, że trzymasz nas za jaja, sprawdź mnie – uciął Mace.

Preston patrzył na niego.

Mace patrzył na ojca.

Jak dla mnie, spojrzenie Mace'a było o wiele lepsze.

Mierzyli się wzrokiem dłuższy czas, ale ja już się nie wtrącałam; nawet Juno wyczuła, że ma być cicho.

W końcu zobaczyłam, jak twarz Prestona zmienia się niespodziewanie, jak on szepcze, cicho, prawie niedosłyszalnie:

– Nie wiedziałem, że oni...

– Wiem. Co sprawia, że twój monumentalny fakap staje się fakapem totalnym. Bo nawet jak już zjebałeś, to zjebałeś powtórnie z tymi pieprzonymi komandosami, a potem jeszcze raz, gdy nie zwróciłeś się do FBI i nie współpracowałeś z nimi, żeby wyciągnąć ją z tego gówna. A potem znowu, gdy pozwoliłeś mi tam wejść i patrzeć, jak moja siostra umiera.

– Kai, nie miałem...

– I myślisz, że mnie to, kurwa, obchodzi? – wyszeptał Mace z taką udręką, że mnie się ścisnął żołądek, a Preston drgnął. – Myślisz, że obchodzi mnie cokolwiek, co ma związek z tobą? Torturowali ją. Odcięli jej, kurwa, rękę i odebrali jej, kurwa, życie – i to wszystko przez ciebie! Nie chodziło przecież o to, że się na ciebie wkurzyła, bo dałeś jej szlaban, jak wróciła późno do domu, kurwa jego mać!

Ostatnie słowa niemal wypluł.

– Zjebałeś i ona nie żyje. Ale nawet wtedy to ja posprzątałem po tobie ten pierdolnik i trzymałem gębę na kłódkę. Z mojego punktu widzenia jesteś moim dłużnikiem. Do końca życia. Jesteś mi winien moją cholerną siostrę i nie ma opcji, żebyś to kiedyś spłacił, ale teraz mówię ci właśnie, że oto możesz to spłacić, wypierdalając z mojego życia i trzymając się ode mnie z daleka.

Preston patrzył Mace'owi w oczy.

A ponieważ był kutafonem, spróbował znowu:

– Każdego dnia o niej myślę i...

Mace cofnął się o krok, wstrzymując się resztką sił i ryknął:

– Kurwa jego mać! Jebie mnie to!

I w tym momencie Juno szczerknęła. Ale nie w ramach solidarności z Mace'em, to zabrzmiało

inaczej. Do tego stopnia inaczej, że oboje na nią spojrzeliśmy – stała na łóżku na czterech łapach i patrzyła na ścianę.

Szczeknęła znowu i zeskoczyła z łóżka. I zawarczała, ostro i czujnie.

Ostrzegawczo.

I zaczęła biegać wzdłuż ściany, warcząc i węsząc.

– Kurwa – warknął Mace, sięgnął do kieszeni w smokingu i wyjął telefon, który właśnie w tej chwili zaczął dzwonić, podobnie jak mój stacjonarny. – Kurwa mać! – wrzasnął Mace i krzyknął: – Na ziemię! – A gdy ja i Preston zawahaliśmy się na ułamek sekundy, ryknął: – Na ziemię!

I w tym momencie okna eksplodowały. Padłam na ziemię, Mace na mnie.

– Juno! Chodź! – zawołał.

Próbowałam patrzeć, co się dzieje, ale on trzymał rękę na mojej głowie, osłaniając mnie swoim ciałem, a strzały rozlegały się zewsząd, dudniąc mi w uszach.

– Mów! – warknął Mace, chyba do telefonu. – Co ty powiesz? Tak jak słyszysz, ciężki ostrzał.

Przyślij tu wszystkich, kogo tylko możesz. Już.

Strzelanina ucichła, słyszałam, jak się rozłączył. Czułam futro Juno przy swoim ramieniu.

Dobrze, że była przy nas, pomyślałam.

A potem nie miałam już czasu na myślenie – Mace wstał i poderwał mnie z ziemi.

– Idziemy – zarządził, gdy już stałam na nogach. Niepotrzebnie, bo i tak ciągnął mnie za do drzwi. – Chodź! – przywołał Juno, też niepotrzebnie, bo była tuż przy nas.

A potem usłyszałam kilka przerażających dźwięków, które do tej pory słyszałam tylko na filmach. Odwróciłam głowę i zobaczyłam to.

Na własne oczy.

Mace nie zatrzymywał się, nie wahał. Wiedziałam, że też słyszał i że wiedział, co to jest, bez patrzenia – teraz szedł szybciej, o wiele szybciej, prawie biegł, a ja musiałam biec za nim.

Do mojego mieszkania ktoś wrzucił granaty.

Widziałam je.

Trzy granaty w moim mieszkaniu.

Rozwalili okno wyłącznie po to, żeby wrzucić granaty i rozerwać nas na kawałki.

Kurwa!

Już byliśmy za drzwiami i zbiegaliśmy ze schodów, Juno obok nas, Preston z tyłu. Gdy dotarliśmy do pierwszego podestu, wybuch w moim mieszkaniu rzucił nas na ziemię, wywaliło ścianę nad naszymi głowami.

Poleciliśmy w przeciwną stronę, Mace uderzył w ścianę, ja w niego, kawałki drewna i tego wszystkiego, co było w moim mieszkaniu, wybuchło nad naszymi głowami i spadło na nas jak deszcz.

Sekundę później Mace już ciągnął mnie po schodach na dół, tym razem blisko siebie, osłaniając mi głowę.

Dotarliśmy na drugi podest, gdy zatrzymał się, wcisnął mi telefon, a potem sięgnął do tyłu, gdzie miał kaburę. Rozpiął ją, wyjął broń.

– Zadzwoń pod ostatni wybrany numer. To pokój kontroli. Muszą mieć nowy status, podasz im – zażądał. Drżącymi rękami szukałam ostatniego połączenia, a on spjrzał na ojca. – Zostań ze Stellą – polecił. – Nie ruszajcie się stąd, póki nie powiem.

Preston znalazł się bliżej mnie, a Mace zaczął iść ostrożnie do kondygnacji schodów prowadzących na parter.

I odskoczył do tyłu, gdy kule przeleciały po schodach, wbiły się w sufit. Słumiłam krzyk i powstrzymałam się, żeby nie biec do niego. Wcisnęłam się w ścianę, Preston i Juno we mnie. Mace podbiegł do drzwi, nacisnął klamkę; były zamknięte, z rozmachu walnął w nie barkiem i wyważył.

Spjrzał szybko na mnie.

– Idź za mną, kocie, tuż za moimi plecami. Już.

Podeszłam szybko do jego pleców, czując Juno tuż obok i Prestona za sobą.

Mace zaczął iść i wszyscy ruszyliśmy korytarzem na piętrze. Pchnął wyważone drzwi, przyciągnął wąski stolik, żeby je zablokować, i ruszył korytarzem, szybko, czujnie, rozglądając się bez

przerwy na boki.

Szliśmy za nim.

Trzymałam się blisko jego pleców; wsunęłam rękę pod smoking i trzymałam się szlufki spodni.

Potem przypomniałam sobie o telefonie i nacisnęłam ostatnie połączenie.

Ktoś odebrał od razu i warknął:

– Status.

– Yy, hej – powiedziałam. – Mówi Stella.

– Tak, Stella, status – zażądał męski głos, mniej nieprzyjemnie, ale nadal ostro, ponagłajaco.

Chyba odebrał Monty, ale nie byłam pewna i nie miałam czasu się zastanawiać, bo Mace pociągnął nas do ściany, przystanął i gestem przywołał swojego ojca. Preston wziął mnie za rękę, a Mace oderwał moją dłoń od szlufki. Spojrzał mi w oczy, a potem odwrócił się i zaczął iść tam, skąd przyszliliśmy.

O matko.

Opanowałam się i odezwałam do telefonu.

– Dobra. W moim mieszkaniu wybuchło kilka granatów. Jesteśmy odcięci od zejścia na dół, w tej chwili na korytarzu na piętrze. Mace wraca do tylnych schodów.

– Zatrzymaj go!

Kurwa mać!

– Mace, stój! – zawołałam, szybko i cicho. – Monty mówi, żebyś zawrócił!

Mace zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Mów – rzuciłam do telefonu.

– Jesteście otoczeni, wszystkie wyjścia odcięte. Unieszkodliwili kamery zewnętrzne, próbujemy włączyć te w środku, ale są off-line. Zanim obraz zniknął, zobaczyliśmy co najmniej sześciu, podeszli i przeniknęli do domu. Są w środku. Jedzie już pierwszy patrol, będą za pięć minut. Mace musi was ukryć, zanim przyjedzie wsparcie. Bez odbioru.

– Jesteśmy otoczeni – powtórzyłam szybko Mace'owi. – Odcieśli wyjścia i kamery zewnętrzne, te w środku są off-line. Co najmniej sześciu przeniknęło do domu, wsparcie przyjedzie za pięć minut. Monty powiedział, że do tego czasu mamy się ukryć.

Mace zaczął się cofać, drzwi, przez które niedawno przeszliśmy, cięły kule.

Zadziałałam odruchowo. Gdy strzelali pod domem Linnie, zaskoczyli mnie i nie zareagowałam właściwie.

Nie tym razem.

Tym razem pobiegłam do następnych drzwi na korytarzu, otworzyłam je i wpadłam do środka, za mną Juno i Preston. Mace zatrzaskał drzwi, zamknął je na klucz, odwrócił się do ojca.

– Przesuwamy – powiedział, wskazując meble. Preston skinął głową i zaczęli przesuwac meble pod drzwi.

Oparłam się plecami o przeciwległą ścianę, z Juno przy mnie, kolanami pod brodą i wróciłam do Monty'ego.

– Jesteśmy chyba w trzecim pokoju po lewej. Są na naszym piętrze.

– Trzymajcie się – poradził Monty.

A, trzymajcie się. Super. Dzięki za radę.

Ja pitole.

– Przyjęłam, mamy się trzymać – odparłam cicho, rezygnując z sarkazmu.

Mace ustawiał wielką rozklekotaną szafę przed komodą, którą jego ojciec przesunął pod drzwi.

Patrzyłam na meble, żałując, że niestety nie są stalowe.

Kurwa jego mać, ja pitole.

– Stella – odezwał się Monty. – Wóz policyjny będzie za trzy minuty. Jeszcze jedna jednostka jest dwie minuty za nimi, Luke minutę. Będzie dobrze – zapewnił Monty.

Rozległy się strzały, głośne i przerażające, kule przebijały się przez meble. Upadłam płasko, wolną ręką przyciągając do siebie psa. Przywarłam czołem do zakurzonej podłogi.

Rozległy się nowe strzały, przeraźliwie blisko i głośno. Płuca mi się ścisnęły, oddech ulotnił.

Pomknął do innej galaktyki, wynosząc się stąd w diabły. Mace kucnął przy mnie.

Będzie dobrze.

Jasne.

Tylko kiedy?

Znowu strzały, tym razem Mace odpowiedział ogniem, pewnie chciał pokazać, że jest uzbrojony. Strzelił tylko dwa razy, ale strzelanina za drzwiami umilkła.

Wciągnęłam powietrze.

– Dwie i pół minuty, Stella – powiedział mi Monty do ucha.

– Idę – szepnął mi Mace do ucha.

Moje serce zastygło; wykręciłam głowę i spojrzałam na jego twardą, zdeterminowaną twarz i mój oddech zniknął ponownie.

– Nie, będą za dwie minuty! – szeptałam rozpaczliwie.

– Skarbie, ci goście nie są głupi, za to bezwzględni. Będą strzelać nisko albo się tu przebiją.

Kończy im się czas, wiedzą o tym i mają sześciu uzbrojonych ludzi. My jednego. Nie mamy tych dwóch minut.

Puściłam Juno i złapałam Mace'a za ramię.

– Nie – rzuciłam błagalnie.

– Nie wstawaj – odparł.

– Nie – wyszeptałam. Nie. Nie chciałam, żeby tam szedł.

Nie słuchał. Uwolnił rękę i popatrzył na ojca.

– Jest pod twoją opieką – oznajmił cicho.

Słowa spadły ciężko. Nie dało się nie zrozumieć tego przekazu.

I poszedł. Pochylony, do bocznej ściany, potem za meble, gdzie straciłam go z oczu.

– Boże, Monty – szepnęłam do telefonu. – Mace poszedł.

– Kurwa, ja pierdołę. Jebany indywidualista. Kurwa! – zawołał Monty.

Niekoniecznie pocieszył mnie tą reakcją. Miałam łzy w oczach; poczułam, że Preston jest obok mnie. Juno zaskomlała; leżała płasko na brzuchu i patrzyła na miejsce, w którym zniknął Mace.

Mój pies kochał tego faceta.

Ja tak samo.

A on szedł zapewnić mi bezpieczeństwo.

Albo zginąć w trakcie.

O dobry Boże.

– Monty – powiedziałam ochryple, oddychając szybko i urywanie. Uderzyła adrenalina, trzęsłam się od stóp do głów. Czulałam, jak mnie zalewa. Tonęłam w niej.

– Stella, nic mu nie będzie. Wie, co robi, i był już w gorszych sytuacjach – pocieszył mnie Monty.

Niekoniecznie to chciałam usłyszeć. To było przerażające, ale jednak bez porównania z tym, co działo się w tej chwili, więc odpuściłam.

Potem usłyszałam kolejne strzały, usłyszałam, że meble się przesuwają (serio!), drzwi otwierają (cholera!), a potem jęk, krzyk, strzały, kolejne strzały, kolejny jęk, coś padło na podłogę, krzyk, znowu strzały, znowu coś na ziemi i znowu krzyk, obrzydliwy odgłos łamanych kości, czyjś przejmujący szloch i znów strzały.

A potem cisza.

Wstrzymałam oddech, Juno nie odrywała wzroku od miejsca, w którym widziała Mace'a po raz ostatni.

– Stella – odezwał się głos Monty'ego w słuchawce.

Odwrociłam głowę i pochwytiłam wzrok Prestona.

Kłęczał, pochylony do przodu, skręcony w moją stronę, całym sobą osłaniając mnie od strony drzwi. Patrzył na mnie i widziałam strach na jego twarzy. I nie był to lęk człowieka, który może za chwilę umrzeć. To był strach kogoś, kogo zżera świadomość, że jego kolejne dziecko może już nie żyć.

Nawet w tym przerażeniu, które sama czulałam i które pochłaniało całą moją uwagę, nawet teraz ciężko mi było na to patrzeć.

– Stella! – odezwał się ostro Monty.

– Monty – odszepnęłam, bo nie byłam w stanie powiedzieć już nic więcej.

Patrzyłam w oczy Prestona, widziałam jego spojrzenie i wiedziałam, że na mojej twarzy maluje się ten sam strach.

– Dobry Boże, proszę cię, nie znowu – wyszeptał cicho. Ściśnięte serce bolało jak cholera. A potem usłyszeliśmy kroki.

Oboje spojrzeliśmy w stronę, z której dobiegały. Poczułam łyzy w oczach i na policzkach, gdy zobaczyłam, jak Mace do nas idzie.

Miał rozerwany smoking na ramieniu.

Tylko tyle.

Rozdarty smoking.

Dobry Boże.

Zerwałam się, pobiegłam, skoczyłam na niego. Złapał mnie, nawet się nie cofając, a Juno szczełała podniecona, biegała wokół nas. Mace objął mnie mocno w tali, drugą ręką wyjął z mojej dłoni telefon.

Wtuliłam twarz w jego pierś, przywierając mocno, z całej siły i kołysząc się jak dziecko, a on powiedział do telefonu:

– Bieżące zagrożenie zneutralizowane.

A ja, z jakiegoś wariackiego powodu, pewnie dlatego, że byłam tak rozpieprzona i poczułam nieludzką ulgę, zaczęłam śmiać się przez łyzy. Mace przytulił mnie mocniej.

Rozległy się syreny policyjne.

Dobra, teraz już uwierzyłam, że będzie dobrze.

Bo mój facet nam to załatwił.

Przestałam się śmiać, przelknęłam szloch i pozwoliłam łzom płynąć.

Stałam na zewnątrz, wciąż w tych samych bordowych szpilkach. Bolały mnie stopy, bolała mnie rana postrzałowa na udzie, po tym jak upadłam. Od kilku dni tylko swędziała, teraz znów bolała.

Miałam na sobie koc, którym otulił mnie Mace, bo chociaż było lato i nadal ciepło, był środek nocy, a ja dygotałam.

Juno siedziała przy mnie, opierając wielkie cielsko o moje nogi i patrzyła na Mace'a, który stał kilka metrów dalej i od kilku chwil rozmawiał z Hankiem i Eddiem.

Rozglądałam się, starannie omijając wzrokiem przykryte ciało na ziemi, obok limuzyny Prestona.

Wyciągnęli jego kierowcę. W jednej chwili spokojnie woził bogatego faceta, w drugiej nie żył.

Nie radziłam sobie z tym wszystkim, dlatego ignorowałam.

Wszędzie byli gliniarze, wozy policyjne, personel kryminalistyczny, paramedycy, karetki. Ustawiono wielkie światła, żeby dało się cokolwiek zobaczyć, kręcili się ludzie Nightingale'a.

Jedynym człowiekiem z ekipy Nightingale'a, którego tutaj nie było, był sam Nightingale. Jak przelotnie wyjaśnił Mace, nie powiadamił go, bo w końcu była to jego noc poślubna.

Luke mruknął, że Lee raczej nie będzie zadowolony, że nie dali mu znać.

A ja pomyślałam, że Lee oraz, nie zapominajmy, Indy, byłiby jeszcze bardziej niezadowoleni, gdyby ich wielki szczęśliwy dzień z prawdopodobnie jeszcze szczęśliwszą nocą zakłócił cały ten chaos.

Jeśli potem oberwie im się od Lee, no to trudno. Wszyscy byli twardzielami, więc raczej nie powinni mieć z tym problemu.

Pojawili się gapie i dziennikarze, ale gliniarze i taśma policyjna trzymały ich z dala.

Medycy wychodzili z noszami.

Dwa ciała przykryte. Martwi.

Czterej nadal żywi, w kiepskim stanie.

Mace się nie opierdzielał.

Ktoś może zastanawiałby się, jak mu się to udało: w jednej chwili ukrywał się w pokoju, w drugiej rozwaliał sześciu uzbrojonych skurwieli.

Ale nie ja. Ja wcale nie chciałam wiedzieć i nie miałam zamiaru nigdy o to pytać.

W zupełności wystarczyło mi to, że przeżyliśmy.

Dobra wiadomość była taka, że to raczej ostatnia taka akcja. Wiem stąd, że Mace stał, przytulając mnie i gładząc po plecach, a Luke składał mu sprawozdanie; wszystko słyszałam.

Sześciu gości, których Mace zneutralizował, to było ostatnich sześciu ludzi Sidneya Cartera. Operacja zakończyła się fiaskiem, a on nie miał więcej żołnierzy. Jego samego nadal szukali, ale spodziewali się, że teraz zniknie na dobre, odpuści. Pilnowano dworców, lotnisk, autobusów, powiadomiono patrol autostrady i straż graniczną.

Nadal to do mnie nie docierało. Stałam z kocem na ramionach i skupiałam się na tym, żeby nie szczerkać zębami.

Kątem oka dostrzegłam ruch, odwróciłam głowę i mój mózg w zwolnionym tempie zarejestrował, że Preston Mason nagle daje susa w moją stronę.

Pomyślałam nawet, że wprawdzie nie był młody, ale za to sprawny.

A potem usłyszałam jego krzyk:

– Snajper!

Powietrze zgęstniało. Drgnęłam, gotowa do ucieczki, i usłyszałam świst i plask, gdy kula trafiła w ziemię obok mnie.

Drugi świst ciął powietrze, ktoś rzucił się na mnie i upadłam na trawnik po stronie Swena i Ulriki, uderzając się tym boleśniej, że ten ktoś zwałił się na mnie. Juno zaszczekała.

Leżałam tak, twarzą w dół, a ten ktoś na mnie wcale się nie poruszał.

Zaczął się dużo dziać wokół mnie, przekręciłam głowę, zobaczyłam biegnących ludzi, jednym z nich był Mace.

Biegł w innym kierunku.

Nie miałam szansy zareagować. Juno obwąchiwała mi szyję i włosy, ciało na mnie przyciskało mnie mocno do ziemi. Próbowalam zepchnąć je z siebie, zobaczyłam spodnie policyjnego munduru i wypastowane buty i ktoś zsunął ze mnie tego człowieka.

Przekręciłam się na bok: Preston leżał na plecach obok mnie, policjant klęczał przy nim, ostrożnie przekręcił go z powrotem na brzuch i zawołał:

– Ratownika!

Ratownika.

O dobry Boże.

Dostał.

Ktoś próbował mnie podnieść, ale wyrwałam rękę, leżałam na brzuchu, przywierając do ziemi. Z policzkiem w trawie, bardzo blisko Prestona, patrzyłam w jego oczy, teraz pełne bólu.

– Jesteś ze mną? – szepnęłam.

Ktoś znów próbował mnie podnieść, nie pozwoliłam. Preston patrzył na mnie, a ja słyszałam, jak ludzie biegają i klękają przy nim.

Wyciągnęłam rękę, chwyciłam jego dłoń.

– Preston, zostań ze mną – żądałam, ściskając mu palce.

– Dajcie tu wózek! – zawołał ktoś.

Preston zamrugnął oczami.

Przysunęłam się jeszcze bliżej i ścisnęłam mu dłoń jeszcze mocniej.

– Trzymaj się – wyszeptałam.

A jego powieki opuściły się o milimetr, usta zwiotczały.

I wtedy już wiedziałam.

Wiedziałam.

Tak po prostu wiedziałam.

– Trzymaj się! – krzyknęłam przenikliwie. Ktoś mnie podniósł, objął, jedną rękę kładąc na mojej piersi, drugą na brzuchu. Wyrywałam się i patrzyłam, jak przenoszą nieruchome ciało Prestona na wózek. – Trzymaj się! – wrzeszczałam.

Przypięli go.

– Trzymaj!

Podnieśli wózek na pełną wysokość, przejechali nim szybko przez trawnik, do ambulansu.

– Proszę, trzymaj się – wyszeptałam.

Przestałam walczyć, obwisłam w rękach człowieka, który mnie trzymał.

I wtedy ten ktoś mnie odwrócił i zobaczyłam Williego Mosesa. Położył mi rękę z tyłu głowy i przycisnął mi twarz do swojej szyi.

Wybuchłam płaczem i nogi się pode mną ugięły, gdy zrozumiałam, że Preston oddał swoje życie, ratując moje. Przytłaczało mnie to. Willie objął mnie mocniej.

– Znajdź Mace'a – powiedział komuś. – Szybko. – A potem wyszeptał w czubek mojej głowy:
– Trzymaj się, mała.

Juno przycisnęła się z boku do moich nóg, znalazłam w sobie siłę, żeby podnieść ręce, zacisnęłam je na koszuli Williego i się trzymałam.

Mace

Odsunął ciemne, ciężkie włosy z szyi Stelli i patrzył na jej profil.

Spała.

Odetchnął głęboko.

A potem położył rękę na głowie Juno, wsunął palce w futro i wyszeptał:

– Pilnuj jej.

Juno zamrugnęła, a potem przesunęła się bliżej Stelli.

Mace wstał, zgasił światło i wyszedł.

Byli w domu Daisy.

Właśnie miał zejść ze schodów, gdy Daisy weszła na górę.

Stanąła, on również.

Patrzyła na niego niebieskimi oczami, a potem przechyliła głowę i podniosła rękę. Położyła dłoń na jego policzku i spojrzała mu głęboko w oczy. Pozwoliła, żeby mówiły za nią.

Jej oczy i jej dłoń miały dużo do powiedzenia. I wszystko było piękne.

Opuściła rękę i wyszeptała:

– Twoja mama i Chloe są w wielkiej sali.

I nie czekając na reakcję, ominęła go i poszła korytarzem, nie oglądając się.

Mace patrzył, jak się oddala, i pomyślał, nie pierwszy raz, że Daisy Sloan była dobrą kobietą.

Poszedł do salonu, gdzie Chloe siedziała na sofie, zapatrzona przed siebie, a jego mama stała w oknie i spoglądała w noc. Obie pograżyły się w myślach, pewnie niewesołych. O zauroczeniu, złej decyzji, oddaniu serca niewłaściwemu mężczyźnie i bólu.

A teraz wszystko się skończyło. Choć nie tak, jak powinno.

Gdy wszedł, Chloe odwróciła się do niego od razu.

– Jak ona się czuje? – spytała.

Lana oderwała wzrok od okna, Mace odpowiedział:

– Śpi.

– Wzięła tabletki? – spytała Lana.

Mace skinął głową, siadł na poręczy kanapy.

Był wyczerpany, spruty całkowicie. Mógłby spać cały tydzień. Chciał spać cały tydzień.

Ale tylko w jakimś miejscu przy plaży, ze Stellą w łóżku i bez żadnych ludzi w promieniu kilku kilometrów.

Lana podeszła do niego.

– Dojdzie do siebie, kochanie.

Tak. Wiedział, że tak będzie.

Bo jeśli nawet nie obudzi się w dobrym stanie, on ją z tego wyciągnie, nawet gdyby miało mu to zająć resztę życia.

Lana stanęła przed nim i patrzyła.

Potem spytała:

– A jak ty się czujesz?

– Oddał za nią życie – odpowiedział od razu. Lana wciągnęła oddech przez nos, Chloe znieruchomiała. – Dlaczego, kurwa, rzucił się, żeby osłonić Stellę, skoro... – zaczął Mace i Lana podeszła do niego.

Położyła mu rękę na policzku i zmusiła, by na nią spojrzął.

Boże, jak mu brakowało tego dotyku.

Chryste.

Powinien był pamiętać, że potrafiła koić ból samym dotykiem.

Ale nie pamiętał.

Cholera.

– Nigdy nie dostaniesz odpowiedzi na te pytania, Kai – powiedziała łagodnie i po raz kolejny uderzyło go, jak cholernie tęsknił za jej głosem. On też działał kojąco. – Dlatego proszę, kochanie, proszę cię, w tej chwili, ze mną i Chloe, odpuść to. Zrobił to, co zrobił, i na tym koniec. Twoja śliczna dziewczyna śpi na górze. Dorwałś tego Cartera i nawet jeśli nie udało się go wcześniej wsadzić, teraz złapany z karabinem w rękę odpowie za to, co zrobił twojemu ojcu. To już się stało, twój ojciec nie żyje, a jego śmierć jest pomszczona. Życie toczy się dalej, wykorzystaj to. Ciesz się każdą minutą. Odpuść.

Dopiero słysząc krzyk ojca „snajper!”, Mace zrozumiał, jak zdesperowany był Carter. Bardziej niż na wolności zależało mu na zemście.

Sidney Carter był wyszkolonym snajperem; pierwsza wojna w Iraku. Wiedzieli o tym, ale od dziesięciu lat nie zajmował się sam brudną robotą.

A teraz znowu do tego wrócił. Cholerny, głupi, jebany popapraniec.

Ale matka miała rację – nic nie mogło już uratować Cartera.

Mace wciągnął powietrze. Patrzył w oczy matki i kolejny raz w ciągu tych kilku dni (i wcześniej kilku lat) pomyślał, jak bardzo mu ich brakowało. A potem poczuł, jak Chloe bierze go za rękę.

Lana opuściła dłoń, on spojrzął na Chloe.

– Kochamy ją – szepnęła, zmieniając temat. – Stella jest dla ciebie idealna.

Miała rację.

– Totalnie – dodała Lana.

– Jest piękna. Ma talent – mówiła Chloe, patrząc na niego łagodnie. – I patrzy na ciebie tak, jakbyś zapalał dla niej słońce rano i gasił w nocy. Jakby nikt poza tobą nie istniał.

– Totalnie – wymruczała znów Lana i Mace poczuł, że usta drżą mu w uśmiechu.

– Malutka by ją kochała – mówiła dalej Chloe i jego uśmiech zgasł. – Prawda, skarbie? – spytała Lanę.

– Jak diabli – odparła Lana. – Dla niej też byłeś wszystkim. I na pewno uwielbiałaby Stellę. W swojej miłości do ciebie były jak dwie krople wody. Identyczne.

Mace wciągnął powietrze, żeby pokonać ogień, który go trawił.

Potrafił nad tym panować. Robił to od lat. Ale dopiero niedawno zaczął wierzyć, że w końcu uda mu się go zgasić. Pójść dalej. A może nawet odnaleźć życie, w którym w jego wspomnieniach będzie tylko jej śmiech, wdzięk i twarz, a nie to, że jej życie skończyło się tak cholernie szybko.

Dopiero niedawno zrozumiał, że nie zdoła tego zrobić sam.

Na szczęście zrozumiał również, że przecież nie był sam.

Mace wstał, kobiety odsunęły się.

– Jestem wykończony – wymruczał i odwrócił się do matki. Położył jej rękę z tyłu głowy i przyciągnął do siebie, a potem pocałował ją w czoło. I wyszeptał: – Tęskniłem. Za twoim głosem, spojrzeniem, za dotykiem. Nawet twoim zapachem.

Wciągnął jej zapach. Objęła go w pasie, ale nie powiedziała ani słowa; on też się nie odezwał. I nie poruszył. Stał tak przez chwilę, wdychał jej zapach, czuł dotyk i pozwalał, żeby go to ukoilo.

Powinien był to pamiętać.

Ale zapomniał.

Dobrze, że teraz miał szansę sobie przypomnieć.

Dzięki ci, Chryste.

Pocałował Lanę jeszcze raz w czoło i odsunął się; pozwoliła mu. Czując na sobie jej delikatny wzrok, odwrócił się do Chloe. Widział łzy w jej oczach, ale pochylił się i zrobił to samo. Tym razem nic nie mówił, tylko dotknął ustami jej czoła i odsunął się.

Pociągnęła nosem.

Spojrzał na jedną, potem na drugą i wymruczał:

– Do zobaczenia rano. Może pójdziemy gdzieś na śniadanie. – Urwał i dokończył: – Jak nam Daisy pozwoli.

– Jasne – zgodziła się Lana schrypniętym głosem.

– O... oczywiście – wyjąkała Chloe.

Mace poszedł do wyjścia, na progu zatrzymał się i odwrócił. I uśmiechnął się do swoich „mam”.

One również się uśmiechnęły.

Wyszedł z pokoju i wrócił na górę.

W ciemnym pokoju usłyszał ciche, powitalne szcęknięcie Juno. Rozebrał się, stanął obok łóżka i zrobił to samo, co kilka godzin temu. Zdjął łańcuszek z szyi, zsunął z niego pierścionek Malutkiej (który Indy zwróciła mu po weselu, całując go w policzek, zanim wsiadła z Lee do crossfire'a). Położył łańcuszek na szafce nocnej, odchylił kołdrę i położył się za Stellą.

Objął ją. Spała mocno. Znalazł jej prawą dłoń, uniósł i wsunął na mały palec pierścionek Caitlin.

Stella poruszyła się, wtuliła w niego i wymruczała:

– Granaty... Jezu, skarbie. Swen i Ulrika się wkurzą.

A potem znieruchomiała i Mace wiedział, że znów zasnęła.

Leżał w ciemności i słuchał jej oddechu.

Najpiękniejszego dźwięku na świecie.

A potem dotarło do niego, co powiedziała.

Objął ją mocniej w pasie, wtulił twarz w jej włosy pachnące miętą, pomyślał, jak cholernie kocha ten zapach, i parsknął śmiechem.

Stella

Obudziłam się w mocnym uścisku i słyszałam śmiech Mace'a.

„To dziwaczne, czy on zwariował?”, spytał mnie mózg.

Słuchałam śmiechu Mace'a, czułam ciepło jego mocnych rąk i rozważałam to przez sekundę.

A potem uznałam, że jeśli mój mężczyzna oszalał i jeśli to szaleństwo polega na przytulaniu i śmiechu, to mnie to odpowiada.

I z tą myślą zasnęłam.

Rozdział 29

Córka gliniarza

Tydzień później

Jane

Jane przeszła między regałami w księgarni, niewidoczna dla personelu. Przeszła za ladę książek, niewidzialna dla rockowych lasek, seksownej ekipy, niezauważona przez Texa i Duke'a.

– Ktoś musiał to zrobić – oznajmiła Ally, a Jane spojrzała na kanapę i dwa fotele przy dużym frontowym oknie.

Mace siedział na poręczy kanapy, Stella przed nim, między jego nogami. Daisy i Shirleen zajęły sofę, Hector przysiadł na poręczy z drugiej strony. W przeciwieństwie do Mace'a, który jedną stopę trzymał na sofie, drugą na podłodze, Hector obie stopy miał na podłodze.

Myślami był wyraźnie gdzie indziej.

Ciekawe gdzie.

Potem Jane spojrzała na Ally, która siedziała na fotelu naprzeciw sofy. Stevie siedział na drugim, jego pies, Chowleena, drzemał za fotelem.

Tod był nieobecny. Pracując jako steward w liniach lotniczych, często był nieobecny, przez co sporo go omijało. Złościł się tym i wyładowywał, jak tylko on potrafił. Ale ktoś musiał zarabiać na kreacje drag queen, więc latał, nabzdyczony i zły.

Jane uważała, że to zabawne.

Większość tego, co działo się Fortnum, uważała za zabawne.

Przeniosła wzrok na Roama i Sniffa; siedzieli przy stoliku, przed nimi stała kawa. Roam siedział rozwalony, z wyciągniętymi nogami i telefonem przy uchu, Sniff naprzeciwko niego, wrzucał do ust garść chipsów, które przyniósł ze sobą.

Trzy dziewczyny, mniej więcej w wieku Roama, siedziały dwa stoliki dalej. Wszystkie już tutaj były, i to nie raz, i wszystkie wpatrywały się w Roama, co robiły zawsze, gdy zdarzało im się trafić na niego w Fortnum. Było jasne, że pragnęły zwrócić jego uwagę.

Jane rozumiała to. Gdy pierwszy raz zobaczyła Roama kilka miesięcy temu, pomyślała, że trzeba by nie mieć oczu, żeby nie widzieć, jaki będzie przystojny. To było jasne i wkrótce stało się faktem: umięśnione ciało, czujne oczy, w których paliło się doświadczenie wykraczające daleko poza wiek chłopaka, i pewna dojrzałość w rysach.

Było jasne, że będzie piękny – już prawie był.

Było też oczywiste, że upodabnia się do swoich mentorów z NI; widać to było już choćby po tym, z jaką obojętnością traktował spojrzenia dziewczyn.

Ta, która przykuje jego wzrok, nie będzie się na niego gapiła. Będzie go lekceważyć, a on zacznie ją zdobywać.

Całkowicie w stylu ekipy przystojniaków.

Nie wybierali łatwych rozwiązań.

Inaczej: nie stronili od łatwych rozwiązań. Ale nie zostawiali przy nich na zawsze.

Jane sunęła wzrokiem dalej. Tex i Duke stali za barem kawowym, znów się sprzecząc. Nie słyszała, co mówią, ale z doświadczenia wiedziała, że stanie się to jasne za jakieś dwie i pół minuty.

Zobaczyła Eddiego na końcu lady, trzymał Jet w ramionach. Jane nie widziała twarzy dziewczyny, jedynie profil Eddiego. Nachylał głowę i szeptał jej coś do ucha. Jane, przyglądając się pilnie, spostrzegła, że dziewczyna przywiera do niego coraz bardziej.

Jane wiedziała, że w tej chwili świat przestał dla nich istnieć. Dla niego była już tylko ona, dla niej istniał już tylko on.

Jane uznała, że właśnie Eddie i Jet zostaną dziś jej ulubioną parą. Zmieniała swoich ulubieńców każdego dnia, w zależności od tego, co widziała. Czasem to byli Indy i Lee, czasem Hank i Roxie.

A czasem Jules i Vance, Luke i Ava czy Mace i Stella.

Dzisiaj Jet i Eddie.

Jane spojrzała jeszcze raz na kanapę, na Mace'a i Stellę, i od razu zmieniła zdanie.

Stella opierała się o Mace'a, obejmując rękami dłoń, którą trzymał na brzuchu. Opierała mu głowę na ramieniu, przekręcając się delikatnie, tak że skronią dotykała jego szyi.

Jane przyjrzała się im.

Mace wyglądał na zadowolonego.

Stella na szczęśliwą.

Zwykłym ludziom mogłoby się to wydać dziwne, skoro tydzień temu mieszkanie Stelli ze wszystkimi rzeczami wyleciało w powietrze, a ojciec Mace'a zginął, zasłaniając dziewczynę swoim ciałem.

Ale dwie najważniejsze osoby w jej życiu nadal żyły, więc z pomocą rockowych lasek (z wyjątkiem Indy, która dopiero za tydzień wracała z miesiąca miodowego na Barbadosie) Stella przeniosła się do domu Mace'a.

Ale już szukali nowego miejsca; przyjechali do Fortnum pół godziny temu po całym poranku oglądania ofert.

Cokolwiek się działo, życie rockowych lasek i zgrai przystojniaków zawsze po prostu toczyło się dalej.

A co do Prestona Masona... Z tego, co Jane słyszała (a zawsze słuchała bardzo uważnie), jego śmierć nie była wielką stratą dla świata. I chociaż Stelli było ciężko, że ktoś oddał za nią życie, a Mace'owi było ciężko po stracie ojca, wkrótce odzyskają spokój – bo mieli siebie.

Całą swoją fortunę Preston Mason zostawił w spadku synowi.

Mace przekazał ją matce i Chloe, one z kolei przekazywały ogromne sumy na cele dobroczynne.

Większość z nich wiązała się ze sztuką.

Większość dawała ubogim dzieciom szansę na naukę tańca.

Jane, wciąż niezauważona (co jej bardzo odpowiadało), przyglądała się dalej.

Obserwowała Kaia Masona od miesiący, większość życia spędziła w milczeniu i na obserwacji.

Dlatego dostrzegała rzeczy, których inni nie zauważali.

Widziała, że Mace bardzo rzadko się śmiał.

Że na jego twarzy był tylko ból.

Ale dziś nie widziała bólu.

Uśmiechnęła się do siebie, wciąż niewidzialna dla nikogo.

Spojrzeła na rękę Stelli i zobaczyła złoty pierścionek na małym palcu.

Poprzedniego dnia słyszała, jak Jet mówiła Jules, że Stella nigdy nie zdejmuje tego pierścionka.

Jane westchnęła.

Postanowione: dzisiaj jej ulubioną parą byli Stella i Mace.

Ale co tam, na pewno wkrótce Eddie i Jet coś zrobią i odzyskają tytuł.

– Tajemnica pogrzebana na wieki – odparł spokojnie Stevie i Jane spojrzeła na niego.

– Nie przypuszczam – odpaliła Ally. – To musi być ktoś z ekipy, nikt inny nie wie tego wszystkiego. Ktoś z nas papła do prasy i to jest strasznie słabe.

Jane wcale tak nie myślała, ale cóż – to ona była osobą, która rozmawiała z dziennikarzami. Wiedziała, że Ally właśnie o tym mówiła, bo wracała do tej sprawy bez przerwy.

Jane nie czuła się wcale winna. Napiwki Texa i Jet wzrosły czterokrotnie. Tex miał stabilną pracę, ale Nancy przeprowadzała się do niego w przyszłym tygodniu, a mogła pracować tylko na pół etatu i na pewno nie zarobi kokosów.

Poza tym Jane od dawna marzyła o Kitchen Aid.

I w jakimś stopniu zrobiła to dla siebie.

Ale przy okazji wzrosła sprzedaż kawy, a nawet książek.

Lee nigdy nie musiał martwić się o pieniądze, a w tej chwili Indy również.

Nie, Jane nie czuła się winna.

W żadnym stopniu.

Ale wszystko skończyło się tydzień temu.

Poza zarobkami i napływem klientów.

– Nikt się do tego nie przyzna i jeśli zrobił to ktoś z nas, to może się przyznać, a może się nie przyznać – zauważyła Shirleen i Jane pomyślała, że ma rację.

Jane nigdy by się nie przyznała.

– Nigdy się nie dowiemy.

Hmm.

Tu już Jane nie byłaby taka pewna, czy Shirleen miała rację.

– I to nadal nie jest w porządku – mruknęła Ally.

No i trudno, pomyślała Jane.

Bez słowa, kiwając głową Mace'owi, Hector wstał z kanapy.

Jane spięła się.

Patrzyła, jak idzie do drzwi ze swoją kawą na wynos.

Jane sięgnęła do szuflady, gdzie trzymały torebki, złapała swoją, zamknęła szufladę i pobiegła za nim.

Nikt nie zauważył jej wyjścia.

Brązowy ford bronco Hectora zatrzymał się naprzeciw galerii sztuki w centrum Denver. Jane zaparkowała dwa samochody dalej po drugiej stronie ulicy.

Hector siedział i patrzył na galerię.

Przez jakiś czas.

Jane mu się przyglądała.

W końcu Hector uruchomił silnik i odjechał.

A Jane zgasiła silnik, wysiadła, zamknęła samochód, opłaciła postój i weszła do galerii.

I uśmiechnęła się.

Za ladą stała drobna, ponętna, elegancko ubrana śliczna kobieta. Złote włosy, pełne fal i loków, opadały falami na jej plecy.

Wyglądała jak czarodziejska księżniczka.

Jane najbardziej spodobały się włosy. Były wspaniałe.

Podejrzewała, że Hector Chavez też je lubi.

Ale pewnie znacznie bardziej krągłości.

– Dzień dobry – odezwała się kobieta łagodnie, z uśmiechem w oczach.

Aha...

To było dobre, pomyślała Jane z aprobatą.

– Tylko się rozglądam – powiedziała.

Kobieta skinęła zapraszająco i Jane spędziła kwadrans, udając, że ogląda obrazy, po kryjomu przyglądając się blond piękności, która robiła coś za ladą.

W końcu Jane kupiła trzy pocztówki z reprodukcjami dzieł sztuki wystawionych w galerii, których nie miała zamiaru użyć.

A potem wyszła.

Czekając, aż jej komputer się ocknie, Jane przygasiła światło w pokoju i zapaliła świeczkę.

O zapachu kwiatu bawełny.

Pięknym i kojącym.

Usiadła przy biurku, poruszyła myszką i otworzyła edytor tekstów.

Wcisnęła control B, włączyła pogrubienie, ustawiła czcionkę na osiemnaście punktów i napisała:

Córka gliniarza

Potem zeszyła na nową stronę, zmieniła czcionkę na czternastkę i dodała:

Rozdział 1

Wcisnęła enter, potem ctrl B, wyłączając pogrubienie, potem ctrl I i zmieniła wielkość czcionki na dwunastkę.

Wielkie polowanie na Liama.

Jej oczy zasnuła mgła: widziała Liama Nightingale'a i Indy w anielskiej sukni. Za chwilę mieli zostać mężem i żoną.

Jane uśmiechnęła się.

Była romantyczką i uważała, że świat powinien poznać tę historię miłosną.

Dlatego że była piękna.

Wszystkie były.

Jane znów spojrzała na monitor i zaczęła pisać.

Epilog

Chodź do mnie, skarbie, chcę cię pocałować

Ava

Pięć lat później

Siedziałam po turecku pośrodku naszego wielkiego łóża.

Słyszałam, jak Shirleen rozmawia na dole z Gracie, gdy obie rozbijały się w kuchni.

Powiedziałam Shirleen, że powinna być tam dziś z nami, ale nie chciała. Stylizowała się na rockową wersję cioteczki Mame i było jasne, że Gracie jest jej ulubionym dzieckiem rockowych lasek i przystojniaków. Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy pewnego dnia wrócili z Lukiem do domu i zastali wiadomość, że Shirleen porwała małą i już nigdy nie wróca. Kochała to dziecko niemal równie mocno jak Luke i ja.

Byliśmy szczęściarzami: Shirleen miała dużo miłości do zaoferowania i dawała ją właśnie naszej córce.

Woda przestała się lać i spojrzałam na drzwi.

Z łazienki wyszedł Luke.

Gładko ogolony i z mokrymi włosami; teraz znacznie dłuższymi, niż gdy się poznaliśmy (i wciąż mocnymi i falującymi). Ku mojej rozpaczycy już dawno temu zgolił zabójcze wąsy. Twierdził, że nie ma cierpliwości się nimi zajmować. Rozumiałam to, poświęcał mnóstwo czasu mnie, Gracie i pracy w Nightingale Investigations. Gdy byliśmy w naszym domku w Crested Butte (a bywaliśmy tam ostatnio często i długo), zapuszczał brodę.

Jak zwykle nie wytarł się do końca. Na jego pięknych ramionach i wspaniałej piersi (z seksownymi włosami) połyskiwały kropelki wody; na biodrach miał zawiązany ręcznik.

– Już wytarty? – spytałam żartem; Luke spojrzał na mnie swoimi ciemnoniebieskimi oczami.

Zatrzymał się w drodze do komody, uśmiechnął krzywo.

– Skarbie, ubieraj się. Bo się spóźnimy.

– Nie spóźnimy. Jestem absolutnie gotowa.

Uniósł ciemną brew.

– Jesteś w szlafroku – wytknął.

– Muszę się tylko ubrać.

– I założyć pół tony srebra.

Tu miał rację. Wciąż nosiłam dużo srebrnej biżuterii, chociaż Gracie bez przerwy ciągnęła mnie za naszyjnik i cały czas groziło mi uduszenie. Była bardzo silna, pewnie po tacie, i wiecznie wpychała sobie moje palce z pierścionkami do ust i gryzła mocno. Ten dzieciak miał szczęki ze stali.

Cóż, w końcu to moja córka. Srebro pewnie chłodziło spuchnięte dziąsła w czasie ząbkowania, więc nie miałam nic przeciwko. Pewnego dnia będą mnie wzruszać ślady jej dziąseł na mojej biżuterii.

Dobra. Wróćmy do tematu, który chciałam poruszyć.

Luke tymczasem stał przy komodzie i grzebał w szufladzie.

Skrzywiłam się. Szuflady były bardzo skrupulatnie zorganizowane i włożyłam w to sporo wysiłku. Ubrania były schludnie złożone i posegregowane kolorami albo długością rękawów (i dopiero wtedy kolorami). Miałam swój system. Lubiłam go.

Za to Luke miał gdzieś porządek i nie pałał miłością do mojego systemu, chociaż tłumaczyłam mu go mnóstwo razy.

Ale w tej chwili odpuściłam i spytałam w jego nagie, muskularne plecy, seksownie pokryte kroplami wody:

– Co myślisz o imieniu Maisie?

Znieruchomiał.

A potem bardzo powoli odwrócił się i popatrzył mi w oczy.

– Powtórz pytanie – zażądał.

– Słyszałeś.

W mgnieniu oka znalazł się na łóżku, ja leżałam na plecach, on był na mnie, zakładając sobie moje nogi na biodra.

– Luke!

– Cicho – wymruczał, zrywając ręcznik i mamrocząc jakby do siebie. – Błagam, żadnych majtek...

Trzepnęłam go w ramię.

– Luke, Shirleen jest...

Uciszył mnie pocałunkiem (co robił często).

Gdy jego usta znalazły się na mojej szyi, mój oddech przyspieszył, ale mimo to powiedziałam:

– Spóźnimy się...

– Zrobimy to szybko.

– Luke, serio...

Podniósł głowę i zajął mi w oczy, a ja umilkłam.

– Czy mówisz mi właśnie, że jesteś w ciąży?

Skinęłam głową.

Twarz mu złagodniała i powiedział:

– W takim razie musimy to uczcić.

Uśmiechnęłam się. Nie było miejsca na sprzeciw, gdy Luke był w nastroju do świętowania. Nie żebym chciała się sprzeciwiać.

– Dobrze – szepnęłam.

A on znowu mnie pocałował.

Jakiś czas później ubieraliśmy się w pośpiechu, mocno spóźnieni, a Shirleen krzyczała z dołu, żebyśmy się wreszcie ruszyli.

– Nie powiedziałaś w końcu, co myślisz o imieniu Maisie – odezwałam się.

– Mam gdzieś imię, jeśli tylko wyjdiesz z tego cała.

Dla facetów z ekipy NI zagrożenie i niespodziewane sytuacje były chlebem powszednim, gdy jednak ich kobiety zachodziły w ciążę, robili się odrobinę nerwowi.

Indy omal nie umarła, rodząc ich pierwsze dziecko, Calluma.

Znałam Lee od dawna, ale nigdy nie widziałam go w takim stanie, jak wtedy w poczekalni, gdy lekarz wyprosił go z sali porodowej. Zawsze był opanowany i miał wszystko pod kontrolą. Niesamowicie opanowany i pod całkowitą kontrolą.

Ale nie wtedy.

Tak bardzo nie, że myślałam, że będą musieli dać mu zastrzyk na uspokojenie.

A najbardziej zaskoczyło mnie to, że to ja zdołałam go uspokoić.

To zabawne, jak życie zatacza kręgi. Kiedyś Lee znalazł mnie, pobitą i związaną przez mojego eks. To było takie straszne i poniżające, a Lee zajął się mną bardzo delikatnie i słodko.

A lata później to właśnie mój dotyk uchronił go przed wybuchem.

Położyłam mu rękę na ramieniu. Zastygł, a potem odwrócił się, objął mnie i przyciągnął do siebie, ukrywając twarz w mojej szyi.

Pamiętam to, jakby zdarzyło się chwilę temu. Takich rzeczy się nie zapomina.

– Kurwa, Ava – powiedział w moją szyję, drugą ręką obejmując mnie w pasie.

Objęłam go również, szepnęłam mu do ucha:

– Wiem, Lee.

– Jak ona strasznie krzyczała...

Zacisnęłam powieki i przytuliłam go mocniej.

– Nie dam rady, jeśli... – zaczął ochryplym głosem.

– Nie będzie takiej potrzeby – ucięłam.

Ścisnął mnie jeszcze bardziej i pomyślałam, że zaraz zgniecie, ale ani pisnęłam.

– Kurwa – wymruczał jeszcze. Nie powiedział nic więcej, tylko mnie trzymał.

Ja też jedynie przytulałam go w ciszy.

Indy i Callum dali radę, ale to wcale nie był koniec tej dramy. Gdy rok później Indy oznajmiła, że znów jest w ciąży, Lee dostał szału. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, chociaż raz byłam świadkiem, jak Luke dostał szału i powiem tyle: jak któryś z tych gości traci panowanie nad sobą, nie jest przyjemnie.

Tym razem to Vance go uspokoił.

Jules była wtedy w trzeciej ciąży, miała rodzić lada dzień. Pierwszą ciążę znosiła bardzo źle, ciągle wymiotowała, a poród trwał prawie dwie doby. Wtedy na świat przyszedł Max.

Druga ciąża, z Samem, przebiegła gładko, a poród odbył się błyskawicznie. Trzecia ciąża (dziecko miało dostać na imię Harry) przebiegała podobnie do drugiej.

Vance wyjaśnił to wszystko Lee. Lee sobie to poukładał i przygotował się na długą drogę; choć dla niego (i wszystkich wokół) była to długa droga pełna napięcia. Indy na luzie robiła to, co zawsze, a że była mocno szalona, raczej nie uspokajało to Lee.

Swoje drugie dziecko urodziła równie lekko jak Jules i na świat przyszła Alison (która dostała imię po Ally, chociaż wszyscy z jakiegoś powodu nazywali córeczkę Indy i Lee „Suki”). I choć nie było żadnych problemów w czasie ciąży albo porodu, Lee wziął sprawy w swoje ręce i zrobił coś, co Ally nazywała „Operacją”, zawsze akcentując wielką literę i zaznaczając cudzysłów w powietrzu.

Wtedy to Indy dostała szału – Lee nie uzgodnił z nią „Operacji”, a ona chciała mieć trójkę dzieci.

Wyglądała, jakby miała nie wybaczyć mu tego do końca życia, więc opowiedziałam jej to, co do tej pory pozostawało moją i Lee tajemnicą – jak zachowywał się w poczekalni w czasie jej pierwszego porodu. Dopiero wtedy Indy przestała się gniewać.

Wyglądziłam T-shirt na brzuchu.

Już niedługo nie będę w stanie założyć dzinsów, co było słabe.

Chociaż ciąża z Gracie była w sumie w porządku, przez pierwsze trzy miesiące dręczyły mnie migreny. Doprowadzało to Luke’a (o czym nie miałam pojęcia, dopóki Daisy mi nie wyznała tego, co powiedział jej Tex, gdy już Gracie się urodziła) prosto do Lincoln’s Road House. On i Lee upijali się tam i po pijaku gadali, jak to nie powinni byli nigdy pozwolić, żeby rockowe laski robiły im „wodę z mózgu”, i rozprawiali o zaletach (całe mnóstwo) i wadach (żadnej) adopcji, a potem Tex, Hank albo Eddie musieli ich odwozić do domu.

Patrzyłam na mój brzuch i uśmiechałam się. Nie miałam nic przeciw ciąży. Nie wróciłam do swojej wagi sprzed porodu, ale nie z własnej winy: na pięć kilogramów przed osiągnięciem celu Luke położył kres wszystkim dietom, pokazując mi (w swój specjalny sposób), jak bardzo lubi moje krągłości.

Spojrzałam na niego, siedział na brzegu łóżka i wciągał buty.

– Znów będę gruba – powiedziałam.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Będziesz w ciąży. Ciąża to nie otyłość.

– Właśnie że tak – odpaliłam.

Stracił cierpliwość.

– Ja pierdzielę, czy my naprawdę o tym rozmawiamy?

– Wiesz, że nie lubię być gruba!

Kiedys byłam monstrualnie otyła i ostro pracowałam nad tym, żeby schudnąć. Nie chciałam powrotu do tamtych czasów.

Luke znów zajął się butami.

– Możesz być nawet wielka jak dom, pod warunkiem że nie obetniesz włosów i nie stracisz poczucia humoru.

Patrzyłam na niego, jakby mu kompletnie odbiło.

No bo jak to. Czy on mówił poważnie?

– Luke?

Podniósł głowę i zmrużył oczy, widząc, że wciąż nie jestem gotowa do wyjścia.

– No? – spytał niecierpliwie.

O kurczaki.

Mówił poważnie.

– Już nic – mruknęłam.

I zaczęłam zakładać biżuterię.

„Jak ja go kocham”, powiedział mój słodki mały anioł, Dobra Ava.

„Myślisz, że jest jeszcze czas, żeby się na niego rzucić?”, spytała Niegreczna Ava, diabeł wcielony.

Jezu, ale z niej była dziwka.

Daisy rozglądała się po Sports Authority Field at Mile High, stadionie futbolowym w Denver, w tej chwili wypełnionym po brzegi.

– Uwierzysz, że to się dzieje naprawdę? – zapytała bez tchu.

Też się rozejrzałam.

To się działo naprawdę.

The Gypsies zaczęli swoją karierę w Denver i teraz dawali koncert w swoim rodzinnym mieście. Nie było opcji, żeby mieszkańcy Denver zawiedli Stellę i jej chłopaków.

Ja bardziej nie mogłam uwierzyć w to, że czasem widziałam Stellę w telewizji.

To było dziwne.

Ale wyglądała cholernie dobrze na czerwonym dywanie, ubrana w rockowe ciuchy, wsparta na ramieniu Mace'a, gdy szli razem na ceremonię wręczania nagród.

The Blue Moon Gypsies, teraz cholernie sławni, stali się nową definicją bycia *cool*. Jak pisano w czasopiśmie, „dzięki nim rock wrócił do korzeni”.

Nie wysilali się na produkcję przekombinowanych klipów, większość to były nagrania z koncertów albo grania muzyki na żywo, na przykład na chodniku w Vegas, bez pozwolenia, za co zostali aresztowani. To również był „powrót rocka do korzeni”, choć mniej oryginalny: U2 zrobił to samo ze swoim odjechanym „Where the Streets Have No Name”. The Gypsies kręcili również klipy w małych klubach (tak naprawdę spelunkach z super klimatem), rozślawiając je i przysparzając klientów.

Nie bez znaczenia był fakt, że Stella była piękną, a na chłopaków patrzyło się bez wstępu. To, że sporo pili, pieprzyli kolejne fanki i pakowali się w kłopoty, również było w stylu starego dobrego rock and rolla.

Siedzieliśmy w wydzielonym sektorze, z przodu i pośrodku; mieliśmy również wejściówki za kulisy.

Stella troszczyła się o swoje rockowe laski.

Cała ekipa już tutaj była. Indy i Lee, Roxie i Hank, Ally i Ren (Kitty Sue i Malcolm Nightingale'owie zajmowali się Salum i Suki, Leah i Texem, czyli dziećmi Hanka i Roxie, oraz Katie, córeczką Rena i Ally). Byli też Eddie i Jet oraz Hector i Sadie (Blanca, mama Hectora i Eddiego, pilnowała Alexa, Dantego i Cesara, czyli dzieci Jet i Eddiego, oraz córeczki Hectora i Sadie, Loli, i ich malutkiego synka, Gusa). Byli już Vance i Jules (May opiekowała się Maxem, Samem i Harrym), byli Daisy i Marcus, Sissy i Dom, Tod i Stevie, Nick, Kevster, Ralphie i Buddy, byli Tex z Nancy, Duke z Dolores, Annette i Jason, Smithie i LaTeasha, Tom z Laną, Chloe ze swoim mężem Benem, Roam z kolejną dziewczyną (ta była nowa i nie znałam jeszcze jej imienia), Sniff, wyjątkowo sam, i Floyd z żoną Emily i ich dwiema dorosłymi córkami.

Floyd był managerem The Gypsies, choć zdarzało się (i to nie raz), że Stella wciągała go na scenę. Dziś nie siedział za kulisami, po koncercie planowali spędzić czas razem.

Minęło trochę czasu, od kiedy ostatnio raz widzieliśmy Mace'a i Stellę, choć byliśmy w stałym

kontakcie, w każdym razie ze Stellą.

Z początku Mace nadal pracował dla Lee, gdy Stella z kapelą podróżowała, dając koncerty i promując albumy, ale bazę wciąż mieli w Denver. Dwa lata temu, gdy ich popularność wyszła poza Stany i zaczęli koncertować w Azji i Europie, Mace odszedł z NI i ruszył z The Gypsies.

To mnie martwiło. Mace lubił działać, nie pasował mi na członka świty.

Ale nie był nim długo.

Jakiś stuknięty fan wdarł się przed koncertem do garderoby Stelli i zrobił coś tak obrzydliwego, że Luke nigdy nie powiedział mi, co to było.

Od tamtej pory Mace zajmował się ochroną całej kapeli.

„Incydent w garderobie” (jak się na to mówiło) nigdy się nie powtórzył. I żadna z rockowych lasek, nawet Indy, nie wiedziała, co się właściwie stało, a Stella nigdy nie puściła pary, mimo nacisków Ally. Mace był tak świetnym ochroniarzem (a także twardzielem, macho i hardcorem), że wieści się rozeszły i zaczął być rozchwytywany. Przenieśli się ze Stellą do Los Angeles, gdzie teraz mieli dom, i tam otworzył własną firmę ochroniarską, zatrudniając jeszcze więcej macho twardzieli niż Lee.

Tłum zaczął się niecierpliwieć, tupać, skandować. Gypsies mieli pół godziny obsuwy.

Pewnie się kłócili, jak zwykle.

Luke objął mnie znienacka, pocałował w skroń. Spojrzałam na niego i serce mi podskoczyło na widok wyrazu jego twarzy.

Mój mąż musiał być cholernie szczęśliwy, że będziemy mieć drugie dziecko.

– Nie roztkliwiaj się tak. Wyszłam za twardziela, jak się będziesz roztkliwiał, znajdę sobie kogoś innego – powiedziałam przekornie.

Kłamałam. Widziałam, jaki Luke jest przy Gracie, i nie miałam absolutnie nic przeciw temu. Nie seplenił do niej i nie robił nic głupawego, ale spojrzenia, które rzucał mnie (słodkie i łagodne), miały się nijak do tego, jak patrzył na naszą córkę. Myślałam, że wolałby syna, ale on wyglądał na szczęśliwego.

Zupełnie nieprzejęty moim kłamstwem, powiedział:

– Jeśli znów zaczniesz mieć te cholerne migreny, wynoszę się na trzy miesiące do domku w Crested Butt. I nie chcę nic o nich słyszeć od Daisy albo Shirleen.

Prawie się uśmiechnęłam.

– Vance odmawia przyjmowania zleceń pozastanowych, gdy Jules jest w ciąży. Nie chce stracić ani jednego dnia – przypomniałam Luke’owi, udając urażoną.

– Nie jestem Vance – odparł Luke, nie udając niczego.

Tym razem się uśmiechnęłam.

– Fakt, nie jesteś.

Przechylił głowę i pocałował mnie szyję. A mnie przeszył dreszcz aż do sutków.

Gdy podniósł głowę i znów na mnie spojrzał, zapytałam:

– Chciałbyś, żeby tym razem to był chłopiec?

Odpowiedział od razu:

– Chciałbym zdrową rodzinę. Mama, tata i dzieci, płci dowolnej.

Ja też odpowiedziałam od razu:

– Boże, jak ja cię kocham.

Pochylił głowę i oparł swoje czoło o moje.

– Nie bądź taka cikliwa. Poślubiłem wredną sukę; jak będziesz cikliwa, znajdę sobie inną.

Uśmiechnęłam się do niego i znów skłamałam:

– Dobra, to spróbuję być suką.

Uśmiechnął się, tym razem nie półgębkiem, lecz w całej pełni. I znów poczułam dreszcz w sutkach.

Wtedy na scenie zapaliły się reflektory i tłum oszalał.

Zerwałam się z miejsca i pobiegłam do przodu, dołączając do rockowych lasek przy scenie.

Stella weszła, a mnie zatkało.

Wyglądała wspaniale, wcale nie jak ktoś, kto urodził małą Tallulah pół roku temu. Miała na sobie dzinsy, kowbojki, pasek z zabójczą klamrą i błękitną podkoszulkę z neonowoniebieskim napisem *The*

Gypsies na piersi.

– Ja chcę taką koszulkę! – wrzasnęła Roxie.

– Dokładnie, stara! – odkrzyknęła Ally.

Stella założyła gitarę, podeszła do mikrofonu i stała tak blisko nas, że prawie mogliśmy dotknąć jej butów.

Chodziłam na koncerty Stelli, jeszcze zanim stała się sławna, i wszystkie jeździłyśmy na jej koncerty, jeśli grała niedaleko Denver, jak już była gwiazdą. Za każdym razem, gdy grali wielki koncert, taki jak dzisiaj, wskazywała nas i mówiła tłumowi:

– Są tu dzisiaj moje dziewczyny!

Tak samo zrobiła teraz.

Publiczność zwariowała, a my wszystkie skakałyśmy i krzyczałyśmy jak nastolatki.

– Rockowe laski, nie wyobrażam sobie bez was życia – wymruczała Stella do mikrofonu, uśmiechając się do nas, a tłum zaryczał znowu. Potem rozejrzała się po stadionie. – Skoro jesteśmy w domu...

Nie dokończyła, tłum jej nie pozwolił. Wrzask był ogłuszający.

Gdy się uspokoiło, mówiła dalej.

– Jak już mówiłam, skoro jesteśmy w domu... – Kolejny ogłuszający ryk, ale tym razem Stella mówiła dalej: – To zagramy jak kiedyś. Żadnych nowych kawałków, idziemy w retro.

Tłum kompletnie i całkowicie zwariował.

– Ja pierdzielę, rozniosą stadion! – wrzasnął Vance z tyłu, a my go zignorowałyśmy. Też byliśmy wśród tych, którzy chcieli roznieść ten stadion.

– Ale nie aż tak retro – mówiła dalej. – Trochę kawałków, które lubię i które mówią wszystko.

Spojrzała na Ponga przy perkusji, w lewo na Leo i Hugona, w prawo na Buzza i skinęła głową. Wszyscy razem stanęli przy mikrofonach, w jednej linii z przodu sceny.

– Dedykuję tę piosenkę Kaiowi – powiedziała tłumowi. A ponieważ wszyscy znali Mace'a, bo był seksowny, sławny jako surfer i snowboardzista, sławny po tym, co się działo w Denver, i po ukazaniu się tych wszystkich książek, i znów, bo był seksowny, publiczności najzupełniej odbiło.

Stella skończyła mówić i od razu weszły gitary i perkusja. Zaczęli ostro i mocno, prąd przeszył mnie od czubka stóp po końcówki włosów.

Stella nachyliła się do mikrofonu i zaczęła śpiewać zajebiście rockową piosenkę miłosną „All the Small Things” Blink-182.

Rockowe dziewczyny machały głowami w rytm, unosząc wysoko ręce, chłopaki z kapeli podeszły do mikrofonów i śpiewały „*Na na, na na, na na, na na na-na, na na, na na, na na, na na, na na*”, a tłum śpiewał z nimi.

Stella odsunęła się od mikrofonu, grając na gitarze i również machając głową. Grała, tańczyła i bujała się z takim wdziękiem, że to było niewiarygodne.

Wróciła do mikrofonu i znów śpiewała, i wszyscy na całym stadionie śpiewali razem z nią.

Chłopaki wrócili do „*nanananana*”, kiwając się, a Stella wywijiała na scenie i czarowała publiczność, uśmiechała się i kiwała głową do fanów.

– Jezu – wymruczał Luke.

Odwróciłam się do niego: nie odrywał wzroku od Stelli.

Nie chodził na jej koncerty, z wyjątkiem czasów, gdy zapewniał ochronę jej i wszystkim rockowym laskom, ale wtedy był jednak trochę zajęty.

– Ona jest zajebista! – zawołałam. Luke spojrzał na mnie.

Już miał odpowiedzieć, gdy coś zwróciło jego uwagę i znów spojrzał na scenę.

Ja również: Stella stała przy mikrofonie, muzyka zwolniła odrobinę, a Stella patrzyła teraz w prawo, ale nie na Buzza, lecz poza scenę.

– Chodź do mnie, skarbie, chcę cię pocałować – powiedziała do mikrofonu i na pewno nie mówiła do tłumu.

Cofnęła się, krok, drugi, pochyłona do przodu, cały czas grając, patrzyła w bok i nagle na jej ustach pojawił się megawatowy uśmiech.

Mace wyszedł na scenę. Patrzył na Stellę z nikłym uśmiechem na ustach, kręcił głową i szedł, spokojny, opanowany, jak zawsze.

Wszyscy widzieliśmy, jak Stella odsuwa gitarę za plecy, jak biegiem pokonuje odległość pomiędzy nimi i jak skacze na Mace'a.

Złapał ją, trzymając ręce na jej tyłku, ona zarzuciła mu ręce na szyję, objęła go nogami. Mace odchylił głowę, Stella się nachyliła i pocałowała go.

Ludzie krzyczeli, darli się, gwizdali, prawie zagłuszając muzykę, Buzza, Ponga i Hugona, którzy nadal śpiewali „nananana”, i Leo, który śpiewał tekst.

Mace zdjął jedną rękę z tyłka Stelli i wsunął ją w jej włosy, przytrzymując głowę.

Przerwał pocałunek i z szerokim uśmiechem nachylił się, jakby chciał ją upuścić. Stella trzymała się mocno, odrzuciła głowę i krzyknęła ze śmiechem tak głośno i przenikliwie, że mogliśmy ją słyszeć. Włosy zamiatały scenę, gitara wisiała z tyłu.

Stali tam, śmiejąc się do siebie, nie przejmując dziesiątkami tysięcy ludzi, którzy na nich patrzyli. Liczyli się tylko oni.

Miałam serce w gardle, oparłam się plecami o Luke'a, a on objął mnie i patrzyliśmy na tych dwoje drogich nam ludzi.

Kochali się, byli uzdrowieni i co najważniejsze, niewiarygodnie szczęśliwi.

Pomyślałam, że nie zapomnę do końca życia, jak tak stoją i śmieją się na scenie w swoim rodzinnym mieście.

Nie chciałam tego zapomnieć.

Ale bez obaw, nie groziło mi to.

Ktoś uwiecznił tę chwilę. Mace śmieje się i przechyla Stellę, ona trzyma go mocno, odchyła głowę, wygina plecy, a jej wspaniałe włosy sięgają aż do podłogi.

Megawatowy uśmiech rozjaśnia cały stadion.

Zdjęcie ukazało się w następnym numerze „Rolling Stone” na stronie pięćdziesiątej.

Od Autorki

Zakładam, że skoro czytacie serię *Rock Chick*, to już wiecie, jak ogromne znaczenie ma dla mnie muzyka. Często potrzebuję jej, żeby wyrazić emocje, zdefiniować charakter postaci albo wzmocnić narrację. Gdybym tylko mogła, chciałabym śpiewać, grać albo tworzyć muzykę w inny sposób – niestety, nie umiem grać na żadnym instrumencie (choć próbowałam się uczyć), a mój śpiew pozostawia wiele do życzenia.

Dlatego z radością pozwoliłam Stelli Gunn zawładnąć moim umysłem i poprzez nią mogłam grać na gitarze, śpiewać seksownym głosem, hipnotyzować tłum, dawać jednoosobowe koncerty przystojnemu mężczyźnie i układać listy piosenek.

Stella wybiera swoją muzykę z niezwykłą dbałością. Dlatego jeśli do tej pory pomijaliście wzmianki o muzyce w moich książkach lub słuchaliście piosenek mimochodem, zachęcam, żebyście w pełni doświadczyli tej, którą wybiera Stella, posłuchali piosenek, poznali teksty. Jeśli tylko możecie, słuchajcie w trakcie czytania, a wzmocnią doświadczenie (tak dzieje się w moim przypadku). Mówię tu zwłaszcza o „Black” Pearl Jamu, „And So It Goes” Billy’ego Joela, „Open Arms” Journey i „All the Small Things” Blink-182. To wspaniałe piosenki, a ich teksty pomogą głębiej wniknąć w świadomość Stelli. Niestety, bez pozwolenia artystów nie mogę umieścić w książce tekstów piosenek, a ponieważ jestem samodzielnie publikującą autorką i nie dysponuję nieprzebranymi środkami, nie jestem w stanie uzyskać takiego pozwolenia.

Jeśli jednak chcecie wiedzieć, jak Stella brzmi w mojej głowie, poszukajcie „I’m So Lonesome I Could Cry” w wersji Cowboy Junkies i „Blackbird” w wersji Sarah McLachlan ze ścieżki dźwiękowej filmu „Jestem Sam”.

Albo nie róbcie tego i pozostańcie przy swoich wyobrażeniach.

Miłego słuchania – oraz czytania.

I zawsze pamiętajcie, żeby dawać czadu!

Podziękowania

Dziękuję Sir Willowi, czyli Williamowi Womackowi, mojemu wujkowi, przyjacielowi i pierwszemu guru rocka. Listy piosenek Stelli nie byłyby tak czadowe, gdyby Will nie rozpałił w mojej duszy miłości do tej muzyki. Kocham cię, Will.

[1] TTB – Alcohol and Tobacco Tax and Trade Bureau.

[2] „Ramba” – komiks erotyczny o najemnej zabójczyni o imieniu Ramba, łączący sceny akcji i przygody erotyczne bohaterki (przyp. tłum.).

[3] Roll with the changes.

[4] Robert M. Pirsing, Zen i sztuka obsługi motocykla, tłum. Andrzej Sitkowski, Wydawnictwo Rebis, Poznań 1994.